

YRSA

SIGURÐARDÓTTIR

ODZIEDZICZONE

ZŁO

„IM BARDZIEJ SIGURÐARDÓTTIR ZAGŁĘBIA SIĘ W MROczne ZAKAMARKI SWOJEJ WYOBRAŹNI,
TYM PEŁNIEJ ROZKWITA JEJ TALENT. TO FASCYNUJĄCA LEKTURA DLA KAŻDEGO,
KTO MA APETYT NA MAKABRĘ I TAJEMNICE”.

DAILY EXPRESS



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

YRSA

SIGURÐARDÓTTIR

ODZIEDZICZONE

ZŁO

Z języka islandzkiego przełożyła
Agnieszka Klimko



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

DNA

Copyright © Yrsa Sigurdardóttir 2014

Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Łukasz Slotorsz/www.artnovo.pl

Zdjęcie autorki na okładce: © Lilja Birgisdóttir

Redakcja: Marta Mizuro

Korekta: Marta Chmarzyńska, Izabela Sieranc

Ta książka została opublikowana przy finansowym Icelandic Literature Center.



ICELANDIC LITERATURE CENTER

ISBN: 978-83-8110-746-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1987

Prolog

2015

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Epilog

Przypisy

Książkę dedykuję Palliemu.

Gdy pisałam tę powieść, Bragi Guðbrandsson udzielił mi informacji dotyczących Urzędu do spraw Nieletnich oraz schronisk dla dzieci, natomiast Þorleikur Jóhannesson i Hallgrímur Gunnar Sigurðsson podzielili się ze mną swoją wiedzą o telekomunikacji i radioamatorstwie. Drugi z wymienionych pokazał też, jak wygląda państwowy nadzór nad krótkofalowcami. Obu serdecznie za to dziękuję.

Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za ewentualne, związane z tym tematem uchybienia, które mogą występować w powieści. – Yrsa

1987

Prolog

Dzieci siedzące na ławce wyglądały niczym schodki. Jedno obok drugiego, w porządku od najmniejszego do największego. Najdrobniejsza z całej trójki była dziewczynka. Siedziała z brzegu, a obok niej starsi bracia. Roczek, trzy i cztery lata. Ich chude nóżki zwisały bezwładnie z twardego siedzenia. Maluchy niepodobne były do zwykłych urwisów wciąż wiercących się, machających stopami. Nowe buty trwały w bezruchu nad świeżo wypastowaną podłogą. Na twarzach dzieciaków nie było widać żadnego zainteresowania ani też śladów nudy czy zniecierpliwienia. Wpatrywały się tępo w pustą białą ścianę, jakby właśnie wyświetlano na niej kreskówkę *Tom i Jerry*. Niby ujęte w kadrze niewidzialnego aparatu, tak w każdym razie wyglądało to z daleka – jak fotografia trojga dzieci na ławce.

Tkwiły w tej pozycji już od prawie pół godziny. Wkrótce pozwolą im się podnieść, choć na razie nikt z dorosłych, obserwujących całą tę scenę z oddali, nie miał ochoty przyspieszać tej chwili. Ich życie, i tak odwrócone do góry nogami, jeszcze bardziej się zmieni. Wyjdą i nie będzie odwrotu. Bywa, że zmiana w takiej sytuacji oznacza zmianę na lepsze, ale i ona kryje w sobie niewiadome. I w tym tkwił cały problem, że nikt z urzędników nie mógł być pewien, jak się malcom ułoży w życiu i czy podjęto trafną decyzję. Dopiero czas pokaże.

– Niestety. Rozpatrzyliśmy wszystkie za i przeciw. Specjaliści są tego samego zdania. Dzieci potrzebują domu i nie ma co zwlekać. Im będą starsze, tym mają mniejsze szanse na adopcję. Zobaczcie państwo, jakie jest zainteresowanie dziewczynką. Ludzie wiedzą, że młodsze dzieci lepiej oswajają się z nowymi sytuacjami. Za dwa lata dziewczynka będzie w tym samym wieku, co młodszy z braci, i będziemy mieli ten sam problem. – Mężczyzna wziął głęboki oddech. Aby podkreślić wagę swoich słów, wymachiwał teczkami. Zawierały sprawozdania i opinie psychologów, którzy rozmawiali z rodzeństwem. Wszyscy, poza najmłodszą w ich gronie kobietą, znacząco pokiwali głowami. Kobieta miała najmniejsze doświadczenie w pracy w Urzędzie do spraw Nieletnich i nosiła

w sobie iskrę, która w każdej chwili mogła wzniecić w pozostałych dawno temu zgaszony optymizm.

– Czy nie powinniśmy jeszcze trochę zaczekać? Kto wie, może uda się znaleźć rodzinę, która zechce całą trójkę? – Mówiąc to, zwróciła wzrok w kierunku siedzących w bezruchu dzieci. Złożyła dłonie jak do modlitwy i mocno ścisnęła palce, bojąc się, że gdy je rozłoży, dobroć, nadzieja i optymizm wyciekną spomiędzy nich. W jej pamięci wciąż żywy był obraz maluchów zaraz po tym, jak sprawa trafiła do rozpatrzenia. Ich skołtunione, brudne blond włosy, podarta odzież na nieludzko wychudzonych ciałach, jasnobłękitne oczy w poznaczonych strużkami łez buziach. Zwróciła się ponownie do zebranych. Twarz miała smutną. – To się musi udać – powiedziała.

– Sprawę uważam za zakończoną – skwitował mężczyzna, który uprzednio wymachiwał teczkami. Był poirytowany. Trzeci raz z rzędu spojrzął nerwowo na zegarek. Zebranie się przeciągało, a on obiecał swoim dzieciom, że pójda do kina. – Jest bardzo duże zainteresowanie małą. Chłopców chce niewielu. W sumie powinniśmy być zadowoleni z takiego obrotu spraw. Poszukiwane idealnej rodziny dla całej trójki nie ma najmniejszego sensu. Zainteresowani adopcją znajdują się na liście, którą przecież gruntownie przestudiowaliśmy. To w tym momencie jedyne rozsądne rozwiązanie.

W zasadzie nie było już o czym rozmawiać. Wszyscy, oprócz młodej kobiety, z powagą i zrozumieniem potakiwali głowami. A z ich oczu biło zniecierpliwienie.

– One są ze sobą bardzo związane. Obawiam się, że rozłąka wyrządzi im krzywdę na całe życie.

Kiedy to powiedziała, teczki, które znowu znalazły się w dłoniach zdenerwowanego mężczyzny, runęły na stół, aż powiew uniósł włosy siedzących.

– Przecież dwóch niezależnych psychologów wydało opinie. Są przekonani, że dwójka najmłodszych tylko skorzysta, bo łącząca ich zależność nie jest zdrowa. Chłopiec próbuje się dziewczynką opiekować, obdarzając ją miłością, której sam nie zaznał. Przecież to tylko małe dziecko, a troska o siostrę wywołuje u niego stres i cierpienie, którego dziewczynka nie jest świadoma. On ma dopiero trzy latka! – Mężczyzna zamilkł. Po chwili wziął głęboki oddech i ciągnął dalej. – Wyraźnie zostało napisane, że dla dobra dzieci proponuje się rozdzielenie. Ich związek jest toksyczny. Śmiało można powiedzieć, że chłopcy ze względu na swój wiek

ucierpieli bardziej niż dziewczynka.

Niektórzy członkowie komisji dostrzegli, że dzieci, do tej pory siedzące w bezruchu, poruszyły się. Młodszy chłopczyk jeszcze bliżej przysunął się do siostry. Objął ją ramieniem i przyciągnął. Niewiarygodne, bo żadnym sposobem nie mógł usłyszeć przez szybę, o czym właśnie mówiono.

– Wydaje mi się, że nie możemy sobie pozwolić na podważanie opinii biegłych. Przyszłość dzieci jest bardzo niepewna, więc nasze spekulacje nie zdadzą się na nic. Takie jest moje zdanie. Należy niezwłocznie działać, bo czas pracuje na ich niekorzyść. Czekanie na cud to dziecinada. Cuda się nie zdarzają. – Jedna z pań, której również się spieszyło, odezwała się nerwowo, równie nerwowo podrygując nogami pod stołem.

– A co się stanie, gdy podrosną i zorientują się, że decyzję o ich rozdzieleniu można było wstrzymać? Wiemy dobrze, jak ludzie potrafią nienawidzić opieki społecznej. Potem całe ich życie zaczyna się kręcić wokół tej niechęci – powiedział najstarszy z członków komisji. Szykował się na emeryturę i miał nadzieję, że ta sprawa będzie ostatnią w jego karierze. Zresztą wydawało się, że nie przywiązywał do niej wielkiej wagi. Twarz miał pooraną zmarszczkami. Dawno temu osiwiiał i regularnie zażywał tabletki na nadciśnienie.

– Rodzice adopcyjni powinni utrzymywać w tajemnicy ich przeszłość. Z pewnością będzie to korzystne, zwłaszcza dla dwójki najmłodszych. Dzieci nie będą pamiętały niczego ze swojej przeszłości. Dziewczynka ma tylko roczek. No, ewentualnie najstarszy może coś tam kojarzyć. Ale to nie jest takie pewne, bo wspomnienia się rozmyją. Czy ktoś z was pamięta cokolwiek z czasów, kiedy miał cztery lata?

– Mnóstwo. – Młoda kobieta wydawała się jedyną, która miała jakieś wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, choć nie pamiętała niczego z pierwszego roku życia. Reszta zebranych mogła przywołać tylko zamazane, bliżej nieokreślone obrazy. Dziewczynka, o którą właśnie toczono batalię, w jej mniemaniu ucierpiałaby najmniej. I nie dlatego, że była taka słodka, lecz ze względu na wiek. Minione lata były bardzo ciężkie dla chłopców, co przejawiało się tym, że młodszy obdarzał siostrę bezgraniczną miłością i opieką, starszy zaś pogrążał się w pustce i beznadziei. To, co zawarte zostało w krótkiej i zwięzłej notatce policyjnej z przebiegu interwencji, do której doszło po tym, jak matka dzieci zawiadomiła

policję, miało kluczowy wpływ na decyzje komisji, ale żaden z jej członków nie zamierzał odwoływać się do treści owego raportu.

Najlepiej byłoby, gdyby z czasem udało się wymazać z pamięci rodzeństwa wszystko, co zaszło.

Niestety, młoda kobieta nie była do końca przekonana, że tak mogłoby się stać. Zwłaszcza że doświadczenia tej trójki były przerażające. – To, co zapisało się w mojej pamięci, wiąże się z trudnymi przeżyciami. W wieku trzech lat przycięłam sobie palce drzwiami od piekarni, a mając pięć lat, widziałam, jak samochód potrafił moją koleżankę. Zdaję sobie sprawę, że moje przeżycia nijak się mają do tego, czego one doświadczyły. Ale obawiam się, że chłopcy mogą sobie wszystko przypomnieć. I choć to mało prawdopodobne, niewykluczone, że dziewczynka też coś zapamiętała.

– A jak wygląda kwestia ich pokrewieństwa? – rzuciła inna z kobiet i zniecierpliwiona zmieniła temat rozmowy w obawie, że zanurzą się za bardzo we własnych wspomnieniach z dzieciństwa. – Nawet nie jest pewne, czy dzieci są naturalnym rodzeństwem, więc nie wiadomo, ile wysiłku trzeba włożyć, aby poczuły taką więź.

Facet od teczek nareszcie zapunktował w oczach młodej kobiety, mówiąc:

– Nie wydaje mi się, żeby to akurat miało znaczenie. Mając wspólną matkę, czują się rodzeństwem. Ojcowie dwójki najmłodszych oficjalnie zapisani zostali jako nieznani, jednak lekarz, który badał dzieci, stwierdził, że dwójka młodszego rodzeństwa może pochodzić od tego samego ojca, a tylko najstarszy jest ich bratem przyrodnim. Tak też sugeruje właśnie ojciec najstarszego z dzieci. Z jego zeznań wynika, że po narodzeniu dziecka nie utrzymywał z matką kontaktów seksualnych, bo ją z kolei zmuszono, by wróciła do domu swojego ojca. – Mężczyzna zamilkł i znacząco się skrzywił. Przełknął ślinę i kontynuował: – Trzeba by wykonać badania DNA, ale nie ma na to czasu i pieniędzy. Poza tym, bądźmy szczerzy, kto chciałby znać prawdę? Lepiej przyjmijmy z góry, że cała trójka ma „normalnych” ojców, a nie tylko najstarszy.

Zapadła cisza. Wszyscy znali przeszłość rodzeństwa i ich matki. Historię jej ojca, którego podejrzewano o dopuszczenie się straszliwej zbrodni na własnej córce. W ich rękach leżał los dzieci o zranionych duszach. Jaką powinni podjąć decyzję?

– A co z Borgierem, czyli ojcem najstarszego? Nie ma szans, żeby zmienił zdanie? – przerwała milczenie młoda kobieta.

– Próbowaliśmy wszystkiego. Nie może lub też nie chce zabrać syna. Nie mówiąc już o całej trójce. Zresztą nigdy nie miał kontaktu z dzieckiem, a i do końca nie jest pewny swego ojcostwa. Przyznał się wtedy do dziecka, bo miał z jego matką krótki romans, ale podejrzewa, że w tamtym czasie mogła też współżyć z innymi. Jeśli będziemy go naciskać, by zabrał syna, musi zgodzić się na testy. To przeciągnie sprawę. Bez względu na wyniki i tak wydaje mi się nieodpowiednią osobą. W sytuacji niepotwierdzenia ojcostwa będzie miał prawo odmowy zabrania chłopca. I czy to nie odbije się źle na dziecku? – Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia. Dla nich ta argumentacja była zrozumiała. Dla kobiet niekoniecznie.

– To najlepsze rozwiązanie sprawy. – Facet od teczek tym razem powstrzymał się od wymachiwania dokumentami. Dla odmiany zaczął stukać w nie palcami. – Nie posiadamy maszyny czasu, która utwierdziłaby nas w przekonaniu, że dzieciom się powiedzie. Jedyne, czym możemy się podeprzeć, to opinie specjalistów. Rodzice adopcyjni zostali poddani dokładnym testom. Mają najlepsze rekomendacje. Proponuję, abyśmy zakończyli tę sprawę. Tożsamość dzieci zostanie zmieniona. Z czasem sprawa ucichnie i nikt nie będzie pamiętał o ich pożałowania godnej przeszłości. To rodzaj błogosławieństwa, nie wiedzieć nic o swoim dawnym życiu. Ich rozdzielenie tylko w tym pomoże. Im wcześniej zaczną nowe życie, tym lepiej. Czyż wszyscy nie myślimy podobnie?

Młoda kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Pozostali członkowie komisji mamrotali coś pod nosem, obawiając się jej głosu sprzeciwu. Przekręciła się w stronę szyby, za którą siedziały dzieci. Dziewczynka bezskutecznie próbowała wyzwolić się z objęć brata. Jednak jego ramię trzymało jej ciało w jeszcze bardziej kurczowym uścisku. Wyglądało to tak, jakby chciał zadać jej ból. A może jednak opinie psychologów zawierały coś, czego kobieta nie chciała dopuścić do swej świadomości? Ponownie odwróciła się przodem do komisji. Zrezygnowana skinęła głową na znak zgody.

Tak zapadła ostateczna decyzja.

Posiedzenie dobiegało końca i kiedy tylko załatwiono ostatnie formalności, grupa się rozeszła. Młoda kobieta stała samotnie na korytarzu, będąc jedynym

świadkiem wysyłki dzieci do nowego życia. Nie obyło się bez protestów. Przypominały jej krzyk noworodków, które opuszczają ciepłe łona swoich matek. Awanturował się szczególnie młodszy z braci, widząc, jak znika w korytarzu jego siostra, którą niósł na rękach lekarz pediatra. Dziewczynka pomachała braciszkowi na do widzenia z kamiennym wyrazem twarzy, co tylko pogorszyło nieszczęsną sytuację. Człowiek w białym kitlu musiał siłą go przytrzymać. Gdy dzieciak wreszcie zrozumiał, że się nie wyrwie, jego wrzask zamienił się w płacz.

Nie mogła oderwać oczu od sceny, która się przed nią rozgrywała. Przecież i ona ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało. Wypadało więc wykazać się cywilną odwagą i zobaczyć skutki własnej decyzji. Obserwowanie starszego z chłopców wydawało się przeżyciem mniej dojmującym. Choć nie krzyczał i nie szlochał, jego przerażone oczy mówiły same za siebie. Najprawdopodobniej rodzeństwa nigdy wcześniej nie rozdzielano.

Ani jedna łza nie spłynęła po jej policzku, gdy patrzyła, jak dematerializują się w otchłaniach szpitalnego korytarza. Gdy w końcu ruszyła do wyjścia, zdała sobie sprawę, że po dzieciach nie pozostał żaden ślad. Ani w szpitalu, ani na prawie pustym parkingu.

Nowe życie połknęło je w całości.

2015

Rozdział 1

Elisa potrzebuje chwili, by dojść do siebie. Leży w łóżku na boku ze zgniecioną kołdrą między nogami i wymiętą poduszką pod policzkiem. W sypialni jest ciemno. Przez szczelinę w zasłonce widzi czarne niebo i gwiazdy mrugające do niej z nieskończoności kosmosu. Obok niej w małżeńskim łóżku leży starannie pościelona kołdra oraz nietknięta poduszka. Panująca tu cisza jest jej obca, tęskni więc za pochrapywaniem, które dotychczas ją denerwowało i uniemożliwiało sen. Tęskni za ciepłem ciała męża, buchającym jak żar z rozgrzanego pieca i sprawiającym, że musiała spać z nogą wysuniętą spod kołdry.

Ułożyła się tak do snu z przyzwyczajenia, ale teraz jest jej zimno.

Gdy otula się dokładniej kołdrą, czuje gęsią skórę na nogach. To przypomina jej czasy, kiedy Sigvaldi brał nocne dyżury. Lecz teraz nie przyjdzie o świcie, przesiąknięty wonią szpitala. Ziewający, z podkrążonymi oczami. Wróci do domu z konferencji nie wcześniej niż za tydzień. Wczoraj na dworcu autobusowym, kiedy całował ją na pożegnanie, był bardziej zniecierpliwiony niż ona, tak jakby chciał, by pożegnanie trwało krócej. O ile go zna, wróci do domu pachnący nową wodą po goleniu, kupioną w sklepie wolnoctwowym. I będzie musiała spać z nosem wciśniętym w łokieć do czasu, aż przyzwyczai się do tego zapachu.

Tęskni, ale też cieszy się chwilową samotnością. Przed nią wieczory, podczas których na kolację wystarczy podpłomyk z serem, a w telewizji będzie leciało to, co ona wybierze. Nie musi kibicować tej czy innej drużynie piłkarskiej ani przysłuchiwać się rzekomemu burczeniu w brzuchu.

Ale tygodniowa rozłąka niesie ze sobą nie tylko zalety. Będzie musiała troszczyć się o trójkę dzieci, obudzić je, wyszykować, odwieźć, przywieźć, pomóc w odrabianiu lekcji, zabawić, skontrolować czas przy komputerze, nakarmić, wykapać, umyć zęby, uśpić. Dwa razy w tygodniu odtransportować Margrét na balet, a Stefána i Bardiego na karate i czekać, aż trening się skończy. Jednak najtrudniejsze jest przyglądanie się temu i pogodzenie z faktem, że dzieci nie mają ani szczególnych talentów, ani też grama przyjemności z zajęć, które przecież nie są za darmo. W każdym razie Elisa widzi, że się po prostu nudzą. Nie nadążają za

grupą, kręcą się w kółko, ale nie tak jak inne maluchy, tylko stoją zdziwione z wypiekami na buziach, wgapiając się w te dzieciaki, które zawsze robią wszystko dobrze. Możliwe jednak, że jest odwrotnie i to jej pociechy poruszają się prawidłowo.

Leżąc w łóżku, Elisa czuje ogarniającą ją senność. Budzik na nocnym stoliku rozświetla mrok. Każdego ranka wywołuje mordercze myśli, ale teraz Elisa nie odczuwa chęci zrzucenia go na podłogę. Poblaskujące zielenią cyfry wyglądają, jakby promieniowały. Wskazują, że zostało jej jeszcze kilka godzin snu. Ciężki od zmęczenia umysł nie chce obliczyć ile. W tym momencie ważniejsze jest pytanie: dlaczego się przebudziła?

Światło budzika razi zmęczone oczy Elisy. Przewraca się na drugi bok i z przerażenia zatyka usta, widząc czarny zarys postaci blisko jej łóżka. Uspokaja się szybko, kiedy dociera do niej, że to Margrét, jej pierworodna córka, która od zawsze była inna niż reszta dzieci. Rzadko radosna. Zatem Elisa przebudziła się z jej powodu.

– Margrét, kochanie, dlaczego nie śpisz? – Głos ma zachrypnięty i patrzy w oczy córki, które w ciemności wydają się całkiem czarne. Rozwichrzone rude loki opadają na trupioblada buzię.

Przechodząc nad posłaniem ojca, dziecko wdrapuje się do matki. Nachyla się do jej ucha i szepcze cicho. Ciepły, pachnący delikatnie pastą do zębów oddech łaskocze Elisę w ucho.

– Ktoś obcy jest w domu.

Elisa się podnosi. Czuje łomotanie serca, chociaż przekonana jest, że nic się nie dzieje.

– Coś ci się przyśniło, kochanie. Przecież kiedyś rozmawialiśmy na ten temat. Że to, co pojawia się ludziom we śnie, nie ma nic wspólnego z tym, co jest naprawdę. To dwa różne światy. – Od wczesnego dzieciństwa Margrét nawiedzają koszmary. Jej bracia, podobnie jak ojciec, zasypiają od razu i budzą się dopiero rano. Dla niej jednak noc rzadko bywa łaskawa. Ileż to razy budził rodziców przeraźliwy płacz córeczki? Lekarze mówili, że minie jej z wiekiem, ale od tego czasu upłynęły już dwa lata i niewiele się zmieniło.

Miedziane loki wznoszą się i opadają, gdy dziewczynka kiwa głową.

– Ja nie spałam, obudziłam się – szepcze cały czas i kładzie palec na ułożonych

w dzióbek ustach, aby dać mamie do zrozumienia, że ma być cicho. – Byłam zrobić siusiu. On jest w pokoju gościnnym.

– Czasem człowiek jest zakręcony. Mnie też się to zdarza... – Elisa zamilkła w połowie zdania. – Ciii... – mówi to jakby do siebie samej. Z przedpokoju nie dobiega żaden odgłos. Dźwięk, który niby usłyszała, to tylko dzieło jej wyobraźni. A drzwi, w które się wpatruje, są uchylone, ale nie widzi niczego prócz ciemności. Przecież to jasne, kto poza nimi mógłby tu być? Nie posiadają niczego nadzwyczajnego, a obdrapany dom to żadna gratka dla złodziei. Poza tym jest jednym z niewielu na ulicy bez tych wszystkich naklejek firm ochroniarskich na każdym z okien.

Margrét ponownie nachyla się nad uchem matki.

– Nic mi się nie pokręciło. Ktoś jest w środku. Widziałam go na korytarzu. – Trzeźwy głos Margrét nie pozostawia żadnych wątpliwości, że dziewczynka jest zupełnie przytomna.

Elisa zapala nocną lampkę i po omacku szuka komórki. Czy to możliwe, żeby budzik się zepsuł po tylu latach, po tylu lądowaniach na podłodze? Może już nie opłaca się odsyłać Margrét do jej łóżka, lecz pora wstać i zacząć poranne krzątanie. Przygotować trzy miseczki jogurtu posypanego brązowym cukrem. Nie tracić nadziei, że w czasie, gdy dzieci będą jadły, uda się jej splukać cały szampon z włosów. Ale telefonu nie ma na stoliku ani na podłodze. Elisa jest przekonana, że zabrała go wczoraj do sypialni. Był tam, nim wyłączyła światło. Chciała go mieć przy sobie, bo Sigvaldi mógł w środku nocy zadzwonić, informując, że dojechał na miejsce. Mógł tak zrobić, nieprawdaż?

– Margrét, która godzina? – Córka nigdy nie chciała, żeby nazywać ją zdrobniale: Magga.

– Nie wiem. – Dziewczynka odwraca głowę i wpatruje się w ciemny korytarz. Potem zwraca się ku matce i szepcze: – Kto przychodzi o północy w odwiedziny? Nikt dobry.

– Nie. Po prostu nikt nie przyszedł. Koniec, kropka. – Elisa sama czuje, jak mało przekonująco to brzmi. A co zrobić w przypadku, jeśli dziecko ma rację i ktoś się włamał? Dlatego jednak wstaje. Podłoga jest lodowato zimna, więc podkurcza palce u stóp. Ma na sobie tylko T-shirt Sigvaldiego, czuje na gołych nogach gęsią skórę. – Leż tu grzecznie. Pójdę się rozejrzeć, a kiedy wrócę, pójdziemy spokojnie

spać. Nie będziemy więcej się martwić. Umowa stoi?

Margrét potakuje. Spod naciągniętej po same oczy kołdry mamrocze:

– Uważaj. On jest zły.

Jej słowa jak echo wybrzmiewają w uszach Elisy, stara się więc być ostrożna, kiedy rusza upewnić się, że w domu nie ma nikogo obcego. Lecz Margrét zasiała w jej głowie ziarno niepokoju. Dlaczego nie mogło się to wydarzyć w poprzednią noc, kiedy był tu Sigvaldi? Dlaczego akurat teraz? Elisa krzyżuje ramiona, by uchronić się przed zimnem, lecz bezskutecznie. Gdy zapala światło, jasność nagle kłuje ją w oczy.

Drzwi do pokoju chłopców lekko skrzypią, musi upewnić się jednak, czy śpią spokojnie. Każdy z nich leży we własnym łóżku, z zamkniętymi oczami i otwartą buzią. Ostrożnie zamyka za sobą drzwi.

W łazience nie ma nikogo, a w pokoju Margrét patrzy na nią niezliczone pary oczu misiów i lalek równo i pieczołowicie poukładanych na półce. Elisie wydaje się, że szklane gałki śledzą ją, gdy szybko zamyka za sobą drzwi. Zastanawia się, czy to nie one są powodem nocnych koszmarów córki. Trzeba by spróbować przekładać zabawki w inne miejsce. Może warto sprawdzić, czy Margrét będzie wtedy lepiej spała? Elisa postanawia zrobić to dziś wieczorem, po pracy.

W korytarzu i w pozostałych przyległych do niego pokojach nie ma nikogo, w każdym razie brak jakichkolwiek śladów wskazujących na nocne odwiedziny nieproszonego gościa. Ale jakich śladów można by się spodziewać? Odcisków stóp? Niedopałka papierosa na podłodze? Rozbitej doniczki w kącie? Chyba nie. Idąc dalej korytarzem w kierunku pokoju gościnnego i kuchni, czuje się zupełnie odprężona. Światło bijące z ulicznych latarni przekonuje ją, że to wszystko jest jedynie następnym z urojeń córki. Ciemność potęguje moce wyobraźni. W pokoju gościnnym nie ma żywej duszy. Pusta miska po popcornie stoi przed telewizorem, a klocki lego porozrzucane są szerokim łukiem wokół ławy. Wszystko leży w tym samym miejscu, tak jak wczoraj, przed ułożeniem się do snu. Cholerne zwidy. Na jej twarzy rysuje się uśmiech. Ale nagle znika tak samo szybko, jak się pojawił, bo przesuwane drzwi oddzielające pokój od kuchni są zamknięte.

Przecież tych drzwi nigdy się nie zamyka.

Elisa zbliża się do nich powoli i czujnie. Stopy kleją się do zimnego parkietu, a strach rośnie w niej z każdym następnym krokiem. Przykłada ucho do białych

drzwi. Początkowo jest cicho, ale po chwili z przerażeniem się odsuwa, bo słyszy szuranie krzesel w kuchni.

Co teraz zrobić? Jej drugie ja chce biec do łóżka. Chce przykryć się kołdrą po czubek głowy. Ten, który siedzi w środku, na pewno wkrótce wyjdzie. Ich wspólny dobytek nie był jej nigdy tak obojętny, jak właśnie teraz, w tej chwili. Złodziej może zabrać wszystko, czego zapragnie, oby tylko jak najszybciej się wyniósł. Do cholery, co on robi w kuchni? Odgłosy świadczą o tym, że nocny gość zasiada przy stole. Elisa zastanawia się, czy przypadkiem któreś z dzieci nie przemknęło niezauważone. Nie, to niemożliwe.

Przerażona słyszy, że po drugiej stronie drzwi intruz wstaje teraz od stołu. Do głowy nie przychodzi jej nic innego, jak tylko znowu przyłożyć ucho do drzwi. Słysząc otwieranie i zamykanie szuflad, pobrzękiwanie sztućców, pewnie chodzi o noże. Cisza. Ale na krótko, bo właśnie otworzył drzwiczki od składziku. Jaki typ byłby zainteresowany konserwami, płatkami śniadaniowymi? Albo szczotką, zmiotką, ścierkami, wiaderkiem czy odkurzaczem? Ta wyliczanka jednak nie uspokaja Elisy. Czuje się jeszcze gorzej, bo wie, że ci, którzy zachowują się niewytłumaczalnie, są bardziej niebezpieczni od tych, którzy działają według schematów. Elisa odsuwa twarz od drzwi. Rozgląda się po pokoju. Telefon komórkowy powinien leżeć na ławie. Chyba że jednak zostawiła go w łazience. Dwa lata temu zrezygnowali z telefonu stacjonarnego i po raz pierwszy tego żałuje. Spogląda w kierunku przedpokoju, gorączkowo zastanawiając się, czy nie powinna wybiec i wołać o pomoc w nadziei, że sąsiedzi się obudzą. Ale wtedy dzieci zostałyby w domu same, z facetem, który prawdopodobnie wziął z kuchni nóż. Robi jeden krok w kierunku drzwi wyjściowych i zatrzymuje się, bo nie jest w stanie wybiec i zostawić dzieci na pastwę losu. Zamiast tego wraca korytarzem prowadzącym do sypialni. Jest już prawie u celu, gdy słyszy zasuwanie drzwiczek od składziku. W jednej sekundzie znajduje się na korytarzu i ostrożnie zamyka za sobą drzwi. Jest tak wystraszona, że nie ma odwagi sprawdzić, czy mężczyzna ją śledzi.

Czuje w głowie kompletny mętlik, kiedy tak w rozpacz szuka najlepszego sposobu na rozwiązanie tej sytuacji. Jak ma mu uciec? Przecież drzwi od sypialni nie można zamknąć na klucz. Gdy wprowadzali się do tego domu, brakowało większości kluczy, ale nigdy dotąd im to nie przeszkadzało. Można było zamknąć

się tylko w łazience, ten pomysł jednak wydał się jej równie beznadziejny, jak wybiegnięcie z domu. W obu przypadkach dzieci zostałyby same. Prześlizguje się do łazienki, by poszukać telefonu. Drżącymi rękoma otwiera szuflady i rozrzuca ręczniki. Nadaremnie, bo cholernej komórki nigdzie nie ma. Łzy napływają do jej oczu, gdy widzi cały ten bałagan. Niby kiedy ma to wszystko posprzątać? Tak jakby nie dość miała na głowie.

Elisa wraca na korytarz i zdaje sobie sprawę, że traci przytomność umysłu. Widzi, jak drzwi do korytarza się otwierają. Wydobywa z siebie dźwięk, który musi brzmieć jak cichy i łagodny pisk przestraszonego króliczka. Woli nie patrzeć, kto zmierza w jej kierunku, kiedy przez łazienkę wślizguje się do sypialni i zamyka za sobą drzwi. Słyszy kroki nieproszonego gościa i towarzyszące im odgłosy czegoś, co ciągnie się za nim po podłodze. Co to może być? Elisa czuje, jak serce łomocze jej w piersiach.

– Margrét?

Córki nigdzie nie ma.

– Margrét?

Jest na sobie zła, gdy głos się jej łamie, bo to znaczy, że odwaga zaczyna ją opuszczać. Nie może się zdecydować, czy najpierw szukać córki, czy też telefonu? Nim zdąży cokolwiek postanowić, drzwi za jej plecami się otwierają. Ktoś nieznajomy wchodzi do środka i się zatrzymuje. Teraz słyszy tylko hałas przeciągania przez próg jakiegoś przedmiotu. Nie jest w stanie się obrócić, ciało ma sparaliżowane, najchętniej z całej siły zacisnęłaby powieki. Odgłos za jej plecami wydaje się znajomy, ale nie potrafi określić, co go wydaje. Umysł pracujący na wysokich obrotach zamyka niestety te obszary, których potrzebuje w tej chwili najbardziej.

Oślupiała ze strachu słyszy, że ktoś za plecami wypowiada jej imię. Stłumionym głosem, jakby dobiegającym zza owiniętych szalem ust. Nie rozpoznaje go. Jak brzmi głos, kiedy się szepcze? Zupełnie inaczej niż zwykle? Nawet głos Margrét wydał się jej nieznajomy, gdy ta, szepcząc prosto do jej ucha, wyrwała ją ze snu. Wspomnienie tego ciepłego i słodkiego oddechu ustąpiło miejsca przerażeniu wywołanemu przez stłumiony głos nieznajomego. Kto to jest i czego chce? Musi ją znać, bo przecież wie, jak ma na imię. A może zobaczył je na pozostawionych w kuchni rachunkach? Albo na przypiętej do lodówki pocztówce od jej przyjaciółki

Gunny?

Elisa czuje, jak silna dłoń w rękawiczce zaciska się na jej szyi, a coś wywołuje ból na plecach. Nóż.

– Proszę – szepcze, a resztę wypowiada już tylko w myślach. Proszę, nie rób mi nic złego. Proszę, nie gwałć mnie. Proszę, nie zabijaj mnie. Proszę, proszę, proszę nie rób krzywdy moim dzieciom. Ostrze noża cofa się, pozostaje po nim tylko piekący ból. Zranił ją? Ucisk na szyi słabnie. Zaraz potem czuje, że postać zaczyna zaklejać jej oczy. Owija ciasno wokół głowy Elisy grubą i solidną taśmę klejącą. Raz za razem. Drżąc ze strachu Elisa uświadamia sobie, że nie da się tego ściągnąć bez wyrwania brwi i rzęs. Dlaczego myśli o tym właśnie teraz, zamiast tak jak niedawno, gdy była w łazience, martwić się o dzieci, ich bezpieczeństwo. Z jej oczu wypływają łzy, ale nie mają możliwości spłynąć dalej, a wilgoć rozpuszcza klej, który piecze pod powiekami.

– Proszę. Proszę. Nikomu nie powiem. Weź sobie, co chcesz. Wszystko. Weź wszystko.

– Nie. Dziękuję. – Słyszysz za plecami.

Pod Elisą uginają się kolana.

– Proszę. Zrób to. Weź sobie wszystko.

Ale on jeszcze raz owija ciasno taśmę wokół głowy. Elisa dygocze z przerażenia, gdy napastnik najpierw obcina końcówkę, a potem brutalnie przesuwając ręką wzdłuż jej karku, by taśma dobrze się przykleiła. Obraca ją i popycha na łóżko, po czym siada koło niej, a materac ugina się pod jego ciężarem. Elisa zwiesza głowę. Najpierw czuje delikatne głaskanie, po chwili jednak intruz chwytając ją brutalnie za włosy i przyciąga jej głowę do siebie.

Najpierw szepcze do ucha, potem zaczyna mówić trochę głośniej. Elisa i tak nie rozpoznaje głosu, który brzmi tak, jakby mówił przez maskę czy kominiarkę.

– Chcę ci opowiedzieć pewną krótką i smutną historię. Radzę posłuchać.

Elisa kiwa głową, rozumie. Intruz szarpie ją mocno za włosy. Dlaczego chce jej opowiedzieć historię? Czemu nie zapyta o PIN do karty lub o to, gdzie trzyma kosztowności? Wszystko by mu powiedziała. Mógłby zabrać karty bankowe z dostępem do ich kont, całe srebro po dziadkach. A nawet skromną kolekcję biżuterii, której się dorobiła przez lata. Wszystko, co ma. Nie będzie niczego ukrywać. Żeby tylko oszczędził ją i dzieci. Nic w tym momencie nie liczy się

bardziej na świecie. Z przyjemnością wyrwie sobie brwi i rzęsy, żeby tylko wreszcie poszedł.

Szlochając, pyta go, czy zamierza skrzywdzić dzieci. Nie słyszy jednak odpowiedzi, co wzmaga jej strach. Nawet historia, którą zaczął opowiadać, wydaje się nie mieć znaczenia. Siedzą w milczeniu, a Elisie serce wali tak, jakby chciało się wyrwać. Słyszy i czuje, że mężczyzna wstaje z łóżka. Przez chwilę ma nadzieję, że sobie pójdzie. Zostawi ją w spokoju. Boi się jednak nawet o tym pomyśleć. Musi być przygotowana na wszystko, bo w każdej chwili może ją ponownie zaatakować. W pokoju słychać szuranie jakiegoś przedmiotu po podłodze i krótkie kliknięcie jak przy wsadzaniu wtyczki do kontaktu, który znajduje się przy drzwiach. Przywołuje w myślach wszystkie znajdujące się w domu urządzenia elektryczne, które mogłyby wyrządzić krzywdę. Wiertarka, którą podarowała Sigvaldiemu na Boże Narodzenie, blender, nożyce ogrodnicze, jej lokówka, żelazko, toster, czajnik elektryczny. Które jest najgorsze? A które mniej groźne? Oddycha zbyt szybko i ma wrażenie, że zaraz zemdleje. Jednak przypomina sobie, że większość tego makabrycznego ekwipunku ma za krótki kabel, by dosięgnąć do łóżka. To poprawia jej nastrój. Niestety, na krótko.

Kiedy mężczyzna zbliża się ponownie do łóżka, Elisa traci panowanie nad sobą. Podejmuje próbę ucieczki z góry jednak skazaną na niepowodzenie. On widzi wszystko, ona nie widzi nic. Jest od niej większy i silniejszy. A jednak znów próbuje uciec, opada na łóżko i chce zsunąć się na podłogę, ale wtedy mężczyzna rzuca się na nią. Elisa leży na brzuchu, jedną rękę ma podwiniętą pod siebie, a druga zwisa już poza łóżkiem. Napastnik uderza ją w plecy tak mocno, że słychać chrzęst kości kręgosłupa i Elisa traci oddech. Mężczyzna siada na niej, by nie mogła się już ruszyć. Kiedy znów słyszy odgłos odwijania z rolki taśmy klejącej, w rozpaczy szuka na podłodze czegoś, czym mogłaby się obronić, ale niczego nie znajduje, mimo tego wciąż przebiera palcami pod łóżkiem, jak uciekający pająk, wierząc, że tym razem będzie miała więcej szczęścia. Niespodziewanie natrafia na coś znajomego i przez chwilę zaprzestaje poszukiwań. Szybko zdaje sobie sprawę, że to ciepły i miękki kłębuszek. Jeszcze zdąży przyłożyć palec do ust i powiedzieć „ciii”, zanim jej ręce zostaną brutalnie wykręcone na plecy i unieruchomione owiniętą wokół nadgarstków taśmą klejącą.

Mężczyzna podnosi ją i potrząsa całym jej ciałem, a wtedy Elisa czuje, jak jej

mózg obija się o sklepienie czaszki. Wszystko spowija czerń, co nie ma związku z taśmą zasłaniającą oczy. Uszy także wydają się nie słyszeć, bo hałas, który jeszcze przed chwilą do niej docierał, zanika, lecz po kilku sekundach powraca, gdy mężczyzna zaczyna opowiadać historię, którą jej wcześniej obiecał. Ogarnia ją groza.

Po skończonej opowieści napastnik podnosi się z łóżka, przewraca jej ciało na plecy i przyciska kolanem klatkę piersiową, tak na wszelki wypadek, by nie próbowała znowu uciekać. Ponownie w ruch idzie taśma. Okręca ją jeszcze mocniej, raz za razem, wokół uszu i nosa. W uszach jej trzeszczy, a nos boli straszliwie, za to słabnie napór na klatkę piersiową. Słyszy przez taśmę klejącą niesprecyzowane dźwięki, ale już po chwili rozpoznaje, co to za urządzenie. W życiu nie przysłoby jej do głowy, że może być niebezpieczne. Kiedy jednak mężczyzna zbliży się do niej, zda sobie sprawę, jak bardzo się myliła.

Rozdział 2

Helgi był już spóźniony. W nocy nie mógł spać. Budził się parokrotnie z powodu dziwnych dźwięków, które znikwały, kiedy przez chwilę posiedział na łóżku. W końcu zasnął tak twardo, że z tego snu nic nie było w stanie go wyrwać. Czterokrotnie przestawiał budzik w telefonie. Za piątym razem komórka nie dała za wygraną i nie chciała przestać wyć.

Dzisiaj w pracy miał przewodniczyć naradzie, która zapewne nie należała do przełomowych w jego karierze zawodowej, ale była dość ważna. Pracował dla firmy zajmującej się ochroną mienia. Na giełdzie ogłoszono właśnie przetarg na sprzątanie i ochronę mienia dużego domu opieki społecznej. Na naradzie musieli dopracować projekt, bo czas składania dokumentów mijał w południe. Jeszcze wczoraj wieczorem, dla pewności, przeglądał z trudem przez siebie napisany tekst. Teraz wszystkie kartki były pokreślone od góry do dołu.

Dreszcz przeszył ciało Helgiego, gdy wychodząc, zawołał z przedpokoju do żony:

– Na razie!

Védís nie musiała w piątki wstawać przed dziesiątą. W liceum, w którym uczyła duńskiego, dyrekcja uznała pewnie za nierozsądne, aby uczniowie z samego rana ostatniego dnia tygodnia musieli zmagać się z nauką języka obcego. Drzwi zatrzasnęły się szybko, nie zostawiając Védís choćby cienia szansy na odpowiedź. Helgi i tak nie miałby czasu czekać, aż wygrzebie się z łóżka i w kapciach przydrepcze, by go ucałować na pożegnanie. W czasie krótkiego sprintu do samochodu mocno trzymał przy sobie plik kartek. Odprężył się dopiero wtedy, gdy leżały już bezpiecznie na siedzeniu pasażera. Jeśli na ulicach nie będzie dużego ruchu, pomyślał, powinien zdążyć do pracy.

Silnik przyjaźnie zaterkotał i kiedy koła samochodu ruszały powoli z miejsca, odetchnął z ulgą. Wszystko będzie dobrze. Nie zdążył jednak całkiem wyjechać z podjazdu, gdy nagle musiał ostro zahamować. Przed nim na samym środku ulicy stali Stefan i Bárður, chłopcy z sąsiedniego domu. Helgi musiał pochylić się do przodu, by dostrzec, że są jedynie w piżamach i na bosaka. Na zewnątrz było zero

stopni, wiał silny wiatr. Gdzie są ich rodzice? Co oni sobie myślą? Chłopcy stali skuleni, wpatrując się w niego bezradnie. Jak dwa pokurcze. To chyba pieprzony żart, pomyślał. Dlaczego akurat jemu musiało się to przydarzyć. Cholera, nie dzisiaj. Spojrzał w kierunku domu sąsiadów z nadzieją, że ujrzy biegnącego Sigvaldiego lub Elisę. Ale drzwi wejściowe były zamknięte. Żadnego ruchu. Oba samochody stały zaparkowane na swoich miejscach. Musieli być w domu. Może i oni mieli ciężką noc, a teraz zaspali?

Helgi zastanawiał się, czy po prostu zręcznie nie wyminąć dzieci i pojechać dalej, następnie zadzwonić do Védís i poprosić, by zajęła się sprawą. Powiedziałyby, że chyba widział ich we wstecznym lusterku, ale tak do końca nie jest tego pewien. Nagle młodszy z rodzeństwa zaczął głośno płakać. Cholera, przecież nie może zostawić płaczącego dziecka. A jednak od dzisiejszej narady w pracy zależeć będzie tak wiele. Interesy w firmie nie szły ostatnimi czasy dobrze. Wiadomo było, że szykują się zwolnienia, jeśli nie uda się pozyskać nowych, poważnych kontrahentów. Jeśli zaprzepaści daną mu szansę, to bez wątpienia wyleci jako pierwszy.

Skręcił w prawo. Ostrożnie przejechał obok chłopców. Ci ze zdziwieniem wlepiali w niego wzrok, a młodszy przestał nawet płakać. Ruszył z miejsca najszybciej jak się dało. Byli na tyle mali, by dalej wierzyć, że dorośli są zawsze dobrzy. Ma się rozumieć, z pominięciem tych wszystkich niedobrych typów, którzy akurat nie wyglądali tak jak on. Był przecież zwykłym, miłym panem z sąsiedztwa. Widać musieli się jeszcze wiele nauczyć.

Kiedy ich minął, wcisnął pedał gazu, a potem zatelefonował do żony.

Policjant wyglądał tak, jakby w życiu miewał lepsze dni. Bez przerwy wzdychał i posapywał. Był stary i doświadczył niejednego. Pasma popękanych żyłek wokół nosa sprawiało wrażenie, że ciągle jest zaczerwieniony. Wraz ze swoim kolegą pojawił się jako pierwszy na miejscu zdarzenia, zaraz po otrzymaniu zgłoszenia od kobiety, która poprosiła policję o pomoc. Miała u siebie w domu dzieci sąsiadów i pragnęła przekazać je we właściwe ręce. Jak wynikało z opisu sytuacji, nie było powodu, żeby wzywać posiłki. Wszystko wskazywało, że rodzice zaspali, a maluchy zatrzasnęły drzwi i zostały na zewnątrz. Ta hipoteza jednak nie

potwierdziła się i właśnie to próbował wytłumaczyć nowo przybyłym z wydziału śledczego. Jego młodszy kolega, pracował w policji dopiero od miesiąca, był już w drodze powrotnej na posterunek. W powietrzu unosił się zapach wymiocin, które zostawił po sobie na schodach przed domem.

– Kobieta poszła z chłopcami do ich domu, dzwoniła parokrotnie i pukała do drzwi wejściowych. Dobijając się, słyszała wyraźnie dźwięk dzwonka, ale wydawał się jej za słaby, by obudzić domowników. A ponieważ widziała dwa samochody zaparkowane na podjeździe, była przekonana, że małżeństwo smacznie śpi. – Policjant oparł ręce na szerokich biodrach i pokiwał głową. – Ale to w ogóle nie było tak. Chłopcy o niczym nie wiedzieli. Gdy się obudzili, nie mogli wyjść z zamkniętego na klucz pokoju, więc wydostali się przez okno, bo domyślili się, że i tak im nikt nie otworzy.

– Proszę mówić dalej. – Śledczy Huldar stał w sporej odległości od swojego kolegi, tak aby nie wzbudzać podejrzeń. Odór ulatniający się z jego ust nie pozostawiał wątpliwości, że starszy policjant zjadł na śniadanie dużo czosnku. Gdyby nie kretańskie przepisy dotyczące zabezpieczenia miejsca zdarzenia, najchętniej otworzyłyby okno w przedsionku. Ale i tak nie było żadnej pewności, że by pomogło. Zadał już o to ten młodszy policjant, który zwiął.

Przez okno śledczy obserwował bacznie Ríkharðura, najbliższego ze swoich współpracowników, który łąpał się wciąż za nos, jakby chciał go zatkać. Próbował powstrzymać ten odruch, co było mądre z jego strony, bo przecież reszta zespołu miała i tak dość powodów, żeby się na niego boczyć. Huldar patrzył na Ríkharðura idącego ostrożnie po suchych liściach i grzebiącego patykami w poszukiwaniu śladów. Kolejny raz zdziwił się, dlaczego ów człowiek zatrudnił się w policji.

Ríkharður lepiej pasowałby do pracy w ministerstwie. Nie łąziłby jak teraz do połowy zanurzony w chaszczach wokół miejsca zbrodni. Jego garnitur i trochę za długi płaszcz kompletnie się do tego nie nadawały. Taki styl był do zaakceptowania raczej w komisariacie, choć też nie do końca. No i te jego przesadnie wypielęgnowane dłonie, idealna fryzura, jak gdyby włosy nigdy mu nie odrastały. Mimo że policja kładła duży nacisk na schludny wygląd pracowników, na przykład nie wolno było farbować włosów ani brody na pomarańczowo, Ríkharður pozostawał ewenementem. Prawdopodobnie miało to związek z jego

pochodzeniem. Jako syn pary sędziów studiował prawo. Tyle że nie skończył ostatniego roku i zapisał się do szkoły policyjnej. Mówił, że miał potrzebę całkowitej zmiany w życiu i że kiedyś studia skończy. Bliżej nie określił, w jakim czasie. Nie wyglądało jednak na to, żeby szykował się do odejścia, chociaż musiał znosić krzywe spojrzenia i niezliczone plotki na swój temat.

W sytuacjach jak ta wybierał zadania, które nie były związane bezpośrednio z przemocą. I dlatego teraz zbyt lekko ubrany przeszukiwał ogród. Huldar nie zdziwiłby się, gdyby nagle wyciągnął wilgotną szmatkę, by zetrzeć z siebie cały ten brud.

Niemniej jednak trochę wyhamował ze swoim pedantycznym wyglądem. Przyszedł rano do pracy z kawałeczkiem papieru toaletowego przyklejonym do szyi. Gdyby ktoś inny z pracy zaciął się przy goleniu, nikt by nie zauważył, to odstępstwo od pedanterii sprawiło jednak, że aż uniósł brwi ze zdziwienia.

W oczy rzucało się, że życie osobiste Ríkharðura było ruiną. Żona opuściła go wkrótce po tym, jak po raz trzeci poroniła, a po idealnym związku pozostały zgliszcza. Oczywiście w takiej sytuacji każdy by się załamał i Ríkharður nie był tu wyjątkiem. Można było przypuszczać, że właśnie przekroczył granicę wytrzymałości i na kryształowym wizerunku zaczęły pojawiać się rysy. Wcale jednak nie musiało tak być, bo w końcu przeżył już parę kryzysów i się nie poddał. Prawdopodobnie i teraz tak będzie. Trzykrotnie z dumą oznajmiał kolegom z pracy, że zostanie ojcem, by nieco później, ale już po cichu, mówić Huldarowi, że żona poroniła. Dwukrotnie współczuł nieszczęśnikowi z całego serca, lecz za trzecim razem czuł już tylko ulgę.

Gdy tak obserwował go z daleka, patyczkiem czyszczącego podeszwy butów z liści, Huldar przywołał w wyobraźni obraz byłej żony Ríkharðura, wyglądającej tak samo perfekcyjnie. Śledczy zaczerwienił się lekko na myśl o niej, po czym znów odwrócił się do zionącego czosnkiem rozmówcy.

– Poszliśmy więc tam, jak mówiłem, gdy już porozmawialiśmy z sąsiadką i próbowaliśmy obudzić domowników. Ale nikt nam nie otworzył i nie było słyhać żadnych odgłosów. Gdy Dori czekał przed drzwiami, zrobiłem rundę wokół domu i zaglądałem do środka przez te okna, które były odsłonięte. Nie zauważyłem niczego niepokojącego. Tym bardziej żadnych ludzi. I byłem tym zawiedziony. Tylko okna w sypialni małżonków były zasłonięte i nie mogłem

wykluczyć, że leżą tam nieprzytomni. Zacząłem coś podejrzewać, bo nikt się nie odezwał po tym, jak waliłem w szyby. Okno od pokoju chłopców było otwarte, na pewno właśnie przez nie wychodzili, ale ani ja, ani Dori nie dalibyśmy rady się precisnąć.

– Tak, rozumiem. – Huldar nie podnosił wzroku znad notesu. – I co dalej?

Starszy mężczyzna poruszył brwiami w taki sposób, w jaki zwykle robi to człowiek, który samemu sobie chce udowodnić, że jego opis jest prawidłowy.

– Dzwoniliśmy na komórki zarejestrowane na ten adres, bo jak widać nie mają telefonu stacjonarnego. Jeden numer należy do Elisy Bjarnadóttir, a drugi do Sigvaldiego Freysteinsona. Żadne z nich nie odpowiadało. U Sigvaldiego włączyła się od razu automatyczna sekretarka, a Elisa nie odbierała. Spróbowałem jeszcze raz zadzwonić, mając nadzieję, że usłyszę dzwonek telefonu przez szybę w sypialni. Po tym już wiedziałem, że kiepsko to wygląda, bo ludzie przeważnie są w tym samym miejscu, co ich komórki. Czy nie mam racji? – Huldar nie odpowiedział, więc mężczyzna kontynuował sprawozdanie: – W tym momencie przypuszczałem, że jeden z samochodów się popsuł i jedno z nich pojechało do pracy taksówką, a drugie zostało w domu i zasnęło. Przyszło mi do głowy tylko to, że telefon tego, które zostało w domu, jest wyładowany i nie miał go kto obudzić. Lub że coś się jej lub jemu stało pod prysznicem. Przewrócił się z komórką w rękę lub coś w tym stylu.

– Tak, rozumiem. – Huldar przerwał dziwne rozważania na temat tego, kto i z czym telefonem poszedł pod prysznic i dlaczego w telefonie kobiety, jeśli był wyładowany lub popsuty, nie włączyła się automatyczna sekretarka.

– Potem sąsiadka przypomniała sobie o córce, która też miała być w domu, więc uznałem za możliwe, że to ona pojechała taksówką, prawdopodobnie do szkoły. Dziewczynki w środku nie było, jej łóżko było puste, a jak wołaliśmy ją po imieniu, nikt nie odpowiadał.

Wystarczyłby jeden telefon do szkoły, by przekonać się, czy jej tam nie ma. Natychmiast nakazaliby poszukiwania. Część ekipy, która przybyła na miejsce zdarzenia, przeczesywała dzielnicę, licząc, że tak jak jej bracia dziewczynka uciekła z domu. Przede wszystkim to należało ustalić. Huldar starał się nie myśleć o innych możliwych scenariuszach.

– Im dłużej dobijaliśmy się do drzwi, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że

wewnątrz nie ma nikogo – mówił dalej mężczyzna. – Coraz bardziej skłaniałem się ku wersji, że dziewczynka pojechała z jednym z rodziców, a drugiemu, który został w domu, coś się przydarzyło. Nie mogłem sobie wyobrazić, że ktoś mógłby spać spokojnie po naszym dobijaniu się do drzwi i okien. To nie pasowało do sytuacji.

– I wtedy zdecydowaliście o wkroczeniu do mieszkania?

– Tak. Ja o tym zdecydowałem. W tym momencie podejrzewałem, że któreś z nich, kobieta albo mężczyzna, leży nieprzytomne. Lub coś jeszcze gorszego. Prawdę mówiąc: podejrzewałem samobójstwo. Ale nie spodziewałem się tego, co zastałem.

Mężczyzna znowu zaczął ciężko oddychać. Huldar po raz kolejny odchylił się, kiedy czosnkowa woń na nowo buchnęła mu prosto w twarz. Kusilo go, by zaproponować mu gumę Nicorette, którą nosił zawsze w kieszeni, próbując z jej pomocą rzucić palenie.

– Nie, nikt nie przypuszczał, że to może być tak przerażające.

Nie chciało mu się zwracać posterunkowemu uwagi, że nie zatelefonował do miejsc pracy tych ludzi, zanim jeszcze zaczął wysnuwać swoje podejrzenia. Wystarczyłby jeden telefon do szpitala, żeby się zorientować, że małżonek przebywał na konferencji za granicą. Poszukiwania dziewczynki wszczęto by o wiele wcześniej.

– W czasie, kiedy Dori czekał na ślusarza, poszedłem do sąsiadki. Nie była zbyt zadowolona, tylko zaciekawiona, więc zasypywała mnie pytaniami. Zbywałem ją, nie powiedziałem nic o moich podejrzeniach. Przecież siedzieli tam obaj chłopcy i jedli płatki śniadaniowe. – Opowiedział, jak patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami znad talerzy i jak byli dezorientowani, gdy ich potem odwożono policyjnym wozem. Miał ochotę zakneblować wścibską sąsiadkę, która nie przestawała bombardować go pytaniami nawet wtedy, kiedy funkcjonariusze odprowadzali dzieci. Koniecznie chciała się dowiedzieć, o co chodzi, a to jeszcze bardziej wzbudzało w nich strach. Na koniec nakazano jej powrót do domu. Teraz pewnie sterczy w oknie salonu. Niewykluczone, że z zaciekawieniem śledzi każdy ruch Ríkharðura, nie zdając sobie sprawy, że to policjant. – Po tym jak ślusarz otworzył drzwi i jeszcze zanim weszliśmy do środka, zawołałem, ale nikt nie odpowiedział. Pukałem do drzwi od korytarza. Były zamknięte, tak samo jak drzwi do sypialni.

– Włożyłeś rękawiczki?

Mężczyzna momentalnie poczerwieniał.

– Nie. – Należałoby go pochwalić za to, że nie próbował nawet przeproszać.

– Mamy w kartotekach odciski palców twoje i twojego kolegi Doriego?

– Oczywiście. Moje na pewno są. Nie mogę odpowiadać za Doriego. Ale mieli mu pobrać, jak go przyjmowali do pracy.

– Super. – Huldar podniósł wzrok znad notatnika. – Co zrobiliście po tym, jak otworzyliście i zobaczyliście, co się stało? Dotykaliście czegoś?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. Dori zasłonił ręką usta i wybiegł przez korytarz na zewnątrz. Podeszedłem do kobiety, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, chociaż wydawało mi się raczej pewne, że nie. Wtedy zadzwoniłem na posterunek.

– Sprawdziłeś puls?

– Tak.

– Gdzie?

– Na szyi. Nie znalazłem. Była też zimna, kiedy jej dotknąłem. Stwierdziłem, że nie żyje. W zasadzie było to jasne. Nie musiałem sprawdzać pulsu, zrobiłem to tylko ze starego nawyku. Jeśli można tak to ująć.

– Dotykałeś ciała w innych miejscach?

Policjant zaczerwienił się ponownie. Tym razem rumieniec oblał mu nawet szyję.

– Tak.

– Musisz teraz tam wejść i pokazać lekarzowi sądowemu te miejsca. Będzie szukał odcisków palców. – Huldar zamknął energicznie notatnik. – Chodź ze mną.

Weszli razem do sypialni. Gdy przerażający odór uderzył w ich nozdrza, Huldar zateśknił za wonią czosnku.

Elisa leżała w poprzek łóżka małżeńskiego, z głową owiniętą srebrną taśmą klejącą tak, że nie było widać oczu, uszu ani nosa. Znad srebrnego kokonu wystawał kawałek czoła i sztywne jak druty, sterczące włosy. To, co najbardziej przyciągało uwagę, wyglądało jak rodzaj umocnienia wokół ust albo jak ptasi dziób. Ta sama taśma posłużyła do tego, by przytrzymać stalową końcówkę rury od odkurzacza wepchniętą przez usta wprost do jej gardła. Rura wiła się jak wąż boa wzdłuż tylnej części łóżka, aż do samego elektroluksa. Stało się jasne, dlaczego

młody policjant nie wytrzymał widoku.

Kobieta nie miała spokojnej śmierci. Na szczęście pod grubą, błyszczącą, srebrzystą taśmą nie widać było twarzy. Być może zastygłej w straszliwym śmiertelnym grymasie.

Lekarz sądowy pochylał się nad ciałem kobiety. Dopiero co przybył i nie zdążył przebrać się w kombinezon ochronny, który zawsze zakładał w sytuacjach tego typu. W rogu stał jego asystent. Dokręcał obiektyw aparatu fotograficznego.

Lekarz znacząco kiwał głową.

– Oj, niedobrze, niedobrze.

– No, niedobrze. – Huldar nie miał nic więcej do powiedzenia. Przesunął się nieznacznie tak, by przez półotwarte drzwi widać było starszego policjanta. – On był tu pierwszy. Na szyi denatki są jego odciski palców. Dotykał jej. Sprawdzał temperaturę ciała. Chciałbyś, żeby ci pokazał gdzie?

– Nie. Nie teraz. I nie chcę tu nikogo więcej, dopóki nie skończymy oględzin. Tamto może poczekać. Ty też powinieneś wyjść do przedpokoju.

Nie zastanawiając się dłużej, Huldar posłusznie wykonał polecenie, a jednocześnie przeklinał w duchu samego siebie za lekkomyślność. Nie był wcale lepszy od starego policjanta. No, może tylko nie śmierdziało mu z ust. Podczas gdy patolog sądowy ubierał się w kombinezon, jego asystent zaczął fotografować ciało Elisy ze wszystkich stron. Przeszywające światło lampy błyskowej drażniło oczy, ale po chwili można było przyzwyczać się do niego. Następnie zabrał się do robienia zdjęć reszty pokoju, a gdy obfotografował ściany i podłogę, na krótką chwilę zniknął za łóżkiem. Schylił się, by zrobić pod nim zdjęcie. Jednak momentalnie się wyprostował. Stał na równe nogi blady jak trup.

– *Shit!* Tam jest dziecko.

Zapominając o poleceniu medyka sądowego, Huldar wpadł do pokoju. Podciągnął do góry białe lambrekin zwisający z materaca aż do samej ziemi. Pod łóżkiem leżała zwinięta w kłębek, ubrana w nocną koszulę mała dziewczynka. Wtulała głowę w pierś, rękoma zatykała uszy. Huldar odetchnął z ulgą, kiedy drobne ciało się poruszyło. Musiała to być córka Elisy i Sigvaldiego, której tak gorączkowo szukano. Podczas zabezpieczania śladów nikt nie wpadł na to, by przeszukać samo miejsce zbrodni. Kto by pomyślał, że dziecko nie wyjdzie z ukrycia nawet wtedy, kiedy policjanci wkroczą do domu i będą wołać jej imię.

Huldar nie miał czasu odpowiedzieć koledze, który krzyczał do niego z korytarza.

– Musisz zobaczyć, co znaleźliśmy w kuchni.

Nie wyobrażał sobie, że mogło być coś ważniejszego od tego, co właśnie zobaczył pod łóżkiem. Kuchnia będzie musiała poczekać.

Rozdział 3

W okienko sutereny uderzała zagubiona mucha. Traciła siły, a jej cichutkie bzyczenie i coraz słabsze dudnienie w szybkę nie pozostawiały wątpliwości, że walka jest w zasadzie przegrana. Trudno powiedzieć, czego mucha pragnęła tak bardzo, że gotowa była zapłacić najwyższą cenę. W okolonych wyschniętymi krzewami ogrodach wszystko bowiem przykrywał śnieg. Kompletnie nieprzyjazne środowisko dla małej muszki. W suterenie było ciepło, a ona próbowała się wydostać, nie zwracając uwagi na inne martwe muchy leżące na zakurzonej parapecie. One poddały się dawno temu. Chyba nadszedł czas, by zetrzeć kurze. Karl jednak wolał poczekać, aż mucha dołączy do grona zeszywniałych koleżanek, bo inaczej musiałby powtarzać czynność. Nie cierpiał odkurzać.

Karlowi ciężko było przyzwyczać się do panującej w domu ciszy. Kiedyś nie zwróciłby uwagi na bzyczenie jakiejś muchy. Spojrzał w górę i badał wzrokiem poźółkły sufit. Z piętra wyżej nie dochodziły jednak żadne odgłosy. Jakże często marzył o tym, by móc siedzieć w całkowitej ciszy i delektować się słuchaniem tego, czego chciał słuchać. Bez ciągłych dźwięków docierających z góry, bez konieczności zakładania ogromnych słuchawek, które doprowadzały do bólu bębenków. Teraz nie przeszkadzało mu już nic oprócz muchy, a więc wszystko wyglądało tak, jak sobie wymarzył. Dziwiło go jednak, że nie czuje satysfakcji, jakiej się spodziewał. Żadnych wybuchów radości ani fajerwerków czy choćby wyrazu zadowolenia na twarzy. Potrafił to jednak wytłumaczyć. Jego marzenia spełniały się bardzo rzadko, a jeśli już, to smakowały jak zwietrzała coca-cola. Tym razem rozczarowanie było jeszcze większe, bo swoje pragnienia pielęgnował od niepamiętnych czasów.

Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy jako nastolatek połąkł radioamatorskiego bakcyła. Na początku samodzielnie zmontował prostą radiostację CB do nadawania w paśmie dwudziestu siedmiu megaherców. Zwyczajne drzwi pokoju, który zajmował, nie wystarczały, by odgrodzić się od życia toczącego się po ich drugiej stronie. Równie dobrze mógł zawiesić na futrynie zwykłe prześcieradło. Matka, która ubzduriała sobie, że brak kontaktu z otoczeniem jest niebezpieczny, zabraniała

mu używania słuchawek i tym samym uniemożliwiła zamianę przeszkadzania na spokój, choćby i okupiony bólem uszu. Potem robiła mu wykłady na temat pożarów i tym podobnych katastrof przydarzających się w domu oraz tego, że przez słuchawki nie dotarłby do niego żaden podejrzany dźwięk. Z lubością opowiadała o włamywaczu, który mógłby przyjść i ją z zimną krwią zamordować, a on, Karl, nie usłyszałby nawet wołania o pomoc. Jednak żadna z tych apokaliptycznych wizji się nie ziściła. Nie licząc włamania w połowie listopada. Łupem złodzieja padła nadpita butelka koniaku oraz drobniaki z miseczki stojącej na komodzie w przedpokoju. Karla ani matki nie było wtedy w domu, dlatego też żadne z nich nie miało szansy dowiedzieć się, czy przy tej okazji włamywacz zamierzał któreś z nich zamordować.

Kiedy starszy brat wyprowadził się z domu, Karl mógł zająć po nim sutereneń. Początkowe zainteresowanie krótkofalarstwem przerodziło się w prawdziwą pasję, wciąż więc przybywało mu radiostacji i zajmowały dużo więcej miejsca niż stare urządzenie, które miał jako nastolatek. Nauczył się alfabetu Morse'a, zdał egzamin i jako początkujący nabył prawo do nadawania zakodowanych wiadomości. Potem były dalsze egzaminy, aż do licencji klasy G. A to oznaczało, że mógł teraz nadawać z większą mocą. Jego mały pokój był po brzegi wypełniony radiostacjami, książkami i poradnikami dla radioamatorów, przeprowadzka stała się więc swego rodzaju wybawieniem. Mógł uczyć się spokojnie i być po prostu sam. I chociaż w suterenie czuł się o wiele lepiej, bardzo denerwowało go to, co działo się w dalszym ciągu na górze. Nie do wiary, ile hałasu mogła wytwarzać wokół siebie jedna osoba. Arnara nie było w ogóle słyhać, bo przeważnie siedział naburmuszony i milczący z nosem w książkach. Co innego ich matka, zawsze w ruchu, miotająca się od pokoju do pokoju. A to coś musiała przynieść, a to coś powinna zrobić. Jeśli się nie przemieszczała, to tylko dlatego, że rozmawiała przez telefon. Ale i tak była głośno.

W zasadzie matce nie towarzyszyły szczególnie donośne dźwięki. Jakieś skrzypienie podłogi, pobrzękiwanie naczyń zmywanych w zlewie, bo zmywarę oszczędzała. Stare islandzkie przeboje, za którymi nikt już nie tęsknił, metaliczny chrzęst drutów, ponieważ dziergała swetry, w których i tak nikt nie chciał chodzić. Wreszcie jej w kółko powtarzane pytania, kierowane w stronę schodów. Czy nie jest głodny albo czy nie chciałby się czegoś napić? To denerwowało go najbardziej.

Miał ponad dwadzieścia lat i nic nie wskazywało, że chciałby umrzeć z głodu czy odwodnienia. Ale nie można było nie zauważyć, że teraz bardzo schudł. Jadał nieregularnie i za mało od dnia, kiedy wyjadł do końca resztki ze stypy. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał zainwestować w nowy pasek do spodni. Zapinał się już na ostatnią dziurkę, a spodnie i tak zsuwały się z bioder, niczym te, które ledwie wisiały na tyłkach małych dzieci całymi wieczorami urzędujących pod osiedlowym sklepikiem. Pierwszy raz w życiu wyglądał czadersko, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

Bzyczenie muchy ustało i teraz słyszał jedynie swój oddech. Miał wrażenie, że gdyby wsłuchał się bardziej, usłyszałby bicie własnego serca. Znowu dziwił się samemu sobie, że tak mało przyjemności sprawiała mu cisza, której od lat pragnął. W gruncie rzeczy tęsknił za odgłosami towarzyszącymi matce. Chyba że gryzło go sumienie. Matka odeszła nagle, choć na dobrą sprawę całe jej życie było przygotowywaniem się na śmierć. Zmarła trzy miesiące temu, na krótko przed swoimi siedemdziesiątymi urodzinami. Chciała je uczcić kawą i ciastem i od dawna planowała przyjęcie, ale Karl nie był tym zbytnio zaaferowany. Gdyby umiał przewidywać przyszłość, może potrafiłby okazać choć minimum zainteresowania przepisami na ciasta, które wycinała z kolorowych czasopism. I może wtedy zauważyłby, że coś z nią było nie w porządku. Już od jakiegoś czasu nie czuła się zbyt dobrze, ale nie aż tak źle, żeby bić na alarm, do lekarza poszła jednak dopiero wtedy, gdy pewnego dnia nie miała siły utrzymać się na nogach. Lekarz wysłał ją na dalsze badania, z których wróciła z wyrokiem, bo w jej ciele zagnieździł się złośliwy nowotwór. Próbowwała być dzielna, ale i tak na koniec musiała iść do szpitala, gdzie w czasie adwentu umarła.

Samotnie leżąc w zimnej szpitalnej sali, pożegnała się ze światem właśnie wtedy, kiedy Karl zaczął się oswajać z nową sytuacją. Gdyby rak tak szybko jej nie zniszczył, Karl miałby szansę stać się dla niej lepszy. Mógłby odwiedzać ją częściej, przynosić więcej czekoladek i kwiatów. Nie wstydziłby się koszarnej wiązanki, którą przed jednymi z ostatnich odwiedzin kupił naprędce przy kasie w supermarkecie. Też przecież nie chciałby umierać z takim wiechciem przed oczami.

Trzeba jednak przyznać, że względnie wywiązał się z obowiązków. Na pewno lepiej niż Arnar, który nawet nie przyleciał z zagranicy, by być przy matce, gdy ta

umierała. Karl musiał troszczyć się o nią zupełnie sam. Pozałatwić to, co w jej mniemaniu załatwić należało, pooddawać nieistotne przedmioty, które tu i ówdzie pożyczyła, powysyłać listy pożegnalne i określić ich sytuację finansową, aby mogła wstępnie oszacować koszty stypy. Wszystko robił bez zbytniego zaangażowania, noga za nogą wlokąc się na pocztę z każdym kolejnym listem. Pukał od drzwi do drzwi, zwracając ludziom naczynia, książki, płyty DVD. Wszyscy patrzyli na niego z zakłopotaniem. Karl zorientował się, że matka chciała w ten sposób uprzedzić rodzinę i przyjaciół, że umiera, unikając mówienia o tym wprost. Myślał wtedy, że wysyła im coś w rodzaju nienachalnego zaproszenia, i strasznie go to denerwowało. Powinien był jednak bardziej się starać, przecież go o to poprosiła.

Byłoby o niebo lepiej, gdyby w ciągu tych paru tygodni potrafił wczuć się w jej położenie. Bez szemrania pozałatwiać sprawy, a resztę drogiego czasu spędzić przy szpitalnym łóżku. Odwiedzających i tak nie przybyło, choć pukał do wielu drzwi.

Z drugiej strony nie miał pewności, czy zachowałby się lepiej, gdyby miał na wszystko więcej czasu. O czym miałby z nią rozmawiać i za pomocą jakich słów mógłby wyjaśnić, że tak naprawdę ją kochał, chociaż latami nie dawał jej tego odczuć? Czy nie patrzyłaby na niego z niedowierzaniem, wracając pamięcią do chwil, kiedy się jej wstydził i nie chciał, by go z nią widywano?

Dopóki nie skończył pięciu lat, był przekonany, że jego życie nie różni się od tego, jakie wiodła większość jego rówieśników. Matka nie wydawała mu się wtedy za stara i nie przejmował się tym, że do idealnego obrazu rodziny brakowało ojca. Ale w pierwszej klasie spadła mu na głowę lodowata, słona fala. Zaczęło się od niewinnego pytania, czy to jego babcia, i szyderczego śmiechu, kiedy zaprzeczył. Dostyc szybko przerodziło się to w dokuczanie i uszczypliwe komentowanie wieku jego mamy, no i braku ojca. Słowa dzieci wypalały w sercu rany, które nigdy się nie zabiły, bo wciąż je rozdrapywano. Dziwne, że kolegom nie wpadło do głowy, iż dotykając go do żywego, tylko oni dobrze się bawią. Właśnie chęcią zabawienia się Karl tłumaczył sobie ich zachowanie.

Trudno pojąć, jak jedno zdarzenie może naznaczyć ludzki los i ukształtować drogę, którą się podąża, bo nie można przecież uciec od życia, tak jak pędzący pociąg nie może zboczyć z torów. Dziecięce docinki w pierwszym dniu szkoły tak naznaczyły późniejsze relacje Karla z ludźmi, że nie był nigdy jakoś szczególnie

lubiany. Jako dziecko wyraźnie wyczuwał obojętność ze strony rówieśników. Nie tyle go prześladowano, ile dla tych, którzy mu dokuczali, stanowił nic nieznaczącą osobę. Szkolne czasy minęły mu więc szybko, bo koledzy właściwie go ignorowali. W sumie był im za to wdzięczny. Osiem lat wcześniej to samo przechodził Arnar, ale nie miał dla młodszego brata żadnych dobrych rad. Lub miał gdzieś dzielenie się nimi. Byli jak ulepieni z innej gliny, bo Arnar nawet nie starał się być przezroczystry, tylko chodził z wysoko podniesioną głową niczym księżę pan. W zasadzie bez konkretnego powodu, co zapewne denerwowało dzieci, ale nie dręczyły go. Dlatego też większość z nich nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Karl podejrzewał, że szkolni koledzy wiedzieli o Arnarze to, co on sam uświadomił sobie dopiero po latach. Nie był zwyczajnym człowiekiem, a takiego lepiej zostawić w spokoju. Taki stan rzeczy bardzo im obu odpowiadał. Zresztą Arnar miał ograniczoną potrzebę kontaktów z ludźmi, a Karl nie tęsknił za jego ponurym towarzystwem.

Jego życie nie zmieniło się nawet wtedy, gdy poszedł do liceum i zmienił środowisko, jakby jego przeznaczeniem miały być zawsze te same zmory. Poznał niewielu kolegów i nie brał udziału w życiu towarzyskim, bo strach przed pójściem gdziekolwiek w pojedynkę i przed narażeniem się na obstrzał wielu oczu paraliżował go, siedział więc w domu. Nie wykorzystywał dobrze czasu, którym, nie mając przyjaciół, dysponował przecież w nadmiarze. Maturę zdał średnio. Sporo brakowało mu, żeby dorównać bratu w ocenach. Później przebumelował cały rok, nie pojechał nawet na wycieczkę pomaturalną do Azji, co zrobiła większość klasy, tylko siedział beczynnym w domu. Udawał, że oddaje się rozmyślaniu na temat tego, co chciałby robić w przyszłości. I kiedy dłużej już nie mógł usprawiedliwiać przed matką swojego lenistwa, zaczął studiować chemię. Po raz trzeci w życiu odgrywał rolę autsajdera. Nie wychodził z domu, nie miał dziewczyny, niewielu kolegów z roku zaliczał do grona znajomych. Garstka ludzi, z którymi się kontaktował, była czymś pomiędzy. Niby kumple, ale w sumie obcy. Miał tylko dwóch kolegów: Halliego i Börkura. Nie żeby mu jakoś szczególnie odpowiadali, po prostu wziął, co się trafiło.

Ograniczone potrzeby komunikowania się z innymi zaspokajał za pośrednictwem urządzeń nadawczo-odbiorczych. Ów rodzaj porozumiewania się bardzo mu odpowiadał, chociaż większość tych, którzy nie mieli o nim bladego

pojęcia, uważała go za zbyt mało osobisty i uciążliwy. Człowiek mówił i człowiek dostawał odpowiedź. A jak nie chciało mu się gadać, mógł wybrać pomiędzy nadawaniem morse'em lub tylko słuchaniem.

Uwagę Karla przyciągnęły trzaski dochodzące z radiostacji. Ucieszył się, założył słuchawki i delikatnie położył dłoń na pokrętle, tak aby ustawić odpowiednią częstotliwość. Jego wzrok powędrował na przeciwległą ścianę pokrytą oprawionymi w ramki kartami QSL. Zbierał je przez wiele lat, bo były potwierdzeniem jego kontaktów z innymi krótkofalowcami z odległych krajów, do których i tak nigdy by nie pojechał. Honorowe miejsce na ścianie zajęły tylko ulubione karty, a reszta leżała na dnie szuflady. Pasjonował się ich zbieraniem dawno temu i nawiązał wówczas kontakty z radioamatorami z prawie wszystkich państw. Dlatego w jego przypadku natrafienie na nową radiostację było prawie niemożliwe. Później coraz rzadziej zdarzało się, że wypełniał kartę i wysyłał za granicę dla potwierdzenia kontaktu. W kolekcji nie chodziło o posiadanie wielu kart z tych samych miejsc. Ostatnie karty wysyłał w ramach konkursu, który polegał na nawiązaniu jak największej liczby kontaktów w ściśle określonym czasie. Było to półtora roku temu i chociaż tego rodzaju konkursy nadal się odbywały, nie miał już ochoty brać w nich udziału.

Doskonale wiedział, chociaż niechętnie się do tego przyznawał, dlaczego nie chciało mu się dłużej tego robić. Nigdy nie wygrywał. Co więcej, nie był nawet bliski wygranej. Także wtedy, kiedy startował w rozgrywkach zespołowych, przynosił reszcie pecha. Jakby z jego powodu zła passa przenosiła się na cały zespół krótkofalowców. Tak jak w szkole. Przed grą w dwa ognie był tym, którego wybierano do zespołu na samym końcu. Tak jak w szkole, to bolało. Tak jak w szkole, nie dawał po sobie poznać. Dlaczego tak się zachowywał? Nie potrafił na to pytanie odpowiedzieć. Może by oszczędzić wyrzutów sumienia tym, którzy go odrzucali? Choć pewnie z pewnością byłoby obrazić się i wyjść z hukiem. Ale pewnie i to by nie pomogło ani niczego nie zmieniło.

Nachylił się do mikrofonu.

– *CQDX this is Tango Foxtrot Three Kilo Papa standing by.* – Kod CQDX oznaczał, że Karl chciał nawiązać kontakt z radiowcem z daleka. A TF3KP był jego znakiem wywoławczym. Litery TF były symbolem Islandii. Cyfra „trzy” oznaczała region stołeczny, a pozostałe to jego inicjały. Karl Pétursson (syn Piotra).

W zasadzie nie miał prawa do nazwiska utworzonego od imienia Pétur, bo tak miał na imię ojciec jego matki, a on sam był adoptowany. Nigdy się nie dowiedział, jak nazywali się jego prawdziwi rodzice, ale ich historia była z całą pewnością bardzo smutna. Matka uznała jednak, że nie ma powodu, by wydobywać na światło dzienne koszmary z przeszłości. Według tego, co mówiła, zakładając, że mówiła prawdę, rodzice zmarli. Szukanie ich nie miało więc sensu. Szybko też zorientował się, że pytania o zmarłych padały na jałowy grunt. Więc przestał drążyć i zaprzętać sobie nimi głowę. Inaczej było z Arnarem, który nigdy pytać nie przestał. Też był adoptowany. I chociaż obaj nosili to samo nazwisko, łączyło ich tyle, co parę obcych sobie podróżnych jadących ramię w ramię tym samym autobusem. Nie mówiąc już o tym, że różnili się wyglądem i charakterem.

– *Tango Foxtrot Three Kilo Papa. Standing by.*

Nasłuchiwał, ale nie otrzymał odpowiedzi. A może to nie był sygnał nadawania albo trafił na koniec sesji? Spróbował raz jeszcze. – *Tango Foxtrot Three Kilo Papa. Standing by.* – Nic. Cisza.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś chciał zbierać QSL-ki z każdego stanu USA, ale się poddał. Może powinien zacząć od nowa? Nie zajęłoby mu to dużo czasu, bo miał już ich sporo. Właśnie teraz, kiedy jest sam i poza studiowaniem nie ma na głowie nic innego, toteż może poświęcić się swoim zainteresowaniom. Ale nie mógł się zdecydować, czy rzeczywiście ma na to ochotę. I czy powinien iść na zebranie do klubu radioamatorów, które miało się zacząć za jakieś czterdzieści minut. Decyzję musiał podjąć szybko. Najlepiej byłoby dać sobie spokój i nieco pozakuwać, bo ostatnio opuścił się w nauce. Mizerne zainteresowanie chemią, jakie odczuwał, zapisując się na pierwszy rok studiów, zniknęło z każdym upływającym tygodniem. Biurko stojące w drugim końcu suterenu pokrywało się kurzem, a wiszący nad nim plakat z okresowym układem pierwiastków odklejał się od ściany.

Może potrafiłby na nowo wzbudzić w sobie pasję. Gdyby tylko zechciał przyłożyć się do nauki, gdyby trochę zagłębił się w książki. Zebranie nie było istotne. I tak nie miał nic ważnego do przekazania, zdawał sobie też sprawę, że z innymi członkami klubu było tak samo. Zresztą z roku na rok coraz bardziej się wykruszali. Zostali prawie sami starzy, których nie interesowały kontakty z zagranicznymi krótkofalowcami. Najczęściej korzystali z pasm czternaście,

dwadzieścia jeden i dwadzieścia osiem megaherców. Karl czasami nasłuchiwał rekrutów nadających morsem lub wchodził na pasmo trzy i pół megaherca. Może chodziło o różnicę wieku? Na dwudziestu ośmiu megahercach nadawali nieliczni, mocno zaawansowani radioamatorzy, co odpowiadało Karlowi. W odróżnieniu do niego starzy interesowali się głównie budową radiostacji. Jedyne garstka z nich rozumiała nie tylko jego zapał w nawiązywaniu kontaktów, ale i zamiłowanie do wysłuchiwania numerycznych przekazów. Wraz z odejściem Börkura i Halliego z klubu pozostał jedynym, którego to interesowało.

Karl wyciągnął kabel od słuchawek z radiostacji i podłączył do starego collinsa używanego do odbierania fal krótkich. Przeszukiwał pasmo od najniższych do najwyższych częstotliwości, aż dostroił się do stacji, którą znał, w nadziei, że usłyszy jakiś przekaz. Jak zahipnotyzowany wsłuchiwał się w symfonię kodów i numerów, której nie rozumiał. Pochłaniał rzędy liczb i liter nadawane jednym ciągiem, wypowiedane wygenerowanymi przez komputer kobiecymi, a niekiedy dziecięcymi głosami. Wiadomości morsem, trzeszczenie, zgrzytanie i pojedyncze pieśni patriotyczne. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego, ale może coś się za tym jednak kryło? Nikt nie miał pewności, co to wszystko mogło znaczyć i czy miało jakiś głębszy sens. I właśnie z tego powodu było tak fascynujące. Nie było również wiadomo, kto wykorzystywał tę osobliwą formę przekazu na falach krótkich, w zakresie pomiędzy trzecim a trzydziestym megahercem. Fale te odbijały się od jonosfery i miały przez to większy zasięg. Większość użytkowników domyślała się, że przekazy były zaszyfrowanymi wiadomościami tajnego wywiadu. Również część interesów między dilerami i przemytnikami narkotyków załatwiano w taki sposób. Śledzić można było wszystko. Rozmowy telefoniczne dawało się podsłuchiwać, listy kopiować, mejle przechwytywać. Inaczej rzecz się miała z nadawaniem na falach radiowych, było to o wiele bardziej złożone.

Na tym też polegał cały ich urok. Te ciągi cyfr czytane przez bezduszne, lodowate, a jednocześnie niewinnie brzmiące głosy. Możliwe, że były to precyzyjnie artykułowane rozkazy zabójstw lub zamachów. Tak jak i inni zapaleńcy, Karl marzył o tym, by kiedyś złamać któryś z nadawanych kodów, chociaż już niejedna tęga głowa się poddała. Nawet Arnar, który w końcu zainteresował się jego hobby. Siedział godzinami z ołówkiem w ręku nad

kombinacjami liter i cyfr, by po jakimś czasie cisnąć nim daleko przed siebie, krzycząc, że to jakieś pieprzone niedorzeczności. Ale Karl wiedział, że chodziło o szyfr, który można było złamać tylko za pomocą klucza. To jednak nie zniechęcało ludzi do prób rozwiązania zagadki.

Miał dzisiaj szczęście. Przeważnie nadawano co pół godziny lub w pełnych godzinach. Dochodziło wpół do ósmej. Wpadł na znajomą stację, z której nadawał mężczyzna o pseudonimie „Rosjanin”. Chropowaty męski głos deklamował po rosyjsku powtarzające się monotonicznie ciągi cyfr. Od czasu do czasu mantrę przerywały zakłócenia fonii.

– *A-din, a-din, pjat, sjem, pjat, nul, nul.*

Większość audycji nadawano według określonych schematów. Na początku serwowano informacje za pomocą wcześniej ustalonych słów. *Ready? Ready?, Achtung!* albo *Atención!*, z podkładem melodycznym lub kombinacjami cyfrowo-literowymi. Takim wstępem chciano zwrócić uwagę na to, kto nadaje i kto powinien szczególnie uważnie się temu przysłuchiwać. Zazwyczaj powtarzano to wielokrotnie, przed właściwymi wiadomościami, których liczba też była podana. Długie sekwencje cyfr i liter płynęły swobodnie z eteru. Kończono audycję specjalną formułką, charakterystyczną dla każdego nadawcy. Najczęściej był to prosty wyraz czytany w wielu językach. Taki jak: „koniec” albo „nadawanie zakończone”.

Jeszcze inni puszczali muzykę lub wyczytywali sekwencje zer. Tak jak ten „Rosjanin”, którego Karl nasłuchiwał, gdy już się rozłączał:

– *Nul, nul, nul, nul.* – Cisza i trzaski. – *Nul, nul, nul, nul.* – Znowu cisza i na koniec: – *Nul, nul, nul, nul.* – Nadawanie przerwano.

Gorączkowo szukając innych nadawców, Karl natknął się na coś nieznanego. Coś, czego dotąd nigdy jeszcze nie słyszał. Nastawił ucha, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś skandynawski język. Dostroił radiostację i głos zabrzmiał wyraźniej. Karl tym bardziej zdziwił się, słysząc:

– ...dziewięć, dwa, zero, pięć, sześć, dziewięć. – Kombinację powtórzono, więc udało mu się ogarnąć całość. – Jeden, siedem, zero, trzy, dziewięć, dwa, zero, pięć, sześć, dziewięć. – Był to wygenerowany komputerowo kobiecy głos, do którego powoli się przyzwyczajał. – Jeden, siedem, zero, trzy, dziewięć, dwa, zero, pięć, sześć, dziewięć. – I głos zamilkł. Karl odchylił się na krześle, podrapał po czole,

objął rękoma głowę. – Jeden, siedem, zero, trzy, dziewięć, dwa, zero, pięć, sześć, dziewięć. – Opuścił ręce. Sięgnął po notatnik oraz długopis leżący zawsze na biurku. Kiedy zamierzał spisać numery, rozpoczęło się wyczytywanie kolejnego rzędu cyfr: – Dwa, cztery, jeden, dwa, siedem, dziewięć, siedem, trzy, jeden, dziewięć.

Na początku długopis nie chciał pisać, więc Karl rozpisywał go w pośpiechu, uważając, by nie złamać wkładu i nie zapomnieć cyfr. Wreszcie się udało:

– Dwa, cztery, jeden, dwa, siedem, dziewięć, siedem, trzy, jeden, dziewięć. – Kiedy powtarzano cyfry, porównał je z tymi zapisanymi wcześniej na kartce. Wsłuchiwał się w głos. Jednak nie odnajdywał w nim obcego akcentu. To nie mógł być cudzoziemiec. Czyżby jakiś islandzki związek, legalnie lub nie, zdobył pasmo nadawcze? Ale to było raczej niemożliwe. Na pewno był to ktoś z zagranicy. Ktoś, kto znał islandzki i wybrał go dla zmyłki. Słyszalność była dobra. Nawet za dobra, jak na dochodzącą z odległego miejsca. Karl słuchał płynących cyfr, niczego nie podejrzewając. A jednak Islandczycy? Możliwe, że rodacy wpadli na pomysł przekazywania w ten sposób poufnych wiadomości. Dałby głowę, że w grę wchodził tu także Internet. Krótkie fale radiowe to zbyt staroświeckie jak na Islandię. Tu wszyscy mają przecież świra na punkcie najnowocześniejszych technologii.

Sieć zawałona była czymś takim. Najpopularniejsze prezentacje miał użytkownik Reddi, który czytał w kółko znaki z szesnastkowego systemu. Albo taki youtuber Webdriver Torso, na którego kanale można oglądać tysiące jedenastosekundowych filmików z kolorowymi kwadratami różnej wielkości, przesuwanymi się po ekranie w takt ostrego pisku. Właśnie coś takiego mogło zachwycać Islandczyków, ale nie nadawanie na falach krótkich. Głos z radia zaczął wyczytywać na nowo poprzedni szereg cyfr. Jakby chciał, aby wryły się w jego mózg: 1703920569. Karl spisał i wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Przeczytał raz jeszcze, gdy głos z radia powtórzył:

– Jeden, siedem, zero, trzy, dziewięć, dwa, zero, pięć, sześć, dziewięć.

Wszystkie cyfry się zgadzały. Albo to jakiś absurdalny zbieg okoliczności, albo ktoś próbował zrobić mu kawał.

Przecież to był jego PESEL.

Karl spojrział na drugi rząd cyfr: 2412797319. To też mógł być czyjś

PESEL. Wbił numery w wyszukiwarkę komórki. Wskoczyły sto dwadzieścia dwie odpowiedzi. Żadna niezwiązana z Islandią. Spróbował raz jeszcze, oddzielając poszczególne cyfry myślnikami. Bingo. Właścicielem PESEL-u okazała się Elisa Bjarnadóttir, której nie znał. Przełączył wyszukiwarkę na grafikę. Nie znalazł jednak żadnego zdjęcia ukazującego kobietę z bliska. Z wyglądu była mu równie nieznana, jak jej personalia. Odłożył komórkę. Było w tym wszystkim coś niesamowitego, ale i nieprzyjemnego. Nadawanie dobiegało końca. Zimny głos dodał na pożegnanie:

– Na razie. Reszta później. – Kilka dźwięków z pozytywki i cisza.

Karl odwrócił się w kierunku okna, skąd dochodziło ledwo słyszalne bzyczenie muchy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wypuścić jej na zewnątrz. Podarować wolność, której tak bardzo pragnęła. Zamarznie szybko, ale przynajmniej zdechnie szczęśliwa. Jednak wydobywające się ze słuchawek przytłumione ludzkie głosy odwróciły jego uwagę od muchy. Założył słuchawki.

– Witam. Witam. Witam. – Z eteru popłynął strumień cyfr. Było przesądzone, że nie pójdzie na zebranie. Szkoda. Właśnie teraz miałyby o czym opowiedzieć. A może lepiej by było, gdyby zachował to na jakiś czas wyłącznie dla siebie? Szczególnie jeśli ktoś chce mu zrobić głupi żart.

Kiedy Karl zaczął wsłuchiwać się w radio, mucha z impetem uderzyła w szybę ostatni raz. I poległa.

Rozdział 4

Wyglądało na to, iż Margrét nie ma pojęcia, że jest obserwowana. Siedziała wciśnięta w małą kanapę, obok ogromnego pluszowego zwierzaka, którego dotąd nawet nie dotknęła. Jakby chcąc znaleźć coś godnego uwagi, wodziła zielonymi oczami po surowo umeblowanym pokoju. Prawie wcale nie patrzyła w oczy młodej kobiety, Silji, która siedziała na krześle obok i zadawała proste pytania, by sprowokować rozmowę. Kobieta uśmiechała się co chwilę, uważając przy tym, by nie zerkać zbyt często w kierunku dużego lustra, które wisiało na ścianie, naprzeciwko sofy. Za to dziewczynka wciąż bez skrępowania wpatrywała się w swoje odbicie, nie zdając sobie sprawy, że po drugiej stronie lustra ktoś się znajduje. Nie wypowiedziała jeszcze ani słowa. Na pytania odpowiadała, jedynie przytakując lub zaprzeczając ruchem głowy. I tak nie miało to dużego znaczenia, bo pytania Silji nie były związane z tym, o co tak naprawdę chodziło. Miały na celu zbudowanie zaufania między nimi i wypełnienie czasu oczekiwania na spóźnionego przedstawiciela policji.

– Tak nie może być! Gdzie jest ten przeklęty gliniarz? – denerwował się dziadek dziewczynki, który ją tutaj przywiózł. Miał około sześćdziesięciu lat, a jego kręcone włosy były tak siwe, że wydawały się przezrocyste. Przyjechał nieogolony, w okropnie wygniecionej koszuli polo ubranej tyłem na przód i z kołnierzykiem postawionym na sztorc. W normalnych okolicznościach Freyja zapytałaby go, czy aby kołnierzyk nie uciska jego dolnej żuchwy? Ale ci, którzy tutaj lądowali, byli w tak opłakanym stanie psychicznym, że nikt nie zwracał uwagi na drobiazgi tego rodzaju. Przecież mężczyzna miał większe problemy niż nieogolona twarz czy koszula ubrana tyłem do przodu, nie wspominając już o kołnierzyku. Zamordowano mu synową. Syn nie wrócił jeszcze z zagranicy, a oni, czyli dziadkowie, mieli pod opieką trójkę przerażonych dzieci i niewielkie pojęcie, jak się nimi należycie zająć. Gdy mężczyzna mówił, aż zaplawał się z emocji, a małe kropelki śliny lądowały na wypolerowanym stole do obrad. Błyszczały na nim przez chwilę, potem zastygły, a wszyscy obecni udawali, że tego nie widzą. – Czy macie zamiar bez końca zadawać jej pytania o szkołę

i przyjaciół? Czy nie widzicie, jak się czuje? Jakie ma to znaczenie, do cholery? Nie ma ważniejszych spraw do omówienia?

Siedzący wokół stołu skierowali oczy ku Konráðowi Bjarnasonowi, przedstawicielowi prokuratury generalnej. Wspólnie dali w ten sposób do zrozumienia, że to właśnie on powinien udzielić mężczyźnie odpowiedzi. Freyja nie miała zbyt dużego doświadczenia we współpracy z Konráðem, ale z poprzednich spraw wiedziała, że nie należało się po nim wiele spodziewać. Był typem elegancika, który co rano wcierał w skórę oliwkę, jakby wierząc, że uchroni go to przed odpowiedzialnością. Konráð spuścił wzrok na swój niestosowny do okoliczności, bo zbyt kolorowy krawat. Strząsnął z niego niewidoczny pyłek. Kiedy wiadomo już było, że nie doczekają się żadnych wyjaśnień z jego strony, pozostali utkwili wzrok we Freyi. Nie mogła jak Konráð milczeć i czekać, aż przerzucą uwagę na następną osobę, bo jeśli wszyscy zachowywaliby się w podobny sposób, musieliby tkwić tu aż do wieczora. Zastanawiała się, jak mogłaby udobruchać dziadka dziewczynki. Przecież nie zaczęnie go przeproszać za cały ten pośpiech ani za brak czasu na przygotowanie przesłuchania. Dla niego nie miało to znaczenia. Nie było jednak sensu wyrwać się z gadką o przygotowaniach, skoro nie znała nawet nazwiska człowieka, który miał poprowadzić śledztwo. Od szefa policji dostała polecenie, by przejąć dziewczynkę i zwołać naradę, którą poprowadzić miał już dalej ich przedstawiciel. Ten, na którego właśnie czekano.

Freyja odchrząknęła, wyprostowała plecy i przybrała najbardziej neutralny wyraz twarzy, na jaki było ją stać. Czuła, jak źle związane w koński ogon włosy zsuwają się jej na kark. Miała tak samo mało czasu na zadbanie o swój wygląd, jak dziadek Margrét. Kiedy w sobotni poranek zadzwonił telefon z policji, siedziała w kuchni z na wpół otwartymi oczami nad pierwszą poranną kawą. Czas, który mogłaby wykorzystać na staranne wyszykowanie się, musiała poświęcić na zawiadomienie wszystkich członków komisji – psycholożki Silji, która miała zadawać dziewczynce pytania, przedstawiciela Urzędu do spraw Nieletnich oraz lekarki i pielęgniarki, które nie były na stałe zatrudnione w schronisku. Freyja zaprosiła je na wypadek, gdyby okazało się, że dziewczynka była molestowana przez mordercę. Poza tym chciała być przygotowana na każdą okoliczność. Człowiek, który bestialsko zamordował młodą kobietę w jej własnym łóżku, mógł być zdolny do wszystkiego. Wkrótce okazało się, że nie było to konieczne, gdyż

dziewczynka przeszła wcześniej obdukcję lekarską. Ale Freyja dowiedziała się o tym po fakcie, kiedy obie kobiety były już na miejscu, a za udział w przesłuchaniu obiecano im wynagrodzenie. Na wszelki wypadek zostały.

Sprawa była bardzo poważna, musieli więc stanąć na wysokości zadania. Policja zwracała się do nich o wsparcie głównie wtedy, gdy w grę wchodziły przestępstwa na tle seksualnym, i to wyłącznie na nieletnich. Schronisko miało zbyt małe doświadczenie w przypadkach takich jak ten.

Zdecydowano się na taką nietypową procedurę, ponieważ dziewczynka za żadne skarby nie chciała przekroczyć progu komisariatu policji ani też odpowiadać na pytania w domu dziadków. W grę wchodził więc rodzaj kompromisu i musieli się wykazać, bo wiadomo było, że kolejna dobra okazja nadarzy się nieprędko. Jeśli Freyja zaprzepaści szansę, będzie to jej wina i prawdopodobnie otrzyma naganę z urzędu. Schronisko było powołane przez ten urząd, a ona jako dyrektor odpowiadała za prowadzenie go i za sprawy, które się tu toczyły. Stanowisko objęła dopiero cztery miesiące temu i dzisiejsze przesłuchanie było chyba najważniejszym ze wszystkich, które do tej pory organizowała, jeśli w ogóle można mówić o hierarchii w tego typu sprawach. Przeważnie polegało to na ustaleniu, czy życie tego lub innego niewinnego dziecka nie zostało zniszczone i, gdy można było odrzucić wszelkie podejrzenia, odczuwano zawsze wielką radość. Na szczęście zdarzało się to często. Ale nie na dzisiejszym przesłuchaniu. To jedno było pewne.

Przedstawiciel Urzędu do spraw Nieletnich podniósł znacząco brwi. Freyja w lot zrozumiała aluzję. Zbyt długo zwlekała z odpowiedzią. Z wymuszonym uśmiechem na twarzy spojrzała na dziadka. Po drugiej stronie szyby mała Margrét wierciła się na sofie i wpatrywała w drzwi wyjściowe pokoju przesłuchań. Z twarzy dziadka można było wyczytać, że jego cierpliwość się skończyła. Co było oczywiste.

– Rozumiem, że rozmowa psychologa z Margrét może się panu wydawać sztamowa – wyjaśniła Freya. – Ale pytania nie są bez sensu, chociaż mogą tak brzmieć. Silja jest psychologiem i ekspertem w przesłuchaniach dzieci, które znajdują w sytuacjach kryzysowych, tak jak pańska wnuczka. To jest bardzo ważne, aby nawiązały dobry kontakt, zanim przejdą do sedna sprawy.

Mężczyzna z niezadowoleniem pokręcił głową i głęboko zasmuconym głosem dodał:

– Mam nadzieję, że wiecie, co robicie? Już wystarczy tych problemów.

– Może nam pan zaufać. – Kątem oka widziała, jak po drugiej stronie lustra Silja popukała w swoje ucho, gdzie ukryty był mikrofon, jakby chciała się przekonać, czy działa. Nic dziwnego, oczekiwała lawiny pytań, a zamiast tego panowała cisza. Freyja włączyła mikrofon.

– Silja, policjant jeszcze się nie zjawił. Kontynuuj rozmowę, jeśli uważasz, że to coś da. Inaczej będziemy musieli zrobić przerwę albo przełożyć przesłuchanie na inny termin. – W reakcji na jej słowa kobieta po drugiej stronie lustra uniosła kciuk na znak, że odebrała wiadomość. Z głośników usłyszeli jeszcze jedno pytanie, tym razem o domowe zwierzątko.

– Margrét, masz może psa albo chomika?

Dziewczynka zaprzeczyła, potrząsając głową z burzą rudych loków. Jeden z nich zaczepił się w kąciku ust. Wyciągnęła go paluszkami koloru kości słoniowej. Skórę miała nieprawdopodobnie jasną, jakby nigdy nie przebywała pod gołym niebem.

Dziadek bacznie obserwował wnuczkę. Freyi, która widziała ich idących za rękę na przesłuchanie, wydawał się tak samo zakłopotany jak wtedy. Schronisko znajdowało się w willi, dysponowało tylko dwoma miejscami do parkowania i kiedy przyjechali, oba były zajęte. Musiał więc zaparkować ulicę dalej i przedzierać się przez zasy świeżo spadłego śniegu. Ciężko im było iść, dziewczynka wciąż przystawała i wpatrywała się bezradnie w dom, w którym miało się odbyć przesłuchanie. Za każdym razem dziadek pochylał się nad nią, by dodać otuchy. Teraz wzdychał i wyglądał, jakby żałował, że jej nie posłuchał i nie zawrócił.

– Dzieci miały kiedyś kota, który zdechł. Ktoś go przejechał. Wtedy wydawało się, że to największe nieszczęście, jakie mogło spotkać biedactwa.

Freyja pochyliła się do mikrofonu.

– Silja. Ani słowa więcej o zwierzętach. Ona miała kiedyś kota, który zginął pod kołami samochodu.

Psycholożka ponownie dała znak, że zrozumiała. Przysłuchiwali się, jak zmienia temat rozmowy i pyta Margrét, czy ma sanki i czy ostatnio na nich jeździła. Freyja spojrzała na wiszący na ścianie zegar, po czym postanowiła poczekać jeszcze dziesięć minut. Jeśli policjant do tej pory się nie zjawi, będą musieli przełożyć zebranie. Nie można było w nieskończoność obciążać dziecka. Za dużo było do

stracenia. Pierwsze przesłuchanie jest często bardzo znaczące. Potem i tak będzie musiała przyjść ponownie. I znowu. I znowu. Dziesiątki innych osób będą chciały wysłuchać jej zeznań: policja, oskarżyciel, obrońca tego, który na koniec zostanie skazany za przestępstwo. Musiałby się zdarzyć cud, aby za jednym posiedzeniem udało się wydobyć z niej wszystkie informacje, tak żeby wszyscy byli zadowoleni.

Leżący na stole telefon Freyi się rozświecił. Widziała, że dzwoni pośrednik z biura nieruchomości, który szukał dla niej mieszkania. Strasznie ją kusiło, żeby odebrać. Toczyły się teraz prawdziwe boje o lokale na wynajem, więc te, które się zwalniały, szły jak świeże bułeczki. Wiedziała, że jeśli teraz nie zareaguje, mieszkanie przejdzie jej koło nosa, jednak za nic nie wypadało jej odebrać. W najbliższym czasie będzie musiała zadowolić się więc dziupłą brata. Różnica między jego klitką a mieszkaniem, które do niedawna dzieliła ze swoim chłopakiem, była porażająca. Nic dziwnego. Jej eks to ustawiony finansista, a brat – więzień w Litla-Hraun. Ona sama też niczego w tym eleganckim mieszkaniu nie miała. Rozstając się z nim, opuściła je w takim samym stanie nieposiadania, w jakim się do niego wprowadziła. Tylko dzięki temu, że brat był w specyficznej sytuacji życiowej, nie wylądowała dotąd na ulicy. Musiał odsiedzieć jeszcze niecały rok, a jej z kolei potrzebny był czas, aby znaleźć sobie własny kąt. Mogła w zasadzie poznać jakiegoś mężczyznę i wprowadzić się do niego. Ale szanse na to przedstawiały się marnie, biorąc pod uwagę jej życie uczuciowe w ostatnich miesiącach. Już bardziej prawdopodobne wydawało się, że sam prezydent przyjedzie osobiście ułaskawić jej brata.

Freyja wielokrotnie wychodziła z koleżankami do miasta, baru czy na dyskotekę, chcąc znaleźć kogoś interesującego. Była całkiem atrakcyjną kobietą, a w razie potrzeby potrafiła ładnie się ubrać i umalować. W zasadzie nie było żadnych przeszkód, by kogoś poznać. Dwa razy spotkała mężczyzn, którzy się jej podobali. Obaj przystojni i, jak się wydawało, w podobnej sytuacji życiowej jak ona. Każdego z nich to ona pierwsza zagadnęła i po wypiciu wspólnie kilku drinków zabrała ze sobą do domu. Pierwszy, kiedy usiadła koło niego na wyleniającej sofie brata, załamał się psychicznie. W największej tajemnicy zwierzył się, że jest homoseksualistą i że odczuwa strach przed wyjściem z szafy. Jako masażysta obawiał się, że mógłby stracić całą męską klientelę. Freyja tylko westchnęła głęboko i namówiła go do zrobienia tego, co właściwe. Nie miała jednak pojęcia,

czy wcielił jej rady w życie, bo już więcej go nie zobaczyła.

Za drugim razem poszło jej trochę lepiej. Przynajmniej na początku. Mężczyzna był stolarzem, powiedział, że na imię ma Jónas i niedawno sprowadził się do miasta z Egilsstaðir. Na szczęście okazał się heteroseksualny i kiedy przeszli do rzeczy, mimo że stojąc, czuli się nieco speszeni, to już w pozycji horyzontalnej funkcjonowali jak dobrze naoliwione tłoki maszyny. Rano, kiedy się przebudziła, już go przy niej nie było, zniknął bez pożegnania i od tamtej pory ślad po nim zaginął. Tym większe było jej rozczarowanie, że tej nocy zasnęła spełniona, z przeświadczeniem, że udało się jej spotkać mężczyznę przynajmniej wartego grzechu. Najwyraźniej nie działało to w obie strony.

Zegar na ścianie wskazywał, że z dziesięciu minut, które sobie dała, minęła już połowa. Z głośników dochodził dźwięczny, ale smutny głos Margrét. Ku zaskoczeniu wszystkich dziewczynka postanowiła powiedzieć coś sama od siebie.

– Dlaczego tam jest takie duże lustro? – Ludzie siedzący wokół stołu narad, zwrócili się w stronę okna w małym pokoiku przesłuchań. Dziewczynka wpatrywała się w nie, jakby patrzyła im prosto w oczy. Silja odwróciła się i również wpatrywała się w zebranych. Siedziała bliżej lustra i dziewczynka nie mogła zobaczyć wyrazu jej twarzy, gdy posłała Freyi znaczące spojrzenie. Zostali przyłapani na gorącym uczynku, co się czasem zdarzało. W takich sytuacjach lepiej było powiedzieć prawdę. To nie byłoby sprawiedliwe: wymagać od dziecka prawdy, a samemu kłamać. Lustro zamontowano niedawno, wcześniej zaś śledzono rozmowy z dziećmi poprzez ekran telewizora. Wkrótce po tym, jak Freyja objęła stanowisko i musiała być świadkiem kilku takich przesłuchań, dokonała zmiany. Monitor pobudzał uczuciowość, wywołując automatycznie skojarzenie z serialami telewizyjnymi, ale tym samym odciągał uwagę od sedna sprawy. Nowe rozwiązanie spotkało się z ogólną aprobatą i pozwoliło im lepiej wczuć się w to, co działo się na żywo, w realnym wymiarze, z dzieckiem i pytającym, a nie w pomniejszonym do wielkości telewizora odbiciu.

Silja odwróciła się ponownie do Margrét. Mówiła powściągliwie jak wcześniej, tylko uśmiech przygasł.

– To takie praktyczne magiczne lustro. Druga strona jest jak okno. W ten sposób wielu ludzi może przysłuchiwać się naszej rozmowie bez konieczności gnieźdzenia się tu z nami. Nie wydaje ci się to sprytne?

Margrét pokiwała głową. Przygryzając dolną wargę, zmarszczyła brwi.

– Czy ktoś tam teraz jest? – zapytała zaniepokojona i zła.

– Tak. – Silja poruszała długopisem, jakby szła przed orkiestrą dętą z najmniejszą na świecie batutą. Freyja знаła ją na tyle, żeby wiedzieć, że robi tak, gdy narasta w niej napięcie.

– Kto?

– No, na przykład twój dziadek.

Margrét spojrzała na lustro, po czym spuściła wzrok.

– Nie chcę już z tobą dłużej rozmawiać. Chcę do domu. – Dziewczynka podniosła nagle oczy na Silję. – Do babci i dziadka. Nie chcę jechać do mojego domu.

– Ale dopiero zaczęliśmy rozmawiać. Nie możemy posiedzieć tu trochę dłużej? Nie będziesz musiała znowu przyjeżdżać, przynajmniej przez jakiś czas.

Oczy dziewczynki były jak z lodu.

– Nie chcę już tu być. Chcę z dziadkiem pojechać do domu.

Freyja włączyła mikrofon.

– Silja, już wystarczy. Policjanta ciągle nie ma i sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. Musimy powtórzyć zabawę, kiedy będzie w lepszym nastroju.

Nierzadko, w trudnych sprawach, należało przerwać pierwsze przesłuchania dzieci. Albo były w złym stanie, albo psychologom nie udawało się nawiązać wystarczająco dobrego kontaktu. W obu przypadkach słusznie uważano, że lepiej powoli i rozważnie przystąpić do przesłuchania, a także wiedzieć, kiedy skończyć, by nie przegrać sprawy, i po czasie móc je wznowić.

Jednak przedstawiciel prokuratury, Konráð, odchrząknął i powiedział:

– Proponuję, by kontynuować. Człowiek, na którego czekamy, chyba zaraz tu będzie. Jest niezwykle ważne, żeby udało się nam przekonać ją do mówienia. Chcę tylko przypomnieć, że tu chodzi o morderstwo, a ona jest jedynym jego świadkiem.

– Ona ma na imię Margrét. – Głos pielęgniarki brzmiał niebywale szorstko. Współpracowała z nimi od początku istnienia schroniska. W ciągu tych siedemnastu lat była świadkiem niejednego tragicznego zdarzenia i Freyja obawiała się, że odcisnęło się to na jej psychice. Już prawie wcale się nie uśmiechała i łatwo traciła cierpliwość, gdy tylko coś się jej nie podobało. Tak jak w tej chwili. – Przynajmniej tyle mógłby pan zapamiętać.

– Jak również to, że nie jesteśmy w żadnym wypadku zobowiązani do przesłuchiwania dziewczynki tutaj. Prokurator, który wydał nakaz, zaproponował tylko, by spróbować takiego rozwiązania. Wydaje mi się, że powinniśmy trzymać się poprzedniego planu i przesłuchać dziewczynkę w komisariacie. – Twarz Konráða zrobiła się purpurowa, co fatalnie współgrało z jego kolorowym krawatem.

Jóhann z Urzędu do spraw Nieletnich kopnął Freyję dyskretnie pod stołem. Nie musiał tego robić, sama zdawała sobie sprawę, że są o krok od zaprzepaszczenia szansy. Jako pracownik urzędu był w pewnym sensie jej zwierzchnikiem. Żeby oczyścić atmosferę, mówiła powoli i bez emocji.

– Postarajmy się zachować spokój. Wszyscy dobrze wiemy, jak ważne są zeznania świadka. Nie zapominajmy jednak o tym, że jako specjaliści w tego typu sprawach wiemy, kiedy najlepiej przerwać przesłuchiwanie dziecka. Chcę również przypomnieć, że nie ponosimy winy za tę sytuację. Gdzie jest policjant, który miał zadawać pytania? Przecież nie wiemy prawie nic o sprawie i dochodzeniu. Powiedziano nam tylko tyle, że mamy się stawić o godzinie dziesiątej, co też zrobiliśmy, tak samo Margrét i jej dziadek. Wasz człowiek zawiódł, panie Konráðzie, nie my. – Freyja miała nadzieję, że nie zacznie marudzić, że jest z prokuratury, więc nie odpowiada za nieprzybycie przedstawiciela policji. Dla niej to była ta sama para kaloszy.

Nie tak już czerwony na twarzy jak wcześniej Konráð podniósł telefon i pośpiesznie wybrał z pamięci numer. Czekał zniecierpliwiony, aż ktoś odbierze. Ten, który nie miał dzisiaj szczęścia i odebrał, zebrał niezłą burę. W ten sposób Konráð złamał jedną z niewielu reguł, które przedstawiono na początku zebrania. Lustro nie było całkiem dźwiękoszczelne, dlatego też, kiedy dziecko siedziało po jego drugiej stronie, ludzie cały czas zobowiązani byli mówić zniżonym głosem. Hałas w pobliżu mikrofonu mógł przeszkadzać zadającemu pytania, a nawet uszkodzić mu słuch.

– Proszę mówić ciszej. – Freyja pomachała ręką przed twarzą Konráða, tak aby ściągnąć jego uwagę. Ale odwrócił się od niej i dalej wrzeszczał do telefonu.

Freyja widziała, jak Margrét podniosła głowę i wpatrywała się w lustro. Silja zrobiła to samo i wykrzywiła twarz. Oczywiście była zdenerwowana, miała za zadanie zapewnić Margrét spokój i dobre samopoczucie. Uniosła ręce do góry.

Freyi wydawało się, że czyta z ruchu jej warg: „Co się dzieje?”.

Poprzez krzyki Konráða przebijał się cichutki płacz, który narastał z minuty na minutę aż do szlochu wypełniającego cały pokój. Konráð zamilkł, opuścił telefon i wpatrywał się w stojącą teraz dziewczynkę. Jej ciało drżało.

Nim Silja zdołała uspokoić dziewczynkę, ta zaczęła poruszać ustami, jakby chciała coś powiedzieć, i wtedy z głośników wydobył się cichy szept:

– Czy tam jest ten czarny człowiek? Czy on jest po drugiej stronie lustra?

Dziewczynka skuliła się w sobie i starała się nie patrzeć w szybę.

– Nie, Margrét. Tam są tylko dobrzy ludzie. Kim jest czarny człowiek? – Silja położyła ostrożnie dłonie na jej ramionach, próbując znów usadowić na sofie. Bezskutecznie.

– On skrzywdził moją mamę. – Słaby głos przepełniony był cierpieniem, które przeszywało do szpiku kości wszystkich przysłuchujących się w sali zebrań.

– Margrét, widziałaś tego człowieka?

– Tak. Był czarny.

Silja spojrzała na lustro. Freyja nachyliła się do mikrofonu i dała zielone światło do dalszej rozmowy. Silja pokiwała głową tak delikatnie, że jej ruch był prawie niewidoczny. Podjęła rzeczowo, bez zbędnego pośpiechu:

– Teraz musisz dobrze pomyśleć, Margrét. Był czarny, bo było ciemno w środku, czy dlatego, że był czarnoskóry?

– Ja nie wiem, co to jest czarnoskóry?

– Skóra. Czy miał czarną skórę?

– Tak.

Silja oblizwała wargi i ciągnęła ostrożnie dalej:

– Widziałaś jego ręce?

Margrét pokiwała głową. Pociągnęła nosem i niezręcznie otarła rękoma łzy z policzków.

– Głowę. Widziałam głowę.

– Widziałaś jego twarz?

– Nie. Nie twarz. Tylko tył głowy. Miał dużą głowę. – Margrét odwróciła się do wszystkich tyłem. – Chcę do dziadka. Nie powiem już nic więcej. Nie chcę już więcej mówić. Już nigdy.

Silja próbowała jeszcze nawiązać do rozmowy, ale dziewczynka zamilkła na

dobrze. Przesłuchanie się skończyło, właśnie teraz, kiedy wydawało się, że zmierza w dobrym kierunku. Zrozumieli, że zaprzepaścili szansę. Wszystko poszło nie tak, jak zaplanowano. Dziewczynka usiadła i głośno oddychała.

I wtedy zjawiał się policjant. Gdy spojrzał na Freyję, poczerwieniał. Ta otworzyła ze zdziwienia usta, zapominając o wszystkim wokół. Powoli docierało do niej, że to przecież nie kto inny jak Jónas, stolarz z Egilsstaðir. Wpatrywali się w siebie. Ona naburmuszona jak gradowa chmura, on jak skamieniały. Patrząc wciąż na nią, zwrócił się do pozostałych słowami:

– Nazywam się Huldar i jestem z policji. Przepraszam za spóźnienie, ale coś się w międzyczasie wydarzyło.

Rozdział 5

Służąc w policji, Huldar zdążył przywyknąć do różnych rzeczy. Na przykład w czasie służbowych spotkań z ludźmi rzadko czuł się mile widzianym gościem. Przeważnie dawano mu odczuć, że rozmowy z nim nie należą do przyjemnych, a na twarzach rozmówców widział zniesmaczenie, zupełnie jakby roztaczał wokół siebie przykry zapach. Z oczu większości można było również wyczytać, że to jego wina, iż tak się zachowywali. Względnie wina tego funkcjonariusza, który zawsze mu towarzyszył. Od czasu, kiedy zaczął pracę w policji, przestało mu zależeć na tym, co ludzie o nim myślą, może poza paroma wyjątkami. Mogli mu napluć w twarz czy obrzucić go obelgami, bo i tak wszystko spływało po nim jak woda po kaczce. Złe spojrzenia czy złośliwe uśmiechy nie wyprowadzały go z równowagi. Z sześciorga rodzeństwa był najmłodszy i do tego był jedynym chłopcem. Pięć starszych sióstr już się o to postarało, żeby nie był zbyt wrażliwy na cudzą krytykę. Chociaż nie były nigdy tak upierdliwe, jak przeciętny obywatel po paru głębszych.

Dlatego też poczuł się niemile zaskoczony, gdy zaczerwienił się po wejściu do małego pokoju obrad. Przy pięknie polakierowanym stole siedziało sześć osób, z zachowaniem parytetu płci. Wpatrywały się w niego bez słowa. Ale to nie sposób, w jaki go przyjęli, sprawił, że się zawstydził. Przeklinał w duchu samego siebie, że nie upewnił się wcześniej, kto będzie na zebraniu. Imię „Freyja” z pewnością zapaliłoby w nim lampkę ostrzegawczą. Miałyby czas do namysłu i mogłyby przygotować się do ponownego spotkania lub zadzwonić do niej i poprosić, by na czas przesłuchań dziewczynki o wszystkim zapomnieli. Zamiast tego musiał znosić jej jadowity wzrok i liczyć się z roztrząsaniem ich intymnych spraw w obecności reszty zebranych. Nie, to było wykluczone. Zastanawiał się, czy nie powinien poprosić, by wyszli na krótką chwilę i porozmawiali w cztery oczy. Ale wyraz jej twarzy dowodził, że nie była tym zainteresowana.

– Co to, do cholery, ma znaczyć, żeby przychodzić tak późno? – oburzył się mężczyzna w opiętym garniturze, który wyglądał, jakby zbiegł się w praniu. Jego przykusy strój był na pewno bardzo modny. Ulicami sunęły rzesze młodych mężczyzn w takim samym umundurowaniu, pracowników kancelarii prawniczych

i banków. To samo można było powiedzieć o jego fosforyzującym krawacie. Niebywale na czasie. Ale włosy miał wypielegnowane aż za bardzo, by udawać mogły zamierzony, nonszalancki styl. Pomiedzy świecącym krawatem a szpanerską szopą włosów widać było twarz – trudną do opisaną, a tym bardziej do zapamiętania. Twarz, o której przestępcy mogą tylko marzyć. Ani brzydka, ani ładna, ani też wulgarna czy delikatna. Pozbawiona jakichkolwiek blizn czy znamion. Tylko oczy, nos i usta, wszystko idealnie na swoim miejscu. Dopiero po pewnym czasie Huldar zorientował się, że widział już kiedyś tego mężczyznę. Gdy przypomniał sobie, że na imię miał Konráð i był z prokuratury, poczuł jeszcze większe zażenowanie, że ich współpraca zaczęła się tak niefortunnie.

Z drugiej strony, ucieszył się nawet, że na niego krzyczał, bo dzięki temu nie musiał rozmawiać z Freyją. Doskonale rozumiał zdenerwowanie prokuratora, w końcu nic tak nie przywoływało do porządku, jak groźby i nagana. Nie tak dawno jego szefostwo wzięło udział w kursie zarządzania, który poświęcono stosowaniu kar i nagród. Niestety, dotychczasowe doświadczenia wykazały wyraźnie, że metody te raczej nie działały. Ciężko było mu wyobrazić sobie, że pochwała miałyby mieć na niego taki sam wpływ, jak obraźliwe słowa. Nie oznaczało to jednak, że mógłby się odszczeknąć, w każdym razie nie w tej sytuacji. Czasami trzeba było podejść do sprawy w białych rękawiczkach, co w tej chwili wydało mu się najlepszym rozwiązaniem. Prokuratorowi było przecież obojętne, czy spóźnił się, bo ktoś umarł, czy może miał jakiś inny powód.

– Jak wspominałem, coś się w międzyczasie wydarzyło. – Huldar zrezygnował z tłumaczenia się i opowiadania o swoim beznadziejnym szefie Egillu, który nie mógł się do samego końca zdecydować, kogo przydzielić do tej sprawy. On sam przywykł już, że pomijany jest przy rozdzielaniu odpowiedzialnych zadań, więc i tym razem na nic nie liczył. W jego wydziale w pierwszej kolejności pod uwagę brano funkcjonariuszy starszych, bardziej doświadczonych, ale i nie na krótko przed emeryturą. Z tego też powodu nie robił sobie żadnych nadziei na awans w policji. Różnił się też od swoich kolegów sposobem myślenia i w tym, że nie stosował się bezkrytycznie do odgórnych nakazów. Dlatego też nie był lubiany przez szefostwo. Kiedy jego koledzy zastanawiali się nad ewentualnym kandydatem, któremu powierzą tym razem prowadzenie śledztwa, on siedział odprężony nad kubkiem gorącej kawy. Nikt nie wymieniał głośno jego imienia. Nie

miął bladego pojęcia, że rozpatrywano właśnie jego kandydaturę. I nie on jeden był zaskoczony decyzją, którą szef podjął z takim ociąganiem.

Zbiorowe milczenie przerwał wreszcie starszy mężczyzna. Ubrany niestarannie i niestosownie do okoliczności, z potarganymi włosami i spoczywającymi na blacie ogromnymi dłońmi, z palcami splecionymi jak do modlitwy:

– Dosyć tego. Wychodzimy z Margrét.

Huldar zorientował się, że to dziadek dziewczynki, któremu powierzono tymczasową opiekę nad dziećmi. Ich ojciec rano przyleciał z Ameryki, ale policja odebrała go z lotniska i przetransportowała prosto do komisariatu, by złożyć zeznania. Huldar był pewien, że przesłuchanie jeszcze trwało. Gdyby jego szef nie robił cyrku z ukrywaniem nominacji, mógłby sam je poprowadzić, a tak będzie musiał zadowolić się samym raportem.

Po drugiej stronie szyby widział płaczącą Margrét i ciemnowłosą kobietę w żółtej sukience, która próbowała uspokoić dziecko. Z głośników ustawionych pośrodku stołu obrad wydobywał się cichutki szloch przeplatający się ze słowami pocieszenia. Po tym, co widział w domu dziewczynki, nie był zdziwiony jej zachowaniem. Kiedy nie udało się przekonać małej do przekroczenia progu komisariatu, prokurator podjął decyzję o przesłuchaniu w schronisku. To był żałosny widok, więc Huldar tym bardziej cieszył się z takiego rozwiązania. Kompletnie nie widział się na miejscu kobiety, która teraz wycierała łzy Margrét, a zarazem uświadomił sobie, jak straszliwie nieprzyjemny jest pokój przesłuchań w komisariacie. Płacz dziecka rozdzierał słuchającym serca, więc Freyja nachyliła się do głośników i wyciszyła je.

W pokoju zapanowała dziwna cisza i nikt już nie zwracał uwagi na Huldara. Wszyscy bez wyjątku wpatrywali się w Margrét i kobietę w żółtej sukience. Jakby na ogromnym płaskim ekranie oglądali program telewizyjny, tyle że bez fonii.

Nikt się nie odzywał, ale wszyscy myśleli o tym samym. Co zobaczyła i usłyszała dziewczynka? Nikt też nie wiedział, jak długo leżała pod łóżkiem i jak się tam znalazła. Mało prawdopodobne było, że schowała się tam po zabójstwie. Natomiast można było podejrzewać, że miała wiele informacji o nocnym zajściu. Jej bracia, których zastano na jezdni przed domem, niczego w nocy nie słyszeli, więc jako świadkowie byli bezużyteczni. Po tym, jak zakończono ich przesłuchanie, zamknięto ten rozdział sprawy. Zeznania chłopców pokrywały się

i pomimo swojego młodego wieku opisali wszystko zrozumiale. Obudzili się z rana. Drzwi od ich pokoju były zamknięte na klucz, więc próbowali pukać i wołać o pomoc, ale bezskutecznie. W końcu wydostali się przez okno na zewnątrz, po czym sąsiadka zabrała ich do siebie. Kobieta zeznała, że spała tej nocy jak kamień, ale jej małżonek parokrotnie budził się z powodu bliżej nieokreślonych hałasów. Huldar i jego koledzy zgodnie przypuszczali, że to Elisa próbowała krzyczeć, zanim morderca zdołał zdusić w niej życie. Tylko parę metrów dzieliło od siebie oba domy i sypialnie. Krzyki dobiegające przez otwarte okno musiały do świadków dotrzeć. Inni sąsiedzi, z którymi rozmawiano, niczego podejrzanego nie słyszeli, bo też ich dom położony był o wiele dalej. Z domu nie dochodziły żadne odgłosy rozmów, a chłopcy smacznie spali.

Wszystko wskazywało na to, że Margrét była jedynym świadkiem zbrodni, nie licząc oprawcy oczywiście. Nie było łatwo namówić ją do wyjścia spod łóżka i by ją w końcu stamtąd wyciągnąć, Huldar musiał użyć siły. Udało mu się wynieść ją z pokoju tak, aby nie widziała zwłok matki ze strasznym ekwipunkiem na głowie. Po kilku bezowocnych próbach wydobywania z niej chociażby jednego słowa lekarz sądowy nakazał zostawić ją w spokoju i zadzwonić po karetkę pogotowia. Był zaniepokojony jej stanem psychicznym i uznał, że dość już wycierpiała. Gdy dzieci przebadano w szpitalu, Urząd do spraw Nieletnich powierzył je opiece dziadków, do czasu powrotu ich ojca. Wszyscy biorący udział w śledztwie czuli podskórnie, chociaż nikt nie śmiał tego powiedzieć głośno, że najlepiej będzie skończyć przesłuchanie jeszcze przed spotkaniem z ojcem. Podejrzewano, że mógłby stwarzać więcej problemów niż dziadek i babcia. Na pewno był w szoku i potrzebował czasu, by oswoić się z tym, co się stało. W przypadku większości morderstw popełnianych na kobietach w ich domach podejrzewano ich małżonka lub partnera, wszystko jednak wskazywało na to, że mężczyzny nie było w kraju, kiedy zamordowano jego żonę, choć formalnie jeszcze tego nie potwierdzono. Jednak potwierdzenie nie oznaczałoby końca jego problemów, bo gdyby wyszło na jaw, że małżeństwo przechodziło kryzys, nie można byłoby wykluczyć, że posłużył się kimś wynajętym.

Te spekulacje przypomniały Huldarowi, jak ważne było możliwie szybkie zakończenie przesłuchania. Wyglądało jednak na to, że im się nie uda. Dziadek wstał już od stołu i nie sprawiał wrażenia, że pozwoli im na kontynuowanie pracy.

Jeszcze zanim Huldar spróbował delikatnie dać mu do zrozumienia w czym rzecz, starszy mężczyzna przejął pałeczkę.

– To poniżej wszelkiej krytyki. Nie mogę dłużej tak siedzieć i przyglądać się temu w spokoju. Jak mogę się do niej dostać? – Patrzył smutno na wnuczkę i wydawało się, że za chwilę przejdzie przez dzielącą ich szybę.

– Proszę pójść za mną. – Kobieta, której Huldar nie znał, wskazała mężczyźnie drzwi. Oblicze miała zacięte, chociaż do twarzy bardziej byłoby jej z uśmiechem. Kurze łapki wokół oczu i zmarszczki wokół ust tworzyły jakby kanciaste kłamry, przez co odnosiło się wrażenie, że wszystko, co mówiła, było zamknięte w nawias. Przechodząc koło Huldara posłała mu nienawistne spojrzenie, nawet myślał przez chwilę, że sprzeda mu kuksańca. Z identyfikatora na piersiach wynikało, że to pielęgniarka.

– I co my teraz zrobimy, do cholery? – Konráð z prokuratury wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy jest zły, czy bezradny.

– Udało się z niej coś wydusić? – W przeciwieństwie do Konráða Huldar wydawał się oazą spokoju. Dawno temu nauczył się techniki obracania cudzej złości we własny spokój i opanowanie. Jego siostry już się o to postarały. Dzięki temu był górą w większości kłótni, niestety nie tych, do których dochodziło w jego życiu prywatnym. Już jako dorosły próbował stosować tę sztuczkę w swoich paru nieudanych związkach, ale z opłakanym skutkiem. Wszystko diabli brali, bo najwyraźniej czegoś brakowało w cudownym sposobie, który działał we wszystkich innych sytuacjach, tylko nie w damsko-męskich przepychankach. Nim się w tym zorientował, jego byłym kobietom udawało się wszystko przeinaczyć. A kiedy czuł się zapędzony w kozi róg, z jego ust padały słowa, których wcale nie zamierzał wypowiedzieć, w efekcie jego związku powoli, ale nieuchronnie się rozpadały, chociaż próbował je reformować. Podejrzewał, że rozmowa z Freyją, która z pewnością wkrótce go czekała, będzie w tym samym stylu. Jeśli oczywiście dziewczyna znajdzie czas, by z nim porozmawiać. W zasadzie wiedział już, że decyzja o poprzestaniu na jednorazowych nocnych przygodach, co miało zastąpić szukanie kobiety, przy boku której mógłby się usatkwować, będzie go dużo kosztowała. Najpierw cały ten epizod z Karlottą, żoną jego kolegi Ríkharðura, a teraz jeszcze to. Chociaż czuł, że niespodziewane spotkanie z Freyją to i tak czysta przyjemność w porównaniu z tragiczną porażką, jaką zeszłej jesieni

zakończył się romans z Karlottą. Już na samą myśl o tym czuł ciarki na plecach.

– Oczywiście, że nie udało się jej o nic zapytać. Bo to pan miał zadawać pytania. – Freyja mówiła takim tonem, jakiego używały jego byłe, gdy chciały dać mu do zrozumienia, że są śmiertelnie obrażone.

Mając to na uwadze, postanowił nie odpowiadać i zwrócił się do prokuratora:

– Panie Konráðzie, przecież jest pan tak samo, a może nawet bardziej zorientowany w sprawie. Nie mógł pan zacząć, gdy czekaliście na mnie? – Kiedy mówił, starał się nie patrzeć na Freyję, bo lekceważenie widoczne na jej twarzy wyprowadzało go z równowagi. Jakby widział swoje siostry. Zdusił w sobie straszliwą chęć na nikotynową gumę do żucia. – Przecież można było zadać parę prostych i oczywistych pytań pod moją nieobecność. Skoro to wszystko jest nagrywane, mógłbym sobie później odsłuchać.

Kobieta, którą Huldar kojarzył jako lekarzkę pracującą w schronisku, postanowiła dorzucić swoje pięć groszy. Występowała jako biegła w procesach sądowych o molestowanie, do czego jej mechaniczny sposób mówienia zdawał się wyjątkowo pasować. Teraz jednak w jej głosie wyczuwało się zaciekłość.

– Albo też mógł pan przyjść w wyznaczonym czasie.

– Tak, oczywiście. – Huldar uznał, że nie będzie im tłumaczył, jak bardzo sam był tym wszystkim zaskoczony i że przybył naprawdę tak szybko, jak mógł. Usprawiedliwianie się było niestosowne, dlatego wolał wziąć winę na siebie, niż oskarżać innych.

– Zanim się zamknęła w sobie, wyciągnęliśmy z niej tylko to, że mamy do czynienia z czarnoskórym mordercą – powiedział Konráð. – Ale radziłbym podejść do tego raczej z dystansem, bo o konkrety nie zdążyliśmy zapytać.

– Czarnym? – Huldar musiał się powstrzymać, by nie wzbudzić zgorszenia radością, jaką w tym momencie poczuł. Bał się, że źle go rozumieją. Jego ulga nie miała nic wspólnego z rasą zabójcy, a jedynie z faktem, że jeśli to, co dziecko zeznało, było prawdą, znalezienie sprawcy nie będzie trudne. Na Islandii nie mieszkało wielu czarnoskórych i znacząca większość z nich była porządnymi ludźmi. Szukał w pamięci spraw, w które uwikłani byliby czarnoskórzy przestępcy. Bezskutecznie. Ale oczywiście wiadomo było, że wcześniej czy później coś takiego się zdarzy.

– I ma dużą głowę. Nie zapominajmy o tym. – Freyja skierowała swoje słowa do

Konráďa, tak jakby Huldar wcale tam nie było.

– Duża głowa? – Huldar zmarszczył brwi. – Czy macie to nagrane?

Wszyscy wpatrywali się we Freyję, więc musiała odpowiedzieć:

– Tak. Mogę panu potem udostępnić nagrania – mówiła, jakby pluła słowami.

Na twarzach pozostałych malowało się zdziwienie.

Konráď przerwał tę krępującą scenę.

– Nawet nie opłaca się tego słuchać. To w żadnym wypadku nie wystarczy – wycedził. – Musimy określić plan działania. Co będzie następnym krokiem? – Spojrzał na swój telefon komórkowy, tak jakby miał tam znaleźć odpowiedź. – Zawsze możemy jeszcze zawieźć małą na komisariat wbrew jej woli i tam dokończyć przesłuchanie. W zasadzie nie powinniśmy dłużej zwlekać.

– Tak. Zgadzam się. – Huldar kątem oka dostrzegł Freyję wychodzącą pośpiesznie z pokoju. Po chwili pojawiła się po drugiej stronie szyby. Rozmawiała z kobietą w żółtej sukience. Margrét zniknęła, prawdopodobnie wyszła z dziadkiem.

– Nie radziłabym tego robić. – Lekarka znów brzmiała jak robot z sali sądowej. – Dziewczynka jest w szoku i czuje się bezsilna. Wiele ryzykujecie, jeśli zwiększycie jej niepewność, bo trudno będzie wtedy uznać, że powiedziała wam prawdę. Już sama nie wiem, ile razy trzeba to panom powtarzać – dodatkowo wskazała ruchem ręki, że pije do Huldara i Kónraďa, przedstawicielei prokuratury i policji – że dzieci w tym wieku odpowiednio zmanipulowane będą mówić to, czego się od nich oczekuje. Jeśli chcecie zrobić jej mętlik w głowie i tym samym sprowokować jakieś fantastyczne zeznania, proszę bardzo. Ale na waszą odpowiedzialność, ja się pod tym nie podpisuję. Życzę również powodzenia w sądzie, kiedy obrońca oskarżonego, jeśli uda się wam w ogóle znaleźć winnego, podważy jej zeznania. Przecież, jeśli dobrze zrozumiałam, nie macie innych świadków zbrodni.

– To się jeszcze okaże – stwierdził Huldar, chociaż sam do końca nie był o tym przekonany. Wydawało się oczywiste, że przesłuchania męża, przyjaciół zmarłej, współpracowników i innych ludzi miały na celu przybliżenie osoby ofiary i dostarczenie informacji, które mogłyby ich nakierować na motyw tak przerażającej zbrodni. A jednocześnie potwierdzić, że przesłuchiwanie nie byli bezpośrednio związani z tym, co zaszło dzisiaj w nocy. Huldar złapał się na tym, że przez szybę dzielącą pokoje wpatruje się we Freyję. Bezsprzecznie była bardzo

atrakcyjna, lecz nie wygląd przykuwał tym razem jego uwagę, a jej gestykulacja. Ona i kobieta w żółtej sukience omawiały najwyraźniej coś bardzo ważnego. Ta, która rozmawiała z Margrét, skrzyżowała ręce na piersiach i wydawała się bardzo poruszona. Nic dziwnego, jej zadaniem było utrzymać i zapewnić spokój dziecka. Spuścił szybko wzrok, kiedy Freyja nagle odwróciła się i wyglądała tak, jakby patrzyła mu prosto w oczy. Dopiero po chwili przypomniał sobie o weneckim lustrze. Zwrócił się do lekarki. – Mimo wszystko zgadzam się z pani opinią, że powinniśmy trzymać się tego, co wcześniej ustalone. Kiedy, pani zdaniem, możemy spróbować ponownie?

Lekarka wzruszyła ramionami i wskazując na szybę, powiedziała:

– One wiedzą najlepiej. – Freyja i kobieta w żółtej sukience właśnie wychodziły z pokoju przesłuchań. – Sądzę, że dzisiaj raczej już nie.

– Niestety. To nie wchodzi w grę. – Huldar pokiwał głową. – Musimy porozmawiać z nią niezwłocznie, czyli jeszcze dzisiaj. Teraz liczy się tylko to, by znaleźć odpowiedzi na kluczowe pytania.

Za plecami usłyszał, że ktoś pochrząkuje. Odwrócił się. To była Freyja. Starał się na nią nie patrzeć. Wciąż tak samo piękna, jak ją zapamiętał. Znajomy zapach jej perfum przywołał wspomnienia, w tej chwili naprawdę bardzo nieodpowiednie. Musiał przestać o niej myśleć i wziąć się w garść.

– Na samym końcu Margrét powiedziała Silji po cichu coś, co ma zapewne dla was duże znaczenie.

– Co takiego? – przerwał jej Huldar. – Opisała dokładniej przestępcę? Nie tylko kolor jego skóry?

– Czy mogę dokończyć? – Freyja oblała się rumieńcem. Huldar coraz bardziej tracił w jej oczach. – No więc Margrét powiedziała, że ten czarny człowiek zamierza znowu zabić. Zabić inną kobietę.

W tym momencie to, co Freyja o nim myśli, przestało mieć znaczenie dla Huldara.

Rozdział 6

Elisa Bjarnadóttir leżała naga na metalowym stole w prosektorium szpitala krajowego. Zupełnie jakby czekała cierpliwie, aż sekcja zwłok się zakończy. Z wyprostowanymi nogami i szczupłymi ramionami przylegającymi do tułowia. Pozycja, której nikt żyjący nie przyjmował, kiedy chciał odpocząć. Jej długie ciemne włosy zwisały ze stołu i kapiała z nich woda. Ciało zostało opłukane po zewnętrznych oględzinach i skomplikowanym zabiegu usunięcia z głowy taśmy klejącej, której pasma wisały w rogu sali na suszarce. Liczono, że znajdą się na niej włosy zabójcy, przy czym niektóre z nich pokryte były oczywiście włosami Elisy, chociaż starano się odklejać taśmę niezwykle delikatnie. Dla specjalistów oznaczało to wiele godzin żmudnej pracy. Wątpliwe było, czy coś to da, bo na ciele denatki nie znaleziono żadnych odcisków palców poza należącymi do policjanta, który pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia. Pozwalało to zakładać, że morderca nosił rękawiczki.

Patolog sądowy znalazł na ciele trzynaście siniaków. Według niego świadczyły zarówno o przemocy, jak i o tym, że ofiara się broniła. Na pewno próbowała odeprzeć atak, bo jej marmurowobiałe ciało znaczyły wyraźne podbiegnięcia, a już ręce były nimi wręcz usłane. Jak ocenił lekarz, duży okrągły siniak na klatce piersiowej wskazywał, że sprawca nacisnął ją kolanem i naparł całym swoim ciężarem. W górnej oraz dolnej szczęce zęby były powyłamywane. Przypuszczalnie stało się tak na skutek brutalnego wepchnięcia do ust stalowej rury odkurzacza. Patolog przypuszczał, że znajdzie zęby w żołądku. Złamany nos, przekrzywiony na bok, wyglądał jak niemy świadek zgonu. Tak samo jak cieniutkie linie po taśmie klejącej, których nie dało się zmyć z twarzy. W rogu sali obok suszarki stał srebrny odkurzacz, który miał zostać zabrany do dalszych analiz. Huldar doskonale pamiętał, co poczuł, widząc urządzenie po raz pierwszy, więc ciężko było mu na nie patrzeć. Jeszcze gorzej czuł się, spoglądając na kobietę, ale zwłoki przyciągały wzrok.

Z mokrych, błyszczących włosów kapwały jedna po drugiej kropelki wody. Na wykafelkowanej podłodze pojawiła się mała kałuża.

– Nie każdego dnia ogląda się takie rzeczy. – Lekarz pokiwał głową. – Widziałem naprawdę niejedno, będąc na studiach w Szkocji przed wieloma laty. Ale odkąd wróciłem, nie miałem na stole niczego podobnego.

– Przypadku morderstwa za pomocą odkurzacza? – Huldar miał nadzieję, że głos mu się nie załamie. W swojej pracy też już widział różne rzeczy. Trupy i szczątki ludzkie, zwłoki po wypadkach i bijatykach. Przypomniał sobie ucho leżące na mchu przy okazji wypadku samochodowego. Albo spalone w straszliwym pożarze ciało, którego nie można było wynieść, bo stopiło się z wykładziną. Przypomniał sobie też wiele innych mniej drastycznych zdarzeń, ale żadne nie dotknęło go równie mocno. Nigdy dotąd nie był też świadkiem penetrowania martwego ciała w poszukiwaniu dowodów mogących rzucić światło na przyczynę śmierci.

Do tej pory Huldar unikał autopsji. W tych nielicznych dochodzeniach w sprawie zabójstwa, w których brał udział, sekcję brali na siebie inni. Kiedy jednak sam prowadzi śledztwo, nie wyśle przecież kogoś na zastępstwo. Wydawało mu się, że szefowie specjalnie oszczędzali mu tego, gdy był zwykłym dochodzeniowcem. Teraz będzie musiał wytrzymać. Gdyby się rozniosło, że nie daje sobie rady, straciłby posłuch. Jego pracownicy trwoniliby energię na plotkowanie o jego słabości, a nie na wypełnianie rozkazów. Postawiliby go na równi z Ríkharðurem. Co i tak na nic by się im nie zdało, bo nie chodziło o to, żeby być bezdusznym, tylko żeby zachować twarz. Udawać niewzruszonego, chociaż na widok zwłok wnętrzości podchodziły mu do gardła.

– W zasadzie pytam nie tylko o Szkocję. Ale czy w ogóle słyszał pan albo czytał o podobnym zabójstwie?

– Nie, nie przypominam sobie. – Patolog sądowy pokręcił głową. – Czytałem o różnych dziwnych narzędziach zbrodni, jak damskie szpilki albo korkociąg. Ale nigdy o odkurzaczu.

– Rzeczywiście, nie jest tym, o czym człowiek myśli w pierwszym rzędzie, gdy ma zamiar kogoś zabić. – Huldar spojrzał na Elisę i jej marmurowobiałą twarz. – Pytanie tylko, po co ten cały cyrk? Przecież prościej byłoby użyć noża. – W łóżku znaleziono duży kuchenny nóż. Jak również trzy rolki, z których po dwóch pozostał sam papierowy krążek, a na trzeciej jeszcze parę metrów srebrnej taśmy. Użyto jej, by Elisę oślepić i ogłuszyć, a także by mieć pewność, że odkurzacza zrobi swoje, gdy kobieta nie będzie mogła wciągnąć powietrza przez zaklezione nozdrza.

Wstępne oględziny ostrza wykazały, że użyto go do odcinania taśmy. Tak jak na miejscu zbrodni, nie znaleziono na nim śladów krwi.

– No, niby prościej. I to jest straszne. *Modus operandi* jest tak niezwykły, że na pana miejscu właśnie na nim bym się skoncentrował. Czy morderca chce w ten sposób zapisać się w historii? Czy brzydzi się krwi? Czy też większą przyjemność sprawia mu mordowanie bez uszkodzania ciała? Może dla sprawcy ma to jakieś znaczenie symboliczne. To mogłoby wszystko tłumaczyć. W przeciwnym razie nie potrafię odgadnąć, jak sprawca wpadł na taki pomysł.

– A jeśli po prostu jest świrem? – Ta myśl zaświtała w głowie Huldera już podczas oględzin sypialni zamordowanej. Nie miał zbyt wielkiej inwencji ani też czasu, by pomyśleć nad czymś innym.

– Świrem? – Lekarz wyglądał na zdziwionego tym pytaniem. – Ma pan na myśli zaburzenia osobowości albo zaburzenia psychiczne? Do tych drugich powinien pan podejść ostrożnie albo w ogóle je odrzucić. Ludzie z chorobami psychicznymi rzadko są agresywni, prędzej sami stają się ofiarami przemocy niż tymi, którzy przemoc stosują. A jeśli już, to przeważnie w stosunku do samych siebie. Myślę, że nie szukacie psychicznie chorego człowieka. On ma raczej poważne zaburzenia osobowości, chociaż ślady nie wskazują na halucynacje lub urojenia w powiązaniu z psychozą.

– Racja. Może i nie. – Huldar nie był gotów całkowicie porzucić teorię o chorobie psychicznej sprawcy. W tym momencie wolał jednak odłożyć wszelkie rozważania i skoncentrować się na samej metodzie oraz możliwym strachu mordercy przed widokiem krwi lub awersją przed kłuciem i cięciem ciała. Niestety policja nie posiadała tego typu informacji na temat sprawców ani w komputerowym rejestrze danych, ani gdziekolwiek indziej. Nie dało się jednak wykluczyć, że będzie można to wykorzystać, kiedy będą mieli pod lupą jakiegoś podejrzanego. Jeśli w ogóle do tego dojdzie.

Gdy medyk przygotowywał się do następnych czynności, Huldar przebiegł oczami po plastikowych workach i szklanych słoikach, które stały na mobilnym stoliku znajdującym się obok stołu sekcyjnego. Jeśli analiza taśmy klejącej nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, możliwe, że próbki pobrane ze zwłok naprowadzą ich na jakiś trop. Ich spora część została już przygotowana i technik sekcyjny wynosił je do laboratorium.

Islandzcy mordercy przeważnie przyznawali się do winy, więc rozprawy na ogół się nie przeciągały. Przypadki wypierania się oczywiście się zdarzały, ale przedstawiano dowody zbrodni i kończono sprawę. Tyle tylko, że trzeba było je mieć. Kiedy prawda wychodziła na jaw, pozornie zatwardziali przestępcy sprawiali wrażenie, jakby poczuli ulgę. Wmawiali sobie i innym, że tak im się po prostu pechowo przydarzyło, bo w gruncie rzeczy byli na wskroś dobrymi ludźmi. Zadziwiające, że wielu z nich udawało się zaprzyjaźnić z policjantami i przeciągnąć ich na swoją stronę. Jakby to miało znaczenie. Przecież policja nie osądzała, a tylko miała udowodnić, jak i kiedy doszło do przestępstwa. Huldar zastanawiał się, czy morderca Elisy też by się tak zachowywał, gdyby stał przed nim twarzą w twarz. Jak tłumaczyłby to, co zrobił? A może znalazłby się w grupie tych nielicznych, którzy nigdy się nie przyznali?

Z kącika ust Elisy nieprzerwanie płynęła przezroczysta strużka śluzu, jak zagubione łzy trolla. Huldar odwrócił się do lekarza, który trzymał w rękach elektryczną piłę. Zawartość żołądka po raz kolejny podeszła mu do gardła.

Lekarz obracał narzędzie w rękach, jakby nie był pewien, czy to odpowiedni model. Po chwili ze spokojem odłożył piłę obok reszty narzędzi, na widok których ciarki przeszywały ciało policjanta. Nie były to instrumenty dla żyjących chorych. W każdym razie Huldar uciekałby, gdzie pieprz rośnie, widząc lekarza, który trzymałby coś takiego.

– Kto jest głównym podejrzanym? Mąż?

– Dopiero co przyleciał do kraju. Za wcześnie, by można było to stwierdzić. Jego przesłuchanie dobiegło już końca, ale nie miałem czasu na przeczytanie raportu. Musiałem prosto ze schroniska pędzić tutaj. Słyszałem tylko od tych, którzy z nim rozmawiali, że nie wygląda na to, aby miał z tym cokolwiek wspólnego. Jest podobno kompletnie załamany. Potwierdzono już jego pobyt za granicą w czasie, kiedy popełniono zbrodnię. Był na konferencji w towarzystwie innego Islandczyka, z pewnością nie brał więc osobiście udziału w morderstwie. Z drugiej strony, może być jednak dobrym aktorem i tylko je zaplanował, a za wykonanie brudnej roboty komuś zapłacił. Natomiast jedyne, co udało się wyciągnąć od dziecka, to fakt, że morderca był czarny.

– Czarny? To by bardzo ułatwiło wam życie – stwierdził lekarz z kamienną miną. – A jak mała się właściwie czuje?

– Kompletnie do dupy. – Huldar nie znalazł lepszego określenia, by opisać obecny stan dziewczynki. Po czym zmienił temat, bo czuł się nieswojo, rozmawiając o Margrét, kiedy stał obok zwłok jej matki. – Nie wiem dokładnie, czy mówi tak, bo ten człowiek był w czarnych spodniach i czarnych butach, czy chodzi jej o kolor skóry. Spod łóżka widziała prawdopodobnie buty i nogawki od spodni, ale mówi też, że widziała jego głowę, zapewne zanim się tam schowała. Opisała ją jako nienaturalnie dużą.

– Dużą?

– Tak powiedziała. Pytanie tylko, co dla dzieciaka w jej wieku znaczy duża głowa? Sam już nie wiem. – Huldar wpatrywał się w podłogę, by nie patrzeć na lekarza, który zabierał się do dalszej pracy. To, co zdążył do tej pory zobaczyć, było wystarczająco okropne. Miał nadzieję, że technik zgubi się w czeluściach szpitalnych korytarzy i sekcja zwłok zostanie odłożona na później. Nikotynowy głód znów dał o sobie znać, ale czuł obrzydzenie na myśl o wsunięciu do ust pastylki gumy nikotynowej. Nie był pewien, czy gdyby wciśnięto mu teraz między wargi dymiącego papierosa, byłby w stanie się nim zaciągnąć. Im mniej powietrza zaczerpniętego z tego pomieszczenia, tym lepiej.

– Ja tym bardziej. Nie możecie wziąć rysownika, żeby z nią naszkicował portret pamięciowy?

– Oczywiście, tak zrobimy, ale za jakiś czas. Na razie nie chce nikogo widzieć, więc trzeba jej dać odetchnąć. Zaczniemy popołudniem albo wieczorem. Jasne jak słońce, że należy to wyjaśnić. Przecież nie mogę wysłać ludzi, by szukali czarnoskórego mordercy, bo podejrzany miał czarne ubranie – przyznał Huldar, po czym przypomniał sobie coś, o czym chciał powiedzieć doktorowi.

– Jej mąż jest lekarzem w tym szpitalu.

– Tak? A kto to jest? – Patolog aż uniósł brwi ze zdziwienia.

– Nazywa się Sigvaldi Freysteinnson i jest ginekologiem.

– Nie znam. Jest w tym samym wieku, co jego żona?

– Tak.

– A, to inne pokolenie, więc nic dziwnego. Jestem tak stary, że prawie nie znam młodych doktorów. – Lekarz założył lateksowe rękawiczki. Guma z trzaskiem strzeliła o skórę nadgarstków. – Bez względu na to, jak zachowuje się teraz jej mąż, skłaniałbym się ku tezie, że musiała znać sprawcę. Rzadko się zdarza, że ktoś

zupełnie obcy napada na ofiarę, by ją w ten sposób torturować. Właśnie tak to widzę: jako tortury. Jej agonía nie trwała długo, ale była przerażająca. Po stanie zębów widać, że się nie oszczędzał, gdy wpychał jej do ust metalową rurę od odkurzacza. Powietrze wychodziło z płuc pod takim ciśnieniem, że się zapadły, co spowodowało prawdopodobnie pęknięcie bębenków w uszach. Doznała zapewne wielu innych wewnętrznych obrażeń, ale tego się dowiemy dopiero, gdy ją otworzymy. To nie będzie ładny widok, o nie, gwarantuję. Dla kogoś, kto jest zdolny do czegoś takiego, nie ma miejsca w naszym małym społeczeństwie. Od razu byłby z niego wykluczony, jeszcze zanim doszłoby do czegokolwiek.

– No, nie do końca.

– Może i nie, ale torturowanie w naszej szerokości geograficznej nie zdarza się zbyt często. A tym bardziej torturowanie zwykłych obywateli. Jeśli już tak się dzieje, to wiąże się z dewiacjami i ma miejsce gdzieś tam za granicą, w podziemnym świątku dużych metropolii. Jak dotąd nasi przestępcy trzymali się od tego z daleka. Jasne, że biją i krzywdzą, ale torturują raczej psychicznie, w każdym razie jeszcze nikt na Islandii nie doznał poważnych obrażeń ani nie zmarł na skutek tortur. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o tym. Nieważne, jak silnym jesteś człowiekiem, jeśli ktoś cię torturował, to raczej zgłosisz się do szpitala. Nie dałoby się tego ukryć w systemie.

– Praktycznie nie. Ale jaki chory skurczybyk jest zdolny do czegoś takiego?

– Dobre pytanie. Jeśli nawet ludzie chcieliby kogoś zamęczyć na śmierć, tylko nieliczni są w stanie rzeczywiście to zrobić, niezależnie od siły swojej nienawiści. Większość z nas ma w sobie wewnętrzne zahamowania, które nie pozwalają na przekraczanie moralnych granic. I teraz proszę zwrócić uwagę, że w tym przypadku nie użyto ostrza noża, tylko wszystko odbyło się za pomocą przycisku. – Lekarz odwrócił się w stronę Huldara. – Wydaje mi się, że sprawca musiał czuć do kobiety jakąś niewyobrażalną nienawiść. Nie mogę być tego absolutnie pewien, ale żadne ślady nie wskazują na to, że została zgwałcona. Zabójstwa raczej nie popełniono na tle seksualnym, chyba że na miejscu zbrodni znajdą się jednak ślady spermy. Są tacy perwersyjni zbrodniecy, którzy zamiast gwałcić, onanizują się. Ale niczego takiego nie znaleziono, kiedy tam byłem, a mało prawdopodobne, żebyśmy coś przegapili.

– W czasie kolejnych oględzin także nie odkryto tego typu śladów.

– A czy mogła mieć jakieś szemrane powiązania? Czy mam się spodziewać nielegalnych substancji we krwi?

– Z tego co wiem, raczej nie. Te informacje, które udało się do tej pory uzyskać, wskazują tylko na jedno – była zupełnie normalną kobietą. Pracowała w skarbowce, troszczyła się o rodzinę, a w wolnych chwilach dużo spacerowała. Nic podejrzanego ani mrocznego w przeszłości czy teraźniejszości, niemal chodzący ideał. Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby wyszło na jaw, że była torturowana w celu wyciągnięcia informacji czy jakiejś wielkiej tajemnicy, której nie chciałaby wyjawiać. W każdym razie, mając w perspektywie taką śmierć, powinna była wyśpiewać wszystko jak na spowiedzi. Przecież to musiało być piekło. – Mimowolnie spojrział na zmaltretowaną twarz. Pomiędzy sinymi wargami błyszcząły resztki połamanych zębów. Znowu zrobiło mu się niedobrze, więc odwrócił wzrok. – Nie ma sensu sobie wyobrażać, o co mu chodziło, bo i tak nic nie może usprawiedliwić jego postępowania.

– Jest pan pewien, że chodzi tu o mężczyznę? Skoro nie znaleziono śladów spermy, równie dobrze mogła to być kobieta.

Huldar przyznał w duchu, że niczego nie mógł zakładać w tej sprawie. Na szczęście śledztwo dopiero się rozpoczęło i miał jeszcze trochę czasu na wnioski.

– Nie, nie jestem pewien. Ale skłaniałbym się ku temu, że to jednak mężczyzna, co pasuje też do opisu dziewczynki. Kobiecie ciężko byłoby utrzymać Elisę w czasie zaklejania głowy i związywania rąk. Ona się przecież z całych sił broniła.

– Tak, tak. To widać po obrażeniach. – Obaj wpatrywali się w posiniaczone zwłoki. – Ale bywają bardzo silne kobiety. Elisa też nie była chucherkiem, więc sprawczyni musiałyby być naprawdę dobrze zbudowana. Chyba że wpadła w szal, bo wtedy człowiek potrafi więcej, niżby się zdawało.

– Ale dlaczego aż taki napad szału?! Myśli pan, że jak długo to trwało? – Huldar widział już nieraz ludzi w amoku zarówno będących pod wpływem środków odurzających, jak i całkiem trzeźwych. Przeważnie nie trwało to długo, ale oczywiście trafiały się wyjątki.

– Trudno to ściśle określić, powiedziałbym jednak, że wszystko trwało około dwudziestu do trzydziestu minut. Nie sądzę, żeby sekcja zwłok i dalsze badania doprowadziły nas do bardziej precyzyjnych wniosków. Będziemy mogli potwierdzić dokładniej czas zgonu, ale resztę tylko w przybliżeniu.

Huldar pokiwał głową na znak, że rozumiał. Przypuszczał, że zabójcy spieszyło się, by dokończyć dzieło. Nie chciał przebywać w domu dłużej, niż było to potrzebne.

– Jak pan uważa, co go do tego skłoniło? – Pytanie służyło tylko temu, żeby odsunąć moment rozpoczęcia dalszych badań. Czuł, że potrzebuje jeszcze trochę czasu, by przygotować się psychicznie i fizycznie. Technik sekcyjny właśnie powrócił i Huldar odebrał to jako znak, że dalsza część autopsji zaraz się rozpocznie.

– Nie mam pojęcia. Szczęśliwie to pański problem, a nie mój. Ale marne szanse, że sekcja przyniesie odpowiedź na to pytanie. To tak nie działa. Może pracując w skarbowce, nadepnęła komuś na odcisk, bo na przykład odkryła jakieś nieprawidłowości w zeznaniach podatkowych. Na pana miejscu to bym prześwietlił. Ludzie tracą rozum, gdy w grę wchodzi pieniądze i zagrożenie utraty majątku albo bankructwa. – Mężczyzna podrapał się po policzku, na którym został biały ślad talku z rękawiczek. – Zapomniałem pana zapytać, co było w kopercie? Czy coś tam znaleźliście?

Na samym początku oględzin miejsca zbrodni wypatrzono kopertę na lodówce. Została przyklejona w rogu za pomocą tej samej srebrnej taśmy klejącej, której sprawca użył do zakneblowania i unieruchomienia Elisy. Wyróżniała się na tle innych zapisków i zdjęć przymocowanych ozdobnymi magnesami. W kopercie, na której nie znaleziono odcisków palców, była kartka zaklejona literami wyciętymi z gazet, zupełnie jak z filmu o porywaczach.

– Nie rozumiemy przesłania, jeśli w ogóle to jest jakaś wiadomość. Po prostu na kartce było napisane: *Powiedz mi teraz*, a dalej dwukropek i rzędy znaków, których nikt nie rozumie. Moi ludzie próbują to rozszyfrować, ale idzie to powoli. – Taka była optymistyczna wersja zdarzeń. Prawda wyglądała inaczej. Nie szło im w ogóle. – Skserowałem to dla pana, gdyby chciał się pan temu przyjrzeć.

Medyk sądowy zsunął oprawki okularów na czubek nosa i przyjrzał się cyfrom: $J, 99, 22 - 53, \cdot 59, 30 - 7, 39, J, 99 - 16, 25, 53, 99 - 16, J \cdot 105 - 5, 89 - 6, 74, 89 - 6, \acute{C} \cdot 6, 30 - 7, 39 \cdot 8, 105, 53, 99 - 16, 37 - 5, 89 - 6, \acute{C}$.

– Co to może znaczyć?

– Ciągłe nie wiemy. Ani jej mąż nie potrafi tego z niczym powiązać, ani nam samym to niczego nie mówi. Eksperci, którzy się tym zajmują, sądzą, że jest to

rodzaj szyfru, którego prawdopodobnie nie da się złamać. Przypuszczają, że cyfry odpowiadają określonym literom tworzącym wyrazy, a punkty wyznaczają odstępy między nimi. Może chodzić o angielski lub inny język. Oczywiście będziemy nadal próbowali rozwikłać tę zagadkę, jednak bierzemy pod uwagę, że to mogą być kompletne brednie obłąkanego człowieka. Dla niego to pewnie ma jakiś sens.

– I tak, i nie. – Wyglądało na to, że nie byli tego samego zdania. – Nie powinien pan zapominać o tym, co mówiłem wcześniej o psychozach. To nie takie łatwe: przygotować tego rodzaju list, powycinać, poukładać i poprzyklejać. Mnie tam by się nie chciało, chyba że miałyby to określony cel. On chce coś ważnego przekazać, to ma osobisty wydźwięk. Czy pan się ze mną zgadza? – Odłożył kartkę na bok, po czym przykrył folią, żeby jej nie zachlapać, gdy piła i kleszcze pójda w ruch.

Huldar analizował to, o czym przed chwilą rozmawiali.

– Możliwe. – By nie myśleć o rzezi, do jakiej miało za chwilę dojść, skupił się na kartce z tajemniczym zdaniem i cyframi mu towarzyszącymi. Po co komu jakieś szyfry i dla kogo był ten list przeznaczony? Przecież nie dla Elisy, którą morderca pozbawił życia, zanim mogłaby go przeczytać. Wiadomość przeznaczono w takim razie albo dla policji, albo dla bezradnego małżonka, który zarzeka się, że nie ma wrogów. Może chodzi o to, by go przygotować na coś, co wydarzy się w przyszłości? Gdyby okazało się, na co Huldar po cichu liczył, że mąż Elisy jednak zrobił komuś coś strasznego, można by śledztwo pchnąć do przodu, a nie kręcić się wokół własnego ogona. Jeśli autopsja nie wykaże niczego nowego, trudno będzie przewidzieć, jaki kierunek należy obrać w sprawie. Spojrzał na zmasakrowane zwłoki Elisy i przełknął głośno ślinę. Za chwilę miał ujrzeć, jak denatka wygląda od wewnątrz. Zbladł i poczuł, że robi mu się słabo.

Lekarz wziął z rąk pomocnika puszkę, którą podał Huldarowi.

– Proszę rozsmarować sobie krem pod nosem. Widzę, że pan już się źle czuje, ale niech mi pan wierzy, że będzie jeszcze gorzej. Zapach będzie bardziej intensywny, krem powinien panu jednak pomóc. Całkiem nie zneutralizuje woni, ale uczyni ją bardziej znośną. – Uśmiechnął się i założył na twarz zawieszoną na szyi maseczkę chirurgiczną. – Jeśli będzie pan musiał zwymiotować, to proszę uważać, by nie ochlapać zwłok. Zdarzało się. A, i proszę zdjąć przedtem z twarzy maseczkę, by się pan nie zachłysnął.

Huldar pokiwał głową i wziął puszkę. Zawiesisty krem pachniał mentolem

i szczypał w oczy. Nie po raz pierwszy go używał, bo przykre zapachy wpisane były w jego zawód. Założenie maseczki chirurgicznej trochę pomogło, ale w żadnym stopniu nie zmniejszyło jego lęku. Wydawało mu się nie do zniesienia przyglądanie się, jak w zwłokach rozdierany jest każdy organ. Wszystko inne jakoś tam przeżył, ale ciągłego grzebania w ciele zmarłej nie mógł wytrzymać. Najgorzej jednak było przy oględzinach twarzy, bo chociaż dobrze wiedział, że to niemożliwe, wciąż miał nadzieję, iż ściągnięte jakby w grymasie bólu oczy i usta Elisy pozostaną nietknięte. Czy potrafił znieść moment, gdy piła elektryczna pójdzie w ruch?

– Jest pan gotów? – Huldar widział w oczach lekarza powątpiewanie. Pokiwał głową, nie do końca przekonany. Lekarz wzruszył ramionami. – Nie musi pan tu być, jeśli pan nie chce. Pańscy poprzednicy wprowadzili ten zwyczaj, uważając, że to dobry pomysł. Osobiście nie widzę w tym głębszego sensu. – Pokiwał ręką na pomocnika, który się do niego uśmiechnął i nasunął ponownie maseczkę na twarz. – Może dzięki temu będziecie z większą determinacją szukać sprawcy zbrodni?

– Może. – Zapewne było w tym trochę prawdy. Huldar odczuwał zniecierpliwienie i palącą wręcz potrzebę wsadzenia mordercy za kratki. Kiedy tu przyszedł, pragnienie to nie było tak silne, jak w tej chwili. Byłoby wielce niesprawiedliwe, gdyby sprawcy tego wszystkiego uszło to na sucho. Nie mogli do tego dopuścić.

Ubrana w gumową rękawiczkę dłoń lekarza kołysała się nad błyszczącymi narzędziami leżącymi na tacy. Wydawało się, że nie może się zdecydować, któremu z nich przyznać zaszczyt zainaugurowania pracy. Przyglądający się temu Huldar próbował odgadnąć, które z nich wybierze. Zanim patolog podjął decyzję, odwrócił się do niego i patrząc mu w oczy, zadał pytanie.

– Nie wydaje się panu dziwne, że właśnie pana wybrano do prowadzenia tego śledztwa?

Słowa te nie spodobały się Huldarowi, odebrał je bowiem jako świadczące o braku zaufania. Ale może nie do końca, bo sam również się nad tym zastanawiał.

– Co ma pan na myśli?

– Nic specjalnego. Po prostu, to jest jeden z najbardziej brutalnych przypadków, jakie do nas trafiły. Mnie nie przyszłoby nawet do głowy poprosić któregoś

z młodszych kolegów z wydziału, by zajął się obdukcją. Czy jest możliwe, że wybrali pana z innych względów niż pańskie zdolności? Przecież macie u siebie bardziej doświadczonych ludzi.

– Nie jestem chyba odpowiednią osobą, by odpowiedzieć panu na to pytanie – rzekł Huldar, choć oczywiście znał wytłumaczenie. Przydzielono go do tego zadania zapewne z powodu obecnej sytuacji personalnej w policji. Na wszystkich najbardziej doświadczonych kolegów w pracy padł cień podejrzeń, a zarząd miał poważne problemy. Na nieskazitelnym wizerunku policji pojawiły się rysy, po tym jak wszczęto szereg dochodzeń w sprawie metod prowadzenia śledztw w ostatnich latach. Doszło do tego wtedy, kiedy ujawniono, że prowadząc postępowania, jeden z prokuratorów ochoczo omijał reguły dotyczące ochrony danych osobowych. A ponieważ większość prokuratorów już od wielu lat zatrudniona była w policji, postanowiono sprawdzić, czy im też można to zarzucić. Tak właśnie było. Przeszukiwano i podsłuchiwano bez stosownych nakazów, a gdy okazywało się, że jednak były potrzebne, wystawiano je już po fakcie. Ukrywano też dowody przestępstw. Wpływano na zeznania świadków. Używano przemocy zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Lista zarzutów była długa. Media co rusz rozgrzebywały tę sprawę, więc wszyscy wysoko postawieni śledczy zostali zdjęci ze swoich stanowisk. Nikogo jednak nie zwolniono ani nie zdegradowano, a Huldar nie miał złudzeń, że do tego kiedykolwiek dojdzie. Sytuacja była zatem nieprzyjemna. I chociaż większość najdłużej pracujących policjantów wykonywało swoje obowiązki uczciwie i rzetelnie, ci, którzy zawinili, nie zostali nigdy ukarani i rzutowali na opinię o całej reszcie. Niestety nie wyglądało na to, że coś się miało zmienić. Postanowiono przeczekać medialną burzę. W międzyczasie niektórym udowodniono o wiele gorsze rzeczy i znowu nie pociągnięto ich do odpowiedzialności. Niejako stało się to tradycją w tego typu sprawach. Zbyt mało czasu upłynęło jednak od ostatnich afer, by któryś ze skompromitowanych oficerów mógł występować publicznie. Prowadzący śledztwo musiałyby informować społeczeństwo o jego rezultatach, a wtedy ludzie dowiedzieliby się, że w dalszym ciągu jest etatowym pracownikiem policji. Dlatego też wybrano Huldara, który miał nieposzlakowaną opinię. Przynajmniej w pracy, bo w życiu prywatnym daleko mu było do ideału.

– Proszę nie brać tego pytania zbyt osobiście. Chciałem tylko pana ostrzec. Jeśli

wybór padł na pana z powodów, które podejrzewam, i myślę, że pan również jest tego świadom, to mogę się założyć, że pańskim kolegom nie będzie zależało na rozwiązaniu sprawy. Po przyjacielsku radzę, żeby był pan ostrożny. Jeśli schrzani pan śledztwo, nie jest pewne, czy dostanie pan drugą szansę. Albo nieprędko, albo już nigdy.

Huldar milczał. Mentolowy zapach dusił go, starał się więc skraść odrobinę świeżego powietrza spoza maski. Lekarz się uśmiechnął, a wtedy wokół jego oczu utworzyły się zmarszczki. Zaklaskał w ręce na znak gotowości do podjęcia pracy. Wybrał skalpel chirurgiczny i umiejscowił na wysokości brzucha Elisy. Huldar przysunął się do jego boku i zamknął oczy, kiedy nóż zatopił się w ciele, zostawiając po sobie od mostka w dół długą cienką linię.

Rozdział 7

Głos spikerki brzmiał poważnie, prawie smutno. Jednak Ástrós Einarasdóttir znała ją już dość dobrze i wiedziała, że niuanse jej głosu były częścią roboty radiowca. Kiedy mówiła o czymś wesołym, na przykład o festynie w mieście lub otwarciu nowej części drogi, nie ukrywała radości. Od czasu do czasu przesadzała trochę, tak jakby sama brała w tym udział, prowadziła festyn lub czekała ze zniecierpliwieniem na jakieś drodze w odległej części kraju. Kiedy wiadomości były poważne, ściszała głos i mówiła powoli, tak jakby chciała upewnić się, że każde słowo dotrze do słuchaczy i będzie zrozumiałe.

Właśnie tak teraz brzmiała.

Ástrós nie była do końca przekonana, czy powolny ton miał przedłużyć standardowo okrojoną i lakoniczną wiadomość, że w ostatnią piątkową noc zmarła w Reykjavíku kobieta i że nie wyklucza się, iż popełnione zostało przestępstwo. Policja odmawia dalszych informacji w tej sprawie. I nic więcej, tylko tyle. Po co w ogóle komuś taka wiadomość? Kogo interesuje, że prawdopodobnie popełniono morderstwo? Czy nie można było z tym poczekać, aż dojdą jakieś konkrety? Na co jej samej taka wiadomość?

Ástrós wstała, by ściszyć doniesienia sportowe, bo słuchanie ich kłuło ją w uszy, jak przeszywający pisk przesuwanej po tablicy kredy. Pracując latami jako nauczycielka w szkole, nigdy się do niego nie przyzwyczaiła. Kiedy zaczęto używać flamastrów, przyjęła je z wielkim entuzjazmem. Nie złościła się nawet wtedy, gdy ktoś zapomniał założyć zakrętki i pisak wysechł, bo wszystko było lepsze od pisku, upapranych rąk i ubrań brudnych od kredowego pyłu. Wyłączyła radio i poczuła ulgę. To jedyne, co na dobre zmieniło się w jej życiu po śmierci męża, przed prawie dwoma laty. Mąż godzinami siedział jak przyklejony do radia, wsłuchując się w doniesienia piłkarskie z całego świata. Do tego podkręcał głos bardziej, niż było to konieczne. Nieważne, że z nastaniem ery Internetu mógł o wszystkich strzelonych golach na świecie poczytać w spokoju i kiedy tylko chciał. Nie, on musiał słuchać radia.

Pomimo to tęskniła za jego bliskością, za miłością i ciepłem. Zrobiłaby

wszystko, by go mieć z powrotem, dałaby nawet wszczepić sobie w ucho radio ze stacją nadającą tylko wiadomości sportowe.

Komórka, którą położyła w kuchni obok resztek jedzenia, wydała sygnał informujący o przyjściu SMS-a. Od czasu, kiedy Ástrós przestała pracować, dni tygodnia straciły jakiegokolwiek znaczenie. Wcześniej pieczołowicie przyrządzała posiłki, starannie ustawiała potrawy na stole i pilnowała, by po prawej stronie zawsze zostawić miejsce na gazetę. Rozkoszowała się czytaniem przy jedzeniu i kawą po posiłku. Teraz jednak kawa znalazła się na niekończącej się liście niezdrowych produktów, którą dostała od lekarza. Nie wolno jej było jeść masła, soli, tłuszczu i w ogóle wszystkiego, co nadawało smak. Przyrządziła sobie jedzenie z ociąganiem i bez jakiegokolwiek przyjemności. Orkiszowy chleb z twarogiem i ogórkiem nie wymagał żadnych szczególnych przygotowań i tak też smakował – nieszczególnie smacznie.

Ekran telefonu zaświecił na niebiesko, więc zaciekawiona podniosła go ze stołu. W porównaniu z tym, jak bywało wcześniej, teraz mało kto dzwonił do niej w niedzielę. Prawdę mówiąc, w inne dni także. A jeszcze rzadziej zdarzało się, że dostawała SMS-y, bo ani jej siostra, ani też koleżanki nie miały zwyczaju kontaktować się z nią w ten sposób. Wszystkie były, tak jak i ona, dalekowidzami, miały więc problem z trafieniem w odpowiedni przycisk. I tak była najlepsza z całej grupy, bo udało jej się wyłączyć funkcję autokorekty, która była przyczyną wyskakiwania idiotyzmów w czasie pisania wiadomości.

Ástrós przeczytała SMS-a. Wyglądało to jak głupi żart. A może oferowano jej nową wersję programu do autokorekty, taką z cyframi?

22 – 53, 39 · 15, 53, 99 – 16, 15, 37 – 5, 30 – 7, 8, 7, 89 – 6 · 105 – 5, 30 – 7, 53, 74, 19, 8.

Ciąg liczb nie przypominał niczego, co mogłaby znać. Nie był to numer telefonu czy karty kredytowej ani nawet szereg numerów obstawianych w Lotto. Nadawca był również nieznany. A może to jakiś wirus komputerowy? W końcu miała przecież smartfon.

Nie zastanawiając się dłużej, postanowiła zadzwonić do biura obsługi klienta swojej sieci telefonicznej. Wykręciła numer i czekała nieskończenie długo, aż wreszcie odezwał się nastolatek mówiący jak na jej gust za szybko i za dużo. Naświetliła swój problem, odpowiedziała na jego pytania, ale i tak odniosła

wrażenie, że nie bierze jej na poważnie. Nie miała ochoty powtarzać wszystkiego od początku i odpowiadać na nic nieznaczące pytania. Telefon znowu wydał z siebie dźwięk nadejścia SMS-a. Rozzłościło ją to bardzo, zwłaszcza że chłopak, z którym rozmawiała, twierdził, iż niczego nie słyszał. Była już przekonana, że ta rozmowa mija się z celem. Pożegnała się z tym samym uczuciem niepewności i strachu, jakie na początku towarzyszyły jej zatroskaniu o być może zainfekowany telefon. Zdążyła się jeszcze tylko dowiedzieć, że jeśli życzy sobie, mogą ustalić, skąd nadano SMS-y – ale tylko w dni powszednie. Z bełkotliwego słowotoku pracownika wywnioskowała jednak, iż nie będzie to łatwe do przeprowadzenia. W rzeczywistości nie było to dla niej takie znowu ważne, kto wysyłał wiadomości, bardziej interesowało ją, czy telefon był zainfekowany i czy powinna podjąć w związku z tym jakieś kroki.

Odczytała drugą wiadomość. Znowu ciąg znaków, ale tym razem z literami i tak samo niezrozumiały.

22 – 53, 39 · J, 99 – 16, 16, 22 – 53, 99 – 16, Ś · 7, 89 – 6, 16, 22 – 53, Ę, 15, 7, 89 – 6.

Ástrós zamknęła pośpiesznie wiadomość w obawie, że mogłaby zniszczyć dane zapisane w komórce. Postanowiła wypróbować, czy telefon działa, więc zadzwoniła do przyjaciółki. Telefon działał bez zarzutu, ale w zamian zmuszona była wysłuchać w detalach opisu podróży promem, w jaką przyjaciółka wybierała się wraz z mężem. Jak zawsze czuła zazdrość, chociaż do wyprawy pozostało jeszcze osiem miesięcy. W samym środku opowieści o tym, jak dużo musieli dopłacić za kajutę z balkonem, postanowiła przerwać litanie zachwytów i ekscytacji, skłamała więc, że ktoś dzwoni do drzwi. Ástrós zanotowała szybko w głowie, aby nie dzwonić do przyjaciółki w najbliższym czasie, a w zasadzie odczekać, aż rozgorączkowanie wyjazdem nieco opadnie.

Kiedy się rozłączyła, światło na ekranie dogasało, a telefon funkcjonował jak dawniej. Podniosła go i wyłączyła dźwięk. Zamierzała w poniedziałek podejść z nim do serwisu i poprosić, by go obejrzel. Już oni będą wiedzieli, co z tym zrobić. Ewentualnie wyczyszczą całe to robactwo, jeśli okazałoby się, że został zainfekowany. Przecież miała ważniejsze sprawy na głowie.

Wciąż jeszcze żałowała, że przestała pracować. Wykorzystała możliwość przejścia na wcześniejszą emeryturę, a ledwie miesiąc później na zawał zmarł jej

mąż. Gdy pierwszy ból po stracie minął, udała się do swojej byłej pracy w gimnazjum, gdzie uczyła wiele lat, z propozycją, by na nowo ją zatrudniono. Niestety, szkoła przyjęła już na jej miejsce młodego nauczyciela i nie była dłużej potrzebna do wprowadzania młodzieży w tajniki biologii.

Wspomnienie tego było na tyle bolesne, że nawet w tym momencie, stojąc i wpatrując się w telefon, na samą myśl czerwieniła się na twarzy. Tłumaczyła wtedy tu i ówdzie, że oczywiście zdawała sobie sprawę z sytuacji i chciała tylko zaproponować zastępstwo, jeśliby nowy, młody nauczyciel przypadkiem zachorował lub gdyby brakowało im egzaminatorów. Ástrós miała w zwyczaju wypowiadać się jasno i konkretnie, co też uczyniła, gdy próbowała odzyskać swoją starą posadę. Nie było szans, by ją źle rozumiano. Po tym wszystkim trzymała się z daleka od dawnego miejsca pracy, bo nie zniosłaby spotkania z dyrektorem lub kolegami. Dobrze wiedziała, że sprawa obija im się o uszy.

Teraz, kiedy radio było wyłączone i skończyła rozmawiać przez telefon, w mieszkaniu zapanowała cisza, nieprzyjemna. Do jej uszu dotarły odgłosy dochodzące z piętra poniżej. Od czasu kiedy została wdową, nie układało się jej zbyt dobrze z sąsiadami, z którymi dzieliła dwurodzinny dom. Zaczęło się od tego, że gdy trzeba było odświeżyć fasadę, nie mogli dojść do porozumienia w sprawie koloru otynkowania. W tym czasie nagle zmarł jej mąż. Zszokowana tym i załamana Ástrós nie wiedzieć czemu wyklócała się z sąsiadami o kolor, jaki ustalili jeszcze za życia męża. W rzeczywistości było jej to zupełnie obojętne, jednak trwała przy swoim, by zagłuszyć zmartwienie i chociaż w ten sposób uczcić pamięć zmarłego – przez ozdobienie domu jego ulubionym kolorem. Z czasem stało się dla niej jasne, jak głupie to było, ale nie dało się już nic z tym zrobić.

Spokój i relacje sąsiedzkie zostały bezpowrotnie zakłócone.

Spór o kolor domu oczywiście z czasem ustał, ale nie trzeba było długo czekać i pojawił się kolejny problem. Małżeństwo z dołu zarzucało jej, że za mało poświęca się pracom w ogrodzie i na posesji wokół domu. Wszystko jedno, jak bardzo by się nie starała, na twarzach sąsiadów wciąż widziała grymas niezadowolenia. Próbowwała z nimi rozmawiać, by znaleźć kompromisowe rozwiązanie. Chciała podjąć się prac w ogrodzie, sprzątnięcia w komórce na śmietniki, jeśli wzięliby na siebie malowanie, wymianę żarówek na korytarzu i odśnieżanie chodnika zimą. Koszty napraw różnych usterek przez fachowców

dzieliliby między sobą po połowie. Dopiero wtedy rozpętała się burza. Sąsiadka wykrzyczała jej w twarz, że taki podział obowiązków jest niesprawiedliwy, bo lato przecież nie trwa dłużej jak trzy miesiące w roku, a w śmietniku i tak nie ma co sprzątać. Odśnieżanie, malowanie i wymiana żarówek to o wiele poważniejsze zobowiązania. Ástrós próbowała zwrócić jej uwagę, że chodzi o jedną wspólną lampę na korytarzu i że jeśli to aż tak skomplikowane, mogła ją także wziąć na siebie. Nie mogła jedynie odśnieżać.

Gdy wyglądało na to, że jednak się nie dogadają, zaproponowała, by wynajęli kogoś, kto za opłatą dopilnowałby wszystkich tych obowiązków. To przelało czarę goryczy. Przecież gdy jeszcze żył jej mąż, zajmowali się domem, ogrodem oraz całą resztą, i to o wiele lepiej niż małżeństwo z dołu. A teraz już nikt o tym nie pamiętał. Ludzie łatwo zapominają. Ci z dołu upierali się, że to oni zawsze doglądali wszystkiego i że nie mają zamiaru robić tego dłużej. Ich przeświadczenie o swojej racji sprawiło, że sama Ástrós zaczęła przez chwilę powątpiewać, ale tylko na krótko. Ona i jej świętej pamięci mąż na pewno robili dużo, dużo więcej niż tamci.

Gdy rozpatrywała ich kłótnie, miała straszną ochotę potupać nogami w podłogę, po to by zdenerwować tych na dole. Jednak tego nie zrobiła. Nie dlatego, że byłoby to idiotyczne, ale dlatego, że nagle rozświetlił się ekran telefonu leżącego na stole. Zżerała ją ciekawość. Jeszcze jeden SMS od nieznanego nadawcy, pewnie tego samego, inaczej byłoby to zbyt nierealne. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła litery i krótką wiadomość: *Już wkrótce będę – cieszysz się?*

Wiadomość nie była podpisana. Będzie? Ale kto? Nie spodziewała się niczyich odwiedzin. Kto to więc mógł być? Nie przypominała sobie, żeby kogoś zapraszała. Wyszła do przedpokoju i spojrzała w lustro, bo jeśli miał ktoś przyjść, to musiała się odświeżyć. Niestety tajemniczy gość nie napisał, kiedy się zjawi. *Już wkrótce będę.* Nie brzmiało to jednoznacznie. Zależało od tego, gdzie dana osoba znajdowała się w czasie wysyłania wiadomości. Była na wsi? Za granicą? A może na ulicy za rogiem?

Ástrós pobiegła do łazienki. Przez chwilę zastanawiała się, czy zdąży, ale weszła pod prysznic. Nie chciała otwierać drzwi w szlafroku z ręcznikiem na głowie i bez makijażu. Nie myśląc wiele, wykąpała się w rekordowym tempie. Kiedy stała w łazience przed zaporowanym lustrem i przeciągnęła po nim dłonią, by móc się

w nim przejrzeć, poczuła smutek. Była taka samotna Zachowywała się, jakby nie widziała od tygodni żywego człowieka. Ten dziwny gość, który nawet nie podał swojego imienia, będzie musiał poczekać, aż skończy.

W lustrze ujrzała obcą twarz. Zmienioną zbyt szybko i bezpowrotnie w ciągu ostatnich lat. Wydawało jej się, że to twarz kobiety dużo starszej niż ona. Zmarszczki wokół oczu i ust. Czoło poorane głębokimi, poprzecznymi bruzdami. Grube worki pod oczami. Kim, do diabła, jesteś? Kto cię tu zaprosił?

Spokojnie zabrała się do maskowania objawów starzenia. Wiedziała, że nie musi się spieszyć. Gorsze było uczucie, że odwiedziny nie przyniosą jej oczekiwanej radości. W zasadzie skąd w ogóle wzięła się ta myśl? Zaświeciło się zielone światełko lokówki, sygnalizując, że jest dostatecznie rozgrzana. Ástrós przyjrzała się swojej umalowanej twarzy. Efekt nie był do końca zadowalający. Odłożyła kosmetyki i pasmo po paśmie zaczęła układać włosy. Przyjemny zapach szamponu unoszący się z gorących loków wypełniał jej nozdrza i odprężał. Było jej obojętne, czy odwiedziny będą miłe, czy też nie. Najważniejsze, że będzie dobrze wyglądała.

Rozdział 8

Na zewnątrz dom wyglądał jak większość budowanych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Betonowa skorupa okalająca sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych, z lekko pochyłym dachem. Wnętrze domu zapewne też nie odbiegało od dawnego stylu, składając się z pokoju gościnnego, oddzielonej jadalni, małej kuchni i kilku malutkich pokoików dziecięcych, w których szafy pomieścić mogły niewiele ubrań, co odpowiadało niewyszukanym potrzebom tamtych czasów. Jako dziecko Freyja marzyła, że w przyszłości zamieszka w takim właśnie domu. Ona, nieokreślony mąż i dwoje ślicznych dzieci, dziewczynka i chłopiec. Dobrze by było mieć też kota i akwarium z rybkami. Całkowite przeciwieństwo życia, które teraz prowadziła.

Po obu stronach drzwi wejściowych stały donice z uschniętymi kwiatami. Tylko one na pierwszy rzut oka przypominały tutaj o śmiertelności. Gdyby nie wiedziała, co się wydarzyło, mogłaby pomyśleć, że życie toczy się w tym domu jak dawniej. Teren nie został ogrodzony taśmą policyjną, nie zaplombowano nawet drzwi. Zastanawiała się, czy architekt projektujący kiedyś siedzibę dla szczęśliwej rodziny zmieniłby coś, wiedząc, co czeka jego właściciela za czterdzieści lat. Czy na przykład zaplanowałby większe okna, by ułatwić Elisie ucieczkę, albo kraty i solidne zabezpieczenia wokół ogrodu, czy też może zmieniłby niewinny wygląd domu tak, by sam z siebie stanowił ostrzeżenie? Freyja przyglądała się budynkowi przez brudną szybę samochodu i nie mogła się zdecydować. Zaparkowała na ulicy w obawie, by nie zatrzeć śladów zbrodni na betonowym podejździe. Prawdopodobnie martwiła się niepotrzebnie. Stał tam tylko radiowóz policyjny, nie było żadnych ograniczeń. Wolą jednak nie narażać się na naganę od przełożonych tylko dlatego, że chciała mieć bliżej z samochodu.

Zgasiała silnik, ale w dalszym ciągu trzymała rękę na kluczyku umieszczonym w stacyjce. Na dworze panował mróz, więc nie chciało jej się wychodzić z wnętrza auta, bo choć w tym starym rzęchu pożyczonym od brata ogrzewanie wysiadło już w połowie drogi, wciąż było w nim cieplej. Jego szyby pokrywał szron, w środku zaś unosił się zapach starych petów, które należałoby wyrzucić z popielniczki. Im

zimniej było na dworze, tym bardziej smród dawał się we znaki, zwłaszcza że mieszał się ze słodkawym zapachem papierowego odświeżacza w kształcie choinki, wiszącego na przekrzywionym lusterku wstecznym. Freyja czuła jeszcze w ustach jajecznicę, którą zjadła na śniadanie, z czym mdły zapach świerkowych igieł straszliwie się kłócił. Chcąc złagodzić niesmak, wypła duży łyk coca-coli z puszki. Napój był tak zmrożony, że aż pobrzękiwał o aluminiowe ścianki, ale piło się go z przyjemnością. Przyniósł jej ulgę, więc gdy wysiadła z samochodu i odetchnęła świeżym zimowym powietrzem, czuła się o wiele lepiej.

Było jej zimno. Ubrania, które miała na sobie, nadawały się na wiele okazji, niekoniecznie jednak na wizytę w miejscu zbrodni lub wystawanie na mrozie. Kiedy do niej zatelefonowano, była w drodze do miasta na umówiony obiad z przyjaciółkami, ubrała się więc w dość eleganckie ciuchy. Nie jakieś wystrzałowe, ale też nie codzienne, toteż wyglądała bardziej wyjściowo niż zazwyczaj.

Z powodu rękawiczek miała problem z zapięciem płaszcza pod szyją. Kiedy wreszcie się jej udało, przystanęła, aby przyjrzeć się domowi. Nie mogła oprzeć się uczuciu, że coś straszego wisi w powietrzu. Zimowa szarość i chłód wydawały jej się bardziej dotkliwe tu niż przy innych domach. Mając świadomość, że to tylko wytwór jej wyobraźni, rozgoniła okropne myśli, wsunęła kluczyki od auta w kieszeń i kilka razy odetchnęła głęboko, czemu towarzyszyły szare obłoki pary. Śnieg pokrywający grubą warstwą chodnik skrzypiał pod jej stopami. Jakby nic się tu nie wydarzyło. Tak głucha cisza jak w zimie, latem byłaby zapewne nie do pomyślenia, teraz jednak ptaki nie śpiewały na bezlistnych drzewach, a wszystko wokół wydawało się uśpione. Przez chwilę Freyja czuła się, jakby była jedyną żyjącą istotą na Ziemi, zaraz potem jednak usłyszała trzaśnięcie drzwi w sąsiednim domu i czyjeś miarowe kroki. Być może ktoś spieszył się na autobus. Gdy się rozejrzała, zobaczyła lekko ubraną kobietę, która dobiegła do niej, nim pokonała połowę drogi do domku.

– Dzień dobry. Przepraszam.

Freyja się odwróciła. Z bliska jeszcze lepiej widać było, że i ta kobieta nie miała dość czasu, by odpowiednio się ubrać. Stała przed Freyją, trzęsąc się z zimna w cienkiej wiatrówce, wyjątkowo niestosownej jak na tę porę roku. Z włosami związanymi w kitkę na czubku głowy i umalowanym tylko jednym okiem.

– Przepraszam. Mam na imię Védís i mieszkam w domu obok. To ja znalazłam chłopców. – Kobieta opuściła ręce, które zaciskała na piersiach, by się ogrzać.

Freyja spojrzała w kierunku domu, wyglądającego identycznie jak dom Elisy i Sigvaldiego. W oknie pokoju gościnnego dostrzegła zarys wysokiej postaci. Domyśliła się, że to mąż tej kobiety. Gdy zorientował się, że Freyja na niego patrzy, momentalnie się ukrył. Odwróciła się ponownie do sąsiadki, która kontynuowała:

– My... ja... mam na myśli wszystkich, którzy mieszkają na tej ulicy, jesteśmy wstrząśnięci.

Nie wiedziała, co ma jej odpowiedzieć, więc kobieta wydawała się zakłopotana jeszcze bardziej. W zasadzie Freyja jej współczuła, bo to przecież nie był głupi pomysł: wyskoczyć na dwór, by dowiedzieć się czegoś więcej. Bywa jednak, że spontaniczne decyzje nie przynoszą efektów, jakich się oczekiwało.

– Miałam nadzieję, że mogłaby mi pani powiedzieć, co słyhać u Sigvaldiego i dzieci. Wszyscy się domyślają, bo trudno się nie zorientować, że coś złego się dzieje, skoro byliście tu wczoraj i przedwczoraj. Mnie też przesłuchiowano i odpowiedziałam na wszystkie pytania, ale sama nie dostałam żadnej odpowiedzi. Potem usłyszałam w południowych wiadomościach o zabójstwie i omal nie dostałam zawału. Czy to chodzi o tę samą sprawę?

– Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Nie jestem z policji.

– Ach tak? – Kobieta zmarszczyła brwi. – To skąd pani jest?

– Jestem z urzędu państwowego – odparła spokojnie Freyja. Nie chciała mówić, że z Urzędu do spraw Nieletnich, a właściwie ze schroniska. Mogłoby to prowadzić do powstania plotek i nieporozumień wśród okolicznych mieszkańców. Urząd do spraw Nieletnich kojarzył się ludziom przede wszystkim z rodzicami niezdolnymi do opieki nad dziećmi, natomiast gdy mówiono o schronisku, wszyscy byli pewni, że chodzi o seksualne wykorzystywanie dzieci. Już wkrótce wiadomości o morderstwie staną się bardziej konkretne i zaspokoją ciekawość sąsiadów. – Niestety, nie wolno mi się wypowiadać na ten temat.

Sądząc po niepewnej minie sąsiadki, uznała, że Freyja wyklucza ją z całej sprawy.

– Wszyscy zrozumieliśmy, że coś się stało – powtórzyła. Co dziwne, nie towarzyszyło temu „baju, baju i tak swoje wiem”. – Widzieliśmy, jak pogotowie

przyjechało, a potem odjechało. – Otworzyła usta, jakby chciała jeszcze coś dodać, lecz zaraz je zamknęła. Ona i inni połapali się we wszystkim, bo nie udało się ukryć, że do karetki wnoszono zwłoki. Osobom chorym lub po wypadku nie zakrywano przecież twarzy. – Jesteśmy udręczeni tą sytuacją, nikt nas o niczym nie informuje. Przecież to nasi sąsiedzi. Z Elisą byliśmy zaprzyjaźnieni. – Miała około trzydziestki, była w tym samym wieku, co ofiara, rzeczywiście więc mogły być przyjaciółkami. Uwagę Freyi zwróciło też to, że mówiła o Elisie w czasie przeszłym. Kobieta trzęsła się z zimna lub z emocji, gdy zapytała jeszcze: – To kogo właściwie wynosili na noszach?

– Niestety. Nie mogę o tym rozmawiać. Ale wszystko już wkrótce się wyjaśni. – Freyja starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Nie chciała, aby kobieta wyczytała coś z jej mimiki.

Sąsiadka nie zareagowała od razu wyraźnie rozkojarzona czymś, co zobaczyła za plecami Freyi, po chwili jednak dodała:

– Najchętniej poskarżyłabym się na to, jak się nas traktuje. Szczególnie mnie. – Mówiła coraz prędzej w obawie, że rozmowa zaraz się skończy. Świadczyło to o jej dobrej intuicji.

– Oczywiście, nie mogę pani tego zabronić.

– Oczywiście, że tego nie zrobię. – Złość, która wcześniej wykwitła na twarzy młodej kobiety, zmieniła się w rezygnację. – Ale z czystej przyzwoitości powinniście mi coś powiedzieć. Nie jestem jakąś tam nieznaną. Mieszkam w domu obok i to ja znalazłam chłopców, więc jestem w to zamieszana jako uczestnik i świadek składający zeznania. Czy nie ma obowiązku informowania świadków o sprawach, w które są uwikłani?

– Nie. To tak nie działa. – Freyja miała nadzieję, że zanim przymarznie do chodnika, kobieta wreszcie sobie pójdzie. – Na pewno gdy wszystko się uspokoi, ktoś się do pani zgłosi i dowie się pani więcej. Nie mogę informować o czymś, o czym nie mam pojęcia. Przykro mi.

Freyja zakończyła rozmowę, obracając się na pięcie. Za plecami słyszała, jak kobieta odchodzi. Teraz zobaczyła również, co spowodowało jej rozkojarzenie pod koniec ich rozmowy. W drzwiach stał komisarz Huldar i patrzył na nią potępiającym wzrokiem, tak to przynajmniej wyglądało. Znów poczuła w ustach smak smażonych jajek. Nie brała pod uwagę, że może się tu na niego natknąć. Na

razie miała dość policjantów. Po tym jak zakończyło się spotkanie z Huldarem w schronisku, myślała, że będzie unikać jej jak ognia. Możliwe jednak, że był dziwniejszy, niż sądziła. Wyprostowała się i odpowiedziała mu oburzoną miną.

Kiedy zbliżyła się do wejścia, nad ramieniem Huldara ujrzała odręcznie zrobioną wizytówkę. W rogach namalowane były kiedyś główki kwiatów, ale poszargał je wiatr, więc teraz widać było tylko łodygi z listkami. Imiona mieszkańców domu były dobrze widoczne, bo napisane czarnym flamastrem. W drugim rzędzie znajdowało się imię Elisy i boleśnie kłuło w oczy. Wejście nie wyróżniało się poza tym niczym szczególnym. Dwie pary sanek w krzykliwych kolorach oparte były o fasadę. W rogu stała nowa łopata do odśnieżania. W najbliższym czasie nie mogła się do niczego przydać, w każdym razie ciężko byłoby sobie wyobrazić, że w tej sytuacji ktoś chciałby odśnieżać podjazd.

– Witam. – Freyja zrezygnowała z podania mu ręki. Nie miała ochoty go dotknąć. Cała sytuacja była głupio sztuczna w tym smutnym miejscu.

– Witam – mruknął Huldar. Może był po prostu zmęczony. Z podkrążonymi oczami, nieogolony i w wygniecionych ubraniach, niewykluczone, że tych samych, w których był na nieszczęsnym zebraniu dzień wcześniej. Usunął się, by Freyja mogła przejść i przy okazji przyjrzeć mu się z bliska. Uświadomiła sobie, że powodem złego nastroju nie była tylko bezsenność. – Kiedy poprosiłem o spotkanie tutaj, nie liczyłem na to, że wystąpisz w roli rzecznika prasowego policji dla sąsiadów. Sami sobie z nimi poradzimy.

– Nie powiedziałam nic innego, jak tylko to, że nie mogę się na ten temat wypowiadać – odparła oschle Freyja.

Huldar zaczerwienił się ze wstydu.

– W porządku – powiedział i odchrząknął. – Przepraszam. Ci ludzie prześladują nas od samego początku śledztwa. Sąsiadka i jej mąż wręcz umierają z ciekawości. – Uśmiechnął się zmieszany. – Kilka razy upomniałem kogoś z naszych, bo z nimi gadał. Myślałem, że teraz też o to chodziło.

– Nie ma sprawy. – Ale tak naprawdę była sprawa, bo Freyja fatalnie reagowała na reprimendy. W zasadzie ich nie znosiła. Tak było, jest i będzie. A w szczególności nie od niego i nie wtedy, kiedy nie miał racji. Przyszła tutaj, by zabrać dla dzieci parę niezbędnych rzeczy. Rodzinie nie wolno było wchodzić do domu, nie pozwolono nawet mężowi Elisy. Freyja zgodziła się im pomóc, chociaż

wiedziała, że spóźni się przez to na umówiony obiad z koleżankami. Podejmując się tego zadania, myślała, że robi policji przysługę, i nie spodziewała się takiego przyjęcia. – Wyluzuj.

Wchodząc do przedpokoju, uważała, by nie dotknąć wieszaka uginającego się pod kurtkami, szalikami, czapkami, rękawiczkami, w większości w jaskrawych, dziecięcych kolorach. Podłoga usiana była butami, też należącymi do dzieci. Wyglądało to tak, jakby zdjęły je przed chwilą, beładnie, pędząc przez korytarz prosto do mieszkania. Freyja rozglądała się wokół, szukając miejsca na swoje buty. To wszystko było dla niej zupełnie nowe, bo nigdy nie była na miejscu przestępstwa i nie znała reguł.

– Powinnam zdjąć buty?

– Nie, nie musisz. Chyba, że chcesz. Jednak nie radziłbym, bo szczerze mówię, że podłogę zostawiliśmy po sobie niezbyt czystą. – Wpatrywał się w buty Freyi tak, jakby w życiu nie widział czegoś wspanialszego. Może był to tylko wybieg, żeby nie patrzeć jej w oczy. Nie dało się nie zauważyć, jak źle się czuł, co napełniało ją radością i pewnością siebie. Dobrze mu tak. Zasłużył sobie na to, by cierpieć.

Miała już dość oglądania czubka jego głowy. Odchrząknęła, by przerwać niezręczną ciszę.

– To od czego mam zacząć? Zróbmy to jak najszybciej. Ludzie czekają. – Mówiąc to, przesadziła, bo nikt nie czekał niecierpliwie na tych kilka ciuchów.

– Słucham? – Huldar podniósł głowę tak szybko, że aż się przestraszyła, czy aby przy tym nie uszkodził sobie kręgu szyjnego. Otworzył drzwi od przedpokoju i Freyja weszła za nim do mieszkania. Starala się nie patrzeć na jego pośladki, by nie wzbudzać w sobie wspomnień ze wspólnej nocy. Pomimo tego zaczerwieniła się delikatnie, więc w duchu dziękowała Bogu, że nie mógł teraz widzieć jej twarzy. Przeklęci faceci.

Skoncentrowała się na mieszkaniu. Widać było, że i w środku właściciele wiele nie zmienili. Sufity pokryte były ciemnożółtymi panelami, kiedyś zapewne jaśniejszymi, a oświetlenie w postaci dużych wypukłych kloszy wmontowanych w obudowę też zapewne pamiętało odległe czasy. Struktura ścian wskazywała, że zamalowano naklejone na nich tapety, a jeśli pochodziły one z czasów, kiedy zbudowano ten dom, to można było żałować, że pokryto je farbą. Wielobarwne esy floresy stały się znowu modne.

Huldar odwrócił się do Freyi i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Uprzedziła go z nieskrywaną satysfakcją. Ponieważ nie miała czasu zastanowić się nad doborem słów, zapytała o to, co przyszło jej właśnie do głowy:

– Czy byli dobrze sytuowani?

Wyposażenie mieszkania dowodziło, że Elisa i jej mąż żyli dostatnio, chociaż rzeczy nie należały do ekskluzywnych. Na sofie przed telewizorem zobaczyli zwinięty koc, duży album ze zdjęciami, dziecięcą skarpetkę oraz pilota do telewizora. Wśród rozrzuconych po całej ławie krążków Cheerios znajdowały się druga skarpetka do pary, złożona gazeta, miseczka z resztkami po popcornie i do połowy pełna szklanka wody. Wokół na podłodze walały się klocki Lego. Freyja podejrzewała, że gdyby Elisa wiedziała, co miało się wydarzyć, poświęciłaby pięć minut, by ogarnąć cały ten bałagan. Świadczył o tym, że śmierć przyszła niespodziewanie. Może właśnie dlatego Freyja starała się mieć zawsze porządek wokół siebie. Nie chciałyby, żeby ktoś złożył wizytę w jej domu, gdy panował w nim nieład. To podtrzymywało ją na duchu, odkąd mieszkała u brata. Wprawdzie jeszcze nie zabrała się za generalne porządki, ale wysprzątała na tyle, by móc bez wstydu przyjmować w nim gości.

– Myślę, że żyli całkiem dobrze. Z wyciągów bankowych wynika, że przeważnie płacili rachunki na czas, ale też nie mieli jakichś gigantycznych oszczędności. Raczej nie chodziło o pieniądze. – Huldar odwrócił się i ruszył w kierunku korytarzyka prowadzącego do pokoióv dzieci i sypialni. Sprawiał wrażenie ucieszonego z takiego, a nie innego tematu do rozmowy. – Kobieta nie miała wykupionych polis na życie. To w zasadzie wyklucza morderstwo na tle finansowym. Mało prawdopodobne, że mąż zabił ją, by odziedziczyć jej część domu, który nie był nawet spleacony.

Zatrzymał się przy pierwszych drzwiach. Podłogę przed nimi i klamkę pokrywał proszek daktyloskopijny.

– Znaleźliście odciski palców?

– Jak do tej pory nie. Większość śladów wokół należy do domowników, co oznacza, że morderca używał rękawiczek. W każdym razie najświeższe odciski palców na klamkach do drzwi od pokoióv dzieci należą właśnie do maluchów i do Elisy. Znaleźlibyśmy coś, jeśli nie miałyby rękawiczek. Może to i lepiej, że zamknął chłopców w ich pokoju, przynajmniej zaoszczędził im widoku zmarłej matki. –

Huldar z trudem powstrzymywał się od ziewania. – Drzwi od pokoju Margrét też zamknął na klucz, jak zapewne wiesz. Tyle że jej tam nie było. Miała schowane pod kołdrą pluszowe zabawki i w ciemności mogło to wyglądać tak, jakby leżało tam dziecko. To pewnie zmyliło sprawcę. – Patrzył Freyi prosto w oczy. Miał przekrwione białka. – Zamknęłybyś swoje dzieci na noc w pokoju?

– Ja nie mam dzieci.

Widać było, że jej odpowiedź mu się spodobała.

– No tak. Prawda. Ja też nie. – Uśmiechnął się. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Freyja nie mogła zmusić się do uśmiechu. Czyżby zgrywał się przed nią, udając ogiera?

– Wiem, że nie mam – dodał – i że nie usłoby to mojej uwadze.

– No oczywiście, że nie.

– Ale gdybyś miała dzieci, zamykałabyś je na noc? A co by się stało, gdyby wybuchł pożar? – ciągnął, nie zważając na sarkazm w jej tonie.

– Nie. Pewnie bym tego nie robiła.

– Właśnie. Raczej wątpliwe więc, że Elisa mogła to zrobić. Jej mąż potwierdził, że nie mieli tego w zwyczaju. Drzwi były takie jak w innych domach i można je było zamknąć na klucz. Morderca chciał mieć pewność, że nikt nie będzie mu przeszkadzał. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Freyja wpatrywała się w dziurkę od klucza.

– No to jak chłopcom udało się wydostać, jeśli byli zamknięci od zewnątrz? Mieli klucz?

– Nie. Starszy precyzyjnie się przez lufcik w oknie i namówił młodszego, by zrobił to samo.

– A gdzie jest w takim razie klucz?

– U nas. Znaleźliśmy tylko jeden, właśnie w drzwiach od pokoju chłopców. Pasuje do wszystkich zamków w domu. Reszta pewnie się zgubiła. Sigvaldi nie potrafił powiedzieć, ile kluczy było, prawie nigdy ich nie używano. Możliwe, że zabójca zabrał ze sobą któryś z pozostałych, ale pojęcia nie mam, po co mu one.

– A jak wszedł do domu?

– Ponieważ nie ma śladów włamania, to albo drzwi wejściowe były otwarte, albo miał klucze. – Huldar otworzył drzwi do pokoju. – Proszę bardzo. Możesz dotykać

wszystkiego. Przeczesywaliśmy go już kilka razy.

W pokoju wszystko pokrywała warstwa proszku daktyloskopijnego. Czowała się, jakby wchodziła do zamkniętego przed wiekami, usłanego kurzem grobowca, który teraz służył za pokój zabaw. Podłogę pokrywało pobojuwisko składające się z zabawek pomieszanych ze stosami dziecięcych ubrań, z których – o dziwo – niektóre wciąż były złożone. Freyja domyślała się, że pokój nie mógł tak wyglądać wcześniej i bałagan jest wynikiem policyjnych czynności. Opróżnione regały, otwarta i ziejąca pustką szafa były tego dowodem.

– Czy powinnam wyciągnąć coś z tej zakurzonej hałdy ubrań?

– Tak. Wygląda na to, że tak. – Huldar oparł się o framugę drzwi i obserwował bacznie, jak pochylała się, szukając najmniej zabrudzonych ciuchów. Żałowała, że miała na sobie tak obcisłe spodnie, najchętniej wskoczyłaby teraz w długą i obszerną spódnicę. Myśl o tym, że mógłby uznać, iż dla niego tak się wystroiła, była nie do zniesienia. Źle się czuła, wiedząc, jak na nią patrzył, więc najchętniej poprosiłaby, aby wyszedł i poczekał na zewnątrz. Ale zanim zebrała się w sobie, by mu to zaproponować, przerwał jej rozważania. – Ubrania są jeszcze w pralni, ale oczywiście nieświeże, noszone. – Uśmiechnął się. Zmęczenie jakby zniknęło z jego twarzy.

– Właśnie. – Freyja próbowała strzepnąć pył z dwóch par spodni i koszulek. Nachyliła się do przodu, by uniknąć chmury kurzu unoszącej się w powietrzu. Zanim uznała, że już wystarczy, wyszperała ze sterty majtki i skarpetki. Przecież zawsze mogła tu wrócić. – To chyba na razie wszystko. – Wyprostowała się. – Następny pokój, proszę.

Huldar poprowadził ją przez korytarz do pokoju Margrét, w którym także nie dało się nie zauważyć śladów po przeszukaniu. Pokój był jednak większy i widok nie był aż tak przytłaczający, jak u chłopców. No i ubrania miały inne kolory. Dziewczęce sukienki wymieszane były z dżinsami i bluzeczkami w kotki czy inne słodkie zwierzaki, żadne tam krokodyle czy dinozaury. Freyja z miejsca zabrała się do pracy. Wszechobecny pył uniósł się w powietrze i zaczynał drapać ją w gardle. Pragnęła jak najszybciej stąd wyjść. Kiedy znalazła już tornister dziewczynki i wybrała ubrania, musiała jedynie zabrać szczoteczki do zębów i gumki do włosów, o które szczególnie proszono.

Stojąc w przejściu, Huldar powiedział lekko ochryłym głosem:

– Mam na imię Jónas. Huldar Jónas. Nie skłamałem do końca. No i urodziłem się, i wychowałem w Egilsstaðir.

Freyja zamarła, pochylona nad stertą ubrań. Miała nadzieję, że ukryją jej reakcję. Wyprostowała się i z szyderczym uśmiechem na twarzy wypaliła:

– To dobrze. I jesteś też pewnie stolarzem po godzinach?

Skruszony, głupkowaty wyraz twarzy Huldara zniknął bezpowrotnie.

– Nie, ale wszystko inne jest prawdą. W pewnym sensie.

Freyja odwróciła się przodem do góry rzeczy.

– Wiesz, jest mi wszystko jedno. Ale byłoby mi miło, gdybyś nie wracał już więcej do tematu naszej wcześniejszej znajomości. – Była zadowolona, że nie widzi jej twarzy, bo czuła, że się zaczerwieniła. Szkoda, że nie można było wyrzucić z pamięci wspomnień, tak jak to się robi z historią w komputerze. – Ja w każdym razie nie chcę już do tego wracać. To nie były aż tak niezapomniane chwile, żebym miała z tym jakiś problem. Mam nadzieję, że myślisz podobnie.

– Chciałem cię tylko przeprosić i wytłumaczyć, dlaczego tak się stało.

– Nie, dziękuję. Nie musisz mnie przeproszać. Nie zależy mi na tym. – Musiała się bardzo pilnować, by nie zdradzić przed nim zdenerwowania. Czuła, że za chwilę załamie się jej głos. Bolało ją to i wciąż czuła się urażona. Cała ta głupia sytuacja była jakby żywcem wzięta z drugorzędnego filmu o miłości. Budzisz się rankiem, zarzucasz rękę na bok i natrafiasz na zimne wgłębienie w pościeli tam, gdzie powinien leżeć twój kochanek. Żadnych odgłosów dochodzących z kuchni, zapachu świeżo parzonej kawy, skwierczących na patelni jajek. Nawet liściku pożegnalnego. Nigdy nie czuła się bardziej zażenowana. Mężczyźni, których do siebie zapraszała, przeważnie nie mieli potrzeby uciekania od niej, za pomocą spuszczonej z okna prześcieradeł. Pocieszała się po cichu, że przynajmniej wyszedł schodami.

– Po prostu jest tak, że jak mówię kobietom, gdzie pracuję, to...

– Dobrze, dobrze, ty mój biedaku. – Freyja podniosła kartkę, która leżała przykryta sweterkiem w paski. W rogu malunku był podpis Margrét. Przyjrzała się rysunkowi, po czym zwróciła go w stronę Huldara. – Co to jest?

– Rysunek dziewczynki, na to wygląda. – Huldar nie ukrywał zadowolenia ze zmiany tematu. – Nie przejmuj się jakimiś bazgrołami. Wszystko, co jest istotne dla sprawy, zabraliśmy ze sobą. Tu jest tego pełno, w kuchni też.

Freyja rozejrzała się po pokoju. Od razu dostrzegła rozrzucone wszędzie kartki. Na niektórych z nich były konwencjonalne obrazki zachodzącego za górami słońca, ale Freyja szybko wyłowiła wzrokiem inne, przypominające ten, który trzymała w rękach.

– To nie jest zwyczajny obrazek.

– Zwyczajny? Co znaczy zwyczajny obrazek? – Huldar wziął od niej kartkę. – Przecież to tylko dom, a obok jakaś postać. Nie widzę w tym nic szczególnego.

– W mojej pracy zajmuję się między innymi interpretacją rysunków dzieci. Wiem, że to nie jest zwyczajny obrazek. Powinieneś oba zabrać ze sobą. – Freyja się wyprostowała. – Radziłabym ci zebrać je wszystkie i oddać do analizy. Możemy wam w tym pomóc, jeśli chcesz.

Huldar patrzył sceptycznie na malunek. Freyja stanęła tuż obok niego.

– To jest jej dom. Dom, w którym właśnie jesteśmy. Przecież musisz to widzieć.

– Tak, tak.

– A ten człowiek tutaj – mówiąc to, wskazała na czarną postać, prawie tak dużą jak budynek – stoi i obserwuje dom, widzisz? Ręce ma uniesione do góry, jakby chciał zaatakować. Czarny kolor oznacza, że jest zły. Bardzo możliwe, że namalowała coś, co wcześniej widziała. Być może zabójca obserwował rodzinę, żeby poznać ich zwyczaje. A ona mogła przeczuwać coś złego, chociaż nie wspomniała o tym rodzicom. Czasami ukrywane przez dzieci tajemnice wychodzą w ich rysunkach. Nie musi tak być zawsze, ale zdarza się dość często. Jeśli faktycznie widziała tego mężczyznę kręcącego się wokół domu, jest szansa, że mogłaby opisać go ze szczegółami.

Huldar spojrzał na nią.

– Co ty nie powiesz... – Na jego twarzy malowało się skupienie. – Chcę ją jeszcze dzisiaj przesłuchać. Masz godzinę, by wszystko zorganizować. – Wziął do ręki drugi rysunek. – Godzinę, licząc od tej chwili.

Wiedziała, że nie ma już sensu szukać gumek do włosów. A o spotkaniu z koleżankami może zapomnieć.

Rozdział 9

Radiostacja stała na swoim stałym miejscu, na stole. Dostrojona do islandzkiego nadawcy. Słyszeć było tylko regularne trzaski dochodzące ze słuchawek. Choć audycja jeszcze się nie zaczęła, Karl czuł się coraz bardziej podenerwowany i wiercił się na krześle. Czuł na sobie spojrzenia przyjaciół, którzy siedzieli z tyłu.

– Nie rozumiem tego. – Już od godziny powtarzał w kółko to samo zdanie. I nieważne, jak bardzo starałby się tego nie robić, słowa te wyskakiwały mu z ust. Jakby były ziarenkami kukurydzy, a on sam miał w sobie maszynę do robienia popcornu, która działa wbrew jego woli. – Może zacznie się o siódmej? – Była za dziesięć siódma.

Halli ziewnął za jego plecami.

– A może i nie.

Karl skrzywił się i wziął głęboki oddech. To była całkowita porażka. Dlaczego nigdy nic mu się nie udawało? Jaką szansę na sukces miał taki człowiek jak on? Marną. Jeśli w następnym dziesięcioleciu choć trochę mu się nie poszczęści, wyląduje poniżej jakiegokolwiek średniej. W każdym razie nie mógł sobie przypomnieć, żeby mu się ostatnio coś udało. Pomimo tego wciąż wpadał w mentalną pułapkę, wierząc, że w końcu się przez nią prześlizgnie. Nigdy też nie przyszło mu do głowy obmyślenie planu B. Mógłby jednak być na tyle mądry, żeby z góry znieść do sutereny telewizor, dzięki czemu koledzy, czekając na audycję, pooglądaliby sobie film albo w coś pograli. Kretyn i tyle. Ledwie jednak pomyślał o telewizorze, zorientował się, że tak naprawdę nigdy by tego nie zrobił, bo chociaż nie był to staroświecki odbiornik w kształcie tuby, lecz telewizor z płaskim ekranem, miał ledwie wielkość ekranu komputera. Jeden z najtańszych modeli, tak jak i wszystko inne, co kupowała jego matka. Najdroższe w całym domu były jego radiostacje, na które sam uzbierał pieniądze.

Nic też nie dałoby zabranie kumpli na górę, aby tam pooglądali lub pograli. Nie mógł pozwolić na to, by snuli się między całym tym bezgüsciem. Wyposażenie mieszkania nie miało nawet takiego potencjału, że gdyby odpowiednio długo poczekać, stałoby się znowu modne, co przecież często się zdarzało. Gdy więc

tylko koledzy zdjęli kurtki w przedsionku, w którym ze ściany na wpół zdziwionym spojrzeniem mierzył ich Che Guevara, czym prędzej zeszli razem do piwnicy. Wizerunek Che był jednym z dowodów niezrozumiałej dla Karla lewicowości jego matki. Poza tym przejawiała się ona głównie tym, że matka stroiła głupie miny, kiedy mówiono o Ameryce. Dziękował Bogu, że wypłowiła reprodukcja, której ramki były już w dwóch miejscach rozeschnięte, nie spadła ze ściany, gdy koledzy wygłupiali się w ciasnym pomieszczeniu. Nie zależało mu na portrecie, nie chciał tylko, by zwrócili na niego uwagę.

Sam nie mógł pojąć, dlaczego do tej pory nie usunął z domu obrazu i innych tego typu rzeczy. Lenistwo, lenistwo, lenistwo. Przecież jeśli był z czegoś niezadowolony, tylko on jeden mógł to zmienić. Raz jeden nawet podjął inicjatywę i sprowadził do siebie handlarza starociami, ten jednak przeszedł się po domu z ołówkiem i kartką w ręku, by wreszcie stwierdzić, że oprócz radiostacji, które go zainteresowały, nic nie nadaje się na sprzedaż. A przecież właśnie ich Karl nie chciał sprzedać, więc zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie.

Nie żeby nie przydały mu się pieniądze. Jego matka za życia oszczędzała każdą koronę, by spłacić kredyt na dom, posiadał więc nieruchomość, musiał tylko uzbierać na nowe wyposażenie. Utrzymywał się ze stypendium studenckiego i doskonale wiedział, że jeśli nie weźmie się za zdawanie egzaminów, będzie miał problemy. Szanse na to były bardzo małe, dlatego zaczął już zastanawiać się nad sprzedażą domu oraz kupnem małego mieszkania. Mógłby je umeblować po swojemu, a za resztę kasy trochę zaszaleć.

Tylko że nie mógł się zdecydować.

Tracił zapał za każdym razem, kiedy myślał o przeprowadzce, przypominał sobie, ile zachodu kosztowało go załatwienie pozwolenia na montaż ogromnej anteny radiowej, która teraz wisiała z przodu domu. Podejrzewał, że jeszcze trudniej mu będzie zdobyć zgodę na zamontowanie jej na bloku mieszkalnym. Poza tym połowa domu należała się Arnarowi, co oznaczało, że jego część spadku mogła nie wystarczyć na mieszkanie. Tu natomiast mieszkał za darmo. Przynajmniej na razie, bo trudno było przewidzieć, jak długo brat będzie to akceptował. Arnar do tej pory nie domagał się podziału majątku dlatego, że załatwienie spraw spadkowych wymagało za dużo zachodu, a nie dlatego, że troszczył się o Karla. Nigdy nie byli ze sobą zbyt blisko, a gdy Arnar wyjechał do Ameryki, więź urwała się na dobre.

I tak nie było czego żałować, bo kiedy jeszcze mieszkali razem, ich obcowanie ograniczało się do kiwania sobie głową, gdy siadali do śniadania, albo pytania o to, czy jeden nie widział czegoś, co drugi gdzieś tam zgubił. Na święta Bożego Narodzenia lub urodziny poprzestawali zaś na dziękowaniu sobie nawzajem za prezenty, które matka kupowała w ich imieniu. W zasadzie nic więcej ich nie łączyło. Gdy Karl był młodszy, próbował przebić się przez skorupę obojętności starszego brata, ale bezskutecznie.

Karl miał nadzieję, że Arnar po prostu zapomni o mieszkaniu i skromnym majątku po matce. I chociaż ich kontakty trochę się ociepliły, po tym jak starszy brat wydorósł, równie dobrze mógł się już nigdy do niego nie odezwać. Wyglądało na to, że ma już dość na głowie. Nowa kobieta, nowa praca. Zapuszczał korzenie po drugiej stronie globu. Ich rozmowy były coraz rzadsze. Arnar wprawdzie dzwonił w ostatnich tygodniach życia matki, ale przestał niemal natychmiast po jej śmierci. Kiedy próbował tłumaczyć się ze swojej obojętności, zasłaniał się różnicą czasu. To przypominało Karlowi o dzielącej ich różnicy wieku, którą w czasie, gdy dorastali, matka tłumaczyła sobie brak braterskiej więzi. Różnica czasu, różnica wieku. Zawsze będzie między nimi jakaś różnica.

Karl gapił się na krótkofalówkę Collinsa i siłą wyobraźni próbował zmusić ją do wydania z siebie dźwięku. Ale nic to nie dało, ucichły nawet trzaski. Miał ochotę krzyczeć, bo wszystko w nim gotowało się ze złości. Próbując się uspokoić, oddychał głęboko. To go odprężało. Nie miał na nic wpływu, więc niepotrzebnie się denerwował, mimo wszystko jednak czuł rozczarowanie i frustrację. Zamiast sprawić, że kumplom udzieli się jego fascynacja dziwną islandzką stacją radiową, zanudzał ich na śmierć.

Karl odwrócił krzesło w stronę kolegów. Halli spał jak zabity, rozwalony na obskurnej małej sofie. Jego łepetyna ze strzechą czarnych, tłustych włosów co chwila opadała na ścianę. Karl złośliwie cieszył się na myśl, że gdy kumpel się obudzi, będzie bolał go kark. Mógł jednak okazać minimum zainteresowania, bałwan niewychowany. Pewnie to dwa piwa, które wlał w siebie wcześniej, i trawka, którą wypalili, tak go zmorzyły. Nagle Halli zaczął rzeźcić i przez chwilę wyglądało na to, że zaraz wybudzi się ze swojej drzemki. Ale tylko zamlaskał, po czym zamknął buzię i spał dalej.

W tym momencie Karl uzmysłowił sobie, że włosy Halliego pozostawia plamę

na ścianie. Odkąd go znał, Halli wiązał swoje cienkie i przetłuszczające się włosy w koński ogon. A nieśmiertelna skórzana kurtka, którą nosił wiosną, latem, zimą i jesienią, miała na kołnierzu świecąca płamę w miejscu, gdzie dotykały go włosy. Ale teraz, kiedy matki nie było już na świecie, nie miał kto zwracać na to uwagi, a tym bardziej denerwować się z tego powodu. Jemu samemu na pewno nie spędzałoby to snu z powiek, nie wspominając o tym, że stan całego mieszkania pozostawiał wiele do życzenia. Na umycie czekał pełen zlew brudnych naczyń, sprzątaną domagała się też pralnia, łazienka i w zasadzie całe górne piętro. Zadziwiające, jak szybko można było zamienić dom w chlew. W porównaniu z resztą suterena wyglądała jeszcze znośnie, ale to chyba tylko dlatego, że rzadko w niej jadał, bojąc się, by nie zalać lub nie zabrudzić delikatnych urządzeń.

Börkur założył nogi na oparcie krzesła, równie brzydkiego jak sofa. Przeglądając wyświechtaną gazetę, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto się dobrze bawi. Jednak przynajmniej nie chrapał z rozdziawioną buzią.

– Jeśli nic się nie wydarzy do siódmej, to chyba pojedę do domu. – Rzucił gazetę na stolik stojący obok sofy. – A może pójdziemy do kina czy coś takiego? Strasznie chce mi się popcornu.

Börkur miał niezwykłą zdolność komplikowania prostych rzeczy, więc dążąc do celu, obierał możliwie najbardziej zawile drogi. Przecież można było kupić popcorn w sklepie, nie trzeba było iść do kina z tego powodu. Już lepszy był Halli ze swoimi utopijnymi marzeniami i oczekiwaniami. Tak czy inaczej, kiedy spotykali się w trójkę, Karl nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bierze udział w jednej z tych audycji radiowych, których wierną słuchaczką była jego mama.

Nie mógł jednak wymienić ich sobie na innych, bo byli jego jedynymi przyjaciółmi. Zresztą i ci dwaj zaprzyjaźnili się z nim nie dlatego, że dobrze czuli się w jego towarzystwie, ale dlatego, że nie mieli w kim wybierać. Poznali się, będąc dorastającymi chłopcami i przez prawie dekadę nikt lepszy się im nie trafił. Na początku było ich czterech, potem przez jakiś czas do grupy należała też dziewczyna. Chociaż nie była żadną pięknoscią, Karl, Halli i Börkur się w niej kochali. Ona jednak nie odwzajemniała uczuć tej trójki i zadała się z czwartym kumplem, Þórðurem, a kiedy zaczęli ze sobą chodzić, szybko zapomnieli o reszcie.

To, że Þórður wypisał się z paczki, nikogo nie dziwiło. Nie podzielał ich zainteresowań i w tym był cały problem. Mało kogo coś takiego interesowało.

Radioamatorstwo nie było w modzie. Karl ze zgrozą obserwował, jak Halli i Börkur też powoli tracili zapał do tego, co sprawiało, że trzymali się razem. Nie było pewne, czy przyjaźń przetrwa. Może miało to związek z tym, że w odróżnieniu od Karla obaj zdali tylko podstawowy egzamin na radiowca i odstawali z umiejętnościami. Zastanawiające, jak Börkurowi w ogóle udało się zdać egzamin. Z czasem Halli przerzucił się na gry komputerowe, a Börkur zaczął gnić przed telewizorem. Ostatnio prawie wcale nie włączali swoich radiostacji i przestali rozmawiać o radioamatorstwie. Karl też coraz rzadziej brał udział w ich bezowocnych dyskusjach o idiotyzmach zaczerpniętych z Internetu, w które Halli bezkrytycznie wierzył. Nie wyglądało to dobrze, więc chociaż Karl starał się wykazać odrobiną zainteresowania, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to początek końca ich przyjaźni. Miał tylko nadzieję, że agonía ich znajomości potrwa jeszcze jakiś czas, dopóki nie znajdzie sobie nowych przyjaciół. Dlatego też liczył, że islandzka stacja nadawcza na nowo rozbudzi w nich zapał.

– O siódmej zaczną nadawać. – W duchu zaklinał się na wszystko, by tak było. – Na sto procent.

– Mówisz? – znużonym głosem zapytał Börkur. – Strasznie chce mi się popcornu.

Karl nie chciał się przyznać, że w domu ma popcorn, bo wtedy Börkur na pewno wsypałby w siebie zawartość torebki i zaczął marudzić, że ma ochotę na coś innego. Był przekonany, że gdyby istniało urządzenie penetrujące rozum ludzki, na wzór koronografu używanego do cewnikowania serca, to jego elementy przepadłyby z kretesem w głowie Börkura. Sam Börkur sprawiał wrażenie zagubionego wśród własnych zwojów mózgowych.

– Jak myślisz, co to może znaczyć? No, ta twoja stacja. A może tylko ci się wydawało, że coś słyszysz? – Börkur pociągnął siarczyście nosem i odsunął z oczu przydługą grzywkę. Dlaczego nie mógł mieć przyjaciół, którzy dbali o wygląd?

– Nic mi się nie przesłyszało. – Karl zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć czegoś brzydkiego pod adresem kolegi. Zawsze starał się spokojnie reagować na jego debilne uwagi, a ten tak mu się odpłacał. Od unoszącego się w powietrzu zapachu trawki zaczęła boleć go głowa. – Nie jestem skończonym idiotą. Spędziłem wiele godzin, słuchając, i wiem doskonale, czego słuchałem.

Na początku godzinami przysłuchiwał się powtarzanym w kółko numerom

PESEL, ale ostatnio doszły do nich jeszcze inne skomplikowane szyfry, których Karl nie był w stanie odczytać. Trzydzieści minus siedem, sześćdziesiąt trzy minus dziewięćdziesiąt dwa, dwadzieścia pięć minus siedem, szesnaście, dwadzieścia dwa minus pięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt dziewięć, dwadzieścia dwa minus pięćdziesiąt trzy. Szesnaście, trzy minus pięćdziesiąt trzy, osiem, sto pięć minus pięć, dziewiętnaście, osiemdziesiąt dziewięć minus sześć. I tak w kółko. – Musimy po prostu uzbroić się w cierpliwość.

Börkur nawet nie zdawał sobie sprawy, jak obraził przyjaciela.

– *Whatever*. Ale jak ci się wydaje, co to wszystko może znaczyć? I komu by się chciało robić coś takiego? Po co? Nie mogę też zupełnie zrozumieć, co robi w tym wszystkim twój PESEL?

– Ja też tego nie rozumiem. – Brzmienie głosu Karla dokładnie odzwierciedlało jego wisielczy nastrój. Było w tym wszystkim coś nieprzyjemnego. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej z tego rozumiał i czuł się coraz gorzej. Wczoraj wieczorem nawet nie mógł zasnąć, tylko leżał w łóżku, gapił się w sufit i przysłuchiwał osobliwym odgłosom, które dochodziły z za okna. Oczywiście nie słyszał niczego dziwnego oprócz trzasków suchych liści w ogrodzie. Nieśmiało wyjrzał przez okno i zobaczył stąpającego pomiędzy krzakami, tłustego kocura z dzielnicy, który po chwili zniknął w ciemnościach nocy. – Wydaje mi się, że ktoś chce mi zrobić kawał. To nie może być nic innego.

Börkur machał nogami w dół i w górę na trzeszczącym pod nim krześle.

– Może. – Z jego miny można było wnioskować, że nie bardzo się z tym zgadza. – Ale komu by się chciało? Przecież nie masz wielu znajomych.

Karl przełknął ślinę.

– Znam wielu ludzi. Na przykład na wykładach siedzi ze mną jakieś dwieście osób. – Nie dodał jednak, że z całej tej masy może z dziesięciu kolegów znało go po imieniu. Nie było mowy, żeby któremukolwiek z nich chciało się poświęcić choćby dziesięć minut swego życia na przygotowanie kawału tego rodzaju, nie wspominając już o puszczaniu go w eter. Jeśli już koledzy ze studiów mieliby mu dokuczyć, zrobiliby to na uczelni. – Pomyślałem, że to mógłby być ktoś od nas, z klubu radioamatorów.

– Tak myślisz? – Wyraz twarzy Börkura mówił sam za siebie. Karl mógł równie dobrze obciążyć winą za to wszystko związek skautów. W podejrzeniu Karla kryła

się jednak jakaś logika. Klubowicze wiedzieli o jego zainteresowaniach cyfrowymi audycjami, znali się na krótkofalarstwie i w przeciwieństwie do kolegów ze studiów posiadali niezbędny sprzęt. Pomimo tego trudno mu było uwierzyć, że potrafiliby wymyślić coś takiego. Przecież prawie już nie bywał na rzadko organizowanych spotkaniach klubowiczów. Ani nikt tego nie zauważył, ani nie robiono mu z tego powodu wyrzutów, ani nawet nie zachęcano, by przychodził częściej. Od czasu, kiedy Halli i Börkur przestali pokazywać się w klubie, był najmłodszym jego członkiem i nic poza bakcylem radioamatorstwa nie łączyło go z resztą zrzeszonych. Ich rozmowy kojarzyły się Karlowi z tymi, jakie musieli prowadzić mieszkańcy domu spokojnej starości, który znajdował się w sąsiedztwie.

To nie byli ludzie w rodzaju tych, którzy chcieliby mu zbiorowo dokuczyć, a już na pewno nie każdy z osobna. Jak słusznie zauważył Börkur: niby po co?

Börkur właśnie drapał się po rozczochranej głowie.

– Tam są wciąż ci sami faceci? – Wyrzucono go z klubu za niepłacenie składki członkowskiej. Ale dopiero po trzech latach, bo kierownictwo chciało za wszelką cenę zatrzymać ludzi w klubie, przymykało więc oczy na coś takiego. Karl przytaknął. – A co z tym drugim numerem PESEL. Kim jest ta kobieta?

– Mnie nie pytaj. Miałem nadzieję, że dzisiaj usłyszę nowe informacje, które pomogłyby w rozwiązaniu zagadki. To po prostu jakaś kobieta, wiem tylko tyle, że nazywa się Elisa Bjarnadóttir. Nie znam żadnej Elisy, nic mnie z nią nie łączy.

– Jesteś pewien?? Może to jest jakaś dalsza rodzina, ciocia, której już nie pamiętasz. Albo ją znasz, tyle że pod zdrobniałym imieniem czy coś takiego.

Karl nie miał pojęcia, co oznaczało owo „coś takiego”. Nie przypominał sobie żadnej cioci, która mogłaby podobnie się nazywać.

– Nie, to nie jest moja rodzina. Szukałem jej na Facebooku. Udostępnia wszystko publicznie, więc przejrzałem fotki. Nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety ani ludzi, którzy są z nią na tych zdjęciach. Zwyczajna żona i matka z miasta...

Nie zdołał dokończyć, bo nagle zaczęło się nadawanie. Nieprzyjemnie znajomo brzmiący dźwięk pozytywki towarzyszył słowom rozpoczynającym audycję. Był to kobiecy głos, wygenerowany syntezatorem. Brzmiał pusto i odpychająco.

– Dobry wieczór. Dobry wieczór. Dobry wieczór. – Cisza. I głos zaczął wyliczanie.

Niemile uczucie zawsze towarzyszące słuchaniu tej audycji nie przeszkodziło Karlowi cieszyć się, że nie zawiódł przyjaciół. Udało się. Halli rozbudził się i teraz jak zahipnotyzowany wpatrywał się w radiostację, zupełnie jakby płynęły z niej odpowiedzi na najważniejsze życiowe pytania. Wiedzieli jednak, że dopóki nie poznają klucza do szyfru, dopóty będą to dla nich jedynie strumienie cyfr brzmiące jak monotony szum.

Rozdział 10

Z automatu do kawy leciał jasnobrazowy strumień. Zanim rozpoczęło się przesłuchanie Margrét w schronisku, Huldar specjalnie wpadł na komisariat, by napić się świeżej kawy. Młynek mełł jak oszalały, wydając dziwne dźwięki, co świadczyło o tym, że skończyły się ziarna w dozowniku. Trudno, postanowił zadowolić się lurą i zadanie uzupełnienia kawy pozostawić komuś innemu. Sam miał wystarczająco wiele spraw na głowie.

Idąc przez biuro, mijał ludzi, którzy pod jego kierownictwem pracowali nad sprawą zabójstwa Elisy. Znał ich wszystkich. Z niektórymi pracował od dawna, z innymi krócej, ale nigdy nie chciał mu się sprawdzać ich mocnych stron. Nie widział takiej potrzeby, bo to było zadanie szefów. Miał tylko nadzieję, że obowiązki porozdzielał według indywidualnych umiejętności. Fakt, że sam awansował, był dla niego tak nierealny, iż dotąd nie poświęcił ani chwili, by się nad tym zastanowić. Nie był pewien, czy sam starałby się o podniesienie rangi, gdyby nadarzyła się okazja. W jakimś sensie wybrał łatwiejszą drogę, w ferworze pracy przyjmując propozycję, a tym samym zgadzając się na awans. W pamięci miał jednak to, przed czym przestrzegał go lekarz sądowy, podejrzewał więc, że oto właśnie popełnił życiowy błąd, który mógł pociągnąć za sobą nieodwracalne konsekwencje.

Zresztą nie miał wiele czasu do namysłu. Prezydium działało błyskawicznie. Zgodnie z tym, co powiedział szef Huldara, Egill, powierzono mu sprawę, bazując na dwóch okolicznościach – po pierwsze był jednym z detektywów wezwanych na miejsce zdarzenia, a po drugie jego nazwisko widniało na czele ułożonej alfabetycznie listy kandydatów. Gdyby nie zgodził się poprowadzić dochodzenia, następnym w kolejności był jednak Leifur, a zatem człowiek, którego Huldar nie znosił i nie chciałby za nic być jego podwładnym. Właśnie dlatego przyjął niespodziewany zaszczyt i zawodowe wyróżnienie, które zapewne skończy się degradacją, gdy śledztwo nie przyniesie zamierzonych efektów. Oczywiście nie musiało to oznaczać końca świata i być może, nawet jeśli wszystko pójdzie dobrze, potem będzie chciał wrócić na swoje dawne stanowisko. Dowodzenie jakoś mu nie

pasowało. Chciałby jedynie móc decydować sam o sobie i o tym, kiedy ma odejść, a kiedy zostać. Bez zwierzchników.

– Super odprawa. – Młoda policjantka uśmiechała się do niego. Proszę bardzo, przynajmniej jeden pracownik potrafiący docenić dzisiejszą naradę, której przewodniczył. Jemu samemu wydawała się ona nieszczerólnie udana, nie lepsza i nie gorsza od tych wszystkich odpraw, w których brał udział do tej pory. Był zawiedziony, bo postanowił sobie, że będzie lepszy. Dużo lepszy. Uśmiechnął się do niej, mając nadzieję, że dziewczyna nie idzie właśnie po kawę do pustego automatu. Zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, jakiego rodzaju zadania jej przydzielił. Jeśli przyjemne, to może choć one wynagrodzą jej rozczarowanie związane z brakiem kawy.

– Jak leci? – Huldar zastygł w miejscu obok Ríkharðura. Widział, że było już za późno na udawanie pośpiechu. Czuł się udręczony ciągłym roztrząsaniem i przeklinaniem samego siebie za to, co się wydarzyło między nimi.

– Źle. Wygląda na to, że nikt nie może tego rozszyfrować, a w Islandii nie mamy kryptologów. – Ríkharður wraz z innymi pracował nad rozszyfrowaniem wiadomości znalezionej w kopercie w domu Elisy. – Pytanie, czy nie powinniśmy poprosić o pomoc kogoś z zagranicy.

– A jeśli to jest po islandzku?

Kiedy zaczęli ze sobą rozmawiać, Huldar trochę się odprężył. Uspakajało go to, jak normalny wydawał się Ríkharður, co tak naprawdę było nienormalne, bo zawsze zachowywał się sztywno i nie okazywał emocji. Normalnie nienormalny Ríkharður był dowodem na to, że nie wiedział, co wydarzyło się między jego żoną Karlottą a Huldarem. Wyglądało na to, że już wkrótce nie będzie musiał się tym martwić. Minęło wiele miesięcy, odkąd spotkał w barze Karlottę, i było mało prawdopodobne, że ich lekkomyślny i głupkowaty seks w toalecie wyjdzie na jaw. Zważywszy, że Ríkharður i Karlotta właśnie się rozwodzili. Raczej nie odważyłaby się powiedzieć mu o tym na pożegnanie.

– Mam na myśli, czy to nie jest bez sensu rozszyfrowywać kod oparty na języku, którego się nie zna? A może to w ogóle nie jest żaden kod?

– No tak. Przypuszczalnie. Ale mogliby nam przynajmniej doradzić, naprowadzić na jakiś trop. Ja w każdym razie nie widzę szans, abyśmy mogli to rozszyfrować bez pomocy z zewnątrz. – Ríkharður odsunął od siebie kopię listu

z nieukrywanym obrzydzeniem. Kartka zsunęła się bez przeszkód z jego niezagraconego i zawsze idealnie uporządkowanego biurka.

Huldar schylił się po nią i położył na brzegu stołu.

– Przygotuj wniosek o udzielenie nam pomocy z zagranicy. Interpol chyba ma u siebie wykwalifikowanych ludzi, którzy mogliby nas chociaż naprowadzić na jakiś trop? – Upił łyk zimnej już lury i się skrzywił. – Do tego czasu zajmij się czymś innym. Czy wiadomo coś więcej o mężu Elisy, Sigvaldim?

– Wciąż to samo. Czyli nic. Tak jak jego żona, wydaje się bez skazy. Żadnych sporów, wrogów, prześladowców. Nikomu nie udało się czegokolwiek ustalić.

– A w pracy? Nic się nigdy nie wydarzyło? Błąd w sztuce lekarskiej albo molestowanie pacjentów? Albo coś w tym stylu?

Ríkharður pocierał nos, chociaż w jego zwyczaju nie leżało okazywanie jakichkolwiek emocji.

– Molestowanie seksualne pacjenta? On jest ginekologiem, na litość boską!

Huldar przyglądał mu się ze zdziwieniem.

– Ale wiesz, że nie wszystkie pacjentki ginekologów muszą być z automatu zarażone chorobami wenerycznymi, prawda?

– Nie, nie o tym myślałem. Wydaje mi się, że większość jego klienteli to kobiety ciężarne. Pracuje na porodówce.

– Ach tak, rzeczywiście. – Jakże mógł pomyśleć o tym, że piękny i gładki Ríkharður przypisywał pacjentkom opryszczkę czy kiłę. Takie choroby nie mieściły się w obszarze jego wyobraźni. Gładcy i piękni nie zarażali się czymś takim. – Trzeba to bliżej zbadać. Jeśli dobrze kojarzę, to właśnie położnicy mają najwięcej spraw założonych w sądach lekarskich. I wszystko jedno, czy jest to sprawiedliwe, czy nie.

– Tak, sprawdzę to. – Ríkharður wpatrywał się przed siebie, ale chyba nie patrzył na nic konkretnego. – Niezły pomysł. To musi być straszne, stracić nowo narodzone dziecko albo liczyć się z trwałym upośledzeniem, wiedząc, że można było temu zapobiec.

Huldar udawał, że go to mało interesuje. W duchu jednak błagał, by znowu nie wypłynął temat ostatniego poronienia Karlotty. Mógł być przecież potencjalnym ojcem nienarodzonego dziecka.

Strach i towarzyszący mu ból brzucha związane z tą sprawą wystarczyłyby na

całe życie. Od czasu kiedy w listopadzie Ríkharður z dumą oznajmił mu, że Karlotta jest po raz trzeci w ciąży, do momentu, gdy już po cichu powiedział, że poroniła, Huldar czuł się, jakby sam nosił coś w brzuchu. Szczególnie kiedy odważył się w końcu zapytać, który to tydzień ciąży, i szybko wyliczył, że niestety mogło to być jego dziecko. Współczuł małżeństwu, ale też odczuł ulgę, gdy przybity Ríkharður doniósł mu o poronieniu. Nie chciał czekać ze strachem na narodziny dziecka, które mogłoby mieć tak jak on brązowe oczy, zamiast pięknych błękitnych po obojgu rodzicach. Odczuwał wstyd, że zdradził kolegę, z którym może nie byli szczególnie zaprzyjaźnieni, ale pracowali ze sobą dość często, dużo więcej niż z innymi policjantami. Zdrada była więc niewybaczalna i zupełnie nie rozumiał, dlaczego sobie na to pozwolił. Pomijając fakt, że Karlotta była piękna i pociągająca.

W zasadzie nie musiała niczego robić, tylko patrzeć mu w oczy i szelmowsko się uśmiechać, by zapomniał o bożym świecie i pozwolił pierwotnym instynktom przejąć nad sobą władzę. Dobrze wiedział, że Ríkharður był przez cały weekend na kursie strzeleckim, a Karlotta została sama. Lepsza okazja nie mogła się nadarzyć. Huldar odkaszłał, czując, że zaschło mu w gardle.

– Tak. Niech któryś z naszych ludzi zajmie się sprawdzeniem list rodziców skarżących lekarzy położników. Może będą jakieś powiązania z Sigvaldim.

– Tak myślisz? Zdaje się, że on ma bardzo dobrą opinię. Swego czasu Karlotta próbowała się do niego dostać i nie miał wolnych terminów. Wygląda na to, że trzeba planować urodzenie dziecka na wiele lat naprzód, by trafić pod jego opiekę. Gdyby był kiepski, nie byłoby do niego takich kolejek.

– Sprawdź to jednak. Musimy podjąć ten trop. – Huldar się wyprostował. – Jeśli dziewczynka ma rację, że na celowniku mordercy znajduje się druga kobieta, to jest to dla nas ważne.

– Ale dlaczego ktoś, kto zabił doktorowi żonę z powodu błędu w sztuce lekarskiej, miałby znowu zabijać? – Ríkharður jak zawsze przeszedł do sedna sprawy. – Czy nie powinien był zabić lekarza? Po co mordować żonę?

– Nie mówię, że mordercę z Sigvaldim na pewno coś łączy. Ale nie możemy tego wykluczyć, chociaż wydaje ci się to głupie. – Odpowiedzi na pytania Ríkharðura dyscyplinowały jego umysł. – Na przykład nie wiemy, czy morderca nie zamierzał zabić Sigvaldiego, którego akurat nie było w domu, więc w zamian

uśmiercił jego żonę. No i poza lekarzem mogą być jeszcze inni, którzy ponoszą winę za popełnione błędy. Możliwe, że zamieszana w to była położna lub pielęgniarka. A może w grę wchodzi jeszcze coś innego? – Huldar starał się zmienić temat rozmowy, bo po wszystkim, co zaszło, gryzło go sumienie, że to właśnie z Ríkharðurem rozmawiał o posiadaniu potomstwa. To już przekraczało wszelkie granice przyzwoitości. – A urząd skarbowy? Trzeba sprawdzić wszystkie sprawy, z którymi powiązana była Elisa. Może doprowadziła kogoś do furii, bo mu wymierzyła wysoki podatek lub karę pieniężną. Ci ze skarbowki potrafią doprowadzić ludzi do bankructwa, a kłopoty finansowe to klasyczny motyw zabójstwa. Słyszałeś, jak idą postępy w tej sprawie?

– Nie. Nie zajmuję się tym. Andi i Tómas dostali to zadanie.

Huldar pokiwał znacząco głową i rozejrzał się po biurze. Nie dostrzegł żadnego z nich i mógł jedynie wierzyć, że właśnie są w urzędzie skarbowym, zbierając dowody i zeznania współpracowników ofiary. Przypomniawszy sobie, co mówił medyk sądowy podczas sekcji zwłok:

– Odkurzacz mógłby pasować do motywów zbrodni tego rodzaju.

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy brzmi to rozsądnie, ale może morderca użył odkurzacza, by podkreślić fakt, że skoro ona wyciągnęła mu pieniądze z konta, to on wyciągnie z niej życie. Taka metafora.

Z wyrazu twarzy Ríkharðura można było wyczytać, że nie podziela jego zdania.

– No, może. – Poruszył myszką, by wybudzić komputer z uśpienia. Na ekranie pojawiło się wypełniające całkowicie jego przestrzeń zdjęcie Karlotty. Odkąd Huldar sięgał pamięcią, zawsze miał tam jej zdjęcie, a na komputerowym pulpicie panował taki sam porządek, jak na biurku. Niewiele ikon, poukładanych w równym rzędzie po lewej stronie ekranu, dlatego też twarz Karlotty była dobrze widoczna. Ríkharður pośpiesznie wyłączył komputer.

Kiedy na początku roku oznajmił kolegom, że Karlotta odeszła od niego, Huldar przestraszył się na dobre. Po uldze, którą odczuł po nieudanej ciąży, znowu zaczął się bać. Przerazało go, że Karlotta mogła zostawić męża, bo liczyła na związek z nim. Jednakże rozmowa telefoniczna z Karlottą raz na zawsze rozwiła wszelkie jego wątpliwości. Rozwód nie miał z nim nic wspólnego. A kiedy zapytał ją raz jeszcze, dla pewności, jej ironiczny śmiech utwierdził go, że to, co mówiła,

zgadzało się z tym, co myślała. Po prostu nie pasowali do siebie z Ríkharðurem. Ríkharður oczywiście nie podzielał jej zdania, co nie było trudne do zrozumienia. Oboje wyglądali, jakby byli dla siebie stworzeni. Zawsze piękna i perfekcyjna Karlotta prezentowała się jak żeńskie wydanie Ríkharðura. Huldar nie przypominał sobie, żeby na jej pomalowanych paznokciach kiedykolwiek widział choćby minimalny odprysk lakieru. Drugiej takiej Ríkharður na pewno już nie znajdzie.

Ríkharður nieprzerwanie mówił o dochodzeniu, tyle że trochę się zacinał.

– A czy rzeczywiście nie powinniśmy skoncentrować się na wszystkich czarnoskórych, którzy mogliby być powiązani z Elisą albo jej mężem? – Robił do tego uwagi już na odprawie wydziałowej po tym, jak Huldar stwierdził, że nie ma podstaw, by szukać mordercy na podstawie rysopisu podanego przez Margrét. Był on za mało konkretny, choć nie wykluczali, że w czasie ponownego przesłuchania obraz się wyklaruje. Ríkharðurovi oraz innym kolegom zarzucenie tego tropu wydawało się mało rozsądne.

– Jak mówiłem, na razie się z tym wstrzymamy. Jadę teraz do schroniska, gdzie spróbuję po raz kolejny porozmawiać z dziewczynką. Możliwe, że będę miał po tym lepsze rozeznanie w sprawie i okaże się, czy to wszystko nie jest po prostu jakąś bzdurą. – Huldar spojrział na zegarek. Zaraz będzie spóźniony. – Nie chcemy, by nas posądzili o rasizm, gdyby wyszło na jaw, że widziała mordercę stojącego w cieniu i dlatego wydawał jej się czarny. Gdybyś jednak natknął się w bazie na czarnoskórego, przyjrzyj mu się uważnie.

– Do tej pory na żadnego się nie natknąłem i dopóki nie wydasz konkretnych zaleceń, na siłę nie będę szukał nikogo podobnego.

– No oczywiście, że nie. – Huldar się uśmiechnął. Trzeba było przyznać, że jak Ríkharður wzorowo wyglądał i się zachowywał, tak i wzorowo wypełniał rozkazy. Bez wyjątku. Huldar wciąż miał wyrzuty sumienia z powodu Karlotty i chciał się zrewanżować. – Chcesz iść ze mną na przesłuchanie w schronisku? – zapytał i zaraz tego pożałował, bo niepotrzebnie wprawił Ríkharðura w zakłopotanie.

– Nie dam rady. Zapowiedziałem się w tym małym centrum sklepowym, pamiętasz? Mam tam przejrzeć taśmy z kamerki bankomatowej. – Wyglądał na sfrustrowanego, jakby chciał scedować na kogoś ten obowiązek i pojechać z Huldarem na przesłuchanie. Huldar nie miał mu tego za złe, zwłaszcza że z zadaniem, które rano sam mu przydzielił, nie wiązał wielkich nadziei. Osiedlowy

bankomat znajdował się przy jednej z głównych ulic prowadzących do domu Elisy, kamera mogła więc przypadkiem zarejestrować zabójcę. Jednakże bardziej prawdopodobne było to, że jej wizjer został nakierowany w dół, raczej więc nie wyłapywał ulicy. Trzeba było jednak wysłać tam kogoś, by to sprawdził.

– Jasne. Najwyżej pojedziesz ze mną następnym razem, bo coś czuję, że jeszcze się tam wybierzemy.

Huldar się pożegnał. Poszedł do swojego biura po kurtkę i kluczyki do auta. Po drodze rozglądał się za czymś, co mogłoby posłużyć mu jako tarcza przed spotkaniem z Freyją. Miał już po dziurki w nosie tak wywlekania na światło dzienne swojego życia osobistego, jak i jej jadowitego spojrzenia. Najgorsze jednak było to, że nie przestała mu się podobać i był gotów odświeżyć tę znajomość. Jednak nie wyglądało na to, żeby i ona miała ochotę. Uśmiechnął się pod nosem, gdy uzmysłowił sobie, że najwyraźniej wystroić się przed spotkaniem z nim w domu Elisy i Sigvaldiego. Może więc jeszcze nie wszystko było stracone.

Rozdział 11

Suczka Molly jak zwykle przeszywała wzrokiem swoją panią. Freyja westchnęła cicho. Wciąż nie przyzwyczała się do posiadania zwierzaka. Za każdym razem, gdy patrzyła w mądre, brązowe oczy suki, miała wyrzuty sumienia, że nie dość często wyprowadza ją na spacer i nie karmi najlepiej. Sama nigdy nie zdecydowałaby się na psa, a już na pewno nie równie dużego. Molly musiała mieć konia wśród swych prapraprzodków, ale taką właśnie rasę cenił sobie brat Freyi, do którego pies należał. Baldur wybrał sobie pupila, który idealnie nadawał się do rapowych teledysków, gdzie siedziałby w drogiej limuzynie i poszczekiwał wśród kręcących tyłkami dziewczyn. To był pies, który mógłby gasić pragnienie krwią i z łatwością rozgryzać kości dinozaurów. Freyja podejrzewała nawet, że pod grubą sierścią kryje się tatuaz. Minął już miesiąc, odkąd zajmowała się Molly i dopiero teraz wyzbyła się obaw o utratę palca czy całej ręki.

Suczka ziewała, mocno rozwierając pysk i prezentując ostre białe zęby. I chociaż Freyja czuła przed nią respekt, coraz bardziej lubiła jej towarzystwo. Doceniała je szczególnie nocą, kiedy budziły ją dochodzące z klatki schodowej krzyki i hałasy osobliwych mieszkańców tego, pozał się Boże, bloku. Jej brat nie był tu jedynym lokatorem z marginesu społecznego. Jakim sposobem ci wszyscy nieszczęśnicy wylądowali pod jednym dachem, tego nie mogła pojąć. Może istniało jakieś forum internetowe o nazwie Skupisko.com, na którym dzielono się informacjami o miejscach pobytu i umawiano na wspólne mieszkanie? Stan całej kamienicy był opłakany, nie było więc trudno wynająć lub kupić tu lokum, bo siłą rzeczy metr kwadratowy kosztował niewiele.

Molly przestała ziewać i odwróciła swój ogromny pysk ku Freyi, wyglądając przy tym, jakby się na nią obraziła. Freyja poczuła wyrzuty sumienia, że kolejny raz nie zajęła się nią jak należy. Nie wyszła na długi spacer, tylko wypuściła na krótko przed dom, na podwórko usłane śmieciami i pustymi puszkami po piwie, gdzie suczka znalazła sobie miejsce, by się załatwić. Nie był to pierwszy raz, kiedy praca okazała się ważniejsza od wcześniejszych postanowień odnośnie do opieki nad psem.

– Pójdziemy na spacer, kiedy wrócę z pracy. – Nie powinna była wypowiadać słowa „spacer”, bo suczka od razu podniosła uszy i wywiesiła jęzor. Freyja westchnęła, po czym sięgnęła po karton z zamówioną poprzedniego wieczora pizzą i wyszukała kawałek z największą ilością salami. – No masz. – Pies połknął kawałek w całości, oblizwał pysk językiem wielkości dużego fileta z ryby i wpatrzył się we Freyję, licząc na dokładkę. – Niestety, moja droga. Nie możesz u mnie przytyć. – Molly przekrzywiła głowę na bok i wciąż mierzyła ją wzrokiem. Jeszcze nie była za gruba, ale niewiele brakowało. Kiedy odbierała suczkę od kolegi Baldura, który, jak wcześniej ustalili, miał się nią opiekować podczas odsiadki brata, była bardzo wychudzona.

Oczywiście, że szlachetny przyjaciel nie dotrzymał obietnicy i wkrótce też trafił za kratki. Brat Freyi wielkodusznie użyczył jej swojego mieszkania, dlatego nie mogła odmówić opieki nad psem. Natomiast w zamian za użyczenie samochodu nie wzięłyby pod opiekę nawet złotej rybki. Kiedy przed chwilą uruchamiała go przed domem, stary grat wydał z siebie niepokojące rżenie. Co oznaczało, że gdy będzie ruszać na zebranie do schroniska, powinna mieć pod ręką numer telefonu na taksówkę.

Zegar, który wisiał krzywo na ścianie w kuchni, wskazywał, że już czas na nią. Ponowne przesłuchanie dziewczynki, które z polecenia Huldara miało odbyć się w ciągu godziny, zostało przesunięte na popołudnie. Dziadek Margrét nie zgodził się na ponowne przybycie w tak krótkim czasie. Poza tym dzieci spotkały się w końcu ze swoim ojcem i kolejna z nim rozłąka byłaby dla Margrét zbyt stresująca. Stojąc przed ledwie uchylonymi drzwiami, Freyja wyblagała spotkanie godzinę później. Starszy pan nie wpuścił jej do mieszkania, nie mogła więc zobaczyć ani dzieci, ani ojca czy też ich babci. Przez szczelinę w drzwiach słyszała tylko ich płaczliwe, stłumione głosy. Nie była w stanie zrozumieć, o czym rozmawiają, ale i też nie chciała przysłuchiwać się temu, co działo się w środku. Nie chciała tej biednej i okaleczonej rodzinie zakłócać spokoju.

Kiedy wracała do samochodu, czuła wciąż czujny wzrok dziadka na plecach. Tak jakby chciał mieć pewność, że stąd zniknie. Zatrzasnął drzwi od mieszkania dopiero wtedy, kiedy otworzyła swoje od auta. Czy sądził, że do czasu przesłuchania nie miała zamiaru odstępować ich na krok? Nie zależało jej na tym, bo była niedziela i w ciągu dnia chciała jeszcze coś zrobić, chociaż jej wcześniejsze

plany diabli wzięli. Przyjaciółki już na pewno rozeszły się do domów, więc nie było sensu jechać do miasta. Wierzyła, że uda im się spotkać następnym razem. Ale na później musiała też odłożyć pomysł, żeby po jedzeniu trochę pobawić się z psem. Freyja wzięła klucze i wciąż uśmiechając się do suczki, ruszyła do wyjścia. Uradowana Molly trzymała się blisko jej nóg.

Gdy jednak zrozumiała, że ze spaceru nic nie będzie, zrezygnowana spuściła nos w dół i poczłapała w głąb mieszkania.

Czy w razie potrzeby pies stanąłby w jej obronie? Biorąc pod uwagę, jak go traktowała, nie było to zbyt oczywiste.

– Chyba nie muszę państwu przypominać, jak ważne jest, by tym razem wszystko poszło dobrze.

Zebrani wokół stołu obrad obserwowali przez szybę Silję i Margrét zajmujące miejsca na małej sofie. Dziewczynka była bardziej zdenerwowana niż poprzednio. Zaczynało do niej docierać, że mama nie żyje.

– Nasze dochodzenie opiera się głównie na jej zeznaniach i dlatego proszę o skupienie. – Mówiąc to, Huldar pochylił się do przodu, jakby huśtał się na krześle. Chciał się upewnić, że to, co mówił, docierało przez głośniki umieszczone na środku stołu do uszu Silji. Jego oczy były bardziej podkrążone, włosy w nieładzie, a odzież wydawała się bardziej wygnieciona niż rano. Przybył punktualnie w asyście policjantki, którą przedstawił jako Erlę. Kobieta prawie wcale się nie odzywała, wyglądało więc na to, że nie odgrywa specjalnej roli, miała jedynie siedzieć cicho obok Huldara. Pomimo tego z jej twarzy wyczytać można było, że jest to osoba mająca własne zdanie. Może i dobrze, że milczała, bo to, co by chciała przekazać, nie było pozytywne. Potakiwała tylko głową dla podkreślenia, że zgadza się z tym, co powiedział Huldar. – Jeszcze raz zaznaczam, proszę się skupić.

– Nie musi nam pan mówić, co mamy robić. – Ton głosu Freyi był grzeczny, ale oschły. Nie była w dobrym humorze. Co on sobie myśli? Że kim jest? Policja o niczym tu nie decydowała, więc musi od razu ustawić go do pionu. – Świetnie zdajemy sobie sprawę z tego, że zeznania dzieci są niezwykle ważne. Tu nikt nie przychodzi sobie tylko porozmawiać. Może się pan odprężyć. – Spojrzała mu

prosto w oczy i posłała lodowaty uśmiech. – Proszę nam pozwolić tym pokierować i skupić się tylko na swoich pytaniach.

Jeszcze przed przyjazdem dziewczynki Huldar usiadł z Silją na osobności i omówił to, o co chciałby zapytać. Przekazał psycholożce rysunek dziecka z człowiekiem przed domem i prawie obraził się, gdy ta odmówiła pokazania go Margrét w takim stanie, w jakim go przyniósł, czyli zapakowanego w przezroczysty plastik. W końcu zgodził się, że dziewczynce łatwiej będzie coś o tym opowiedzieć, jeśli zobaczy obrazek bez folii. Największy nacisk kładł jednak na uzyskanie od Margrét informacji o planowanym zabójstwie, do jakiego według małej miało dojść.

Silja zapisała w pamięci wszystkie pytania Huldara, ale też uświadomiła mu, że odpowiedzi Margrét mogą sprowokować kolejne, które on musi przewidzieć i już teraz jej przekazać. Powinien też zrozumieć, że nie będzie mogła bombardować dziewczynki pytaniami, jakby sobie tego zapewne życzył. To ona będzie sterować tempem i dobierać słownictwo, jakie uzna za stosowne. Wszyscy prokuratorzy, sędziowie i śledczy, którzy uczestniczyli w tego typu przesłuchaniach, zgadzali się na taki układ. Huldar pokiwał głową na znak, że rozumie i przyjmuje warunki, choć z góry było wiadomo, że w czasie przesłuchania będzie stawał się coraz bardziej zniecierpliwiony i zestresowany jak oni wszyscy.

– Proszę pamiętać, o czym mówiliśmy poprzednio – podsumowała Freyja. – Jeśli Silja ma zmienić tor rozmowy, musi pan dać znak. I jeszcze jedno, proszę zachować spokój i nie krzyczeć do mikrofonu, kiedy ona zabiera głos. Proszę zaufać nam i naszym metodom. Zapewniam, że podchodzimy do tego bardzo poważnie. Czy na pewno wszystko jasne?

Nie patrząc w oczy Freyi, Huldar wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że zrozumiał. Albo był za bardzo zmęczony, żeby protestować.

– Owszem. Możemy w takim razie zaczynać? – Huldar oparł się na krześle i zniknął za plecami policjantki.

– Już się zaczęło. – Freyja odwróciła się w stronę szyby i przysłuchiwała temu, jak Silja łagodnym głosem opowiada dziewczynce o śniegu na zewnątrz. Margrét milczała, usta miała mocno zaciśnięte. Dziecinnym ruchem ręki założyła sobie za ucho spadające na twarz rude loki. Wpatrywała się w swoje różowe skarpetki na nogach. I chociaż było widać, że jest jej źle, sprawiała wrażenie opanowanej.

W przeciwieństwie do dziadka.

– Chciałem państwu przypomnieć, że macie tylko godzinę. Więcej czasu nie dostaniecie. Ona powinna teraz przebywać ze swoją rodziną, ojcem i braćmi. – Mała przyszła do nich znowu w asyście dziadka. Zdziwiło to Freyję, ale nie zadawała zbędnych pytań. Sądziła, że Margrét przyjedzie tu z ojcem, widać jednak nie czuł się na siłach lub też nie wolno mu było przysłuchiwać się zeznaniom córki, gdyż sam był podejrzanym w sprawie. – Czas leci.

Silja dała znak, że jest gotowa. Zwróciła się do Margrét i okryła swoją dłonią jej małą rączkę leżącą na poduszce pomiędzy nimi. Dziewczynka uwolniła ją szybkim ruchem i wcisnęła obie dłonie pod swoje szczupłe uda. Silja zachowywała się jakby nigdy nic.

– No tak, Margrét. Wiem, że nie czujesz się dobrze i że chcesz jak najszybciej wrócić do domu. Dlatego też nie będziemy tu długo siedzieć.

Dziewczynka w dalszym ciągu wpatrywała się w swoje skarpetki. Była za mała, by dosięgnąć nogami do podłogi. Tak jak i wszystkie inne dzieci, które tu przed nią siedziały, będąc świadkami ciężkich przestępstw albo ofiarami molestowania, nie machała nimi.

– Jesteś dla nas teraz bardzo ważna. Oczywiście zawsze jesteś ważna, ale teraz bardziej niż zwykle. Możesz pomóc policji ustalić, co stało się z twoją mamusią. – Dziecko siedziało jak figura woskowa, w bezruchu. – Jesteś po prostu bohaterką. Ale niestety nikt nie zostaje bohaterem tak zwyczajnie bez wysiłku. Bohaterstwo to nie jest jedzenie lodów, prawda? – Margrét wciąż nie reagowała. – Wiem, że nie jest dla ciebie łatwe przypominanie sobie, co zaszło tamtej nocy, ale właśnie na tym polega odwaga. Jeśli postarasz się przypomnieć sobie wszystko, co widziałas albo słyszałas, i opowiesz mi o tym, to pomożesz policji ustalić, co tak naprawdę się stało.

Freyja i Silja uzgodniły wcześniej między sobą, że nie wolno w żadnym wypadku wskazywać na osobę przestępcy i jego płeć. Nawet najmniejsze powołanie się na kobietę lub mężczyznę mogło wpłynąć na obraz w głowie dziecka. Trzeba było uważać, by nie zasiać w jej umyśle jakichkolwiek gotowych stwierdzeń.

– Myślisz, że mogłabyś mi opowiedzieć o tym, co się wydarzyło? Powiedzieć tylko to, co pamiętasz. Jeśli niczego już nie pamiętasz, nie ma sprawy. Tylko mi to

powiedz. – Huldar skrzywił się z niezadowoleniem, to samo zrobił prokurator. Tym razem na przesłuchanie nie zaproszono lekarza i pielęgniarki, o czym zdecydowała Freyja. Biorąc pod uwagę wysokie koszty, jakie wiązały się z zatrudnianiem specjalistów w dni wolne od pracy, urząd zgodził się z nich zrezygnować.

– Zatykałam sobie uszy. – Cieniutki głosik wydobywający się z głośników brzmiał rozpaczliwie. – Zatykałam sobie uszy. Nie chciałam słyszeć płaczu mamy.

Silja była poruszona, chociaż nikt oprócz Freyi tego nie zauważył. Nie liczyła się z tak szybką odpowiedzią.

– Tak, rozumiem. Na pewno dobrze zrobiłaś.

Margrét zaczęła na nowo, ale tym razem mówiła prawie szeptem.

– Zatykałam sobie uszy. Nie wiem, co on mówił. Nie chciałam tego słuchać. – Wszyscy siedzący wokół nachylili się do umieszczonych pośrodku stołu głośników. Margrét wypowiedziała słowo „on”.

Silja podchwyciła to natychmiast.

– Mówisz tak, jakby to był mężczyzna. Skąd to wiesz?

– Widziałam go. Obudziłam się w nocy, bo zachciało mi się siusiu. Widziałam go, jak chodził po pokoju. Próbowalam powiedzieć mamie, ale najpierw mi nie wierzyła, a potem poszła sprawdzić. – Margrét wysunęła dłonie spod ud, splotła przed sobą i zaczęła kręcić paluszkami.

– Czyli mamusia poszła sprawdzić do pokoju. A ty, gdzie wtedy byłaś?

– Byłam u niej w pokoju. Kiedy usłyszałam, że ktoś wszedł na korytarz, schowałam się pod łóżkiem. Wyjrzałam i zobaczyłam nogi mamy. Już chciałam wyjść, ale pojawiły się inne nogi. Nogi czarnego człowieka.

– Czyli było tak, że on wszedł za twoją mamą do sypialni? – Kiedy Silja zamilkła, Freyja zorientowała się, że wszyscy wokół niej wstrzymali oddech.

Margrét podjęła opowieść dopiero po chwili zastanowienia. W pokoju zebranych słychać było na nowo oddechy siedzących. Drżący i smutny głos dziewczynki brzmiał, jakby dochodził z oddali.

– Tak, a ja bałam się wyjść spod łóżka. – Zamilkła na chwilę i wpatrywała się w swoje palce. – Powinnam była pomóc. Powinnam wyjść spod łóżka i wybiec na dwór. Poszukać policjanta albo strażaka, żeby pomogli mamie.

– Wiesz co, Margrét? Bardzo dobrze, że tego nie zrobiłaś. W nocy na twojej

ulicy nie ma policji czy strażaków. Ten człowiek by cię złapał, jeszcze zanim zdążyłabyś pobiec po pomoc. Twoja mama nie chciałaby tego. Jeśli człowiek jest mały, to lepiej dla niego, jak się schowa. Czasami jest to lepsze i dla dorosłych ludzi.

Margrét nie podniosła wzroku. Wciąż wpatrywała się w swoje palce, tak jakby widziała je pierwszy raz w życiu.

– Ale to był mężczyzna. Widziałam to i słyszałam, kiedy odsłoniłam na chwilę uszy, żeby sprawdzić, czy się skończyło. – Poprawiła się na sofie. – Ale się jeszcze nie skończyło. On mówił jak mężczyzna. – To jedno słowo, zredukowało listę podejrzanych o połowę. Kobiety były wolne od zarzutów.

Silja milczała przez chwilę, dając policjantom lub prokuratorowi możliwość dodania jeszcze czegoś. Nikt jednak niczego nie powiedział. Psycholożka nachyliła się do Margrét i odsłoniła z jej buzi opadające na nią włosy, tak jakby zaglądała za zasłonę.

– Pamiętasz, co mi mówiłaś, ostatnim razem jak tu byłaś? Twierdziłaś, że druga kobieta jest w niebezpieczeństwie.

Dziewczynka spojrzała spłoszonym wzrokiem. Potrząsała głową tak długo, aż włosy opadły na swoje miejsce.

– Troszkę słyszałam. Czasem musiałam zatykać sobie buzię rękoma, więc uszy miałam wolne. Inaczej by usłyszał, jak płaczę.

– Tak, rozumiem. Ale czasem człowiek słyszy też przez ręce, chociaż zatyka sobie nimi uszy. – Silja była całkowicie opanowana, jej głos niczego nie zdradzał. Równie dobrze mogły rozmawiać na luzie o pogodzie. – Może sama tak nie myślisz, ale to chyba dobrze, że coś słyszałaś. Szczególnie, że mogłabyś pomóc policji, żeby nie pozwoliła skrzywdzić tej drugiej kobiety.

– Nie chce mi się o tym mówić – wyszeptała Margrét. – Chcę rozmawiać o czymś innym.

– A pamiętasz, co ci mówiłam o bohaterstwie? Nie można zostać bohaterem bez wysiłku. – Margrét pokiwała spuszczoną w dół głową. Włosy przesłaniały jej buzię. Nie widzieli jej twarzy, ale nie było trudno wyobrazić sobie rozpacz, która się na niej malowała. – Jeśli się wysilisz i opowiesz mi o tym, co słyszałaś, to jesteś bohaterką. To nie zajmie ci dużo czasu, a po wszystkim będziesz się lepiej czuła. Czasem człowiek musi sobie ulżyć i wyrzucić z siebie, co mu leży na duszy.

Margrét bujała w powietrzu nogami. Ruchy nie były ani swobodne, ani nieuważne, raczej takie, jakby była zabawką, której baterie miały się zaraz wyczerpać. Zanim zaczęła mówić, wciągnęła powietrze, spojrzała do góry i przygryzła dolną wargę. Jej nogi znieruchomiały.

– Mamusia płakała i chciała wiedzieć, czy on zamierza też nam zrobić krzywdę. Słyszałam to, chociaż zatykałam uszy, bo raz opuściłam ręce. Chciałam usłyszeć, czy powie, że tak. Ale on powiedział tylko, że nie zamierza tego robić teraz, bo jest jeszcze jedna kobieta, której musi dać nauczkę. – Widać było, że bardzo stara się wyrzucić to z siebie. – A co to jest nauczka? – zapytała Silję.

– Nauczka. To w zasadzie jest nauka. – Silja przestraszyła się i straciła panowanie nad sobą. Poprawiła się na sofie, by zyskać na czasie. – Nie próbuj nawet tego zrozumieć. Nie zawsze da się zrozumieć dorosłych ludzi. – Rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku szyby w nadziei na pomoc.

– Proszę zapytać, czy powiedział, o jaką kobietę chodzi.

Huldar mówił za głośno i Silja skrzywiła twarz. Dotknęła delikatnie ucha, by przypomnieć im, że mają się pilnować. Po czym skupiła się na Margrét.

– Czy ten człowiek powiedział, co to za kobieta lub coś więcej o niej?

Margrét potrząsnęła głową.

– Nie. Powiedział tylko, że ma zamiar zrobić jej straszną krzywdę. Tak samo jak mamusi. – Mała zamilkła i wzięła głęboki oddech. – Widziałam mamę. Zakleił jej oczy taśmą klejącą.

Silja odchrząknęła. Huldar pokazał jej zdjęcie zwłok Elisy, które zabrał z miejsca zbrodni, by przygotować ją na wypadek, gdyby Margrét chciała opowiedzieć coś o tym horrorze. Freyja też widziała zdjęcie i potrzebowała dłuższej chwili, by pojąć, na co patrzy. Kiedy już zrozumiała, odwróciła wzrok.

– Wyszłaś ze swojej kryjówki, Margrét? – kontynuowała Silja.

– Nie. Mama zagładnęła do mnie. Ale niczego nie powiedziała. Pogłaskała mnie tylko i zrobiła „ciiii”. A potem zły człowiek ją złapał.

– To było bardzo rozsądne z jej strony, Margrét. Nie chciała, by człowiek cię znalazł. I sama widzisz, że nie chciała, żebyś stamtąd wychodziła. Chciała dokładnie tego, co zrobiłaś: żebyś się dalej chowała.

Huldar nachylił się szybko do mikrofonu.

– Proszę nie tracić wątku. Proszę zapytać, czy nie słyszała jeszcze czegoś więcej.

Dobrze wam szło.

– A po tym, jak podniósł mamę do góry, Margrét, powiedział coś jeszcze?

– O tak. Historię. Chciał jej opowiedzieć historię. Ale wtedy zatkałam sobie uszy. Nie chciałam jej słuchać. Na pewno nie była dobra. I już nic więcej nie powiedział. Mama też nie.

Wszyscy milczeli do czasu, gdy Silja jako pierwsza otrząsnęła się i podjęła na nowo.

– A powiedz mi, co z oczami. Zamknęłaś je także? Wiem już, że widziałaś mamę, kiedy ci mówiła, że masz być cichutko. To chyba jednak miałaś je czasem otwarte? – Silja starała się ważyć każde słowo, jakby było z cieniutkiej porcelany. Margrét nie odpowiedziała jej.

– Proszę zapytać jeszcze raz. – Huldar objął mikrofon. Silja podskoczyła z powodu trzasków w słuchawce. Mówił za głośno i powtarzał się niepotrzebnie. – Proszę zapytać o to ponownie.

Freyja przycisnęła otwartą dłoń do jego piersi i odsunęła go od mikrofonu. Starła się nie myśleć o tym, że ostatni raz dotykała jego klatki piersiowej, kiedy leżał nad nią, a ona chciała, by przyspieszył.

– Proszę pozwolić Silji tym się zająć. Ona doskonale rozumie, jak jest to ważne.

Huldar puścił mikrofon i zamilkł. Wszyscy odwrócili się do szyby, kiedy Silja zapytała na nowo.

– Zamknęłaś oczy, Margrét? Jeśli tak było, to w porządku. Ale jeśli nie, byłoby dobrze wiedzieć, co widziałaś.

– Nie chcę o tym mówić. – W jej głosie wyczuwalna była złość. – Nie chcę tego.

– Dobrze. Nie ma sprawy. To może porozmawiajmy sobie o czymś innym.

Dopiero teraz dziewczynka spojrzała w górę. Patrzyła na Silję z nadzieją w oczach.

– Dobrze. Ale nie oszukujesz mnie?

– Nie, nie oszukuję. Chcę cię zapytać o obrazek, który namalowałaś. – Silja uśmiechnęła się do niej. Sięgnęła po kartkę leżącą na małym stoliku obok sofy. Siedział tam też miś z rozstawionymi łapami i przekrzywioną na bok głową. Wyglądał trochę zawadiacko, tak jakby nie dowierzał wszystkiemu, co się właśnie działo. Podobnie jak Huldar. – Bardzo ładnie rysujesz. – Silja podała Margrét obrazek. – Mogłabyś mi opowiedzieć, co tam jest namalowane?

Margrét odgarnęła włosy z buzi i nachyliła się nad rysunkiem.

– No przecież widzisz, co jest na obrazku. Sama mówiłaś, że ładnie maluję. –

Margrét oddała Silji kartkę.

Silja nie dała zbić się z tropu.

– Widzę dom. To jest twój dom?

Margrét pokiwała głową.

– A to wasz samochód?

Margrét znowu pokiwała głową.

– A to? Czy to jest choinka, która stoi przez cały rok w ogrodzie, czy raczej drzewko, które kupiliście, żeby postawić w domu przed świętami? – Silja próbowała formułować pytania tak, aby wymusić dłuższe odpowiedzi.

– Choinka w ogrodzie.

– O tak. Jest bardzo duża. Pewnie nie zmieściłaby się w pokoju. – Silja pytała o najdrobniejsze szczegóły na rysunku. Robiła to w taki sposób, że Margrét musiała odpowiadać całymi zdaniem lub kilkoma słowami. Nie uszło niczyjej uwadze, jak z pytania na pytanie odpowiedzi robiły się coraz dłuższe i pełniejsze. Dziewczynka się uspokajała. Prokurator i Huldar przeciwnie, okazywali podenerwowanie. Ten pierwszy spojrział zniecierpliwiony na Freyję, kiedy Silja pytała o zasłonki w oknach. Pokazywał znacząco na zegarek. Freyja zupełnie się tym nie przejęła i starała się nie patrzeć już na niego, gdy nagle Silja przeszła do sedna sprawy.

– A to kto?

– Człowiek.

– Jaki człowiek?

– Po prostu człowiek.

– Znasz go? Czy to może jest twój tata?

Dziewczynka pokręciła główką.

– Sąsiad?

– Nie wiem, jak się nazywa.

– A dlaczego go namalowałaś?

– Dlatego, że go widziałam.

– Widziałaś go wtedy, jak malowałaś ten obrazek?

– Nie.

– Aha. Rozumiem.

Huldar nachylił się do mikrofonu. Tym razem się pilnował. Mówił spokojnie, nie dotykając niczego oprócz przycisku, który trzeba było nacisnąć, by mikrofon zadziałał.

– Proszę zapytać, czy widziała go kręcącego się wokół domu, bo jeśli nie, to możemy skoncentrować się na czymś innym.

Silja dyskretnie skinęła na znak, że zrozumiała.

– Powiedz mi, Margrét, jedno: gdzie widziałaś tego człowieka, którego narysowałaś?

– U nas na ulicy. Na chodniku. Raz nawet w ogrodzie. Wtedy była noc.

Silja pokiwała głową.

– Często tam przychodził?

– Nie wiem. – Jak wiele dzieci, miała problem z określeniem, co to jest dużo, często, wiele.

– Czy był tam dwa razy? Pięć razy? A może dziesięć razy? – Freyja przekłęła w duchu. Silja nie powinna była podawać żadnych liczb. Teraz dziewczynka wybierze sobie którąś z nich po prostu z powietrza.

– Może pięć razy? Ale tylko może, bo nie liczyłam.

– To jest jednak dość często.

– Tak.

– A kiedy to było, Margrét?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Niedawno.

– Było już po świętach?

– Tak i nie. Kiedy widziałam go w ogrodzie, święta jeszcze się nie skończyły. Obudziłam się i zaglądnęłam do buta. Myślałam, że to święty Mikołaj. Ale but był pusty.

– Widziałaś go też po świętach?

– Tak mi się wydaje.

– A jak myślisz, co on tam robił?

– Patrzył. Tylko patrzył.

Huldar nachylił się do mikrofonu.

– Proszę zapytać, czy widziała jego twarz.

– Widziałaś jego twarz, Margrét? Mogłabyś ją opisać?

– Widziałam. Miał złą twarz. Nie był wesoły. – Dziewczynka zaczęła znowu huśtać nogami. Widać było, że nie czuje się dobrze. Automatyczne ruchy nóg w przód i w tył nie sprawiały jej przyjemności. – Nie chcę już więcej rozmawiać.

Wpatrywała się w swoje rozhuśtane stopy. W górę. W dół. W górę. W dół.

– Czy mogę tu zostać na noc? – Nie patrzyła na Silję. – Nie chcę wracać do taty. To wszystko jego wina.

Rozdział 12

– To nie musi nic oznaczać. Może obwinia ojca za morderstwo, bo nie było go wtedy w nocy w domu. – Huldar wzruszył ramionami, nie dlatego jednak, by podkreślić znaczenie swoich słów, ale raczej by nie zasnąć. Za nic w świecie nie chciał paść na twarz w gabinecie szefa. Nawarstwione przez weekend zmęczenie coraz mocniej dawało o sobie znać i już nie był w stanie z nim walczyć ani kawa, ani gumą nikotynową. Od czasu kiedy w piątkowy poranek znaleziono na ulicy synów Elisy aż do teraz, spał może osiem lub dziewięć godzin. Zasypiał w biurze oparty o biurko lub na małej sofie, o wiele za krótkiej, by wygodnie na niej leżeć. – Podchodziłbym sceptycznie do tego, co mówiła. Zresztą tego samego zdania jest psycholożka, która z nią rozmawiała.

Egill marszczył nos i suszył swoje nienaturalnie białe i równe zęby. Gdy nie tak dawno po raz pierwszy zaprezentował je w pracy, nikt nie miał odwagi choćby słowem napomknąć o zmianie w jego wyglądzie. Podobnie było zresztą, gdy niespodziewanie pozbył się łysiny. Nagle włosy nie powiewały mu swobodnie na wietrze, no chyba że w całości, zresztą na zewnątrz nosił do peruki specjalną czapkę. Jego starania o poprawę wyglądu zaczęły się z chwilą wymiany starej żony na dwadzieścia lat młodszą. Niektórzy w wydziale chcieli nawet zakładać się o to, czy pójdzie też na lifting twarzy. Zakład jednak nie doszedł do skutku, bo wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że to tylko kwestia czasu.

Egill zmarszczył oczy i Huldarowi wydawało się, że czyta w jego myślach. Odchrząknął z powagą.

– No właśnie. Opinia psychologa. – Siedział przy biurku i udawał, że się głęboko nad tym zastanawia. Typowe dla niego było używanie niewielu słów, które nie miały żadnego znaczenia. – Jak tam jest w tym schronisku, tak w ogóle? Nigdy nie przekroczyłem progu jakiegokolwiek z nich. Mam jednak swoje własne przemyślenia i wątpliwości odnośnie do ich pracy. Moim zdaniem powierzenie przesłuchań laikom jest nieodpowiedzialne i nie może prowadzić do niczego dobrego.

Huldar czuł, jak zmęczenie rozkłada go od wewnątrz, trudno było mu mówić.

– Tam jest w porządku. Nie powiedziałbym, że ci ludzie to laicy. Są specjalistami od przesłuchiwania dzieci.

– Dzieci czy dorośli, co za różnica? – Przez worki pod oczami i opadnięte policzki Huldera musiało przebić się zdziwienie, bo Egill zaczął się wycofywać. – No tak, oczywiście jest różnica. Nie można tego rozumieć dosłownie. Dzieci są przecież mniejsze, i tego... Ale czy jest jakaś różnica, kiedy trzeba odpowiadać na pytania? Nie wydaje mi się.

Egill wydawał mu rozkazy, od kiedy Huldar przeniósł się do policji kryminalnej. Będąc na samym dole w hierarchii wydziału, odczuwał tak dużą presję, że trudno mu było swobodnie oddychać. Żywił do tego człowieka coś pomiędzy strachem a respektem. Znosił jego surową minę, która, jak mu się zrazu wydawało, wyrażać miała wielkie zdolności i wrodzoną intuicję Egilla. Wciąż jawił mu się jako ktoś zestresowany tymi przestępstwami, które popełniano zawsze wtedy, kiedy nie było go w pobliżu. Naturalnie gdyby był, zdołałby im zapobiec. Huldar nie mógł się bardziej mylić i gdy z czasem poznał go bliżej, zrozumiał, że człowiek ten po prostu urodził się ze skwaszoną miną i był wciąż ze wszystkiego niezadowolony. Obojętne, jak bardzo by się nie starano, zawsze było źle. Nic, co zostało powiedziane, mu nie pasowało, żadnego śledztwa nie przeprowadzono dostatecznie szybko, a kiedy sprawę udało się rozwiązać, to sobie Egill przypisywał największy w niej udział. Lubił wpadać na narady komisji śledczych, rzucać okiem na materiały dowodowe, które omawiano, i zwracać ludziom uwagę na coś, co już dawno zauważono, by snuć triumfalne przypuszczenia o czymś, o czym wszyscy już wiedzieli. Huldar nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek usłyszał coś sensownego z jego wydętych ust.

Najlepiej Egill sprawdzał się w zakupie wyposażenia dla wydziału. Fascynował się wszelkimi nowinkami technicznymi, więc wszystko, od projektora po pistolety, było dla niego interesujące. Dlatego też nie mogli narzekać na wyposażenie. Nabywał je jednak kosztem rzeczy, które wobec ich ograniczonych środków uznawał za mniej ważne. Na przykład jesienią każdy policjant z wydziału otrzymał iPada. Zagadką było, w jakim celu, szybko się jednak okazało, że głównie po to, by móc grać w Candy Crush. W tym samym czasie Egill postanowił przyoszczędzić na papierze biurowym, powyjmował więc kartki z drukarek i kopiarek. Ci, którzy chcieliby z nich korzystać, musieliby osobiście udawać się do jego biura i prosić

o udostępnienie. Huldar dobrze wiedział, że nie był jedynym, który prędzej przyniósłby własny papier, niż poszedł zebrać o niego u szefa.

– Wygląda na to, że w końcu czegoś się dowiemy. Niebawem przesłuchanie ojca. Pomyślałem, żeby do tego czasu pójść do domu i się położyć, bo strasznie mało spałem ostatnio. – Huldar naprawdę zataczał się ze zmęczenia. Chciał oprzeć się o brzeg biurka Egilla, jednak wstrzymał się ze strachu przed tym, że stół zachwiałby się pod jego ciężarem i pospadałyby z niego ustawione tam przez szefa fotografie. Na zdjęciach widać go było obok ważnych i sławnych ludzi, z którymi miał ponoć do czynienia podczas policyjnych akcji. Huldar nie sądził, żeby dla tych ludzi fotki z Egillem były równie ważne. Udało mu się bez podpierania jakoś złapać równowagę. – Nie robimy teraz nic takiego, czego nie da się na chwilę odłożyć albo w czym nie może mnie wyręczyć ktoś inny.

Egill burczał coś pod nosem, a podkówka na jego ustach zarysowała się wyraźniej.

– Ja jako kapitan tego statku schodzę z niego ostatni. Chyba nie muszę ci przypominać, że to ty prowadzisz dochodzenie i pierwsze dwie doby są zawsze decydujące.

Huldar czuł piasek w oczach. Jeszcze nigdy nie piekły ze zmęczenia tak, że bolało go samo mruganie powiekami.

– Erla, Ríkharður, Almar i Stefán pracują na pełnych obrotach. Inni oprócz swoich zwykłych obowiązków też mają co robić. Większość jednak poszła do domu, w końcu jest niedziela. Śledztwo idzie powoli, ale posuwa się wciąż naprzód, więc niczego to nie zmieni, że pojedę na chwilę do domu. W takim stanie żaden ze mnie pożytek. – Zrezygnował ze zwracania mu uwagi, że przyrównanie śledztwa do tonącego statku i opuszczającego go kapitana kompletnie nie pasowało do tej sytuacji. Było bardziej niż pewne, że jego „ofiarni” poprzednicy nie rezygnowali w początkowych fazach śledztw ze snu. Ich metody pracy pozostawiały wiele do życzenia. Człowiek nie mógł kroku zrobić w policyjnych przechowalniach dowodów rzeczowych, by nie natknąć się na chmurę inspektorów, którzy przeprowadzali tam wewnętrzną kontrolę i wszystko wyciągali z regałów, chcąc sprawdzić, które z materiałów dowodowych wyparowały. Krążyły pogłoski, że wyniki pracy komisji kontrolnej były, oględnie mówiąc, niezadowolające.

Egill poruszył gwałtownie myszką od komputera i popatrzył na jego ekran, ale

Huldar dałby sobie palca uciąć, że na jego pulpicie wyświetlił się pasjans. Przecież szef nie musiał tu przychodzić w niedzielę. Konieczność obecności w pracy była jednak dla niego pretekstem do wykręcenia się od treningu przygotowawczego, jaki zarządziła jego młoda żona. W planach mieli bowiem podróż rowerami dookoła Islandii. Egill będzie musiał liczyć się z drugim rozwodem, jeśli do tego czasu nie wymyśli dostatecznie dobrego alibi, by w trasę nie pojechać. Huldar postanowił, że jeśli wyprawa dojdzie do skutku, odwiedzi rodzinę na wschodnim wybrzeżu wyspy. Ale od tego, jaką trasę wybierze małżeństwo, uzależni to, czy pojedzie drogą na północ, czy na południe.

– Mam tylko nadzieję, że staniesz na wysokości zadania. Byłoby źle, gdybyś to sknocił.

Nie było sensu tego komentować.

– Nie sknoć. Ale jest większe prawdopodobieństwo, że coś może pójść nie tak, jeśli będę pracował całymi dniami, bez odrobiny snu.

Egill nie odrywał wzroku od ekranu.

– Nastaw sobie budzik, żebyś nie przespał przesłuchania Sigvaldiego. Wszystko jedno, co tam gada jeden czy drugi psycholog, myślę, że coś jednak musi być w tym, o czym mówiła ta dziewczynka.

– Nie zaśpię. Bez obaw. – Zamierzał i nastawić sobie budzik, i dodatkowo poprosić Erlę, by wpadła do niego po drodze, godzinę przed rozpoczęciem przesłuchania. Zapropozował jej również, by mu na nim towarzyszyła. I chociaż nie brała czynnego udziału w poprzednim przesłuchaniu w schronisku, to jednak miała niezłe rozeznanie w całej sprawie. Odkąd trzy lata temu zatrudniła się w policji, pracowali już wspólnie nad paroma sprawami. Wyróżniała się doskonałą pamięcią i na dobrą sprawę nigdy nie słyszał z jej ust żadnych bzdur. Po Ríkharðurze była drugą osobą, z którą w pracy stykał się najczęściej, może dlatego, że jako jeden z niewielu nigdy nie robił głupich uwag na temat pracy u boku kobiety. Erla wyraźnie lubiła jego towarzystwo. Oboje byli samotni i czasem łądownali na piwie po pracy. Po aferze z Karlottą, by unikać Ríkharðura, Huldar specjalnie wybierał jej towarzystwo. Niestety, Erla chyba źle to odczytała. Ostatnimi czasy wszystko, co miało związek z życiem prywatnym Huldara, zmierzało ku katastrofie.

Egill popatrzył na niego groźnie. Jego uwadze nie uszło, że Huldar myślami był

gdzie indziej.

– No to dobrze. I nie daj się nabrać na łyzy, którymi z pewnością się zaleje. Kiedy trzeba udawać rozpacz, te cwaniaki przeważnie okazują się pierwszorzędnymi aktorami.

Z oczu Sigvaldiego Freysteinsona nie popłynęła ani jedna łza. Siedział przed Huldarem i Erlą na twardym krześle, z głową zwieszoną pomiędzy zapadniętymi ramionami. Koszulę miał byle jak wpuszczoną w spodnie, guziki źle pozapinane. Już samo patrzenie na niego męczyło. Przypływ świeżej energii, jaki Huldar złapał po krótkim śnie, ulatniał się stopniowo, gdy patrzył na zrozpaczoną twarz mężczyzny. Na dodatek Sigvaldi wyglądał tak, jakby uległ wypadkowi. Prawą dłoń miał owiniętą bandażem, a na twarzy limo kolorystycznie zlewające się z sińcami pod oczami. Nikt wcześniej nie wspominał, że odniósł jakieś obrażenia.

Był przesłuchiwany już od godziny, ale Huldar nie spytał o to, w jakich okolicznościach ucierpiał. Poprosił również Erlę, by nie poruszała tego tematu do chwili, kiedy uzna to za stosowne. W obawie, iż posądzą go o zbrodnię, mężczyzna mógłby zamknąć się w sobie, lepiej więc było nie stawiać go od razu w pozycji podejrzanego. Do tej pory zadali pytania, na które łatwo było odpowiedzieć. Dotyczyły one wiadomości, którą morderca zostawił w liście, i tego, czy mogła mieć jakiś związek z chęcią zemsty na przykład za ewentualne błędy w sztuce lekarskiej, które popełnił.

List był dla niego wielką zagadką, tak zresztą jak i dla wszystkich, którzy go czytali. Sigvaldi zaprzeczał wszelkim powiązaniom z pracą, twierdząc, że zawodowe zobowiązania wykonywał bez zastrzeżeń, oraz dodając cierpko, że minęło niewiele czasu od ukończenia przez niego specjalizacji, nie ma więc na koncie długiego stażu pracy. Miał pod opieką wyłącznie kobiety i nie przypominał sobie żadnej pacjentki, czy to ciężarnej, czy też po prostu chorej, która byłaby niezadowolona z jego starań.

Kiedy wiadomo już było, że nie dowiedzą się niczego nowego, co mogłoby wiązać się z pracą, Huldar zmienił temat i zapytał o jego małżeństwo z Elisą.

Zmęczony głos odbijał się echem od pustych ścian pokoju przesłuchań.

– Jak już wcześniej próbowałem wam powiedzieć, kiedy wyjeżdżałem, wszystko

było w najlepszym porządku. Nasz związek z Elisą był zawsze wspaniały. Żadnych sprzeczek. Nic z tych rzeczy. – Kiedy Huldar patrzył na Sigvaldiego siedzącego przed nim ze zwieszoną głową, pomyślał, że widzi przed sobą dorosłe wydanie małej Margrét. Chociaż w ogóle nie byli do siebie podobni. Przesłuchiwany uniósł głowę i wydawał się jeszcze bardziej zmęczony, niż zanim tu przyszedł. – Ja po prostu nie pojmuję tego wszystkiego. Cały czas żyję nadzieją, że się przebudzę i to wszystko okaże się tylko złym snem.

Erla oparła się na krześle, przy okazji dotykając łokciem boku Huldara. Nie był pewien, czy przypadkowo, czy też miało to znaczyć coś więcej. Ostatnio nie kryła się zbyt z okazjiwaniem mu swojej sympatii. Niestety, nie mógł się odwzajemnić, bo nie była w jego typie ani pod względem urody, ani intelektu. Jej oglądana od tyłu sylwetka przypominała męską, a wulgarny sposób wysławiania się wprawiał w osłupienie nawet największych twardzieli w wydziale. Huldarowi wydawało się jednak, że nie była wtedy sobą i tylko zgrywała się, aby lepiej wypaść na tle głównie męskiego towarzystwa. Często chciał zwrócić jej uwagę, iż takie zachowanie nie jest odpowiednie ani dla mężczyzn, ani tym bardziej dla kobiet. Nie interesowała go jednak większa zażyłość z nią, dlatego niezręcznie mu było o tym rozmawiać.

– Czy mogę zaproponować panu wodę do picia? – Huldar poczuł pod żebrami wyraźnego kuksańca. Jakby miała łokieć ze stali. Jeśli chciała go podrywać, wystarczyło musnąć dłonią po udzie, a nie zaraz miażdżyć żebra. Myśl o doprawionych bluzgami pieścizotach jak z ringu bokserskiego nie wzbudzała w nim pożądania. Wręcz przeciwnie.

Sigvaldi podziękował za wodę, którą i tak nie zdołałby ukoić bólu malującego się na jego twarzy.

– Muszę pana zapytać o coś, co może być bolesne. Proszę jednak, by odpowiedział pan zgodnie z prawdą, bo to bardzo ważne. – Huldar patrzył w przekrwione oczy mężczyzny. – Czy któreś z was miało romans?

Odpowiedź była natychmiastowa, bo Sigvaldi nie musiał się zastanawiać:

– Nie. Nie i jeszcze raz nie. Ja nie i ona też nie. Było parę okazji, mogę mówić tylko za siebie, ale odkąd się pobraliśmy, nie interesowały mnie inne kobiety.

– Na jakiej podstawie twierdzi pan, że to samo dotyczyło pana żony? – Pytanie zadane przez Erlę było oczywiste. Nie mógł z całą pewnością odpowiadać w jej

imieniu.

– Po prostu wiem, że Elisa taka nie była. Wystarczaliśmy sobie w zupełności. Jeśli mi nie wierzycie, porozmawiajcie z jej przyjaciółkami, a nie wątpię, że to potwierdzą.

– Tak, może być pan pewien, że będziemy z nimi rozmawiać o tym i o innych sprawach. Możliwe, że zwierzyła się im z czegoś, o czym zapomniała panu powiedzieć lub co specjalnie przemilczała. Często okazuje się, że w nieistotnych na pierwszy rzut oka szczegółach kryją się rzeczy dużej wagi. – Huldar nie mógł sobie przypomnieć stosownego przykładu, liczył jednak, że świadek nie będzie go o to pytał. Sigvaldi niewątpliwie nie miał takiego zamiaru, patrzył tylko bezmyślnie w ścianę za plecami Huldera i Erli. – Zmieńmy więc temat. Czy Elisa uwikłana była w jakieś kłótnie czy konflikty w pracy lub poza nią, o których pan wiedział? Niekoniecznie w ostatnim czasie.

– Nie. Na jakiej podstawie pan o to pyta? – Sigvaldi pociągnął nosem. Chociaż od chwili rozpoczęcia przesłuchania nie uronił ani jednej łzy, możliwe było, że przez cały ten czas powstrzymywał się od płaczu. – Była lubiana w pracy i w gronie naszych przyjaciół. Z wszystkimi żyła dobrze.

– Tak, to by się zgadzało z tym, co już słyszeliśmy. Może się to panu wydawać bez sensu, ale nie pytalibyśmy, gdyby nie chodziło o wykluczenie pewnych faktów. I chociaż jej koledzy z pracy twierdzą, że wszystko było w najlepszym porządku, możliwe, że Elisie wcale się tak nie wydawało. To samo odnosi się do przyjaciół.

– Elisa nie miała wrogów.

– Jak większość z nas, bo prawdziwych wrogów miewa się rzadko. Mogą jednak istnieć ludzie, którzy są nam nieprzychylni lub nas nie lubią. Ale zostawmy już ten temat i porozmawiajmy o czymś innym. – Nie można było skłonić go do mówienia źle o Elisie, bo w tym momencie widział ją w aureoli niewinności. Każdy miał kiedyś zły dzień i każdy popełniał błędy. Nie było człowieka, którego wszyscy by bezgranicznie lubili. I chociaż przewiercali wdowca pytaniami, to i tak niczego istotnego się nie dowiedzieli. Z tego, co powiedział, można było wnioskować, że morderca wybrał sobie Elisę przypadkowo lub przez pomyłkę. – A jak układają się państwa stosunki z sąsiadami? Jakies spory o zakłócanie spokoju, drzewa, cienie i temu podobne?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Sigvaldi ożywił się na moment. Wyglądał, jakby

ujrzał światełko w tunelu, ale to nie była radość. Wręcz przeciwnie. – Myślicie, że sąsiedzi są w to zamieszani? Którzy?

– Nic podobnego. Wspomniałem już, że badamy wszystko po kolei. No to jak układało się z sąsiadami?

Światełko nadziei zgasło w oczach Sigvaldiego i znów stały się mętne.

– Całkiem w porządku. Można powiedzieć, że sąsiedzi spod numeru sześćdziesiąt osiem to nasi dobrzy znajomi. Rozmawialiśmy czasem o pielęgnacji żywopłotu i grillowaliśmy kilka razy wspólnie. Elisa i Védís spotykały się częściej niż ja z Helgim.

– Czyli były przyjaciółkami? – Zadając pytanie, Erla jednocześnie zapisywała je na kartce. Oczywiście nie musiała tego robić, bo nagrywali przesłuchanie, ale przyzwyczała się już do tej procedury i notowała wszędzie: podczas przesłuchań, na miejscach zdarzeń, a nawet podczas pracy przy komputerze. Huldar zastanawiał się parokrotnie, czy by nie zacząć jej naśladować. Jednak nigdy mu się to nie udało, bo nie potrafił notować, gdy rozmawiał z ludźmi.

– Tak. Ona to Védís, wydaje mi się, że ma na nazwisko Gísladóttir, a Helgi na sto procent Magnússon. – Długopis Erli ślizgał się zrećcznie po kartce, gdy zapisywała dane. Huldar przywykł do przyglądania się, gdy tak gryzmoła. Potrafił nawet z ruchu ręki po papierze odczytywać litery. Kiedy Erla skończyła, zwrócił się ponownie do Sigvaldiego, który sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego jej zapiskami. Ostatnimi dniami spał prawdopodobnie jeszcze mniej niż Huldar.

– Chciałbym panu pokazać rysunki namalowane przez pańską córkę. – Huldar wyciągnął plastikową koszulkę na dokumenty ze sterty materiałów dowodowych leżących na biurku. – Z tego, co wiemy, Margrét narysowała je po tym, jak widziała mężczyznę, który obserwował wasz dom. Co najmniej jeden raz był w waszym ogrodzie.

Sigvaldi rozłożył ostrożnie obrazki przed sobą i wpatrzył się w nie. Z jego twarzy trudno był cokolwiek wyczytać, Huldarowi i Erli nie pozostało więc nic innego, jak cierpliwie czekać, aż skończy. Nagle bez słowa złożył kartki i spojrzał na nich.

– Możliwe, że są to rysunki Margrét. Rozpoznaję w pewnym stopniu jej sposób rysowania. Ale nie mam porównania z rysunkami dziewczynek w tym samym wieku. – Przesunął nimi po stole do Huldara. – Nie widziałem ich nigdy wcześniej,

jeśli o to pytacie.

– Nie. Nie o to pytamy. – Reakcja mężczyzny wydała się Huldarowi podejrzana. Biorąc pod uwagę, co się stało, sądził, że Sigvaldi zapyta raczej o to, co było na obrazkach córki, zwłaszcza że poinformowano go, iż Margrét zauważyła obcych ludzi wokół ich domu. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy córka opowiadała państwu o tym, a jeśli tak, to czy wie pan, kogo tam mogła zobaczyć.

Sigvaldi najwyraźniej nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Oblizał wargi, przecesał lewą dłońią poczochrane włosy. Obserwowali go czujnie. Westchnął i jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

– Proszę się nie spieszyć z odpowiedzią. Mamy czas. – Huldar wskazał na tacę ze skromnym poczęstunkiem na stole. – Chce się pan czegoś napić? Wody albo kawy?

– Nie. Dziękuję. – W tonie jego głosu wyczuwało się zdziwienie, tak jakby nigdy nie słyszał o tego rodzaju napojach i miał dylemat, czy może bezpiecznie ich spróbować. Przełknął ślinę, a jego wystająca grdyka poruszyła się w górę i w dół. Po chwili odchrząknął i wyprostował się na krześle. – Margrét to jeszcze dziecko. Dzieci widzą otaczający je świat w inny sposób niż my, dorośli. Często myślą i wyobrażają sobie różne rzeczy.

– Wyobrażają sobie? – Ton głosu Erli wydawał się Huldarowi za szorstki, biorąc pod uwagę, że mężczyzna był ojcem dziewczynki. Poza słowami córki nic nie wskazywało, że miał cokolwiek wspólnego z morderstwem. Zeznania wszystkich, z którymi rozmawiano, ani też zebrane materiały dowodowe nie odbiegały od tego, co sam Sigvaldi mówił o swoim małżeństwie. Do czasu, aż nie znajdą czegoś obciążającego, będą musieli traktować go jak pogrążonego w żałobie wdowca. Oczywiście muszą go też spytać o obrażenia.

– Czy mógłby pan nam dokładniej to wyjaśnić? – Huldar uśmiechał się przyjaźnie. – Do tej pory nie rozmawiałem jeszcze z pańską córką, ale widziałem ją. Muszę powiedzieć, że mimo nienormalnej sytuacji, w jakiej się znalazła, zrobiła na mnie wrażenie całkiem normalnej dziewczynki. Psycholodzy ze schroniska, którzy oglądali te rysunki, nie ocenili ich jako wytworu wyobraźni. – Margrét miała siedem lat i dzieci w jej wieku powinny już znać różnicę pomiędzy rzeczywistością a fantazją. Tak mu się wydawało, chociaż sam nie miał dzieci. Posiadanie potomstwa nie było jego marzeniem. – Czy stwierdzono u Margrét jakieś

zaburzenia?

– Ależ skąd! W szkole idzie jej dobrze, i ogólnie też. Może nie ma tak wielu przyjaciół, jak byśmy sobie tego życzyli, ale przynajmniej nikt jej nie dokucza. Margrét nie różni się od innych dzieci, tyle że ma bujną wyobraźnię, jak to często bywa. Wyobraża sobie i widzi rzeczy, które nie istnieją.

– Wyimaginowani przyjaciele i temu podobne? – Huldar nie potrafił ukryć swojego rozczarowania. Niewykluczone, że ten człowiek na rysunku to tylko wytwór wyobraźni dziecka. Jedyne trop, na którym się opierali, mógł być tak samo rzeczywisty jak święty Mikołaj, o którym dziewczynka wspomniała. Widział przed sobą jej porcelanową, bladą twarzyczkę i nieujarzmione rude włosy. A może wcale nie było jej pod łóżkiem, kiedy napadnięto na jej matkę? Może schowała się tam, kiedy rankiem znalazła ją zimną i skostniałą? Może sama zamknęła pokój za sobą? Może wymyśliła to wszystko, co działo się w nocy? Raczej nie. – To o co chodzi z tymi wyobrażeniami?

– Nie ma halucynacji czy czegoś w tym stylu. Czasami jednak uważa, że coś się naprawdę wydarzyło, chociaż tylko jej się przyśniło. To jest dość częste u dzieci.

– I pan uważa, że to właśnie jest ten przypadek? – Huldar wskazał na rysunki.

– Tego nie wiem. Nigdy nam nie mówiła o jakimś mężczyźnie, w każdym razie nie mnie. Właściwie gdzie znaleźliście te rysunki?

– W jej pokoju. – Huldar nie mógł bardziej szczegółowo określić miejsca, bo policjanci, którzy jako pierwsi przeszukiwali dom, nie pamiętali dokładnie, gdzie mogły leżeć. Jeden z nich twierdził, że były w szufladzie z ubraniami. Ze zdjęć, które zrobiono jeszcze przed przeszukaniem, wynikało jednak, że nie leżały w zasięgu wzroku. A ponieważ ojciec nic o nich nie wiedział, niemożliwe było ustalenie, czy dziewczynka schowała je specjalnie. Matka jednak wiedzieć mogła i niewykluczone, że Margrét będzie w stanie to wyjaśnić. – Ale nie jestem całkiem zadowolony z pańskiego opisu jej wyobrażeń. Rysunki dowodzą, że ktoś kręcił się wokół waszego domu, i jeśli rzeczywiście są to tylko fantazje, dobrze byłoby zdobyć potwierdzenie, nie sądzi pan?

– Ojej. Nie. Tak. Nie wiem. Jestem za bardzo rozkojarzony, by móc ocenić cokolwiek realistycznie. – Sigvaldi wzdychał ciężko. – Ale po co ktoś miałby obserwować nasz dom? Czy to nie oczywiste, że morderca zablądził i napadł na Elisę przez czysty przypadek? Niemożliwe, żeby zginęła z powodu naszego

wspólnego życia. Nie jesteśmy tego typu ludźmi. Nie wierzę, żeby ktoś tam był i nas obserwował. To po prostu do nas nie pasuje.

Wyglądało na to, że dalsza rozmowa o rysunkach Margrét do niczego konkretnego nie doprowadzi. Huldar doszedł więc do wniosku, że najlepiej będzie poprosić o opinię, czy rzeczywiście opowieści Margrét uznać można za wiarygodne.

– Czy córka opowiadała coś panu o wydarzeniach tamtejszej nocy, kiedy zamordowano jej matkę? – Najchętniej zapytałby wprost, dlaczego Margrét obwinia go o śmierć matki. Jednak nie zrobił tego, bo przypomniał sobie, że powinien obchodzić się z nim delikatnie. Oczywiście do czasu.

– Nie. – Sigvaldi spoglądał bezradnie to na Huldara, to na Erlę. – Ona nie chce ze mną rozmawiać. Nie wiem dlaczego. Nie chce być ze mną sam na sam i nawet na mnie nie patrzy w towarzystwie innych osób. Bóg mi świadkiem, że nie ma powodów ku temu, by mogła być na mnie zła lub bać się mnie.

Huldar pokiwał głową na znak, że zrozumiał, i nie pytał już więcej. Najwidoczniej dziewczynka nie pogodziła się jeszcze z ojcem. Przyszedł czas, by to zakończyć.

– Co się panu stało w rękę?

Sigvaldi spojrzał na potargany bandaż. Opatrunek nie był zrobiony przez kogoś, kto się na tym zna. – Potknąłem się o walizkę, kiedy pakowałem się w pośpiechu. Byłem w takim szoku, że nie uważałem na siebie.

Huldar znów pokiwał głową.

– Dał pan to komuś obejrzeć?

– Nie – zaczął się jąkać, po czym dodał: – Miałem co innego na głowie. – W jego surowym głosie można było doszukać się szyderstwa.

– Nie wspomniano o pańskich obrażeniach w poprzednim przesłuchaniu. Przewrócił się pan o walizkę już po złożeniu zeznań?

– Nie. Upadłem, kiedy opuszczałem pokój hotelowy. Przygotowywałem się do wyjazdu na lotnisko po otrzymaniu tych strasznych wieści, chyba nie muszę tego bliżej opisywać. Dopiero po powrocie do domu z przesłuchania zorientowałem się, że się poważnie skaleczyłem. Odebrano mnie z lotniska i przywieziono prosto do komisariatu. Dlatego nic nie mówiłem, ale też nikt nie zwrócił na to uwagi, bo nie przyglądano się mi zbytnio. Podbite oko wyszło dopiero po tym, jak się

przespałem.

– Rozumiem. Możemy pana zawieźć na pogotowie, przyjmą pana bez kolejki. Lepiej, żeby ktoś to obejrzał.

– Nie. Dziękuję. Nie trzeba. Jestem lekarzem i wiem, że to nic wielkiego. Samo się zagoi.

– Musi pan pojechać. Potrzebne nam orzeczenie lekarskie o wypadku. – Na twarzy Huldara nie było nawet cienia uśmiechu. Spojrzał na zegarek. – No, myślę, że jak na razie to wszystko. Nie zamierza pan wyjeżdżać z miasta, zgadza się? Na pewno w najbliższym czasie będziemy pana potrzebować do dalszych zeznań.

– Poza szpitalem nigdzie się nie wybieram.

Wstając, Huldar uderzył otwartymi dłońmi w kant stołu, aż go zapiekły.

– Super. To wszystko. No chyba że jest jeszcze coś, o czym chciałby pan z nami porozmawiać.

Sigvaldi pokręcił głową.

– Nie. Nic, o czym bym pamiętał. Proszę mi tylko obiecać, że się tym zajmiecie. Nikomu nie zależy bardziej niż mnie, żebyście go złapali. Nikomu.

Spojrzał na swoje ręce, po czym wstał od stołu. Huldar odprowadził go przez komisariat do drzwi wyjściowych. Szli, nie rozmawiając ze sobą. Zatrzymali się przed szklanymi drzwiami dzielącymi ich od zimowej zawieruchy na dworze. Przez chwilę wpatrywali się w nią w milczeniu. Nagle Sigvaldi odwrócił się do Huldara i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Życzę powodzenia. Czekam pod telefonem. – Miał dziwny wyraz twarzy, jakby jednak zapomniał o czymś powiedzieć. – Jest mi obojętne, czy Elisa z kimś spała, czy też nie. Chcę tylko, żebyście złapali tego, który ją zabił. Jeśli o mnie chodzi, możecie go też zabić. – Zrobił krok w kierunku wyjścia. Automatycznie otwierane drzwi rozsunęły się, zasysając strumień zimnego powietrza z zewnątrz.

Huldar stał, nie zwracając uwagi na lodowaty wiatr, całkiem jakby wrósł w podłogę. Rozmyślając, patrzył, jak mężczyzna wsiada do samochodu i odjeżdża.

Rozdział 13

Nie wiedzieć czemu Karl czuł się zawsze podenerwowany z powodu swojego samochodu. Ale jego przyjaciele nie okazywali niezadowolenia, mimo że Halli siedział z kolanami przyklejonymi do schowka, a Börkur wiercił się, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji na tylnym siedzeniu. Jako że żaden z nich nie miał auta, musieli zadowolić się pojazdem, który Karl odziedziczył po swojej mamie.

A jednak on sam nie mógł się przekonać do tego samochodu. Karl musiał przyznać, że prawie wszystko w jego życiu było nie do zniesienia, musiał też pogodzić się z uwięzieniem w tymże życiu i nieobecnością w życiu innych. Brzydki dom, przestarzały samochód i dwaj nieszczerze interesujący przyjaciele. Oto cały jego los. Brak ojca, a teraz i mamy. Z najbliższych pozostał mu tylko brat, który, żeby było śmieszniej, mieszkał bardzo daleko, a wcześniej zawsze trzymał go na dystans. Bardziej beznadziejnie nie mogło już być. Każdy miał jakąś tam rodzinę. Albo dziewczynę. Tylko nie on. Jeśli nawet wymarzona piękność spadłaby mu prosto z nieba, to z pewnością jeszcze szybciej zniknęłaby z horyzontu. Dlatego nawet nie oglądał się za dziewczynami. Żałosne życie. Im szybciej do tego przywyknie, tym lepiej dla niego. Nic nie zapowiadało zmian.

Oczywiście mógłby zacząć od ulepszenia auta. Ale po prostu się nie dało. Tak jakby ten model miał być wzorcowym przykładem minimalistycznego pojazdu do przemieszczania się: nadwozie, podwozie, cztery koła, siedzenia i kierownica. Nie było niczego, co mogłoby podnieść komfort jazdy i zarazem umilić ją podróżującym. Do tego dochodziła niepojęta irytacja tym, że matka, szaleńczo wręcz dbająca o samochód, co tydzień myła go w środku i na zewnątrz oraz regularnie jeździła na przeglądy techniczne, jakby chodziło o samolot pasażerski, a nie to coś.

Krótko po jej śmierci rozczarowanie Karla pogłębiło się jeszcze, gdy w Internecie sprawdził, ile samochód był wart. Diler samochodowy, do którego zadzwonił, powiedział, że nie ma znaczenia, iż pojazd znajdował się w idealnym stanie i nie wyglądał na ośmioletni. To po prostu przyspieszyłoby jego sprzedaż. Po czym ziewnęła przeraźliwie, jak gdyby rozmowa o tym gruchocie była poniżej jego

godności. Karlowi wydawało się, że dilerowi wielce ulżyło, gdy usłyszał, że Karl musi jednak rozważyć, czy chce sprzedać samochód. Nie było mowy, żeby pozbyć się auta na takich warunkach. Poza tym, jak i w przypadku sprzedaży mieszkania, musiałby podzielić się pieniędzmi z bratem, a to, co by zostało, wystarczyłoby jedynie na coś jeszcze gorszego. W gruncie rzeczy cieszyłby się niezmiernie, gdyby z jego doli starczyło na porządny rower.

– Spróbuj zadzwonić. – Börkur wsadził głowę między przednie siedzenia, chwytając się rękoma za podłóżki. Karla wygięło do tyłu i głowa Halliego przesłoniła mu dom. – Albo idź i zapytaj o tę kobietę.

– I co dalej? Co niby miałbym jej powiedzieć? – To był najgłupszy pomysł tego wieczora. Chociaż robili już gorsze rzeczy. – Dobry wieczór. Czy pani to Elisa? Słyszałem pani PESEL w radiu.

– Coś w tym stylu. – Börkur odwrócił się do Karla. – Nie byłbyś ciekawy, gdyby ktoś zapukał do ciebie i powiedział coś podobnego?

– Ja osobiście uznałbym go za wariata. Pomyleńca – odezwał się Halli, lekko trzęsąc się z nerwów. Nie za często, ale czasem w tym, co mówił, były przebłycki zdrowego rozsądku. – Mogłaby zadzwonić na policję. Albo wpaść w szal i cię pobić.

Karl czuł, że za chwilę eksploduje ze złości. Miał ochotę zerwać różaniec wiszący na wstecznym lusterku i owinąć nim szyję Halliego. – Naprawdę uważasz, że dałbym się pobić jakiejś babie? Może ty tak, ale ja nie.

Halli popatrzył na niego, zdziwiony tak ostrą reakcją. Kiedy dał upust swojej złości, Karl poczuł pustkę i sam się zdziwił, jak bardzo poniosły go emocje. Halli nie miał przecież nic złego na myśli, zresztą jak zwykle wtedy, kiedy mówił podobne bzdury. W ogóle Karl był jakiś dziwny ostatnimi dniami. Audycje nadawane z radiostacji wytrąciły go z równowagi i towarzyszący im niepokój nie zniknął. Wręcz przeciwnie, narastał.

Wiązało się to na pewno z egzystencjalnym kryzysem, z którym zmagał się od jakiegoś czasu. Z wszystkiego był niezadowolony: ze studiów, z mieszkania, z przyjaciół i z siebie samego.

Niedawno skończył dwadzieścia trzy lata i ponosił w życiu same porażki. Nie wiedział, co mógłby zrobić, by to zmienić. Ale złość nie była żadnym rozwiązaniem bez względu na to, co stanowiło jej przyczynę – ogólne

niezadowolenie z życia czy też niepokój wywołany przez audycje. I to nie Halli ponosił winę za wszystko, więc Karl próbował go udobruchać.

– Tylko żartowałem.

Z twarzy milczącego teraz Halliego nie można było wyczytać, czy mu uwierzył, bo odwrócił się w stronę bocznej szyby.

Börkur sprawiał wrażenie niezorientowanego, jak zwykle zresztą. Tylko on podczas przerwy w kinie nie zauważył ich byłego przyjaciela, tego czwartego z paczki – Þórðura z dziewczyną, tą samą, która należała do ich grupy. Wszyscy próbowali udawać, że się nie znają, i to w całkiem pustym kinie. Czasem fajnie było być takim Börkurem.

– Możesz spokojnie spróbować. – Börkur klepnął Karla w ramię. – Wygląda, na to, że nikogo nie ma w domu.

Milcząc, wpatrywali się w budynek. Zarówno Karl, jak i Halli musieli przyznać kumpłowi rację. Wszędzie pogaszone światła, podjazd pusty i wszystkie okna pozamykane. Karl żałował, że posłuchał Halliego i nie zapukał. Obeszłoby się bez uszczerbku na honorze i innych nieprzyjemnych konsekwencji, bo na pewno w domu nikogo nie było. Musi w końcu nauczyć się najpierw myśleć, a potem mówić.

– Myślicie, że znowu nadają? – Karl wciąż patrzył na opuszczony dom i zastanawiał się, z jakiego powodu ktoś wyczytywał PESEL tej kobiety. Przestał za to rozmyślać, dlaczego właściwie się tu znalazł. Może w grę wchodził jeden wielki przypadek, a cyfry nie były żadnymi PESEL-ami?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Halli także nie odrywał wzroku od domu. Szyba zaparowała od jego oddechu, więc przetarł ją, by móc cokolwiek zobaczyć.

– Nie zamierzacie próbować dalej nasłuchiwać? – Karl odwrócił się do tyłu, do Börkura, który wyglądał na znudzonego obserwowaniem budynku. Nucił pod nosem jakąś melodię i w jej takt uderzał ręką o kolano.

– Ja? – Börkur wyglądał na zdziwionego. – Nie. Nie ruszałem swojej radiostacji przez wiele tygodni. Nawet nie jest podłączona. Wysiadły bezpieczniki i nie chciało mi się oddawać do naprawy.

Karl odwrócił się teraz do Halliego.

– A ty?

Halli nawet nie odwrócił głowy ciągle skierowanej w stronę domu.

– Nie. Wydaje mi się, że moja też jest zepsuta. W zasadzie to radioamatorstwo już mnie nie interesuje. Jest tyle innych fajnych rzeczy. No wiesz, różnego rodzaju.

– Zepsuta?

– Czy coś w tym stylu. Kombinuję, żeby to sprzedać i kupić sobie w zamian nowy komputer.

Ostatnio Halli zatopił się w wirtualnym świecie. Podczas jednej z urządzonych przed sylwestrem obław na piratów internetowych, policja aresztowała Halliego i zarekwirowała komputer z całą jego zawartością. Komputer, z którego był taki dumny, zwłaszcza że sam na niego zarobił ciężką pracą w magazynie sklepu spożywczego. Karl miał nadzieję, że dzięki temu kolega wróci do dawnych przyzwyczajeń. Niestety, od tego czasu minęły już dwa miesiące i ani razu nie natknął się na Halliego na którymś z pasm radiowych.

Karl nie wiedział, co powiedzieć. Jego przyjaciele zupełnie stracili zainteresowanie krótkofalarstwem, a tajemnicze cyfrowe audycje nie wystarczały, aby na nowo wzbudzić w nich zapał. A przecież na początku tak samo jak on cieszyli się z nawiązywania kontaktów z zagranicznymi radioamatorami i korzystali z całej gamy możliwości, jakie dawała radiostacja. Całymi latami wielokrotnie rezygnowali ze wspólnych spotkań tylko po to, by godzinami wysiadywać w domu, każdy przy swoim urządzeniu, nasłuchując i czekając na coś wyjątkowego. I kiedy wreszcie, wbrew wszelkim oczekiwaniom, trafiła się rzecz niesamowita, nie chcieli im się robić tego dłużej. Karl nie potrafił tego zrozumieć. Już otworzył usta, by zadać kolejne pytanie, po czym błyskawicznie je zamknął, bo właściwie nie chciał usłyszeć ich odpowiedzi. Nie zniósłby wypowiedzianego głośno potwierdzenia, że oto on, Karl, został sam w radioamatorstwie. I jeśli oni go opuszczą, nie zostanie mu już nikt inny. Dosłownie nikt.

– Widzicie tam? – Börkur wskazywał na dom obok. – Ktoś nas obserwuje.

Zza przeźroczystej firanki podglądała ich postać. Nie było w tym nic szczególnego i nie było powodu, by się denerwować, a jednak zarówno Karl, jak i dwaj pozostali poczuli się nieswojo. Atmosfera w samochodzie się zagęściła.

Pomysł, by obejrzeć dom Elisy, zrodził się zupełnie z niczego, wkrótce po tym, jak wyszli z kina. Zaplanowali podjechać do niej, a później pod dom tej drugiej kobiety, której PESEL dołączył do rzędów cyfr w ostatniej audycji. Mieszkały blisko siebie. Ale teraz, kiedy przed oczami mieli zarys wpatrującej się w nich

postaci, wszystko to wydało się Karlowi poronionym pomysłem. Nie wykluczał, że ten ciekawski sąsiad wziął ich za złodziei robiących zwiad i zadzwonił na policję. Zastanawiał się też, czy z tej odległości widoczne są numery rejestracyjne samochodu, doszedł jednak do wniosku, że nie. Naprawdę nie potrzebował teraz odwiedzin policji w domu. Od razu postanowił, że dla pewności posprząta z popielniczki niedopałki po jointach. Na myśl o unoszącym się w powietrzu sutereny zapachu marihuany poczuł wyraźny niesmak w ustach.

Zapalił silnik.

– Jedziemy. Tu nie ma na co patrzeć. Bo i czego się spodziewaliśmy? Naprawdę nie znam tej kobiety i nie muszę gapić się na jej dom, by się w tym upewnić.

Ruszył z miejsca.

Wydawało się, że Börkur zasnął na tylnym siedzeniu. A jednak powiedział:

– Pomimo wszystko pojedźmy też do tej drugiej. Skoro jesteśmy tak blisko. Przecież nie wiesz, czy ją znasz. Może uda nam się ją zobaczyć i okaże się, że to ktoś z wydziału chemii. Wtedy miałbyś pewność, że to szkolny wkręt.

– Szkolny wkręt? – zdziwił się Halli. Wciąż patrzył przed siebie, na drogę, ewidentnie chcąc uniknąć kontaktu wzrokowego z Karlem. Ignorował go, ciągle jeszcze obrażony. Dlatego też Karl czuł się w pojeździe jak zamożny, samotny kierowca, który nagle stracił całą fortunę, ale wciąż zachowywał się jakby nigdy nic. Uśmiechał się sam do siebie na tę myśl.

– Szkolny wkręt, serio? Czy zbliża się doroczny bal przebierańców?

– Nie. Bal był przed świętami Bożego Narodzenia.

Karl mijał właśnie dom sąsiadów Elisy i w tym momencie pożałował, że nie zawrócił i nie udał się w przeciwnym kierunku. Jeśli postać zza firanki wcześniej nie dojrzała numerów rejestracji, to teraz miała je podane jak na talerzu. Karl dodał gazu. Myślami przeskoczył do zapachu, który pozostał po trawce palonej w suterenie. Uznał, że może uda mu się go zneutralizować, jeśli rozpyli w powietrzu płyn do mycia okien.

– To nie ma nic wspólnego ze szkołą – powtórzył.

Wiedział już, że Ástrós Einarsdóttir, właścicielka nowego PESEL-u, nie miała Facebooka. Nieliczne jej zdjęcia w Internecie były nieaktualne i złej jakości. Jeśli nawet w wieku sześćdziesięciu pięciu lat zapisała się na studia, to zapewne znalazła się w grupie ze starszymi studentami. Miał pewność, że nikogo tak starego nie znał.

Może była wolnym słuchaczem lub z innego wydziału. I chociaż jej zdjęcia były niewyraźne, to jednak wystarczały, by mógł stwierdzić, że nie widział jej nigdy przedtem. A do tego jej twarz nie wyróżniała się niczym szczególnym, tak samo jak jego samochód.

– Uspokój się! – Börkur nie był zapięty pasami i uderzył całym ciałem o boczne drzwi, kiedy Karl skręcił gwałtownie w uliczkę. Chciał jak najszybciej stamtąd uciec. – Pojedźmy do tej drugiej kobiety. Proszę. Przecież nic złego nie może się stać.

Nic, oprócz zwrócenia na siebie ponownie uwagi czujnych mieszkańców, którzy zapewne zawiadomią policję, pomyślał Karl, ale go posłuchał. Niech już Börkur ma to, czego chce, bo w końcu sobie zasłużył chociażby tym, że wciąż z nim rozmawiał. Nie miał ochoty w drodze powrotnej do domu siedzieć w aucie z dwoma obrażonymi na niego kolegami. Marzyło mu się, aby ten nieszczęsny wieczór zakończył się pozytywnie, bo zwiększało to szansę, że uda mu się dzisiaj spać spokojnie, a nie przewracać się z boku na bok i martwić samotną przyszłością.

– Okej, okej. Ale nie zamierzam pukać do drzwi. To bez sensu.

– Mógłbyś jednak spróbować. – Karl widział w tylnym lusterku, jak Börkur skrzyżował ręce na klatce piersiowej, a głowę oparł o boczną szybę. Wyglądał jak niegrzeczne dziecko, któremu za karę nie pozwolono pójść na lody.

Nie odpowiedział więc koledze. Cisza na nowo wypełniła wnętrze małego samochodu. W zasadzie mieli blisko, na szczęście jednak wystarczająco daleko, by włączyć radio i rozładować napiętą atmosferę. Z radia popłynęła przesłodzona i sentymentalna piosenka o przyjaźni, która nigdy się nie kończy. Nie było mowy o zmianie kanału radiowego, bo jeszcze bardziej zwróciłoby to uwagę na ich nieszczęsny przypadek.

Kiedy dojechali na miejsce i Karl parkował auto na chodniku, piosenka wreszcie się skończyła.

– No dobra. I co teraz? – Karl nachylił się do przedniej szyby, by lepiej widzieć. Świąteczne światełka, które prosiły się już o ściągnięcie, rozświetlały dwurodzinny dom. W Internecie znaleźli informację, że Ástrós zajmowała górę willi. Najwyraźniej była samotna, bo nikt poza nią nie widniał w książce telefonicznej pod numerem przypisanym do mieszkania. Wiedzieli o niej tylko tyle, że mieszkała pod tym właśnie adresem.

Halli i Börkur nie byli dla Karla żadnym wsparciem podczas przysłuchiwania się numerycznym przekazom. Kiedy Halli w końcu wybudził się z drzemki, w jaką zapadł na początku audycji, wydawał się nieobecny. Wyglądało na to, że wstydzi się, iż na chwilę zasnął. Nie odzywał się, nawet nie wstał z sofy, by z nimi rozmawiać, tylko się przysłuchiwał. Börkur za to nadrabiał za dwóch, mówiąc szybko i bez przerwy. Karl ledwie nadążał z zapisywaniem wyczytywanych cyfr, które zawierały nowy PESEL. Po zakończeniu audycji nie potrafili tego w żaden sposób logicznie wytłumaczyć. Börkur uważał to za zabawną, niespodziewanie ekscytującą odskocznnię od rzeczywistości. Halli z kolei uznał rzecz za wstrętną, dlatego też próbował ją ignorować, natomiast Karl potraktował jako coś nieznanego i dziwnego, co jednak bezpośrednio dotyczy jego osoby.

Co może być bardziej osobistego niż właśnie przeklęty PESEL?

– Tam w domu ktoś jest. – Światło na piętrze właśnie zgasło, a podniecony tym Halli zapomniał, że był przecież obrażony. W kinie humor nieco mu się poprawił i stary dobry Halli momentami do nich wracał. Teraz foch zupełnie mu przeszedł. – Myślicie, że to ona?

Börkur wsunął głowę w przerwę pomiędzy przednimi siedzeniami i gapił się na dom. Gdy się wiercił, aby znaleźć bardziej dogodną pozycję do obserwacji, pod stopą poczuł jakiś przedmiot. Pochylił się i podniósł go z podłogi.

– A co ty z tym robisz? – Podał do przodu telefon komórkowy. – To twojej mamy? Leżał tu z tyłu.

Komórka była w kwiecistym etui. Karl chwycił ją i oglądał ze wszystkich stron, bo nigdy wcześniej jej nie widział. Telefon mamy nie był taki elegancki i nadal leżał na stoliku nocnym w jej pokoju.

– Leżał na podłodze w samochodzie? Nie mam pojęcia, czyj jest. – Spróbował go włączyć, ale bateria była wyczerpana. – Może któraś z koleżanek mamy go tu zgubiła.

Jeśli leżał pod siedzeniem, to pewnie wysunął się, kiedy Karl poprzednio dodał gazu i ruszył z piskiem opon, co oznaczało, że zapodział się wiele miesięcy temu.

– Czy twoja mama miała jakieś seksowne koleżanki? – Börkur ponownie się schylił i tym razem wyciągnął majtki, z pewnością nienależące do matki Karla. Czerwone, koronkowe stringi. Karl wziął je do ręki i nieznacznie się zarumienił, kiedy jego palce dotknęły materiału. Tak jakby trzymał delikatną pajęczynę

z domieszką powietrza.

Halli wybuchnął śmiechem. Najpierw brzmiało to przyjaźnie, ale po chwili już szyderczo. Nagle przestał, jakby ktoś zgasił śmiech, tak samo jak wyłącza się grające radio.

– Masz dziewczynę, o której nie chcesz nam powiedzieć? Nie zamierzam mówić źle o twojej mamie, ale z pewnością to nie jej majtki ani żadnej z jej koleżanek. Kiedyś widziałem dwie z nich i żadna nie wcisnęłaby się w to nawet jednym udem.

– Nie mam żadnej dziewczyny. – Karl odłożył ostrożnie stringi i telefon. – I nie mam zielonego pojęcia ani czyja to własność, ani co robi w samochodzie.

– W każdym razie musiało się tu znaleźć jeszcze w czasie, kiedy autem jeździła twoja mama. – Börkur wziął do rąk komórkę. – Mam w domu ładowarkę do telefonu tego typu. Chcesz, żebym go naładował i sprawdził, do kogo należy?

Halli bacznie wpatrywał się w Karla, mając nadzieję, że ten odmówi, by nie wydało się, że jednak ma dziewczynę. Ale Karl przystał na propozycję, podziękował i pozwolił Börkurowi schować telefon do kieszeni. Halli uśmiechnął się zawiedziony i znudzony.

W górnej części domu powoli gasły w oknach światła. Spokojnie ciemniały jedno po drugim. W radiu leciały wiadomości:

– Jak dotąd policja nie wydała oficjalnego komunikatu w sprawie śmierci młodej kobiety, znalezionej w swoim domu minionej nocy. Wedle doniesień agencji informacyjnej, sprawą zajmuje się Wydział do spraw Zabójstw. Nieoficjalnie wiadomo, że żadne ze śladów zabezpieczonych na miejscu zdarzenia nie świadczą o tym, że do śmierci doszło na skutek spożywania narkotyków czy alkoholu. Kobieta zginęła, gdy wraz z trójką dzieci przebywała w domu, podczas gdy jej mąż był za granicą. Na jutro przewidywana jest konferencja prasowa rzecznika policji poświęcona dochodzeniu w tej sprawie.

Karl głośno przełknął ślinę. Całkowicie stracił ochotę na dalsze przebywanie w tym miejscu. Wydawało mu się, że za chwilę udusi się w aucie, nieznacznie odkręcił więc szybę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuł, że głowa pęka mu z bólu, jakby ktoś walił młotkiem w jego czaszkę. Zapalił silnik i ruszył z miejsca. Nie miał do końca pewności, ale kiedy wjeżdżał na jezdnię, wydawało mu się, że dochodzi do niego ledwo słyszalny krzyk. Jednak Halli i Börkur nie dali po sobie poznać, że cokolwiek słyszeli, postanowił więc to zignorować.

Dopiero w domu, gdy późną nocą zmorzył go w końcu upragniony sen, krzyk ten odbił się spóźnionym echem w jego umyśle.

Rozdział 14

Popcorn był za słony. Ástrós musiała więc co chwilę wstawać sprzed telewizora, by przynieść sobie wodę. Nie mogła się skoncentrować, a w zasadzie to straciła wątek i miała mgliste rozeznanie w tym, co działo się na ekranie oraz kto z kim i co zrobił. Sprawy nie ułatwiało też to, że aktorzy prawie wcale nie różnili się od siebie – gdy się uśmiechali, cały ekran wypełniały ich duże białe zęby, młode kobiety miały twarze tak nierealnie piękne, że aż sztuczne, a mężczyźni byli za starzy, by można było uzasadnić, co te młode kobiety w nich widzą. Tęskniła za Geirem, który zazwyczaj siedział przy niej i zasypiał, gdy na ekranie nie działo się nic ciekawego albo gdy denerwowała się tym, że jedyną rolą kobiet była walka o względy i pieniądze mężczyzn.

Ástrós wyciągnęła dłoń po pilota i ściszyła głos, bo właśnie leciały reklamy, które chyba specjalnie nastawiali głośniejsz niż wszystko inne. A może po prostu nadszedł czas, by położyć się do łóżka i zabrać do czytania książki, którą od jakiegoś czasu próbowała dokończyć. Nie zależało jej na oglądaniu serialu i na losach tych nierealnych postaci, których jedynym celem było oszukiwanie wszystkich razem lub każdego z osobna. Dla niej cała ta banda mogła skończyć w rynsztoku martwa lub przez wszystkich wyklęta i opuszczona.

Gdy Ástrós podeszła do bardzo dużego okna w pokoju, by zaciągnąć zasłony, poczuła, że się ochłodziło. Od zimnego powiewu powietrza dolatującego od okna dostała gęsiej skórki. Kiedy ciężkie kotary znalazły się na swoim miejscu, w mieszkaniu zrobiło się cieplej. Odgradzały bowiem nie tylko od mroźnego wiatru, ale też od wieczornego, smutnego, zimowego widoku za oknem. Zanim jednak je przesłoniła, wyjrzała przez szybę na opustoszałą w taką pogodę ulicę. Tylko wiatr po niej hulał i rozwiewał po oblodzonych chodnikach i jezdniach białe drobinki, więc choć nie padało, to wyglądało jakby prószył śnieg. Ponownie poczuła przeszywający jej ciało dreszcz zimna. Starannie zasłoniła okno, żeby nie pozostawić najmniejszej szczeliny w zasłonach. Może w końcu jutro się wypogodzi, bo dobrze by było, gdyby te niekończące się niżej przesunęły się nad inną część świata.

Reklama w telewizji zachwalała samą telewizję i te z jej programów, które widzowie powinni koniecznie zobaczyć. Nie polepszyło to jednak samopoczucia Ástrós. Zimno i samotność dopadły ją na dobre, stwierdziła więc, że idzie spać. Jeszcze tylko postanowiła sprawdzić, czy drzwi balkonowe są na pewno zamknięte, a także zaciągnąć zasłony. Nie wychodziła na balkon od czasu, kiedy po lecie uporządkowała tam donice z kwiatami, z których wyrzuciła wyschnięte kikuty roślin, a przy okazji mały krzaczek chwastów, któremu udało się wyrosnąć z posadzki. Właściwie nie musiała sprawdzać tych drzwi, ale od lat robiła to z przyzwyczajenia. Pomimo swojej inteligencji i przyrodniczego wykształcenia miała przeczucie, że jeśli tego nie zrobi, drzwi mogą z jakichś niewytłumaczalnych powodów same się otworzyć. Nawet nie próbowała walczyć z tym przeświadczeniem, bo wiedziała, że żadne argumenty nie są w stanie go zmienić. Wiedza nie pomagała jej także w wyzbyciu się strachu przed ciemnością. Ástrós obawiała się jej od dziecka i teraz, gdy została sama, niepokój powrócił. Nie bała się tylko wtedy, kiedy jeszcze żył Geir. Gdy gasły światła, ciepło bijące od jego ciała odsuwało lęk przed ciemnymi i brudnymi zaułkami.

Gdy przez chwilę zdawało jej się, że coś poruszyło się na zewnątrz, Ástrós oczywiście się wystraszyła. Wypuszczone z rąk zasłony powróciły na swoje miejsce. Czując łomotanie swojego serca, przypomniała sobie o wizycie kontrolnej u lekarza i konieczności sprawdzenia, czy nie potrzebuje silniejszych leków na nadciśnienie. Wtedy jej serce zaczęło bić ze wzmożoną siłą i przestraszyła się, że dostanie zawału. Wolałaby nie dostać zawału w tym momencie. W szybie drzwi od balkonu odbijała się jej twarz i sprana piżama, wystająca spod wystrzępionego szlafroka. Siwe włosy, które były takie ładne, kiedy skończyła je nakręcać na lokówkę, stały się teraz rozczochrane. Szeroko otwarte oczy zagubiły się wśród dziesiątek zmarszczek. To niesprawiedliwe, że aż tyle ich mogło pomieścić się na jednej, jedynej twarzy. Wlepiała wzrok w ohydny fałd skóry wiszący od brody po szyję. Czyżby zamieniała się w indyka? Co się stało z jej twarzą? A z figurą? Szlafrok, który przewiązała paskiem w talii, uwypuklał przesadnie zarys jej sylwetki i dodawał kilogramów w najgorszym z możliwych miejsc.

Ástrós ponownie dotknęła zasłon. Pomyślała o dziwnych SMS-ach i składanych jej telefonicznie obietnicach. Nikt nie przyszedł i nikt też nie odwołał swoich odwiedzin. Kiedy dzień chylił się ku końcowi, powoli o tym zapominała. Schowała

ponownie ciasto, które wyciągnęła wcześniej z zamrażarki, i wylała kawę z termosu. Nie zamierzała jej teraz pić, a potem leżeć bezsennie do samego rana. Było to w zasadzie bez znaczenia, czy by spała, czy też nie, bo i tak następnego dnia nic nie miało się wydarzyć. Za wszelką cenę chciała jednak uniknąć samego leżenia w ciemnościach i wpatrywania się bez sensu w sufit. Dziwne, jak nocą wszystko się komplikowało, a najmniejszy problem w mroku urastał do rozmiarów gigantycznych. Dopiero kiedy zaczynało świtać, kurczył się i zdawał się być do ogarnięcia.

Na balkonie nie ruszało się nic oprócz śniegu, którego górka rosła w rogu. Ástrós czuła, że jej serce zaczyna się uspakajać. Nieznacznie odsunęła się od szyby, więc widok własnego odbicia stał się teraz dla niej mniej bolesny. Od wydychanego powietrza na szybie utworzył się obłoczek pary, który momentalnie znikł. Pewnie to wszystko przez okropny serial, z którego wpływu na nią dotąd nie zdawała sobie sprawy. Jeden mężczyzna w nim skradał się w krzakach wokół domu tak długo, aż znalazł okno, przez które włamał się do środka. Na rękach nosił skórzane rękawiczki i udusił nimi jedną z tych nierealnie pięknych kobiet. Twarz leżącej na podłodze denatki była równie nieskazitelna jak za życia. Coś mówiło Ástrós, że ona sama nie byłaby tak pięknym trupem.

Ástrós skończyła z oglądaniem tamtego serialu. Po raz ostatni spojrzała na balkon, a potem poruszyła gwałtownie zasłonami w tę i w tę, by zaskoczyć ewentualnego włamywacza. Jednak nie było tam nikogo. Pewnie widziała tylko targane wiatrem śmieci. Może i sprawny mężczyzna nie miałby problemu z wdrapaniem się tutaj, ale komu chciałoby się to robić.

Idący teraz serial do reszty ją znudził. Nie wyłączyła jednak telewizora, gdy poszła się umyć, bo przygotowując się do snu, nie chciała być otoczona ciszą. Myślała, że z łazienki będzie słyszeć, co jeszcze wydarzy się u pięknych i bogatych ludzi, ale szum elektrycznej szczoteczki do zębów zagłuszył ich rozmowy. Nie rozumiała ani jednego słowa.

Kiedy usłyszała stłumiony dźwięk pękającego szkła, nie przyszło jej do głowy nic innego jak tylko to, że w telewizji znowu lecą reklamy, ale tym razem próbują ludziom sprzedać ubezpieczenia na wypadek włamania.

Tym bardziej więc się przeraziła, gdy wychodząc z łazienki na korytarz, kątem oka zobaczyła zarys postaci zbliżającej się szybko z podniesioną, gotową do ataku

ręką. Nie zdążyła nawet wydobyć z siebie krzyku. Kiedy pałka uderzyła ją w szyję, poczuła tylko, że się dusi i osunęła się bezwładnie niczym kozioł ofiarny.

Kiedy odzyskała przytomność, siedziała mniej więcej prosto, nie mogła jednak otworzyć oczu. Dotknęła więc rękoma twarzy i wydawało jej się, że ta za chwilę pęknie. Bolała, jakby zaciskano ją w imadle. Drżące palce Ástrós dotykały czegoś gładkiego i zimnego, co zakrywało połowę twarzy, od środka nosa aż po czoło. Obmacywała twarz, chcąc znaleźć sposób, by się z tego uwolnić. Na próżno jednak drapała paznokciami po taśmie owiniętej wielokrotnie wokół głowy, bo wzmagało to tylko piekący ból skóry na czole i policzkach. Tak jakby przyklejono jej do twarzy maskę.

Nagle jej prawa dłoń została gwałtownie odciągnięta od głowy i wsunięta w nią zostało coś o znajomym kształcie. To był ołówek. Mocno wciśnięty w dłoń, położoną z kolei na kartce, która znajdowała się na stole. Zorientowała się, że musi być we własnej kuchni. Poznała po krześle, na którym siedziała, i delikatnym zapachu curry z potrawy, którą wczoraj wieczorem podgrzewała na kolację.

– A teraz licz!

– Słucham? – Głos się jej załamywał, ale i tak była zaskoczona, że wyrażał raczej zdziwienie niż strach. Co tu się działo? Bolące przeraźliwie gardło przypomniało jej o uderzeniu. Całe ciało miała obolałe, napastnik najwyraźniej brutalnie ciągnął ją do kuchni po podłodze, kiedy była nieprzytomna. Do tego jeszcze paraliżujący ból głowy.

– Licz. Przecież jesteś w tym cholerną specjalistką, prawda?

To był mężczyzna. Jego głos brzmiał, jakby mówił przez zakryte usta, ale mogło jej się tylko tak wydawać, bo przecież taśma zaklejała częściowo jej uszy. Nie znała niewyraźnie słyszanego głosu, pomimo tego dobrze wiedziała, że ma do czynienia z człowiekiem niezrównoważonym. Głęboki ton głosu, przepelniony nienawiścią. Ucisk głowy wzmagał się i Ástrós wydawało się, że ponownie traci przytomność. Mogła pomyśleć jedynie, że to nie ma prawa skończyć się dobrze. Pytanie tylko, jak szybko. Ale co oznaczało szybko? Dwadzieścia minut? Dziesięć minut? Pięć minut?

Ástrós pociągnęła nosem i włączyła myślenie. Jeśli nie spróbuje, to może być tylko gorzej.

– Policzyć? Co mam policzyć? – Jakże mogła liczyć, kiedy nic nie widziała. Czy

powinna go poprosić, żeby zdjął jej taśmę z oczu? Nie, pewnie nie opłacało się ujrzeć jego twarzy. Nagle poczuła odrobinę optymizmu. Może zakleił jej oczy, bo wcale nie miał zamiaru jej zabijać. – Obliczę ci wszystko. Powiedz mi tylko co.

– Prawdopodobieństwo. Tylko to, masz obliczyć je dla mnie.

Ástrós poczuła, że kręci się jej w głowie. Czego chciał od niej ten człowiek? Prawdopodobieństwo? Może zablądził i jest tu przez przypadek.

– Nie jestem matematyczką ani też żadną specjalistką od statystyki. Jestem nauczycielką biologii. Właściwie już na emeryturze. – Zaschło jej w gardle, ale nie odważyła się poprosić o wodę.

– Oblicz prawdopodobieństwo, powiedziałem.

– Prawdopodobieństwo czego? – Ástrós czuła pod przekłętą taśmą, jak łyżki próbują wypłynąć na zewnątrz. Bezskutecznie. Czuła też, że szczypią ją powieki. – Nie mogę obliczyć prawdopodobieństwa, nie wiedząc, czego ma dotyczyć.

– Ach, przecież jesteś taka mądra. Udowodnij, jak to jest, kiedy masz dwie możliwości i skupiasz się tylko na jednej, a drugą po prostu ignorujesz. Przecież tak łatwo ci to przychodzi.

Było jej duszno. Tak jakby serce i płuca nagle zapadły się w sobie. Czuła, że jest bliska omdlenia. Czego chciał od niej ten człowiek? Jakiego rachunku prawdopodobieństwa? To wszystko zupełnie nie trzymało się kupy.

– Nie mogę tego obliczyć. To nie jest żaden rachunek prawdopodobieństwa. W zasadzie nie wiem, co to jest. – Ołówek wyslizgnał się z dłoni. Miała nadzieję, że kreska, którą zapewne zostawił po sobie na papierze, nie będzie w jego oczach niewybaczalna.

– Odmawiasz?

Ástrós milczała. Bała się powiedzieć cokolwiek, by go jeszcze bardziej nie rozzłościć.

– Obliczaj!

Ołówek prawie wypadł jej z ręki, kiedy drżącymi palcami zaczęła pisać przypadkowe cyfry. Wyobrażała sobie w głowie leżącą przed nią kartkę i to, co było na niej napisane. Nie chciała, żeby cyfry nachodziły jedna na drugą, bo mogło to skutkować jego złością i kolejnym ciosem. $1/10 + 9/10 = 1$. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Poddała się i zwilżyła językiem suche wargi. Wiele by dała, żeby móc teraz widzieć. Niepewność, gdzie on się znajduje i co robi oraz czy

przygotowuje się, by ją uderzyć, była nie do wytrzymania. Starła się zachowywać powściągliwie na tyle, na ile było to możliwe, ale też przygotowywała się na ponowny atak. Miała pewność, że wkrótce nastąpi.

– Co to ma znaczyć? – Mężczyzna nie uderzył jej, ale ścisnął mocno za ramię.

– Prawdopodobieństwo, że wzajemnie wykluczające się zdarzenia dochodzą do skutku z prawdopodobieństwem jeden do dziesięciu i dziewięć do dziesięciu, a co w sumie daje sto procent. – Z każdym wypowiedzianym słowem wzrastał ból w jej gardle. Miała nadzieję, że wyraziła się wystarczająco jasno.

– Wzajemnie wykluczające się? Co masz na myśli? Poprosiłem, żebyś biorąc pod uwagę rachunek prawdopodobieństwa, wykazała, że liczy się tylko jeden z dwóch możliwych wyborów. Myślałem, że znasz się na tym.

Brzmiało to dla niej jakoś znajomo. Ale czy na pewno chodziło właśnie o nią? Co miały z nią wspólnego te wierutne bzdury?

– Nie. – Coś ciekło jej z nosa. Uświadomiła sobie, że płacze, chociaż łzy nie miały dokąd płynąć. – Nie znam się na czymś takim. To nie jest żadna teza i dlatego też nie sposób tego udowodnić.

– Powiedzmy, że prawdopodobieństwo, iż coś złego może się wydarzyć, jest jak jeden do czterech. To czy nie będzie prawdopodobne jak trzy do czterech, że się nie wydarzy? Co jest bardziej możliwe? To dobre czy to złe? Jeden do czterech czy trzy do czterech? – Mężczyzna zamilkł. Ástrós czuła, że stoi obok, potem zaś usłyszała, że się poruszył i przeszedł na drugą stronę. Dlatego nie wystraszyła się, kiedy wyszeptał jej do drugiego ucha: – A może jeden do dziesięciu? Albo dziewięć do dziesięciu?

Była bardzo zaskoczona bijącym od niego chłodem. Wyczuła zimno małym, nieowiniętym skrawkiem skóry na czole, kiedy ich głowy były blisko siebie. Szeptowi nie towarzyszył jednak ani zimny, ani ciepły strumień powietrza. Odrobina zdrowego rozsądku, którą Ástrós jeszcze zachowała, kazała jej wnioskować, że ma do czynienia z kimś martwym. Co innego mogło wytłumaczyć zimną głowę i brak oddechu? Poczowała, że odsunął się od niej. To, co usłyszała po chwili, przyprawiło ją o gęsią skórę. Znajomy odgłos otwieranych szuflad i pobrękiwanie objadających się o siebie narzędzi kuchennych. W szufladach znajdowały się wszelkiego rodzaju noże, nożyczki, szczypce i inne przyrządy, które można było wykorzystać do złych celów.

Metaliczny dźwięk narastał. Brzmiało to, jakby miskała w szufladzie w poszukiwaniu odpowiedniego narzędzia. Wydała z siebie jęk, a wraz z nim ulotniła się cała resztkę odwagi, którą jeszcze do niedawna posiadała. Była bezbronna i całkowicie skazana na kaprysy tego obłąkanego człowieka. Teraz wydało jej się śmieszne, że wierzyła, iż może się to dobrze skończyć. Gdy mężczyzna rzucił na stół kilka przedmiotów, próbowała nie myśleć, który z nich i do czego mógłby posłużyć. Zrozpaczona starała się pojąć, o co chodziło w tej głupiej teorii dotyczącej rachunku prawdopodobieństwa.

– Licz! – Ástrós aż podskoczyła ze strachu. – Pokaż mi na papierze, jak doszłaś do swoich rezultatów. Że prawdopodobieństwo, iż wszystko się uda, jest mniejsze niż to, że się nie uda. I wyjdź z założenia, że prawdopodobieństwo złego zakończenia jest mniejsze od tego drugiego. Przecież jesteś w tym specjalistką.

W czasie kiedy całkowicie bez sensu kreśliła na kartce przypadkowe cyfry, przysła jej do głowy inna myśl. Czy chodziło mu o to? Czy naprawdę chodziło mu o to? Przestała pisać. Jeśli tak właśnie było, miała jeszcze szansę na przekonanie go i musiała przynajmniej spróbować. Drżąc na całym ciele skończyła bazgrolenie i odłożyła ostrożnie ołówek. Głos jej się łamał, przełyk bolał, a w gardle czuła suchość.

– Jeden do czterech to mniej niż trzy do czterech. Jeden do dziesięciu zaś mniej niż jeden do dziewięciu. To jednak nie znaczy, że jeden do czterech albo jeden do dziesięciu są równe zero. Zależy od kontekstu, czy jest to dużo, czy mało. Czasem jeden do czterech daje duże prawdopodobieństwo. I czasem jeden do dziesięciu też daje duże prawdopodobieństwo.

Mężczyzna zaczął krzyczeć. Ástrós bezwiednie skuliła się w sobie. Ale tak nie mogła uchronić się przed ciosem, który zadał jej w głowę jakimś przedmiotem. Poczowała dzwonięcie w uszach, potem znów zapadła cisza. Chwilę później usłyszała najpierw jego oddalające się kroki, a potem odgłosy grzebania przy wyłączniku światła w dużym pokoju. Ponieważ nie widziała i nie pamiętała, w jakim stanie zostawiła pokój, nie miała pojęcia, czy zapalił, czy też zgasił światło. A kiedy zwiększył głośność w telewizorze straciła wszelkie złudzenia i podniósł jej się puls. On chciał w ten sposób zagłuszyć inne dźwięki. Zagłuszyć krzyki. Ale czy było to rozsądne z jego strony? Przecież hałas mógł rozeźlić sąsiadów z parteru i przyszliby się poskarżyć.

Pomimo bólu, ciemności i strachu znów zapłonęła w niej iskierka nadziei. Sąsiedzi. Jeśli tylko udałoby się jej wydostać na zewnątrz, mogliby ją uratować. Nie musiała wcale iść daleko, by zwrócić na siebie uwagę małżeństwa z dołu. Gdyby uciekła na ulicę, też byłaby bezpieczna. Mieszkała tu od dziesięcioleci i po omacku trafiłaby na zewnątrz.

Ástrós podparła się rękoma o stół i podniosła z krzesła. Wzdłuż stołu ruszyła w kierunku drzwi kuchennych.

– A dokąd to idziesz, geniuszu matematyczny? Samozwańczy ekspercie od prawdopodobieństwa?

Ástrós z trudem łapała powietrze i odwróciła się, chociaż wiedziała dobrze, że nic nie zobaczy. Miała ochotę zwrócić mu uwagę. Nie istniało coś takiego jak ekspert od prawdopodobieństwa, ale nie mogła wydusić tego z siebie. Została brutalnie posadzona na krzesło, z głową maksymalnie odgiętą do tyłu. Palce w skórzanych rękawiczkach rozszerzyły jej szczękę tak, że miała wrażenie, iż ta zaraz się złamie.

Poczuła metaliczny smak. Wepchnięto jej do buzi metal. Bardzo głęboko, aż do samego gardła. Czuła jego chemiczny zapach i zmagła się z odruchem wymiotnym, kiedy on zaczął owijać coś wokół jej szczęki i warg. Taśmę. Mocną taśmę, której przeznaczeniem było utrzymać metal na swoim miejscu.

Mężczyzna zwolnił uścisk i kiedy walczyła, by złapać oddech, usłyszała delikatne pyknięcie. Podłączył coś do kontaktu. Po czym przybliżył się do niej i wyszeptał do ucha:

– Masz, na co zasłużyłaś. – Włączył przycisk, a po chwili dodał: – To nie potrwa długo.

Nie powiedział prawdy.

Rozdział 15

Huldar jeszcze nigdy nie miał tak podkrążonych oczu. Zdawało mu się, że gdy spuszczał wzrok, sam mógł dostrzec ich zasinienie. Ríkharður siedział naprzeciwko Huldara na krześle przeznaczonym dla gości, prawie nieużywanym. Unikał kontaktu wzrokowego, tak jakby za nic w świecie nie chciał o poranku wpatrywać się w czyjąś zmęczoną twarz. Sam jak zwykle był zadbany i czysty, na dowód czego w pokoju unosił się lekki zapach pasty do zębów i wody po goleniu. Huldar nie mógł opanować złośliwej radości, kiedy dostrzegł nad jego wargą niedogolony jednak kawałek skóry, który Ríkharður musiał przeoczyć podczas porannej toalety.

To już po raz drugi w tak krótkim czasie. Wcześniej nie zdarzało się, żeby w jego wizerunku były jakieś niedociągnięcia. A może zrobił to specjalnie? Na wzór dawnych architektów, którzy w swoich planach zostawiali jakieś małe i nieistotne błędy, by zabezpieczyć się przed Bożym gniewem, bo tylko Bóg był idealny.

Prawdopodobnie Ríkharður miał za dużo na głowie, by być jak zawsze perfekcyjny. Wiele się działo w pracy, ale i w jego życiu prywatnym. Huldar próbował zachowywać się, jakby nic się nie stało, lecz trudno mu było obojętnie przyjmować to, przez co musiał obecnie przechodzić jego kolega. Sytuację pogarszał fakt, iż sam mógł częściowo ponosić winę za rozpad małżeństwa Ríkharðura. Odrobinę zjadliwej radości z powodu jego niestarannie ogolonej twarzy zastąpiła troska. Jeżeli ugnie się pod ciężarem problemów, na co raczył zwrócić uwagę również ich szef, to w zmniejszonym składzie nie będą mogli prowadzić śledztwa.

– Nie zastanawiałeś się nad kilkoma dniami urlopu? – wypalił Huldar, dotykając tym Ríkharðura do żywego.

– Wolne? Teraz? – Brzmiało to jak przekleństwo.

– Tak tylko pytam, bo to twoje prawo. Dostałem wykaz dni wolnych dla ludzi z naszego wydziału i masz bardzo dużo zaległego urlopu. Nie chcielibyśmy, abyś się rozchorował na grypę i rozłożył z powodu przeforsowania. Lepiej będzie, jeśli weźmiesz parę dni, zamiast paru tygodni zwolnienia.

Może szef znowu coś wymyślił. Z drugiej strony przecież praca na pełnych obrotach służyła Ríkharðurovi, bo była lepsza niż siedzenie w domu i zastanawianie się, co się straciło. Musiało być dziwnie tak snuć się po domu, w którym do niedawna żył z Karlottą. Huldar ostatnio także dość często myślał o tym, jak smutno mu jest budzić się rano w pustym łóżku. Nie licząc może dzisiejszego poranka. Każda kobieta spakowałaby manatki po przebudzeniu się obok tak wyglądającego Huldara. Znowu pomyślał o tym, jak spaprał sprawę z Freyją. Dlaczego po prostu nie powiedział jej prawdy? Już pomijając, że tego wieczora wyznania nie miały sensu, bo hałas w barze zagłuszał co drugie słowo i pewnie by nawet nie dosłyszała, czym się zajmuje w rzeczywistości. Ale wyszło, jak wyszło. I zamiast obudzić się rankiem u boku Freyi, po czym przyznać się do kłamstwa albo zasłonić pijaństwem, wykradł się po cichu jak jakiś idiota. Trudno, o wiele trudniej będzie wkraść się na nowo, o ile w ogóle jest to jeszcze możliwe.

– Nie, dziękuję. Nie zamierzam iść na urlop – odparł kwaśno Ríkharður.

– Dobrze. Ja też nie chciałbym cię teraz stracić. Po prostu do moich obowiązków należy zwrócenie ci uwagi na te przeklęte dni urlopowe.

Ríkharður skinął głową i kilkakrotnie machnął ręką, jakby chciał te wszystkie wolne dni rozrzucić nad rozpościerającą się za oknem zatoką Faxaflói.

– W zasadzie utknąłem w martwym punkcie. Obojętnie z której strony nie podchodziłbym do sprawy, do niczego dojść nie mogę. Jak już coś znajdę, to mam wrażenie, że rozwiązanie się oddala. Wygląda na to, że ani Elisa, ani jej mąż nie mieli niczego na sumieniu. Nie nadepnęli nikomu na odcisk i nie byli z nikim skłóceniu. Przyjaciółki mówią to samo. Sąsiedzi i koledzy z pracy tylko to potwierdzają. Coraz mocniej skłaniam się ku tezie, że została wybrana przypadkowo lub też morderca się pomylił. To nie rokuje dobrze dla następnej ofiary. Jeśli będą kolejne.

Siedzieli razem w ciszy. Huldar poczuł bolesny skurcz żołądka. Próbował odsunąć od siebie myśl, że może nie uda mu się złapać mordercy, w efekcie jednak głos w jego świadomości rozbrzmiewał bardziej agresywnie, a gdy próbował się go pozbyć, powracał ze zdwojoną siłą. Dochodził do tego strach przed kolejnym morderstwem, które w każdej chwili mogło się wydarzyć, czemu ani on, ani jego ludzie nie mogli zapobiec. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, czuł, jakby imadło zaciskało mu się na klatce piersiowej. Ucisk ustawał dopiero wtedy, gdy

okazywało się, że nie chodziło o znalezienie kolejnego martwego ciała. W tym momencie niczego nie życzył sobie bardziej niż tego, żeby słowa dziewczynki nigdy się nie potwierdziły.

Jakby tego wszystkiego było mało, zabrakło mu gum nikotynowych. Musiał się więc bardzo pilnować, by nie wybuchnąć ze złości, kiedy jego pracownicy pojedynczo składali mu raporty ze śledztwa. Emocje wzięły nad nim górę tylko raz: gdy nagle w całym wydziale zerwały się łącza internetowe, przy czym zapomniano ich poinformować, że było to zaplanowane resetowanie systemów komputerowych. Jeśli w komendzie znajdowałyby się kiosk z papierosami, z całą pewnością złamałby postanowienie o rzuceniu palenia. Wyładował się jednak, łamiąc parę ołówków i klnąc pod sufit.

– Co z dziewczynką? Czy dało się z niej wyciągnąć coś więcej? Ten rysopis czarnego człowieka z ogromną głową nie bardzo nam się przydał. – Ríkharður wyprostował się na krześle.

– Tego nie wiem. A najsmutniejsze w tym wszystkim, że jej zeznania są jedynym, co mamy. Gdyby nie one, byłibyśmy w jeszcze gorszej sytuacji. – Kwas żołądkowy dał Huldarowi znowu o sobie znać. – Mam nadzieję, że się sprawdzi, jak tylko znajdziemy winnego. Mogła widzieć jego twarz przed swoim domem. O ile to nie było tylko wyobrażenie, jak twierdzi jej ojciec.

Ríkharður skrzywił się na twarzy, nie wiadomo, czy z powodu ojca, czy też na myśl o mordercy w ogrodzie.

– Erla coś mi o tym wspominała. Miejmy nadzieję, że uda się potwierdzić jej słowa. Jest nam to niezbędne, bo nie za bardzo mamy na czym się podeprzeć.

– Tak. Zgadza się. – Huldar powstrzymał się od jęknięcia, choć podwodów ku temu nie brakowało. Mówiąc wprost, nie przybywało im dowodów przestępstwa. Ani zdjęte ze zwłok duże ilości taśmy klejącej, ani sekcja zwłok niczego nie wykazały. Nagrania z kamery bankomatowej, którymi zajmował się Ríkharður, pokazywały ulicę z dzielnicy Elisy i mnóstwo samochodów przejeżdżających po niej, ale nie można było odczytać żadnych numerów rejestracyjnych. Nic istotnego dla sprawy nie wynikało również z nagrania zarejestrowanego w czasie, kiedy morderca przypuszczalnie przebywał w okolicy. Szyfry liczbowe też na razie były zagadką i nie dostali z Interpolu odpowiedzi na pytanie o ewentualną pomoc w ich rozkodowaniu. Jeśli w grę w ogóle wchodził kod.

– Czy to nie najwyższa pora, by przesłuchać Margrét tak, jak się to normalnie robi? – W odróżnieniu od wszystkich pracowników z wydziału Ríkharður nie wypowiadał się dotąd w sprawie metod postępowania w schronisku. Cała reszta podzielona była na tych, co są za, i tych, co są przeciw. Zwolenników było wyraźniej mniej niż przeciwników. Do tych ostatnich zaliczała się również Erla i nawet jej udział w ostatnim z przesłuchań w schronisku nie przyczynił się do zmiany zdania na ten temat.

– Nie. Jestem temu przeciwny. Uważam, że dziewczynka zamknie się w sobie na dobre, gdy będziemy ją za bardzo naciskać. Lepiej spróbować jeszcze raz. – Pokój Huldara był zbyt mały, żeby na dłuższy czas wystarczyło w nim powietrza dla dwóch dorosłych mężczyzn. Aby otworzyć okno, Huldar nie musiał wstawać z krzesła, wystarczyło, że wyciągnął rękę. Strumień świeżego i ożywczego powietrza wpadł do pokoju. Już w znacznie lepszym nastroju zwrócił się do Ríkharðura. – Właśnie sprawdzają, czy nie lepiej by było na czas prowadzenia śledztwa oddać ją pod opiekę Urzędu do spraw Nieletnich.

– Co?! – Ríkharður aż potrzęsnał głową.

– No właśnie... Pożyjemy, zobaczymy. Cóż, moim zdaniem to jednak całkiem niezły pomysł. Jedna z gazet dowiedziała się o jej historii i natychmiast chciała wydrukować artykuł na ten temat. Udało nam się jakimś cudem wyblagać odroczenie, ale nie sądzę, że będą z tym zwlekać. Inne media też pewnie wkrótce coś wywęszą.

– Kto się wygadał?

Huldar wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Dużo za dużo ludzi o tym wie. U nas w policji, w schronisku, w zakładzie medycyny sądowej w szpitalu, w Urzędzie do spraw Nieletnich, że nie wspomnę o wszystkich krewnych Margrét. I tak się dziwię, że informacja nie wypłynęła już tego samego dnia, przecież trudno utrzymać coś w tajemnicy w takim małym kraju. Musimy uzbroić się w cierpliwość. Wracając do tematu: przy okazji tego zastanawiania się nad czasowym przekazaniem opieki urzędowi musiałem też wysłuchać, że nie byłoby takiej potrzeby, gdyby tylko śledztwo toczyło się sprawniej. – Huldar uśmiechnął się bezradnie. – Mam nadzieję, że zanim trzeba będzie podjąć definitywnie taką decyzję, będziemy już na tropie mordercy.

– Nie robiłbym sobie zbyt dużych nadziei.

Jego słowa rozzłościły Hulدارa, ale nie dał po sobie tego poznać. Zapadła nieprzyjemna cisza, co Ríkharður postanowił wykorzystać, żeby wstać i wyjść. Jeszcze dobrze nie zniknął za drzwiami, a już kolejny człowiek pojawił się w biurze.

– Tu są wszystkie wiadomości, które znalazłem, mejle, zdjęcia i aktywność na Facebooku. Odrzuciłem to, co wydało mi się mało ważne, i skoncentrowałem na ostatnim półroczu. Ale, jeśli oczywiście chcesz, mogę prześledzić to jeszcze dalej. – Almar podał Huldarowi pendrive’a. Choć zerknął na kupkę utworzoną z połamanych ołówków na biurku, udawał, że jej nie zauważył. – Było sporo materiału.

– Coś szczególnie ciekawego? – Huldar starał się złagodzić swój nieuprzejmy wyraz twarzy, który przybrał po tym, jak wyłączono komputery. Wciąż jeszcze nie mógł się z tego otrząsnąć. – Coś, co mogłoby nam pomóc w znalezieniu zabójcy?

– Nie jestem pewien. Za pierwszym razem dużo przeoczyliśmy. Ale w zasadzie nic, co na pierwszy rzut oka mogło mieć jakieś znaczenie. No bo kto to może przewidzieć? Wśród tysięcy dokumentów łatwo się pogubić. – Stojąc przed biurkiem, Almar przestępował z nogi na nogę. Był jednym z najmłodszych pracowników wydziału zabójstw. Przeniesiono go do nich z drogówki. Jego bardzo dobra znajomość komputerów została tam dostrzeżona przez szefostwo i zaproponowano mu posadę. Tak się mówiło. W rzeczywistości głównym powodem przeniesienia była jego niezdolność do pracy w zwykłej policji. Szkołę policyjną skończył z miernymi wynikami z przedmiotów wiążących się ze sprawnością fizyczną i praktyką. Znacznie lepszy był z przedmiotów teoretycznych, co ogólnie podciągnęło jego średnią ocen.

Do tej pory sprawdzał się w policji kryminalnej dość dobrze, choć często denerwował ludzi. Nierzadko też sprawiał wrażenie nieobecnego duchem i wolno myślącego. W głównej mierze dlatego, że Almar miał wciąż w uszach słuchawki i dlatego docierała do niego tylko część z tego, co się wokół niego działo. Szef Egill wziął go wprawdzie na rozmowę, ale reprimenda nie dała oczekiwanych rezultatów. Skończyło się na wspólnym oglądaniu najnowszej aplikacji, którą Almar właśnie załadował na swoim telefonie.

Przez szacunek do Hulدارa wyjął słuchawki z uszu, zanim wszedł do jego biura.

– Podzieliłem to na dwa foldery. Folder A zawiera wszystko to, co moim zdaniem jest ważne, a folder B to, co nie ma znaczenia. I tak jak już mówiłem, odrzuciłem to, co oczywiste i niepowiązane.

– Na przykład co? – Kto wie, co Almarowi wydawało się ważne albo nic nieznaczące.

– W folderze z nieważnymi sprawami są na przykład mejle od wdów po nigeryjskich dyktatorach, reklamy sklepów internetowych, informacje ze szkoły dzieci i tym podobne. – Almar zamierzał dalej wymieniać, ale Huldar mu przerwał:

– Bardzo dobrze, przyjrę się temu. A co z SMS-ami? Też tam są?

– Nie. To dziwne. – Almar otworzył szeroko oczy i uniósł brwi. – Telefon komórkowy, który dostałem, był pełen wiadomości, ale sprzed dwóch miesięcy. Tak jakby nie wysyłała ani też nie dostawała żadnych SMS-ów od tamtej pory. Może był zepsuty?

– Naprawdę? – Huldar wyprostował się na krześle. – Jesteś pewien, że to właśnie był telefon, którego używała?

– Tak. Była w nim karta SIM, więc wyszedłem z założenia, że należał do niej. Dostałem go na biurko wraz z komputerem stacjonarnym i laptopem. Powiedziano mi, że to jej rzeczy. Nic nie słyszałem o innej komórce.

– Ale nie ma pewności, że nie istniała. – Huldar przejechał ręką po głowie i westchnął. – A co z rozmowami telefonicznymi? Były jakieś nowe, z teraz?

– Tego nie sprawdziłem. – Almar wyglądał na zdenerwowanego, tak jakby zarzucano mu niesumienne wykonywanie pracy. – Miałem przeglądać tylko teksty i zdjęcia. Nic poza tym.

– Jaki to jest telefon? – zapytał Huldar i odłożył pendrive'a na bok.

– iPhone czwórka. – Almar miał zmartwioną twarz. – Model już trochę przestarzały, jeśli o to ci chodzi.

Huldarowi nie chciało się już odpowiadać. Wybrał numer Sigvaldiego, męża Elisy, przedstawił się, przełknął bez słowa chłodne powitanie i odpowiedział na pytania dotyczące obecnej sytuacji w śledztwie. Nie zabrało mu to wiele czasu, problem tkwił w tym, jak w kulturalny sposób przekazać wdowcowi, że na razie utkwili w martwym punkcie. Kiedy Sigvaldi zaczął krzyczeć na niego z powodu Margrét, Huldar mu przerwał:

– To jest jedna z opcji, którą bierzemy pod uwagę ze względu na jej

bezpieczeństwo, sprawę w tej chwili najważniejszą, z czym pan się przecież zgodził. Jeśli jednak zmienił pan zdanie, będziemy musieli to zaakceptować. Ale nie radziłbym pochopnie podejmować decyzji. Mamy powody, by obawiać się o jej bezpieczeństwo, jak pan doskonale wie.

– To zróbcie coś. – Głos Sigvaldiego ciągle przybierał napastliwy ton. Gdy odchrząknął, dało się wyczuć, że z trudem zachowuje spokój. – Chyba umiecie temu przeciwdziałać – rzucił szorstko. Jego głos zdradzał jednak, że nie był do końca o tym przekonany.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Przyrzekam panu. – Słowa te wymusnęły się Huldarowi. Przed nim na biurku leżał raport Ríkharðura dotyczący obrażeń Sigvaldiego. By się czegoś dowiedzieć, jego kolega pojechał na SOR i zebrał informacje od lekarza, który go badał. Wersja męża Elisy została potwierdzona, a na jego ciele nie było żadnych innych obrażeń. Żadnych zadrapań czy siniaków, które mogłyby wskazywać, że jakaś zaatakowana kobieta próbowała się przed nim bronić. Mimo tego Huldar postawił znak zapytania na raporcie. Sigvaldi był lekarzem tak samo jak ten, który go badał, więc możliwe, że był jego kolegą, choć pracowali na różnych oddziałach.

– Dzwonię właściwie w innej sprawie. Jaki telefon miała pańska żona?

– Nowego iPhone'a. Kupiłem jej pod choinkę.

– Jakiego dokładnie?

– iPhone'a szóstkę.

– Nie czwórkę?

– Nie, ten miała poprzednio i przestała go używać, od kiedy dostała nowy. – Sigvaldi był nieco zmieszany. – A dlaczego pan pyta?

– Mamy jej stary telefon. Czy możliwe, że ten nowy jest w naprawie? – Huldar w czasie rozmowy otworzył w komputerze wykaz rzeczy zabranych z domu ofiary. Na liście widniał tylko stary iPhone.

– Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Był jeszcze w porządku, kiedy poleciałem za granicę. Dzwoniłem do niej z lotniska i odebrała.

– Tak rozumiem. Ale w starym telefonie była karta SIM. Czy mogło być tak, że ten nowy się zepsuł, po tym jak pan wyjechał, i żona przełożyła kartę do starego aparatu, a nowy oddała do naprawy? – Większość firm telefonicznych proponowała w takich przypadkach urządzenie zastępcze. Być może z jakichś powodów Elisa

z tego nie skorzystała.

– Nie sądzę. Elisa kupiła sobie nową kartę SIM. One różnią się od siebie wielkością. Nowa karta była o wiele mniejsza od starej.

Huldar pożegnał się i odłożył słuchawkę, po czym zwrócił się do Almara, który wyglądał na bardzo zestresowanego. Owijał właśnie palec cienkim kabelkiem od słuchawek.

– Ona miała drugi telefon. iPhone’a szóstkę, a tego starego nie używała od świąt. Wiesz, gdzie go znalezione?

– Ymmm. Wydaje mi się, że przeczytałem w spisie, że był w szufladzie w kuchni. Przysięgam, że nie było żadnych wzmianek o innym telefonie. – Almar rzucił wzrokiem na ołówki, jakby chciał się upewnić, że nie zostanie na nie nadziany. Widać, że wiadomość o dzisiejszym porannym napadzie złości Huldera rozeszła się po wydziale. Ríkharður pilnował się, by nie zerkać na biurko ani też wprost na twarz przełożonego, natomiast Almar nie potrafił tak się kontrolować. Jego wzrok wędrował po pokoju w poszukiwaniu czegoś, na co można było patrzeć. Wszystko godne było uwagi oprócz połamanych ołówków. – Jeśli tylko byłby tam drugi telefon, przejrzałbym go z całą pewnością.

– Nie obwiniam cię za to. Porozmawiaj z tymi, którzy przeszukiwali dom. Upewnij się jeszcze raz, czy nie było innego telefonu, i powiedz im, że chcę, żeby pojechali tam znowu i poszukali, skoro za pierwszym razem im się nie udało. Jeśli się nie znajdzie, będziemy musieli go namierzyć. Potrafiłbyś to zrobić?

– Można spróbować. Jeśli jednak jest wyłączony, źle to widzę. Musi być podłączony do Wi-Fi albo do sieci.

– To znaczy, że jeżeli morderca zabrał go z jakichś niewyjaśnionych powodów, musiałby być włączony, żebyśmy mogli go namierzyć?

Almar pokiwał głową z zakłopotaną miną. Jakby ponosił winę za współczesną technologię.

– Jasne. Pomimo tego zajmij się tym, proszę. – Huldar machnięciem ręki dał mu znak, żeby sobie poszedł i podłączył pendrive’a do komputera. Miał wyrzuty sumienia, że potraktował go tak szorstko, kiedy przekonał się, ile pracy i jak sumiennie wykonanej kryło się za posortowanym materiałem z poczty mejlowej Elisy. Każda informacja z folderu A była dokładnie opisana, dzięki czemu mógł bez problemu odnaleźć to, co go interesowało. Kiedy zaczął przeglądać pliki,

zapomniał o młodym człowieku z rozpalonymi do czerwoności policzkami.

Życie Elisy leżało przed nim jak otwarta księga. Jej ostatnie pół roku, podczas którego nie było dnia, żeby wielokrotnie nie kontaktowała się ze światem zewnętrznym za pomocą Internetu. Masa osobistych wiadomości i SMS-ów. Będzie tego pewnie jeszcze więcej, kiedy znajdzie się jej drugi telefon. Porównując z jego własną, zawartość poczty elektronicznej Elisy wydała mu się absurdalnie wręcz gigantyczna. Jedyne mejle, które sam dostawał, nie licząc tych związanych z pracą, przychodziły nieregularnie od jego sióstr. Zawierały przeważnie upomnienie, że się u nich nie melduje lub o coś tam innego. Dostawał też wiadomości dotyczące wspólnych prezentów z okazji bierzmowania albo okrągłych urodzin jakichś krewnych. Siostry szczególnie upodobały sobie i ten temat, i późniejsze opieprzanie go za brak inicjatywy.

Zupełnie inaczej wyglądało to u Elisy. Przyjmowała z entuzjazmem wszelkie propozycje dotyczące prezentów i uroczystości. Na przykład na zjazd absolwentów z jej klasy odpowiedziała słowami: „Bosko!!! Przyjdę! Przyjdę! Przyjdę!”. Huldar nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu użył w swoich wiadomościach znaku wykrzyknika. Zapisał datę zaplanowanej imprezy, by sprawdzić, czy Elisa nie miała jakichś wrogów w czasach ogólniaka. Ale już po chwili to, co napisał, wydało mu się niedorzeczne. No cóż, nie mieli zbyt dużego wyboru. Przynajmniej był to jakiś trop, więc jednak postanowił później przyjrzeć się temu.

Choć go to odrzucało, niezadowolające efekty śledztwa mobilizowały Huldara do dalszego przeglądania materiałów z Internetu. To nie była jego bajka. Oczywiście sam miał konto na Facebooku, ale nie zaglądał tam zbyt często, bo w zasadzie nie widział w tym nic ciekawego. Nigdy nie wiedział, jak ma komentować, nie interesowało go też oglądanie zdjęć przyjaciół i znajomych z ich urlopów i wycieczek górskich. Z kolei dzieci swoich sióstr wolał oglądać na żywo, zwłaszcza że byli to sami chłopcy, co wydawało się Huldarowi sprawiedliwym rozdaniem losu po tym, jak sam musiał stawiać czoła pięciu siostrze.

W odróżnieniu od niego Elisa wciąż zamieszczała jakieś wpisy, często dotyczące jej dzieci. Opisywała ze szczegółami płątane przez nie figle, które mogły wydawać się zabawne i słodkie, o ile lubiło się dzieci. Huldara to jednak nie dotyczyło. Wykazywał więcej zrozumienia dla komentarzy pod zdjęciami z ciastami, które

piekła, i jedzeniem, które sama przygotowywała albo zamawiała w restauracji. Jej przyjaciółkom dywagacje te wydawały się bardzo interesujące i każdej towarzyszył rząd wtrąceń i wzmianek. Przeleciał szybko przez to wszystko, choć nie wydawało mu się, żeby zabójstwo Elisy mogło mieć wiele wspólnego z jej dziećmi tudzież zwyczajami żywieniowymi. To samo dotyczyło jej pracy w fiskusie. Rozmawiano z szefem zmarłej, który potwierdził, że choć istnieje grupa ludzi pałająca nienawiścią do skarbowki, sama Elisa nie miała bezpośredniego kontaktu z interesantami, których lustrowano, ani też nie występowała w charakterze świadka, gdy sprawy opierały się o sądy. Oszuści podatkowi nie mieli więc pojęcia o jej istnieniu.

Kolejnym wnioskiem, jaki Huldar wyciągnął z otrzymanych materiałów, było to, że Margrét bardzo różniła się od swoich braci. Elisa rzadko opisywała śmieszne historyjki lub zabawne figle córki, a jeśli już w ogóle o niej pisała, to o czymś poważnym lub z poczucia matczynego obowiązku informowała, że córce wypadł ząb, lub – takich wiadomości było najwięcej – donosiła o jej szkolnych sukcesach. Bez wątplenia Margrét nie była żywiołowym i radosnym dzieckiem. Huldar miał więc trochę wyrzutów sumienia, że chciał oddzielić ją od rodziny, bo jeśli z natury była poważna, to wyrwanie jej z naturalnego środowiska w dramatycznym momencie nie wróżyło niczego dobrego. Przypomniawszy sobie jednak, że przecież sama prosiła o zabranie jej od ojca, co można było różnie interpretować. Może jednak odwidzi jej się w ostatniej chwili. Dla wszystkich byłoby to lepsze rozwiązanie.

Huldar przerwał przeglądanie w komputerze. Spojrzał przez okno na port i królujący nad nim masyw Esji. Dumna i zadowolona z siebie góra wznosiła się ponad ludzkim zgiełkiem. Z pewnością miło było być górskim masywem, nie mieć problemów i nie brać na siebie rozwiązywania spraw, którym nie potrafiło się sprostać. Potrząsnął głową i westchnął. Czy martwienie się o bezpieczeństwo Margrét było przesadzone? Co innego zamordować dorosłego, a co innego zabić dziecko. Ale też czym innym było pozbawienie człowieka życia w tradycyjny sposób, na przykład z pomocą łomu, noża czy broni palnej, od wyssania z ludzkiego ciała całego powietrza z taką siłą, że bębienki eksplodowały mu w uszach. Sposób, w jaki sprawca to zrobił, dowodził, że zupełnie pozbawiony był sumienia. Huldar znów spojrzawszy na ekran komputera i zaczął przeglądanie zdjęć

umieszczonych przez Elisę na Facebooku oraz w folderach z obrazami. Z każdego zdjęcia patrzyły na niego zielone oczy Margrét, kontrastujące z jej prawie przezroczystą, otoczoną rudymi lokami twarzą. Być może jako jedyna z całej rodziny przywiązywała wagę do tego, żeby zawsze patrzeć wprost na aparat. Reszta jakby w ogóle nie wiedziała, że właśnie pstryka się im zdjęcie. Jej przywiązanie do matki było bardzo wyraźne. Na większości zdjęć stała uczepiona u jej boku, garnąc się do matki bardziej niż bracia. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na nowszych zdjęciach nieomal kleiła się do Elisy, tak jakby przeczuwała, co ma nastąpić.

Z jakiegoś powodu czuł się nieswojo, oglądając rodzinne albumy, które zapewne nie były przeznaczone dla obcych oczu. Zobaczył ich już tak wiele, że śmiało mógł stwierdzić, że Elisa i Sigvaldi byli normalnym małżeństwem, które cieszyło się życiem. Elisa uśmiechała się lub śmiała na prawie każdym zdjęciu, a fotografie z mężem nie mogły oznaczać niczego innego jak tylko to, że się kochali i byli dobrymi przyjaciółmi. Oczywiście mogły to być pozory.

Chociaż naprawdę znużyło go już oglądanie, nie przestawał, tylko skoncentrował się na życiu towarzyskim Elisy. Było z czego wybierać, bo należała do paru dużych grup kobiecych, które pozostawały w dobrym kontakcie i regularnie się spotykały. Niezliczone wiadomości dotyczące zaproszeń na jedzenie, urodzin dzieci, diet i wyjazdów do centrów odnowy biologicznej. Elisa zawsze na wszystko była gotowa. Huldar nie znał się na tyle dobrze na małżeńskich zwyczajach i kobietach, by móc ocenić, czy było to normalne zachowanie, czy też znak, że małżeństwo jednak przechodziło kryzys, mimo iż na pierwszy rzut oka wyglądali na idealną parę. Jeśli miałyby zgadywać, powiedziałyby, że to raczej dziwne. W każdym razie był przekonany, że będąc w związku małżeńskim, ma się mniejszą potrzebę szukania towarzystwa osób postronnych. Ale pod uwagę brał też, że był po prostu śmiesznie staromodny i że tłumaczyłoby to, dlaczego był samotny i niezonaty. Gdyby nie postąpił jak kretyn i nie przespał się z Karlottą, mógłby teraz skorzystać z doświadczenia Ríkharðura, który przecież musiał coś wiedzieć o kryzysie w małżeństwie. Jednak Huldarowi za nic nie wolno było słowem wspomnieć o rozwodzie i niestosowne wydawało mu się nawet wypowiedzianie imienia Karlotty w towarzystwie kolegi. Im wcześniej nastąpi rozwód, tym lepiej, a z czasem cały ten blamaż z Karlottą przestanie budzić złe wspomnienia. Miał w każdym razie

nadzieję, że wreszcie wymaże z pamięci obrazy, by nie powracały przy każdym spotkaniu z Ríkharðurem.

Następne materiały dostarczone przez Almara budziły w nim jeszcze mniejsze zainteresowanie. Elektroniczne wyciągi z kont bankowych, które Elisa wysyłała księgowemu pocztą mejlową, wykazywały, że sytuacja finansowa rodziny była w porządku, a nawet lepsza niż większości obywateli w obecnej sytuacji gospodarczej. Nie uległaby zmianie również w przypadku śmierci Elisy. Zakład ubezpieczeniowy potwierdził wersję Sigvaldiego, że nie miała wykupionych polis na życie. Oczywiście, nie można było wykluczyć, że zataił informacje o polisach wykupionych za granicą. Wysłano już jednak stosowne listy do zagranicznych firm ubezpieczeniowych, które obsługiwały islandzkich klientów, i lada chwila miały nadejść odpowiedzi.

Huldar zaczął na nowo oglądać fotografie, bo przyszło mu do głowy, że ten facet z rysunków Margrét, który obserwował ich dom, mógł przez przypadek zostać na nich uwieczniony. Przeglądał je pobieżnie, ale bez efektu. Kiedy rozległo się pukanie, po czym Erla wsunęła swój nos w szczelinę w drzwiach, na ekranie komputera widać było zdjęcie Elisy i Margrét. Zrobiono je na świeżym powietrzu, a one obie miały wzrok zwrócony prosto w migawkę obiektywu. Tak rzadko pojawiające się słońce świeciło wokół ich głów jak aureola. Ich oczy były smutne. Elisa z fotografii próbowała nieudolnie się uśmiechać. Margrét, jak na innych zdjęciach, zachowała powagę na twarzy, a na jej dziecięcej buzi nie było widać śladów radości czy ożywienia. Z tego też powodu wyglądała na dużo starszą, niż była. Huldar oderwał wzrok od pulpitu i zwrócił się do Erli:

– Słucham?

– Przed chwilą znaleziono ciało kobiety. Wprawdzie dużo starszej od Elisy, ale okoliczności śmierci są podobne. No, może bardziej przerażające.

Huldar zamknął plik, wyłączył ekran i się podniósł. Zanim opuścił swój pokój, zatelefonował do szefa. Zakomunikował o znalezieniu zwłok i dodał, że w takiej sytuacji najlepiej będzie bezzwłocznie umieścić Margrét w bezpiecznym miejscu. Kiedy rozmawiał, strasznie zachciało mu się papierosa.

Decyzję, czy zacznie od dzisiaj na nowo palić, postanowił uzależnić od tego, co pierwsze spotka na swojej drodze: aptekę czy też kiosk z papierosami.

Rozdział 16

Pokój odwiedzin w więzieniu na Litla-Hraun nie mógł być bardziej obskurny. Najwyraźniej miał dawać do zrozumienia, że przestępstwa się nie opłacają. Ściany pilnie domagały się odświeżenia, a zużyte linoleum wymiany. W środku znajdowały się mały stół, rozchybotane krzesło i przykręcone do ściany, jednoosobowe łóżko, które w tej chwili służyło jako dodatkowe siedzenie. Kiedy indziej, to znaczy gdy więźniów odwiedzali małżonkowie, używano go do uciech cielesnych. U wezglowia leżały zwinięte w worku kołdra i poduszka. Przy wejściu Freyja nie poinformowała nowego strażnika, że jest siostrą więźnia, i za każdym razem, gdy spoglądała na pościel, żałowała, iż tego nie zrobiła. Swoim zwyczajem obawiała się z góry, że nieznający jej wartownik doszukiwałby się w tym jakichś podtekstów.

To była jej specjalność: zamartwiać się rzekomymi niedopowiedzeniami. Dusić je w sobie i długo roztrząsać, chociaż wszyscy inni dawno już o nich zapomnieli. Kiedy miała dwanaście lat, przez pół zimy odczuwała bolesny skurcz żołądka, bo nie udało jej się odpowiedzieć nauczycielce od zajęć praktyczno-technicznych, czy samodzielnie zrobiła na drutach sweter, w który była ubrana. Już otwierała usta, by to zrobić, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka na przerwę. Tuż przed feriami zimowymi w końcu zebrała się w sobie, ale nauczycielka tylko patrzyła na nią szczerze zdumiona, bo nie pamiętała już o niczym. Może to z powodu rękawiczek, które Freyja wydziergała, zapominając o kciukach, nauczycielka wyparła z pamięci, że kiedyś przeceniła zdolności manualne dziewczynki.

– Jak się miewa Molly? – Baldur oparł lewą rękę na stoliku, bo w dłoni trzymał papierowy kubek z kawą, którą siostra kupiła dla niego przed przyjściem. Na myśl o psie uśmiechnął się promiennie, błyskając rzędem równych i białych zębów. Baldur zawsze był ładny: czy to jako pucułowate dziecko, czy szalejący po podwórku chłopczyk, czy skłonny do wybryków młodzieniec, czy wreszcie jako dorosły już mężczyzna. Szczególnie teraz miał ogromne powodzenie u kobiet, co w pewnym sensie mu nie służyło. Co najmniej dwie z grona przyjaciółek Freyi się z nim przespały. Trzecia, którą o to podejrzewano, wprawdzie zaprzeczała, ale cała

się przy tym czerwieniła. Nie przyznała się nawet wzięta w krzyżowy ogień pytań tych dwóch, które z Baldurem spały, a działo się to podczas jednego ze wspólnych obiadów zakończonych zakupem sporej ilości alkoholu w pobliskim monopolowym. Baldur puścił oko do Freyi, tak jakby wiedział, o czym właśnie myślała. Nie mogła zareagować inaczej, jak odpowiedzieć uśmiechem, chociaż nie było jej do śmiechu, gdy wracała myślami do tamtej sprawy.

Baldur miał zdolność porywania za sobą ludzi, temu nie dało się zaprzeczyć. Gdyby wybrał w swoim życiu inną drogę, zgodną z prawem, byłby idealnym kandydatem na polityka. Szarmancki i zawsze przekonujący bez względu na to, co głupiego chodziłoby mu akurat po głowie. Nawet Freyja parę razy złapała się na tym, że początkowo dawała się porwać jego absurdalnym pomysłom i nie uważała ich za głupie.

Ale kiedy milkł, rozsądek brał górę. Magiczny czar jego słów i porywająca osobowość były jak fajerwerki, które zachwycały tylko w czasie pokazu. Kiedy ten się jednak kończył, zostawiały po sobie kłujące mroczki przed oczami i ból w uszach.

Jej brat musiał się jednak nauczyć, że liczy się nie tylko świetny plan, ale też przestrzeganie prawa. Im szybciej by to pojął, tym lepiej dla niego. Jednak szansa, że tak się stanie, była niewielka. Gdy robił te swoje szemrane interesy, otoczony wianuszkami ludzi o podobnym nastawieniu do życia, był z siebie bardzo zadowolony. Nie tylko odziedziczył urodę po matce, ale też wyssał z jej mlekiem marzenia o życiu ponad stan oraz niekończącym się i bez wysiłku przychodzącym szczęściu. Oboje żyli teraźniejszością, z przeświadczeniem, że i kolejny dzień przyniesie im radość i powodzenie. Po co więc komplikować sobie życie zamartwianiem się o przyszłość?

– Musisz uważać, żeby nie przytyła – powiedział Baldur, przybierając zatroskaną minę. – Cholernie trudno ją potem odchudzić.

– Będę uważała. – Freyja próbowała wygodniej usiąść na łóżku. Udało się dopiero, gdy oparła się plecami o ścianę. – Ma się dobrze. Nie musisz się martwić.

– No i musisz wiedzieć, że powinna się wybiegać. Żadnego wyprowadzania na chwilę, ale porządny, długi spacer.

Freyja uśmiechnęła się nieznacznie. Baldur był rzeczywiście niepoprawnym optymistą, skoro myślał, że będzie chodziła rano i wieczorem na długie treningi

z psem.

– Nie martw się. Molly jest w świetnej formie. A co u ciebie? Wszystko w porządku tak ogólnie?

– U mnie zawsze jest dobrze. Przecież wiesz. – Napił się kawy. – Już niedużo mi zostało, więc jeśli nie podpadnę, za parę miesięcy wyjdę na wolność – stwierdził i pospiesznie dodał: – Oczywiście możesz dalej mieszkać u mnie. I tak na początku będę musiał na noc wracać do więzienia, więc będziesz sama.

Freyja pomyślała o chwili, kiedy się do niego wprowadziła, a także o dodatkowym pokoju wypełnionym po brzegi cieplarkami. Skrzynek tych używał bynajmniej nie do hodowli ziół i przypraw, ale przez długi czas służyły mu do uprawy marihuany, i chociaż wyniosła je do piwnicy, jej zapach wciąż unosił się w powietrzu.

– Znajdę sobie mieszkanie. Teraz trochę opornie mi idzie, bo ludzie wolą wynajmować turystom. Zarabiają na nich lepiej, to rozumiała.

– Może trzeba by było pomyśleć o branży turystycznej, jak stąd wyjdę?

Freyja zajęczała w duszy. Wolała sobie nawet nie wyobrażać, jakich sposobów użyłby Baldur, by ogołocić turystów z pieniędzy. Wiedziała jednak, że tego typu działalność nie uszłaby mu płazem. Baldur odsiadywał karę za wyłudzenie kredytu pod hipotekę domu. Zrobił to ze swoim kumplem, który nieruchomości nie posiadał, ale miał imiennika i to właśnie na jego dom zaciągnęli pożyczkę. Zanim sprawa wyszła na jaw, udało im się wydać pieniądze co do grosza, a nawet zapłacili parę rat, by zyskać na czasie. Kiedy jednak kasa się skończyła, wpadli. A ponieważ jej brat miał już w zawieszeniu inny wyrok, dodano go do tego za fałszowanie dokumentów i wyłudzenie pieniędzy. Tak było od wielu lat: Baldur albo odsiadywał wyrok, albo czekał na odsiadkę.

Znowu się uśmiechnął i puścił do niej oko.

– A jak tam u ciebie? Spotykasz się z kimś wyjątkowym?

– Nie. Z nikim. Ani z wyjątkowym, ani zwyczajnym. – Freyja nie miała zamiaru opowiadać bratu o Huldarze i wiążącej się z tym kompromitacji. Po pierwsze, jej życie uczuciowe nie było jego sprawą, a po drugie, nie chciała wyjawić, że wpuściła gliniarza pod jego dach, mimo iż zrobiła to nieświadomie. – Jak na razie jest mi całkiem dobrze.

– Całkiem dobrze? Co to za bzdury? – Baldur się skrzywił. Do jego obrazu

świata należało również posiadanie małżonka, żeby móc być szczęśliwym, ma się rozumieć. Choć niekoniecznie na dłuższą metę, bo urozmaicenia też były ważne. – Nie wychodzisz nigdzie? Nie znajdziesz nikogo, siedząc tylko w domu.

Miała ochotę odpowiedzieć bratu, że chociaż sam siedzi zamknięty w więzieniu, nie przeszkadza mu to w przyjmowaniu tu kobiet. Nie potrafiła pojąć, jak mu się to udawało. W ubiegłym roku miał aż cztery narzeczone. Pojawiały się jedna po drugiej, jak tylko zwalniało się miejsce. Z tego też powodu Freyja miała problemy z uzyskaniem pozwolenia na widzenie – dziewczyny były dla brata najważniejsze. Ledwie znajdował dla niej czas pomiędzy jedną odwiedzającą go kobietą a drugą.

– Nie siedzę sama w domu. Wychodzę się zabawić. Po prostu jeszcze nie spotkałam nikogo, kto byłby dla mnie atrakcyjny i do tego porządny. Przecież dopiero od niedawna jestem sama. Jeszcze nie straciłam nadziei.

– Chcesz, żebym kogoś ci załatwił? Nie ma sprawy. Oczywiście kogoś naprawdę fajnego.

– W żadnym wypadku, nie, dziękuję. – Starła się, by nie wyczuł zdenerwowania w jej głosie i domyślił się, że jego chęć pomocy wydała jej się niedorzeczna. Postanowiła zmienić temat rozmowy, aby nie zaczął wypytywać, w jakich mężczyznach gustuje, i na tej podstawie układać sobie w głowie listy potencjalnych kandydatów. – Ostatnio mam straszny kocioł w pracy.

– Co? – Baldur nigdy nie brał na poważnie tego, co robiła Freyja. Wszystkie prace, które do tej pory wykonywała, nie były z jego świata. Samo schronisko dla nieletnich wydawało mu się w porządku, ale zupełnie nie potrafił zrozumieć tego całego zamieszania, skoro gwałcicieli dzieci można było załatwić przy pomocy kija bejsbolowego bez zbędnego niepokojenia prawników i przedstawicieli służby zdrowia.

Zza ciemnych chmur, które towarzyszyły Freyi przez całą drogę do więzienia, wyjrzało słońce. Freyja nie mogła oderwać wzroku od podłogi, na którą kraty z wąskiego okienka rzucały prosty, ale jakże symboliczny cień. Poczowała ukłucie w sercu. Martwiła się sytuacją brata i jego przyszłością. Zanim tu przyszli, zobaczyli pewnego starszego więźnia, który wchodził do jednej z klitek dla odwiedzających. Przygarbiony i wychudzony, z wyblakłymi tatuażami na szyi i rękach, wystającym spod spranej bluzy z kapturem. Wolała nie myśleć o tym, że Baldura czeka podobny los. Po prostu nie mogło do tego dojść. I chociaż było to

nierealne, zdawało jej się, że zdoła temu zapobiec. Stare i jakże dobrze znane jej uczucie.

Odkąd sięgała pamięcią, czuli się odpowiedzialni za siebie. Baldur był zawsze przy niej, gdy potrzebowała obrony przed chłopakami, którzy jej dokuczali na przerwach. Nosił na plecach jej ciężką teczkę. Był od niej dwa lata starszy i czuła się przy nim bezpieczna, a podziw i absolutne zaufanie, jakimi go darzyła, dodawały mu pewności siebie i nadawały jego życiu określony cel. Kiedy jednak zaczęła dorastać, powoli docierało do niej, że brat nie był supermanem, za którego go uważała. Wręcz przeciwnie, miał mnóstwo wad, które stale się pogłębiały. W czym nie było zresztą nic dziwnego, biorąc pod uwagę młody wiek ich matki. Miała około dwudziestu lat, gdy ich urodziła i problemy wychowawcze średnio ją interesowały. Kochali ją bezwarunkowo, tak jak tylko dzieci potrafią. Zresztą nie sposób jej było nie kochać: była wciąż zadowolona z życia, więc pomimo chaosu i problemów w domu, uśmiech nigdy nie znikał z jej twarzy.

Freyja i Baldur nie mieli tego samego ojca, ale nigdy nie traktowali się jak przyrodnie rodzeństwo, a więc niczym półbrat i półsiostra. W ich relacji nie było niczego połowicznego. Ojcowie nie odgrywali w ich życiu praktycznie żadnej roli, więc to matka była słońcem i powietrzem. To od niej dostawali wszystko, czego im było potrzeba – jedzenie, schronienie, bezpieczeństwo, towarzystwo i wsparcie, chociaż podchodziła do tego dość swobodnie. Ojcowie przychodzili i odchodzili, nie zagrzewając sobie na dłużej miejsca w ich życiu. Byli po prostu młodymi ludźmi, w zasadzie nieznanymi ich matki i bez większego zaangażowania starającymi się wypełniać swoje rodzicielskie obowiązki. Ich wkład w podtrzymywanie kontaktów z dziećmi ograniczał się w zasadzie do niechlujnie zapakowanych prezentów na urodziny i na Boże Narodzenie, a także kilku wyjść do kina, na kręgle czy na hamburgery, wypełnionych długimi chwilami milczenia i ukradkowym zerkaniem na zegarek. Potem tatusiowie stopniowo wycofywali się z ich życia, aż wreszcie definitywnie znikali, gdy zakładali rodziny, a na świat przychodziły ich inne dzieci. Matka nigdy nie naciskała, by kontakty z dziećmi były częstsze, i dopóki na jej konto regularnie wpływały alimenty, nie narzekała. Sama zakochiwała się ciągle na nowo, wierząc, iż z czasem trafi wreszcie na tego jedyne, właściwego, który przyjmie ich całą trójkę w otwarte ramiona. Na mężczyznę, który wybuduje dla nich duży dom na półwyspie Arnarnes, gdzie będą

żyli długo i szczęśliwie.

W pamięci Freyi mężczyźni ci tworzyli długi, wyrównany szereg, niczym stojące na redzie statki, z których każdy otrzymywał czasowe pozwolenie na wpłynięcie do ich życia. Wszyscy pachnieli wodą po goleniu i odczuwali zakłopotanie w towarzystwie jej i Baldura. Wszyscy też czekali niecierpliwie, aż będą mogli opuścić ich ciasne mieszkanie i zabawić się na mieście z ich mamą. Żaden nie zakotwiczył na tyle długo, żeby dało się zapamiętać jego imię lub wiek. Chociaż jeden nawet podarował Freyi kotka i na początku nieźle się zapowiadał. Niestety zniknął równie szybko jak inni.

Może by ich matce udało się wreszcie znaleźć prawdziwą miłość, gdyby nie jej nagła śmierć. Miała zaledwie trzydzieści lat. Freyja skończyła wtedy dziesięć, a Baldur dwanaście. Pięknie umalowane usta, delikatny zapach perfum, grubo, lecz starannie pomalowane rzęsy, polakierowane paznokcie znikły z ich życia pewnej sobotniej nocy, kiedy jak zwykle poszła się zabawić. Na jednej z imprez w Mosfellsbær, przeznaczonych dla tych, którzy mieli jeszcze siłę pić, jej serce uznało, że już starczy, i na zawsze się zatrzymało. By przekazać tę wiadomość Freyi i Baldurowi, wyrwano ich ze snu w przygodnym domu, gdzie matka podzuciła ich na noc.

Płakać zaczęli dopiero wieczorem, ale wtedy już nieprzerwanie. Nie tyle z powodu straty, ale ze strachu, co z nimi będzie. Pewnie płakaliby jeszcze dłużej, gdyby wiedzieli, że zostaną oddani pod opiekę dziadków, rodziców mamy. Ci, choć byli ludźmi głęboko wierzącymi, dawno temu położyli krzyżyk na córce i nie wtrącali się w jej życie. Nie byli źli, jedynie oziębli. Z perspektywy czasu Freyja oceniała ich jako zbyt spracowane, stare małżeństwo, niezdolne do opieki nad dziećmi, w szczególności nad ruchliwym i nieokiełznanym chłopcem. W dość krótkim czasie Baldurowi udało się powybić większość kryształów i porcelany w ich mieszczańskim domu, przy czym połowę z jego przewinień Freyja wzięła na siebie, by ochronić go przed gniewem dziadków.

W sumie życie dzieci niewiele się zmieniło i choć było w nim mniej szczęśliwych chwil, Freyja i Baldur pozostawali nierozłączni i wzajemnie się chronili. Nie rozumieli wielu rzeczy, ale nikt im ich nie wyjaśniał, bo babcia z dziadkiem całą swoją miłość przelewali na niewidocznego i wszechmogącego Boga, który siedział sobie na tronie gdzieś wysoko w niebie. Rodzeństwu

wydawało się to niesprawiedliwe, gdyż Bóg miał miliony innych ludzi, którzy mogli go kochać, a oni tylko to stare małżeństwo. Bóg jawił się dzieciom jako niesamowity, niebiański stwór, o którym wiedzieli tyle co nic, bo choć mówiło się, że jest wszechobecny, to nigdzie nie można go było zobaczyć. Żadne z nich nie rozumiało religijności dziadków, ale też nigdy nie odważyli się ich krytykować, co najwyżej rzucali sobie znaczące spojrzenia lub natrzęsali się, kiedy starsi państwo nie słyszeli.

Nic, co dziadkowie o Bogu opowiadali, nie pasowało do tego, czego rodzeństwo doświadczyło na własnej skórze. Byli pewni tylko tego, że jeśli Bóg w ogóle istniał, to był bardzo stary, tak się przecież o nim mawiało, więc miał słaby wzrok i niezbyt dobrze widział, co działo się w ich życiu. Znaleźli też inne wytłumaczenie, dlaczego dobry i wszechmogący Bóg dopuszczał do niesprawiedliwości i zła na Ziemi: bo go po prostu nie było. To drugie wytłumaczenie istoty Boga dość szybko uznali za bardziej prawdopodobne. Było logiczne i zwalniało ich ze zrozumienia takich rzeczy, jak Duch Święty i przebaczenie grzechów. Poszli do bierzmowania, bo byli na tyle mądrzy, by nie zdradzić się przed dziadkami, że przestali wierzyć. Wywołanie burzy z tego powodu zostawili sobie na lepsze czasy.

Jakoś wkrótce po bierzmowaniu Freyja uświadomiła sobie, że Baldur nie był pochłonięty nauką tak jak ona. Najzwyczajniej w świecie nie interesował się szkołą, więc wszelkie próby namówienia go na uczenie się nie miały sensu. Powoli, ale skutecznie zamieniał się w chłopaka stwarzającego problemy.

Teraz siedzieli tu we dwoje i Freyja żałowała, że wtedy nie dość naciskała na niego, aby się przyłożył. Tak jakby mogło to coś zmienić.

– Ten pajac się odzywał? – Baldur nie musiał wymieniać imienia jej byłego chłopaka. Pajacem mógł być każdy. Ale gdy mówił „ten pajac”, zawsze miał na myśli ostatniego z jej byłych, którego nigdy nie polubił. – Wiesz, że kogoś naśle na niego, jeśli tylko będzie próbował ci coś zrobić.

Freyję to rozbawiło.

– Próbował coś zrobić? On niczego nie próbuje. Pamiętaj, że to ja odeszłam, bo był nieznośnym nudziarzem, a nie dlatego, że okazywał agresję. – Przypomniała sobie, jak bez końca marudził o najbardziej nieprawdopodobnych rzeczach i sama sobie się dziwiła, że znosiła to wszystko aż tak długo. Czym znowu wysmarowane

są drzwi od lodówki? Najechałaś na chodnik? Na feldze jest wgniecenie. Jak długo mam cię prosić, żebyś odkładała na miejsce torebkę, gdy przychodzisz do domu? Dlaczego tak nielogicznie sortujesz pranie? Choć jej obecne życie nie było szczególnie ekscytujące, przynajmniej nie żyła w strachu, że ktoś mógłby jej zwracać uwagę za założenie rolki papieru toaletowego z niewłaściwej strony. – Uwolniłam się od niego raz na zawsze.

– Tu, na tym samym piętrze, w celi obok – powiedział Baldur, patrząc na nią z uśmiechem – siedzą dwaj faceci, którzy napadli i zgwałcili swoje byłe kobiety. Myślę, że one też poczuły się r a z n a z a w s z e wolne, kiedy się od nich wyprowadziły. – Baldur upił łyk kawy i spojrzał na okno. – Zamykaj drzwi na klucz i trzymaj Molly blisko siebie. Z sunią ten pajac sobie nie da rady.

Freyja wolała ukryć przed Baldurem swoje obawy, że gdyby doszło do niebezpiecznej sytuacji, Molly mogłaby obrócić się przeciwko niej. Nie było sensu mu o tym mówić. Na pewno jednak nie życzyła sobie, żeby Baldur zza krat organizował odwet na jej byłym. Choć na samą myśl o tym czuła przypływ radości, nawet większej, niż się do tego przyznawała sama przed sobą. Jednak szansa na to, że takie coś uszłoby Baldurowi na sucho, była równa zeru.

– Molly śpi na podłodze przy moim łóżku. Zanim przekroczyłyby próg pokoju, zostałyby po nim kupka kości. – Uśmiechnęła się do brata. – Daj mu spokój, Baldur. On nie jest wart tego, żebyś siedział tu dłużej, niż musisz. Niczego złego nie zrobił, prócz zanudzania mnie na śmierć.

– Nie chciałaś, żebym znalazł ci narzeczonego, to chociaż pozwól mi załatwić ci ochroniarza.

– Ochroniarza? Nie, dzięki, nie trzeba. Z Molly damy sobie radę. Nie martw się. – Widziała po jego minie, że nie był do końca przekonany. Lub też nie chciał dać się przekonać. Podejrzewała, że dawało mu to poczucie, iż choć tak może pomóc siostrze w czasie swojej bezsensownej odsiadki. Dlaczego pomoc ta nie mogła się przejawiać w wypełnianiu rozliczeń podatkowych lub w wycinaniu z gazet ogłoszeń o wynajem mieszkania? Dlaczego musiały to być zawsze jakieś ekstremalne rzeczy? – Serio. Nie chcę nikogo warującego pod moimi drzwiami.

Baldur nic nie odpowiedział, po czym dalej rozmawiali o tym i owym, dopóki czas odwiedzin się nie skończył. Była w więzieniu aż do zachodu słońca, więc jechała do domu w ciemnościach.

Telefon zadzwonił w momencie, gdy Freyja stała właśnie przy okienku jednego z przydrożnych barów dla kierowców. Z trudnością podała kartę bankomatową przez opuszczoną szybę w drzwiach samochodu, otrzymała w zamian przesiąkniętą tłuszczem papierową torebkę i dopiero wtedy odebrała telefon.

– Halo.

– Pani Freyja? – Jej imię zabrzmiało jak pytanie. Znała ten głos, należał do jednego z pracowników Urzędu do spraw Nieletnich, ale nie mogła sobie przypomnieć jego imienia. Jednak kiedy się przedstawił, w głowie wyświetlił się jej odpowiedni obraz. Był to Jónas, niczego sobie facet, który sumiennie wykonywał swoją pracę, ale miał jedną brzydką wadę: wchodził w słowo swoim rozmówcom, czego Freyja nie mogła znieść. – Wydarzyło się coś, co ma związek z tą dziewczynką, Margrét, Margrét Sigvaldadóttir.

– Co takiego się wydarzyło? – Trzymając telefon między uchem a ramieniem, Freyja odebrała od sprzedawcy kartę i rachunek. Odjechała spod baru i zaparkowała na poboczu.

– W śledztwie zaszły jakieś duże zmiany. Nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale wygląda na to, że mają tam niezłe zamieszanie. – Mężczyzna zamilkł, a Freyja nie miała ochoty przysłuchiwać się, jak głośno oddycha. Może czekał na odpowiedź, żeby móc jej przerwać? Postanowiła nie ułatwiać mu sprawy i poczekać, aż podejmie rozmowę. Co też uczynił. – Żeby nie przeciągać sprawy, na polecenie policji zgodziliśmy się przejąć dziewczynkę na jakiś czas. Z tego co wiem, ona sama nie chce przebywać z ojcem. Najważniejsze jednak, że policja chce, by dziewczynkę gdzieś ukryć, bo sprawa już przeciekła do gazet. Jeśli dobrze rozumiem, obawiają się, że morderca mógłby jej coś zrobić, jeśli zorientuje się, że była świadkiem zdarzenia.

– No i? Chce pan usłyszeć moje zdanie na ten temat?

– Nie. W żadnym wypadku. – Freyja postanowiła się nie obrażać. Pewnie tylko tak niefortunnie się wyraził. – Dzwonię do pani, bo mamy nadzieję, że to właśnie pani weźmie dziecko pod opiekę. Jedynie przez parę dni. Możliwe, że tylko na kilka godzin dziennie.

– Kilka godzin dziennie? – Wnętrze samochodu wypełniało się zapachem smażonego mięsa. Na szybach pojawiła się para.

– Jak tylko policja zakończy śledztwo, dziewczynka będzie mogła oczywiście wrócić do swojego domu. Przecież muszą w końcu kogoś aresztować, prawda?

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić.

– To nie jest wcale takie trudne. Mamy specjalne mieszkanie przeznaczone na tego typu sytuacje. W tym momencie nikogo w nim nie ma. Zamieszkałaby pani w nim tymczasowo.

– A dlaczego nie oddacie jej do Boggi? – Bogga prowadziła dom-przytulisko dla dzieci, które prawnie odebrano ich rodzicom i nie miały gdzie się podziać.

– Tam jest przepełnienie. Ma nadwyżkę, dodatkową dwójkę dzieci wbrew przepisom.

– No tak, ale ja mam psa, którego pilnuję. Nie mogę zostawić go samego w domu.

– Możemy zapłacić za hotel dla psów.

– Jezu, naprawdę nie ma nikogo innego, kto mógłby to na siebie wziąć? Na przykład Dísa albo Elín? – Celowo nie wymieniła żadnego mężczyzny. Wiedziała, że to nie przejdzie. Wewnętrzne przepisy zabraniały mężczyznom pracującym w Urzędzie do spraw Nieletnich pozostawania sam na sam z podopiecznymi. I nie dlatego, że obawiano się, iż przy pierwszej lepszej okazji mogliby rzucić się na nie jak dzikie bestie. Chodziło o to, że niektóre z dzieci były tak strauumatyzowane, iż mogłyby opacznie zrozumieć miłe zachowanie opiekuna. Oczywiście czasem to samo odnosiło się i do kobiet, chociaż w mniejszym wymiarze. – Nie ma ich w pracy? Albo Silja, wiem, że ona nie ma teraz urlopu.

Na drugim końcu linii słycać było pomrukiwania zastanawiającego się nad odpowiedzią rozmówcy.

– Ale tylko pani jest samotna. Wszystkie pani koleżanki mają dzieci. Tylko nie pani. Chcielibyśmy, aby Margrét była pod opieką kogoś, kto będzie mógł całkowicie poświęcić jej uwagę. To nie takie proste dla matek z dziećmi: opuścić dom i zamieszkać gdzieś w mieście. – Brano ją pod uwagę jedynie dlatego, że dotąd nie wydała dzieci na świat. Super. Zupełnie straciła ochotę na zjedzenie zawartości torby leżącej na siedzeniu obok. – I jeszcze ostatnia rzecz. Ten, który prowadzi dochodzenie, wyraźnie życzył sobie, by to właśnie pani zajęła się dziewczynką.

– Huldar?

– Tak. I proszę mnie nie pytać czemu, ale wygląda na to, że tylko pani ufa.

Freyja poczuła irytację. Przecież wcale jej nie znał, nie licząc tej jednej nocy. Chyba nie opierał swoich fachowych opinii o ludziach na osobistych przeżyciach z łóżka. Jeśli taki był właśnie cel tej jednorazowej przygody, to wynik testu osobowości w jej przypadku byłby następujący: jest niepohamowaną i nienasyconą osobą, bez wewnętrznych hamulców. Zaczerwieniła się i cieszyła w duchu, że nie miała telefonu z wmontowaną kamerą.

– Niestety. Musi się znaleźć jakieś inne rozwiązanie.

– Nie ma innej możliwości. – Słowa wypowiedziane zostały na bezdechu.

Chociaż próbowała dalej protestować, dobrze wiedziała, jak się to skończy. Zanim nadejdzie wieczór, dziewczynka trafi do niej. Miała tylko nadzieję, że będzie już po kolacji. Tego, co miała w papierowej torbie, nie starczyłoby dla dwóch osób.

Rozdział 17

Karl nie miał szczególnych wyrzutów sumienia z powodu opuszczania zajęć na uczelni. Nie sprawdzano obecności, więc wyłącznie jego sprawą było, czy na nie docierał. Teraz, kiedy nie żyła wciąż martwiąca się o niego mama, nikomu nie zależało na jego studiach, wliczając w to samego Karla. Może nie stale, ale często nachodziły go depresyjne myśli, które wykorzystywał jako pretekst, by brać sobie wolne od uniwersytetu i wałkonić się przez resztę dnia. Jeśli nikomu nie zależało, z jakimi wynikami skończy studia, to i jego sposób studiowania zupełnie nie miał znaczenia. Sprawa jednak nie była tak do końca prosta, bo instytucja przydzielająca studentom stypendia wymagała, aby coś robili. Nie mógł więc opuszczać wszystkich zajęć i nie oddawać żadnych prac. Chemia nie pasjonowała go w najmniejszym stopniu, ale nie miał wyjścia. Jeśli chciał, by wypłacali pieniądze, musiał zdawać egzaminy, a żeby je zdawać, musiał się uczyć i chodzić na uniwersytet.

Dzisiaj jednak postanowił odsunąć na bok wszelkie wyrzuty sumienia. Przecież mu się należało. Musiał przemyśleć mnóstwo spraw, no i w końcu zabrać się za przejrzenie rzeczy matki. Odwiedziny Halliego i Börkura na pewno pomogły mu zmobilizować się do stworzenia sobie własnego domu. Stanowczo zbyt długo żył w przestrzeni będącej wielkim pomnikiem jego matki – niczym w grobowcu zmarłego faraona.

Poza tym liczył, że w niedalekiej przyszłości skompletuje nowe grono przyjaciół, ale tak długo, jak jego mieszkanie wyglądało na typowe gniazdko starszej pani, nie było sensu zapraszać do siebie ludzi. Ten impuls do zmian zrodził w nim też przypuszczenia, że znajdzie kogoś, kogo zaprosi do siebie. Tylko nie wiedział za bardzo, gdzie miałby szukać nowych znajomych. Jednak przyszedł mu do głowy pomysł, jak łatwo zdobyć popularność. Jego koledzy ze studiów mieli odwieczny problem z miejscem do urządzania imprez studenckich, więc wystarczyłaby skrzynka piwa i kilka paczek chipsów, żeby zwrócić na siebie uwagę i dać do zrozumienia, że takie miejsce istnieje.

Zmiana wyglądu wnętrza domu nie musiała aż tak wiele kosztować, bo brzydkie

meble spokojnie mogły zostać. Najważniejsze było uprzątnięcie bibelotów znajdujących się na widoku i zdjęcie obrazów ze ścian, a także ściągnięcie firanek z okien i schowanie do pudła wszystkiego, co koronkowe. Już najwyższy czas, by odcisnąć swój znak na tym domu. Nawet jeśli oznaczałoby to wymazanie śladów po jego zmarłej matce.

Zaczął od zdjęcia portretu Che Guevary ze ściany w przedsionku i wciśnięcia go do śmieci. Kiedy zamykał kuchenną szafkę, z czarnego plastikowego kosza spoglądało na niego jedno oko przywódcy rewolucyjnego w nieodłącznym berecie. W następnej kolejności chciał zabrać się za sypialnię matki, by móc samemu się do niej wprowadzić. Była o wiele większa i dlatego głupio było z tego nie skorzystać. Teraz to pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak wtedy, gdy je po raz ostatni opuściła. Jakby w każdej chwili mogła się znowu pojawić, co było na swój sposób nieprzyjemnym uczuciem.

Dawno już zamknął drzwi od jej pokoju, żeby nie musieć go oglądać, kiedy szedł do łazienki. Szczególnie nieprzyjemne było patrzenie na jej starą toaletkę ze wszystkimi kremami i produktami do upiększania i chwytanie ciężkiej woni, która jak nierozdzielna chmura otaczała matkę. Oczywiście, że smród z zakręconych tubek nie mógł dolecieć aż na korytarz, wyobraźni to jednak nie przeszkadzało. Dziwne, że zapach matki wciąż żył, kiedy jej obraz powoli, ale nieubłaganie zacierał się w jego pamięci.

Woń wydostająca się przez szparę w drzwiach podrażniła mu nos. Chcąc go wydmuchać, Karl poszedł do łazienki po papier toaletowy. Przyszło mu do głowy, żeby zatkać sobie dziurki w nosie watą, ale z tego zrezygnował. W zamian przyniósł plastikowy worek na śmieci i jednym ruchem ręki zgarnął do niego przybory toaletowe, które stały na półce wokół umywalki. Worek wyniósł do śmieci. Pośród tego, co wyrzucił, była ohydna biała mydelniczka na złożonych nóżkach. Matka ją uwielbiała, natomiast Karl uznawał ją za szczyt bezguścia i symbol niespełnionych nowobogackich marzeń o wannie na lwich łapach. Erzac, który musiał starczyć. W śmieciach wylądowały również całkiem nowa i bardzo droga elektryczna szczoteczka do zębów, którą matka dostała w prezencie pod choinkę od Arnara, oraz jej używana na specjalne okazje szczotka do włosów wysadzana masą perłową, prezent na bierzmowanie. Może powinien był pójść z tym wszystkim do Dobrego Pasterza¹. Jednak obawiał się, że gdy zacznie

sortować przedmioty, straci siły na dalsze porządki. Wszystko i tak trafi kiedyś do śmieci, a czy po drodze chwilowo zmieni właściciela, nie miało to znaczenia.

Kiedy ciężki worek runął na dno pustego zsypu, rozległo się nieprzyjemne dla uszu dudnienie. Nic, co tam wylądowało, nie miało możliwości powrotu. Ta myśl zgasła w nim zapał, jaki czuł jeszcze, gdy otwierał klapę od wsypu. Entuzjizm wygasł. Klapa opadła powoli. Uznał, że wyrzucając te rzeczy, jakby były to zwykłe śmieci, kala pamięć matki.

Karl wrócił do domu, gdzie czekała na niego reszta doczesnych dóbr, o które jego matka tak się troszczyła. Znajdowały się wszędzie. Odniósł nawet wrażenie, że cieszyły się na jego widok i czekały, aż i on zacznie je podziwiać. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru.

Jest wiele rzeczy, w których tylko ich właściciele widzą coś szczególnego, a dla całej reszty ludzi są nic nieznaczącymi śmieciami. Karl poczuł straszny smutek, gdy uzmysłowił sobie, że odnosiło się to do wszystkiego, co matka posiadała. W domu nigdy się nie przelewało. Koszty związane z wychowaniem braci nie pozwalały jej na kupowanie drogich i wartościowych przedmiotów. Jakże wiele na przykład musiały kosztować ją te wszystkie drogie zagraniczne podręczniki, które Arnar zbierał przez lata, by wybrać dla siebie najbardziej odpowiednie studia. Wzorem Karla nie zdecydował się na studiowanie czegoś, co go najmniej nudziło. Nie. Przez całe liceum przeglądał w spokoju materiały do nauki tego, co interesowało go najbardziej. Po czym zdał maturę.

Decydujące było wynagrodzenie, jakie miał otrzymywać. Chciał również wybrać dziedzinę, w której mógłby zabłysnąć. Pragnął być najlepszy w tym, co dawało największe korzyści. Nie zamierzał być przeciętny. Arnar był bardzo dumny ze swojego planu. Karlowi wystarczały w tym czasie zwykłe komiksy, jednakże matka pozwalała mu na ich kupowanie tylko w tych miesiącach, w których brat nie potrzebował nowych drogich książek.

Karl odpędził od siebie obrazy wywołujące tęsknotę za matką i nie tak znów radosnym czasem. Choć przynajmniej nie był wtedy sam. Musi jednak patrzeć w przyszłość, nie oglądać się za siebie. Może trzeba było zacząć od innego miejsca, nie od sypialni mamy. Zdawało mu się, że jej rzeczy jakby przeczuwają, że za chwilę wylądują w workach na śmieci, i trapią się swoim smutnym losem. Robienie porządków okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

Próbował zebrać myśli. Chciał móc żyć w przekonaniu, że śmierć matki jest mu bardziej obojętna niż Arnarowi. Raz jedyne w życiu chciał nad nim górować. Szczególnie teraz, kiedy brat postanowił wypiąć się na niego. Od dzisiaj wszelkie kontakty z nim uważał za zakończone, nie licząc tych dotyczących spraw spadkowych. Arnar pokazał, że żadni z nich bracia i poza nazwiskiem nic ich nie łączyło. Prawda wyszła na jaw po wczorajszej wieczornej rozmowie.

Na samo jej wspomnienie odczuwał ból. Wbrew zdrowemu rozsądkowi schował dumę do kieszeni i pierwszy odezwał się do Arnara. Zmusił się dlatego, że już od dawna męczyła go pewna myśl, którą wciąż od siebie odsuwał, a mimo tego powracała. A teraz jeszcze doszedł do niej niepokój, jaki wzbudziły w nim transmisje nadawane z krótkofalówki. Zanim się więc Karl obejrzał, już wykręcał numer telefonu brata.

Mówił powoli, zażenowany, czując, że z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem przybliża się do odmowy, której zresztą się spodziewał i którą też wkrótce otrzymał. Został pozbawiony szansy wypowiedzenia się do końca. Kiedy Arnar domyślił się, że brat ma na myśli przeprowadzenie się do niego i rozpoczęcie studiów w Ameryce, przerwał mu natychmiast. Może później. Nie teraz. Alison próbuje zajść w ciążę, więc to nie jest dobry moment. A poza tym lepiej by było, gdyby zapisał się na studia na wschodnim wybrzeżu, gdzie jest więcej znanych uczelni. No i miałyby też daleko do domu.

Tak jakby cokolwiek trzymało Karla na Islandii.

Arnar zapewniał też, że oczywiście zawsze mógł ich odwiedzić, proszę bardzo, byle nie na Boże Narodzenie, bo wtedy lecą na Hawaje, i najlepiej nie latem, bo raczej na pewno gdzieś wyskoczą. Nic dodać, nic ująć. Wszystkie słowa wypowiedziane przez brata składały się na jedno wielkie – nie. Nie, dziękuję. Nie przyjeżdżaj. Ani na studia, ani też na urlop. Nie przyjeżdżaj. Nigdy.

Karl zdążył jeszcze się pożegnać, zanim po jego rozpalonych policzkach popłynęły łzy złości. Porażka na całej linii. Arnar mógł się pocałować w dupę. Miał nadzieję, że Alison od niego odejdzie, a on sam zdechnie w hotelowym pokoju na Hawajach. Gdyby kiedyś zadzwonił i prosił, żeby Karl przyjechał, rzuci słuchawką, głośno się przy tym śmiejąc. Szkoda, że mama zdążyła opróżnić pokój Arnara, bo mógłby zacząć od niego i wywieźć wszystkie szpargały brata na wysypisko. Albo jeszcze lepiej: spalić je w ogrodzie.

W domu brakowało kawy. Za to szafka w kuchni wypełniona była po brzegi herbatkami, które matka chętnie kupowała. Karl wziął plastikowy worek i zgarnął do niego całą zawartość. To było zbawienne posunięcie. Rozpoczął od nowa i nic już go nie powstrzyma. Napił się wody zamiast kawy, co nieznacznie ostudziło jego zapędy, bo organizm domagał się kofeiny, a Karl nie mógł temu zaradzić. Mógł też w zamian zażyć witaminy, które matka gromadziła tak samo jak herbatę. Niewiele jej pomogły, więc pewnie i jego nie postawiłyby na nogi. Wsypał wszystkie opakowania do drugiego worka i zawiązał na supeł.

Dwie półki świeciły pustką, kiedy zadowolony ze swojej pracy zamykał szafkę. Dobrze było móc myśleć o czymś innym niż tylko o zachowaniu Arnara. Albo o tych niezrozumiałych komunikatach. Dopiero teraz poczuł się gotowy do stawienia czoła sypialni.

Ale już w drzwiach pokoju opuściła go cała energia. Ostatni raz kiedy przekroczył ten próg, był w towarzystwie cioci pomagającej mu w wyborze ubrań, w których mama miała być pochowana. Ciocia przykładała do siebie wszystkie sukienki po kolei, by ułatwić Karlowi wybór. Bardzo starał się okazywać zainteresowanie, jednocześnie ledwie powstrzymując się od prośby, by zaprezentowała strój w pozycji leżącej, bo przecież w trumnie mama nie będzie stała.

W końcu ciocia wybrała sukienkę, która jej samej podobała się najbardziej.

Z trumny wystawał tylko kawałek kołnierza i mankiety, dlatego też mama mogła być ubrana w cokolwiek, natomiast to Karl powinien był wybrać dla siebie coś bardziej odpowiedniego na tę okoliczność, bo jego dżinsy nie wzbudziły szczególnego zachwyty garstki ludzi, którzy przyszli na pogrzeb.

Karl czuł, jak mięciutkie włosie dywanu rozpycha się między palcami jego stóp. Odkąd sięgał pamięcią, dywan tu był, ale mama tak bardzo dbała o niego, że wciąż wyglądał jak nowy. Do sypialni nie wolno było wejść z niczym, co mogłoby zostawić na nim plamy, dlatego też w królestwie matki wolno było pić tylko wodę. Nie mógł sobie przypomnieć, czy widział matkę pojadającą coś w łóżku. Teraz jeszcze bardziej żałował, że nie pomyślał o kupieniu kawy. Byłoby wręcz wskazane napić się jej tu, na dywanie, w czasie przemian, w ramach aktu bardziej symbolicznego niż samo sprzątnięcie. A także sam pogrzeb. Przyszli głównie ludzie, którzy niewiele dla matki znaczyli, przy czym połowy z nich Karl nigdy wcześniej

nie widział ani o nich nie słyszał. Ani przed, ani po ceremonii.

Dwa ruchy ręki wystarczyły, żeby zgarnąć wszystkie kosmetyki – słoiczki, tubki, flakony – z toaletki wprost do worka na śmieci. Karl robił to zupełnie bez wyrzutów sumienia. Miejsce tego wszystkiego było w śmietniku, bo kto by chciał używać kremów i perfum po zmarłej osobie. Kiedy zawiązał worek i uchylił okno, powietrze w pokoju nieco się poprawiło. Oddychał głęboko, czując, że przytłumiony ból głowy mu przechodzi. Matka musiała ciągle cierpieć na migrenę, nosząc na sobie te smrody. Niechybnie były trujące, częściowo ponosiły więc winę za raka, który w rekordowym czasie doprowadził do jej śmierci. Karl tworzył okno na oścież i wrzucił worek na korytarz.

Teraz szło mu już sprawnie. Wykonując szybkie, zdecydowane ruchy ręką, opróżnił pierwszą szufladę komody, pełną skarpetek, bielizny i paskudnych apaszek, w których nigdy matki nie widział. Wszystko wrzucił do worka. To samo zrobił z ostatnią szufladą, pełną dziecięcych ubranek po nim i Arnarze. Po co je w ogóle trzymała, nie potrafił tego zrozumieć, zwłaszcza że ubrania były sztywne i nieprzyjemne w dotyku, więc na nic by się zdały następnym pokoleniom. Nic nie zapowiadało, że on sam kiedykolwiek przyczyni się do zwiększenia populacji. Natomiast jeśli Arnar i Alison doczekaliby się dzieci, bratowa prędzej ubrałaby je w czarne worki na odpadki niż w stare i zakurzone szmaty pochodzące z domu rodzinnego jej męża.

Tylko raz Alison przyjechała na Islandię i zamiast gościć u swojej przyszłej teściowej, po dwóch dniach się spakowała i wraz z Arnarem przenieśli się do hotelu. Karl szczerze cieszył się, że nie musiał na nich patrzeć, a zwłaszcza oglądać grymasu na twarzy szwagierki, która nie wzięła łyka wody, zanim nie zlustrowała szklanki. Chociaż mama nie dała po sobie poznać, bardzo ją to uraziło. Od momentu kiedy Arnar zapowiedział ich wizytę, o niczym innym nie mówiła, gdy więc się wynieśli, próbowała wymyślać różne wytłumaczenia ich zachowania. Najbardziej poniżające spośród nich było to, że Arnar nie chciał robić jej kłopotu i dlatego zatrzymali się w hotelu. Akurat!

Uwagę Karla przykuły teraz ubrania włożone do przezroczystych worków, na samym dole szuflady. Zawartość jednego z nich wydawała mu się znajoma. Były to ciuszki, które mama kilkukrotnie mu pokazywała, mówiąc, że był w nie ubrany, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Spodenki na szelkach i koszulka. Kiedy jemu

z kolei zademonstrowała je po raz pierwszy, wywołały w jego pamięci obraz ciemnowłosej kobiety leżącej w szpitalnym łóżku.

Teraz nie odczuwał niczego. Jego poprzednie życie zniknęło na zawsze. Ciuszki wylądowały w śmieciach. Nawet nie wyjął ich z opakowania.

W drugim z worków znajdowały się spodnie, koszulka i sweterek, wszystko wyglądało na zabrudzone. Nigdy wcześniej ich nie widział. Karl zdziwił się nieco, bo to było niepodobne do jego matki, żeby schować brudne ciuchy do szuflady. Obracając worek w rękach, próbował ustalić, do kogo rzeczy mogły należeć. Chyba jednak do Arnara. Nie rozpoznawał niczego, ale też mało pamiętał z tamtych czasów. Podejrzewał, że mogły pasować na czteroletniego albo pięcioletniego chłopca. Ale co też on mógł wiedzieć o rozmiarach dziecięcej odzieży? Ciekawość jednak zwyciężyła i zamiast z miejsca wyrzucić wszystko do kosza, wyciągnął ubrania z worka. Delikatna mgiełka kurzu wydostała się na zewnątrz. Zaszwedziało go w nosie.

Gdy tak siedział i przyglądał się rzeczom, nie mógł zrozumieć, dlaczego matka zachowała je na pamiątkę. Przypuszczalnie były to ubrania, które miał na sobie Arnar, gdy z kolei jego zobaczyła po raz pierwszy. Nie było innego wytłumaczenia. Poza spodniami na szelkach w szufladzie znajdowały się tylko rzeczy zrobione na drutach albo eleganckie, na szczególne uroczystości, natomiast te ciuszki nie należały ani do jednych, ani do drugich. Zapinana na guziki kurteczka, bluzka i spodnie, wszystko poszarpane i wymięte. Karl przeciągnął palcami po materiale, a kiedy opuszki jego palców dotknęły sztywnej plamki, przestraszony cofnął rękę. Podniósł bluzkę i obejrzał ją z wszystkich stron. Sztywne miejsca dawało się też wyczuć na kurteczce i na spodniach. Kurtka była zbyt pstrokata, a spodnie zbyt ciemne, żeby można było coś na nich wypatrzyć. Biała bluzeczka wręcz przeciwnie, niczego ukryć nie mogła. Z tyłu wyglądała wprawdzie na czystą, ale przód pokrywało sporo plam. Były różnej wielkości, ale wszystkie okrągłego kształtu, tak jakby ktoś bryzgnął brązową cieczą wprost na stojące przodem do niego dziecko. Karl powąchał plamy, ale nie czuł niczego oprócz zapachu szafy.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w brunatne ślady i zaczynał uświadamiać sobie, że mogła to być krew. Jakim sposobem on albo jego brat zostali ochlapani krwią? I czemu ich matka zostawiła ubrania na pamiątkę? Pamiątkę czego? Dreszcz przeszedł przez jego ciało, gdy znów dotknął zaskorupiałego materiału. To

musiało być coś innego. Ale co? Do głowy przyszło mu, że mogło chodzić o rytualny chrzest w jednej z tych dziwnych sekt religijnych. Jednak było to mało prawdopodobne, żeby oblewali tam dzieci jakąś trucizną.

Wcisnął ubrania do worka. Jeśli należały do niego, to ich nie pamiętał, a jeśli do Arnara, to brat miał pecha. Potem zabrał się za opróżnianie górnych szuflad. Piżamy, podkoszulki, skarpetki, rajstopy, paski, chustki i szale. Wszystko wylądowało w worku i komoda zrobiła się pusta. Karl wyprostował się zadowolony. Szybko się z tym uwinął.

Na szafce stały zrobione w różnych latach zdjęcia obu braci. Karl odsunął swoje na bok i wyrzucił te z Arnarem. Sprawilo mu to niekłamaną przyjemność, zwłaszcza że najstarsze ze zdjęć robione były na kliszy, która już dawno temu zginęła. Szczerbaty uśmiech siedmioletniego brata wystawał spod folii i Karl poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Ale po chwili zamknął worek, a sumienie dało mu spokój. Żaden z nich na żadnym ze zdjęć nie miał na sobie poplamionych ubrań, więc nie było sensu zaprzętać tym sobie głowy. Zagadka pozostanie nierozwiązana. Ta, która mogłaby udzielić na nią odpowiedzi, nie żyje. A Arnara nie będzie o nic pytał. Dla niego był tak samo martwy, jak ich matka. Wewnętrzny głos podpowiadał mu jednak, że nie chciała grzebać w jego przeszłości, to nie było w jej stylu. W sumie przeszłość była mu obojętna, ale jego bratu nie.

Szafa z ubraniami matki okazała się dużym wyzwaniem, bo we wnętrzu kryły się ich stosy, a do tego mnóstwo różnej wielkości pudełek wypełnionych ważnymi dla niej przedmiotami. Z samymi ubraniami uporałby się bez problemu. Zastanawiał się tylko, czy je wyrzucić, czy też oddać biednym.

Szybko jednak uspokoił wyrzuty sumienia. Nie wyobrażał sobie, że mogłyby istnieć aż tak biedne kobiety, którym przydałyby się wypłowiałe, źle uszyte, zalatujące odorem starej szafy i stęchłymi, kwaskowatymi perfumami ciuchy. Wszystko bez wyjątku, jedno po drugim, wylądowało na łóżku, aż szafa zrobiła się pusta.

Kiedy ubrania zniknęły, zauważył żółtą kopertę, upchniętą w głębi. Wyciągnął ją i pomacał. Była całkiem gruba. Najpierw zastanawiał się, czy nie wyrzucić jej bez otwierania, potem jednak zdecydował, że nie. Może były w niej ważne dokumenty albo testament, a nie przepisy kulinarne lub wycinki ze starych gazet. Przejrzenie tego nie mogło zająć wiele czasu.

By zrobić sobie miejsce do siedzenia, odsunął na bok kupkę ubrań leżących na łóżku. Parę z nich zsunęło się na podłogę, ale teraz się to nie liczyło, zwłaszcza że i tak miały wylądować w śmieciach. Wyciągnął papiery z koperty. Bingo. Dokumenty adopcji. Dla Arnara była to najcenniejsza rzecz na świecie. Dla Karla wypełnione drukiem formularze, które zrewolucjonizowały życie ich obu, a konkretnie przypieczętowały odebranie ich rodzicom i oddanie pod opiekę kobiety, którą od tego momentu uznawali za swoją matkę.

Dokumenty miały różne daty. Arnar został zaadoptowany dziewięć lat wcześniej niż on. Pisma musiały być oryginalne, bo podpisane były niebieskim tuszem, a pieczęcie w każdym z rogów kartki były czerwone. Czego to Arnar nie próbował, by dotrzeć do tych informacji w Biurze Ewidencji Ludności i innych instytucjach. Poruszył niebo i ziemię. Wszystko na nic.

Wszędzie odpowiadano bratu, że jego przypadek nie jest odosobniony i że zdarzało się to w wyjątkowych sytuacjach. Prawdopodobnie wiązało się z tym, że matka jako socjolog pracowała w instytucji państwowej, zajmując się między innymi sprawami w Urzędzie do spraw Nieletnich. Do jej obowiązków należało również wydawanie opinii w sprawach o pozbawienie praw rodzicielskich. Karl był przekonany, że aby załatwić ich adopcję, matka nie musiała chodzić od Annasza do Kajfasza.

I choć jego własny zapal do poznania swoich korzeni wygasł dawno temu, teraz poczuł dreszcz emocji. W domu nie wolno było nigdy rozmawiać o ich biologicznych rodzicach. Matka pewnie w ogóle nie zamierzała im powiedzieć, że byli adoptowani. Mało brakowało, a wymyśliłaby awaryjną bajeczkę o ojcach, którzy przepadli. Sprawy jednak potoczyły się inaczej, a to za sprawą rozmytych wspomnień Arnara. Coraz częściej i coraz usilniej atakował matkę pytaniami, nie dając jej spokoju. W końcu skapitulowała i przyznała, że byli adoptowani. Później już nigdy więcej nic na ten temat z jej ust nie usłyszeli.

Pewnego ranka, przy śniadaniu, krótko po tym, jak Karl zaczął chodzić do szkoły, Arnar obwieścił mu głośno i dobitnie, że jest adoptowany. W pierwszej chwili go nie zrozumiał. Musiało upłynąć parę minut, zanim słowa brata dotarły do niego i ucieszył się, bo to oznaczało, że miał ojca. Jeśli opowiedziałby o tym kolegom w klasie, więcej by mu nie dokuczali. Tyle że Arnar bezlitośnie dodał na koniec, że tak się stało, bo jego rodzice nie chcieli go znać, więc może zapomnieć,

że jeszcze kiedyś ich zobaczy. Tato i mama mają inne, ważniejsze rzeczy na głowie, a już z pewnością nowe i lepsze dzieci. Matka nigdy nie wpadała w złość, ale tym razem wręcz wściekła się na Arnara. Zapewniała Karla, że to nieprawda, ponieważ jego rodzice nie żyją. Sześć lat zajęło Karlowi rozważanie, która z przedstawionych historia była gorsza.

Potem już nie chciała im niczego mówić i dowiedzieli się jeszcze tylko tyle, że nie mieli wspólnych matek ani ojców. To niezmiernie ucieszyło Karla.

W przeciwieństwie do Arnara nie był zainteresowany dalszym dochodzeniem. Zapewnienie tej, którą uważał za matkę, wystarczyło, by uznał, że o historii jego rodziców należy zapomnieć. Tłumaczył sobie, że rodzice byli ludźmi, których lepiej było nie poznawać.

Czasami mądrzej było wiedzieć mniej.

Nie wykazywał dużego zainteresowania swoim pochodzeniem także i z powodu frustracji, która miała inne źródło niż u Arnara. Bał się prawdy. Źle było czuć się beznadziejnym we wszystkim, ale jeszcze gorsza byłaby świadomość, że taki się już urodził.

Z Arnarem sprawy miały się inaczej. Dobrze się uczył i choć podobnie jak Karl był praktycznie odludkiem bez znajomych, wszystko mu się udawało. Dostał stypendium na studia za granicą, skończył z najwyższą średnią jedną z amerykańskich uczelni i mógł wybierać spośród wysoko opłacanych stanowisk w kraju lub poza nim. Cały licealny czas poświęcony na szukanie najlepszego z możliwych kierunków studiów nie poszedł na marne. Żył sobie dobrze i dostatnio. Jego pochodzenie nie było w stanie tego zmienić. Dopiął swego. Sprawdził się.

W rzeczywistości w życiu Arnara jedyną porażką było to, że matka odmawiała wyjawienia mu prawdy. Nigdy nawet nie obiecała opowiedzieć mu o tym później czy też rozważyć taką ewentualność. Odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: „Nie, nie ma takiej możliwości”, i nie miało znaczenia, że Arnar podpierał się paragrafami o prawie dziecka do wiedzy na temat jego pochodzenia, musiał przyzwyczaić się do gorzkiego smaku porażki. Matka nigdy nie zmieniła zdania, a dane osobowe na dobre zginęły.

Karl się uśmiechnął. W rękach trzymał papiery, które Arnar próbował zdobyć całymi latami. Teraz to od niego zależało, czy udzieli bratu tak upragnionych przez

niego informacji. Uśmiech zgasł na twarzy Karla.

Czy naprawdę dałby bratu dokumenty?

Nie. Arnar powinien był poważniej potraktować go wczoraj wieczorem.

Zanim schował papiery do koperty, przeczytał imiona swoich prawdziwych rodziców i nie odczuł szczególnej ochoty, by od razu poszukać ich na Internecie. Zostawił to sobie na później. Kiedy będzie w lepszej formie. Teraz nie były mu potrzebne złe wieści. Oczywiście nie wyrzuci dokumentów. W głębi duszy wciąż triumfował, że oto był w ich posiadaniu i będzie trzymał w tajemnicy przed bratem. Delikatnie przeciągnął palcami po zimnej kopercie i podniósł się z matczyego łóżka w o wiele lepszym humorze niż wcześniej. Wstając, podparł się o stary materac, który ugiął się pod jego ciężarem, więc jeszcze więcej ubrań zsunęło się na podłogę. Później je podniesie. Nie spieszyło się. Zdecydował, że jutro też nie pójdzie do szkoły. Będzie to bardziej wiarygodne dla wykładowców, przecież nikt nie choruje przez jeden dzień, a jeszcze dla wzmocnienia efektu owinie szyję szalikiem. Chociaż nie było obowiązku chodzenia na wykłady, to na egzaminach będą patrzeć na niego z większym pobłażaniem.

Nagle usłyszał dziwne trzaski, które dobiegały z sutereny. Poczł skurcz w żołądku, a jego poczucie samozadowolenia natychmiast minęło. Odłożył kopertę na bok i nastawił ucha. Cisza. Kiedy ruszył w kierunku drzwi, dźwięk się powtórzył. Był odrobinę głośniejszy i nieco bardziej wyrazisty. Ktoś był w piwnicy. Ale jedyna droga na dół prowadziła z mieszkania, a tu nikogo nie było. Czy dźwięki pochodziły z radiostacji? Czyżby nie wyłączył jej, kiedy ostatnio zawitał do sutereny? To było wczoraj wieczorem, zaraz po szkole. Nie mógł sobie przypomnieć. Pewnie zostawił ją włączoną z zamiarem zejścia ponownie i nastrojenia. Zamiast się nad tym zastanawiać, musiał tam zejść i wyłączyć urządzenie.

Światło w suterenie było zgaszone. Karl próbował ignorować myśl, że kiedy wczoraj z niej wyszedł, to nie zamierzał już wrócić. Ale przecież nie był stuletnim dziadkiem, który z przyzwyczajenia robił zawsze to samo. Po prostu zgasił światło, lecz nie wyłączył radiostacji. Nie było w tym żadnej filozofii. Na schodach usłyszał, że zaczęło się nadawanie. Kiedy do jego uszu dotarł głos wyczytujący znane liczby, zorientował się, że radiostacja nastrojona była na islandzkiego nadawcę. To mu się nie zgadzało. Dobrze pamiętał, że z trudnością, ale zmusił się,

aby przestać tego słuchać, bo chciał się wyspać. Ostatni przekaz, którego słuchał, był z Australii, od samotnego radioamatora. Zwolnił, schodząc po schodach.

– Halo? – Jego głos, w odróżnieniu od generowanego komputerowo i wydobywającego się z radiostacji brzmiał miękko i ludzko. – Halo?

Żadnej odpowiedzi. Bez sensu było tak wołać w pustkę. Jeśli naprawdę ktoś by się włamał, i tak by mu nie odpowiedział. Poza tym nikogo nie było widać, no i nie miałyby właściwie gdzie się schować. Oczywiście jakaś chuda szczapa mogłaby wcisnąć się za sofę, ale dorosły mężczyzna nie zmieściłby się w szafie, która stała w najbardziej oddalonym miejscu pokoju.

– Halo?

Nikt nie odpowiedział, a rzędy cyfr płynęły z głośników.

Kiedy Karl zszedł wreszcie do pokoju, jego serce się uspokoiło. Chyba zaczął odrobinę wariować. Przecież włamywacze nie mogli tu znaleźć niczego ciekawego. Wokół było mnóstwo domów, z których można było coś wybrać. Ale stąd nie. O tym, że radia i nadajniki były dużo warte, wiedzieli nieliczni. Poza tym upłynnienie tego typu towaru nie było łatwą sprawą, bo kupujący od razu by się zorientowali, że to złodziejski łup. Grupa ludzi pasjonujących się radioamatorstwem była tak nieliczna, że jeden mejl informujący o kradzieży wystarczyłby, by ich ostrzec. Jakże głupi wydał się Karl sam sobie, żeby tak od razu widzieć wszystko, co najgorsze. Może gryzły go wyrzuty sumienia za wyrzucone zdjęcia z dzieciństwa Arnara? Jeśli chce naprawdę wymazać brata ze swojego życia, musi być konsekwentny. I nawet jeśli Arnar, kierowany wyrzutami sumienia, zadzwoni kiedyś do niego, nie odbierze. Nie dopuści, by doszło do pojednania.

Karl nachylił się ku radiostacji. Na stole przed nim leżała bransoletka, której nigdy wcześniej nie widział. Różnokolorowe paciorki nawleczone na żyłkę ze srebrnym słonikiem przy zapięciu. Ta biżuteria nie mogła należeć do mamy. Jej podobały się duże drewniane kule w kolorach ziemi, przywołujące na myśl czytanie poezji albo demonstracje przeciwko stacjonującym na Islandii wojskom amerykańskim. Bransoletka była za wesoła. Ale nie poprawiła mu humoru, bo dowodziła, że jakiś intruz dostał się do piwnicy. Znow zaczął się bać, a wyczytywane liczby wybrzmiewały przeraźliwie w jego uszach.

– Osiem, dziewiętnaście, trzydzieści siedem minus pięć, osiemdziesiąt dziewięć

minus sześć, sto pięć, trzy minus pięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt dziewięć minus szesnaście, szesnaście, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt dziewięć minus szesnaście.

Karl wziął do ręki ołówek i kartkę. Liczby całkowicie go pochłonęły. Przytłumiony dźwięk, ten sam, który zwabił go przed chwilą do piwnicy, powtórzył się ponownie za jego plecami. Karl jednak nie słyszał już niczego prócz liczb.

Rozdział 18

Na podłodze w pokoju gościnnym chłopcy bawili się starymi samochodzikami. Ojciec ich obserwował. Auta pamiętały dawne czasy i nosiły ślady tego, co z nimi robili sam Sigvaldi i jego brat, doprowadzając do tego, że kolorowe dawniej karoserie wyglądały teraz jak trędowate, bo pokrywały je zacieki i dziury. To przypomniało Sigvaldiemu o silnych zderzeniach i stłuczkach, które wraz z bratem aranżowali, kiedy nudziło ich zwykłe popychanie aut po podłodze w przód i w tył. Miarowe uderzenia, które było teraz słychać, dowodziły, że pewne rzeczy w życiu się nie zmieniają.

Młodszy z synów, Stefán, spojrział w górę.

– Kiedy przyjdzie mama? – Niedawno skończył cztery latka i najwyraźniej nie potrafił zrozumieć tego, co się wydarzyło. Prawdopodobnie był za mały. Żył w przeświadczeniu, że jeśli wystarczająco długo będzie pytał, to uzyska inną odpowiedź. Za każdym razem sprawiał ojcu przykrość.

– Mama nie przyjdzie, kochanie. Pamiętasz, co ci powiedziałem? – Sigvaldi odpowiadał już automatycznie.

Stefán spojrział mu w oczy tak, jakby chciał przewiercić go wzrokiem.

– Kiedy przyjdzie, chcę jej pokazać, co potrafię. – Małe paluszki złapały autko i uniosły je do góry. – Popatrz. – Naśladował odgłosy, które przypominały Sigvaldiemu kręcące się koła. Powtarzał to przez jakiś czas, aż wreszcie rzucił zabawką o ścianę. W innych okolicznościach Sigvaldi zdenerwowałby się i dał mu reprimendę. Ale teraz nie miało to znaczenia.

Bárður, który już wkrótce miał skończyć sześć lat, spojrział przestraszony na ojca. Rozumiał więcej od młodszego brata i to czyniło go bardziej wrażliwym. Wiedział też, że jeśli ktoś rzuca przedmiotami o ścianę, wywoła złość u dorosłych. Jeśli jednak tak się nie działo, to powód musiał być naprawdę istotny. Sigvaldi spróbował spełnić swój rodzicielski obowiązek, ale niczego poza „Stefán, nie wolno” nie potrafił z siebie wykrzesać. Miał nadzieję, że chłopiec zrozumie przekaz.

– Chodź, Stebbi. Poszukamy babci. – Bárður wstał z podłogi, wziął brata za rękę

i wyprowadził z pokoju. Sigvaldi został w nim sam. Patrzył za nimi i nie mógł oprzeć się powracającej wciąż myśli: co robić, kiedy Elisy już nie ma? Chłopcom odrosły włosy i będzie musiał zatroszczyć się o to, by pojechać z nimi do fryzjera na umówiony przez Elisę termin. Dzisiaj. Zaplanowała, że dziś pojedzie z nimi do fryzjera.

W pamięci przywoływał, co jeszcze zaplanowała podczas jego pobytu za granicą. Lista była długa, więc w miarę jak wyliczała, on coraz bardziej cieszył się na swój wyjazd. W czasie, kiedy ona biegałaby z dziećmi po całym mieście, on, w przerwach między wykładami, planował sobie odpocząć. Chciał cedzić whisky w hotelowym barze, pójść do łaźni parowej, która mieściła się w piwnicy, pograć w golfa z kolegami. Rozkoszować się brakiem śniegu przed oczami i konieczności codziennego chwytania za skrobaczkę do szyb.

Nie odpocznie sobie ani w tym roku, ani przez następnych kilka lat. Był ojcem samotnie wychowującym trójkę dzieci. Dzieci, które praktycznie go nie znały, bo to Elisa zajmowała się nimi przez większość czasu. Tak się jakoś poukładało, że wylądował na marginesie życia rodzinnego. Do jego zadań należało tyranie na pełnym etacie i co najwyżej ochrzanianie w ramach nadgodzin. Względnie bycie stróżem prawa domowego.

– Czy coś się stało? – Sigvaldi usłyszał za sobą głos matki. Uprzejmie się do niej odwrócił, chociaż wolałby w dalszym ciągu wpatrywać się w miejsce na ścianie, gdzie wylądował samochód. W pewnym stopniu współczuł betonowej ścianie, która otrzymała cios tak niespodziewany jak on w serce.

– Nie, nic. – Spojrzał na matkę. Zawsze była piękna, wysoka, szczupła i z dostojną twarzą, która idealnie pasowałaby do greckich monet. Wszystko jedno czy z ciemnymi włosami i różowymi policzkami, jak ją pamiętał z dzieciństwa, czy blada z siwymi włosami, jak teraz. To, co się wydarzyło, odcisnęło na niej piętno i widać było, że za chwilę załamie się pod ciężarem żałobienia. Sam zresztą nie wyglądał lepiej.

– Chłopcy są jacyś przytłumieni. – Oparła się o framugę w drzwiach i założyła ręce na piersiach. – Myślę, że powinieneś wstać z tej sofy i wyjść gdzieś z dziećmi. Do kina, na spacer, do zoo, na lody. Cokolwiek. Muszą iść na świeże powietrze. Odpocząć od tego smutku. Twojego smutku. Oni będą się oczywiście smucić, gdziekolwiek by nie pojechali.

W milczeniu patrzyli sobie w oczy. Po raz pierwszy pojął, jak bardzo byli do siebie podobni. Jakby patrzył teraz na samego siebie. Odkąd sięgał pamięcią, ludzie zawsze mówili, że miał oczy po swojej matce, jednak nigdy dotąd tego nie zauważył, więc teraz doszedł do wniosku, że może ich wspólne cierpienie spowodowało jednakowe opadnięcie górnej powieki.

– Tobie też to dobrze zrobi. Człowiek musi zawsze podnieść się i iść do przodu. Bez względu na to, co się dzieje.

Matka całe życie zagrzewała go do boju, czasem z tym jednak przesadzała. Tak było podczas studiów na medycynie. Nabrała zwyczaju dopingowania go, kiedy w czasie sesji co rano wychodził na uczelnię. Jakby był młodym żołnierzem wyruszającym na pole bitwy, z której mógł nie wrócić żywy. Ale tym razem musiał jej przyznać rację, więc uśmiechnął się nieco wymuszenie.

– Zabiorę ich na przejażdżkę samochodem. Nie czuję się jeszcze na siłach, by pójść do lodziarni czy kawiarni, między ludzi. – I zanim zaczęłyby prawić morały, że żaden człowiek nie jest samoistną wyspą i tak dalej, dodał pospiesznie: – Jutro już będzie lepiej. Trochę lepiej. I tak po troszeczkę. Z dnia na dzień. Na koniec będzie w miarę do zniesienia i to musi wystarczyć. – Bolały go plecy od siedzenia na sofie. – Dziękuję, że nas przygarnęliście. Wiem, że nie jest teraz łatwo z nami wytrzymać.

Matka machnęła ręką.

– Przestań. Zawsze jesteście u nas mile widziani i możecie zostać tak długo, jak tylko zechcecie. – Twarz jej spochmurniała. – Ojciec mi mówił, że może być tak, iż Margrét zostanie przeniesiona w inne miejsce. Mam nadzieję, że to nie z twojego powodu.

Sigvaldi wpatrywał się w zabawkowe autko leżące obok jego nogi.

– Tak bym tego nie ujął. Policja obawia się o jej bezpieczeństwo. Podejrzewają, że do mediów wyciekną informacje, że była tam tej nocy i mogła coś widzieć.

– No i co z tego? Myślą, że to najgorsze, co może spotkać dziecko? Bo ktoś rozpuści po mieście jakąś plotkę?!

To był czerwony samochodzik, o który dawniej tak często sprzeczali się z bratem, bo obaj chcieli bawić się właśnie nim. Chodziło przecież o kabriolet z umieszczonymi po bokach naklejkami, imitującymi płomienie ognia. Chociaż wyglądał efektownie, nie jeździł zbyt dobrze, bo jedno z tylnych kół wypaczyło się

i trzeba było użyć siły, by przesuwając nim po podłodze. Kryła się w tym jedna z pierwszych życiowych lekcji: to, czego pragniemy najbardziej, nie zawsze spełnia nasze oczekiwania.

– Mamo, to nie są jakieś plotki, których obawia się policja. Boją się, że morderca będzie jej szukał ze strachu – bo go widziała i może rozpoznać. Będzie chciał się jej pozbyć jako świadka. Jeśli zostanie tu z nami, w domu, bez problemu ją dopadnie. Jeśli ją ukryją, utrudnią mu sprawę.

Matka wzięła głęboki oddech, a jej piękną twarz wykrzywił grymas przerażenia.

– O czym ty mówisz?

– Tak mi powiedziano. Nie jestem teraz w nastroju do wymyślania bajek. Oni chcą umieścić Margrét w bezpiecznym miejscu. Tylko na jakiś czas, dopóki nie dorwą tego ohydneho zwyrodnialca. – Ostatnie słowa wypowiedział, jakby pluć nimi z ust.

Matka poruszała ustami niczym ryba wyciągnięta z wody. Wzdrygnęła się i próbowała zachować fason.

– Jak myślisz, kto mógł to zrobić? Jakiś wariat?

Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. W drodze ze Stanów Zjednoczonych próbował przywołać we wspomnieniach kogoś z ich życia, kto mógłby chcieć zrobić krzywdę Elisie. Nadaremnie. Przyjaciele stali za nimi murem, tak samo rodzina. Żadnych zatargów z sąsiadami czy w pracy. Mało wiedział o jej zajęciu, ale gdyby coś było nie w porządku, z pewnością by mu powiedziała. Ich związek opierał się na zaufaniu. Przypomniawszy sobie pytanie policjanta dotyczące ewentualnych zdrad małżeńskich, ale nie mógł sobie przypomnieć, co dokładnie im odpowiedział.

Z pierwszego przesłuchania Sigvaldi pamiętał prawie wszystko, ale podczas ostatniego wszystko przesłoniła mu rozpacz. Miał wrażenie, że przyczaiła się aż do momentu, w którym pojmie, co tak naprawdę się zdarzyło, by pochłonąć go jak fala rozbijająca się o skalisty brzeg. Z trudem hamował się, by nie paść na stół, krzycząc, płacząc i wrywając sobie włosy z głowy. Cudem mu się udało i jakoś odpowiedział na pytania, zastanawiając się jednocześnie, czy nie sprawia wrażenia zimnego i niezaangażowanego. A było przecież dokładnie odwrotnie. Miał jednak pewność, że jeśli pozwoli sobie na okazanie choćby najmniejszej emocji, tama się przerwie i utonie w rozpacz.

Czuł się skołowany po przeczytaniu wiadomości od mordercy, które mu pokazano i których nie potrafił zinterpretować. Nie było szans, niczego takiego nie doszukał się w pamięci, były to nic nieznaczące liczby. Powycinane z gazet i przyklejane litery też niczego mu nie mówiły.

– Nie mam zielonego pojęcia, kto to mógł być. Ale na pewno ktoś obcy. Nikt, kto znał Elisę, nie chciałby zrobić jej czegoś takiego.

– To jak policja ma go znaleźć?

Teraz to on szukał odpowiednich słów. Jednak się poddał.

– Tego nie wiem.

– Margrét powinna zostać u nas. A nie u jakichś nieznajomych ludzi gdzieś w mieście.

– Nie wiem, czy tato mówił ci o tym, ale ona sama tego chciała. – Ciężko mu było to przyznać. Przez moment był nawet zły na matkę, że zmusiła go do wypowiedzenia tych słów. – Może dzięki temu pogodzi się ze mną?

– Pogodzi się z tobą? Cóż takiego jej zrobiłeś? – Rodzice zdawali się nie widzieć niczego szczególnego w tym, jak Margrét go traktowała. Milczeli nawet wtedy, kiedy przez cały dzień siedziała i czytała, zamknięta w pokoju, który kiedyś należał do jego brata. Zmuszona w czasie posiłków przebywać w towarzystwie ojca, bardzo starała się nie patrzeć w jego stronę. Dziadek i babcia zgodnie ignorowali to, co się działo przy stole. Zachowywali się nienaturalnie, mówili dużo i głośno. Jedynie Stefán i Bárður byli tacy jak zawsze. Nie licząc momentu, kiedy Stefán zapytał, czy mama nie jest głodna i dlaczego nie przychodzi zjeść. Wtedy i Bárður zaczął zachowywać się jak cała reszta. To były dla Sigvaldiego najgorsze ze wszystkich chwil.

– Niczego nie zrobiłem. Nie mam pojęcia, czemu obwinia mnie za wszystko. Ale to tylko dziecko. Pewnie uważa, że powinienem być na miejscu i uratować mamę.

– Pytałeś ją o to? Chcesz, żebym z nią pogadała?

– I tak, i nie. Już próbowałem. Ale za każdym razem odwraca kota ogonem i nie chce ze mną rozmawiać. Myślę, że potrzebuje czasu, by wrócić do równowagi psychicznej. Kobiety ze schroniska zaproponowały specjalną terapię, która ma jej w tym pomóc.

– Terapia? – Matka wyraziła zdziwienie tak przesadnie, jakby zamierzał umieścić córkę na oddziale odwykowym.

– Rozmowy z psychologiem. Psychologiem dziecięcym wyspecjalizowanym w pomocy dzieciom w sytuacjach kryzysowych. To nic złego. Myślisz, że mogłoby jej to wyrządzić krzywdę?

Matka nie odpowiedziała. Zachowywała się tak zawsze, kiedy była innego zdania niż jej rozmówca i nie miała ochoty się z nim kłócić. Zanim znów się odezwała, wyraz jej twarzy wszystko zdradził.

– Jeśli ją stąd zabiorą, to z pewnością będzie jej potrzebna terapia. Kto to widział, żeby pozbawiać dziecka, które dopiero co straciło matkę, własnej rodziny. Ci dzisiejsi specjaliści od psychologii dziecięcej!

– To policja za tym stoi, i nalega. Ale jeszcze nie podjęto decyzji. – W tym momencie zadzwonił jego telefon. Nie znał numeru, który się wyświetlił. A jeśli to jedna z jego pacjentek, u której zaczęła się akcja porodowa? Czasami dzwoniły na jego prywatny numer. Wahał się przez chwilę, ale postanowił odebrać. Jeśli to jedna z ciężarnych, odeśle ją do dyżurującego ginekologa, bo sam przecież był na urlopie. Omal się nie roześmiał, gdy pojął, jak bardzo te słowa nie pasowały do obecnej sytuacji.

Dzwonił policjant Huldar. Ten sam, który go ostatnio przesłuchiwał. Nie podał nazwiska, którego Sigvaldi i tak nie zapamiętał, ale nie miało to znaczenia. Wszystkiego wysłuchał i sam ograniczył się tylko do dwóch słów: tak i do widzenia. Opadł na sofę i zaczął wpatrywać się w ścianę.

– To policja. Za chwilę przyjadą po Margrét.

– Nawet nie próbowałeś się sprzeciwić. – Matka stanęła przed nim, zasłaniając mu widok na białe i surowe otynkowanie.

– Nie, to jest w tej chwili najbardziej rozsądne wyjście. – Sigvaldi opuścił ramię na miękką sofę. Telefon wyślizgnął mu się z dłoni.

Rozmowa wyciągnęła z niego resztkę energii, którą jeszcze posiadał.

– Popełniono następną zbrodnię. Ten sam morderca.

Z wielkim wysiłkiem udało mu się zachować spokój. Musi się trzymać. Policja i przedstawiciel Urzędu do spraw Nieletnich będą tu za dwie godziny, więc nie zostało mu już wiele czasu. Chciał porozmawiać z córką, wytłumaczyć jej wszystko i spróbować dowiedzieć się, czy rzeczywiście się na to zgodziła. Jeśli tak, to pomoże jej spakować ubrania i rzeczy, których będzie potrzebowała. Jeśli nie, zadzwoni na policję i cofnie zgodę. Wyjedzie i ukryje się z dziećmi, w najgorszym

wypadku gdzieś na odludziu w górskiej chacie dla wędrowców.

Może uda mu się tym razem wyjaśnić jej, jak strasznie mu przykro, że nie było go w domu, kiedy to się stało. Może uda mu się ją przekonać, że nie miał nic wspólnego ze strasznym końcem życia kobiety, którą kochał równie mocno jak ona. Sigvaldi się wyprostował.

– Jeśli ma to oznaczać, że będzie bezpieczna, to zgoda. Nie możemy dopuścić do tego, by ją też stracić.

W uchylonych drzwiach pojawiła się rozczochrana główka Stefána.

– Kiedy przyjdzie mama? – Sigvaldiemu opadły ręce, kiedy po raz kolejny usłyszał pytanie. Różowe dziecięce usteczka ułożyły się w podkówkę. – Nie pocałowała mnie na do widzenia.

Rozdział 19

Skutkiem wieczornych wydarzeń w mieszkaniu był coraz gorszy zapach, do którego nie sposób się było przyzwyczaić. Przez zasunięte zasłony okienne do środka nie dochodziło już światło dzienne, tak krótkotrwałe o tej porze roku. Trochę było go szkoda, ale w pokojach i tak zainstalowano sztuczne oświetlenie. Jasność bijąca z przenośnych reflektorów dawała kosmiczną poświatę. Oczy ludzi stojących wokół wydawały się czarne jak smoła, a twarze trupioblade. Wyglądali więc na bardziej wystraszonych, niż byli w rzeczywistości, i mówili spokojnymi, ściszonymi głosami. Niektórzy zasłaniali rękoma usta, w obawie, że gdy je otworzą, zapach spalenizny oblepi im języki.

Już wkrótce grupa zabezpieczająca ślady zakończy swoją pracę i zwłoki zostaną wywiezione. Dopiero wtedy można będzie otworzyć okna w mieszkaniu. Jednak do wymazania z pamięci tego, co się tu ujrzało, świeże powietrze na pewno nie wystarczy.

Nie tylko Huldara dopadła klaustrofobia. Ale to on najdłużej przebywał na miejscu zdarzenia, towarzysząc lekarzowi sądowemu i technikom kryminalistycznym. Nawet Erla zapomniała o pozie kobiety ze stali i odłożyła na bok swój pancerz ochronny. Ledwie się odzywała, a na twarzy wypisane miała zmęczenie i bezsilność, tak jak i reszta grupy. To samo dotyczyło Ríkharðura, który od chwili ich przybycia na miejsce prawie nie zabierał głosu.

Huldar żałował, że wezwał tę dwójkę. Oboje pracowali przez cały weekend i mieli prawo do wolnego, żadne z nich jednak nie próbowało się wykręcić. Erla była już w przebieralni swojej siłowni, ale zdążyła zdjąć tylko jedną skarpetkę. Natomiast Ríkharður zawrócił z drogi do Mosfellsbær, gdzie wybierał się w odwiedziny do rodziców.

Oboje bez słowa i jakichkolwiek protestów, że ich ściągnięto do pracy, stawili się na miejscu. Erla dotarła szybciej, więc mogła wybrać sobie zadanie. Natomiast kiedy pojawił się Ríkharður, nie było nawet potrzeby mówienia mu, co ma robić, bo sam doskonale wiedział. Pracował bez słowa, nie wtrącając się do półszepciem rozmawiających ze sobą kolegów. Nikt też nie czepiał się jego milczenia. Wszyscy

byli smutni i tego nie ukrywali.

Na podłodze w kuchni leżało ciało martwej kobiety. Nie można już było zmienić przeznaczenia Ástrós Einarsdóttir ani niczego dla niej zrobić. Jedyne co mogli, to swoją ciężką pracą zmienić przeznaczenie tego, który to zrobił. Zapewnić mu zasłużoną karę. Za każdym razem, gdy spoglądali na zbezczeszczone zwłoki, buzowała w nich złość. Powykręcane drgawkami agonii ciało wyglądało, jakby unosiło się nad ziemią. Huldarowi wydawało się, że owija się wokół jego głowy i ją zaciska.

– Czy nie można by przykryć denatki? – Erla zwróciła się do patologa, który od godziny klęczał przy zwłokach. – Nie mogę już dłużej patrzeć na jej twarz.

– Za chwilę kończę. – Lekarz nawet nie podniósł wzroku znad swoich notatek i w dalszym ciągu pisał. Potem odłożył notatnik, by zrobić kolejne zdjęcia. – Przecież twarz ma prawie zupełnie zasłoniętą... – Tak jak w przypadku Elisy, część głowy kobiety została wielokrotnie owinięta połyskliwą, jasnoszarą taśmą klejącą, więc w godzinie śmierci niczego nie widziała. Być może należało to uznać za akt łaski dla ofiary. Tą samą taśmą umocowano i zabezpieczono wewnątrz gardła urządzenie elektryczne, które oczywiście doprowadziło do śmierci, ale i zapobiegło krzykom. Dlatego też spod taśmy wystawał ledwie kawałeczek twarzy: trochę czoła, odrobina nosa, uszu, brody. Krótkie, sztywne włosy stały dęba. Wyglądało to tak, jakby zmarła z powodu porażenia prądem, a jednak nie on ją zabił. Śmierć z tej przyczyny byłaby bardziej litościwa. Patolog zrobił jeszcze jedno zdjęcie i wstał z kolan. – Można zabrać ciało. Czy samochód już jest?

Kiedy Huldar potwierdził, że samochód czeka, na twarzach większości pojawiła się ulga. To, co najgorsze, właśnie się skończyło i za chwilę zwłoki znikną im z oczu. Owinięta taśmą twarz, potargane i stojące na czubku głowy włosy. Rączka urządzenia wystająca z twarzy kobiety, tak jakby próbowała je połknąć.

Z niewyjaśnionego powodu Huldar nie mógł znieść przede wszystkim widoku jej palców. Były jak rozczapierzone krogulcze pazury, szukające czegoś, co mogłoby zakończyć mękę. Czegoś, co mogło pomóc Ástrós w wyciągnięciu z gardła przedmiotu i uwolnieniu się od potwornego bólu, który z pewnością towarzyszył jej agonii. Jak twierdził medyk, na podstawie śladów widocznych na palcach można było wnioskować, że morderca nogami przytrzymał jej dłonie na ziemi. Na kuchennym stole leżały różne przedmioty. Między innymi duży nóż i nożyczki,

których pewnie używał do odcinania taśmy. W jakim celu wyciągnął resztę przedmiotów i czy zamierzał ich użyć, ciężko było powiedzieć. Możliwe, że chciał ją tylko nastraszyć. Mimo że już samo narzędzie zbrodni było wystarczająco straszne.

Huldar próbował rozeznaczyć się w sytuacji, przyglądając się dokładnie wszystkiemu, co na miejscu zdarzenia się znajdowało. Oprócz kuchennych pomocy na podłodze leżało krzesło, a obok pojedyncza biała kartka. Na niej nagryzmołone były ułamki i niezrozumiałe obliczenia, które trudno było odczytać. Nie powycinane z gazet, tylko napisane ołówkiem, niepodobne były do zakodowanej wiadomości pozostawionej w domu Elisy. Ołówek znaleziono na podłodze koło zlewu.

Zanim kobieta zmarła, prawdopodobnie siedziała na krześle umieszczonym przy stole. Nie wiadomo było, czy to ona napisała te dziwne równania matematyczne. Sugerował to jednak fakt, że były nagryzmołone koślawo, tak jakby pisząca osoba nie widziała tego, co pisze. Kiedy zbliżała się śmierć, Ástrós musiała rzucić się do tyłu i upaść na podłogę. Według lekarza ten nagły upadek nie był aż tak bolesny w porównaniu z tym, co musiała odczuwać w ustach i gardle. Pewnie nawet nie zorientowała się, że upadła.

– Możecie zabrać kartkę, ołówek i całe to kuchenne oprzyrządowanie – polecił patolog. – I wyciągnijcie to cholerstwo z prądu. Chcę mieć także przedłużacz, więc wyjmijcie go z kontaktu, zwińcie i połóżcie ostrożnie na nią. – Wskazał na rączkę wystającą z ust Ástrós, owiniętą taśmą i przymocowaną do szyi. – Uważajcie, by używać rękawiczek nawet przy wyjmowaniu wtyczki z kontaktu. Wszystkie luźne rzeczy spakujcie do worka. – Lekarz wyjął duży przezroczysty worek z torby. – Chyba potraficie to oznaczyć?

Huldar ponownie udzielił odpowiedzi za całą grupę. Wszyscy w ogóle mało mówili, a jeśli już, to odpowiadali tylko na pytania bezpośrednio do nich kierowane. Nawet gdyby w oględzinach nie uczestniczył Ríkharður, nastrój byłby iście grobowy. I chociaż nikt nie znał osobiście zmarłej, wszyscy byli zdruzgotani tym, co się tu stało. Huldar nie mógłby pracować z ludźmi traktującymi morderstwo jak chleb powszedni, był więc zadowolony z ich reakcji.

– I co pan znalazł? – Przyglądał się medykowi ściągającemu maskę i rękawiczki, wyglądały jak przyklejone do skóry.

– Niczego nie mogę stwierdzić na pewno, ale temperatura ciała każe szanować czas zgonu na około północy. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną śmierci było poparzenie gardła, jednak dopiero pełna autopsja da odpowiedzi na pytania, co dokładnie się stało i co bezpośrednio spowodowało zatrzymanie akcji serca. Mogło dojść do zablokowania dróg oddechowych w wyniku poparzeń lub do krwotoku, który spowodował, że utopiła się we własnej krwi. Biorę pod uwagę różne scenariusze, nie znam jednak żadnych podobnych przypadków, na przykładzie których mógłbym wyciągać wnioski. Nie co dzień zabija się człowieka za pomocą lokówki do włosów.

Huldar i Erla wpatrywali się w jej czarny uchwyt. Zapach spalenizny wzmagął się, ale policjantka na próżno pocierała nos, chcąc oddalić woń od siebie.

Lekarz kiwał głową. Był smutny.

– Z przykrością muszę powiedzieć, że jedno jest pewne: to nie była bezbolesna i szybka śmierć. Niestety.

Para policjantów wyraźnie spochmurniała. Ríkharður stał przy szafce kuchennej, gdzie starał się przy pomocy proszku daktyloskopijnego zdjąć odciski palców. Odwrócił się do nich i także posmutniał. Ich przerażone miny nie zrobiły na lekarzu żadnego wrażenia. Niestrudzenie mówił dalej.

– Tak jak już mówiłem, więcej dowiemy się po sekcji zwłok, być może także na temat dokładniejszej godziny zgonu, chociaż to akurat duże wyzwanie. Pomogłoby, gdybyście ustalili, kiedy ostatni raz jadła, to jednak może być trudne, bo ofiara mieszkała tu sama, zgadza się? Zakładając oczywiście, że to jej mieszkanie.

– Z pewnością była właścicielką tego mieszkania. Tak to zrozumiałem. – Huldar rozmawiał ze znajdującą się w głębokim szoku siostrą zmarłej, która powiadomiła policję o zabójstwie. Bał się, że nie będzie w stanie zeznawać, ale udało mu się wyciągnąć z niej parę podstawowych informacji. Opowiedziała, że zaniepokojona nieodbieraniem przez siostrę telefonu przyjechała sprawdzić, co się z nią dzieje. W przerwach pomiędzy głośnym szlochaniem wyznała, że obawiała się, iż Ástrós dostała zawału serca i leży nieprzytomna na podłodze. Już od dawna cierpiała na nadciśnienie tętnicze krwi. – Siostra mówiła, że Ástrós owdowiała dwa lata temu, a małżeństwo nie miało dzieci. Poza tym w lodówce jest ciasto i brakuje tylko jednego kawałka, więc nie wygląda na to, żeby zaprosiła gości. W zlewku leży garnek, jeden talerz, nóż i widelec, czyli tylko ona jadła. Z drugiej strony, były tam

dwie szklanki. Jedna z nich mogła oczywiście leżeć w zlewie dłużej, ale biorąc pod uwagę ład i czystość w mieszkaniu, to mało prawdopodobne, żeby składowała brudne naczynia.

– Wszystko zabrano do badań? Ciasto też? – Lekarz słynął ze swojej dokładności. Huldar z doświadczenia wiedział, że nie opuści miejsca zbrodni bez uprzedniego sprawdzenia, czy wszystko zostało zabezpieczone i zapakowane.

– Tak. Liczę, że na szklankach zostały odciski palców. Należy się jednak raczej spodziewać tylko tych należących do denatki. Wydaje mi się, że sprawca był zbyt uważny, aby pozwolił sobie na tak banalny błąd. Znalazł pan jakieś ślady na zwłokach? – Huldar doskonale znał odpowiedź, ale pomimo to zapytał. Dokładnie obserwował lekarza i nie uszłoby jego uwadze, gdyby ten znalazł coś istotnego.

– Nie znalazłem niczego przy oględzinach zewnętrznych. Oczywiście mogłem coś przeoczyć, ale biorąc pod uwagę, w co była ubrana, nie robiłbym sobie wielkiej nadziei na znalezienie czegoś na odzieży. – Kobieta pożegnała ten świat w grubym frotowym szlafroku, spranym podkoszulku i bawełnianych spodniach w kratkę. W agonii jej podkoszulek zadarł się do góry, odsłaniając blady, pofałdowany brzuch. Szlafrok miała rozwiązany. Jego poły rozrzucone na podłodze po obu stronach ciała wyglądały jak zniekształcone skrzydła. – Może coś się tam znajdzie, ale to już po dokładniejszych oględzinach w zakładzie. Wątpię też, że jakieś ślady są z tyłu na szyi. Zostaje nam jedynie taśma, chociaż do niej też nie jestem nastawiony zbyt optymistycznie. Poprzednim razem na niej również niczego nie znaleźliśmy. Kimkolwiek jest morderca, wygląda na kogoś, kto się bardzo pilnuje. Jeśli oczywiście to ten sam sprawca.

Huldar nie odpowiedział, choć przypuszczał, że właśnie tak jest. Za dużo było podobieństw, żeby uznać to za zbieg okoliczności. Dwie kobiety zamordowane w obrzydliwy sposób w odstępie paru dni. Już sama przekłeta taśma klejąca umacniała go w przekonaniu, że obie wykończył ten sam morderca. Nic innego tych kobiet nie łączyło. Nie było śladów gwałtu na ich ciałach i nic nie wskazywało na to, że w grę wchodzić mogło zabójstwo na tle seksualnym. Życie żadnej z nich nie prowokowało do tego, żeby je zabić, bo przecież Elisa była tylko matką trójki dzieci i pracownicą skarbowki, a Ástrós blisko siedemdziesięcioletnią wdową, która niegdyś uczyła biologii w liceum, a teraz – jeśli w tej sprawie można było wierzyć jej siostrze – nie interesowała się już niczym poza oglądaniem telewizji.

Dowodem na to, że prowadziła monotony tryb życia, były także fotografie, na których ona i jej mąż przytulali się do siebie w ten sam sposób niezależnie od tego, gdzie robiono zdjęcie: czy to na słonecznej plaży, czy na pikniku na łonie islandzkiej natury, czy na zabawie w mieście. To, że zdjęcia zrobiono w dużych odstępach czasu, nie miało znaczenia, bo i tak na wszystkich ona miała krótkie, wymodelowane i raczej rzadkie włosy okalające bezbarwną twarz, a on pucułową twarz i prawie łysą głowę. Zwyczajni ludzie. Żadna z kobiet nie wyglądała na osobę mogącą wzbudzić zainteresowanie dewianta opętanego chęcią mordowania. Tak czy inaczej, musiały zrobić coś, co sprawiło, że stały się jego celem.

Huldar brał pod uwagę wszelkie możliwe wersje. Nie chciał, by cokolwiek zostało przeoczone. Od kiedy przekroczył próg kuchni i jego oczom ukazał się wstrząsający widok, nie mógł się jednak skoncentrować. Przeszkadzał mu w tym wypełniająca całą przestrzeń zapach spalenizny, który nie pozwalał na swobodny przepływ myśli. Jeszcze długo widok srebrnej taśmy klejącej będzie wywoływać niesmak w jego ustach. Był też pewien, że pozostanie traumatyczny dla wszystkich, którzy weszli dzisiaj do tego mieszkania.

Policjant nachylił się do kontaktu i ostrożnie wyciągnął z niego wtyczkę przedłużacza. Zwinął kabel i delikatnie ułożył na ciele zmarłej. Wszystko robił w rękawiczkach. Kręciło mu się w głowie, uważał więc, by nie wstać zbyt gwałtownie i nie upaść na nieszczęsną denatkę. Wystarczająco wycierpiała za życia, żeby teraz dodatkowo jej uwłaczać.

Gdy czekał, aż zawroty głowy miną, próbował znów zebrać myśli. Nie potrafił się skupić od momentu przybycia na miejsce zdarzenia. Tak łatwo było wpaść w pułapkę zafiksowania się na przeklętej taśmie i urządzeniu elektrycznym. Nie miał jednak wielkiego wyboru, więc poświęcał im całą swoją uwagę. Pomimo tego, że wiele łączyło oba morderstwa, było także trochę różnic. Huldar wiedział, że będzie musiał dokładnie zanalizować, czy rzeczywiście chodzi o jednego sprawcę. Niejeden dużo lepszy od niego przejechał się na takim przeświadczeniu, zakładając coś z góry i pomijając pewne szczegóły, bo nie pasowały do wymyślonej wersji wydarzeń.

Elisę znaleziono w jej łóżku, a nie na podłodze jak Ástrós. W pierwszym przypadku zabójca odczekał, aż ofiara zaśnie. W drugim napadł na kobietę, gdy udawała się na spoczynek. Według Huldara mogło to dowodzić, że morderca

zaczął czuć się pewniej, równie dobrze jednak mogło oznaczać innego sprawcę. Historii z taśmą klejącą nie podano w wiadomościach, ale nie znaczyło to wcale, że nie wyciekła. Cała masa policjantów i innych ludzi wiedziała, że użyto jej w morderstwie Elisy, i można było się spodziewać, iż ktoś, oczywiście w wielkiej tajemnicy, opowiedział o tym żonie lub przyjacielom. W normalnych warunkach nie trzeba było czekać, bo takie informacje rozchodziły się natychmiast.

Huldar gwałtownie potarł twarz. Musiał coś zrobić z rękami. Kiedy jednak opadły w dół, wcale nie poczuł się lepiej. Tęsknił za chwilami, kiedy to, jak śledztwo się toczy, było zmartwieniem kogoś innego. Kogoś, kto stał w hierarchii ponad nim i zadając sobie pytanie, kto mógł być sprawcą, zastanawiał się też, czy sposób, w jaki dokonano zabójstw, wskazywał na ich przyczynę. Teraz Huldar nie mógł już od tego uciec. Powoli wydychał powietrze, przyglądając się kuriozalnej głowie Ástrós. To musiał być ten sam sprawca. W tak małym islandzkim narodzie nie byłoby miejsca dla dwóch identycznie myślących pomyłków.

Trzask zamykanej torby lekarza przestraszył podpartą o ścianę, stojącą jak w transie Erlę. Dzisiejszy dzień był naprawdę długi. Za długi. Huldar walczył nie tylko z przemożnym zmęczeniem, ale też z bólem głowy, który, jakby tego było mało, brał we władanie umysł. Nienaturalnie jasne światło z reflektorów wywoływało mroczki przed oczami, więc już prawie niczego nie widział. Będzie musiał się poddać, nie da rady dokładnie przyglądać się wszystkiemu. Zadzwoił telefon, który trzymał w kieszeni spodni i którego tak jak poprzednio nie odebrał. Nawet nie sprawdził, kto próbował się z nim skontaktować, całkowicie skupiony na tym, co działo się tu i teraz. Morderstwa, choć zdarzały się na szczęście rzadko, odsuwały na bok wszystko inne. Nikt się więc specjalnie nie wkurzał, kiedy nie odbierał telefonu.

– Zabraliście przyssawkę i wycinarkę do szkła? – Głos lekarza brzmiał tak, jakby uchodziło z niego powietrze. Pocierał twarz w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą miał zawiązaną maseczkę.

– Tak.

Telefon Huldara dał za wygraną, ale ból głowy nie. Sprawca wszedł do środka przez drzwi balkonowe, na co wskazywały ślady na ścianie obok pozostałe po ich gwałtownym otwarciu, a także odciski stóp w śniegu na balkonie i przed drzwiami mieszkania. Rozmiar obuwia był typowy dla wielu mężczyzn, jednak słońce

sprawilo, że nie dało się już rozpoznać wzoru na podeszwach.

Drzwi balkonowe otworzono po uprzednim wycięciu dziury w szybie. Użyto przyssawki, najwyraźniej jednak morderca nie potrafił się nią sprawnie posługiwać, bo kiedy próbował odmontować cyrkiel wycinaczki, wpadła mu do mieszkania, a szyba nie wytrzymała nacisku i pękła. Teraz napastnik mógł już z łatwością otworzyć sobie drzwi od wewnątrz. Wszedł do mieszkania i napadł na kobietę prawdopodobnie w korytarzu obok sypialni, na co wskazywała czarna kreska na podłodze, ciągnąca się od łazienki do kuchni. Przypuszczalnie były to ślady kapci kobiety, które odznaczyły się, gdy morderca ciągnął jej bezwładne ciało po parkiecie. Dalszego ciągu zdarzeń można się już było jedynie domyślać.

– O jednej rzeczy musimy pamiętać – powiedział lekarz sądowy, zdejmując z siebie papierowy kombinezon ochronny. – Jeśli w grę wchodzi rzeczywiście ten sam sprawca, nie będzie dla niego żadnym problemem zamordować znowu. Oczywiście może przestać na tych dwóch, ale równie dobrze może zabić jeszcze jedną lub dziesięć innych osób. Zupełnie bez konsekwencji, bo i tak nie wpłynie to na długość wyroku. Może dostać dwadzieścia zamiast szesnastu lat odsiadki. Strach pomyśleć.

Wszyscy znów popadli w grobowy nastrój.

– Miejmy nadzieję, że morderca rozważy swoją sytuację. Najpewniej nie chce, by go złapano, a przecież każde kolejne zabójstwo zwiększa prawdopodobieństwo, że tak się stanie. Jeśli oczywiście jest to ten sam morderca. – Huldar liczył, że jego słowa podniosą ludzi na duchu. Muszą myśleć, że najgorsze już za nimi.

W duchu jednak przeczuwał, że to nieprawda. Koledzy też nie byli co do tego przekonani. Ríkharður wrócił do przerwanej czynności sprawdzania półek, natomiast Erla wyglądała na załamana, bo spuściła głowę i założyła ręce na piersiach. Oboje bardzo dobrze wywiązali się ze swoich obowiązków, postanowił więc odprawić ich do domu. Mógł równie dobrze sam załatwić resztę spraw z technikami kryminalistycznymi. Widział, jak im ulżyło, chociaż próbowali tego nie okazywać. Kiedy prosił Ríkharðura, by zajrzał po drodze do domu Freyi, jego kolega nie potrafił już jednak ukryć zmęczenia. Ożywił się dopiero, gdy Huldar powiedział mu, że mieszka w dzielnicy Granda, niedaleko jego mieszkania w Vesturbær. Jeszcze bardziej ucieszył się po tym, jak Huldar oznajmił, że nie musi wchodzić do mieszkania, tylko przejeżdżając, zerknąć, czy nie dzieje się nic

niepokojącego. Teraz, kiedy przebywała tam Margrét, lepiej było dmuchać na zimne. Nie mógł poprosić kogoś innego, bo tylko Ríkharður i Erla z całej jego grupy wiedzieli o tym, że dziewczynka przebywała właśnie tam. Poza oczywiście szefostwem, które to wszystko zorganizowało.

Erla stała ze skwaszoną miną, czując się pominięta. Huldar był za bardzo zmęczony, by wymyślić dla niej zadanie, które mogłaby wykonać po drodze do domu. Chyba, że przejeżdżałaby koło apteki i kupiła mu tabletki przeciwbólowe. Pewnie by mu nie pomogły, ale też nie miał siły tłumaczyć koleżance, że wysyłanie jej teraz do Freyi mijają się z celem. Erla mieszkała na Breiðholt, czyli na drugim końcu miasta, powinna więc cieszyć się, że może pojechać do domu i dotrzeć tam jeszcze przed wieczornymi wiadomościami. Huldar wolał jednak milczeć i liczyć, iż zrozumie, jak niedorzeczne jest myślenie, że z ich dwojga wyróżnia Ríkharður. Kiedy jeszcze nie był ich szefem, do głowy by jej to nie przyszło. Ponownie więc pożałował, że zdecydował się przyjąć to stanowisko, ale uzalanie się nad sobą nie tylko nic mu nie dało, ale jeszcze spotęgowało ból głowy.

Na zewnątrz panował mróz, więc Huldar jedynie przez chwilę rozkoszował się świeżym powietrzem, by już w kolejnej chcieć wrócić do ogrzewanego wnętrza. Musiał jeszcze porozmawiać z ludźmi z parteru domu, w którym mieszkała Ástrós. Jednak ze wszystkiego na świecie najbardziej pragnął w tym momencie zapalić. Mocno nacisnął na guzik dzwonka, nie odrywając palca, choć dobrze wiedział, że nie miało to żadnego znaczenia. W środku i tak nikt nie reagował. Zadzwoił jeszcze raz, dobrze wiedząc, że sąsiedzi już wrócili, bo na podjeździe przed domem stało dodatkowe auto, którego nie było tu jeszcze rano, gdy przyjechał. Zadzwoił więc po raz trzeci.

Tylko jeden papieros. Wystarczyłby, żeby coś innego niż tamten smród wypełniło jego nozdrza. No, może dwa. Udało mu się dotąd wytrzymać bez papierosów, chociaż w drodze do apteki minął dwa kioski. Od tamtej pory bez przerwy żuł gumę nikotynową. Właśnie wypluł stary listek i włożył do ust następny. Drzwi się otworzyły. Przedstawił się niewyraźnie, nie przestając żuć gumy, i poprosił o chwilę rozmowy.

– Dzień dobry. Czy coś się stało? – Kobieta otuliła się dokładniej swetrem, tak

jakby chciała ochronić się przed złymi wiadomościami.

– Chciałbym zadać państwu parę pytań dotyczących wczorajszego wieczoru. – Huldar językiem przycisnął gumę do policzka.

– Wczorajszego wieczoru?

– Tak. Była pani w domu? – mówił wyraźniej i jego głos był bardziej donośny, kiedy guma nie plątała się w jamie ustnej.

– Tak, oboje z mężem byliśmy w domu. Gdzieś tak od siedemnastej. Dzieci już dawno temu poszły na swoje. – Kobieta odwróciła się i zawołała: – Gunni! Policja przyszła. – Po czym patrząc znów na Huldara, powiedziała: – Oglądaliśmy telewizję. Wiadomości o dziesiątej. – Całym swoim zachowaniem dawała mu do zrozumienia, że nie jest mile widzianym gościem i zamiast z nim rozmawiać, wolałaby oglądać telewizję.

– O co chodzi? – Drzwi otworzyły się szerzej i pojawił się w nich pan domu. Wyglądał na tak samo poirytowanego odwiedzinami. Wystawił głowę zza drzwi i rozejrzał się po okolicy, jakby liczył na znalezienie tam odpowiedzi na swoje pytanie.

– Muszę ustalić, czy słyszeli państwo wczoraj wieczorem dziwne odgłosy w mieszkaniu piętro wyżej albo czy zauważyliście kogoś w ogrodzie lub na korytarzu?

Małżeństwo zbytnio nie przejęło się pytaniem, bo nie okazało ani zaskoczenia, ani choćby śladu troski.

– Wczoraj wieczorem, mówi pan? – Kobieta zrobiła zdziwioną minę i spojrzała na męża. – To było wczoraj czy przedwczoraj, jak słyszałam brzęk tłuczonego szkła?

– Wczoraj w nocy. Tak mi się wydaje.

– Odgłos tłuczonego szkła? O której to było? – pochwycił Huldar.

– Zasnęłam około wpół do jedenastej, więc to musiało być później. Może około drugiej? Obudził mnie hałas i wyrzłam przez okno na zewnątrz, ale niczego nie zauważyłam. O co właściwie chodzi? Włamali się do Ástrós?

Huldar zignorował jej pytania.

– Czy jest pani pewna, że odgłosy dochodziły z mieszkania sąsiadki? – Zeznania kobiety nie pasowały do wstępnych ustaleń dotyczących czasu zgonu ofiary, o drugiej Ástrós nie żyła już od blisko dwóch godzin. To, co słyszała sąsiadka, nie

mogło więc być dźwiękiem tłuczonej szyby drzwi balkonowych, przez które morderca musiał dostać się do środka o wiele wcześniej. Może został jeszcze w mieszkaniu, by podziwiać swe dzieło lub pozacierać ślady. Niewykluczone też, że przez nieuwagę zbił jakiś wazon lub coś innego, chociaż nie znaleziono żadnych świadczących o tym wskazówek.

– Niczego nie jestem pewna. Hałas mnie obudził. Byłam na wpół śpiąca. Nie spojrzałam na zegarek ani też nie pomyślałam, że mogłoby to mieć jakiś związek z włamaniem. Gdyby tak było, lepiej bym wszystko zapamiętała.

A jednak podeszła do okna, aby wyrzec na zewnątrz, co było dowodem, że się martwiła. Huldar odpuścił sobie zwracanie jej uwagi, bo w zasadzie cieszył się, że małżeństwo myślało, iż chodzi o włamanie. Widocznie nie zauważyli wynoszenia zwłok.

– A co z wczorajszym wieczorem? Czy coś zwróciło szczególnie państwa uwagę?

Oboje zaprzeczyli, ale po krótkiej wymianie słów i wspólnym przypominaniu sobie, co działo się wieczorem, skorygowali odpowiedź. W końcu przyznali zgodnie, że około dziesiątej słyszeli jakieś odgłosy dochodzące z mieszkania Ástrós. Między innymi przytłumioną rozmowę, jak również coś, co przypominało płacz lub lament, ale równie dobrze mógł to być śmiech. Dużo nad tym nie myśleli, bo przecież miewała często gości. Wypowiedzieli to pogardliwym tonem, jakby przyjmowanie gości było czymś oburzającym. Gdy jednak Huldar zapytał o płeć i ewentualną liczbę odwiedzających, nagle zaczęli wycofywać się ze swoich zeznań. Stwierdzili, że równie dobrze mogły to być odgłosy telewizji albo radia.

Trochę kręcili, każde mówiło co innego, ale na koniec wspólnie oświadczyli, że chodziło raczej o słuchowisko radiowe. Argumentowali to tym, że w tle nie było słyhać muzyki czy reklam. Kobieta dodała też z wyraźną złością, że mieszkania są bardzo akustyczne, i dało się wyczuć, że bardzo jej to przeszkadzało. Kiedy jednak mąż ukradkiem szturchnął ją łokciem w bok, zamilkła i pozwoliła mu podjąć opowieść. Zanim się odezwał, rozmyślał przez chwilę, drapiąc się przy tym po skromnym owłosieniu na głowie. Nagle przypomniał sobie, że około północy, gdy obudził się i poszedł do łazienki, wydawało mu się, że słyszy coś jakby jęki lub łkanie dobiegające z mieszkania sąsiadki. Nie było to jednak aż tak jednoznaczne, aby wywnioskował, że z Ástrós działo się coś niepokojącego. Może po prostu była

smutna, przecież dwa lata temu straciła męża i od tego czasu różnie to bywało. Ich międzysąsiedzkie stosunki nie były szczególnie dobre i dlatego nie mieli w zwyczaju zaglądać do siebie, by sprawdzić, czy nie dzieje się nic złego. Jeśli można było wierzyć temu, co mówił, to od czasu, kiedy owdowiała, próbowała wykręcać się od obowiązków związanych z utrzymaniem porządku na posesji. Ich spór dotyczący wyboru koloru otynkowania budynku zakończył się polubownie, choć Ástrós chciała kolor żółty, a małżeństwo szary. Pewnie kiedy dowiedzą się o jej śmierci, skorzystają z okazji i szybko wymalują fasadę po swojemu, nie czekając, aż głos zabierze następny właściciel mieszkania.

W czasie, kiedy małżeństwo dalej obgadywało swoją zmarłą sąsiadkę, dzwonił telefon Hul dara. Tak jak i poprzednio, nie odebrał. Miał nadzieję, że za chwilę, siedząc już w aucie, na spokojnie przejrzy listę połączeń i zareaguje na te, które były ważne. Pozwolił małżonkom się wygadać, ci zaś prześcigali się w wyliczaniu wszystkiego, co było złe w ich stosunkach z Ástrós. Stawali się w tym coraz bardziej małostkowi, ale ich zaciekleść powoli malała. W końcu wyrzucili z siebie cały jad i zapanowała nieprzyjemna cisza.

Hul dar zorientował się, że niczego konkretnego już się od nich nie dowie. Zakończył więc rozmowę, dodając na odchodne, iż policja zgłosi się do nich na dniach w sprawie potwierdzenia ich zeznań. Kiedy zamierzał zapisać ich numer telefonu w komórce, zobaczył na ekranie, że jako ostatnia próbowała się połączyć Freyja. Nie dając niczego po sobie poznać, pospiesznie zanotował numer i się pożegnał. Nie liczyły się już przeszywające go zimno ani szczypiąca w policzek guma do żucia, bo górę wzięły inne, o wiele poważniejsze zmartwienia. Freyja nie dzwoniłaby do niego bez potrzeby, a on zobowiązał się przed szefostwem, że dzień i noc będzie do jej dyspozycji.

– Chwileczkę! – Mężczyzna wciąż stał w uchylonych drzwiach. – Mam tu coś, co może chciałby pan obejrzeć. – Zniknął w mieszkaniu na krótką chwilę, która wydawała się Hul darowi wiecznością. Chciał już stąd iść, by jak najszybciej zadzwonić do Freyi. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby coś stało się Margrét, tylko dlatego że nie odebrał telefonu. Przypuszczał, że to nie aż tak ważne, skoro Ríkharður nie dał mu żadnego sygnału, ale przecież sprawdzenie sytuacji pod domem Freyi zlecił mu ponad godzinę temu, a od tego czasu wiele mogło się zmienić.

Huldar z wielkim wysiłkiem odsunął na bok złe przeczucia. Zawstydzony mężczyzna podał mu wymazaną sosem pomidorowym kopertę.

– Bardzo pana przepraszam, ale wyrzuciłem to do kosza na śmieci. Znalazłem ją dzisiaj nad ranem, wetkniętą pod wycieraczkę na przedniej szybie. Otworzyłem, ale to, co było w środku, wydało mi się jakąś bzdurą. Proszę wyrzucić, jeśli nie ma związku z włamaniem. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło.

Huldar założył lateksowe rękawiczki i odebrał ostrożnie kopertę. Małżonkowie patrzyli na ruch jego rąk z wielkim zdziwieniem. Nie zwracał jednak na nich uwagi. Jeśli w grę wchodziło to, o czym myślał, nie potrzebował więcej dowodów. Elisa i Ástrós zginęły z rąk tego samego mordercy.

Odwrócił się do nich plecami i wyciągnął list z koperty. Przeczytał tekst i ponownie schował kartkę. Wszystko się zgadzało. Dwa morderstwa. Jeden morderca. Huldar spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

– Potrzebne mi będą pańskie odciski palców – powiedział, po czym zwrócił się do kobiety: – Pani też, jeśli dotykała pani koperty lub listu.

Na twarzach małżonków malował się wielki znak zapytania.

Rozdział 20

Wyglądało na to, że Margrét rozumiała się z suczką dużo lepiej niż Freyja. Molly nie odstępowała dziewczynki na krok, a kiedy Margrét siadała, kładła się zwinięta w kłębek u jej stóp, przymykając oczy, ale uszy mając wciąż uważnie nastawione. Tak jakby zwierzęcym instynktem wyczuwała, że dziecko należy chronić. Niezależnie od tego, skąd u psa wzięło się to poczucie, nie było ono bezpodstawne. Wszyscy mieli nadzieję, że zamieszanie związane z bezpieczeństwem dziewczynki było nieco przesadzone, jednak nikt nie ośmieliłby się zlekceważyć zagrożenia.

Tymi słowami rozpoczął rozmowę z Freyją pracownik z Urzędu do spraw Nieletnich. Dzwonił już po raz drugi, tym razem z informacją, że nieodwołalnie podjęto decyzję co do przeniesienia Margrét z domu rodzinnego. Nie ukrywał, że urząd oczekiwał od Freyi gotowości do współpracy. Widocznie bardziej zależało im na dobrym kontakcie z policją niż na tym, jak Freyja będzie czuła się z całą tą sytuacją. Policja i urząd ustalili odgórnie, że na początek spróbują tak właśnie rozwiązać ten problem, a Freyja w zasadzie nie miała możliwości im odmówić.

Nie uległa od razu, protestowała. Najpierw usiłowała zasłonić się Molly, ale na nic się to zdało, bo duży pies wydawał się tylko dodatkowym gwarantem bezpieczeństwa. Opis warunków mieszkaniowych też ich nie odstraszył. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli zgodni także co do tego, że nikomu nie przyjdzie do głowy, by szukać dziewczynki w takim domu. Było więc przesądzone, że Freyi nie uda się z tego wykręcić.

Przysłano dwóch mężczyzn, by sprawdzili psa i ocenili warunki mieszkaniowe. Pojawili się dosłownie chwilę po tym, jak odłożyła słuchawkę, podejrzewała więc, że już od jakiegoś czasu siedzieli w aucie pod jej domem, czekając, aż się ugnie. Rozglądali się po wszystkich kątach pod czujnym wzrokiem suczki. Mieszkanie ocenili, i to było najdziwniejsze, zadowolająco, a Molly zachowywała się przez cały czas bez zastrzeżeń. Zapewne dlatego, że Freyja pozbyła się dużo wcześniej z mieszkania wszystkiego, co mogłoby przysporzyć problemów jej bratu. Przed paroma tygodniami, kiedy na nią przypadła kolej organizowania babskiego wieczoru, wyniosła z sypialni lampy do hodowli roślin. Ich widok raczej nie

wzbudziłby zachwyty przeszukujących mieszkanie, jak też i niektórych z jej koleżanek, choć większość pewnie tylko uśmiechałaby się pod nosem, a jedna lub góra dwie może nawet zapytałyby o ewentualne plony.

Dlatego też piwnica zapchana była po sufit, a szafa w sypialni pękała w szwach od rzeczy ozdobionych listkami marihuany lub innymi narkotykowymi symbolami.

Mieszkanie wydawało jej się teraz puste, dlatego idealnie wręcz pasowało do oczu Margrét, przeraźliwie smutnych, kiedy ją przyprowadzono. Stała w drzwiach, wpatrując się w podłogę i dopiero po chwili bez słowa zdjęła kurtkę. Nieznacznie zareagowała dopiero po tym, jak Freyja powiedziała, że nie musi ściągać butów. Z powodu psa podłoga na ogół była brudna, więc chodząc bez butów, dziewczynka mogłaby sobie ubrudzić skarpetki. Margrét podniosła wzrok, a jej zmartwiona mina dawała do zrozumienia, iż podejrzewa Freyję o jakiś rodzaj wystawiania jej na próbę. Ale Freyja uśmiechnęła się tylko i pokazała swoje stopy w butach. Nie myśląc wiele, mężczyźni wykorzystali moment, by podać jej dwa worki z ubraniami i DVD z filmem *Kraina lodu*. Zostawili dziecko w progu i czym prędzej wycofali się z mieszkania.

– Mam ugotować kakao? – Freyja stała w drzwiach swojej sypialni, którą oddała do dyspozycji Margrét. Sama postanowiła spać na sofie w pokoju gościnnym, bo nie chciała wciskać łóżka do maleńkiego pokoiku, który wcześniej służył do hodowli roślin. Musiałaby zdjąć z zaryglowanego okna deski zrobione przez brata i pozbyć się rzeczy, dla których sypialnia nie była najwłaściwszym miejscem, takich na przykład jak różnej wielkości i kształtu hantle, z lekkim przestraczem oglądane przez mężczyzn lustrujących mieszkanie. Żaden z nich nie miał ochoty wyciągać ciężkich odważników, by mogła sobie tam przygotować posłanie.

– Mówię ci, jestem mistrzynią w przyrządzaniu kakao. – Freyja uśmiechała się do dziewczynki. – A może bardziej lubisz kawę?

Margrét podniosła wzrok znad książki. Siedziała na łóżku z nienaturalnie wyprostowanymi plecami, jakby miała za sobą ścianę, o którą się opierała. Szczupłe nóżki zwisały wzdłuż boku łóżka. Za duże skarpetki wywijały się spod dzinsów. Buty leżały na podłodze. Twarz miała smutną.

– Nie, dziękuję.

– Jesteś pewna? – Freyja zaczęła się martwić, gdy uświadomiła sobie, że odkąd dziewczynka tu przysła, niczego nie jadła ani nie piła, a dochodziła już ósma

wieczór. – Mam napój gazowany, jeśli chcesz. Jest też oczywiście woda z kranu.

– Nie, dziękuję. – Odpowiadając, poruszyła nieznacznie wargami, ale w zasadzie wyglądała jak lalka. Jej twarz o porcelanowej karnacji jeszcze to podkreślała.

– A nie chciałabyś pomóc mi nakarmić Molly? – Freyja zerknęła na psa, który leżał zwinięty w kłębek u stóp Margrét. – Boję się, że nie będzie chciała ze mną pójść do kuchni. Tak bardzo cię lubi, że chce być tylko przy tobie. – Freyja znów się uśmiechnęła. – Muszę ci powiedzieć, że to trochę dziwne. No bo na przykład za mną nieszczególnie przepada.

– To nie jest twój pies?

Udało się. Dziewczynka podjęła temat.

– Nie, mojego brata. On tu mieszka, a ja tylko pilnuję jego mieszkania i psa.

– To gdzie on jest? – Margrét siedziała na łóżku jak baletnica. Z rękoma wzdłuż ciała i plecami prostymi jak świeca.

– Mój brat? – W myślach gorączkowo szukała dobrej odpowiedzi. Nie mogła powiedzieć jej prawdy. – Zamieszkał na jakiś czas poza miastem, ale już wkrótce wróci, a ja znajdę sobie wtedy mieszkanie. Nie mam ochoty mieszkać z bratem.

Dopiero teraz mała poruszyła głową. Pokiwała nią na znak, że rozumie, o czym Freyja mówi. Spuściła nogi na podłogę i założyła buty.

– Pomogę ci. Molly jest głodna. – Na dźwięk swojego imienia suczka natychmiast się poderwała i ustawiła obok Margrét gotowa, by ruszyć. Dziewczynka poklepała ją po głowie. Kiedy drapała ją za uchem, zwierzę mrużyło oczy z rozkoszy i przypominało teraz przerośniętego kotka. Freyi nigdy nie udało się wywołać u suczki podobnej reakcji na głaskanie czy drapanie za uchem, choć starała się nieraz. Wszelkie próby pieszczot kończyły się jednak potrząśaniem łba, jakby Molly odganiała się od natrętnej muchy. Może rodzina Margrét powinna wziąć psa do siebie? Freyja tak bardzo się zamyśliła, że prawie nie usłyszała pojękiwań dziecka. Cichych i smutnych.

– Wszystko z tobą dobrze? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. – Ton jej głosu był oschły i kategoriyczny. Po chwili jednak trochę złagodniał. – Czuję się w środku źle. W głowie. – Powiedziała to bez uzalania się nad sobą, bardziej z potrzeby zakomunikowania tego. – Tak jakby wszystko się we mnie popsuło.

– Boli cię głowa? – Freyja zadała pytanie, chociaż dobrze wiedziała, że tego, co

się z dzieckiem działało, nie dawało się uleczyć żadnym lekarstwem.

– To nie ból głowy. To jest jak rana, tyle że w środku głowy. Nie można z tym nic zrobić.

– Tak, wiem, co masz na myśli.

– Nie. Nie wiesz tego. Nikt tego nie wie, oprócz mnie. To jest moja głowa, a nie twoja.

Freyja nie wzięła tych słów do siebie. Znała to uczucie bardzo dobrze z własnego dzieciństwa. Czuła się tak samo, gdy dorośli z wyrazem współczucia na twarzach i sztucznym zrozumieniem w tonie głosu rozmawiali z nią po śmierci matki. Nie mieli zupełnie pojęcia, jak się wtedy czuła. Ani troszkę.

– Margrét, chcesz, żebym zdradziła ci pewną tajemnicę?

Dziewczynka spojrzała w górę. Tajemnice zawsze miały magiczną i przyciągającą moc. Obojętne, czego dotyczyły.

– Moja mama umarła, kiedy byłam tylko odrobinę starsza od ciebie. Nie wiem dokładnie, jak się czujesz, ale się domyślam.

Margrét obserwowała bardzo wnikliwie jej twarz, aby upewnić się, czy Freyja nie zmyśla.

– Zabili ją?

– Nie. Nie bezpośrednio. Nie dbała o siebie i dlatego umarła. – Freyja miała ogromną ochotę pogłaskać ją po główce i po rudych lokach. Bała się jednak, że jej pieszczoty mogłyby się dziewczynce nie spodobać. Tak jak i Molly się nie podobały. Tylko uśmiechnęła się więc do niej apatycznie. – Miałaś o wiele lepszą mamę niż ja, ale i tak ja za swoją strasznie tęskniłam. Oczywiście nie wiem tak do końca, jak się czujesz, wiem tylko, że na pewno o wiele gorzej niż ja wtedy. Mogę sobie tylko wyobrazić. – Zamilkła. Wyglądało na to, że udało jej się nawiązać z Margrét cieniutką nić porozumienia. Za wszelką cenę nie chciała jej zerwać. – Chodźmy. Przecież nie chcemy, żeby Molly padła z głodu.

W starym budownictwie kuchni były wielkości klitek. Tak jakby jedzenie i gotowanie nie miały żadnego znaczenia. Bratu Freyi udało się jednak wcisnąć pod oknem stolik i dwa krzesła. Znalazł również miejsce dla dwóch ogromnych misek dla psa. Było im w trójkę w kuchni bardzo ciasno.

– Musiałabym być okropnie głodna, żeby zmusić się do zjedzenia tego. A ty? – Freyja obserwowała Margrét, która starała się nasypać suchą karmę

z wypełnionego do połowy worka.

– Może jakbym była psem, chciałabym to zjeść. Ale nie jestem. – Margrét próbowała uporać się z ciężkim workiem i położyć go na stole. Choć zaczęła odpowiadać na pytania Freyi, jej głos pozbawiony był emocji.

Ale czego innego można było oczekiwać? Nic, co Freyja by powiedziała czy zrobiła, nie mogło uśmierzyć jej bólu i cierpienia. Jedynie czas mógł tu pomóc. Sama świetnie o tym wiedziała. Freyja się uśmiechała.

– Nie, na całe szczęście. Lepiej być dziewczynką. – Ledwie zdążyła przytrzymać przechylający się na bok worek z psią karmą. – Pieski mają czasem nieciekawe życie.

– Wolałabym być psem. Przynajmniej teraz. – Margrét nie patrzyła w oczy Freyi, wzrok wbity miała w podłogę. – Psem jest wszystko jedno, co się dzieje z ich mamusiami i tatusiami.

– Tak, może i masz rację. – Pies nie wyglądał na cierpiącego czy udęconego tęsknotą. Freyja wręczyła Margrét miszkę z karmą. Molly wodziła tęsknym wzrokiem za jedzeniem, a Margrét postawiła je na podłodze. Pies opróżniał zawartość miski, chrupiąc, mlaszcząc i pobrzękując obrozą o jej metalowe brzegi. Przy czym hałas był tak duży, że nawet nie próbowały ze sobą rozmawiać. Przerwa była potrzebna, szczególnie Freyi. Musiała uważać na to, co mówi, bo nie chciała wpłynąć na następne zeznania Margrét. Dziewczynka była zbyt wrażliwa.

Kiedy Molly skończyła i zapanowała absolutna cisza, Freyja z udawanym zdziwieniem w głosie stwierdziła:

– No popatrz, rzeczywiście była głodna. Mogę ci coś powiedzieć? – Margrét jedynie delikatnie poruszyła głową, co miało znaczyć, że tak. – Molly zawsze jest głodna. Nie ma znaczenia, ile dałabyś jej misek do pożarcia, zawsze będzie miała ochotę na jeszcze więcej. – Suczka wlepiła ślepią na zmianę to w dziewczynkę, to we Freyję. Wiedziała dobrze, że niczego nie wskóra. Wydała z siebie cichutki skowyt. Zawsze można było spróbować jeszcze raz.

– Teraz musimy ją wyprowadzić. Masz ochotę?

– Tak, tak. – W głosie dziewczynki słychać było obojętność.

Freyja odsłoniła staromodną koronkową firankę w kuchni. Na zewnątrz pogoda była pod psem. Wóz policyjny powoli przejeżdżał ulicą. Pewnie to jeden z tych obiecanych patroli, pomyślała. Jednak zagadką było dla niej, jak ten w ślimaczym

tempie sunący ulicą samochód miałby ochronić je przed potencjalnymi napastnikami. Wystarczyło, że auto zniknęło za rogiem, a jego odstraszący wpływ już nie działał. Na samą myśl o tym, zrobiło się Freyi nieprzyjemnie. Miała nadzieję, że nie emanowała tym uczuciem na zewnątrz.

– Musimy się ciepło ubrać. Zaczął padać śnieg.

Nie miała doświadczenia w ubieraniu dzieci i zastanawiała się, czy nie przesadziła odrobinę, opatulając ją po same uszy. Stały już w drzwiach gotowe do wyjścia. Zielonych oczu Margrét nie było prawie widać pomiędzy szalika i czapki.

– Myślisz, że nie będzie ci za ciepło?

– Wszystko mi jedno. – Głos wydobywający się spod szalika był niewyraźny.

Molly nie mogła opanować radości. Gdy schodziły na dół, hałaśliwie uderzała ogonem w ściany klatki schodowej. Podskakiwała i kręciła się wokół. Gdy Freyja otworzyła drzwi na zewnątrz, Molly wyrwała się na dwór, pociągając opiekunkę za sobą. Początkowo Freyja zamierzała pozwolić, by to Margrét poprowadziła psa na smyczy, teraz jednak zmieniła zdanie. Nie mogła dopuścić, aby będąc pod jej opieką, dziecko zrobiło sobie krzywdę. Chociaż trudno było sobie wyobrazić, jak tak grubo opatulona Margrét mogła sobie cokolwiek uszkodzić. Było ślisko, więc starały się ostrożnie stąpać po chodniku, ale Molly jak oszalała parła naprzód, wciąż ciągnąc Freyję za sobą. Wokół nie widać było ani patrolu policji, ani w ogóle żywej duszy.

Duże płatki śniegu powoli opadały na ziemię i pochłaniały wszystkie odgłosy. Słowa, które między sobą wymieniały, otulone były jakby dźwiękochłonną bawełną.

Wreszcie dotarły do zatoki i Freyja spuściła Molly ze smyczy. Pies ruszył pędem i zniknął w śnieżnej zadymce, ale jak nigdy dotąd była o niego spokojna. Nie bała się, że suczka mogłaby się zgubić albo że mógłby ją ktoś ukraść. Dzisiejszy wieczór wyglądał tak, jakby cała ludność miasta zmówiła się, by nie wyściubić nosa z domu. Freyja i Margrét stały obok siebie i wpatrywały się w wirujące płatki śniegu, który jakby pochłoniął Molly.

– Wierzysz w Boga?

Freyja cieszyła się, że padający śnieg utrudniał dziewczynce zobaczenie jej twarzy. Nie chciała zdradzić się ze swoimi poglądami. Jeśli w tych ciężkich chwilach wiara w niebo i życie po śmierci były dla Margrét ostoją, nie chciała tego

niszczyć. Z drugiej strony, nie chciała jej wprost okłamywać.

– Czasami tak, czasami nie. – Odpowiedź wydała się Freyi mało przekonująca, więc dodała: – A ty?

– Czasami tak, czasami nie. – Stały w milczeniu. Ciszę przerwał dochodzący z kieszeni kurtki Freyi sygnał informujący o otrzymaniu SMS-a. Zbeczczył tę chwilę spokoju. Z przyzwyczajenia wyciągnęła świecący w mroku telefon. Wiadomość wysłana była z zastrzeżonego numeru telefonu. Była przekonana, że to od Huldara. Obiecał się odezwać, ale do tej pory tego nie zrobił. Typowe. Dobrze go oceniła po tym, jak zniknął pamiętnej nocy. Ładny na zewnątrz, pusty w środku. Buc. To jednak nie był SMS od niego. *Myślicie, że nie dam sobie rady z psem?* Poczula, jak łomocze jej serce, lecz odwróciła się, by zobaczyć, czy ktoś za nią nie stoi. Ale nikogo nie było. Wokół tylko płatki śniegu, który zaczął padać jeszcze bardziej obficie. Ciężko jej było ukryć zdenerwowanie przed dzieckiem. Schwyciła Margrét za rękę.

– Molly! Molly!

Teraz to już na pewno Margrét zorientowała się, że Freyja była w panice.

– Co się dzieje? – Trzymała dziewczynkę za rękę, więc czuła, jak jej drobne palce poruszają się w rękawiczkach.

– Nic. Musimy już wracać, zanim napada śniegu po kolana. Molly byłoby zimno w brzusek. – Freyja bredziła od rzeczy, jak to jej się zdarzało w sytuacjach, gdy próbowała ukryć swoje złe samopoczucie. – Molly!!! Wracaj piesku! – Obracała telefonem w rękę. Zastanawiała się, czy puścić rękę Margrét i zaalarmować policję, ale nim się zdecydowała, usłyszały szczekanie. Zaraz po nim żałosny skowyt. – Molly! Molly!

Suczka pojawiła się tak szybko, jak zniknęła. Freyja odetchnęła z ulgą.

– Molly! Chodź tutaj. – Pies podszedł, kuśtykając, a na jego białej sierści widoczny był jaskrawoczerwony ślad. Nie trzeba było długo szukać miejsca, z którego sączyła się krew. Na tylnym udzie miał ogromną ranę. Tu, na opustoszałej ulicy niewiele jednak mogły zrobić dla zwierzaka. Freyja przypięła smycz do obroży i dopasowując tempo marszu do możliwości rannej suczki, ruszyły do domu.

W zasadzie dobrze się stało, że Molly była w stanie jedynie kuśtykać, bo inaczej Freyja złapałaby dziewczynkę i uciekła, ujawniając całe przerażenie, które

próbowała przed nią ukryć.

Wydawało jej się, że z tyłu za nimi słyszeć kroki.

Rozdział 21

Molly powoli otwierała oczy. Ale to, co zobaczyła, chyba jej się nie spodobało, bo zamknęła je ponownie.

– Jeśli pani chce, może ją pani tu zostawić. Będzie mogła wyspać się po narkozie. – Pani weterynarz miała około czterdziestu lat. Wyglądała na kogoś, kto nie oburza się z byle powodu, ale i nie daje sobie w kaszę dmuchać. Przyglądała się Freyi i czekała na odpowiedź. Śnieżnobiały kitel, który założyła, przyjmując je do siebie, teraz, po operacji, usiany był malutkimi plamkami krwi.

Freyja starała się nie patrzeć na swoje ubranie, zdając sobie sprawę, że sama nie wygląda lepiej. Myśl o tym, że mogłaby pozbyć się Molly na jedną noc, była kusząca, jednak podziękowała i odmówiła. Znała siebie na tyle dobrze, iż wiedziała, że już w połowie drogi powrotnej zaczęłoby ją gryźć sumienie. Brat traktował tego psa jak własne dziecko i musiała to uszanować. Przecież nie zostawiłaby w szpitalu jego córki czy syna tylko po to, by móc pojechać do domu się wyspać. Już i tak wystarczająco trudne było zakomunikowanie bratu, co się stało z psem. Miała tylko nadzieję, że nie będzie próbował załatwić głupiego odwetu za okaleczenie psa. Problem polegał na tym, że na udowodnienie winy brat mógłby nie poświęcić tyle samo energii, ile włożyłby w wymierzenie kary potencjalnemu sprawcy.

– Nie, dziękuję. Zabiorę ją do domu. Ale czy pomogłaby mi pani zanieść ją do samochodu? – Pomimo dobrej formy fizycznej bała się sama nieść ciężką Molly. Nie chciała też do końca zniszczyć już i tak zaplamionych ubrań. Sierść psa w miejscu zranienia posklejana była krzepnącą krwią i innymi bliżej nieokreślonymi wydzielinami, które uchodziły z suczki, gdy pani weterynarz, uzbrojona w nóż i igłę, zabierała się do pracy.

– Jest w domu ktoś, kto pani pomoże ją wnieść?

– Nie. – Freyja poczuła, że się rumieni. Co się z nią działo? Przecież babka w jej wieku nie musiała wstydzić się, że mieszka sama. Dość było kobiet po trzydziestce rozwiedzionych lub tak jak ona niezamężnych. Cóż więc takiego oburzającego było w jej stanie cywilnym? Czy jej pokrwawione spodnie, rozczochrane włosy ani też

przestraszone dziecko, które przyciągnęła tu ze sobą, nie wzbudzały większych podejrzeń i bardziej nie zasługiwały na zdumienie? Poza tym dlaczego niby miała przejmować się tym, co o niej myślą inni? Zapewne wynikało to z przemęczenia, a jej myśli były skutkiem ubocznym wieczornych wydarzeń. Choć więc pragnęła odprężyć się w wannie, zadowoli się prysznicem. Ma pod swoją opieką dziecko i zranione zwierzę. Po raz pierwszy od rozstania z byłym chłopakiem zatęskniła za nim. Przecież nie zawsze ją denerwował, były i miłe momenty, którymi się rozkoszowała, w zasadzie to dużo więcej, niż chciała przyznać przed samą sobą. – Myśli pani, że Molly ocknie się w drodze do domu?

– Radziłabym trochę odczekać. Dopiero co zaczęła otwierać oczy, ale pewnie już wkrótce oprzytomnieje na dobre. Przecież nie chciałaby pani, żeby obudziła się nagle na tylnym siedzeniu w pędzącym aucie. Przygotuję dla niej kołnierz ochronny, środki przeciwbólowe i antybiotyki. Wypiszę rachunek. Jeśli do tego czasu się wybudzi, to ją zabierzecie. Jeśli nie, to będzie musiała tu zostać na noc.

Nie było wyjścia, Freyja musiała się zgodzić. Wolała przy tym nie oglądać rachunku za udzielenie pomocy medycznej. Do zwykłych kosztów dojdzie z pewnością opłata za pracę poza godzinami przyjęć. Kiedy lekarka zapytała, czy pies jest ubezpieczony, Freyja omal nie wybuchnęła śmiechem. Wydawało jej się mało prawdopodobne, że brat przeznaczyłby pieniądze na coś takiego. Już prędzej wykupiłby polisę, gdyby wiedział, że ubezpieczalnie można jakoś oszukać. Ale z ubezpieczeniami dla zwierząt sprawa nie była prosta. Pewne było natomiast, że jego siostra będzie miała na karku niebotycznie wysoki rachunek. Dywagacje na temat wysokości opłaty nie miały jednak sensu, bo przecież rana nie zagoiłaby się samoistnie, a i Freyja nie umiałaby samodzielnie jej zaszyć. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poprosić o to lekarki ze schroniska, ale dała sobie spokój. Od wysokich rachunków nie cierpiała bardziej tego, że była komuś winna przysługę.

Molly znowu się przebudziła. Otworzyła jedno oko i wierzgnęła tylną łapą, po czym na nowo zapadła w letarg. Jej gałki oczne poruszały się pod zamkniętymi powiekami. Na zewnętrznej stronie tylnego uda błyszczało dziesięć szwów doskonale widocznych na wygolonej skórze. Zdaniem pani weterynarz została zaatakowana ostrym narzędziem, a zatem z premedytacją. Rana nie byłaby tak czysta i równa, gdyby pies po prostu o coś zahaczył. Wszystko to wyjaśniła Freyi

w czasie, kiedy oczyszczała i zszywała skaleczenie. Gdyby Freyja miała jakiś wybór, wolałaby czekać na zewnątrz, ale w przypadkach takich jak ten, kiedy wzywano lekarza poza godzinami pracy, właściciele zwierząt sami musieli asystować przy operacjach. Lekarka przyznała więc ironicznie, że właściwie najwięcej czasu zajmuje jej układanie omdlałych właścicieli czworonogów w pozycji bocznej ustalonej. Freyi też ledwie udało się uniknąć kontaktu z podłogą. Głównie dlatego, że kiedy zaczynało jej się kręcić w głowie, odwracała wzrok od pola operacyjnego. Nie mogła opędzić się od myślenia o mamie Margrét i o tym, jak jej morderca mógł być zdolny do zabicia człowieka w tak bestialski sposób. Te myśli jednak wzmagają uczucie bliskie omdlenia. Odchodziła wtedy na chwilę od stołu, by oprzeć się o szafkę i odczekać, aż odzyska siły.

Freyja liczyła na to, że Molly nie obudzi się tak od razu. Otworzyła drzwi do poczekalni. Siedziała tam Margrét i przeglądała gazetę poświęconą psom.

– Chcesz wejść i zobaczyć? Operacja się skończyła. Biedulka Molly śpi jeszcze, ale już niedługo. Jak się obudzi, to bardziej się ucieszy na twój niż na mój widok. Tylko staraj się nie zwymiotować na ranę, dobrze?

Margrét ostrożnie odłożyła gazetę, wcześniej staranie wygładzając jej okładkę, jakby chciała zatrzeć wszelkie ślady tego, że w ogóle tu siedziała. Freyja próbowała wyczytać z jej twarzy, czy wieczorna przygoda odbiła się na niej, ale nie wyglądało na to. Chyba że jej skamieniała twarz świadczyła o trwającym wciąż szoku. Po drodze do domu nie spotkały nikogo i nikt ich też nie śledził. Udało się. W czasie, kiedy krew z rany Molly sączyła się na podłogę, Freyja próbowała bezskutecznie skontaktować się z Huldarem. Musiało się stać coś bardzo poważnego albo znaczącego, bo w komendzie nie chciano jej z nim połączyć ani też powiedzieć, gdzie się teraz znajduje. Nie mogła opanować rozdrażnienia. Szczególnie że w ogóle zabroniono jej rozmawiać z policją, choć rozumiała, że chodziło o ograniczenie do minimum grona tych, którzy wiedzieli, gdzie można było znaleźć Margrét.

– No, popatrz tylko. – Freyja wprowadziła dziewczynkę do pokoju zabiegowego. – Ma dziesięć szwów.

Margrét czule głaskała psa. Na jego pysku pojawił się ledwo zauważalny grymas, tak jakby uśmiechała się delikatnie.

– Mam nadzieję, że Molly nie będzie bolało, gdy się obudzi.

– Czy ta pani wie, co się z nią stało? – Małe paluszki dziecka wędrowały w kierunku rany. Freyja czuwała, aby w razie potrzeby je odsunąć, ale okazało się to zbyt ciężkie. Margrét naprawdę delikatnie dotykała miejsc wokół szwów. – Mówiła coś o tym?

– Nie, niczego nie mówiła. Pada śnieg, więc może Molly w coś uderzyła, bo nic nie widziała, albo ktoś w nią wjechał, trudno powiedzieć.

– A co byś zrobiła, gdybyś się dowiedziała, kto ją skrzywdził?

Freyja wzięła głęboki oddech. Zadając to pytanie, Margrét próbowała raczej ocenić własną sytuację, dlatego też musiała uważać, co odpowie.

– Wszystko zależałoby od tego, czy ten ktoś zrobił to specjalnie, czy niechcący. Jeśli niechcący, chciałabym po prostu, aby przeprosił. To by wystarczyło. Ale jeśli postąpiłby tak specjalnie, przeprosiny to za mało. Tu chodzi o poważny czyn, dlatego poszłabym na policję, żeby zbadała sprawę i wydała zasłużony wyrok.

– A co to jest zasłużony wyrok? – Dziewczynka zmrużyła zielone oczy i patrzyła na Freyję z niedowierzaniem. Jakby posądzała ją o to, że wymyśliła sobie te słowa.

– Zasłużony wyrok jest wtedy, kiedy ludzie otrzymują karę albo nagane odpowiednią do tego, co zrobili. To jest bardzo ważne: nie dopuścić, żeby czynili zło dalej albo żeby inni naśladowali ich zachowanie. – Freyja miała nadzieję, że ta krótka pogadanka wpłynie na dziewczynkę i sprawi, że mała zrozumie, jak ważne będzie wszystko, co powie o zdarzeniach tamtej nocy, kiedy zamordowano jej mamę. Następne przesłuchanie miało się odbyć jutro z rana, więc odpowiednie nastawienie Margrét zaoszczędziłoby wszystkim zbędnego nakładu czasu i siły, a samej dziewczynce strachu i cierpienia. Zakładając, że powiedziałyby wreszcie o wszystkim, co ją dręczyło. Mogło być jednak i tak, że nie miała nic więcej do powiedzenia.

– Jeśli ktoś skrzywdził Molly, to wydaje mi się, że jego też powinno się skrzywdzić. Tylko trochę mocniej.

– Tak było kiedyś, w dawnych czasach, Margrét. I jest jeszcze gdzieś na świecie. – Freyja pogłaskała Molly po uchu. Jej ciało drżało delikatnie, jakby ktoś laskotał suczkę słomką w upalny, letni dzień. – Ale okazało się, że wymierzanie kar w taki sposób wcale nie jest dobre. Zwykli ludzie mogą stać się gorsi, jeśli robią tak samo jak ci, którzy specjalnie krzywdzą innych.

– Nie, jeśli trzeba to zrobić tylko raz.

– No, może nie. Ale istnieją lepsze metody, żeby karać ludzi, którzy są źli dla innych.

– Jakie metody?

Freyja zastanawiała się, gdzie podziła się lekarka. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zakończyć już tę dyskusję o zbrodni i karze z dzieckiem, które było świadkiem śmierci własnej matki, dokonanej w tak okrutny sposób. Pomyślała o swoim bracie i o tym, jak Margrét oceniłaby jego postępowanie.

– Na przykład więzienie. Nikt nie chce iść do więzienia.

– Ktoś chce. Ci, co już umarli. Ci, których źli ludzie zabili. Woleliby iść do więzienia niż być martwi. – Zamilkła i patrzyła na śpiącego psa. – W każdym razie tak mi się wydaje.

Było coś w tym, o czym mówiła dziewczynka, i łatwo było zrozumieć, co miała na myśli.

– Zgadzam się z tobą. Ale niestety, nie ma takiej możliwości. – Freyja walczyła z nieodpartą chęcią pogłaskania małej główki z rudymi lokami, teraz naelektryzowanymi od czapki. – Pomimo wszystko musisz mi uwierzyć, że tych, którzy dopuszczają się strasznych zbrodni, lepiej wsadzać do więzienia niż zabijać. O wiele, wiele lepiej.

Freyja czuła, że jej głos brzmiał mało przekonująco. Oczywiście umiałyby bez problemu wskazać ludzi, którzy jak dla niej mogli zniknąć z powierzchni ziemi. Nie potrafiła jednak wytłumaczyć dziecku, i pewnie nikt inny też by nie potrafił, dlaczego pozostawienie przy życiu jest lepsze. To przekonanie wisiało na bardzo cienkim włosku. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Margrét, że największą wadą kary śmierci jest to, że jeśli skazany zostanie niewinny człowiek, nie można już tego odwrócić. Ale nie zdążyła. Drzwi od pokoju otworzyły się i stanęła w nich pani weterynarz.

Kobieta trzymała w ręku dwie kartki papieru. Freyja domyślała się, że to rachunek. Tak jak się obawiała, nie zmieścił się na jednej kartce. Poprosiła Freyję, by wyszła z nią do poczekalni, a Margrét, by w tym czasie popilnowała Molly. Kiedy drzwi pokoju zabiegowego się zamknęły, zamachała kartkami przed oczami Freyi.

– Znalazłam to na kontuarze w poczekalni. To jest historia choroby psa, który był tu dzisiaj. Opis wydarzeń wypadku wydaje mi się podejrzenie podobny do tego,

co spotkało pani psa. – Patrzyła na Freyję, mrużąc oczy. – Czy mieszka pani w Grafarvogur? Według tego, co mam w komputerze, jest pani zameldowana tuż obok domu, gdzie zraniono tego drugiego psa.

– Nie. Jak już mówiłam, mieszkam w śródmieściu. Koło Grandów. – Jej były partner wciąż zajmował mieszkanie w Grafarvogur. Jeśli sąsiedzi nie wyprowadzili się do tej pory, wiedziała, o którego psa chodziło. Okropnie rozwydrzony, wciąż przywiązany do ogrodzenia, czekał głośno w ogródku, z którego korzystać mieli wszyscy mieszkańcy bloku. Był tak samo duży jak Molly i w zasadzie wyglądał na niegroźnego. Rozmyślanie o nim sprawiło, że się zaczerwieniła, a w jej głowie zapaliło się światło ostrzegawcze – sprawcą mógł być jej były facet. Gdy się rozstawali, był wkurzony i rzucił jej kilka brzydkich słów. Ale czy mógł być aż tak wściekły, by okaleczyć psa i by ją do tego stopnia nastraszyć? Przed atakiem zaś poćwiczyć na psie sąsiadów? Z wrażenia zrobiło się jej gorąco, a policzki już wręcz płonęły ze wstydu. Freyja czuła, że lekarka nie wierzy w ani jedno jej słowo, co ją jeszcze bardziej zawstydziło. – Już dawno temu się stamtąd wyprowadziłam. Muszę tylko zmienić meldunek w Biurze Spisu Ludności. Pod tamtym adresem mieszka tylko mój były partner.

– Tak. Rozumiem. – Spojrzenie kobiety mówiło, że tłumaczenie Freyi jej nie przekonało. – A może to pies pani partnera?

– Nie. Nie jest jego. To nie tak. Nie chodzi o jakieś kłótnie, kto ma wziąć psa czy coś w tym stylu.

– No to o co? Tu w mieście okaleczanie psów nie jest normą, więc ja bym nie lekceważyła dwóch tego rodzaju ataków w krótkim odstępie czasu. Obrażenia są do siebie podobne i nie zdziwiłabym się, gdyby chodziło tutaj o tego samego sprawcę. I jeszcze dziwnym przypadkiem jest pani powiązana z tymi psami. – Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach. – Mówiąc szczerze, zastanawiam się, czy nie zawiadomić o tym policji. Jeśli sprawcą jest ten pani były i zamierza w dalszym ciągu to robić, lepiej powstrzymać go od razu. Jest pani pewna, że nie widziała go w pobliżu miejsca, gdzie pies został zraniony?

– Nie. Nie widziałam. Proszę mi uwierzyć, przecież nie kryłabym go, gdyby okaleczał zwierzęta. Proszę zadzwonić na policję. Zrobi mi pani przysługę.

Ciche szczekanie z pokoju zabiegowego przerwało ich rozmowę, ale było jasne, że pani weterynarz nie odpuści.

– Nie mogłem odebrać telefonu, ale przyjechałem od razu, kiedy zobaczyłem wiadomość w telefonie. Najszybciej, jak się dało.

Huldar stał w wejściu do mieszkania Freyi. Znów było po nim widać, że jest przemęczony, ale już nie zawstydzony. Wyglądało na to, że miał coś w rodzaju oficjalnego wytłumaczenia, dlaczego nie odbierał, co Freyję drażniło, bo nie mogła odreagować swojej uzasadnionej przecież złości. Obok Huldara stała młoda policjantka, Erla, ta sama, która towarzyszyła mu w czasie ostatniego przesłuchania w schronisku. Również wyglądała na zmęczoną, tyle że jej oczy były bardziej ożywione niż u Huldara. Tym razem ubrana była po cywilnemu, więc wydawała się drobniejsza, w dodatku mundur nadawał jej władczy wygląd, który teraz zniknął. Widać było, że przyjechała tu z domu, nieomal prosto spod prysznic, bo jej włosy były jeszcze mokre. Freyja wyczuwała bijącą od kobiety niechęć i nie mogła jej zrozumieć, bo gdy witały się ze sobą w schronisku, nie dała jej ku temu najmniejszych podstaw. Nie miała pojęcia, co takiego mogła jej zrobić. Postanowiła więc zachowywać się tak, jakby jej tam wcale nie było. Koncentrowała uwagę wyłącznie na Huldarze. To była najlepsza metoda, by nie dać się zbić z pantafiku.

Huldar wciąż przeproszał.

– Wynikły w międzyczasie pewne rzeczy...

Nie bardzo wiedziała, na co liczył i jakiej oczekiwał odpowiedzi. Dwa razy dzwoniła na jego komórkę, wysłała jednego SMS-a i raz zadzwoniła na komendę. Wiadomo, że miała ku temu poważne powody. Chciała wygarnąć mu, że nie tylko u niego wyszły przykre niespodzianki, lecz zdusiła to w sobie i w uprzejmy, ale oschły sposób odpowiedziała:

– Spokojnie. Dałyśmy sobie radę.

Zanim Huldar zdążył zareagować, głos zabrała Erla.

– Czy mogę panią o coś zapytać? – Zerkała wciąż na klatkę schodową. Teoretycznie wszyscy mieszkańcy tego bloku byli zobligowani do sprzątnięcia wspólnego korytarza w wyznaczonych terminach. W praktyce jednak Freyja jak dotąd nie widziała kogokolwiek z odkurzaczem i ścierką w ręku. Mijały właśnie trzy tygodnie od czasu, kiedy ostatnio sprzątała i nie dało się ukryć, że sytuacja na korytarzu wymagała interwencji. Huldarowi najwyraźniej to nie przeszkadzało,

a już zwłaszcza wtedy, kiedy odwiedził ją z powodów bardziej frywolnych. Ale Erla to co innego. – Jak to możliwe, że pani tu mieszka? Tak mało wam płacą w urzędzie?

Freyję zalała złość.

– Chce pani zarządzić zrzutkę na moją rzecz?

Nie miała zamiaru wspominać o Baldurze i tłumaczyć się, że mieszka tutaj tylko tymczasowo. Nie, żeby się wstydziła własnego brata przed stróżami prawa, ale to nie była po prostu ich sprawa. Zmęczony duet grał w przeciwnej drużynie niż jej brat, nie zamierzała więc z nimi rozmawiać na jego temat. Pomijając, że ich odwiedziny tutaj Baldur uznałby za coś niedopuszczalnego, miała więc nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie.

Erla poczerwieniała, zanim zdążyła odpowiedzieć, a gdy Huldar obrzucił ją morderczym spojrzeniem, zagryzła wargi. Policjant odwrócił się do Freyi całkiem zmieniony, łagodny i przyjazny.

– Proszę wybaczyć, pani mieszkanie nie jest oczywiście naszą sprawą. Jesteśmy oboje przemęczeni. Tak jak i pani z pewnością. – Huldar patrzył długą chwilę w oczy Freyi. Z jego spojrzenia wyczytała prośbę o to, by w obecności policjantki nie robiła aluzji do ich wspólnej nocy. Jeśli byli parą, to naturalnie nie chciał, aby wyszło na jaw, że ją zdradził. Przecież takie rzeczy się zdarzały.

Freyja stała się jeszcze bardziej oschła niż wcześniej.

– Nie ma sprawy. – Nie mogła się zdecydować, na które z nich była bardziej obrażona. Na Huldara czy tę niewychowaną młodą kobietę. Chyba jednak na niego. Pomimo tego starała się na nią nie patrzeć, tak jakby jej tam wcale nie było. Jeśli jeszcze raz się odezwie, zwyczajnie ją zignoruje.

Na klatce schodowej było niespotykane cicho. Albo sąsiedzi widzieli, że tych dwoje przyjechało tu policyjnym wozem i zdecydowali się powstrzymać od hałasu, albo sami z siebie wyczuli niebezpieczeństwo. W tym domu odwiedziny policji nie były niczym innym, jak tylko realnym zagrożeniem. Freyja nie zdziwiłaby się, gdyby po zauważeniu policyjnego samochodu i wysiadających z niego funkcjonariuszy na klatce włączono ostrzegawczy alarm.

– Czy moglibyśmy wejść do środka? Muszę na własne oczy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Musimy też porozmawiać i nie chciałbym tego robić tutaj.

Dopiero kiedy Huldar zaczął w progu przestępować z nogi na nogę, zorientowała się, jak długo zwlekała z odpowiedzią. Erla natomiast stała na szeroko rozstawionych nogach z rękoma podpartymi na biodrach, jakby wydano jej rozkaz przyjęcia pozycji wyjściowej. Gdyby miała na sobie mundur, może wyglądałaby groźnie, ale w zwykłych ciuchach była jedynie komiczna.

– Proszę bardzo.

Freyja odsunęła się na bok i wpuściła ich do środka. Nie była zadowolona z siebie, że uległa. Erla lustrowała wzrokiem przedpokój i mieszkanie w środku, a Huldar usilnie starał się tego nie robić. Źle grał rolę mężczyzny, który po raz pierwszy przyszedł w nieznane miejsce i nie ma odwagi na cokolwiek spojrzeć. Dokładnie wytarł buty w wycieraczkę, po czym zsunął je z nóg, co miało oznaczać, że zamierza zostać na dłużej. Erla wyglądała na bardzo złą, ale posłusznie poszła w jego ślady. Freyja uznała, że pozwoli im zabrudzić sobie skarpetki.

– Co z psem? – Huldar patrzył w dół na kałużę krwi, którą Freyja zamierzała później zmyć z podłogi. – Wyjdzie z tego?

– Wydaje mi się, że tak. Jest jeszcze trochę splątany po narkozie i niezbyt zadowolony z kołnierza. – Molly jakby wyczuła, że właśnie o niej rozmawiano i pojawiła się w drzwiach do sypialni, gdzie do tej pory wypoczywała pod czujnym okiem Margrét. Suczka zawarczała cicho i pokazała zęby, ale w plastikowym kloszu na karku nie wyglądała szczególnie groźnie. – Molly cicho! – Freyja wepchnęła psa z powrotem do pokoju. Margrét siedziała na łóżku, trzymając w rękach tę samą książkę, co wcześniej, kiedy Freyja do niej zaglądała. Nie udało jej się namówić dziewczynki do obejrzenia filmu, który ze sobą przyniosła. – Przyszła policja z powodu tego, co się stało z Molly. Zamknę drzwi, żeby ich nie ugryzła. Nie rozumie, że próbują pomóc. – Uśmiechnęła się do Margrét, ale ta nie okazała żadnej reakcji. Kiedy zamykała drzwi, suczka i dziewczynka patrzyły na nią tak, jakby coś przed nią ukrywały i nie wierzyły, że udało im się uniknąć wpadki. Freyja miała straszną ochotę ponownie zerknąć do środka w nadziei, że przyłapie je na gorącym uczynku. Jednak dała sobie z tym spokój. Odwróciła się do Huldara i Erli. – No, teraz jesteście bezpieczni.

Huldar oderwał wzrok od plakatu wiszącego na ścianie przedpokoju. Wolał wpatrywać się w niego, niż zaglądać do sypialni. Plakat jakimś cudem uchwycił się w czasie wielkiej akcji sprzątanego mieszkania i nawet po wprowadzeniu się

dziewczynki pozostał na swoim miejscu. To była reklama koncertu grupy heavy metalowej. Takiej muzyki Freyja w życiu by nie słuchała. Gdyby jednak nasza ją ochota na hałas, już prędzej ustawiłaby się pod kompresorem powietrza. Huldar wyglądał na zdziwionego. Freyja nie mogła sobie przypomnieć, czy pamiętnej nocy wspomniała mu, że mieszkanie nie należało do niej. W końcu mieli przyjemniejsze rzeczy do roboty. Postanowiła więc utrzymywać go w przekonaniu, że jest fanką heavy metalu.

– Czy możemy usiąść? – zapytał, jękając się, Huldar.

– Jeśli chcecie. – Wskazała im pokój gościnny i sama usiadła na jedynym krześle, które się tam znajdowało. Huldarowi i Erli została tylko sofa. Usiedli jedno obok drugiego jak dzieci w ławce. Oboje z rękoma ułożonymi na kolanach, gotowi, by w każdej chwili poderwać się do góry.

– Miałem telefon z kliniki dla zwierząt. Przekierowali rozmowę do mnie, kiedy padło pani nazwisko. – Huldar nie owijał w bawełnę. – Z tego, co zrozumiałem, pani były partner jest podejrzany o okaleczenie psa. Lekarka weterynarii, która dzwoniła, mówiła o innym psie, który też został zraniony. Jego właściciele mieszkają pod tym samym adresem, co pani były partner.

Freyja ucieszyła się, że w pokoju nie było Margrét, która przez cały czas myślała, iż Molly zraniła się sama podczas spaceru.

– Nie sądzę, by miał z tym coś wspólnego.

– Nic nie wspominała pani o byłym partnerze, kiedy prowadzono rozmowy w sprawie umieszczenia Margrét u pani. – Był na tyle mądry, by nie dodać, iż nie wspominała o tym również przy ich pierwszym spotkaniu. W końcu nie mógł narzekać, że nie usłyszał całej historii jej życia, sam przecież nie był lepszy. – Jeśli okazuje agresję, trzeba będzie się temu na nowo przyjrzeć i pomyśleć nad innym rozwiązaniem. Dziecko może być w niebezpieczeństwie. Myślę, że do chwili, gdy sprawa się wyjaśni, musimy zapewnić stały policyjny dozór pod domem.

Freyi nie przyszłoby do głowy, aby nie zgodzić się na ochronę. Huldara chyba zdziwił jej spokój, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Świetnie. – Nie sądziła, że to jej były partner napadł na Molly. Niemniej nie mogła zaprzeczyć, że osoba ta ją znała. W każdym razie miała jej numer telefonu. Oczywiście, że numer był w książce telefonicznej i wystarczyło tylko znać jej nazwisko. – Wątpię, aby Margrét groziło coś ze strony człowieka, z którym kiedyś

mieszkałam, a jednak na pewno coś nam grozi. Ktoś napadł z nożem w rękę na Molly i w tym samym czasie otrzymałam wiadomość. Proszę spojrzeć na tego SMS-a. Jeszcze rano myślałam, że dziewczynka jest u mnie bezpieczna, ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

Huldar przeczytał tekst, pokazał Erli i oddał telefon Freyi.

– Myślę, że nie powinniśmy tego lekceważyć. To, co stało się z psem, nie wróży niczego dobrego. Jedynym sensownym powodem, dla którego ktoś mógłby zrobić coś takiego, jest potrzeba pozbycia się psa, aby ułatwić sobie atak na panią lub Margrét. Przypuszczam, że pies stanąłby w pani obronie.

– Pewnie tak. – Freyja nie chciała dzielić się z nim wątpliwościami co do tego, czy Molly faktycznie by jej broniła.

– Czy pies był wasz, jak jeszcze byliście małżeństwem, czy wzięła go pani już po rozwodzie?

– Po. I nie byliśmy małżeństwem, ściśle rzecz biorąc.

– Rozumiem. – Huldar jęknął cicho. Nie bardzo było wiadomo, z jakiego powodu. – Powinienem chyba panią poinformować, że wezwiemy pani byłego partnera na przesłuchanie. Prawdopodobnie jutro z rana. Nie sądzę, aby coś z tego wyniknęło, chyba że się przyzna, ale lepiej dać mu jasno do zrozumienia, że mamy go na oku.

– Proszę bardzo. Przesłuchajcie go, naturalnie. Żaden problem. – Freyja oparła się plecami o krzesło. – Tyle że to raczej nie ma z nim nic wspólnego. Bardzo bym się zdziwiła, gdyby tak było. Nie jest zdolny zaatakować dużego psa. Nie mówiąc już o dwóch.

– Zobaczymy. Sprawdzimy też, z jakiego telefonu został wysłany SMS, bo jeśli z jego, to wszystko będzie jasne. Nie myślę jednak, że byłby na tyle głupi. Prawdopodobnie użył jednorazowej karty telefonicznej. Jeśli tak, to ustalenie z jakiej, zajmie nam trochę czasu. Ale poradzimy sobie i z tym. Na podstawie tego, co już wiemy, najrozsądniej będzie założyć, że to sprawka pani byłego i że sytuacja może się jeszcze pogorszyć. – Gdy Huldar wypowiadał te słowa, na ustach Erli pojawił się nieznaczny uśmiech. Freyja zachowywała się tak, jak gdyby tego nie zauważyła. – Czasami ci krwiopijcy robią się bardziej agresywni w stosunku do swoich ofiar, by zemścić się za upokorzenia, których doznali podczas przesłuchania na policji.

Słowo krwio pijcy wydało się Freyi zupełnie od czapy. Przypominało znaną z dzieciństwa historię o Drakuli. Rzeczywistość jednak była o wiele, wiele straszniejsza, o czym przekonała się w swojej pracy. Wśród jej podopiecznych znajdowały się też i takie dzieci, których matki prześladowane były przez byłych mężów. Postanowiła jednak nie pokazać po sobie strachu i odpowiedziała całkiem spokojnie:

– Czas pokaże.

– Nie może się nic wydarzyć, dopóki przed domem będzie stał samochód policyjny. Gwarantuję.

Stało się jasne, że z chwilą, gdy Margrét umieszczą w innym miejscu, ochrona zniknie. Zostaną same z Molly uwięzioną w kołnierzu, przez który nie mogła nikogo ugryźć. A może temu, który okaleczył suczkę, wcale nie zależało na dziecku, lecz właśnie na Freyi. Czuła, że dłonie jej się pocą. – To wszystko czy jest jeszcze coś?

– Tak. W zasadzie. – Huldar wpatrywał się w ławę. – Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Wolę, by dowiedziała się pani tego ode mnie, a nie z mediów. – Patrzył jej prosto w oczy. – Zamordowano drugą kobietę. Ten sam sprawca. To oczywiście zmienia wszystko. Margrét miała rację, że będzie więcej ofiar, i chyba nie muszę dodawać, jak ważne będą dla nas jej jutrzejsze zeznania.

Freyja potrzebowała chwili, by dojść do siebie. Co to wszystko ma oznaczać? Że ten, który napadł na Molly, był też przypuszczalnie mordercą matki Margrét? Jak wielkie niebezpieczeństwo grozi dziewczynce i jej samej? Naraz słowo „krwio pijca” wydało jej się sympatyczne. Sto razy bardziej wolałaby mieć na karku kogoś takiego niż potwora mającego na sumieniu życie ludzkie. A co dopiero dwa życia.

– Jest pan pewien, że to ten sam człowiek?

– Tak. Nie ma żadnych wątpliwości. Znaleźliśmy pozostawioną na miejscu zbrodni wiadomość bardzo podobną do poprzedniej.

– Wiadomość? Jakiego rodzaju wiadomość? – Pytanie wymknęło się jej bezwiednie, bo wcale nie chciała wiedzieć, po co morderca zostawiał listy. Pragnęła jedynie jak najszybciej pozbyć się z domu pary policjantów i tego, żeby wszystko było jak dawniej. A najbardziej ze wszystkiego tęskniła za czymś zupełnie powszednim. Na przykład za tym, żeby zadzwoniła jej przyjaciółka Nanna

i poskarżyła się, że dzieci mają znowu zapalenie uszu. Wydawało jej się teraz niemożliwością, że uznawała jej utyskiwania za nudne. Z pewnością nie. – Czego dotyczyła?

– Proszę się tym nie martwić i pozwolić nam się tym zająć. – Erla odważyła się w końcu coś powiedzieć, nieco chłodniejszym tonem niż wcześniej.

Huldar wydał z siebie taki odgłos, jakby zazgrzytał zębami.

– Jutro to z panią omówię, przed przesłuchaniem. Będziemy musieli pokazać wiadomości Margrét, bo może usłyszała coś, co pozwoliłoby nam je odszyfrować. Na razie kompletnie nie mamy pojęcia, o co w nich chodzi. Jeśli w ogóle mają jakikolwiek sens. – Radość z udzielenia Freyi pouczenia zniknęła z twarzy Erli. Oddychała przez nozdrza jak byk krótko przed atakiem na torreadora.

– Świetnie. Jeśli to już wszystko, chciałabym położyć Margrét spać. – Odczuwała nieodpartą chęć wyrzucenia ich z domu. Palce zwinęła w pięści, co nie uszło ich uwadze.

Kiedy Margrét była już w łóżku i wokół zapanowała absolutna cisza, Freyja stała przy oknie i patrzyła na pokrytą śniegiem dzielnicę. Przystało już padać. Świat za oknem wydawał się nieskończenie przyjazny. Nie mogła uwierzyć, że gdzieś tam na zewnątrz był ktoś, kto chciał dziewczynce, albo i jej, wyrządzić krzywdę. Ze stojącego przed domem samochodu wysiadł policjant. Oparł się o drzwi od strony kierowcy i zapalił papierosa. Popatrzył w górę i pomachał do Freyi. Ta zawstydzona zaciągnęła firankę i nie odmachała.

Żadne z nich nie zauważyło, że coś poruszyło się w ogrodzie po drugiej stronie ulicy. Ktoś tam stał blisko jezdni, a potem stopniowo wycofał się w głąb, aż na dobre zniknął w ciemności.

Rozdział 22

Telefon dzwonił okrutnie głośno. Karl patrzył na aparat i choć hałas w jego uszach narastał, nie mógł się zdecydować, czy odebrać, czy nie. Dobrze wiedział, kto był na linii. Ręka niepewnie kołysała się nad słuchawką, kiedy zastanawiał się, co zrobić. Przyrzekł sobie już nigdy więcej nie rozmawiać z bratem. Nie odbieraj. Z drugiej jednak strony, odczuwał przemożną chęć porozmawiania z kimkolwiek, nawet jeśli miałyby to być Arnar. Odbierz. Oba wyjścia były równie kuszące.

Po przebudzeniu czuł się samotny i otoczony wyłącznie lodowatą ciszą. Po tym jak pozbył się tych wszystkich ukochanych przedmiotów matki, w domu zrobiło się zimno i ponuro. Jak na pozbawionej rekwizytów scenie w teatrze. Okna bez firanek i zasłon sprawiały wrażenie większych, a świat na zewnątrz wyglądał przez to surowo i bezduszenie.

Najbardziej tęsknił za roślinami w doniczkach, które sam skazał na powolną i nieuchronną śmierć. Przestał je podlewać, więc jedna po drugiej pousychały. A przecież to jedynie z nimi bez problemu mógł się utożsamiać. Teraz staromodne meble rzucały się jeszcze bardziej w oczy, zaś oślepiająco białe ślady na ścianach po obrazach były jak cienie z dawnych lat.

Było już za późno na żal, siedział więc w tym zimnym wydaniu swojego mieszkania, nie mogąc tego zmienić. Większość domowej dekoracji, zestawy do kawy, talerze, obrazy i zdjęcia, stare urządzenia, doniczki, firanki i cała reszta niepotrzebnych rzeczy wylądowała na wysypisku śmieci, gdzie aż trzykrotnie przyjeżdżał zapakowanym po brzegi samochodem. Pracownicy wysypiska byli zdziwieni, widząc, że wyrzuca po kolei całkiem zdatne do użytku przedmioty. Przy drugiej rundzie zwrócono mu uprzejmie uwagę na kontener z Caritasu. Czerwony jak burak wrzucił do niego resztę tego, co mu zostało. Za ostatnim podejściem nigdzie nie dostrzegł pracownika, który wcześniej go upomniał, więc wrzucił to, co zostało jeszcze ze sprzętów domowych, do odpadów zmieszanych. Był w tym pewien element nieodwracalności.

Gołe ściany i rozchodzące się po mieszkaniu echo stwarzały wrażenie, iż mieszka w metalowym kontenerze. Nie towarzyszyło mu zbyt wiele dźwięków, bo

radio i obciachowy telewizor jego matki wyłączały w śmieciach. Nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Milczenie i cisza. Nie mógł znieść samotności, chociaż miał dość czasu, by do niej przywyknąć. Wszystkie jego próby skontaktowania się z Börkurem czy Hallim spełzły na niczym. Börkur nie odbierał, a telefon Halliego był wyłączony. Kilka razy przeraził się, gdy wydawało mu się, że słyszy dochodzące z sutereny pukanie. Kiedy jednak szedł to sprawdzić, nikogo tam nie zastał. W końcu przestał się tym przejmować. Był przekonany, że odgłosy pukania dochodzą z zewnątrz. Nie wrócił jednak i nie sprawdził, czy faktycznie coś puka w ściany piwnicy, bojąc się, że i tak niczego tam nie znajdzie.

Telefon wciąż jeszcze dzwonił, ale teraz bardziej nachalnie. Może był to już ostatni sygnał, zanim Arnar się podda i odłoży słuchawkę. Karlowi spocły się dłonie. Pragnął usłyszeć prawdziwy ludzki głos kogoś i porozmawiać z kimś, do kogo głos należy. Ale też nie mógł to być ktokolwiek. Jeśli chciał pogadać z jakimś nieznanym, mógł zejść do sutereny i połączyć się z radioamatorami, jak to zwykle bywało. Oczywiście siedziałby tam pewnie i teraz, gdyby radiostacja nie przypominała mu o cyfrowych audycjach. Do tego jeszcze to cholerne pukanie. Nieprzyjemnie było słuchać tego na górze w mieszkaniu, a co dopiero na dole. Nie do wytrzymania.

Za chwilę telefon wyda z siebie ostatni dzwonek. Karl nie mógł się już dłużej zastanawiać. Pospiesznie odebrał.

W głosie brata słychać było zdziwienie. Jakby oczekiwał, że usłyszy w słuchawce kogoś innego.

– Halo, Karl?

– Tak. – Starał się brzmieć jak maksymalnie zblazowany, żadnych oznak złości czy radości. Brat miał odczuć, że Karlowi kompletnie na nim nie zależało.

– Już chciałem odłożyć. Tu Arnar. Dopiero wróciłeś do domu?

– Co? Nie. Nie słyszałem telefonu. – Żałował, że nie wybrał odpowiedzianego przez brata kłamstwa, że właśnie wszedł do mieszkania. Arnar doskonale przecież wiedział, że z każdego miejsca w tym domu słychać było dzwonek telefonu.

– Aha. Rozumiem. – Arnar zamilkł, a Karl przyciskał słuchawkę do ucha. Cisza w Ameryce brzmiała tak samo przygnębiająco jak w Islandii. Jednak nie trwała długo. – Chciałem tylko dowiedzieć się, co u ciebie. Po naszej ostatniej rozmowie, no wiesz... – Nie musiał tłumaczyć dalej, o co mu chodziło.

– Bo co?

– Oj. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy przypadkiem nie zrozumiałeś mnie źle. Może zabrzmiało to jak „nie chcę cię w ogóle widzieć”. – Arnar miał problemy z wypowiedzeniem tego. Zacinał się jak nigdy dotąd. Głos mu drżał, jakby nie potrafił normalnie mówić i musiał wciąż się poprawiać, aby brzmieć naturalnie. – W każdym razie nie to miałem na myśli.

– Wcale nie zrozumiałem tego w taki sposób. To ty mnie źle zrozumiałeś. Jak już mówiłem, nie mam ochoty lecieć przez pół kuli ziemskiej na zachodnie wybrzeże. – Ta zasrana wymówka brzmiała tak samo głupio, jak poprzednio. – Nie masz się czego obawiać.

– No dobra. – To było żenujące, usłyszeć jak Arnarowi ulżyło. – Posłuchaj. Mam jeszcze jedno pytanie.

– Co? – Karl zastanawiał się, czy nie rzucić słuchawką. Był rozdrażniony trzymaniem jej blisko ucha. Krew uderzyła mu do głowy, kiedy zorientował się, że Arnar nawet nie próbował zachęcać go do przyjazdu. Gdyby nie wyrzucił kiczowatego lustra w połączonych ramach, które od zawsze wisiało nad telefonem, przeglądałby się teraz w nim. Zobaczyłby swoje oczy i rozpaloną do czerwoności twarz. Zamiast tego gapił się na biały ślad na ścianie, który lustro zostawiło po sobie na do widzenia.

– Przeglądałeś już rzeczy po mamie?

– Tak. – Najlepiej będzie mówić jak najmniej, by nie zdradzić się ze swoją złością i poczuciem zranienia.

– Znalazłeś jakieś papiery albo dokumenty?

Karl się zawahał. Po raz pierwszy w życiu miał znaczącą przewagę nad bratem i nie chciał tej szansy stracić. – Tak. Pełno.

– Pełno?

– Tak. Całe stosy różnych starych dokumentów.

– Przejrzałeś je wszystkie?

– Tak.

– Wszystkie? – Arnar nie miał odwagi przejść od razu do sedna sprawy. Było to dla niego tak ważne, że chciał odsunąć na później ewentualne rozczarowanie.

– Tak. Wszystkie. – Karl nie zamierzał ułatwiać mu sprawy.

– No i?

– No i co? – Karl dokładnie wiedział, o co mu chodziło.

– Czy... znalazłeś jakieś papiery dotyczące adopcji? Mojej adopcji? – I znowu Arnar pokazał się ze swojej egocentrycznej strony. Nie interesowało go nic a nic pochodzenie Karla. Tylko on jeden się liczył.

Karl wziął głęboki oddech i uśmiechając się do siebie, odparł:

– Nie.

– Nic? – Arnar nie potrafił ukryć rozczarowania. Bezradnie, ale wciąż z nutą nadziei w głosie pytał dalej: – A coś innego? Listy, zaświadczenia i tym podobne. To nie muszą być oryginały dokumentów adopcyjnych.

– Nie. Nic. – Karl znowu się uśmiechnął. – Zupełnie nic.

– Rozumiem. – Arnar zamilkł, jakby potrzebował czasu na oswojenie się z porażką i zawodem. – Proszę cię, wyślij mi to wszystko. Chcę sam przejrzeć na wszelki wypadek.

Karl się wyprostował, głowę odchylił w tył i patrzył w sufit. Jak dobrze, że odebrał. Nie można było wyobrazić sobie lepszego zakończenia jego związku z bratem.

– Ach. Wczoraj wszystko wyrzuciłem. Trzeba było wcześniej zadzwonić.

– Wyrzuciłeś? Gdzie? Do śmieci?

– Nie. Pojechałem ze wszystkim do punktu utylizacji. Również z papierami. – Karl zmrużył oczy. – Ciężko będzie je tam znaleźć. Wylądowały na kupie z całą resztą śmieci. Mógłbyś spróbować zapytać, jak często opróżniają kontenery i sam je przeszukać, gdybyś tu był oczywiście. Wątpię jednak, czy coś by to dało.

– Tak. Rozumiem. – Nagle Arnar brzmiał jak zupełnie inny człowiek. W jego głosie nie było słyhać normalnej arogancji ani samozadowolenia. Teraz był to zduszony szept.

– Czy coś jeszcze? Muszę zaraz lecieć.

– Co? Nie.

– To do usłyszenia. – Karl odłożył słuchawkę. Już nie czuł się samotny czy zdenerwowany. Wręcz przeciwnie, czuł się świetnie, jakby siedział rozparty w wygodnej sofie po dobrym joincie. A więc to tak smakowało zwycięstwo. Można się było do tego przyzwyczaić.

Na stole w kuchni leżała koperta, a wokół niej rozłożone dokumenty. Karl czytał pisma jedno po drugim, po czym starannie odkładał na stół. Choć w niektórych z nich imiona i nazwiska zamazane zostały czarnym flamastrem, to i tak zawierały dość informacji, z których Karl mógł dowiedzieć się, kim byli rodzice ich obu.

Ich nazwiska nic mu nie mówiły: Guðrún María Einarisdóttir i Helgi Jónsson. Tak jak i wszystko inne w jego życiu, nie były one ani szczególne, ani też godne zapamiętania. Takie zupełnie zwyczajne. W tym samym momencie pożałował swojej ciekawości. Skusiła go jednak chęć zdobycia informacji, których tak bardzo pragnął Arnar. Wyjmując z koperty w kolorze musztardowym urzędowe druki, wyobrażał sobie, że przeżyje resztę swojego życia znacznie bardziej zadowolony z siebie oraz dumny, że nikt poza nim nie będzie posiadać tej wiedzy. Wkrótce zrozumiał jednak, że dałby wiele, by móc wymazać ją ze swojej głowy. Niestety, za późno.

Wiatrak w jego beznadziejnym laptopie zaczął terkotać, jakby chciał wyrzucić na niego nacisk. Przypomnieć, że musi dokończyć to, co już zaczął. Karl przeczesał palcami włosy. Na rękach zostały mu tłuste plamy. Przyglądał się swoim dłoniom i pomyślał o tym, że Guðrún María albo Helgi codziennie mieli te same ręce przed oczami. Szerokie i płaskie paznokcie, nadmiernie długi środkowy palec i gruby kciuk. Przecież musiały mieć gdzieś swój początek.

Odsunął na bok papiery i przyciągnął do siebie komputer. Zamiast jak zwykle skoncentrować się na ekranie, wpatrywał się w czarną klawiaturę. Z jakiegoś powodu nie chciał zobaczyć ukazujących się litera po literze imion. Normalnie było zawsze na odwrót. Dopiero teraz zauważył, jak zamazane były litery na klawiszach. M całkiem, S do połowy. Tylko małe białe kreseczki zostały po literze A i R. Trochę przypominało to jego wspomnienie o matce. Jej kontury były niewyraźne, a brzmienie głosu całkiem znikło z pamięci. Nie istniały żadne nagrania z nią, tym samym więc jej głos na zawsze zniknął z uniwersum.

Karl odważył się spojrzeć na ekran i rozpoczął szukanie. Tak jak Arnar w ostatniej rozmowie telefonicznej, postanowił nie od razu przejść do sedna sprawy. Zaczął od odszukania jego rodziców, by jeszcze przez parę minut móc trwać w niewiedzy o swoim nieznanym i smutnym pochodzeniu, a także podtrzymać w sobie nadzieję, że może nie jest tak źle. Ale zapewne było, bo przecież mama musiała mieć powód, dla którego oszczędzała go i utrzymywała

prawdę w tajemnicy.

Jeśli jednak dobrze sobie przypominał, mocniej wzbraniała się przed udzieleniem informacji Arnarowi, może dlatego, iż był bardziej namolny niż brat. Karl jednak był o tym nie do końca przekonany. Pochodzenie Arnara musiało być gorsze niż jego, dlatego właśnie warto było pogrzebać najpierw w jego przeszłości, bo często świadomość tego, że inni mieli gorzej, łagodzi nasz własny ból. Będzie jednak musiał znaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, by nie zdradzić się z prawdą, bez względu na to, jak straszna by nie była. Cenniejsze wydawało mu się długotrwałe utrzymywanie jej w tajemnicy niż wyjawienie i przyglądanie się reakcji Arnara. Jego brat nie zwykł długo stresować się z powodu porażki. Z pewnością już wkrótce okazałby Karlowi swoją wyższość i stałby z podniesioną wysoko głową, przeświadczony o swojej mądrości i bardziej zadowolony z siebie, niż na to zasługiwał. Żadna historia z przeszłości nie była w stanie go upodlić. Karl powinien o tym pamiętać.

Był jeszcze jeden powód, dla którego pochodzenie Arnara było bardziej interesujące niż jego własna smutna przeszłość. Na akcie urodzenia jako matka widniała Jóhanna Hákonardóttir, w rubryce z PESEL-em na jej kwestionariuszu wpisane było tylko osiem cyfr. Współcześnie używano dziesięciocyfrowych numerów, ale też wprowadzono je dopiero po 1983 roku, kiedy to urodził się Arnar. A jednak ten numer wydawał się Karlowi znajomy i był przekonany, że słyszał go we wczorajszym nadawaniu. Długo się nad nim zastanawiał, bo numer nie był podobny do niczego, co do tej pory usłyszał. Nic też nie dało szukanie ośmiu cyfr w Internecie. Musiało więc chodzić właśnie o to, by się jednak upewnić, Karl poszedł do sutereny i przyniósł notatnik, w którym wszystko zapisał. PESEL matki Arnara był wyczytywany wczoraj w radiostacji.

Nie próbował wmawiać sobie, że to mógł być przypadek. Prawdopodobieństwo przypadkowo wybranych ośmiu cyfr, które tworzyły PESEL tej kobiety, było równe zeru. Tak samo jak i wyczytanych w poprzednim nadawaniu tych dziesięciu, które tworzyły jego PESEL.

Nie można było nie zauważyć, że ten, kto stał za nadawaniem, robił to umyślnie, by wciągnąć w grę także i Arnara. Karl nie miał zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Gdyby jednak udało się znaleźć cokolwiek o tej kobiecie, sprawa by się wyjaśniła.

Ojcem Arnara z aktu urodzenia był Þorgeir Bragi Pétursson. Jego PESEL jak do tej pory nie był wyczytany w żadnym z liczbowych ciągów, dlatego nie wzbudził zainteresowania Karla.

Wyszukiwanie także nie przyniosło żadnych innych rezultatów. Rekordów w Internecie było około trzydziestu tysięcy. Te pierwsze wiązały się z kobietami o tym samym imieniu i nazwisku, ale wszystkie jeszcze żyły. Powtórzył więc pytanie, wbijając datę urodzin Jóhanny, a wtedy lista mocno się skróciła. Pośród tego, co zostało, wyskoczyła jej klepsydra. Zmarła 12 lutego 1987 roku, w wieku dwudziestu trzech lat, we własnym domu, należącym do gospodarstwa na Gráhamrar w Hvalfiordzie. Była gospodynią domową. I to właściwie wszystko. Nie wspomniano ani o pogrążonych w smutku mężu czy synu, ani nawet o krewnych i przyjaciółach. Poza zawiadomieniem o śmierci w sieci znajdował się jeszcze nekrolog, który jednak nie wnosił niczego nowego. Jego autorem był ojciec Arnara, Þorgeir Bragi Pétursson. Ograniczył się on do zamieszczenia wiersza, który zdaniem Karla nie pasował do okazji.

*Chrońcie, chrońcie boże oczy,
małe, chore dziecięczo.
Lulaj, lulaj, nie dopuście w nim smuteczku,
by się syn umiłowany ciebie bał.
Benedikt Þ. Gröndal*

Biorąc pod uwagę treść wiersza, Karl oczekiwałby jakieś zmianki o osieroconym przez matkę synu tych dwojga, ale niczego takiego nie znalazł. Najpewniej decyzja o oddaniu Arnara do adopcji została już wtedy podjęta i nie można było tego tłumaczyć inaczej niż tylko tak, że ojciec odmówił wzięcia go do siebie.

Ale gdzie w tym wszystkim krył się skandal? Na zdjęciu w nekrologu matka Arnara wyglądała na zupełnie zwyczajną młodą kobietę. Było to nieszczęśliwie udane zdjęcie paszportowe, zrobione, gdy była jeszcze nastolatką. A w jakim wieku urodziła Arnara? Z danych zawartych w nekrologu wynikało, że miała dziewiętnaście lat. Czy to miała być ta straszna tajemnica? Urodzenie dziecka w tak młodym wieku? Cóż za wielkie rozczarowanie. Nic w tym w końcu aż tak skandalicznego. Sfrustrowany zamknął stronę z nekrologiem.

Na ekranie pojawiła się znowu klepsydra i Karl chciał ją również zamknąć.

Wszystkie te informacje odnalazł w internetowym archiwum jednej z gazet. Na samym dole strony zaczynało się inne zawiadomienie o śmierci, które przykuło jego uwagę. Hákon Hákonarson zmarł tego samego dnia, co Jóhanna – 12 lutego 1987 roku – i też jak ona w domu w Gráhamrar w Hvalfiordzie.

Karl odchylił się do tyłu i wpatrywał w ekran. To musiał być jej ojciec i dziadek Arnara. Tak samo jak pod klepsydrą jego córki brakowało podpisu pogrążonych w smutku członków rodziny. Zdaje się, że zmarł samotnie, opuszczony przez wszystkich, jak i córka. W tym samym dniu.

Karl szukał w gazecie jakichś doniesień o wypadku, w którym zginęliby ojciec z córką. Pomyślał o pożarze lub wypadku samochodowym, chociaż ten ostatni nie pasował do tego, co wyczytał w klepsydrze – że zginęli we własnym domu. W lawinie? Ale żadnej wzmianki o jej zejściu nie znalazł, choć przeglądał gazetę na tydzień przed i po dwunastym lutego. Ci ludzie pożegnali się ze światem w zupełnej ciszy.

Zanim jednak poddał się na dobre, spróbował przyjrzeć się lepiej ojcu Arnara. Może mógłby zadzwonić do niego i poprosić o opowiedzenie historii albo wyjaśnienie przyczyny śmierci tych osób. Chociaż wiedział, że wiązało się z tym pewne ryzyko. A jeśli odnaleziony po latach ojciec zacząłby mieć wyrzuty sumienia i zechciał nawiązać kontakt z Arnarem? Obawy Karla wkrótce jednak prysły, kiedy natrafił na informację, że mężczyzna zmarł przed dwoma laty. W przeciwieństwie do Jóhanny pozostawił po sobie dużą rodzinę. Żonę, siostry, rodziców, czwórkę dzieci i parę wnuków. Co pasowało do wielu nekrologów, z których wynikało, że urodził się w Akranesie, gdzie się wychował i mieszkał przez całe swoje życie. Chociaż nigdzie nie podano dokładnej przyczyny śmierci, to cały czas mowa była o ciężkiej chorobie i walce z nią. Nigdzie choćby słowem nie wspomniano o Jóhannie czy Arnarze.

Karl zamknął laptopa, czując, że nie znajdzie odpowiedzi w Internecie. Już prędzej dostarczy mu ich nadawca audycji liczbowych. Była za dziesięć piąta. Wstał i poszedł na dół, bo chciał być przygotowany, zanim audycja się rozpocznie. Mieć pod ręką długopis i kartkę. Jego własna przeszłość będzie musiała poczekać na lepszą okazję.

W suterenie ponownie zaczęło się głucho pukanie.

Rozdział 23

W komisariacie panowała niespotykana krzątanina. Na miejscu zebrali się wszyscy z dochodzeniówki, ponieważ większość dowodów rzeczowych zabezpieczonych z różnych części miasta znajdowała się w budynku policji. To tu umiejscowiona została kwatera główna prowadzonego śledztwa. Prawie nie było wolnych biur. Ludzie siedzieli skoncentrowani przed komputerami, a z każdego rogu pokoju dochodziło głośne klikanie w klawiaturę. Odgłosy te wprawdzie nie zagłuszały całkiem innych dźwięków, ale gdy tylko rozmowy milkły, słychać było miarowy, energiczny stukot. Tak jakby piszący dokładnie wiedzieli, co chcieli zanotować. Przypominało to bardziej atmosferę panującą w redakcji gazety na krótko przed wydaniem numeru do druku niż biuro dochodzeniowe policji. Unoszący się w powietrzu zapach kawy jeszcze wzmacniał to wrażenie.

Zza horyzontu wypełzło popołudniowe słońce. Przez ogromne okna prosto do środka wpadały słoneczne promienie. Odbijając się oślepiającym blaskiem w ekranach komputerów, utrudniały widzenie siedzącym przy nich. W wielu miejscach spuszczone żaluzje. W półmroku wydawało się, że jest o wiele później, niż w rzeczywistości było. Dla wielu dzień pracy zbliżał się do półmetka, ale nie dla Huldera, który dopiero się rozkręcał. Kierujący dochodzeniem powinien przychodzić pierwszy i wychodzić ostatni. To takie niepisane prawo. Gdyby skończył pracę i poszedł do domu o szesnastej, potraktowane by to zostało jak sygnał, aby na drugi dzień już o piętnastej odprężyć się i powoli zbierać do wyjścia z biura. Co więcej, Huldar odwołał nawet swoją, umówioną z półrocznym wyprzedzeniem, wizytę u dentysty, bojąc się, że mogłoby to wpłynąć na zapał kolegów do pracy. Podcięcie włosów, którego bardzo już potrzebował, musiało również poczekać na dogodniejszą chwilę.

Przeglądano i sortowano zebrane dotąd informacje dotyczące obu zabójstw. Z gąszczu danych poszlakowych starano się wysnuć nić prowadzącą na trop podejrzanego. W obecnych czasach każdy człowiek zostawiał po sobie ślady, które umożliwiały odtworzenie jego przeszłości. Zarówno w systemach elektronicznej informacji, jak i w innych bazach danych utrwalone zostały dowody wykonania

codziennych, zwyczajnych czynności. Jeśli tylko posortowałyby się je odpowiednio i porównało z zeznaniami przypadkowych świadków, można z najdrobniejszymi detalami odtworzyć życie danej osoby do jej ostatnich godzin. Większość informacji dałoby się uzyskać bez większego wysiłku dzięki sprawdzeniu wyciągów z kart płatniczych, billingów telefonicznych, poczty elektronicznej i aktywności na portalach społecznościowych. Trudność polegała jedynie na tym, by z całej nic nieznaczącej masy wiadomości wybrać to, co miało znaczenie.

Po tym, jak Huldar przejrzał osobiście uprzednio przygotowane przez Almara dane z laptopa Elisy, zlecił innym zadanie przepatrzenia pod tym samym kątem jej komputera służbowego. Miał dość innej pracy do zrobienia i obawiał się, że ze zmęczenia zaśnie na klawiaturze. W międzyczasie skończono już ustalanie, co robiła Elisa w ostatnich godzinach przed swoją śmiercią. Pozostało jednak doprecyzowanie tego samego w przypadku Ástrós.

Tego dnia Elisa wstała wcześniej i wraz z mężem obudzili dzieci. W czasie kiedy jadły śniadanie, przeglądała w laptopie najświeższe wiadomości. Napisała maila do szkoły, prosząc o zwolnienie Margrét z obowiązku wychodzenia na podwórze podczas przerw, gdyż córka była przeziębiona. Małżeństwo podzieliło się obowiązkiem odwożenia dzieci. Sigvaldi wziął ze sobą Margrét i odstawił do szkoły, a Elisa odprowadziła chłopców do przedszkola. Do pracy przyjechała z dziesięciominutowym spóźnieniem i wpadła wprost na wydziałową naradę dotyczącą wprowadzenia zmian w przepisach opodatkowania. Zebranie trwało dwie godziny, po czym wróciła do rutynowych obowiązków. Napisała sprawozdanie dotyczące oszustw podatkowych w branży turystycznej i przeczytała tekst na głos jednej z koleżanek. W przerwie obiadowej poszła wraz z innymi dwiema do restauracji. Zamówiła sałatkę Cezar, którą popiła Pepsi Max, a zdjęcie swojego posiłku umieściła na portalu społecznościowym. Kiedy Huldar przyglądał się niepokążnej porcji jedzenia na talerzu, zastanawiał się, czy wybrałaby coś bardziej obfitego, gdyby wiedziała, że spożyte kalorie nigdy nie zamienią się w tłuszcz.

Po trwającej niecałą godzinę przerwie w dalszym ciągu zajmowała się sprawozdaniami. Jednak nie poświęcała się im bez reszty. Z historii stron odwiedzonych w Internecie wynikało, że między innymi oglądała buty na Amazonie i oferty na Grouponie. Na nim też zamówiła po okazyjnej cenie rodzinne

wyjście do restauracji, którym z wiadomych względów nie mogli już się wspólnie cieszyć. Komputerowiec Almar zadał sobie trud i wydrukował ten kupon, po czym oddał Huldarowi z prośbą o przekazanie go rodzinie. Kartka leżała jeszcze na biurku Huldara, raczej jednak czekało ją lądowanie w koszu na śmieci.

Około godziny czternastej Elisa napisała w Lync, używanym w skarbowce systemie biurowym, że musi na krótko wyskoczyć z pracy i wróci przed piętnastą. Krótko po tym kupiła bilet na autobus dowożący pasażerów na lotnisko, co zresztą zgadzało się z zeznaniami męża, którego zabrała z domu, jak ustalili z rana, i odwiozła na dworzec. Kiedy odbierała bilet w kasie, on zdawał swoje bagaże u kierowcy autobusu. Po pożegnalnym pocałunku wróciła jak najszybciej do pracy i usiadła znowu przy komputerze.

Biuro opuściła przed szesnastą, odebrała dzieci ze szkoły i przedszkola. Po drodze do domu wstąpiła do supermarketu i zrobiła duże, według Huldara, zakupy spożywcze. I już wracając załadowanym autem, zatrzymała się jeszcze na stacji benzynowej, gdzie zatankowała pełen bak i kupiła trzy lody na patyku. Pracownik przy kasie przypominał sobie Elisę oraz to, że dzieci bardzo się niecierpliwiły i rozrabiały, czekając na nią w samochodzie. Lody miały je uspokoić i załagodzić całą sytuację. Tylko jedno z jego opisu nie zgadzało się z tym, co już wiedzieli. Świadek utrzymywał, że w wozie był również mąż Elisy i to on właśnie zatankował benzynę.

Przez stację benzynową przewijało się codziennie mnóstwo ludzi, sądzono więc, że pomylił ją z inną klientką. W momencie gdy Elisa kupowała paliwo, Sigvaldi wchodził na pokład samolotu. Zapytano zatem synów Elisy, czy pamiętali drogę na stację i czy ktoś inny był z nimi w tym czasie w samochodzie. Wzruszyli tylko ramionami. Starszy z dwojga chłopców, Bárður, dodał po chwili, że jakiś „benzynowy człowiek” napełnił bak. To w pewnym sensie wyjaśniało sytuację, ale i zupełnie wykluczało możliwość, że ten, który zamordował Elisę, wrócił z nimi samochodem do domu. Poza tym ta sama sąsiadka, Védís, która znalazła chłopców na ulicy, zeznała, że widziała rodzinę podjeżdżającą pod dom. W aucie była ich czwórka: Elisa i troje dzieci. Nikogo innego. Policjanci zakładali jednak, że dowiedzą się czegoś od Margrét, którą wkrótce zamierzano ponownie przesłuchać.

Następny elektroniczny ślad karty kredytowej Elisa zostawiła po sobie, płacąc ślusarzowi za otwarcie drzwi wejściowych do domu. Jak zeznał, zgubiła klucze,

a mąż wyjechał za granicę. Zapasowy komplet kluczy był zamknięty w środku. Huldar i cały zespół dochodzeniowy postawili duży znak zapytania w raporcie, przypuszczali bowiem, że morderca właśnie w tym dniu mógł ukraść klucze. W całym domu nie było śladów włamania, więc albo morderca użył skradzionych kluczy, albo Elisa zapomniała zamknąć za sobą drzwi. Nad ranem zamek w nich był zamknięty, ale nie świadczyło to jeszcze o niczym. Morderca mógł wejść, bo drzwi były otwarte, po czym zamknął je, kiedy wychodził.

Elisa nie życzyła sobie, żeby ślusarz wymieniał zamek, mówiąc mu, że raz się to jej zdarzyło i nie było powodów do obaw. Miała zapasowe klucze w mieszkaniu. Breloczek, do którego przypinała klucze, był już stary, prawdopodobnie więc odczepiły się od niego i wypadły jej w pracy, szkole, przedszkolu, sklepie albo na stacji paliw. Szukano ich w tych wszystkich miejscach, ale bez skutku.

Kiedy już weszli do domu, Elisa zalogowała się na Facebooku i zalajkowała kilka postów swoich przyjaciół. Na swoim profilu zakomunikowała, że Sigvaldi poleciał za granicę, by poinformować grupę przyjaciół, iż została w domu sama z dziećmi. Dodała również, że zamierza ugotować spaghetti i zdobyła mnóstwo lajków. Huldar nie bardzo rozumiał, co miało to oznaczać. Czy ludziom podobało się to spaghetti, czy to, że została sama? Wśród wpisujących się nie było nikogo podejrzanego, sami starzy, dobrzy przyjaciele, z którymi od lat utrzymywała kontakty. Dalszy przebieg wydarzeń tego ostatniego dnia życia Elisy nie był już tak dokładnie opisany. Od godziny dziewiętnastej do dwudziestej trzeciej wchodziła jeszcze parokrotnie na Twittera i Facebooka, gdzie można było przeczytać ostatnie zdanie, jakie napisała: *Dobranoc – jutro zaczyna się nowy dzień, zamierzam dobrze go wykorzystać!* Oczywiście nie wykorzystała.

Patrząc na ilość wpisów i komentarzy na temat jej życia, którymi Elisa dzieliła się na portalach, Huldar zaczął na poważnie się zastanawiać, czy gdyby morderca podał jej komputer podczas zadawania tortur, nie pokusiłaby się o aktualny meldunek. Co by mogła napisać w takim wypadku? *Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale jest tu u mnie człowiek, który za pomocą odkurzacza wysysa z mojego żołądka zjedzone dzisiaj spaghetti – które swoją drogą było bardzo pyszne.* Albo po prostu: *Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!*

O ostatnim dniu w życiu Ástrós było wiadomo niewiele. Daleko jej było do aktywności Elisy w mediach społecznościowych i w ogóle sprawiała wrażenie

osoby mało towarzyskiej. Przed mniej więcej dwoma laty odeszła na emeryturę i nie utrzymywała kontaktów z kolegami z pracy. Według wszelkich dostępnych danych, spędzała większość dni, przesiadując w domu i tylko od czasu do czasu wychodząc na spacer. Jej samochód, mała toyota, stał w garażu. Dzień wcześniej go zatankowała i zapisała przebieg kilometrów na rachunku. Wróciła stamtąd prosto do domu, jak wskazywała różnica między obecnym stanem licznika a zanotowanym przebiegiem. Od tego czasu nie używała już więcej samochodu. Na jej koncie bankowym zanotowano w dniu śmierci jedynie zlecony, comiesięczny przelew na organizację dobroczynną. Tego wieczoru dwa razy telefonowała. Raz do siostry, a drugi raz do przyjaciółki. Według zeznań przyjaciółki rozmawiały o książce, którą Ástrós pożyczyła jej wcześniej, i o zaplanowanej przez przyjaciółkę podróży promem po Morzu Śródziemnym. Ich rozmowa trwała siedemnaście minut. Policjant, który zadzwonił do owej podróżniczki, potrzebował jednak całych siedmiu minut, by przerwać jej potok słów, przedtem musiał zaś wysłuchać drobiazgowego opisu czekającej ją w niedalekiej przyszłości wycieczki.

Z siostrą rozmawiały podobnie długo, około dziewiętnastu minut. Tematem rozmowy były mające odbyć się na wiosnę uroczystości bierzmowania w ich rodzinie. Rozprawały też o nowo otwartym butik w centrum sklepowym Smáralind, który chciały wspólnie odwiedzić, a także o tajemniczym gościu, na którego czekała Ástrós i który się nie zjawił. Jej siostra nie potrafiła jednak wymienić jego imienia i w ogóle mówiła o tym bardzo mgliście. Przypomniała sobie również, iż niedoszły gość miał zapowiedzieć swoją wizytę SMS-em. Ponadto Ástrós dostała jeszcze inne, bardzo dziwne wiadomości, przypuszczała jednak, iż nie były adresowane do niej. O ich treści nie rozmawiały, przy czym kobieta uczciwie przyznała, że niespecjalnie dopytywała, gdyż wybierała się do teatru i była już nieco spóźniona. Płacząc, dodała, że sztuka była nijaka i powinna była dłużej porozmawiać z własną siostrą.

Komórkę Ástrós znaleziono na miejscu zbrodni. Ustalono, że był to telefon, którego faktycznie używała. Nie przypominało to całego zamieszania, jakie mieli z telefonem Elisy, którego dotąd nie znaleziono. Ktoś, kto był w jego posiadaniu, nie włączył go jeszcze i prawdopodobnie nigdy nie zamierzał tego robić. Sieć telefoniczna przekazała policji listę wszystkich rozmów i SMS-ów, które Elisa otrzymała parę dni przed zabójstwem, ale żaden z nich nie przypominał

wiadomości znalezionych w komórce Ástrós.

Były to dokładnie cztery SMS-y od nieznanego nadawcy. Trzy z nich zupełnie niezrozumiałe:

2, 116, 53, 22, 16 · 22, 19, 49 · 90, 49

90, 92 · 68, 43 – 6 · 16, 92 · 11, 99, 73

75, 53, 19, 11, 66 – 39, 92 · 7, 92

Osoba, która zajmowała się rozszyfrowaniem znalezionych w domu Elisy wiadomości, wciąż się z nimi nie uporała. Huldar przestał już nawet wierzyć, że kiedykolwiek się to uda. Do kompletu dołączyła teraz jeszcze wiadomość znaleziona za wycieraczką samochodu sąsiadów Ástrós: 19, 79, 15 · 19, 79, 15, 16. Huldar miał nadzieję, że powtarzające się liczby w jakiś sposób ułatwią rozwiązanie zagadki. Niestety, tak się nie stało.

Przychodziło im do głowy jedynie to, że powtarzająca się liczba siedemdziesiąt dziewięć mogłaby wskazywać na rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewięć, ale reszta nadal pozostawała zagadką. Huldar pokładał ostatnią nadzieję w Interpolu, jednak poza masą formularzy do wypełnienia dotąd nie uzyskał stamtąd żadnych informacji. Chciał wierzyć, iż nie okaże się to zwykłą stratą czasu.

W czwartym SMS-ie, który otrzymała Ástrós, nieznaną mężczyzna zapowiedział swoje odwiedziny. Ani policja, ani sama Ástrós nie wiedzieli, kim był, jeśli można było polegać na tym, co powiedziała jej siostra.

Już wkrótce przyjdę – cieszysz się?

Huldar i wszyscy inni przekonani byli, że wiadomości pochodziły od mordercy. Ustalenie numeru telefonu, z którego zostały wysłane, było sprawą nadrzędną, i Huldar oczekiwał wyników jeszcze dziś wieczorem. Nareszcie morderca popełnił jakiś błąd. Było wiadomo, że używał jednorazowej karty telefonicznej, a te kupowali przede wszystkim obcokrajowcy lub tubylcy prowadzący podejrzaną interesy. Tak czy inaczej sprzedający mieli obowiązek spisywania danych osobowych nabywców kart. Ponieważ jednak najczęściej sprzedawano je w recepcjach hotelowych, nie przykładano do tego wielkiej wagi. Policjanci zakładali optymistycznie, że numer karty może naprowadzić ich dokładnie do miejsca sprzedaży karty i zdradzić nazwisko osoby, która ją zakupiła. Liczyli się jednak z tym, że mężczyzna nabył kartę na fałszywe nazwisko. Jeśli jednak będą mieli szczęście i karta została zakupiona niedawno, to może sprzedawca będzie

mógł sobie przypomnieć, komu ją sprzedał. Albo kamery zarejestrowały sam moment jej zakupu. Ta niepozorna karta spowodowała przyływ nikłej nadziei, że rozwiązanie sprawy znajduje się tuż za rogiem.

Potrzebowali tej odrobiny optymizmu. Szło im opornie, co miało niezaprzeczalny wpływ na nastrój panujący w grupie. Każdy chciałby być pierwszym, który wyskoczy do góry na sali z okrzykiem: Bingo! Wiedzieli, że moment przełomowy wcześniej czy później nastąpi, na razie jednak ciągle brakowało powiązań, które mogłyby doprowadzić do sprawcy. Większość, w tym również i Huldar, skłaniała się ku tezie, że kobiety zostały wybrane przez mordercę na chybił trafił. Nie rozmawiano o tym prawie w ogóle, bo w końcu była to najgorsza z możliwych opcji. Jak można było znaleźć sprawcę, który wybrał swoje ofiary zupełnie przypadkowo? Do tego jeszcze był niezwykle ostrożny. Najgorsze jednak było to, że ani Elisa, ani tym bardziej Ástrós nie wyróżniały się niczym szczególnym. Niczym, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie kogoś, kto przepelniony do głębi nienawiścią skłonny był do brutalnego mordu na zupełnie nieznanym mu ludziach.

Ani życie, ani śmierć obu kobiet nie kryły w sobie klucza do rozwiązania zagadki.

Nie mogli też wykorzystać w śledztwie tego, co znaleziono albo raczej czego nie znaleziono na miejscach zbrodni. Żadnych odcisków palców czy śladów biologicznych, na podstawie których można było określić DNA. Ani w domu Elisy, ani też u Ástrós. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo oczywiście roіło się tam od śladów, które jak do tej pory tylko w znikomej części zanalizowano. Możliwe, że jeszcze nie wyłowiono z ich gąszczu właściwych odcisków palców czy włosów. Z każdą próbką, która okazywała się należeć do domowników, zmniejszała się szansa, że sprawę rozwiążą dzięki materiałowi dowodowemu z miejsc zbrodni. Zresztą nic dziwnego. Każdy, kto kiedykolwiek oglądał telewizję, wiedział bardzo dobrze, czego zbrodniarze nie powinni robić, aby nie dać się złapać. Już nawet dobrze przygotowany nastolatek mógłby popełnić morderstwo bez pozostawiania po sobie tropu.

Inna rzecz, że pewnie zapomniałby wyłączyć przedtem telefonu.

Huldar westchnął głośno. Powolne tempo dochodzenia odbijało się negatywnie na ludziach i już tylko garstka z nich przykładała się ze zdwojoną siłą do pracy, nie

zważając na porażki. Tak jak Ríkharður, który za sprawą swoich osiągnięć w ostatnich dniach plasował się w czołówce. Dało się jednak zauważyć, że praca go przytłoczyła. I chociaż wciąż był bardzo czysty i zadbany, można było zauważyć oznaki niedoskonałości. Na przykład miał niezapięty guzik koszuli i plamkę po kawie na mankiecie. Malutką, ale jednak widoczną.

Jego ciemne włosy były w lekkim nieładzie, chociaż w oczach Huldara uchodziły w dalszym ciągu za wzór schludnej fryzury. Ríkharður przeczesał je palcami, jakby czytał w myślach Huldara, i teraz wyglądały już perfekcyjnie.

– Nic ich nie łączy. Ani przyjaciele, ani rodzina czy też wspólna praca zawodowa. Trudno byłoby znaleźć w Islandii dwie mające ze sobą równie mało wspólnego osoby. Są w różnym wieku, nie są spokrewnione, nigdy nie chodziły razem do tej samej szkoły. Nigdy nie były sąsiadkami. I nawet ani razu nie zrobiły zakupów w tym samym supermarkecie. Nic, kompletnie nic. Zdziwiający w zasadzie. – W głosie Ríkharðura słyhać było całkowite przekonanie o swojej racji. Podał Huldarowi kartkę ze streszczeniem. Erla, która pomogła w jego przygotowaniu, stała za nim oparta o framugę drzwi.

Kiedy wczoraj wieczorem zdecydował się zadzwonić do niej i poprosił, by pojechała z nim do Freyi, stała się dla niego miłsza. I chociaż musiała dotrzeć z drugiego końca miasta, zgodziła się. Zapewne uznała to za formę wyróżnienia w swoim wyimaginowanym współzawodnictwie z Ríkharðurem o względy Huldara. U Freyi w domu zachowywała się jak najgorszy gbur. Ale czego mógł oczekiwać? Że padną sobie w objęcia i zostaną przyjaciółkami na całe życie? Przecież tak bardzo się różniły. Mógł tylko dziękować w duchu, że Erla nie zorientowała się, dlaczego w zasadzie wykorzystał ją już po raz drugi. Służyła mu jako tarcza ochronna w jego spotkaniach z Freyją. Słowo tarcza ochronna może nie było właściwe, ale już sama jej obecność uniemożliwiała robienie mu złośliwych uwag.

Huldar przeglądał sprawozdanie. Wszystkie możliwe tropy prowadziły donikąd.

– Czyli żadnych powiązań? Nawet najmniejszych? – Pomimo rozczarowania, że dochodzenie nie przyniosło żadnego wyniku, był zadowolony z ich bardzo pieczołowicie przeprowadzonego rozpoznania. Musieli w tym celu rozmawiać z wieloma ludźmi, głównie przez telefon, a większość tych rozmów musiała być bardzo trudna tak dla nich samych, jak i świadków, zważywszy na krótki czas, jaki

minął od popełnienia zbrodni i śmierci obu kobiet. Huldar mógłby się założyć, że to właśnie Ríkharður zadzwonił do większości z nich. Był bardzo dobry w tym, co robił, i bez wahania zajmował się sprawami, w których górę brały emocje. Nawet wtedy nie zmieniał swojego mechanicznego podejścia. Oczywiście jego zachowanie mogło czasami sprawiać wrażenie, że jest człowiekiem pozbawionym uczuć. – Dobra robota.

– Dziękuję. – Na twarzy Ríkharðura pojawił się niezwykle rzadko widziany uśmiech. Huldar nie pamiętał, kiedy ostatni raz od czasu rozvodu widział go tak szczerze zadowolonego. Obiecał sobie częściej go chwalić. A już na pewno zawsze wtedy, kiedy sobie na to zasłuży. Ale wyraz satysfakcji zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, więc Huldar nie był już pewien, czy jego kolega w ogóle się uśmiechał. – Najgorsze jest jednak, że do niczego nam się to nie przyda – dodał ponuro Ríkharður.

– Przynajmniej wiemy, że nic ich nie łączy – Erla poprawiła się, by nie obciążać lewego ramienia. Pół roku temu podczas rutynowej interwencji uległa wypadkowi. Musiała przez pół miesiąca zostać w domu na zwolnieniu. Chyba nigdy dotąd żaden z pracowników nie był tak niezadowolony, że wysłano go na przymusowe chorobowe. Tak jakby wstydziła się za swoją cielesną kruchość. Z tego też powodu, gdy wróciła już do pracy, nikt nie odważył się nawet zapytać, jak się czuje. Huldarowi w zasadzie wyleciało to z pamięci, ale teraz, kiedy już sobie przypomniał, udawał, że nie widzi z trudem ukrywanego wyrazu bólu na jej twarzy, lecz słuchał jej dalej jakby nigdy nic. – Chcesz, żebyśmy zajęli się czymś innym czy mamy szukać dalej? Może jednak coś je łączy, tylko to przeoczyliśmy.

Huldar zastanawiał się przez chwilę. Nie uważał, żeby dalsze poszukiwanie powiązań między kobietami przyniosło jakieś rezultaty. Wolał wykorzystać tę parę do czegoś innego.

– Nie. W każdym razie nie teraz. Może zaczekajmy z tym do czasu, kiedy będziemy mogli porównać wyciągi z kart płatniczych i tym podobne. Jeszcze nie mamy wszystkich danych bankowych Ástrós.

– To co mamy robić? – Ríkharður wyprostował plecy. Jego żołnierska ceremonialność zawsze denerwowała Huldara, a od kiedy został jego przełożonym, raziła go jeszcze bardziej.

– Przygotowuję listę rzeczy, którymi musimy się jeszcze zająć. Kiedy skończę,

będzie wystarczająco dużo do roboty. Z waszego sprawozdania wynika, że kobiet prawie nic nie łączy i dlatego nie mamy wspólnych świadków. Wygląda na to, że tylko morderca jest wspólny. Co dalej oznacza dużo pracy po godzinach. – Erla się uśmiechnęła, a Ríkharður wyglądał na trochę bardziej rozluźnionego. Co by o nich nie mówić, byli zawsze gotowi do podjęcia pracy. Angażowali się bez względu na to, czy wypłacano im nadgodziny, czy też nie.

– Muszę jeszcze uzyskać zgodę Egilla na pracę po godzinach.

Oczywiście Huldar nie cieszył się zbytnio, że będzie musiał poruszyć z szefem ten temat. Egill jako jedyny wyglądał na nieporuszonego okresem wyteżonej pracy w komendzie. Zamiast przydać się do czegoś konkretnego, zaangażował się w inwentaryzację wyposażenia komisariatu. Sprawdzał, czy przegląd techniczny urządzeń został przeprowadzony zgodnie z przepisami bhp, choć go to nie interesowało. Kupował coraz to nowsze wyposażenie, zastępując nim stare. Najwyraźniej więc wewnętrzna komisja kontrolna postawiła pod znakiem zapytania jego gospodarność. Jeśli tak było, to musiał się nieźle nagimnastykować, by uzasadnić zakup nowiuteńkiego wyposażenia, choć stare było jeszcze w całkiem dobrym stanie. Bał się, że kontrolerzy zaczną go zalewać pytaniami o spis pobieranego z magazynów sprzętu, gdy przyjdzie z prośbą o wydanie zgody na pracę po godzinach. Ale były też i dobre strony tej całej sytuacji. Tak długo, jak szef szukał zagubionych starych urządzeń do podsłuchu, trzynastu par obuwia roboczego, dwóch tarcz ochronnych i urządzeń do pomiaru odległości w terenie, nie będzie wtrącał się do śledztwa. Jeśli zdoła wytłumaczyć się z panującego tu chaosu, to będzie już coś. Zawsze może jeszcze zabrać wszystkim nowe iPady i schować przed kontrolą.

– Ma ktoś z was ochotę pojechać ze mną do schroniska? Robimy drugie podejście do przesłuchania Margrét. – Huldar spojrział na zegarek i stwierdził, że zostało mu mało czasu. Musi wkrótce wyjść, by dotrzeć tam na umówioną godzinę, a w żadnym wypadku nie chciał się spóźnić. Zwłaszcza że wykorzystał przesłuchanie jako alibi, aby nie brać udziału w sekcji zwłok Ástrós. Lekarz sądowy przyjął to wyjątkowo rzeczowo i bez uprzedzeń. Doskonale wiedział, że policjant nie był w stanie przyjść na kolejną obdukcję. W zamian obiecał mu bardzo dokładne sprawozdanie z jej przebiegu. Huldar już na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Kiedy usunięto taśmę wraz z urządzeniem, które wciśnięte

zostało w usta kobiety, wyjaśniło się, że była to lokówka do włosów. Policjant potrafił już wyobrazić sobie, jakie obrażenia odniosła – Chcę być tam na czas, żeby dobrze przygotować osobę, która będzie zadawała pytania. – Możliwe, że nadarzy się również okazja, by napić się kawy z Freyją i spróbować się z nią pogodzić. Zaraz jednak pomyślał, że powinien był ugryźć się w język, zanim zadał na głos pytanie, czy któreś z nich ma ochotę z nim pojechać. Szczególnie ze względu na Erlę, z którą nie przypadły sobie do gustu. Jej obecność u jego boku i wredne komentarze pod adresem Freyi nie były zbyt pomocne, no chyba że w porównaniu z koleżanką okazywał się lepszy. Miał nadzieję, że Ríkharður zgłosi się pierwszy.

– Ja pojedę. – Oczywiście, że Erla go wyprzedziła. – Muszę rozprostować kości. Od tego siedzenia przy biurku wszystko mnie boli.

Ríkharður zamknął na wpół otwarte usta i przełknął tylko ślinę, a wraz z nią niewypowiedziane słowa. Był po prostu zbyt dumny, aby przyznać się, że też był gotów pojechać. I źle mu wychodziło ukrywanie swoich chęci. Wyglądał na zakłopotanego.

– Nie ma sprawy, zostanę tutaj. Ktoś wspominał, że uzbierał się niezły stos z nowymi powiadomieniami. Mogę je zbadać, na razie nie mam nic innego do roboty.

W zasadzie Huldar chciał poprosić go o przyjrzenie się tym wszystkim dziwnym wiadomościom od mordercy, ale sprawdzenie telefonicznych doniesień było najbardziej nudnym zajęciem, jakie ich jeszcze czekało, i mało kto dobrowolnie podejmował się tego zadania. Nie mógł nie skorzystać z takiej okazji.

– Okej. To super. – Przeważająca większość doniesień była kompletną bzdurą. Czasami obywatele w swojej gotowości niesienia pomocy, nie przyjmowali do wiadomości, że czyjeś urojenia czy też genialne pomysły, żadną pomocą nie były. Oczywiście nie dało się zaprzeczyć, że wiele spraw rozwiązywano dzięki informacjom dostarczonym przez społeczeństwo. Policjanci mogli się tylko cieszyć, że nie chodziło o czyjeś zaginięcie czy o zidentyfikowanie sprawcy na podstawie nagrań z monitoringu. Mężczyzna w bluzie z kapturem mógł wywołać lawinę telefonów, niedającą się zatrzymać nawet jeśli sprawa byłaby już od dawna zakończona. Prawdopodobnie mniej ludzi zgłosiłoby się, gdyby oficjalnie podano do wiadomości, że poszukuje się czarnego mężczyzny z niespotykane dużą głową, zgodnie z opisem Margrét. Ale równie dobrze mogło być na odwrót. – Postaraj się

oddzielić ziarna od plew. – Huldar, zanim wstał od biurka, zapisał i zamknął dokumenty w komputerze. – Postaram się znaleźć kogoś, kto przejmie zadanie, gdy wrócimy.

– Nie trzeba. Jeśli już zacznę, to chciałbym móc dokończyć. – Ríkharður zrobił skwaszoną minę.

– To się jeszcze zobaczy. Na pewno są tam i cuda-wianki. Jak znam życie, zaczną się tu dobijać różni nawiedzeni i mistycy. – Zanim wypowiedział ostatnie słowo, na twarzy Ríkharðura pojawił się grymas jak po ugryzieniu cytryny. Biedny chłopak. Może w końcu zamiast milczeć, nauczy się otwarcie mówić o tym, czego chce.

– Nawiedzeni mistycy? – Erla zrobiła zdziwioną minę. Już nie opierała się o framugę. Ręce wsunęła do kieszeni od spodni tak głęboko, że tylko dzięki solidnemu paskowi nie zsunęły jej się z bioder. Może była to nowa metoda odbarczenia ramienia?

Huldar szukał po kieszeniach kluczyków auta.

– Ludzie, którzy twierdzą, że mogą nam pomóc poprzez kontakt ze zmarłymi, sny i tak dalej, przeważnie zgłaszają się wtedy, kiedy w mediach zaczyna być głośno o przestępstwie. Nigdy nie słyszałem, żeby oferowali swoje usługi przed doniesieniami w wiadomościach. – Znalazł kluczyki i wstał. – Wszystkie tego typu bzdury możesz oczywiście pominąć, Ríkharður, skoncentruj się po prostu na tym, co ma sens. – Uśmiechnął się do niego, by dodać mu otuchy. Zasłużył sobie na to. – Powodzenia, zajrzę do ciebie po powrocie. Chciałem cię poprosić, żebyś mi asystował, kiedy wezwę na przesłuchanie w sprawie psa byłego partnera tej psycholożki ze schroniska, Freyi. Musimy nim trochę potrząsnąć, by się upewnić, że zostawi kobietę w spokoju. – Huldar widział, jak kąciki ust Erli opadają w dół i tworzą coś na kształt podkowy. Nawet nie próbowała się z tym kryć. Oboje zachowywali się jak małe dzieci i Huldar żałował, że połamał już wszystkie ołówki, bo kilka przydałoby mu się właśnie teraz do rozładowania emocji.

Czemu nie mogli zachowywać się jak dawniej? Kiedy jeszcze nie był jej szefem, a jemu nie zdeprawował żony jak jakiś idiota. Gdyby tylko mógł wrócić do czasu, kiedy byli równi sobie, czasu, gdy nie musiał wstydliwie odwracać wzroku, kiedy Ríkharður z rzadka zwierzał mu się ze swoich kłopotów w związku z Karlottą i dzielił marzeniami o posiadaniu małej rodziny. Dlaczego jednak uwierało go to,

kiedy byli w samym środku dochodzenia? Jeśli zamknęliby sprawę, mógłby się z tym uporać. Ale teraz nie miał na to czasu.

Czuł się jak na polu minowym między niebem a piekłem. To się musi wkrótce skończyć.

Piękna droga do poprawienia jego relacji z ludźmi, doprowadziłyby go zapewne w ślepy zaułek. Nie mógł tak po prostu otworzyć się i wyznać koledze prawdy, bo choć sam pewnie poczułby się nieco lepiej, to Ríkharðurowi przysporzyłyby jeszcze większego cierpienia. Czyż nie wycierpiał się już wystarczająco? Gdyby Huldar powiedział mu o swojej niewybaczalnej pomyłce z Karlottą, byłoby to jak zdeptanie jego wspomnień o idealnym związku, który i tak na koniec, jak wiele innych, okazał się pełen wad. Wyznanie musiałyby też oczywiście odbić się na ich pracy.

Erla przerwała te rozważania znudzonym i pełnym pretensji głosem, który Huldar starał się lekceważyć.

– Dlaczego marnujemy czas na tę Freyję i jej byłego faceta? Mamy urwanie głowy, a ona chyba jest w stanie sama zatroszczyć się o rozwiązanie swoich problemów? Czy nie jest psychologiem?

Huldar odłożył na biurko kluczyki i sięgnął po listek z gumami. Wsadził do ust od razu dwie sztuki i żuł, dopóki nie poczuł uwalniającej się z nich nikotyny, wchłanianej bezpośrednio do naczyń włosowatych w krwiobiegu. Dopiero wtedy był w stanie się odezwać. Gumy nikotynowe nie mogły całkiem zgasić jego gniewu, ale przynajmniej trzymał się w ryzach.

– Dopóki dziewczynka jest pod opieką Freyi, naszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Musimy z tym mężczyzną porozmawiać, koniec dyskusji. – Tak oto marzenie, by zostało jak dawniej, kiedy byli równi sobie, zniknęło bezpowrotnie.

Huldar szedł do windy w towarzystwie milczącej Erli. Po drodze minęli biura dwóch komisarzy, którym najpewniej powierzono by prowadzenie śledztwa, gdyby wcześniej na jaw nie wyszły ich podejrzane metody pracy. Tymczasem odsunięto ich na bok, czekając, aż opinia społeczna przestanie oburzać się ich przekrętami i zajmie się kimś innym. Teraz przeczekiwali burzę medialną, siedząc beczynn timer w swoich pokojach. Obaj mężczyźni spuścili wzrok na widok przechodzącego obok Huldara. Próbowali stwarzać pozory zapracowania, chociaż i tak wszyscy

wiedzieli, jak jest naprawdę. Żaden z nich nie pofatygował się, by pozdrowić go choćby krótkim słowem.

Rozdział 24

Molly nie mogła przyzwycząić się do noszenia kołnierza. Zanim zaczęło się przesłuchanie, kręciła się bez ładu i składu po pokoju zebrzań, objając o wszystko i wszystkich. Huldar bolały już od tego łydki, bo wyglądało na to, że pies atakuje go ze szczególnym upodobaniem. Jednak nie dawał po sobie niczego poznać. Najchętniej zaciągnąłby psa za ten kołnierz z powrotem do radiowozu, ale oczywiście się powstrzymał. Mała Margrét bardzo zaprzyjaźniła się z Molly, jej bliskość uspokajała dziewczynkę i liczone na to, że dzięki temu się otworzy. Jeśli miałoby tak się stać, to choćby i do końca przesłuchania suczka mogła wgniatać się Huldarowi w łydki.

Ze wspólnej kawy z Freyją nic nie wyszło. Kiedy Huldar z Erlą przyszli, zaczęły się dyskusje, kto powinien przepytować Margrét. Czy dalej powinna to robić Silja, czy też Freyja powinna przejąć jej zadanie? Silji nie udało się zbyt wiele wyciągnąć z dziewczynki, ale była już do niej przyzwyczajona. Z drugiej strony, Freyi udało się nawiązać z małą dość dobry kontakt – chociaż w każdej chwili mogło się to zmienić. Istniało duże ryzyko, że Margrét zamknie się w sobie na dobre, jeśli Freyja nagle wejdzie w inną rolę. Huldar i Erli nie pytano o stanowisko w tej sprawie.

Wynik całej tej przydługiej dyskusji był taki, że to Freyja zakładała właśnie do ucha mikroskopijny nadajnik połączony cienkim kabelkiem, zwisającym wzdłuż pleców, z odbiornikiem, który przypięła do paska swoich spodni. W tym czasie Silja siedziała w pokoju po drugiej stronie szyby i rozmawiała z Margrét. Dziewczynka miała na sobie bluzeczkę z pandą i džinsy wyszywane na nogawkach kolorowymi szkiełkami w kształcie kwiatków. W takim stroju wyglądała bardziej na przedszkolaka niż na pierwszoklasistkę.

Huldar obserwował rozważne ruchy Freyi i dziwił się, jak bardzo różni się od policjantów, traktujących kable jak uzbrojenie. Nie było w niej cienia napuszonego bohaterstwa. Trudno mu było wyobrazić sobie, że po skończeniu zakładania urządzenia kobieta zacznie bić się w piersi niczym Tarzan, choć oczywiście miała do wykonania zupełnie inne zadanie niż policjant w pełnym rynsztunku. Uważał

jednak, że gdyby nawet pracowała w policji, niczego by to nie zmieniło. Jak zachowałyby się na przykład Erla? Wcisnęłyby słuchawkę w ucho z taką siłą, że wygięłyby się membrana. Następnie wsadziłyby kabel pod koszulę i tak długo tupąła nogami, aż wyleciałyby od dołu.

– No dobrze. Jestem gotowa. – Freyja zapięła pasek i zdjęła gumkę z włosów. Rozpuściła je, by zakryły uszy. – Czy jest coś, na czym szczególnie powinnam się skoncentrować? Jakież priorytety? – Pytanie skierowała bezpośrednio do Hul dara, który chciał właśnie zasiąść na swoim miejscu. Wszyscy zebrani, w tym samym składzie, co poprzednio, poszli za jego przykładem. Erla siedziała z boku Hul dara, z założonymi na piersiach rękoma, jak obrażony dzieciak. Przez całą drogę do schroniska nie zamienili ze sobą ani słowa i pewnie wracać też będą w kompletnej ciszy. Erla nie była jednak obrażalska i pamiętliwa. Już raczej impulsywna.

Hul dar odsunął od siebie myśli o Erli.

– Musimy szczególnie skoncentrować się na tym, co mogła zobaczyć i usłyszeć. Każde jej słowo może być kluczowe i naprowadzić nas na to, kim jest ten mężczyzna. Bardzo ważne byłoby nakłonienie jej do wyjaśnienia, dlaczego obwinia o wszystko swojego tatę. To też mogłoby nam bardzo pomóc. Musimy też dowiedzieć się, czy kojarzy, co się działo podczas jazdy na stację benzynową, a jeśli tak, to czy był z nimi w samochodzie jakiś mężczyzna. I jeżeli wystarczy nam czasu, chciałbym, aby pokazano jej wiadomości zostawione przez sprawcę u niej w domu. Ale nie jest to teraz najważniejsze.

Freyja kiwnęła głową na znak, że zrozumiała i wyszła z pokoju, by zastąpić Silję. Molly szła tuż za nią i kiedy obie wkroczyły do pokoju przesłuchań, na widok Margrét zaczęła dziarsko machać ogonem. Klosz wokół pyska suczki poruszał się bez przerwy. Nie widziały się może kwadrans. Hul dar próbował wyobrazić sobie reakcję psa po nieco dłuższej rozłące.

– No i jesteśmy już z Molly. – Freyja usiadła na sofie obok Margrét. – Nie było nas tylko przez chwilę, zgadza się?

Margrét wzruszyła ramionami.

– Jasne. – Wsadziła rękę pod klosz na karku Molly i głaskała ją po głowie. Sunia wyglądała na bardzo zadowoloną.

Freyja zaczęła od rzeczy lekkich i przyjemnych. Mówiła głównie o Molly. O tym, że po wszystkim czeka je spacer po okolicy lub że pojedą do Geirsnef,

gdzie psy mogą swobodnie biegać bez kagańca. Jej uwagi o tym, że Molly z kloszem wokół głowy mogłaby czuć się nieswojo w obecności innych piesków, wywołały uśmiech na twarzy Margrét. Po jej ciele widać było, że odprężyła się nieznacznie. Ledwie jednak Freyja przeszła do sedna sprawy, napięcie powróciło i dziewczynka nienaturalnie się wyprostowała.

– Jak wiesz, Margrét, policja szuka człowieka, który skrzywdził twoją mamę. Nie chcą niczego innego, jak tylko złapać i wsadzić go do więzienia. Tylko wtedy możemy być pewni, że już nikogo więcej nie skrzywdzi. – Wcześniej ustalono, żeby zaoszczędzić Margrét dodatkowego stresu i nie informować jej o śmierci Ástrós, bo mogłoby to pokrzyżować przebieg przesłuchania. Mała pokiwała głową z poważną miną. Wyglądało, że rozumie powagę sytuacji. – Ale żeby móc go szybko i bezpiecznie złapać, policjanci muszą wiedzieć, kim on jest. Inaczej nie będą mieli pojęcia, kogo szukają.

– Mordercy nie są tacy jak my. – Margrét mówiła cicho, prawie szeptem.

– Racja, nie są jak my. Nie w środku. Tylko że na zewnątrz mogą wyglądać prawie tak samo jak my.

– Ale nie ten morderca.

– Nie, z pewnością. Mówiłaś przecież, że ten wygląda jakoś szczególnie.

– Nie tak całkiem.

– Nie? Ja na przykład nie znam nikogo z dużą głową. Ani białą, ani z czarną. – Freyja podniosła dłonie do góry i nakreśliła w powietrzu niewidzialną kulę wielkości piłki do koszykówki. – Była taka duża?

– Tak. – Margrét wciąż nie podnosiła głosu, więc ludzie siedzący wokół stołu konferencyjnego musieli nachylić się do głośników, by usłyszeć, co mówi. Dziewczynka wyglądała na zmieszaną, jakby zorientowała się, że jej wcześniejszy opis postaci był zupełnie nierealny. – Właśnie taka duża.

Freyja miała problem z zadaniem kolejnego pytania. Huldar nachylił się do mikrofonu pośrodku stołu.

– Proszę zapytać, jakie miał włosy. Może to właśnie wytłumaczy rozmiar głowy: że miał perukę lub dziwną fryzurę. W ciemności mogła się przecież pomylić.

Freyja błyskawicznie podłapała watek.

– Przypominasz sobie, Margrét, jakie włosy miał ten mężczyzna? – Nie powiedziała jej, dlaczego zadała to pytanie ani też nie wymieniła kolorów włosów

czy też rodzajów fryzur. Huldar we współpracy ze schroniskiem nauczył się już dostatecznie wiele, żeby wiedzieć, że pytanie było doskonale przemyślane. Freyja chciała zapobiec temu, aby jej słowa miały bezpośredni wpływ na wspomnienia dziewczynki i aby powiedziała coś tylko dlatego, że było zgodne z oczekiwaniami dorosłych.

– On nie miał włosów. – Takiej odpowiedzi nikt się nie spodziewał. Wokół stołu konferencyjnego wymieniano zdziwione spojrzenia. Tylko Huldar nie był specjalnie zaskoczony, bo na miejscu zbrodni nie znaleziono przecież włosów sprawcy. Jak również sztucznych włosów, które mogłyby pochodzić z peruki. Podejrzewano, że zanim morderca opuścił dom, odkurzył przyniesionym ze sobą ręcznym odkurzaczem łóżko, by usunąć po sobie wszelkie biologiczne ślady. Wiadomo, że nie mógł użyć domowego odkurzacza, bo ten był zajęty. To samo dotyczyło mieszkania Ástrós, tam również niczego nie znaleziono. W worku odkurzacza znajdowały się tylko włosy gospodyni. To jeszcze bardziej utwierdziło ich w przekonaniu, że używał przyniesionego ze sobą ręcznego urządzenia. Oczywiście można też było założyć, że w ogóle nie miał włosów.

– A może był łysy? – Freyi udało się wypowiedzieć pytanie neutralnym tonem, by w żadnym razie nie dawać Margrét do zrozumienia, jakiej odpowiedzi się od niej oczekuje.

– Nie wiem. – Margrét wydawała się być zestresowana i zmieszana. Poprawiła się na sofie i unikała kontaktu wzrokowego z Freyją. – On miał świecąca głowę. Pamiętam bardzo dobrze. – Ściągnęła brwi, po czym popatrzyła na Freyję i dodała, lekko się wahając: – On nie miał uszu.

Erla jęknęła, na szczęście jednak niezbyt głośno. Huldara zalała złość. Miał tylko nadzieję, że Freyja tego nie usłyszała. Chciał obrzucić koleżankę karcącym spojrzeniem, ale zrezygnował, bo i tak nic by to nie dało, co najwyżej przeszkodziło w dalszym zadawaniu pytań. Zamiast tego przybliżył się do mikrofonu.

– Proszę zapytać, czy ten, którego widziała u siebie w ogródku, wyglądał tak samo. Bez uszu i tak dalej.

Po drugiej stronie szyby Freyja założyła nogę na nogę i prawie niedostrzegalnie pokiwała głową.

– Margrét, pamiętasz rysunki, które pokazywaliśmy ci poprzednio? Czy ten

człowiek, którego namalowałaś, wyglądał tak samo jak ten, którego widziałaś w domu tamtej nocy? Z dużą czarną głową i bez uszu?

Margrét bawiła się włosami, nawijając na palec rudy lok. Najwyraźniej się zastanawiała.

– Tak, myślę, że tak. Ale nie wiem na pewno. Wtedy miał coś na głowie.

– Co miał na głowie? Czapkę czy coś w rodzaju kominiarki?

Margrét zmarszczyła czoło.

– Kominiarki? A co to jest?

Freyja się uśmiechnęła.

– To jest taka zrobiona na drutach czapka, która zasłania też szyję, z dużą dziurą na twarz albo z małymi dziurkami na oczy, uszy i buzię. Czasem nie ma otworu na nos. Jeśli widzi się kogoś w takiej czapce nocą, to można pomyśleć, że ma czarną głowę bez uszu.

– Nie ma dziurek na uszy w takiej kominiarce?

– Nie. Raczej nie ma.

– To on nie był w czymś takim. Miał kaptur, taki od bluzy.

– Czy ten człowiek, którego widziałaś w nocy w domu, też miał kaptur na głowie?

– Nie. – Odpowiedź była natychmiastowa.

– A może kominiarkę?

– Nie. – Znowu odpowiedziała bez zastanawiania się.

– No to dobrze. – Freyja popatrzyła w kierunku szyby.

Huldar zrozumiał, że oczekuje wskazówek co do następnych pytań, więc szybko podsunął:

– Proszę zapytać o pobyt na stacji benzynowej.

– Pamiętasz, Margrét, jak tankowaliście benzynę w ubiegły czwartek?

W reakcji na pytanie mała jedynie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Proszę powiedzieć, że mama kupiła im wtedy lody na patyku. Może właśnie to naprowadzi ją na właściwy tor.

– Mama kupiła tobie i twoim braciom lody na patyku.

Margrét kiwnęła głową.

– Tak, pamiętam. Stebbi i Bárður kłócili się o figurkę Spider-Mana.

– Ach tak. Rozumiem. – Freyja uśmiechnęła się do dziewczynki. Ten uśmiech

wywołał u Huldara nieprzyjemnie wspomnienie ich wspólnie spędzonej nocy, bo Freyja uśmiechała się w taki sposób, gdy skończyli się kochać. Chrzękając i zasłaniając ręką usta, próbował oczyścić się z myśli tak bardzo nieprzystających do sytuacji. Jakim był idiotą. Freyja przestała się uśmiechać i ciągnęła dalej. To wystarczyło, by znów zdołał się skoncentrować.

– A kto był w samochodzie, kiedy pojechaliście na stację?

Margrét wyglądała na zdenerwowaną.

– Przecież już ci mówiłam. Ja, Stebbi i Bárður. No i mama oczywiście.

– I nikt inny?

– Nie. Już to mówiłam.

– Ależ oczywiście.

Huldar wpadł jej w słowo.

– Proszę zapytać, kto tankował samochód.

– A kto wlewał benzynę do baku? Przypominasz może sobie?

– No, nie ja.

– Jasne, że nie. Ani też Báður czy Stefán.

Margrét parsknęła niczym stara kobieta.

– Oni przecież są za mali i do tego straszne z nich gapy.

– Więc kto to zrobił?

– Człowiek. Benzyniarz.

– Benzyniarz? Czy miał na sobie kombinezon roboczy?

– Nie, był tylko w ubraniach. Nie w jakimś kombinezonie. A jak wyglądają kombinezony robocze na stacjach benzynowych?

– To są takie ubrania w podobnym kolorze jak stacja paliw. Z ich znacznikiem firmowym z przodu. O tu. – Freyja poklepała się po lewej piersi. Huldar miał duży problem z utrzymaniem myśli na wodzy. – Czy miał na sobie właśnie takie ubranie?

– Nie, był w zwykłych ubraniach. W bluzie, w spodniach i w rękawiczkach. Spojrzała błyskawicznie na Freyję z poważną miną. – I nie miał kominiarki. Tylko kaptur od bluzy. Tak samo jak ten z człowiek z ogródka.

– Proszę zapytać, czy myśli, że to ten sam człowiek – wtrącił znów Huldar.

Freyja poruszyła powoli głową raz w lewo raz w prawo. Silja zorientowała się, co w ten sposób Freyja chciała przekazać Huldarowi i szybko wyjaśniła:

– Nie powinno się w ten sposób zadawać pytań. Margrét może wyczuć ukrytą podpowiedź i zacząć myśleć, że tak właśnie jest. Z tej drogi nie da się już zawrócić, choćby nawet okazało się to nieprawdą.

Huldar nachylił się do mikrofonu.

– Zmieńmy pytanie. Czy widziała jego twarz lub słyszała, jak coś mówił, i czy wszedł, po tym jak zatankował bak, do sklepu na stacji?

Po czym zwrócił się do Silji.

– Możliwe, że uchwycił go monitoring w sklepie.

– Margrét, widziałaś twarz tego pracownika stacji?

– Nie, bo miał założony kaptur. Już ci to mówiłam.

– A co on dokładnie robił? Przypominasz sobie?

Margrét zmarszczyła nos, który musiał ją swędzieć przy strojeniu tej miny, bo zaczęła go gwałtownie pocierać.

– On podszedł do mamy, kiedy wysiadła z auta, i odebrał od niej kluczyki. Potem otworzył małe drzwiczki benzynowe w aucie i wsadził do nich rurę. Nie widziałam tego, jak to robi, tylko słyszałam. Ale też niezbyt dobrze, bo musiałam uspokoić niegrzecznych braci. Zabrałam im Spider-Mana.

– Dobrze to wszystko pamiętasz. I co dalej?

– Kiedy skończył napełniać bak, otworzył drzwi od samochodu i odłożył kluczyki na siedzenie mamy. I poszedł sobie.

– Widziałaś może wtedy jego twarz, gdy otworzył samochód i pochylił się do środka?

– Nie, bo miał na głowie kaptur. Już ci to mówiłam. Parę razy. Siedziałam z tyłu koło Stefána i Bárðura. Nie mogę jeszcze jeździć z przodu, dopóki nie skończę dziesięciu lat. Albo dwunastu. Nie pamiętam dokładnie.

– Możemy później sprawdzić dokładnie, ile trzeba mieć lat, jeśli chcesz. – Freyja poprawiała sobie włosy. – A gdy zamknął drzwi od samochodu, to dokąd poszedł?

– Po prostu poszedł sobie.

– Do sklepu na stacji?

– Nie. Przed siebie.

– A widziałaś dokąd?

– Nie, bo Stefán wyrwał mi z rąk Spider-Mana. Musiałam z nim walczyć, żeby mu go zabrać.

– W porządku. Człowiek czasem nie może wszystkiego widzieć. – Freyja sięgnęła do stolika po dzbanek z wodą i nalała do szklanek. – Chcesz wody? – Margrét pokręciła głową. Freyja upiła łyk. – Na koniec zostały nam do omówienia jeszcze dwie rzeczy, Margrét. I to nie będzie łatwe. Może od razu zaczniemy, żeby mieć już to za sobą? A po wszystkim będziemy mogli pójść z Molly na spacer albo na lody. Może lepiej na gorącą czekoladę, bo na lody chyba jest za zimno.

– Nigdy nie jest za zimno na lody.

– Tak. Masz całkowitą rację. – Freyja odłożyła szklankę i oparła się ponownie na sofie. – No to zaczynamy?

– A mogę wybrać, co będzie pierwsze?

– Tak. Możesz. – Wyglądało na to, że Freyja zastanawia się chwilę nad doбором odpowiednich słów. – O czym chcesz na początku rozmawiać? O tym, co stało się w nocy, kiedy ten człowiek skrzywdził twoją mamę, czy o swoim tacie?

Całe ciało Margrét opanował niepokój, poruszało się bezładnie. Wybór nie był dla niej łatwy. Zresztą nic dziwnego.

– Chcę najpierw rozmawiać o tamtej nocy i o tym człowieku. – Podniosła wzrok na Freyję i dodała: – Ale możesz mi zadać tylko jedno pytanie na każdy z tych tematów. Nie wolno zadawać dwóch. Jedno pytanie o tamtej nocy i jedno o tacie. I potem chcę już sobie pójść.

– Nie ma sprawy. Jedno pytanie o tamtej nocy i jedno o twoim tacie. Umowa stoi. – Freyja ponownie napiła się wody. – No to zaczynam. Skąd wiedziałaś, że ten człowiek ma zamiar zrobić krzywdę innej kobiecie? Mówił coś o tym?

– Tak. – Margrét zamknęła usta i patrzyła w oczy Freyi.

– Tylko „tak”, to nie jest w porządku odpowiedź, Margrét.

– A właśnie, że jest.

– To tak, jakbym poszła z tobą do lodziarni i pozwoliła ci zamiast całych lodów kupić tylko wafelek. Musisz mi jeszcze opowiedzieć, co dokładnie mówił.

– Ale przysięgasz, że nie będziesz mnie już o to więcej pytać? – Freyja się zgodziła. Margrét wzięła głęboki oddech, by lepiej przygotować się do odpowiedzi. – Powiedział, że jest jeszcze jedna kobieta, na której chce się zemścić. Bo ona źle policzyła. – Dziewczynka zamilkła i wsunęła swoje dłonie pod uda. Panda uwypukliła się na jej koszulce. Zupełnie nie pasowała do całej tej sytuacji.

Huldar błyskawicznie nachylił się do mikrofonu.

– Musi powiedzieć coś więcej. W domu drugiej ofiary znaleziono kartkę z rachunkami. To jest bardzo ważne.

Freyja odwróciła się od Margrét i skrzywiła się, patrząc w szybę.

– Ona nie może tego zrobić, bo obiecała nie zadawać kolejnych pytań. Musi się pan zadowolić tym, co jest. Chyba że chce pan zrezygnować z pytania o ojca – ostrzegła Silja, a Freyja delikatnie skinęła głową na znak, że się z tym zgadza.

– Nie, proszę zapytać o jej ojca. – Huldar starał się opanować swoje niezadowolenie z powodu obrotu sprawy. Niezbyt dobrze mu to wychodziło. Wyglądało jednak na to, że nikt tego nie zauważył.

Mimo wszystko Freyja spróbowała jeszcze raz zrobić przysługę Huldarowi, choć oczywiście myślała o korzyściach dla śledztwa, a nie o nim samym. Nie oszukiwał się jednak, że jej dobra wola powodowana była tym, iż była mu coś winna. Niestety. On natomiast gotów byłby dla niej zrobić dużo więcej.

– Margrét, czy mogę zadać ci drugie pytanie o tej kobiecie i tym rachunku?

Dziewczynka pokręciła główką.

– To przejdę po prostu do następnego pytania. Jest o wiele trudniejsze, bo dotyczy twojego taty. Jesteś taka dzielna. Musisz tylko zacisnąć zęby i odpowiedzieć. A po wszystkim wybierzesz, czy chcesz dostać waniliowe czy truskawkowe lody.

– Czekoladowe. Chcę czekoladowe lody.

– No to dostaniesz czekoladowe. Tylko najpierw skończymy to, a potem czeka nas spacer z Molly i jedzenie lodów. – Pies, który przez cały czas leżał spokojnie u stóp Margrét, zaciekawiony podniósł łeb otoczony sztywnym kłosem i przez chwilę patrzył to na jedną, to na drugą, po chwili jednak znów przyłgął do podłogi. – Dlaczego uważasz, że twój tato ma coś wspólnego z tym wszystkim? Czy ten mężczyzna powiedział coś, co cię do tego przekonało? Tylko bardzo proszę, żebyś nie odpowiadała jednym słowem, że tak lub nie.

I znowu Margrét wzięła głęboki oddech. Wzrok miała spuszczonej. Sprawiała wrażenie, jakby pragnęła zapaść się w siebie samą lub wtopić w sofę. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, jej głos był cichy oraz przepełniony smutkiem i rozpaczą. W pokoju, z którego ją obserwowano, wszyscy obecni nachylili się do głośników na środku stołu.

– Ja nie chciałam słyszeć jego historii. – Zamilkła. Oddech miała ciężki. Zaczęła

dalej mówić. – Ale część słyszałam. Słyszałam, jak mówił do mamy o tacie, że to jego wina i że mama musi umrzeć, żeby mógł się na nim zemścić, bo tata jest mordercą. A nie on. Ale zabił mamę. – Margrét spojrzała w górę, twarz miała zalaną łzami. Drobne ciało drżało. Wytarła łzy z policzków. – To wina taty.

Przesłuchanie dobiegło końca i nie było szans na pokazanie Margrét kodów liczbowych. Freyja sięgnęła do ukrytego w kieszeni spodni nadajnika i wyłączyła go. Przez chwilę w pokoju zebrań panowała absolutna cisza, bo wszyscy łamali sobie głowy nad tym, co powiedziała Margrét. Jeśli miała rację, można było odłożyć na półkę dochodzenie na temat Elisy i skoncentrować się na jej mężu. Huldar wątpił, że mógłby on popełnić zabójstwo, chociaż nie można było i tego wykluczyć. Najprawdopodobniej Sigvaldi nie powiedział im całej prawdy o swojej pracy. Wyglądało na to, że musiał przyczynić się do śmierci noworodka, rodzącej lub innej pacjentki. W każdym razie tak widział to morderca Elisy.

Huldar wstał od stołu.

– Muszę zabrać nagranie z przesłuchania. – Chciał jeszcze raz to wszystko przesłuchać. Wiele razy. W myślach układał sobie wszystkie nowo zebrane informacje. Nagle go olśniło. Duża, świecąca i czarna głowa. Żadnych uszu.

Mężczyzna był w kasku. W kasku motocyklowym.

Rozdział 25

Przewieszane przez krzesła okrycia studentów wydzielają zapach wilgoci. Śnieg z kurtek stopniał, tworząc pod ławkami małe kałuże. Kiedy wykładowca robił pauzę, gdzieś słychać było odgłosy spadających kropel wody.

Karl miał problemy ze skupieniem. Nieważne, jak bardzo starał się śledzić slajdy prezentowane na tablicy, i tak wciąż łapał się na tym, że nasłuchuje delikatnego dźwięku. Kapanie, a nie wykład, pochłaniało całą jego uwagę. Im bardziej próbował wsłuchiwać się w słowa docenta, tym mniej rozumiał z omawianego tematu. Odkąd sięgał pamięcią, nauka była dla niego jednym wielkim wyścigiem, którego nie mógł wygrać. Kiedy udało mu się w końcu pojąć jedno, opór stawiało drugie. Czuł się wtedy jak pies, który próbując złapać własny ogon, kręci się w kółko. Zwłaszcza na takim wykładzie jak ten, kiedy nie mógł się skoncentrować. To był bardzo ważny dział, o czym nauczyciel poinformował ich już na początku. Wszystko, czym mieli zajmować się później, opierało się na omawianym dzisiaj materiale. Cholera, że też nie mógł sobie tego przyswoić.

Otwarty dokument na ekranie laptopa odzwierciedlał stan jego umysłu. Nie udało mu się niczego zanotować. Nie mógł pocieszyć się tym, że studentom siedzącym przed nim nie szło lepiej, zwłaszcza że po wykładzie nie będzie mógł wyzebrać od nich notatek. W zamian będzie musiał zadowolić się slajdami nauczyciela, które w domu przy biurku nie staną się przecież bardziej zrozumiałe. Wręcz przeciwnie.

Nazwa pierwiastka pochodzi od miejscowości Ytterby w Szwecji, gdzie w roku 1843 chemikowi Carlowi Gustawowi Mosanderowi udało się z gadolinitu wyizolować pierwiastki itr, erb i terb. Podobieństwo erbu i terbu spowodowało, że w tamtych czasach naukowcy mylili je ze sobą i...

Karl stracił wątek. Zamiast chłonąć wiedzę, która była taka istotna, co drżącym głosem wykładowca regularnie dawał do zrozumienia, myślał o stacji radiowej. We wczorajszej audycji nie było starych lub nowych numerów PESEL, tylko zupełnie nieznanymi i niezrozumiałymi dla niego ciąg liczb, który kołatał mu się teraz po głowie. Czuł, jakby utworzył w niej trzepoczące skrzydła. I chociaż same liczby wydawały

mu się znajome, to wszelkie próby złożenia ich w logiczną całość spełzały na niczym. Nie mógł ich ogarnąć, mimo iż bardzo się starał.

Dziewięć, dziewięćdziesiąt dwa, sześć, dziewiętnaście, trzydzieści dziewięć, osiem, dziewięćdziesiąt dwa. Nie było żadnego systemu w tych siedmiu liczbach. Nie istniał alfabet z ponad dziewięćdziesięcioma literami, które można by podporządkować każdej liczbie. Trzykrotnie próbował na kartce podporządkować każdej literze alfabetu trzy liczby. I nic. Nawet wtedy, kiedy dołączył islandzkie litery, nie dało się z tego wyczytać niczego logicznego.

Kompletna bzdura.

W zasadzie nie powinno go to dziwić. Przecież już od lat przysłuchiwał się zagranicznym audycjom, nie rozumiejąc nawet odrobiny z nadawanych kodów liczbowych. Bez klucza nie można ich było rozszyfrować. Jakże mógł pomyśleć, że inaczej będzie z islandzkim nadawcą? Jednak cały czas nie opuszczało go wrażenie, że powinien skądś znać te kody i wiedzieć, co oznaczają. Po tym, jak rozszyfrował numery PESEL i numery osobowe, powinien dać sobie radę i z tą audycją. W głębi duszy czuł, że była skierowana bezpośrednio do niego. Po co ktoś miałby się wysilać, jeśli on nie potrafiłby tego rozszyfrować?

Dlaczego liczby te nie mogły być mu zwyczajnie obojętne? Wtedy o wiele łatwiej można by było o nich zapomnieć. Ale to nieopuszczające go uczucie, że powinien wiedzieć, jak odczytać zagadkę, wytrącało go z równowagi. Do tego dochodziło jeszcze przeświadczenie, że wiadomości miały dużą wagę i dotyczyły Karla.

Jego lub Arnara.

Karl wlepił wzrok w przeźrocza, z których rozumiał tyle co z pisma obrazkowego Majów. Zanim się w tym wszystkim połapie, upłynie wiele czasu, teraz więc może myśleć o czymś innym. Na pewno nie o chemii. I znowu jak fala powróciło uczucie, że rozwiązanie jest tuż-tuż. Płacze się między półkulami w mózgu i nie chce stamtąd wyjść.

Wykładowca zwiększył tempo, mówił coraz szybciej i przerzucał przeźrociami, jakby pracował na akord. Świadczyło to zarówno o tym, że zajęcia wkrótce się skończą, jak i dowodziło, że jak zwykle zaplanował zbyt wiele materiału na jeden wykład. Jak nigdy dotąd Karl nie cieszył się na samą myśl, że wkrótce będzie musiał opuścić salę wykładową, która była tak samo dobra do rozmyślań, jak każde

inne miejsce. Bez względu na to, gdzie akurat przebywał, i tak całą jego uwagę pochłaniały kody. Nawet dziewczyna, w której Karl się podkochał, nie zdołała go rozproszyć. Chociaż siedziała w ławce przed nim i liczyła, że będzie czułym wzrokiem pieścił jej odsłoniętą szyję. Poruszyła szybko głowę, przerzucając długie włosy na drugą stronę. W normalnej sytuacji fruwające loki i delikatny zapach szamponu przyciągnęłyby jego uwagę, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Ostatnia folia pojawiła się na tablicy. Nauczyciel monotonnym głosem zlecał zadania domowe i materiały do przygotowania na następny raz. Do Karla nic z tego nie dotarło. Naśladując innych, Karl podniósł się z ławki, podczas gdy wykładowca wciąż jeszcze mówił, choć naprawdę nikt go już nie słuchał. Dziewczyna odwróciła się i włożyła podręcznik do torebki, wyglądając przy tym na dotkniętą brakiem zainteresowania z jego strony. Nic nie było w stanie rozweselić Karla, nawet ten drobny triumf w ich nieistniejącym przecież związku.

Dziewczyna założyła spakowaną torebkę na ramię i ruszyła do wyjścia. Kątem oka widział, jak kołysze biodrami i spogląda ukradkiem, czy aby przypadkiem nie śledzi jej wzrokiem. Po raz pierwszy nie śledził, więc po chwili zaczęła iść normalnie.

Następne zajęcia miały zacząć się za kwadrans. Karl zastanawiał się, co ma zrobić. Zostać czy uciec? Uciec czy zostać? W jego głowie toczyła się bitwa o trafną decyzję. Ciało jednak sprawiało wrażenie niezainteresowanego pojedyńkiem, a jego nogi krok za krokiem niosły go bez świadomego podjęcia wyboru. Zanim się zorientował, był już poza budynkiem szkoły. W myślach nadal toczył się bój, ale ciało przejęło władzę. Na zewnątrz wirowały unoszone w górę przez wiatr płatki śniegu, który spadł z rana. Idąc na parking pod szkołą, Karl przeklinał biały puch wpadający i szczypiący w oczy. Że też nie wpadł na to, by ubrać się cieplej. Zadzwoił telefon. Stojąc w białej zadymce, nie próbował nawet odczytać, kto dzwoni. Odebrał.

– Widziałeś w Internecie? – Börkur sprawiał wrażenie zadyszanego. Była dopiero jedenasta. Normalnie o tej porze jeszcze by spał.

– Co masz na myśli? – Karl czuł na języku płatki śniegu. Podejrzewał, o co chodziło Börkurowi, ale nie chciał powiedzieć, na wypadek, gdyby jednak się pomylił. Poza tym rozmowa na ten temat niczego dobrego by nie przyniosła. Musiał zachować jasność umysłu.

– Nazwisko! Nazwisko tej kobiety – Börkur nieomal eksplodował. – Ona nie żyje. Zabita na amen. Podejrzewa się, że ją zamordowano.

Karl milczał. Wiadomość, w której było nazwisko nieżyjącej kobiety, przeczytał w dzisiejszej w gazecie. Jadł w tym czasie na wół suche musli, bo w lodówce zabrakło mleka. Płatki owsiane urosły mu w ustach, zamieniając się w betonową masę, gdy dowiedział się, że była to ta sama kobieta, której PESEL wyczytano w radiu. Elisa Bjarnadóttir. Z dużym wysiłkiem udało mu się przełknąć śniadanie i przeczytać artykuł do końca. Wspomniano w nim również o śmierci jeszcze innej kobiety, co jednak nie wzbudziło jego zainteresowania. Policja wciąż nie podała do publicznej wiadomości, czy schwytano już sprawcę. Dziennikarzowi udało się ustalić jedynie, że śledztwo jest w toku i że już wkrótce wystosowane zostanie oficjalne orzeczenie w tej sprawie. Według źródeł gazety, nikt nie został zatrzymany, a policja nie była w posiadaniu konkretnych dowodów popełnionego czynu. Pasowało to do apelu, który wystosowała do wszystkich obywateli, prosząc o pomoc i zakładając, że w zeszły czwartek w nocy ktoś mógł przebywać w pobliżu miejsca zamieszkania denatki. Karl znał ten krótki artykuł na pamięć.

– Widziałem. – Nie wspomniał o jeszcze krótszej wzmiance w gazecie, która sprawiła, że wpadł w panikę. Napisano tam, że inna kobieta zmarła w wyniku popełnionego przestępstwa. Nie podano jej nazwiska, a policja odmówiła podania jakichkolwiek informacji. Nie chciał kolegi jeszcze bardziej zdenerwować. Karl nie wiedział, w jakim stopniu oba te zabójstwa łączyły się ze sobą. – Przeczytałem dzisiaj rano.

– No i co? Co to może oznaczać?

Pytanie to nurtowało go od momentu, kiedy odstawił do zlewu, na stos brudnych naczyń prawie nietkniętą miseczkę ze śniadania.

– Nie mam pojęcia. – Karl pomyślał o bransoletce. Przeglądął na Facebooku bardzo dokładnie wszystkie zdjęcia Elisy w nadziei, że zobaczy ją na jej przegubie. Nadzieja to nie było odpowiednie słowo. Wręcz przeciwnie. Poczuł ulgę, gdy na żadnym ze zdjęć nie natknął się na biżuterię. Bransoletka w dalszym ciągu leżała na jego biurku przy komputerze. I chociaż był prawie pewien, że nie należała do nieżyjącej już Elisy, to nie mógł się przemóc, by dotknąć jej ponownie.

– Nie zamierzasz zadzwonić na policję?

– Tak. Nie. Sam w końcu nie wiem. – Karl doszedł już do samochodu. By móc

otworzyć drzwi od niego, przytrzymał telefon brodą. – I co miałbym im powiedzieć? Że słyszałem jej PESEL w radiu?

– Tak, właśnie tak. Dlaczego nie? Mogliby wtedy znaleźć tego, który nadał wiadomość.

– Ale jak mieliby to zrobić? Śledzenie takich audycji to nie bułka z masłem. Przecież nie złączą poszukiwań tylko na podstawie jakichś moich domniemań. – W samochodzie było jeszcze zimniej niż na dworze. – Nie nagrałem tego, a Halli spał, kiedy to słyszałeś. Tylko my dwaj jesteśmy świadkami.

– Dwóch świadków to zawsze lepiej niż jeden. – W głosie Börkura słychać było przygnębienie. Zorientował się nagle, że dla Karla był nic nieznaczącą osobą. – Halli i tak nie byłby wiarygodnym świadkiem dla policji, wiesz o tym.

– Tak. Wiem. – Ale czy rzeczywiście? Przecież nie aresztowano go z powodu krzywoprzysięstwa lub składania fałszywych zeznań. Ściąganie z Internetu lub nielegalne rozprowadzanie muzyki i filmów nie było poważnym przestępstwem, chociaż osiągnęło dużą skalę. Karl zakładał, że sprawa skończy się na kolegium, gdzie zasądzona zostanie wysoka grzywna. Natomiast Halli i Börkur wmawiali sobie, że tego pierwszego czeka długa odsiadka w więzieniu. Już samo przysłuchiwanie się ich rozmowom, podczas których przypuszczalny wyrok, jaki mógł dostać Halli, coraz bardziej się wydłużał, sprawiało, że czuł się niczym na licytacji. Ale może było coś w tym, o czym mówił Börkur: Halli ze swoim wyrokiem w zawieszeniu nie byłby dobrym i wiarygodnym świadkiem.

– Hej! – Börkur na nowo odzyskał entuzjazm. – Gliny na pewno mają kogoś, kto mógłby rozszyfrować te kody. Jakichś specjalistów od szyfrów czy coś w tym stylu.

Karl zdzwonił zębami z zimna. Z dużym wysiłkiem udało mu się odpowiedzieć:

– Nie wydaje mi się. Po co policja miałaby opłacać na stałe kryptologa? Przecież to nie jest tak, że islandzcy kryminaliści używają szyfrów na co dzień. Czy to bardziej nie pasuje do szpiegów? Ale co i kto chciałby tu szpiegować? – Karl wsadził kluczyk do stacyjki. Na myśl o powrocie do domu zrobiło mu się nieprzyjemnie i nagle ucieszył się z telefonu. – Masz teraz coś do zrobienia? – Prawdopodobieństwo, że przyjaciel miałby teraz coś bardzo ważnego i znaczącego do załatwienia, było równe zeru, pytanie Karla było więc czysto formalne.

– Nie. Nic szczególnego. – Börkur w przeblasku tak rzadko się u niego

pojawiającej intuicji zapytał: – Chcesz, żebym do ciebie wpadł?

– Będę w domu za dziesięć minut. Wpadaj. – Karl zapalił silnik i chociaż wentylacja wyrzucała z siebie lodowate powietrze, wiedział, że już za chwilę będzie cieplej. Wszystko będzie lepiej.

Karl poddał się dopiero po dziesięciu minutach czekania w aucie przed domem. Börkur mógł zjawić się niebawem, ale równie dobrze po południu, nie dało się tego przewidzieć. Zostawienie samochodu z ogrzewaniem na chodzie oznaczało koszty, a Karl nie miał za dużo pieniędzy na benzynę. Już po raz kolejny wpatrywał się w duże okno pokoju gościnnego. Czuł, jak cały sztywnieje ze strachu na samą myśl o tym, że mógłby ujrzeć w nim jakieś poruszenie. Ale ciemne szyby nie chciały zdradzić niczego, co mogło się dziać w środku. Oczywiście, że nikogo w domu nie było. Jednak natrętna myśl, że ktoś skrada się po pokoju lub że nie można go dojrzeć z zewnątrz, bo stoi za daleko od okna, nie opuszczała go. Dopiero teraz żałował, że pozbył się firan.

W pustych szybach odbijał się tylko zniekształcony obraz okolicznych domów. Od bezustannego wpatrywania się w ciemne okna Karla zaczęły szczypać oczy. To już jednak przesada, żeby bać się wejść do własnego domu. Podejrzewał, że nieprędko pozbędzie się tego uczucia. Musi minąć wiele czasu, zanim będzie w stanie swobodnie tu przebywać. Przypominało mu się zachowanie matki po włamaniu, krótko przed tym, jak zachorowała. Choć prawie niczego nie skradziono, skutki tego były takie, jakie on sam odczuwał w tym momencie: matka straciła poczucie bezpieczeństwa i wciąż obawiała się, że włamywacz powróci. Jak twierdziła, najgorzej czuła się za każdym razem, gdy wracała do domu i otwierała drzwi wejściowe. I chociaż policjant, którego wezwała, przekonywał ją, iż włamywacze rzadko kiedy wracali w to samo miejsce, nie miało to dla niej znaczenia. Karl podejrzewał jednak, choć nie było go przy tej rozmowie, że miał on przede wszystkim na myśli domy takie jak ten, z których nie było za bardzo co kraść już za pierwszym razem, a co dopiero za drugim. Teraz żałował, że zamiast przewracać oczami, kiedy matka zaczynała swoje tyrady na temat zabezpieczeń przeciwko włamaniom i potrójnych zamków, nie okazał jej więcej zrozumienia. W tym momencie zabezpieczenie bardzo by mu się przydało.

Zacisnął zęby i wyłączył silnik. Przecież nie będzie się zachowywać jak jakiś cholerny półgłówek. Wyglądało na to, że jeszcze długo będzie musiał mieszkać sam, więc lepiej było zdusić strach w zarodku, zanim rozwinie się w jakąś cholerną fobię. Niewątpliwie istniało jakieś proste wytłumaczenie tego ciągłego pukania oraz tego, w jaki sposób bransoletka wylądowała na jego stole. Nie było żadnych śladów włamania, a dom był zamknięty. To tylko jego urojenia. Beztrosko wysiadł z samochodu, ale już nie potrafił powstrzymać się do trzaśnięcia drzwiczkami, by dać o sobie znać ewentualnemu złodziejowi. Za nic nie chciał przyłapać intruza na gorącym uczynku, już wołał, by ten wybiegł tylnymi drzwiami z nic niewartymi meblami pod pachą. Niczego innego nie było, wszystko wywiózł przecież na wysypisko.

– Halo? – Cisza, żadnych kroków uciekającego złodzieja. Karl wsadził głowę do wnętrza przez uchylone drzwi. – Halo? – Nikt nie odpowiadał. Już nie mógł być bardziej pewien. Wszedł do środka.

Przywitał go znajomy zapach. Był do niego za bardzo przyzwyczajony, by móc wyobrazić sobie, jak mogliby przyjąć go inni. Nie miał też pojęcia, skąd pochodził. Wydawało mu się, że zapach zakurzonych firan i uschłych roślin doniczkowych, który rozgościł się tu po śmierci jego mamy, powoli zanikał. Prawdopodobnie już niedługo ulotni się bezpowrotnie, po tym jak wszystkiego się pozbył. Karl rzucił niedbale pęk kluczy na stojącą w przedpokoju komodę. Odbiły się od polityry i zahaczyły z brzękiem o brzydki porcelanowy wazon, który stał tam jeszcze wyłącznie dlatego, że nie zmieścił się w czasie robienia porządków do ostatniego z wywożonych kartonów, a Karlowi nie chciało się składać kolejnego.

Flakon chwiał się przez chwilę i choć Karlowi na nim nie zależało, zwrócił jego uwagę. W końcu przewrócił się na bok i wylądował pomiędzy stertą nieotwartych listów i niedopitą puszką coca-coli. Cola się nie przewróciła, ale byłoby mu wszystko jedno, gdyby tak się stało. Jak dla niego komoda mogła się lepić. To inna rzecz wywołała w nim nagłe poruszenie. Karl za czymś się rozglądał, więc odsunął koperty na stronę, podniósł puszkę, odkrył parę rachunków, otwartą paczkę gum do żucia i inne drobiazgi. Ale nie było tam tego, czego szukał. Kluczy jego mamy. Z pewnością leżały tam od dnia, kiedy poszła do szpitala. Nigdzie ich nie było. Nie spadły na podłogę ani do którejś z szuflad. W kuchni też ich nie znalazł. Po tym jak wyczyścił całe mieszkanie, nabrał pewności, że nie było ich też w jej sypialni.

Klucze wyparowały.

Strach powrócił ze zdwojoną siłą. Kiedy widział je ostatnio? W pęku znajdował się klucz od wkopanej do połowy w ziemię piwniczki. Był tam krótko przed świętami po zimowe opony. Od tego czasu nie potrzebował kluczy. Zawsze leżały tutaj, mógłby się założyć, że widział je jeszcze przed tygodniem albo dwoma.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, skamieniał. Tak się przestraszył, że było mu obojętne, co mógłby pomyśleć sobie o nim Börkur, kiedy bojaźliwie zapytał:

– Kto tam?

– O kurczę. Czekasz na wierzycieli? – Börkur stał na schodach, trzęsąc się z zimna. Miał na sobie lekką wiatrówkę, która byłaby dobra na letnie wieczory, ale zupełnie nie nadawała się na zimową aurę. – Zamierzasz mnie wpuścić?

– Sorki. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zapytałem – powiedział Karl i wskazał przyjacielowi komodę. – Przypominasz sobie może, czy widziałeś na niej klucze? Wtedy jak byliście u mnie ostatnio albo kiedyś tam?

Börkur gapił się na mebel, jak gdyby nigdy w życiu nie widział czegoś równie wspaniałego.

– Klucze? Tu leżą klucze.

– Tak. To moje. Szukam tych zapasowych. Były na takim ozdobnym breloczku. Z lwem, znaczy znakiem zodiaku, i gwizdkiem do robienia hałasu.

Börkur zrobił zdziwioną minę i przecząco potrząsnął głową.

– Nie. Nie widziałem. Chyba nigdy zresztą. – Nie musiało to jeszcze niczego oznaczać. Börkur pewnie nie zauważyłby nawet, że Karl wita go z kółkiem w nosie.

Karl ociągał się z pójściem do sutereny, zabrał więc gościa ze sobą do kuchni. Było mu wszystko jedno, co kolega pomyśli o jego mieszkaniu, teraz kiedy wszystkie rupiecie zostały wyrzucone. Dziwił się sam sobie, że w ogóle się nad tym zastanawiał. Przecież sam Börkur nie należał do elegancików, co to mieszkają w pałacach. Żył pod jednym dachem z rodzicami, w małym mieszkanku w bloku, które domagało się odremontowania i to już co najmniej od dziesięciu lat. Karl nie był tam częstym gościem. Parę razy, kiedy stał tylko w ciemnym, zadymionym przedpokoju, czekając na kolegę. Wciśnięty pomiędzy dziesiątki zniszczonych okryć wierzchnich, przed wyleniałym dywanem, trąc nos, bo gryzł go dym z papierosów. Ochrypłe, dobiegające z otchłani mieszkania głosy rodziców,

wołających coś do syna dopełniały obrazu. Karl naprawdę nie miał powodów, by wstydzić się swojego domu.

Börkur usiadł przy kuchennym stole, a Karl parzył kawę. W czasie porządkowania znalazł stare, do połowy pełne opakowanie zmielonej Tchibo. Musieli się tym zadowolić. Kawa była bez smaku, brakowało też mleka, o które poprosił Börkur. Gdy tak siedzieli nad zwietrzałą lurą, Karl wyjawiał mu, że wczoraj wieczorem ktoś musiał być w jego domu. Z zachowania Börkura trudno było wywnioskować, czy mu uwierzył.

To samo jak w suterenie, niczego nie można było wyczytać z jego twarzy.

– To jest ta bransoletka. – Karl wskazał na biurko, przy którym siadał, by uczyć się chemii.

– To do kogo należy? Do włamywacza?

– Nie sędzę. Wiem tylko tyle, że moja mama nigdy czegoś takiego by nie nosiła. To musiał zostawić tu ktoś inny. – Karl patrzył, jak Börkur sprawnie przebierał w palcach paciorkami bransoletki. Dokładnie tak samo, jak wierzący robili to z różańcem. Nagle przypomniał sobie o telefonie, który znaleźli w samochodzie. – Udało ci się w końcu włączyć komórkę?

– *O shit!* Naładowałem i totalnie o niej zapomniałem. – Börkur odłożył bransoletkę na miejsce. Jej żywe kolory zupełnie nie pasowały do samopoczucia Karla. – Postaram się pamiętać i sprawdzić. Jednak nie robiłbym sobie zbyt wielkiej nadziei, na pewno trzeba mieć PIN. Może powinieneś ogłosić to na Facebooku?

Karl starał się nie okazywać zdenerwowania. Przecież PIN-y nie pojawiły się wczoraj. Dlaczego Börkur nie powiedział mu o tym wcześniej, jak tylko wziął telefon? Pewnie już od dawna byłby w rękach właściciela, gdyby Karl zamieścił go od razu na necie. Albo zadzwonił do większości koleżanek mamy i zapytał. Teraz jednak było już za późno. Jej obciachowy telefon na klapkę wylądował na śmietniku, a wraz z nim wszystkie kontakty. Nie było więc sensu dalej się nad tym rozwodzić.

– To daj mi znać albo oddaj mi go po prostu. Sam się o to zatroszczę.

Wybiła trzynasta. Karl włączył radiostację krótkofalową Collinsa zadowolony z tego, że zwariowany kumpel był przy nim. O wiele przyjemniej było nasłuchiwać z kimś. Nawet dziwne pukanie ustało z powodu gościa w domu.

– Mam nadzieję, że będą nadawać. Mogę to nagrać na komórkę i mieć jakieś dowody, jeśli zdecyduję się zadzwonić na policję.

– Jeśli się zdecydujesz? – Börkur stracił zainteresowanie bransoletką i opadł leniwie na sofę. Jej stary stelaż zaskrzypiał. – Stary, ty musisz zadzwonić.

Karl nie zdążył odpowiedzieć. Metaliczny dźwięk pozytywki wypełnił przestrzeń pokoju. Urządzenie ustawione było na tym samym paśmie radiowym co wczoraj, ale odbiór był lepszej jakości niż zwykle. Karl nachylił się do pokrętła, by ściszyć. Znajomy kobiecy głos rozpoczął czytanie. Chłopak cofnął dłoń. Wziął telefon i już po chwili zapomniał, co wcześniej zamierzał z nim zrobić. Teraz tylko słuchał. Powtarzano wciąż ten sam rząd znaków.

– Sześćdziesiąt cztery, trzydzieści minus siedem, pięćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt trzy minus dziewięćdziesiąt dwa, jot, dziewięćdziesiąt dziewięć, dwadzieścia dwa minus pięćdziesiąt trzy, jeden, trzynaście, trzy. – Karlowi zdawało się, że brzmi znajomo, jednak nie potrafił określić, w jakim sensie. Przysłuchiwał się ponownie. I jeszcze raz. – Sześćdziesiąt cztery, trzydzieści minus siedem, pięćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt trzy minus dziewięćdziesiąt dwa, jot, dziewięćdziesiąt dziewięć, dwadzieścia dwa minus pięćdziesiąt trzy, jeden, trzynaście, trzy.

Dziewięćdziesiąt dziewięć. Dziewięćdziesiąt dziewięć. Nagle doznał olśnienia. Odłożył telefon na bok i podbiegł do biurka. Na kartce nagryzmolił liczby. Sześćdziesiąt cztery, trzydzieści minus siedem, pięćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt trzy minus dziewięćdziesiąt dwa, jot, dziewięćdziesiąt dziewięć, dwadzieścia dwa minus pięćdziesiąt trzy, jeden, trzynaście, trzy. Myśl. Myśl. Myśl.

Powoli i spokojnie pod liczbami podpisał litery, które w jego mniemaniu odpowiadały cyfrom. Przeczytał po cichu i zamarł z przerażenia.

– Börkur, co słyszeć u Halliego?

– Yyy. Nie wiem. – Börkur patrzył na niego osłupiały. – Nie chciałeś tego nagrywać? – Jak na zamówienie audycja skończyła się właśnie w tej sekundzie.

– Kiedy rozmawiałeś z nim ostatnio? – Karl nie czekał na odpowiedź. Trzęsącymi się rękoma wykręcił numer telefonu Halliego. Słyszeć było sygnał, ale nikt nie odpowiadał, w końcu włączyła się poczta głosowa. „Abonent jest czasowo niedostępny, proszę zostawić wiadomość”. Karl odłożył słuchawkę i odwrócił się do Börkura. – Gdzie jest Halli?

Rozdział 26

Na ekranie komputera Huldar kątem oka zauważył automatyczną wiadomość z księgowości. Odwrócił się plecami do Ríkharðura i Erli. *Ma pan w systemie 12 niezatwierdzonych faktur.* Pożałował, że w ogóle spojrział. W żadnym razie nie mógł się tym zająć w tym momencie, więc jutro otrzyma z pewnością tę samą informację, lecz z kilkoma dodatkowymi rachunkami. Teraz najważniejsze było śledztwo. Zastanawiał się, dlaczego jego byli zwierzchnicy nie mogli tego załatwić, zamiast surfować bez sensu po Internecie. Można im było również zlecić oceny pracownicze, co też stało się nowym obowiązkiem Huldara. Egill wymyślił kolejny sposób, jak Huldar może pomóc swoim ludziom w określeniu i realizacji ich własnych celów. Osobiście stworzył do tego formularz z pytaniami. Huldar musiał go wypełnić, a następnie porównać z odpowiedziami pracownika. Na koniec przewidziane było spotkanie z każdym z osobna i porównanie wyników.

Dotąd nie spotkał się z czymś bardziej bezsensownym. Wyobrażał sobie, jak robi przerwę w śledztwie, zasiada z Ríkharðurem i podsumowuje odpowiedzi ich obu. A wszystko po to, by móc stwierdzić, czy są zgodne i odpowiadają ich wyobrażeniom o dalszej pracy i rozwoju drogi zawodowej za pięć lat.

Huldar liczył, że w tym czasie uda mu się omijać szerokim łukiem zatwierdzanie w systemach rachunków i przeprowadzanie rozmów z pracownikami. Nie lepiej byłoby pogadać z ludźmi już po pięciu latach i zaoszczędzić sobie oraz innym zmartwień na przyszłość? Czy to nie było doskonałe rozwiązanie? Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej i raczej nie mógł się z tego wywinąć.

Kiedy Huldar tłumaczył Egillovi, że to wyjątkowo nieodpowiednia pora, ten nie okazał zrozumienia. Szczercząc swoje sztucznie białe zęby, wręczył mu plik dokumentów z przebiegiem pracy zawodowej i życiorysami pracowników oraz podsumowanie wypracowanych godzin w bieżącym roku i inne papieryska. W dokumentach znajdowała się ubiegłoroczna ewidencja godzin pracy wszystkich pracowników, z szefami włącznie, a zadaniem Huldara miało być zestawienie jej z tegoroczną.

Huldar nie wierzył własnym uszom, nadal myślał, że się przesłyszał.

Zwrócił się więc ponownie do Ríkharðura i Erli:

– Wiecie, jak zablokować przychodzące automatycznie wiadomości z księgowości?

Erla jak zwykle była pierwsza.

– Nie, ale zapytaj Almara. Pomógł mi zablokować maile z przypomnieniem o wypełnianiu grafiku z przepracowanymi godzinami.

Włosy Ríkharðura nie przesunęły się nawet na milimetr, kiedy poruszył gwałtownie głową i skrzywił twarz. Wyglądał na oburzonego.

– A nie lepiej wypełnić pod koniec dnia pracy? Nie zajmuje to więcej niż pięć minut.

– No właśnie. – Erla się uśmiechała. Na chwilę zniknął surowy, ćwiczony latami wyraz twarzy. Przypominała teraz siebie z czasów, kiedy dopiero zaczynała u nich pracować. Huldarowi przyszło na myśl, by zaprosić ją na rozmowę w ramach tego, co wykombinował Egill, i zapytać, po jakiego diabła starała się kreować na twardego w spodniach. Ale zrezygnował i pozwolił jej mówić. – Pod koniec dnia pracy?! Kiedy każda minuta się liczy. Nie wiem jak ty, ale ja cieszę się za każdym razem, kiedy z pracy wracam prosto do domu. – Ledwie skończyła, zorientowała się, że popełniła gafę. – No wiesz, co mam na myśli.

Ríkharður nic nie odpowiedział, ale atmosfera w pokoju zrobiła się gęsta. Dlaczego ten rozwód wciąż musiał odbijać się na nich wszystkich? Erla poczerwieniała, a Huldar musiał nagle koniecznie sprawdzić, jak działa zszywacz biurowy. Nabrał jednak pewności, że gdyby doszło do zleczonej przez szefa rozmowy z Ríkharðurem, w żadnym razie nie poruszyłby tematów związanych z jego życiem prywatnym. Głupia sprawa, bo omówić należało i to, jak się pracownikowi wiedzie poza pracą. W czasie, kiedy myślał o życiu osobistym kolegi, czuł, że komórka w kieszeni jego spodni zaraz wypali mu dziurę. A to dlatego, że tuż przed tym, jak Ríkharður zjawił się u niego, dostał SMS-a od Karlotty. *Muszę z tobą porozmawiać. Oddzwoń.* Teraz kiedy była po rozwodzie, mógł zinterpretować to jako zaproszenie do bliższego poznania się. W jego głowie jednak przewijały się poszarpane kadry z ich ostatniego spotkania, zupełnie nieświadczącego o tym, że chciałyby pogłębić znajomość. Każda scena wywoływana z pamięci zaczynała i kończyła się miarowymi uderzeniami o ściankę działową toalety. Cudem jej nie roztrzaskali. Chyba jednak była to dla niej tylko

odskocznia od sterylnej współżycia, jakie zapewne proponował jej Ríkharður.

Huldar odłożył na bok zszywacz i odchrząknął.

– Wróćmy może do tego, co najważniejsze.

Chociaż tak naprawdę wcale nie czuł się z tym dobrze. Bał się. Przez ostatnie dni nie rozmawiał o niczym innym i nie zajmował się niczym innym, jak tylko śledztwem. Bał się zwłaszcza dlatego, że nie szło im dobrze. W zasadzie tkwili w martwym punkcie. Huldar zasepił się i próbował uporządkować myśli. W pewnym sensie stracił poczucie, że ogarnia, kto i czym się zajmuje. Lista rzeczy priorytetowych wymknęła się spod kontroli. Do tej pory trzymali się określonych reguł, według których prowadzono tego typu śledztwa, ale pomysły powoli im się kończyły. Wykorzystali już prawie wszystkie możliwości. Zadawał sobie więc pytanie, w jakim kierunku mają teraz podążać.

Prześledzili w najdrobniejszych detalach przebieg kariery zawodowej Sigvaldiego. Przeprowadzili rozmowy z Krajową Izbą Lekarską i szefem ginekologii Szpitala Krajowego. Do Izby Lekarskiej nie wpłynęły żadne pozwy w sprawie uchybień w pracy Sigvaldiego, nie było też skarg na niego w szpitalu, w którym pracował. Nie zmarła żadna z rodzących kobiet znajdujących się pod jego opieką, żaden jego błąd nie stał się też przyczyną śmierci jakiegokolwiek noworodka. Jeśli wierzyć można podanym przez szpital informacjom. Czekało jeszcze na odpowiedź ze Szpitala Uniwersyteckiego w Szwecji, gdzie sześć lat wcześniej Sigvaldi zrobił specjalizację z ginekologii. Huldarowi wydawało się mało prawdopodobne, że doprowadzi ich to do mordercy. Upłynęło już zbyt wiele czasu, a pacjenci z tamtych lat byli przede wszystkim obywatelami szwedzkimi. Sigvaldi potwierdził również, że kiedy po uzyskaniu przez niego specjalizacji wrócili na Islandię, Margrét miała zaledwie rok, więc oczywiście nie mogła znać szwedzkiego. Morderca musiał więc mówić po islandzku.

Przejrzeli także spis ewentualnych powiązań łączących ze sobą obie ofiary i Sigvaldiego, albo raczej ich brak. Sprawdzili również osoby posiadające prawo jazdy na motor. Można je było policzyć na palcach jednej ręki i żadna nie była w bezpośrednim związku z ofiarami. Przypatrzyli się oczywiście temu, czy nikt z otoczenia Elisy, Sigvaldiego oraz Ástrós nie był już karany za popełnienie przestępstw z użyciem przemocy. Szukając wśród rodziny, przyjaciół, współpracowników, znaleźli sześciu mężczyzn. Wszyscy oni, z wyjątkiem jednego,

oskarżeni byli o napaść i agresję w stosunku do innego mężczyzny. Ten szósty miał wprowadzić wyrok za gwałt, zasądzony dziesięć lat temu, ale posiadał żelazne alibi na czas obu zabójstw.

Poświęcili temu niezliczone godziny. W końcu Elisa pracowała w urzędzie, gdzie zatrudnionych było wielu ludzi. Miała też sporą rodzinę. To samo dotyczyło Sigvaldiego. Do tego doszli przyjaciele i znajomi, w szczególności u Elisy. Lista Ástrós była najkrótsza z tych trzech. Huldar wolał nie myśleć o zainwestowanym czasie i zupełnym braku rezultatów.

Obojętnie gdzie by nie szukali, wszędzie natrafiali na mur. Wyniki z próbek pobranych na miejscach zdarzeń nie wniosły niczego do sprawy. Żadnych odcisków palców ani DNA. Nic. Zupełnie nic, co mogłoby wskazać właściwą drogę. Rozmowy z przyjaciółmi i znajomymi także nie przyniosły rezultatów podobnie jak dokumenty i świadectwa, które przynieśli ze sobą. Policjanci zapukali do każdych drzwi w sąsiedztwie obu kobiet, by sprawdzić, czy ktoś nie słyszał odgłosów motoru, w czasie gdy dokonano zabójstw. Telefonu Elisy wciąż nie znaleźli. Przypuszczali, że został zniszczony lub rozładowany leżał gdzieś w okolicy. Mógł być również w rękach mordercy. Karta SIM, z której wysyłano SMS-y do Ástrós, zakupiona została w jednym z hoteli w śródmieściu przez angielskiego turystę nazywającego się Mike Linane. Człowiek ten rzeczywiście istniał i przypominał sobie, że ją kupił. Było to podczas letniego urlopu na Islandii. W ostatnim dniu jego pobytu telefon jednak zaginął lub też został skradziony. A ponieważ aparat był stary, a karta na nic by mu się nie przydała, zamiast zgłosić na policji kradzież, jeśli rzeczywiście to ona wchodziła w grę, wolał pojechać do Błękitnej Laguny. Przyjaciele, którzy podróżowali z nim, mogliby to potwierdzić w razie potrzeby. Od tamtego czasu nie opuszczał Anglii. Nie było sensu nadal go prześwietlać.

Zadzwoniono również do wszystkich sklepów sprzedających srebrną taśmę klejącą, ale nikt nie przypominał sobie, żeby w ostatnim miesiącu ktokolwiek kupował tego rodzaju towar w ilościach hurtowych. Wcześniej także nie. Co wskazywało, że morderca kupował pojedyncze rolki taśmy w różnych sklepach, aby nie wzbudzić podejrzeń swoim zakupem. Mógł również przywieźć większą ilość z zagranicy.

W jednym ze sklepów z materiałami budowlanymi, krótko przed świętami

Bożego Narodzenia jakiś rok temu, z magazynu zginął ich cały karton. Ponieważ jednak skradziono dużo więcej innego towaru, nikt nie podejrzewał, że złodzieje nastawieni byli głównie na taśmę. Menadżer sklepu dodał, że o jej braku zorientowano się dopiero później. Nowozatrudniony w tym czasie pracownik przełożył ją niechcący do kartonu po przenośnikach USB i dopiero noworoczny remanent sklepu wykazał, że jej nie ma. Złodzieje przekonani byli, że kradną coś wartościowego. Całe włamanie wyglądało na dość profesjonalnie przeprowadzone.

Huldar przeglądnął w bazie danych policji raport o włamaniu i zadzwonił do funkcjonariusza, który zajmował się tą sprawą. Mężczyzna był przekonany, że złodzieje działali w grupie, ciężarówką wywieźli cały łup i go ukryli. Śledztwo zamknięto z braku dowodów i podejrzanych. Huldar wątpił, żeby to zajście mogło mieć jakiś związek z jego dochodzeniem. Na podstawie tego, jak niezręcznie morderca Ástrós posłużył się wycinarką do szkła, można było wnioskować, że nie należał do wytrawnych włamywaczy. Ale oczywiście policjant nie zakładał tego w stu procentach. Ilość skradzionej ze sklepu taśmy spokojnie wystarczyłaby do owinięcia głów obu zamordowanych kobiet. I jeszcze zostałyby niemały zapas.

Nie mogli zapominać, że morderca ukradł telefon i za pomocą profesjonalnego sprzętu włamał się do mieszkania ofiary. Musiał więc mieć jakieś powiązania ze światkiem przestępczym. Część ludzi z wydziału zajmowała się już przeglądaniem włamywaczy wpisanych do rejestrów policyjnych. Za dodatkowe kryterium wspomagające wyłuskiwanie potencjalnych kandydatów uznano skłonności do agresji.

Ale gdy jedne drzwi się otwierały, drugie automatycznie zamykały. Na przykład wyjaśniła się sprawa związana z zagranicznymi firmami ubezpieczeniowymi. Nie potwierdziły się mianowicie podejrzenia, jakoby Elisa miała polisę na życie wykupioną za granicą, można więc było wykluczyć, że motywem zabójstwa były pieniądze. To samo dotyczyło Ástrós. I chociaż nie przyszło jeszcze oficjalne potwierdzenie z żadnego obcego kraju, to, iż nie posiadała ubezpieczeń w Islandii, raczej wykluczało, że wykupiła je gdzie indziej. Ástrós nie miała dzieci, więc spadek po niej otrzymała trójka jej rodzeństwa oraz dwóch braci zmarłego męża. I choć jej mieszkanie było całkowicie spłacone, a w banku pozostały oszczędności, w tym przypadku raczej także odpadał motyw majątkowy.

Nagrania z monitoringu stacji benzynowej pochodzące z tego czwartkowego

dnia, kiedy prawdopodobnie skradziono Elisie klucze, również niczego nie wniosły do śledztwa. Jakiś mądrała ustawił zoomy przy dystrybutorach paliw. Kamery sklepowe pokazały Elisę wchodzącą do środka, wyjmującą z lodówki lody, czekającą przy kasie do chwili zatankowania, zerkającą co chwilę na plac z dystrybutorami, na dzieci oraz osobę, która tankowała. Następnie płacącą kartą za benzynę i wychodzącą na zewnątrz. Nikt inny nie wchodził do środka ani przed, ani po tym, jak Elisa tam była. Biorąc pod uwagę taśmy z nagraniami i zeznania Margrét, Huldar nie wykluczał, że nie znała utrwalonego na nagraniu mężczyzny. Margrét mówiła, że mama podała mu kluczyki, i nie przypominała sobie, by z nim rozmawiała czy też pozdrowiła tak serdecznie jak kogoś znajomego. Jeśli rzeczywiście mógł to być jej morderca, stało się jasne, że dla Elisy był osobą zupełnie obcą.

Im szersze kręgi zataczało śledztwo, tym bardziej Huldar tracił nadzieję na jego rychłe zakończenie.

– Jeśli chcesz, mogę zająć się sprawdzeniem kolorów kasków tych mężczyzn. Może okaże się, że któryś z nich ma powiązania jak nie z jedną, to z drugą ofiarą. – Erla przejrzała spis właścicieli motorów. – Ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby morderca, który używa kasku do zamaskowania, sam był posiadaczem motocykla.

– Co nie zmienia faktu, że musimy przejrzeć dokładnie tę listę. – Huldar czuł suchość w gałkach ocznych, potarł więc powieki. – Sprawdzamy też w urzędzie celnym wszystkich, którzy zamówili sobie kaski w zagranicznych sklepach internetowych. Na wypadek gdyby sprawca celowo tak się zaopatrzył. – Huldar przestał trzeć oczy i opuścił dłoń. – Skontaktowaliśmy się też z krajowymi sklepami prowadzącymi sprzedaż kasków motocyklowych. Poprosiliśmy o wykaz ich sprzedaży z ostatnich sześciu miesięcy. Na szczęście nie było tego dużo. Mam nadzieję otrzymać od nich informację jutro, najwyżej pojutrze. I jeszcze znaleźliśmy cztery ogłoszenia na portalu Mismasz dotyczące sprzedaży używanych kasków.

– A jeśli go ukradł? – Ríkharður strzepnął z koszuli niewidzialny pyłek.

– Możesz się tym zająć i sprawdzić? – Huldar wiedział, że jego kolega był już znudzony sprawdzaniem telefonicznych donosów na temat rzekomo podejrzanych zachowań. On sam podczas paru śledztw znajdował się w podobnej sytuacji. Było to dla niego jak sprzątanie w kuchni. Ledwie włączyłeś zmywarkę z naczyńiami,

jak spod ziemi wyrastał kolejny brudny kubek i pracę można było zaczynać od nowa. Ledwie sprawdziło się jednego rozmówcę, jak grzyby po deszczu pojawiali się kolejni. Kiedy media podadzą wiadomości o morderstwie Ástrós, zaleje ich kolejna fala telefonów. Do tego czasu będzie musiał zacisnąć zęby. Odczekać, dopóki sytuacja się nie uspokoi.

– A jak w ogóle idzie ze sprawdzaniem tych informacji?

– Dość dobrze. – Ríkharður próbował brzmieć beztrzesko, ale jego oczy mówiły co innego. – Na razie do niczego się nie przydały. Lecz kto tam wie?

– A która była najśmieszniejsza lub najbardziej niedorzeczna? – Erla nachyliła się do Ríkharðura.

– Słyszałem, że bywają ekstremalne. Ktoś mi mówił, że niedawno zameldował się jeden z mistyków. Ponoć dostaje wiadomości przez radio. – Huldar się uśmiechnął.

Ríkharður wyglądał na zakłopotanego.

– Tak, rzeczywiście. Ale to nic godnego uwagi. Pewna kobieta zadzwoniła z wiadomością, że widziała Elisę wysiadającą z przepelnionego turystami autobusu w Błękitnej Lagunie. Była przekonana, że grupa odjechała bez niej. Musiała źle zrozumieć podaną w mediach wiadomość, to znaczy myślała, że ogłosiliśmy jej zaginięcie i upierała się, by przeszukać dno akwenu laguny w poszukiwaniu ciała. Inny mężczyzna twierdził, że widział Elisę na głównej ulicy Laugavegur, jak zaatakowała parkingowego – dzień po swojej śmierci. Ponoć aresztowano ich oboje.

– Sprawdziłeś to dla pewności? – Huldar zastanawiał się, czy tego rodzaju informacje można było brać na poważnie. Jeśli Ríkharður miał do czynienia tylko z takimi problemami, nie było sensu dalej się nad nim uzalać. Może najbardziej gorliwi informatorzy zdążyli się już przerzucić na Internet i tylko tam komentują wszystko na gorąco, zamiast przeszkadzać policji w dochodzeniu. – Czy ktoś z was przejrzał komentarze w sieci? Możliwe, że właśnie tam kryje się coś, co mogliśmy przeoczyć.

– W Internecie jeszcze specjalnie nie szukałem. – Ríkharður brzmiał, jakby zawiódł na całej linii. Przełknął głośno ślinę i ciągnął: – Elisa nigdy nie była aresztowana. Ani ona, ani ktokolwiek inny nie trafił do aresztu z powodu napaści na parkingowego. Przed jej śmiercią i po niej. – Ríkharður wyglądał na

sfrustrowanego. – Chyba nie muszę wam mówić, że Elisa była wzorową obywatelką. Podobnie Ástrós. – Dało się wyczuć, że budziło to jego sympatię. Kto wie, czy gdyby obie nie były takie porządne, przykładałby się do pracy równie skrupulatnie.

– A co z tymi audycjami radiowymi? To musiała być zabawna rozmowa. – Erla jeszcze bardziej zbliżyła się do Ríkharðura, by tym samym zachęcić go do dalszego mówienia.

– Jeszcze tego nie sprawdzałem. Chciałem najpierw omówić to z tobą. W każdym razie trzymałem się twoich słów, by tego typu objawienia zostawić na sam koniec. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby mogło to wniesć do sprawy coś konstruktywnego.

– Nigdy nie można być do końca pewnym – uciął Huldar. Tak długo, jak nie wytypowali podejrzanego, nie dało się stwierdzić, co jest ważne, a co traktować trzeba jak stratę czasu. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko sprawdzać każdy z możliwych tropów, w tym również telefoniczne informacje od zwykłych obywateli. – Nie możemy zapominać, że ludobójstwo w Rwandzie zaczęło się od rozkazu przekazanego drogą radiową. Ludziom z plemienia Hutu polecono w ten sposób zamordować wszystkich napotkanych z plemienia Tutsi. Co zresztą zrobili.

Ríkharður nie wyglądał na zachwyconego słowami Huldara. Pewnie liczył na to, że nie będzie musiał tego sprawdzać. Wszystko, co w mniemaniu Ríkharðura nie było w stu procentach osadzone w rzeczywistości, sprawiało mu problem. Już czas, by do tego przywykł. Ich biurka uginały się przecież od tylu absurdalnych i niewytłumaczalnych spraw dotyczących całkiem zwykłych, niczym niewyróżniających się ludzi. Świat nie był tak logiczny i poukładany jak on sam.

– Oczywiście zajmę się tym. Tylko pamiętałem, jak mówiłeś, że wszystko, co zakrawa na urojenie, może poczekać.

Był wyraźnie obrażony na Huldara, ale ten nie miał czasu ani też ochoty zastanawiać się nad jego nastrojem. Westchnął głęboko, pokiwał zrezygnowany głową i zmienił temat dyskusji.

– Powiedźcie mi jedno. Czy nie uważacie, że chociaż nie ma na to dotąd żadnego potwierdzenia, to jednak musi istnieć jakieś powiązanie między mordercą, Elisą i Ástrós? Albo między nim a Sigvaldim i Ástrós?

Erla i Ríkharður wymienili ze sobą dwuznaczne spojrzenia, co Huldarowi się nie

spodobało. Jakby chcieli z przekąsem powiedzieć: „Tak, jedynie ty masz słuszność w tej sprawie”.

– Też jestem tego zdania. – Erla jak zwykle odpowiedziała pierwsza. Ríkharður tylko jej przytaknął.

Aby wyjść z twarzą z niezręcznej sytuacji, Huldar mówił teraz zdecydowanym i rzeczowym tonem.

– Cały trud, który morderca sobie zadał, nie może mieć innego wytłumaczenia jak tylko takie, że chciał się zemścić na kobietach, a w przypadku Elisy prawdopodobnie i na jej mężu. Gdybyśmy tylko wiedzieli za co, byłby to krok milowy w dochodzeniu. Możliwe, że za jakieś rzekome przewinienia ofiar w stosunku do niego albo za coś złego, co faktycznie zrobiły. Morderstw nie popełniono na tle seksualnym, pomimo elementów sadystycznych.

– Hm... – odezwała się niezbyt pewnie Erla. – Ale czy ktoś, kto zabija, by zaspokoić swoje sadystyczne żądze, nie wybiera ofiar raczej przypadkowo? Jakie znaczenie ma to, kto właściwie cierpi, jeśli celem samym w sobie jest zadawanie cierpienia?

– Ja też się z tym zgadzam. – Białe policzki Ríkharðura oblały się rumieńcem. Wargi miał zaciśnięte tak mocno, że widać było tylko siną kreskę w miejscu ust. To było wbrew jego poddańczej naturze – mieć inne zdanie niż jego zwierzchnicy. Z drugiej strony, ciężko przychodziło mu zaakceptowanie czegoś, co nie odpowiadało jego przekonaniom. – Co za różnica, kogo się torturuje?

– Pewnie żadna. Chyba że określone typy kobiet dają oprawcy szczególne zadowolenie. Ale przecież Elisa i Ástrós nie były do siebie podobne, w dodatku mocno różniły się wiekiem. Łączyło je tylko to, że były kobietami. Zostawmy to jednak na chwilę. Chcę powiedzieć przede wszystkim, że sadyzm nie mógł być jedynym powodem ich zabójstwa. Sprawca musiał je wcześniej znać lub być z nimi w jakiś sposób związany. Czy nie trwałoby to dłużej, jeśli chciałby za pomocą tortur jedynie zaspokoić swoje żądze? W takim układzie przeciągnąłby wszystko w czasie i zadawał kobietom długotrwały ból. Ale z sekcji Elisy wynika, że jej śmierć nastąpiła dość szybko, już wkrótce po tym, jak włączył odkurzacz. Trochę inaczej miały się sprawy z Ástrós. Lokówka potrzebowała czasu, by tak dotkliwie poparzyć jej gardło i drogi oddechowe, aż te się całkiem zamknęły, co doprowadziło do uduszenia. Jeśli rzeczywiście sadyzm był motywem zbrodni, to

czy nie wybrałby innej, bardziej długotrwałej metody? – Huldar przywołał z pamięci wszystkie okropności, jakie wyczytał w raportach z autopsji.

– Masz na myśli, że mógłby je dłużej torturować? Nawet całymi dniami? – Erla jak zwykle trafiła w sedno sprawy.

– Tak, właśnie o tym myślę. Oczywiście zgadzam się z wami, że jego metody są obrzydliwe. Ale nie mają nic wspólnego z tym, co czytałem na przykład w zagranicznych raportach o morderstwach popełnionych przez sadystów. Tego rodzaju zabójstwa wyglądają prawie bez wyjątku identycznie. Morderca porywa ofiarę, zwabia do siebie lub wywozi w ustronne miejsce, do którego tylko on ma dostęp. Następnie tak długo jak się da, oddala w czasie moment śmierci. Ten rodzaj zabójców nie działa pośpiesznie, a już na pewno nie podczas włamania.

– Podasz jakieś konkretne przykłady? – Erla skrzywiła się z obrzydzeniem.

Huldar otworzył usta, ale nie mógł przemóc się, by zacząć wymieniać. Gdy naczytał się o tym wszystkim, miał wrażenie, że po ekranie komputera za moment zacznie spływać krew.

– To są naprawdę obrzydliwości. I kto wie, czy rzeczywiście miały miejsce? – Spojrzał na zegarek na przegubie, który podarował mu jego tato z okazji ukończenia szkoły policyjnej. Już nikt nie nosił zegarków i tylko z szacunku dla ojca zakładał go prawie codziennie do pracy.

– A teraz przejdźmy do zostawionych przez niego wiadomości. – Ríkharður wyrecytował z pamięci kod związany z morderstwem Ástrós. Ten znaleziony u Elisy w domu musiał przeczytać z kartki, którą wyjął z kieszeni. – *J*, 99, 22 – 53, · 59, 30 – 7, 39, *J*, 99 – 16, 25, 53, 99 – 16, *J* · 105 – 5, 89 – 6, 74, 89 – 6, *Ć* · 6, 30 – 7, 39 · 8, 105, 53, 99 – 16, 37 – 5, 89 – 6, *Ć*. – Skończył czytać i podniósł wzrok znad kartki. – Czy nie sądzicie, że miał z kobietami jakąś sprawę do załatwienia, jeśli tak to można nazwać? – Ríkharður wiercił się przez chwilę na swoim krześle. Jego zawsze proste jak świeca plecy odprężyły się nieznacznie. Kiedy na nowo umościł się w krześle, znów wyglądał jak nabity na pal.

– A czy te wiadomości nie wydają wam się podejrzane? – Wygięte w pałąk plecy Erli były dokładną odwrotnością pleców Ríkharðura. Przed paroma miesiącami ich szef Egill zaangażował specjalistę od ergonomicznego siedzenia, który miał za zadanie poprawić komfort i stworzyć przyjazne ludziom miejsce pracy. Skończyło się na marnowaniu czasu. Większości przeszkadzało, że wokół ich biurka krąży

facet uzbrojony w miarkę i notatnik. Niczego to nie zmieniło. Już po dwóch dniach od kursu prawidłowego siedzenia wszyscy przyjęli swoje dawne pozycje. Ríkharður siedział z wyprostowanymi plecami, a reszta przygarbiona. Żelowe podkładki pod myszki wylądowały w szufladach, a podpórki pod nogi kopnięto w kąt. Erla nawet nie odczekała dwóch dni. Pomimo kontuzji ramienia lub też właśnie z jej powodu. – Po co, do cholery, w ogóle zostawia jakieś listy? Nie mówcie mi, że w głębi duszy chce, by go złapano? Po prostu nie wierzę w to.

– Tak, tu masz całkowitą rację. – Huldar przekopywał stos dokumentów leżących na biurku, szukając fotokopii listów znalezionych na miejscach zbrodni. – A może sobie z nas drwi? Czuje, że ma nad nami przewagę. Wydaje mu się, że jest bezkarny, więc pozwala sobie na ryzyko.

Na twarzy Erli znów pojawił się grymas.

– Tak ci się wydaje? Myślę, że chce nas wprowadzić w błąd. Czy ktoś się już nad tym zastanawiał?

– Zupełnie bezsensowne wiadomości? – Ríkharður zrobił minę, jakby poczuł zapach zgnilizny. – Czy to nie lekka przesada?

Huldar nie odpowiedział od razu. Wcale nie uważał, żeby koncepcja Erli pozbawiona była podstaw.

– Dobra myśl, i pasuje lepiej do tego, jak rozważnie postępuje morderca. Jak to możliwe, że nie zostawia żadnych śladów, a zadaje sobie trud przygotowania wiadomości, które muszą wylądować w naszych rękach? No chyba nie wierzy, że je przeoczmy? A gdyby nawet wierzył, to ich zostawianie tym bardziej nie miałyby sensu. – Huldar miał wrażenie, że gubi się w tym wszystkim. O co temu człowiekowi chodzi? – Jeśli pozostawione przez niego listy mają związek z motywem zbrodni, muszą nam pomóc w złapaniu go. To by jednak znaczyło, że nasz zabójca popełnił fatalny błąd, co kompletnie do niego nie pasuje. Ale dobrze rozumujesz, Erla.

– A jeżeli prawdziwa jest druga teoria? – Ríkharður starał się nie patrzeć na Erle. Z pewnością chciał uniknąć widoku jej triumfującej miny. – Że się z nami bawi i uważa nas za kompletnych idiotów?

– Jeśli już wkrótce nic się nie wydarzy, może mieć i rację. – Huldar wstał z krzesła. – Muszę napić się kawy. Na ekranie jego komputera pojawiła się jeszcze jedna wiadomość. Tym razem dotycząca planowania kontyngentu pracowników na

następne sześć miesięcy. Nachylił się do komputera i go wyłączył. Dlaczego, do cholery, po prostu nie odmówił tego tak zwanego awansu? Miał wrażenie, że został wciśnięty do kontenera z formularzami do wypełnienia. – To już chyba wszystko na dzisiaj. Powinienem zrobić sobie przerwę. Odetchnąć od tego. Wam też radzę skończyć wcześniej.

Jego pomysł nie spotkał się z oczekiwanym odzewem. Wręcz przeciwnie. Oboje patrzyli na niego, jakby ich zdradził. Bardziej od ich zachowania deprimował go obecny przebieg śledztwa i sprawiał, że z nerwów bolał go brzuch.

– Widzimy się jutro. Zadzwońcie, jeśli coś się wydarzy. Dajcie też znać, jeżeli odezwą się z Interpolu w sprawie szyfrów. Wyślijcie SMS. Nie jestem pewien, czy odbiorę.

Zamierzał zajrzeć po drodze do Freyi, ale Ríkharður i Erla nie musieli o tym wiedzieć.

Rozdział 27

Płacz niczego nie mógł tu zmienić, bo łyzy nie miały dokąd ujść. Tylko szczypały go pod powiekami. Próby Halliego, by pocierać głową o surową, betonową ścianę nie przyniosły zamierzonego efektu, jedynie otarł sobie resztki skóry nieprzykryte taśmą klejącą. Nie miał pojęcia, ilokrotnie mężczyzna owinął mu nią głowę. Stracił rachubę po szóstym razie, kiedy ucisk był już tak straszny, że nie pozwalał jasno myśleć. Dobrze wiedział, że aby pozbyć się solidnej obręczy z głowy, musiałby użyć rąk. Najwięcej bólu sprawiało mu prawe ucho, bo piekło bezlitośnie. Gdyby udało mu się stąd kiedyś wyjść, z pewnością musiałby pójść z nim do chirurga plastyka. Jeśli w ogóle udałoby mu się wyjść.

Łzy zaczęły na nowo napływać mu do oczu. Już nawet go nie piekły, tylko nos zalewał gęsty śluz, którego musiał przez cały czas się pozbywać. Usta miał zakneblowane i zaklejone banderolą, więc oddychać mógł tylko przez nos. Nie chciał udusić się własnymi smarkami.

W ogóle nie chciał się udusić. Koniec. Kropka.

Musiał sobie to wciąż przypominać, kiedy rosła w nim pokusa, by po prostu zasnąć i na zawsze wyzbyć się bólu. A bolało go wszystko. Za każdym razem, kiedy budził się po krótkim zapadnięciu w sen, ból był jeszcze bardziej dotkliwy. Dlatego musiał wyęczać wszystkie siły, by nie zasnąć. Ciało trawiła gorączka, która też potęgowała ból. Związanych kablem z tyłu na plecach rąk już nawet nie czuł. Kabel był tak ciasno owinięty wokół nadgarstków, że wrzynał się w nie boleśnie. Mężczyzna dodatkowo owinął mu dłonie tą zasraną taśmą, tak dla pewności, żeby nie mógł palcami – jeśli znalazłby coś, co mogło mu do tego posłużyć – przeciąć kabla. Na początku miał nadzieję, że tu, gdzie się znajdował, na coś trafi. Jednak po paru nieudanych próbach poszukiwań wymagających szurania po podłodze wokół siebie obolałą pupą poddał się zrezygnowany.

Halli nie mógł nic zrobić. Nogi w kolanach i w kostkach były ze sobą ciasno związane. Nie widział i nie mógł niczego wymacać dłońmi.

Może coś przeoczył. Może powinien jeszcze raz spróbować poszukać czegoś na podłodze. Ale już sama myśl o bólu towarzyszącym tej czynności przerażała go.

Halli wydmuchał raptownie nos, czując, że smarki wylądowały mu na piersiach. Było mu wszystko jedno. Obawiał się tylko jednego: że gdyby jakiś obcy, który przypadkiem by go tu znalazł, zobaczył na nim całe to świństwo z nosa, szybko zamknąłby za sobą drzwi i odszedł w nieznaną.

Łapczywie wciągał powietrze przez nozdrza i przez chwilę zrobiło mu się o wiele lepiej. Próbował się tym rozkoszować, ale nie na długo. Czuł, jak śluz na nowo zbiera się w nosie. Poprawił się na podłodze i uderzył go piekący ból na przegubach. Przynajmniej był pewien, że jego ręce jeszcze nie obumarły z braku dopływu krwi.

Jak długo już tu był? Dobę? Dwie? Trzy? Prawdopodobnie krócej, bo dokuczaliby mu większy głód. Z pewnością jednak nie można było być bardziej spragnionym niż on teraz. Ile dni człowiek może przeżyć bez wody? Dwa, trzy dni? Cztery, pięć? Niewykluczone, że mniej. Czy taki był plan tego, który go tu zamknął? Związać i doprowadzić do śmierci z głodu i pragnienia? W każdym razie od dawna się tu nie pokazywał. I chociaż ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Halli, było spotkać go ponownie, to jeszcze gorsza była myśl, że nigdy tu nie wróci. Zdecydowanie gorsza.

Żeby przyszedł do niego jeszcze tylko jeden, jedyny raz, uwolnił usta od taśmy i dał się napić. Mógłby wtedy obiecać, że nigdy, ale to nigdy w życiu by go nie wydał, jeśli tylko w zamian pozwoli mu sobie pójść. Już on by się postarał przekonać go, że może na niego liczyć. Przecież i tak nic by nie miał z tego, że go zdradzi.

A może lepiej o tym ostatnim wcale nie wspominać? Bo nasunęłoby mu to myśl, że Halli może zmienić zdanie i donieść na niego. Zamiast bezsensownie szurać tyłkiem po podłodze w poszukiwaniu czegoś, czego i tak tu na pewno nie było, powinien wykorzystać czas na zastanowienie się, jak odpowiadać na wypadek, gdyby mężczyzna nagle przyszedł. Jeśli by przyszedł. I uwolnił mu usta.

Halli wydmuchał siarczyste zalegającą w nosie wydzielinę. Smarki szerokim łukiem powędrowały w górę i wylądowały wyjątkowo nie na jego piersiach. Może spadły na nogawki od spodni lub buty. Halli rozkleił się na dobre. Jego ciało przeszył dreszcz. Przeraził się, że to napad padaczki lub drgawki z zimna. Nie miał pojęcia, jak to jest, kiedy ma się drgawki, wyobrażał sobie tylko, że były podobne do uczucia, kiedy ciało przeszywa prąd. Czy można było od tego umrzeć? Raczej

nie, biorąc pod uwagę, jak ciepło było tu w środku. Jeśli już, to szybciej umrze z gorąca niż z zimna, o ile wcześniej nie umrze z pragnienia. A może nadarzy się okazja, by z mężczyzną porozmawiać?

Łzy zaczęły ponownie napływać mu do oczu i nie potrafił już tego powstrzymać. To było takie żalosne i niesprawiedliwe. Czym sobie na to zasłużył? Nozdrza wypełniły się na nowo śluzem i kiedy próbował się go pozbyć, ściekał ciurkiem w dół po taśmie, po czym kapał z brody na klatkę piersiową. Taka niesprawiedliwość.

Czy to rzeczywiście była kara za wzięcie udziału w głupim dowcipie? Nie zrobił przecież niczego, za co mógłby go spotkać taki los. Pewnie, że sprzedał mężczyźnie swoje urządzenie, nauczył go, jak nadawać i odbierać na falach radiowych. To on podrzucił do samochodu Karla telefon oraz majtki, i to on również ukradł mu klucze. Nic poza tym. Mężczyzna powiedział mu, że chodzi tylko o niewinny kawał, który chciał Karlowi zrobić pewien bliski znajomy, więc obiecał go nie wydać.

Ale przecież już wtedy musiał podejrzewać, że z tym człowiekiem nie wszystko było w porządku. Samym swoim głosem dawał do zrozumienia, że jakiegokolwiek próby niedotrzymania umowy będą pociągać za sobą poważne konsekwencje. A do tego zatrzymał połowę pieniędzy, które obiecał Halliemu za udzieloną pomoc i urządzenie. Miał je dostać już po wszystkim, ale tylko pod warunkiem, że będzie trzymał język za zębami. I to już by wystarczyło, żeby nie pisał ani słowa.

Teraz zmuszony był spojrzeć prawdzie w oczy, bo potwierdziło się to, czego obawiał się od samego początku: ten niby kawał nie był żadnym kawałem. Powinien był się domyślić już wtedy, kiedy mężczyzna odwiedził go w domu, zabrał do siebie do samochodu i wywiózł. Kiedy dojechali do celu, zmusił go do napisania rodzicom SMS-a, że wybiera się do domku na wsi, gdzie nie będzie zasięgu. W tym momencie wszystko do niego dotarło. Gdyby tylko nie był taki przestraszony, mógłby wyskoczyć z samochodu i uciec. Jak mógł być tak głupi? I dlaczego w ogóle otworzył mu drzwi?

W głębi duszy doskonale znał odpowiedź na to pytanie. Wciąż jednak miał nadzieję usłyszeć od niego, że nie musi się dłużej przejmować, że koniec z tym głupim dowcipem i już wkrótce dostanie resztę swoich pieniędzy. Pieniądzy, których tak bardzo potrzebował. Pierwsza część poszła w całości na spłatę długów,

zakup nowej kurtki, nowych butów i przedpłatę na nowy komputer, który już wkrótce miał odebrać. Wtedy też powinien wpłacić brakującą sumę pieniędzy. Właśnie z tego powodu otworzył drzwi. Pieniądze. Także z ich powodu odsunął od siebie wszelkie moralne rozterki, że zdradził kolegę.

Nagle przyszła mu do głowy inna myśl. Czy Karl był w takiej samej sytuacji jak on? Czy mężczyźni od samego początku chodziło tylko o to, by dobrać się do niego? Nie, po jakiego diabła? Po co? Żeby go zabić?

Halli starał się nie myśleć o tym, że ten człowiek byłby zdolny do zabójstwa. Jeśli jednak tak, to on i Karl byli poważnie zagrożeni. Kompletnie nie miał pojęcia, dlaczego ktoś chciałby zabić jego przyjaciela, co zresztą i tak nie miało już teraz znaczenia. W tej chwili zastanawiał się głównie nad tym, że mężczyzna musiał mieć powód, by chcieć pozbyć się właśnie jego. Halli mógłby go wydać. Z pewnością nikt by mu nie uwierzył, ale zawsze istniała taka możliwość i dlatego nie chciał ryzykować.

Gdyby tylko dostał jeszcze jedną szansę i mógł z nim porozmawiać. Przysięgłby mu na wszystkie świętości, że nie piśnie ani słówkiem. Nawet gdyby zabił Karla, Halli dotrzymałby danego słowa.

Nasłuchiwał. Co to mogło być? Warkot silnika? Musiał wysmarkać nos, ale bał się, że coś umknie jego uwadze. W zamian oddychał tylko przez prawą dziurkę w nosie, o lewej mógł zapomnieć, bo była zatkana. Słyszał dźwięk klucza wkładanego do kłódki i pobrząkiwanie przesuwanego łańcucha, który mężczyzna przełożył przez oba uchwyty od drzwi, gdy go tutaj zwabił. Okłamał go, że ma problemy ze znajdującą się w środku radiostacją. Halli miał mu pomóc ją naprawić i otrzymać za to dodatkową opłatę. Znowu zgubiła go chciwość.

Zanim drzwi się otworzyły, jeszcze w pośpiechu wydmuchiwał nos. Za żadne skarby świata nie chciał tego robić przed nim. Wiedział, że było to bez znaczenia, ale mimo wszystko nie potrafił nad tym zapanować.

Pstryk. Odgłos zapalanej świecy. Halli nie widział. Domyślił się, że cały ten czas siedział po ciemku. Dziwne, ale miłe uczucie. Raźniej było myśleć, że nie widzi, bo siedzi w ciemnościach, niż nie widzieć, siedząc w rażącym świetle.

Słyszał kroki zbliżającego się ku niemu mężczyzny. Ustały. Stał tuż przed nim. Halli miał uczucie, że mężczyzna się nad nim pochyla. W napięciu czekał, aż zacznie do niego mówić. Miał nadzieję, że da mu się napić.

– A, tutaj jesteś. Szczęściarz ze mnie, że cię spotkałem. – Ten sarkastyczny ton był czymś nowym dla Halliego. Nie bardzo wiedział, co mógł oznaczać. Coś dobrego? Wydobył z siebie parę dźwięków z wiarą, że mężczyzna uzna to za prośbę o rozmowę. Zabrzmiało to jednak jak kwiczenie prowadzonej na rzeź świni.

– Wydaje mi się, że twoje ucho jest na w pół rozerwane. – Teraz jego głos brzmiał dla Halliego znajomo. Tyle że przytłumiony, jakby mówił do niego przez maskę. Halli spróbował ponownie wydać z siebie głos. Ale to, co z niego wyszło, nie przypominało ludzkiej mowy, lecz płaczliwy jęk. – Z górną częścią ucha już się nic nie da zrobić. Z dolną tak samo. – Mężczyzna westchnął. – Z całą resztą tym bardziej. – Zamilkł. Znów słyhać było kroki, ale tym razem się oddalały. Usłyszał pstryk. Halli obawiał się, że był to wyłącznik światła i mężczyzna chciał sobie już pójść. Pozbawić go szansy błagania o łaskę. Pragnąc zwrócić na siebie uwagę, by ten go nie zostawiał, podjął desperacką próbę połknięcia knebla. Ale po chwili oprzytomniał i zrozumiał, że mężczyzna nie wyłączył światła, a tylko wsadził wtyczkę do kontaktu. Wtyczkę od czego?

Kroki przybliżały się i zanim się zorientował, mężczyzna stał już przy nim. Halli zaczął na nowo się trząść. Najpierw ze strachu, a następnie z bólu, kiedy tamten pociągnął go za ucho. Jeśli myślał, że zamierza przykleić mu plaster lub założyć opatrunek, to nie mógł się bardziej mylić. Oczywiście mężczyzna miał inne zamiary.

Halli poczuł coś lodowato zimnego na swoim rozerwanym uchu. Nie było jedynie zimne, ale też ostre. Zakwiczał najgłośniejszym, jak tylko mógł, ale bez skutku. Zamilkł i próbował siedzieć w bezruchu. Może jego niekontrolowane drgawki były przyczyną, że mężczyzna niechcący uraził go czymś w ucho. Chyba nie miał zamiaru dalej go okaleczać? Może były to tylko nożyczki, którymi chciał przeciąć taśmę, i właśnie teraz nadarzy się okazja do poproszenia go, by nie robił mu krzywdy. Halli z całych sił starał się siedzieć spokojnie i milczeć. Musiał wytrzymać. Stawka była wysoka. Stawką było jego własne życie.

Siedział więc grzecznie i cichutko.

– Teraz podobasz mi się już bardziej. Dzięki wielkie za ułatwienie mi życia.

Halli wierzył, że w tym momencie to nóż albo nożyczki wsuwają się pod zwoje taśmy i zaczynają ją ciąć. Ale dotknięcie, które poczuł w zupełnie innym i nieoczekiwanym miejscu, nie przypominało niczego, co by znał. Zapomniał

natychmiast o pięknej małżowinie, kiedy niewyobrażalny ból przeszył mu głowę. Usłyszał pstryk. Wszystko, co do tej pory wycierpiał, okazało się nic nieznającym żartem w porównaniu z tym, co miało nastąpić.

Rozdział 28

Karlotta nie odpowiadała na jego telefon. Po sześciu dzwonekch uznał, że to wystarczy. Wypełnił kurtuazyjny obowiązek i odetchnął z ulgą. Zobaczy, że oddzwonił, zapomni, w jakiej sprawie chciała się z nim skontaktować, i na tym poprzestanie. A on będzie miał to z głowy.

Niestety był to mało prawdopodobny ciąg dalszy historii dwojga ludzi, którzy znajomość zawarli w obskurnej toalecie. Karlotta najpewniej była w tej chwili zajęta, może na przykład miała zebranie, i oddzwoni w wolnej chwili. Huldar bał się tej rozmowy. Jej obraz w myślach wywoływał nieprzyjemne uczucie. Ale wina leżała po jego stronie.

Karlotta przypominała mu, jak wielką był świnią.

Aż od tego czasu z powodzeniem udało mu się jej unikać. Nawet gdyby wiedział, że ma wkrótce umrzeć, byłaby ostatnią osobą, z którą chciałby się spotkać. Już sama próba dodzwonienia się do niej powodowała u niego nadprodukcję kwasów żołądkowych. Zażył wprawdzie dwa ranigasty, lecz bez efektu, bo dalej miał zgagę. Ssanie gumy nikotynowej przyniosło mu ulgę minimalną, ale wystarczającą na tyle, by móc się ruszać. Wysiadł z samochodu. Był ciemny zimowy wieczór.

Nie poszedł prosto pod drzwi domu Freyi. Chciał najpierw sprawdzić, czy uda mu się niepostrzeżenie wkraść do środka. Z daleka widział już, że nie powinien mieć z tym kłopotów. Przed samym wejściem stał radiowóz, a w nim policjant. Wszystko wyglądałoby podręcznikowo, gdyby nie niebieska poświata w aucie, która dowodziła, że policjant zajęty był śledzeniem, ale niestety Internetu.

Huldar zaparkował wystarczająco daleko, by nie wzbudzić zainteresowania policjanta. Niezauważony przeszedł przez przylegające do budynku dwa ogródki, mimo że po drodze zniszczył oddzielający je płot, który ugiął się, gdy próbował go pokonać górą. Najwyraźniej na ulicy było więcej takich rozpadających się ruder jak dom Freyi. Musiał jednak przyznać, że jej ogród był w najgorszym stanie ze wszystkich. Ze śniegu wszędzie wystawały śmieci. W rogu leżał przewrócony na bok najtańszy z najtańszych grillów na gaz. Stara, przerdzewiała huśtawka

poruszała się na wietrze. Nic dziwnego, że Freyję zauroczył stolarz Jónas z Egillstaðir. Miałby tu do czego przyłożyć rękę.

Huldar ostrożnie wyjrzał zza rogu domu. Policjant w dalszym ciągu zajęty był telefonem. Tak jak podejrzewał, niezauważony zdołał zbliżyć się do drzwi wejściowych. Zamiast jednak zadzwonić domofonem, zawrócił na chodnik, robiąc hałas wokół siebie. Teraz policjant patrzył na niego z przerażeniem, wciąż z komórką w dłoni.

Usiłując ją wyłączyć, pozdrowił Huldara drżącym głosem. Nie spuszczał z niego wzroku.

– Był pan już w środku?

– Nie, przyszedłem zobaczyć, jak sprawuje się ochrona tego domu. – Spojrzał na komórkę policjanta. – Coś interesującego na Instagramie?

– Hmm, nie. Trochę się zapomniałem. – Młody funkcjonariusz spiekł raka.

– Proszę czujnie obserwować budynek. Pójdę tam rozeznaczyć się w sytuacji i porozmawiać z kobietą. A kiedy wrócę, nie chciałbym walić w szybę samochodu, żeby nawiązać z panem kontakt.

– Nie. W żadnym wypadku. Będę uważał.

Idąc w kierunku drzwi, słyszał za sobą automatycznie zasuwającą się szybę radiowozu. Zanim wszedł do środka, odwrócił się jeszcze raz, by się upewnić, czy młody funkcjonariusz nadal bawi się komórką, ale ten ze skupieniem wpatrywał się w niego.

Przy wejściu na korytarz nie można było zrobić kroku, żeby nie nadepnąć na porozrzucane po podłodze reklamy i gazety. Huldar odsunął je nogą na bok, by móc dostać się do domofonu. Nazwisko Freyi widniało na względnie nowej wizytówce. Już po raz kolejny dziwił się, dlaczego mieszkała w takim miejscu, ale wciąż nie miał możliwości zapytać. Szczególnie po lekceważącym zachowaniu Erli. Mógł to zrobić tylko, kiedy był tu za pierwszym razem, jako Jónas-stolarz. Wtedy jednak nie zwracał uwagi na otoczenie. Pieczenie w żołądku nasiliło się, kiedy przypomniał sobie, jak poprosiła, by fachowym okiem spojrzeć na wypaczone drzwi od łazienki. Przeciągnął dłonią po framudze, w dół i w górę, udając kogoś, kto się na tym zna. Na szczęście dostała czkawki i roboty stolarsko-naprawcze zeszły na drugi plan. Miał nadzieję, że już tego nie pamiętała.

– Halo? – Przez domofon głos Freyi brzmiał metalicznie i pusto.

– Tu Huldar. Możemy krótko porozmawiać? Wszystko u was w porządku?

Nie odpowiedziała mu, więc przez chwilę myślał, że go nie wpuści. Zaraz potem jednak drzwi zabrzęczały. Idąc na górę, układał sobie w głowie wszystko, co chciał jej powiedzieć. Początek był zawsze ważny, taką Huldar wyciągnął naukę z własnych błędów.

Freyja stała w drzwiach z rękoma założonymi na piersiach i zaciętą miną. Ubrana była w obcisłe jeansy i podkoszulek. Na nogach miała skarpetki w kratkę i rozdeptane niebieskie kapcie. Jej pofalowane blond włosy zebrane były w kok na czubku głowy. W koku wprawdzie nie było jej do twarzy, ale wyglądała przez to na wyższą. Niewątpliwie nie spodziewała się gości.

– Witam.

Huldar uśmiechał się i udawał, że nie zauważył jej chłodnego przyjęcia.

– Witaj. – Podszedł i stał przed nią jak osioł. – Czy mogę wejść? Muszę z tobą omówić parę rzeczy. Obiecuję, że nie zajmie to wiele czasu.

Freyja groźnie zmrużyła oczy. Zastanawiała się, czy mu uwierzyć. Z wykształcenia była psychologiem, dlatego Huldar mógł obawiać się, że go przejrzy. Ale odsunęła się na bok i wpuściła go do środka. Nie był pewien, czy nabrała się na jego kłamstwo z konieczności, czy też nie chciała stać na klatce schodowej i się sprzeczać. Ale nie miało to już znaczenia, grunt, że udało mu się wejść. Powiedziała, żeby nie zdejmował butów. Kiedy ściągnął kurtkę, do przedpokoju przyczłapała Molly. Suczka próbowała go obwąchać, oczywiście uderzając przy tym boleśnie kłosem w łydki. Na twarzy Freyi wreszcie pojawił się uśmiech. Ale to nie bezradne próby psa ją rozweseliły, tylko grymas bólu na twarzy Huldara. Zasłużył sobie na to.

Stał jeszcze w przedsionku, gdy w drzwiach sypialni pojawiła się Margrét. Przekrzywiła głowę i wpatrywała się w niego, aż poczuł się nieswojo.

– Witaj, Margrét.

– Po co tu przyszedłeś? – Margrét nie zareagowała na jego przywitanie. – Ty jesteś tym policjantem.

– Tak, jestem policjantem, ale nie wiem, czy jestem t y m policjantem.

– Tak, jesteś nim. Wiem to. Policjantem, który wyciągnął mnie wtedy spod łóżka.

Z wyrazu jej twarzy nie można było wyczytać, czy jest mu za to wdzięczna, czy

może zła. Ale Huldar nauczył się już, że dzieci nie zawsze myślały tak jak dorośli. Może w jej mniemaniu nic by się nie wydarzyło, gdyby dalej mogła tam leżeć.

– Zgadza się. To ja. Jesteś mądrą dziewczynką. – Przypomniał sobie, jak siedząc pod łóżkiem, zaciskała oczy i nie otworzyła ich nawet wtedy, gdy przyciągnął ją do siebie, wziął na ręce i przytulił do piersi, by zaoszczędzić widoku leżącej w łóżku martwej matki. Nie widziała więc dokładnie jego twarzy, ale mogła rozpoznać po głosie. Huldar uśmiechnął się do niej, ale się nie odwzajemniła. Nie miał jej tego za złe.

– Kiedy byłam pod łóżkiem, widziałam buty. – Popatrzyła na jego nogi i podniosła wzrok. Wyglądała na zatroskaną. – Po ogródku chodził jakiś mężczyzna. Widziałam go przez okno.

Huldar spojrzał na Freyję, która przysłuchiwała się ich rozmowie. Pewnie cieszyła się, że to nie ona musiała z nim rozmawiać. Przełknął ślinę, starając się dobrać właściwy ton głosu.

– Możesz mieć rację. To byłem ja.

– Ty? – Freyja zmarszczyła czoło. – Co robiłeś w ogrodzie?

Margrét nie czekała na dalszy ciąg. Przygryzła dolną wargę, weszła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Przestraszyłeś ją. Zapomniałeś o mężczyźnie z jej ogródka? Gdybyś raczył mnie uprzedzić, odciągnęłabym ją od okna. A teraz pewnie myśli, że naprawdę jesteś nim. Albo mordercą. – Ostatnie zdanie wyszeptała.

– Chciałem coś sprawdzić. – Wypowiedziane na głos zdanie zabrzmiało idiotycznie. – A właściwie skontrolować, jak skutecznie wyznaczony policjant pilnuje domu.

– No i?

– No i? – Huldar nie rozumiał, o co jej chodzi.

– No i co wykazał sprawdzian?

– Nie jestem pewien, czy chciałabyś to usłyszeć. – Huldar zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu się zdecydował. – Podeszedłem niezauważony aż pod same drzwi.

– Jezu Chryste! – jęknęła Freyja. – Po co tu w ogóle przyszedłeś? Tylko na kontrolę?

– Nie, nie tylko. Chciałem ci powiedzieć, że przesłuchaliśmy twojego byłego

partnera i wygląda na to, że to nie on okaleczył psa. – Molly, która stała przed zamkniętymi drzwiami sypialni, odwróciła okoloną kloszem głowę, przez chwilę na niego patrzyła, po czym wróciła do wlepiania ślepiów w drzwi. – SMS nie był wysłany z jego telefonu i ma twarde alibi.

– Zwinęliście go z krajowej narady Związku Nudziarzy?

Huldar się uśmiechnął. Na przesłuchanie wziął ze sobą Ríkharðura. Jednak szybko tego pożałował, gdy ujrzał sztywniaka siedzącego na korytarzu komisariatu. Tak jak Ríkharður ubrany był w garnitur. Huldar czuł się w ich towarzystwie jak hipis, który urwał się z Woodstock. Wygląd zewnętrzny świadka był tak perfekcyjny, że aż sztuczny. Oprócz tego okazał się zupełnie banalnym typem, w czym różnił się od Ríkharðura, który czasem okazywał luz, ale trzeba było na to długo czekać. Zanim mężczyzna usiadł, odkurzył krzesło. Kiedy odpowiadał na pytania, pocierał nos i rozglądał się przestraszony po pokoju, jakby z każdej strony miały go obleźć wszy.

– Nie, nie było go na naradzie związkowej, ale nie zdziwiłbym się, gdyby w pojedynkę objął trzy główne stanowiska – naczelnego, sekretarza i skarbnika.

Freyja się uśmiechnęła.

– Jakie miał to twarde alibi?

– Bardzo mi przykro. Tajemnica zawodowa. Zapewniam jednak, że nie do podważenia. – Huldar nie chciał robić jej przykrości i opowiadać, że człowiek, z którym do niedawna żyła, był na kolacji ze swoją nową partnerką życiową. Spojrzał na nią zakłopotany. – Chyba na swoje szczęście się go pozbyłaś.

Słowa trafiły w samo sedno.

– Chcesz usiąść na chwilę? – Freyja wskazała mu dłonią mały pokój gościnny. – Pójdę tylko sprawdzić, co z Margrét i czy się uspokoiła.

Huldar przeszedł obok heavymetalowego plakatu, na który zwrócił wcześniej uwagę. Teraz już wiedział, że to nie pozostałości po jej byłym związku z mężczyzną, którego miał okazję poznać. Taki typ ludzi preferował dźwięki harfy, organów i skrzypiec. Zdecydował nie pytać o to więcej i nie mówić o innych rzeczach, które mogłyby sprawić jej przykrość albo zostać przez nią źle zrozumiane. Nie chciał tego znowu zepsuć. Naprawdę szczerze się postara.

Lub coś w tym stylu.

To nie było tak, że przyjęła go z otwartymi ramionami. zaproponowała tylko, by

usiadł na obskurnej, poszarpanej kanapie, z której rozerwanego poszycia w paru miejscach wystawało gąbkowe wypełnienie. Usiadł tak, żeby zostawić jej wystarczająco dużo miejsca, jeśli zechciałaby przysiąść się do niego. Starał się zachować spokój. W międzyczasie przyglądał się dwóm kolorowym opakowaniom po lodach stojącym na ławie. Jedno było puste, a drugie do połowy wypełnione roztopioną masą. Kiedy już się na nie napatrzył, skierował wzrok na podłogę i skupił się na odstającej od niej klepce parkietowej. Kiedy Freyja weszła do pokoju, patrzył na kawałek drewna już tak długo, że jego proste linie wydawały mu się zaokrąglone.

– Jest taka biedna. – Freyja opadła na fotel, który stał naprzeciwko sofy.

– Zauważyłem. Dałbym sobie z tym spokój, gdybym miał świadomość, że stała w oknie. – Huldar gorączkowo starał się nie patrzeć na Freyję. Co chwilę przerzucał wzrok na opakowania po lodach, aż zorientował się, że przez to uzna go za zestresowanego. – Chcesz, żebym z nią porozmawiał, wytłumaczył wszystko lepiej albo przeprosił ją za to?

– Nie. Absolutnie nie. – Jej odpowiedź była zbyt gwałtowna. Dodała więc nieco łagodniej: – Jest wytrącona z równowagi i wygląda na to, że się ciebie boi. Zostawmy ją na trochę w spokoju. Nie masz zamiaru siedzieć tu długo, prawda?

– Nie, ależ skąd. – Huldar wskazał na podłogę. – Chyba, że wezmę się za tę klepkę w parkiecie. Od czasu do czasu bawię się w stolarza. – Uśmiechnął się nieśmiało.

Freyja spoglądała na niego z zakłopotaniem. Chyba nie wiedziała, jak ma zareagować.

– Nie waż się tykać podłogi, Jónas.

– Nie. Obiecuję.

– Czy było coś jeszcze oprócz tej sprawy z Molly?

– Tak. I to też ma z nią związek. – Huldar przełknął ślinę. – Jak już mówiłem, SMS-y nie zostały wysłane z telefonu twojego byłego. – Freyja potakiwała głową wyraźnie zmartwiona. – Wysłano je z tego samego telefonu, co SMS-y, które otrzymała druga ofiara. Najpewniej zrobił to morderca. I dlatego chciałem sprawdzić, jak działa wasza ochrona. Po tym, co zobaczyłem, nie bardzo wiem, jak się teraz zachować. Margrét nie może tu dalej przebywać.

– To dokąd ma pójść? Przecież nie do babci i dziadka. Tam by ją od razu znalazł.

– Szukamy lepszego rozwiązania. A tymczasem mam zamiar podwoić ochronę na wieczór i noc. Jeśli pozwolisz, chciałbym, żeby jeszcze jeden policjant był w mieszkaniu. Mógłby siedzieć tutaj, więc nie zakłócałby ci spokoju.

– Ale ja tu śpię, na tej sofie. Wątpię, żebym mogła nie zauważyć jego obecności. Huldar wyczuł, że nie powiedziała mu wszystkiego.

– O co chodzi?

– O nic. Tylko się zastanawiałam, co będzie ze mną, kiedy zabierzecie stąd Margrét... Radiowóz też pewnie zniknie sprzed domu? A jeśli morderca myśli, że mi o czymś opowiedziała?

– Mogę wydać rozkaz, żeby samochód policyjny pozostał na miejscu. Ale nie jestem pewien, czy mamy dość ludzi, aby przydzielić ci podwójną ochronę.

– Nieważne, zapomnij o tym. – Freyja nie wyglądała na pogodzoną z sytuacją. Pomiędzy brwiami zrobiły jej się dwie głębokie bruzdy przypominające kacze łapki. Zapamięta sobie ten wyraz twarzy. Na wypadek gdyby po zakończeniu dochodzenia ich drogi miały się kiedykolwiek ze sobą zejść. Chociaż szanse były nikłe.

– Nie. W żadnym wypadku. Sam będę cię pilnował, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na pewno nocą. Za dnia będę się starał dorwać tego skurwiela, a jeśli mi się uda, to ani tobie, ani Margrét ochrona nie będzie potrzebna.

– Tak, zrób to. Ale odpuść sobie koczowanie w wozie przed domem. Sama mogę się o siebie zatroszczyć. – Położyła ręce na oparciach fotela, dając do zrozumienia, że zamierza z niego wstać. – Czy to już wszystko? – Kacze łapki nie zniknęły z jej czoła.

W kieszeni Huldara rozdzwonił się telefon i przeszkodził mu w odpowiedzi. Pod pogardliwym spojrzeniem Freyi wyciągnął go z kieszeni. Żołądek podszedł mu do gardła, kiedy zobaczył, że to Karlotta. Wyłączył dzwonek.

– Nie zamierzasz odebrać?

– Nie. – Uznał, że im mniej powie, tym lepiej dla niego.

Przeraźliwy krzyk dochodzący z sypialni zastąpił wszystkie słowa.

Freyja stała przy oknie z telefonem przy uchu. Przez szparę między lamelami żaluzji obserwowała, co działo się na zewnątrz. Po drugiej stronie ogrodu widziała

strugi świateł z latarek policjantów. Szukali człowieka, którego Margrét widziała skradającego się w ogrodzie. Huldar też tam był. Nie mogła wiedzieć, który strumień światła należał do niego, podejrzewała jednak, że ten, który tańczył w ciemnościach jak zwariowany.

Powodem całej akcji, do której podeszli z pełną powagą, było przeświadczenie dziewczynki, że w ogrodzie kręci się ten sam osobnik, który na wiele tygodni przed morderstwem obserwował jej dom. Czy miała rację, trudno powiedzieć.

Freyja w milczeniu słuchała kazania brata. Lepiej było pozwolić mu się wyładować.

– Radiowóz policyjny? Podstawiony przed domem? Już czterech sąsiadów dzwoniło do mnie i na pewno nie są z tego zadowoleni. Zarzekałem się, że to wykluczone, by stał tam z twojego powodu. Co ja im teraz powiem?

– Prawdę. Że radiowóz stoi tam z mojego powodu. Jak już ci mówiłam, jutro raczej stąd zniknie.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Muszę dbać o moją reputację. Ludzie nie mogą myśleć, że się bratam z policją.

– Nie jesteś taki.

– Czy w mieszkaniu też jest policja?

– Nie. – Na szczęście akurat w tym momencie tak właśnie było. Ale poszukiwanie nie mogło potrwać długo i Huldar miał zaraz wrócić. Pewnie będzie nalegał, by zostać i dzisiejszej nocy spać tu na sofie. Freyja wyląduje więc na materacu w pokoju z Margrét. Nie zależało jej na Huldarze i nie chciała go widzieć, gdy rano się obudzi. Ale nie mogła ryzykować, że morderca pojawi się w domu i nie będzie nikogo, kto by ją obronił.

– Powinnaś była mi zaufać. Uważasz, że nie mógłbym ochronić cię lepiej niż policja? Daj spokój. – Baldur zrobił sobie przerwę na złapanie oddechu. – Uwierz mi, że mógłbym.

– Ależ oczywiście, że ci wierzę. Tylko tu nie chodzi o mnie, a o dziewczynkę. Mówiłam ci przecież, że to jej pilnują.

Długa cisza.

– Freyja, musisz zachować spokój.

– Zachować spokój? Dlaczego mi to mówisz?

– Posłuchaj mnie. W mieszkaniu jest rewolwer. Musisz z nim spać, a w ciągu

dnia trzymaj go w torebce. Tylko nie próbuj chodzić z nim w kieszeni, bo jednak rzuciłby się ludziom w oczy.

– Rewolwer? Odbiło ci? – Freyja cofnęła dłoń. Lamele wróciły z cichym trzaskiem na swoje miejsce. Nagle przyłapała się na tym, że szepcze do telefonu, jakby ten był na podsłuchu. – Gdzie, do diabła, jest ta broń?

– W pokoju gościnnym. Pod jedną luźną klepką w parkiecie jest skrytka i to w niej trzymam broń. Przysięgnij, że ją stamtąd wyjmiesz.

Freyja popatrzyła na wskazane miejsce w parkiecie i zbladła. Co by było, gdyby przyjęła propozycję Huldara? Nalegał, żeby tu zostać. A jeśli będzie próbował się jej podlizać i zacznie naprawiać podłogę? Musi usunąć rewolwer, i to jeszcze zanim on wróci. – Baldur, muszę już kończyć. Zobaczę, co z tym rewolwerem. Przysięgam. Nic się nie martw.

– Wcale się nie martwię. Wiem, że nic ci się nie stanie.

Freyja się rozłączyła. W nerwowym pośpiechu szukała śrubokrętu, by podważyć klepkę. Myślała o tym, co Baldur powiedział na koniec. O co mu właściwie chodziło? Skąd może wiedzieć, że nic jej się nie stanie? Oparta kolanami o podłogę zabrała się do dzieła.

Rozdział 29

Dziewczyna wyglądała na zaspaną. Głośno mlaskała i z otwartą buzią żuła namiętnie i wściekle różową gumę. Nad dzwonkiem do drzwi wisiała karteczka z imieniem Linda. W miejscu, gdzie powinno widnieć nazwisko, przyklejono krzywo małe, różowe serduszko. Osoba, która je tam umieściła, nie postarała się.

Karl był prawie pewien, że zrobiła to ta dziewczyna. Jej wygląd dowodził, że nie zwracała uwagi na detale. Rozjaśnione włosy w kolorze żółtka, z czarnymi brzydkimi odrostami, z zafarbowaniem których zwlekała zbyt długo. Związała je niedbale w kitkę na czubku głowy. Wysokie, świecące czoło usiane było krostkami. Smoliste kreski brwi mogły być namalowane flamastrem.

Linda wciąż sięgała dłonią do czoła, by je rozdrapać, a przy okazji zademonstrować żalobę za paznokciami, bo choć pomalowała je na granatowo, lakier na końcówkach zdążył już odprysnąć. Jej ubrania współgrały z resztą stylówki i mocno domagały się prania. Miała na sobie cienki podkoszulek ledwie zakrywający jej niespotykane okazałe piersi, stojące i jędrne. Karl musiał się więc mocno kontrolować, by patrzeć sąsiadce Halliego w oczy, ale i tak od czasu do czasu zerkał w dół. Börkur natomiast nie był już tak kulturalny i bez przerwy wlepił oczy w jej klatkę piersiową.

Lindzie wcale to nie przeszkadzało. Wyciągnęła z buzi różową gumę, zawinęła wokół brudnego palca, po czym ponownie wsadziła do ust.

– Kto? Halli? On tu mieszka?

– Tak, dokładnie po przeciwnej stronie. – Karl wskazał na drzwi lokalu Halliego, które niczym nie różniły się od pozostałych ośmiu na tym korytarzu. Za każdą parą drzwi znajdowały się wynajmowane na czarno tanie pokoje. W ostatnim czasie bardzo popularne.

– Taki wysoki. Ciemnowłosy.

– C i e m n o w ł o s y? – W jej ustach słowo „ciemnowłosy” zabrzmiało tak, jakby nigdy dotąd go nie słyszała. Może do tego stopnia chciała zostać blondynką, że wymazała je ze swojej pamięci. Pokręciła głową. – Nie, nie wiem, o kim mówisz.

Karl bezskutecznie szukał w pamięci czegoś charakterystycznego w wyglądzie Halliego, mając nadzieję, że dzięki temu kobieta go sobie przypomni.

– Często chodzi w kurtce moro. Jeździ na motocyklu.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się i pojawił się na niej szeroki uśmiech. Zęby miała duże i białe. Nagle okazała się całkiem ładna.

– Tak! Chłopak z motorem. Czemu nie mówiłeś od razu? – Zamiast jednak czekać na odpowiedź Karla, przybrała podejrzliwą minę. – A dlaczego go szukasz? Jesteś komornikiem?

– Nie, nie. Ależ skąd! Jestem jego przyjacielem i muszę się z nim skontaktować. Nie odbiera telefonu.

– Aha! A próbowałeś zapukać do drzwi?

Pytanie było tak od czapy, że nawet Börkur ze zdziwioną miną spojrzał jej w twarz. Karl odpowiedział z największą cierpliwością, na jaką mógł się zdobyć.

– Już próbowałem. Nie słyszałaś hałasu?

Linda pokręciła głową.

– Nieee. Słuchałam, no wiesz. – Pociągnęła za wiszącą wokół szyi białą łezkę. Przytłumiona, ale zdecydowanie jazgotliwa muzyka wydobywała się ze słuchawek. – Widziałam wczoraj tylko jego motocykl.

– Ale jego samego nie widziałaś?

Przychodząc tutaj, Karl i Börkur także go zauważyli, bo stał pod schodami prowadzącymi na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się pokoje mieszkalne. Na pozostałych kondygnacjach były biura małych firm o niewielkim obrocie. Większość ich właścicieli nawet nie wysiliła się na porządne tabliczki. Na drzwiach wisały zwykłe kartki z odręcznie napisanymi nazwami.

– Nie, nie przypominam sobie. – Linda wyglądała na podirytowaną ciągłym zadawaniem pytań. Wysunęła głowę za drzwi i lustrowała korytarz, tak jakby spodziewała się, że jest ich więcej. – Widziałam go w każdym razie parę dni temu. Pochwalałam za nową kurtkę. Zajebista, mówię wam.

– Jesteś pewna, że to był on? – Börkur nareszcie zadał pytanie, nie wgapiając się jednocześnie w jej piersi. – Zawsze chodzi w jednej i tej samej.

Karl czekał na odpowiedź, która rozwiałaby wątpliwości, że nie chodzi o pomyłkę. Halli był zupełnie splukany i miał problemy nawet z wygrzebaniem kasy na kino. Nie mógł sobie pozwolić na nową kurtkę, a już na pewno nie na

z a j e b i s t ą. Ale Linda upierała się przy swoim.

– Na pewno to był on. Zapytałam się, ile za nią dał, bo też bym taką chciała, i powiedział mi. Miałam nadzieję, że jest z wyprzedaży, ale niestety nie. To na sto procent był on.

Karl zrozumiał, że dalsza dyskusja niczego nie da.

– Jeśli znowu się na niego natkniesz, to powiedz mu, że go szukamy. Niech się zamelduje u Börkura albo Karla.

– Uff, nie wiem, czy zapamiętam. Ale się postaram. – Linda skrzyżowała ręce na piersiach, odbierając Börkurowi widok. Skrzywiła się i nieznacznie cofnęła do środka, jakby chciała dyskretnie zniknąć w czeluściach swojego pokoju. Gdy tak stała w cieniu, można było domyślić się, że w ciemnym barze lub dyskotecie brano ją za całkiem atrakcyjną laskę. – Ale czy wy na pewno nie jesteście z firmy windykacyjnej? Nie mam zamiaru pomagać komornikom przy ściąganiu należności.

Karl z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Naprawdę wyglądamy na egzekutorów długów? – Ich obu można by zaliczyć do kategorii piórkowej. – Jesteśmy jego przyjaciółmi. Ucieszyłby się, gdyby wiedział, że go szukamy, słowo.

– Okej – powiedziała, nie wydawała się jednak zupełnie przekonana. – Ale ze dwa razy widziałam pod jego drzwiami jakiegoś faceta. Czekał tam i raczej nie wyglądał mi na kogoś, kto się świetnie bawi. Myślałam, że może to on was przysłał.

– Rozmawiałaś z nim?

– Broń Boże, nie. Wyglądał na ponuraka. – Linda zmarszczyła brwi i myślała intensywnie. – Za każdym razem miał na sobie czapkę z daszkiem i spuszczał głowę, gdy koło niego przechodziłam. Dlatego nie mogłam zobaczyć jego twarzy. To się czuło, że nie miał ochoty na pogawędkę.

– Nie wiesz, czy zastał Halliego?

– Nie mam zielonego pojęcia. Weszłam do siebie i tyle.

To były wszystkie informacje, jakie udało się Karlowi wyciągnąć z dziewczyny. Powiedzieli jej cześć, ale Linda nie odpowiedziała i po prostu zamknęła drzwi. Próbowali pukać do następnych, jednak bezskutecznie. Z co najmniej trzech pokojów dochodziły odgłosy świadczące o tym, że lokatorzy byli w środku.

Z opisów Halliego wynikało jednak, że blok zamieszkiwali ludzie, którym z tych czy innych powodów nie powiodło się w życiu albo pracujący na czarno obcokrajowcy. Krótko mówiąc, nikt tu nie oczekiwał miłych sercu gości.

Karl spróbował po raz ostatni zapukać do Halliego. Walił pięścią tak energicznie, że aż zadrżały pozostałe drzwi na korytarzu, ale nic to nie dało. Nacisnął na klamkę, lecz drzwi były oczywiście zamknięte. Kiedy zrezygnowany zamierzał już odejść, spojrzał na wystrzępioną słomkową wycieraczkę pod swoimi nogami. Gdy ją podniósł, do góry wzbiły się tumany kurzu. Pod wycieraczką leżał klucz.

– Naprawdę chcesz otworzyć? – Ciężko było stwierdzić, czy Börkur wie, czego chce. – Czy to aby nie jest włamanie?

Karl wzruszył ramionami.

– Skoro mamy klucz, to nie. Chcę tylko na chwilę zajrzeć do środka, upewnić się, czy nie leży bez przytomności, ranny albo coś.

– Bez przytomności? Dlaczego miałyby być ranny lub nieprzytomny? – Po raz pierwszy na twarzy Börkura pojawiło się zmartwienie. Przyszedł tu tylko dlatego, że nie miał siły odmówić Karlowi lub zaproponować czegoś innego.

– A skąd ja mam wiedzieć, jak mógłby zrobić sobie coś złego? Dlatego zamierzam zajrzeć i sprawdzić.

Wyposażenie pokoju Halliego składało się z łóżka, krzywo stojącej szafy z brakującym jednym skrzydłem drzwi, maleńkiego kuchennego aneksu z płytą elektryczną i biurka, które w zasadzie było dużo za duże, jak na takie pomieszczenie. Poza tym znajdowała się tu maleńka łazienka z prysznicem, umywalką i muszlą klozetową.

Karl odwiedził Halliego dwa razy, dlatego nie zdziwił go widok leżących wszędzie śmieci, pustych opakowań po zupkach chińskich, puszek po napojach i papierków po cukierkach wokół kosza na śmieci. Tak jakby Halli z każdego możliwego miejsca w pokoju rzucał nimi do kosza i nie trafiał. Na łóżku leżała skotłowana pościel, a połowa kołdry spoczywała na podłodze. Obok poniewierały się zużyte chusteczki higieniczne i otwarta gazetka pornograficzna. Karl odwrócił wzrok i skoncentrował się na biurku, które w odróżnieniu od reszty nie było przysypane śmieciami. Stał na nim komputer Halliego, kilka puszek po coca-coli i pusta torebka po popcornie. Prawie całe biurko pokryte było grubą warstwą kurzu,

tylko obok komputera na blacie widoczne były dwa czyste kwadratowe ślady.

Börkur wyjrzał znad ramienia Karla. Nie wyglądał na przejętego tym, co zobaczył.

– Nie ma go tu.

– Nie. Nie ma i sprzętu też nie ma.

– No co ty? – Börkur odepchnął Karla na bok, by lepiej widzieć. – O kurczę. Zniknął. – Zrobił krok do tyłu. – Czy to możliwe, że go okradli? Po ludziach, którzy tu mieszkają, w sumie można się tego spodziewać.

Karl westchnął cicho.

– Oczywiście, że go nie okradli. Wzięliby też i komputer. – Nie było to jednak takie pewne, bo zamiast eleganckiego, najwyższej jakości komputera, który stał tu jeszcze ostatnio, zobaczył przestarzały model, który zawieszał się nawet na pospolitych grach. Ten rupieć zastąpił supernowoczesne urządzenie, które zarekwirowała policja w ramach akcji przeciw nielegalnemu ściąganiu z Internetu. – Halli sprzedał aparaturę radiową. To wyjaśnia, skąd miał pieniądze na nową kurtkę. Może chciał w ten sposób zdobyć pieniądze na nowy komputer? – Karl po raz ostatni omiół wzrokiem cały pokój i zamknął go.

Börkur był w szoku.

– Dlaczego nam o tym nie powiedział? I czemu z kolei mówił, że aparatura się zepsuła? Przecież w takim układzie nie mógłby jej sprzedać. Mój sprzęt szwankuje i dobrze wiem, że dopóki nie zainwestuję w naprawę, o sprzedaży nie mam co myśleć.

Karl odłożył klucz na miejsce, pod wycieraczkę.

– Okłamał nas. Sprzęt był w porządku. Po prostu się go pozbył.

– Tylko po co miałyby nas okłamywać? Przecież nam to wisi.

– Nie mam pojęcia – skłamał Karl, coś jednak podejrzewając. Mogło być tak, że Halli nic nie powiedział, bo zniknięcie aparatury miało związek z audycjami liczbowymi. Czyżby stał za tym wszystkim? Sam albo do spółki z innymi? Jeśli tak, to z kim?

Karl i Börkur opuszczali budynek, wiedząc o Hallim tyle samo, ile wiedzieli przed przyjściem tutaj. Tuż przed wyjściem jak idioci stanęli przez chwilę pod schodami, wbijając wzrok w motocykl kolegi, ale zupełnie nie mając pomysłu, jakich to informacji na temat jego zaginięcia mógłby im dostarczyć.

Powitali się znów z mroźnym powietrzem.

W przytulnej i ciepłej kawiarni pachniało cynamonem. Stała się kultowym miejscem chętnie odwiedzanym przez lokalnych hipsterów. Wyglądało jednak na to, że w tej chwili mają ciekawsze zajęcia gdzie indziej. Większość gości wyglądała raczej banalnie, tak jak Karl i Börkur, dlatego dobrze się tam wpasowali. Tylko jedna kobieta wyróżniała się na tle reszty. Była młoda i piękna. Dawno już opróżniła zawartość swojej filiżanki, ale siedziała, przerzucając kartki w czasopiśmie i co rusz spoglądając w okno. Karl wiedział, co to oznacza. Umówiła się tu na randkę i została wystawiona do wiatru.

Po wizycie u Halliego najlepiej było jechać do domu, ale myśląc o odbiorniku radiowym w suterenie, Karl już wiedział, że nie będzie się tam czuł swobodnie. Urządzenie budziło w nim ambiwalentne uczucia. Nie wiedział, czy ma je roztrzaskać w drobny mak, czy usiąść i nasłuchiwać nowych wiadomości? Nie wiedział także, co bardziej poprawiłoby mu nastrój, dlatego wolał trzymać się z dala od domu. Przynajmniej nie musiał podejmować decyzji. Najgorsze było jednak podejrzenie, że Halli był w to zamieszany. Jeśli ma się tylko dwóch przyjaciół, to chciałoby się, żeby stali za tobą murem. Choćby akurat cię opuścili.

– O niczym nie wiedzą? – Z pewnym trudem udało im się skontaktować z rodzicami Halliego. Jak to w Islandii, znając nazwisko kolegi, Jónsson, wiedzieli, jak ma na imię jego ojciec. Przypomnieli sobie, że rodzice Halliego mieszkali w Dalvíku, i automatycznie liczba Jónów z pięciu tysięcy zmalała do trzydziestu siedmiu.

Już trzeci z kolei Jón, do którego zadzwonił Karl, po krótkim opisie wyglądu Halliego i wzmiance o jego siostrze z zespołem Downa dokładnie wiedział, o jakiego Jónssona chodzi.

Börkur popił kawę ze swojego ogromniastego kubka. Na górnej wardze miał białe wąsy.

– Kiedy rozmawiali z nim ostatnio?

– Jego mama mówiła, że przed paroma dniami. Według niej był w dobrym nastroju i nie wygląda na to, żeby się martwiła. Ojciec dostał wczoraj wieczorem SMS-a. Halli napisał w nim, że jedzie z przyjaciółmi na kilka dni do domku

letniskowego, gdzie nie będzie miał zasięgu.

– Mówił, kiedy zamierza wrócić? – Börkur oblizał sobie wąsy i wreszcie łyżeczką wymieszał mleczną piankę z kawą.

O to Karl nie zapytał, więc był teraz zły na siebie.

– A co to ma za znaczenie? Nie jest w żadnym domku letniskowym. Poza tym z jakimi niby przyjaciółmi miałby tam pojechać? Możesz mi wymienić jakiegoś poza nami dwoma? Czy my tam z nim jesteśmy?

– Wyluzuj, stary. Tylko pytałem. – Börkur miał obrażoną minę, z którą zawsze wyglądał głupkowato. – Może jest z Þórðurem?

Karl uznał, że nie warto mu przypominać, iż Þórður nie pozdrowił Halliego, zresztą tak samo jak ich dwóch, kiedy ostatnio natknęli się na niego w kinie. Było więc nie do pomyślenia, że ich stary kumpel nagle zmienił zdanie, zadzwonił do Halliego i zaprosił wraz ze swoją dziewczyną na weekendowy wyjazd. Nie do pomyślenia. Mimo to zrobiło mu się nieswojo. Po części wątpił, po części czuł się zazdrosny. A jeśli rzeczywiście tak było? Rozumiał, że Þórður nie chciał ciągać ze sobą Börkura, ale co z nim, Karlem? Jeśli Halli był teraz ich najlepszym kolegą, oznaczało to, iż jemu został tylko Börkur. Możliwe, że zechcą i jego przyjąć do paczki. A wtedy zostanie sam jak palec. W grobowym nastroju obracał filiżanką po spodku.

– Halli nie pojechał do żadnego domku. I nie ma z pewnością na Islandii domków kempingowych bez zasięgu sieci telefonicznej.

Börkur wzruszył ramionami.

– To pewnie jakaś rozpadająca się buda. Może wylądował w czymś takim? Gdzie mógłby być, jak nie tam? – Nagle doznał olśnienia. – A może powinniśmy zadzwonić na policję?

– Nie sądzę. Nie byli szczególnie zainteresowani, kiedy zadzwoniłem do nich w sprawie audycji radiowych. Pewnie podejrzewają, że jestem nienormalny. Jeśli znów zadzwonię, będą już o tym święcie przekonani.

– Ale przecież tym razem to ja mogę zadzwonić. O mnie nie będą tak myśleć.

Karl podał mu swoją komórkę. Jego była jak zwykle bez doładowania.

– Proszę bardzo. Jeden, jeden, dwa. – Podczas gdy Börkur telefonował, Karl wpatrywał się w swoją filiżankę, a kiedy już nasycił nią oczy, zaczął rozglądać się wokół. Patrzył na siedzących w kawiarni gości. Większość z nich była w tym

samym wieku co on i Börkur, ale tylko nieliczni mogli się cieszyć wspólnym przebywaniem w otoczeniu przyjaciół i znajomych. Każdy siedział jakby w pojedynkę, z nosem wlepionym we własny telefon i okazywał drugiemu zainteresowanie dopiero wtedy, gdy miał do pokazania śmieszne filmy albo interesujące zdjęcia czy komentarze. To jedno trzeba było przyznać Börkurowi, że nie był przyklejony do komórki, ale też nie miał innego wyboru, bo wciąż brakowało mu pieniędzy na doładowanie. Karlowi zrobiło się odrobinę różnie na duszy, a kiedy Börkur zakończył rozmowę, humor ogólnie mu się poprawił.

– Co za gówno. – Börkur oddał Karlowi telefon. – Powiedzieli, że nie jestem odpowiednią osobą, żeby ich o tym zawiadamiać. Jego rodzice musieliby to zrobić. A jeśli nawet by zadzwonili, to od jego zaginięcia nie upłynęło dość czasu, aby mogli podjąć działania. Co innego, gdyby chodziło o dziecko lub chorego psychicznie.

Karl poczuł nagle silny ból głowy.

– Jego rodzice nie zadzwonią. W każdym razie nie od razu. Nie zdają sobie sprawy, jak nierealna jest ta historia o zaproszeniu go do domku letniskowego. Nie mogę przecież powiedzieć im tego wprost i zburzyć wyobrażenia o szczęśliwym życiu Halliego w Reykjavíku, w gronie przyjaciół.

– A może zaprosili go jacyś krewni? Albo starzy znajomi z dzieciństwa? Przecież mógł mieć takich przyjaciół, o których nic nie wiedzieliśmy.

Karl musiał przyznać, iż była taka możliwość, że zanim Halli poznał ich dwóch, miał inne życie. To, że on, Karl, nie znał praktycznie żadnych członków swojej rodziny w tym samym wieku co on, nie musiało oznaczać, że tak było również z Hallim. Przyjaciele z przeszłości też nie byli głupim pomysłem. Najgorsze jednak, że Börkur nie powiedział mu o tym, zanim zadzwonił do rodziców Halliego. Mógł przecież poprosić o podanie imion kolegów z dzieciństwa i sam z nimi porozmawiać. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić ponownie. Jednak po namyśle zrezygnował, bo wydało mu się to niewskazane. Jeśli w najbliższym czasie nie nawiąże kontaktu z Hallim, będzie mógł zadzwonić do rodziców i namówić ich, by zgłosili zaginięcie na policji. A na razie nie chciał, by uważali, że jest jakiś dziwny lub cierpi na manię prześladowczą. Chwilowo musiał się pogodzić z tym, że nie mogli nic zrobić.

Nic, oprócz siedzenia przed odbiornikiem krótkich fal i czekania na najnowsze

wiadomości. Najgorsze były narastające w nim podejrzenia, że teraz kiedy zna klucz do szyfrów, zawarte w nich treści staną się dla niego straszniejsze. Zamiast pękać z dumy nad swoim odkryciem, czuł jeszcze większy niepokój. Nie mógł dłużej udawać, że to wszystko nie dotyczy jego osobiście. Najpierw podano jego PESEL, a później wykorzystano powiązanie z chemią, którą studiował. Nie był do końca pewien, czy wpadłby na to, gdyby rano nie postanowił pójść na uczelnię. Folia z pierwiastkiem lit z liczbą atomową trzy i symbolem Li sprawiła, że się zorientował.

Nie zajęło mu dużo czasu rozwiązanie pozostałych wiadomości liczbowych. Wystarczyło tylko do każdej liczby atomowej znaleźć odpowiedni symbol z tablicy układu okresowego pierwiastków i otrzymywało się gotową do odczytania wiadomość.

64, 30 – 7, 53, 63 – 92, j, 99, 22 – 53, 1, 13, 3

Gd, Zn – N, I, Eu – U, j, Es, Ti – I, H, Al, Li – Gdzie jest Halli.

Wcześniejsze wiadomości zamienione w symbole pierwiastków stały się również czytelne i nie pozostawiały wątpliwości, że to układ okresowy był kluczem do szyfrów.

30 – 7, 63 – 92, 25 – 7, 16, 22 – 53, j, 99, 22 – 53, 16, 3 – 53, 8, 105 – 5, 19, 89 – 6

Zn – N, Eu – U, Mn – N, S, Ti – I, Ac – C, j, Es, Ti – I, S, Li – I, O, Db – B, K, Ac – C – Zemsta jest słodka.

9, 92, 6, 19, 39, 8, 92

F, U, C, K, Y, O, U – *Fuck you.*

8, 19, 37 – 5, 89 – 6, 105 – 5, 3 – 53, 99, 25, 53, 99 – 16

O, K, Rb – B, Ac – C, Db – B, Li – I, Es, Mn, I, Es – S.

Ale czy czuł się lepiej z tą wiedzą? I tak mu to nic nie mówiło. Co niby miał ukraść? Jedyne, co w całym jego życiu zdarzyło mu się przywłaszczyć, związane było z nielegalnym ściąganiem z Internetu. To niemożliwe, żeby ktoś z tego powodu chciał go prześladować. Cóż innego mogłoby to być? Czy Halli miał z tym coś wspólnego? Czy możliwe, żeby wiadomości były rodzajem zemsty za zatrzymanie? Halli chyba nie myślał, że Karl był odpowiedzialny za jego wpadkę? Oczywiście, że nie miał z tym nic wspólnego.

Już chyba wolał słuchać niezrozumiałych kodów liczbowych. Co mógł mieć

z tego, że potrafił je rozszyfrować? Na co liczyć? Z jednej strony płonął z ciekawości, a z drugiej pragnął, by ich nadawanie wreszcie się skończyło. Jeśli chciał się uwolnić od urządzenia, nie musiał go przecież włączać. Jednak jakaś jego część chciała wysłuchać kolejnych audycji.

Karl wstał. Przecież nie może tu wiecznie siedzieć. I tak będzie musiał w końcu wrócić do mieszkania, więc lepiej mieć to już za sobą.

– Idziemy. Chcę wrócić i nasłuchiwać stacji. Chcę się upewnić, czy nie ma nowych wieści. – Sam się sobie dziwił, że brzmiało to tak energicznie. W głębi duszy czuł zupełnie coś innego.

Rozdział 30

Pizza przyłgnęła do kartonowego opakowania. Karl próbował zeszkrobać roztopiony ser, by urwać kolejny kawałek, ale bez skutku. Tylko palce miał teraz tłuste i pachnące salami. Ciasto nie chciało się odkleić, chyba że z górną kartonową warstwą, do której się przylepiło. Dał za wygraną. Przyglądał się, jak Börkur połyka w całości jedną część, przeżuwa i krótko przed jej połknięciem wypluwa spory kawałek celulozy. Karl stracił ochotę na skrobanie pizzy. Zaspokoił największy głód, więc każdy następny kęs to już tylko łakomstwo. Wlał w siebie całą colę, a puszkę zgniótł o brzeg stołu.

Siedzieli w suterenie i nudząc się, czekali na audycję liczbową. Poczuli się głodni i zamówili pizzę przez telefon. Radioodbiornik milczał, przynajmniej w tym momencie. Karl nie wykluczał też, że Urząd Poczty i Telekomunikacji wykrył pasmo i kazał je zablokować. Nie sądził, aby było legalne. Nieregularność emitowania i krótki czas trwania audycji utrudniały jednak wykrycie nadawcy. Nie można było wykluczyć, że audycje leciały, jeszcze zanim Karl zaczął im się przysłuchiwać. Wszystko jedno, co było powodem, Karl czuł ulgę, a jednocześnie odrobinę tęsknił za nimi. Tylko odrobinę. W zasadzie nie można było nazwać tego tęsknotą, już bardziej poczuciem pustki, która miała nastąpić, gdy przygoda dobiegnie końca. Znowu stanie się przeciętnym i nieciekawym człowiekiem. Niewzbudzającym u nikogo zainteresowania. Audycje sprawiały, że się zadręczał, ale jednak czyniły go kimś ważnym. Nadawały sens jego życiu. Gdyby więc nadawca zamilkł na zawsze, wszystko by wyparowało.

Börkur ugryzł kolejny kęs pizzy i jeszcze nie zaczął go przeżuwać, gdy krzyknął jakby w przypływie natchnienia.

– Hej! – Karl ujrzał w jego ustach więcej, niż powinien. – Mam ze sobą telefon. – Wstał, niedbale wytarł tłuste ręce w spodnie i pobiegł do przedpokoju. Wrócił ze zwycięską miną i komórką w ręce. Odłożył ją na stół i sięgnął po kolejny kawałek pizzy, nie przejmując się przyklejonym do spodu kartonem.

Karl wziął telefon i przyglądał mu się ze wszystkich stron. Widział go, ale tylko z daleka, wtedy w samochodzie. Teraz, w jasnej kuchni nadal nie rozpoznawał

aparatu. Nie miał wątpliwości, że musiał należeć do jakiejś kobiety albo dziewczyny, o czym świadczyła różowa oprawa i umieszczone na jej odwrocie błyszczące kamyczki. – To nie jest tani telefon.

– Nie. Wręcz przeciwnie. – Börkur wyglądał na już najedzonego i z zadowoloną miną oparł się o krzesło. W kącikach ust miał sos pomidorowy, który nieprzyjemnie przypominał krew, tak jakby wgryzł się w szklankę i niczego nie poczuł. – Może należał do jakiejś bogatej lali, która wołała kupić sobie nowy, zamiast wytrwale szukać starego. Takie to one dzisiaj są.

Börkur miał osobliwe zdanie na temat bogatych ludzi, przy czym Karl podejrzewał, że odziedziczył je po swoich rodzicach. Zawsze kiedy z jakiegoś powodu mówił o bogatych, robił uwagi, które nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością. Karlowi przeważnie nie chciało się polemizować z kolegą lub go korygować. Niby dlaczego zresztą miałyby występować w roli obrońcy tych, którym powodziło się finansowo lepiej niż jemu.

– Może i tak. Ale myślę, że ucieszyłaby się, dostając go z powrotem. Na pewno jest w nim coś, czego nie można kupić w sklepie. Zdjęcia i tak dalej.

Börkur najpierw kichnął, a potem zrobił kwaśną minę i potarł nos.

– Czujesz, że coś tutaj śmierdzi?

Karl też pociągnął nosem.

– Nie. – Tym razem mocniej się zaciągnął. – Teraz poczułem. Fuj, to chyba z zewnątrz tak zalatuje. – Podniósł się i zamknął okno w kuchni. – Pewnie kot nasikał lub nasrał obok domu. Ohyda. – Włączył telefon. Ekran się rozświecił. – Potrzebny jest PIN – obwieścił niepotrzebnie, bo przecież można się było tego spodziewać.

– Spróbuj 1234.

Karl wbił cyfry, mimo iż wydawało mu się niemożliwe, aby ktoś wybrał sobie tak prostą kombinację znaków.

– Nic z tego.

Próbował również kilku innych, ale telefon nie reagował.

– To bez sensu. – Odłożył go na bok. – Zrobię zdjęcie aparatu i pošlę na Facebooka. Jeśli nikt się nie zgłosi, zaniosę go na policję. – Karl miał trzydziestu trzech znajomych na Facebooku, w większości kolegów z roku. Studenci chemii utworzyli grupę, by móc wymieniać się zadaniami domowymi i notatkami. Karl

dołączył do Facebooka właściwie tylko z tego powodu, dlatego wątpliwe było, że grono jego znajomych kiedykolwiek się powiększy. Było też mało prawdopodobne, że trzydziestoosobowe gremium może pomóc mu rozwiązać zagadkę z telefonem.

Musiałby poszukać na Facebooku którejś ze starych koleżanek mamy i wysłać zdjęcie telefonu, aby można je było przekazać dalej. Oczywiście nie palił się do tego, bo sprowokowałyby w ten sposób falę pytań o jego samopoczucie. Mógłby wprawdzie nakreślić fałszywie optymistyczny obraz swojej sytuacji, ale obawiał się, że okazując mu niekoniecznie udawaną troskę i życzliwość, jednocześnie nie będą mogły się doczekać, aż przekręca do koleżanki, aby wspólnie z nią roztrząsać, czy Karl przypadkiem za ciężko nie pracuje, bo sprawia wrażenie przygnębionego i chorego.

Nagle zadzwonił jego telefon. Karl spojrzął na ekran, obawiając się, że mógłby to być Arnar. Ale mógł to być Halli. Jednak numer nie należał do żadnego z nich.

– Halo?

– Dzień dobry. Z kim mam przyjemność? – przywitał się mężczyzna, którego głosu Karl nie znał.

– Mam na imię Karl. Chciał pan rozmawiać z kim innym?

– Nie. Nazywam się Ríkharður i jestem z policji. Dzwonił pan w sprawie śledztwa związanego z morderstwem.

– Tak. Zgadza się. – Karl ustami uformowanymi w słowo p o l i c j a dał Börkurowi do zrozumienia, kto dzwoni. Ten sprawiał wrażenie, jakby od razu przyjął rzecz do wiadomości, choć nie można było tego zakładać. Börkur nie miał zwyczaju robić czegoś od razu. – Chce pan, żebym przyszedł i złożył zeznania?

– Nie, na razie nie ma takiej potrzeby. Najpierw porozmawiajmy o tym przez telefon. – Sposób, w jaki ten Ríkharður z nim rozmawiał, miał w sobie coś mechanicznego, przywodząc na myśl liczbowe audycje. Każda głoska wypowiedzana było z taką samą długością i na żadną nie został położony akcent. Jeśli rzuciłby pracę w policji, mógłby zrobić karierę jako dyktujący w konkursach ortograficznych. – Jeśli dobrze zrozumiałem, to radio przemówiło do pana. – Wypowiedział to zupełnie bez zdziwienia czy pogardy w głosie. Takie beznamienne wyrażanie się miało swoje dobre strony. Kiedy Karl zadzwonił na policję po raz pierwszy, ten, który przyjmował od niego zgłoszenie, miał trudności z opanowaniem śmiechu.

– Od czego mam zacząć? – Karl próbował w myślach ułożyć historię tak, aby zachować logiczny ciąg zdarzeń. Bezowocnie. Nie musiał jej opowiadać na głos, by zrozumieć, jak idiotycznie musiała brzmieć.

– Proszę opowiedzieć od początku.

– A więc: jestem radioamatorem i natrafiłem na islandzką stację nadającą liczbowe audycje.

– Liczbowe audycje?

– Audycje, w których wyczytuje się liczby. To jest szyfr. Głównie dla szpiegów i przemytników.

– Rozumiem. Czyli jest pan szpiegowany?

– Nie, mnie nie szpiegują. Tego typu wiadomości wysyła się na całym świecie. To są zagraniczne stacje. I nie mają ze mną nic wspólnego.

– Nie mówił pan przypadkiem, że to była islandzka stacja?

– Tak. Ale tylko jedna, co jest zresztą bardzo dziwne. I to właśnie tam usłyszałem wyczytywany PESEL kobiety, którą, jak podano w wiadomościach, zamordowano w zeszłym tygodniu. Mój PESEL też tam był. Dlatego się zorientowałem.

– Czyli ta islandzka stacja jednak pana szpiegowała?

– Nie. – Karl zamilkł i próbował zachować spokój. Jeśli teraz puszcza mu nerwy, policjant straci zainteresowanie i się pożegna. W odczuciu Karla ta rozmowa już nadawała się do kubła. – Nikt nikogo nie szpieguje.

– To po co ktoś używa stacji szpiegowskiej?

Karl wziął głęboki oddech.

– Nie jestem, proszę pana, jakimś wariatem. Używa się ich do przekazywania między sobą wiadomości bez ryzyka, że ktoś je będzie monitorował. To o wiele bezpieczniejsze od połączeń telefonicznych lub komputerowych.

– Czy dobrze rozumiem, że chodzi tu o audycję radiową?

– Nie jedną, a całe mnóstwo. Na krótkich falach.

– Jak to możliwe, że są one bezpieczniejsze od telefonu? Przecież wszyscy mogą się przysłuchiwać. Czy może tylko pan jeden je słyszy?

Temu oschłemu człowiekowi udało się stopniowo zapędzić go w kozi róg.

– Nie, oczywiście, że nie ja sam to słyszę. Wszyscy posiadacze krótkofalówek mogą ustawić je na paśmie nadawania tej stacji. Ich bezpieczeństwo polega na tym,

że podawane są niezrozumiałym kodem. – Zgroza na twarzy Börkura dowodziła, jak nieudolnie brzmiały jego odpowiedzi. Chyba że jej przyczyną był smród narastający w mieszkaniu, pomimo zamkniętych okien. – Staram się panu powiedzieć, że słyszałem, jak wyczytują PESEL tej kobiety, tej Elisy, jak również mój PESEL, a następnie kobiety o imieniu Ástrós. Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć ich nazwisk, ale mogę w każdej chwili je dla pana odszukać. – Jóhanny Hákonardóttir nie wymienił, gdyż te informacje należały tylko do jego jednego. W razie gdyby policja zaczęła interesować się jej historią, mogło się to skończyć tym, że Arnar dorwałby się w końcu do informacji, których pragnął ponad wszystko. Niedoczekanie. Mało tego, Karl porwał w drobne kawałeczki kartkę z jej danymi oraz akt urodzenia Arnara, po czym wyrzucił je do kosza na terenie swojej uczelni. Nie były mu potrzebne, bo nazwiska znał na pamięć. I chociaż wiedział, że to idiotyczne, wolał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Arnar niespodziewanie pojawił się w drzwiach. Przecież mogło mu przyjść do głowy, żeby przylecieć na Islandię i sprawdzić po śmietnikach, gdzie Karl wyrzucił papiery.

– Ástrós? – Nareszcie, nareszcie jakaś odrobina zainteresowania w głosie. Lecz nagle Karl usłyszał w słuchawce jakby zamieszanie i głośnie rozmowy, świadczące o tym, że coś wydarzyło się w komisariacie. Rozmówca poprosił Karla, by chwilę poczekał, a potem hałas ustał. Karl przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Za nic nie powinien był dzwonić na policję. Tu potrzeba było kogoś mądrzejszego niż on, kto przedstawiłby sprawę tak, że potraktowano by ją poważnie. Może należałoby zaangażować jakiegoś specjalistę od PR? Mężczyzna wrócił do telefonu. – Gdzie pan teraz jest?

– Gdzie? U siebie w domu. – Policjant przeczytał na głos jego adres i zapytał, czy się zgadza. Karl przytaknął i usłyszał, że tamten znowu zakrył dłonią słuchawkę. – Czy coś się stało? – Ręka została odjęta od słuchawki, ale rozlegał się w niej jedynie przyspieszony oddech. – Nie. Skądże. Proszę mówić dalej. Mówił pan o numerach PESEL....

– To nie są tylko same numery PESEL. Również kody, które udało mi się rozszyfrować. – Nie potrafił ukryć zadowolenia z siebie, bo przecież niewielu mogło się poszczycić czymś takim.

Ale duma nie rozpierała go zbyt długo, ponieważ mężczyzna zaczął traktować go

z góry. Jakby był dziwnym dzieckiem.

– Jest pan w tym dobry? To znaczy w szyfrach?

Karl musiał to przełknąć jak gorzką pigułkę. Czuł, że nie panuje już nad nerwami ani nad sytuacją. W zasadzie nie panował nad nią nawet przez sekundę.

– Nie. Nie jestem w tym dobry. To był czysty przypadek. Studiuję chemię i dlatego się zorientowałem. Dlatego mówię, że przypadek.

– Aha. Czyli użył pan układu okresowego pierwiastków, by rozszyfrować kod? Bardzo sprytne.

– Pan wcale nie wierzy w to, o czym opowiadam, prawda?

– W co wierzę, nie ma w ogóle znaczenia. Moim zadaniem jest wysłuchać i zrozumieć całą wypowiedź. Nigdzie nam się nie spieszy. Może pan powoli i szczegółowo opowiadać. Jeśli uzna pan, że coś błędnie zrozumiałem, proszę mnie poprawić.

Karl wyprostował się i zmrużył oczy. Miał ochotę powiedzieć mężczyźnie, że to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem. Albo kawałem. Ale czy wtedy wymazaliby jego nazwisko z listy, czy raczej pociągnęli go do odpowiedzialności karnej za utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa? Mógłby wtedy dzielić z Hallim celę, jeśli ten rzeczywiście musiałby odsiedzieć swoją karę za nielegalne ściąganie z Internetu. Przykra woń w powietrzu drażniła jego nozdrza, a pizza leżała jak kamień na żołądku.

– Staram się panu opowiedzieć wszystko, jak naprawdę było. – Otworzył oczy i wpatrywał się w Börkura. – Poza tym nie ja jeden słyszałem to wszystko. Mój przyjaciel był dwukrotnie ze mną i wszystko może potwierdzić.

W końcu powiedział coś, co poruszyło mężczyznę. W każdym razie nie był już taki pewny siebie, odpowiadając:

– W porządku. Mogę zapytać, czy byliście w tym czasie pod wpływem alkoholu lub narkotyków?

– Nie, nie byliśmy. – Nigdy w życiu nie przyznałby się, że trochę się upalili. Nie miało to zupełnie związku ze sprawą, bo przecież wiele razy nasłuchiwał audycji, będąc zupełnie trzeźwy. Börkura to jednak nie dotyczyło, więc Karl znów zaczął się niepokoić. Czy Börkur powiedziałby całą prawdę, gdyby go przesłuchiowano? Nie był tego już taki pewien. Może na początku by się kontrolował, jeśli jednak zaczęliby na niego naciskać, raczej by się poddał. Ale czy zwykłych świadków

przyciskano na przesłuchaniach? Raczej nie, przecież nie byli podejrzani o popełnienie czynu karalnego. Karl musiał zmienić swój tok rozumowania. Börkur nie mógł być posądzony o cokolwiek, jeśli już, to tylko on. – Czy chce pan, byśmy przyjechali do komendy? Obaj? Chyba lepiej porozmawiać o tym twarzą w twarz.

– Nie. Na razie nie ma takiej potrzeby. Proszę kontynuować, później podejmiemy decyzję co do dalszego postępowania. Nie ode mnie to zależy. Inni zadecydują, czy zachodzi potrzeba zapraszania pana do nas.

Dalsza część rozmowy przebiegała w tym samym stylu: Karl mówił, a mężczyzna dopytywał o najdrobniejsze szczegóły. Przy czym Karl nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że policjant przeciąga sprawę. Tak jakby dostał rozkaz, by rozmawiać z nim jak najdłużej. Tylko po co? Może był to jedynie student szkoły policyjnej, a rozmowa telefoniczna była rodzajem egzaminu? Jak na początkującego miał jednak zbyt władczy głos.

Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi, komórka Karla zaczęła dawać sygnał, że bateria prawie się wyczerpała.

– Muszę już kończyć, telefon mi się rozładował i ktoś dzwoni do drzwi. Wydaje mi się również, że nie mam nic więcej do dodania.

– To się jeszcze okaże. – Karl przestraszył się, bo obojętny dotąd ton jego rozmówcy nagle zamienił się w szyderczy. Nic więcej nie mógł dodać, bo mężczyzna zakończył rozmowę.

– O kurczę, to było coś... – W czasie, kiedy Börkur szukał odpowiedniego słowa, Karl poszedł otworzyć drzwi. Nigdy nie dostanie już szansy, by dowiedzieć się, jakie było to słowo. Na zewnątrz stali mężczyźni i machali legitymacjami, zbyt szybko, by chłopak zdążył cokolwiek na nich przeczytać.

– Karl Pétursson. Jest pan zatrzymany i podejrzany o współudział w morderstwach Elisy Bjarnadóttir i Ástrós Einaradóttir.

– Słucham? – Karl zatoczył się do tyłu. Mężczyźni z legitymacjami nie odstępowali go na krok, niczym egzorcyciści z krzyżami uniesionymi nad opętanymi przez diabła. To nie mogło dziać się naprawdę.

Jakby wszystkiego jeszcze było mało, smród w mieszkaniu rozpanoszył się na dobre. Ból głowy stał się nie do zniesienia.

Rozdział 31

Atmosfera w komisariacie przypominała sceny z amerykańskich seriali kryminalnych. Do pełnego obrazu brakowało tylko dwóch prostytutek wprowadzonych w kajdankach.

Ludzie głośno ze sobą rozmawiali i nakręcali się w radości ze zwycięstwa. Pochylali się z kubkami kawy w rękach nad biurkami kolegów i wymieniali między sobą historiami, kto i w czym przyczynił się do rozwiązania sprawy. W większości były to prawdziwe historie, reszta przechwałki lub nawet kłamstwa. Poklepywali się po plecach, donośnie śmiali i tankowali kawę, jakby do ekspresu podłączono rurkę z dystrybutora do piwa.

Huldar rozglądał się po sali i zadawał sobie pytanie, czy w innych miejscach pracy w podobny sposób świętowano zakończenie dużych i ważnych spraw? Przypuszczalnie tak. Jednakże nie można było tego porównywać. W zwykłych zakładach pracy z pewnością panowała radość: szczęśliwy koniec, pieniądze na horyzoncie i wizja dalszych intratnych interesów. W przypadku morderstw wręcz przeciwnie: nic nie wyglądało dobrze, nawet jeśli złapano sprawcę. Owszem, sprawa się zakończy i wszystkim pracującym przy rozwiązaniu sprawy policjantom czy świadkom po jakimś czasie uda się zapomnieć o wszystkim, co było straszne. Ale życie bliskich ofiar i rodziny sprawcy już nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Mordercy zresztą również. Dlatego Huldar nie był w odświeżonym nastroju.

Obserwował Ríkharðura i Erlę rozmawiających z młodym mężczyzną, tym samym, który brał udział w akcji pod domem Freyi. Obaj mężczyźni śmiali się szczerze. Już dawno nie widział Ríkharðura tak rozluźnionego i wesołego. Miał nadzieję, że powodem nie było tylko rozwiązanie sprawy. Może w końcu pogodził się z rozstaniem i patrzył ufnie w przyszłość? Nie, to zbyt nierealne, jego kolega po prostu cieszył się tu i teraz, a od jutra powróci podobny do siebie samego.

Przynajmniej raz w życiu został bohaterem dnia.

W czasie, kiedy Huldar wraz z innymi kręcili się po okolicznych ogródkach w dzielnicy Grandi, gdzie mieszkała Freyja, w komisariacie dokonał się przełom w śledztwie. Telefon komórkowy Elisy został włączony i udało się dość dokładnie

zlokalizować miejsce, gdzie się znajdował. Ríkharður usłyszał jednym uchem, o jaki adres chodzi i zorientował się, że jego rozmówca właśnie tam mieszkał. Zrobił bowiem szczegółowe rozeznanie na jego temat jeszcze przed rozmową. Kiedy więc mężczyzna wspomniał o tajemniczych kodach i o Ástrós, o której media miały donieść dopiero niebawem, połączył jedno z drugim. Udało mu się przeciągnąć rozmowę i dać kolegom czas na dotarcie do podejrzanego. Kiedy zapukali do jego drzwi, otworzył im z telefonem w ręku.

Huldar wypluł swoją gumę do żucia, już całkowicie pozbawioną nikotyny, do kosza na papier. Jedno małe obce ciało w nim z pewnością nie zakłóci cyklu odzyskiwania dóbr naturalnych. Potem poszedł do Ríkharðura i Erli, by pokazać przed zespołem, że nie jest ani rozczarowany, ani wkurzony tym, że to nie jemu przypadła decydująca rola.

Choć oczywiście został natychmiast powiadomiony o znalezieniu komórki Elisy, pod wskazany adres dotarł już po zatrzymaniu Karla Péturssona, który siedział teraz z rozdziawionymi ustami na tylnym siedzeniu radiowozu. Jego kolega, Börkur Þórðarson znajdował się w drugim samochodzie. Pierwszym zadaniem Huldara było przestawienie jednego z radiowozów kawałek dalej, tak aby zatrzymani nie mogli wymienić się informacjami nawet na migi. To, jak różnie się zachowywali, dowodziło, że dotąd nie przeszło im przez myśl, by się porozumiewać. Po tym, jak Huldar przejął dowodzenie, odkrył zwłoki mężczyzny w szopie koło domu, a następnie poprowadził oględziny mieszkania i okolicy, które zakończyły się nad ranem.

Choć mordując kobiety, Karl zachowywał się bardzo przezornie, w domu pozostawił mnóstwo dowodów popełnionych czynów. Jakby prosił się o to, by podejrzewać go o dokonanie zbrodni. To było niespotykane: podane jak na talerzu, niepodważalne dowody przestępstwa. Zbyt oczywiste, by Huldar mógł zamknąć w myślach całą tę sprawę. Widać było, że młody człowiek najwyraźniej rozpoczął sprzątanie w domu i że pozbył się większości przedmiotów użytkowych, choć nie wiadomo, w jakim celu. Zwłaszcza że pozostawił te rzeczy, które powinien usunąć w pierwszym rzędzie. Mógł jednak należeć do sprawców, którzy gromadzą przedmioty należące do ofiar czy też przypominające im o całym zajściu. Jakie motywy kierowały nim konkretnie, okaże się później. Możliwe, że już podczas przesłuchań lub dzięki wyjaśnieniom jego przyjaciela.

Obaj spędzili noc w areszcie, więc pierwsze, co Huldar zrobił z samego rana, to sprawdził, jak się czują.

Karl siedział spięty i wlepił wzrok w drzwi. Był w takim szoku, że nawet kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie zdołał wstać czy też zareagować w jakikolwiek inny sposób. Trzymał się rękoma za głowę, jakby okrutnie cierpiał z bólu, a jego kora mózgowa miała za chwilę eksplodować.

Börkur leżał jak gdyby nigdy nic i wyglądał na śpiącego.

Huldar postanowił, że przy okazji zapyta Freyję, która z tych dwóch postaw mogła świadczyć o czystym sumieniu. Sam był prawie pewien, że tego, który spał spokojnym snem niewinnego człowieka, ale chciał to wykorzystać jako pretekst do ponownego skontaktowania się z psycholożką.

– Jak tam, dobrze spaliście? – Samemu Huldarowi udało się złapać ze trzy godziny snu. W momencie kiedy przyłożył głowę do poduszki, zasnął jak kamień. Nie mogło to oczywiście wyrównać deficytu snu, który uzbierał się przez ostatni tydzień, czuł się teraz jednak jak nowo narodzony.

– Nawet nieźle. – Erla się przeciągnęła. – Jakież nowości? Co znaleźliście w tym domu?

– Pytanie raczej, czego nie znaleźliśmy? Mamy telefon, bransoletkę należącą do Ástrós, kartki, na których przygotowywał te swoje dziwne wiadomości, i resztki gazet, z których wycinał litery do wyklejenia. Majtki Elisy, czarny kask na motocykl, rękawiczki, których prawdopodobnie używał przy morderstwach, i kilka rolek taśmy klejącej. Nieodpakowanej, co mogłoby wskazywać, że ofiar miało być więcej.

Taśmę, telefon, kask i rękawiczki znaleziono przy zwłokach w szopie. Gazety leżały w śmietniku, choć ten od momentu odkrycia listów u Elisy i Ástrós musiał być przecież opróżniony przez służby miejskie. Było to co najmniej dziwne, bo w zasadzie powinien się ich jak najprędzej pozbyć. Ale co mogło się takiej osobie wydawać normalne lub logiczne? Bransoletka i kartki z notatkami leżały w suterenie, stringi w sypialni Karla obok rolki papieru kuchennego i paru zużytych chusteczek. Było jasne, że mężczyzna się onanizował. Przypuszczalnie więc popełnione morderstwa miały jednak podłoże seksualne. Chorobliwie perwersyjny motyw zbrodni.

– A zwłoki w szopie? – Erla się wykrzywiła. – Czy to prawda, że mężczyznę

zabito za pomocą lutownicy?

Trzy godziny snu nie wystarczyły do tego, żeby Huldar był w stanie opowiedzieć o tym, co stało się w szopie. Jeszcze do teraz miał w ustach niesmak, gdy pomyślał o zapachu moczu, wymiocin i spalonego mózgu w nagrzanym, zaryglowanym pomieszczeniu.

– Tak. Zgadza się. – Zamilkł i dał tym do zrozumienia, że w tej chwili nie doda niczego więcej na temat swojego przybycia na miejsce zdarzenia.

– Wiadomo już, z jakich pobudek zamordował tego mężczyznę? I obie kobiety? – Erla ukradkiem spojrzała na Ríkharðura, co nie umknęło uwadze Huldara, bo w jej oczach widać było zachwyt. Wszystko wskazywało na dobry początek dnia. Żeby nie wyjść na idiotę, Huldar musiał powstrzymać się od radości, do której przecież temat rozmów zupełnie nie usposabiał.

– Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że wyjaśni się podczas przesłuchania za chwilę. Ríkharður, chciałbyś pójść ze mną?

Uśmiech na twarzy Ríkharðura jeszcze się poszerzył. Nie robił sobie nic z tego, że było to nie na miejscu. Stał się znowu tym kimś, kogo znali. Żadnych oznak niedociągnięć, każdy jeden kosmyk włosów na właściwym miejscu, idealnie równo zaprasowany kant spodni. Kiedy się uśmiechał, przypominał sklepowego manekina.

– Jestem gotowy. Kiedy?

– Jak tylko zjawi się jego adwokat. – Karl wybrał go sobie z listy, którą podsunęto mu pod nos jeszcze wczoraj wieczorem, zanim osadzono go w areszcie. O nic nie pytał, tylko wyłowił nazwisko na chybił trafił. W drodze do celi zwymiotował po raz pierwszy. Zapytany o to, czy zażył jakieś leki, wycharczał, że nie, trzymając się za głowę. Będąc już w celi, gdy pobierano mu krew do badań laboratoryjnych, zwymiotował po raz kolejny. Znowu pokazał, że boli go głowa. Pielęgniarka wzruszyła tylko ramionami, stwierdzając, że torsje prawdopodobnie wynikają ze stresu. Karl nie miał gorączki, a jego ciśnienie było prawidłowe.

– Trafił mu się chociaż jakiś dobry? – Tym razem Erla wyglądała na pogodzoną z faktem, że wybrał Ríkharðura. Bądź co bądź zasłużył sobie na to i nie było powodu, by się obrażać.

– Tak. W zasadzie tak. Tyle że w jego beznadziejnej sytuacji nie ma wielkiego znaczenia, kto będzie stał u jego boku.

Huldar obiecał Ríkharðurovi, że zawiadomi go, kiedy będzie miało rozpocząć się przesłuchanie, i udał się do swojego biura. Krótka rozmowa ze współpracownikami wystarczyła, by dać do zrozumienia całemu zespołowi, że on, Huldar, nie był zgorzkniały i przygnębiony.

Przed przesłuchaniem Karla chciał w zaciszu własnego biura wykonać dwa telefony. Jeden do Freyi, a drugi do Karlotty. Wiedział, że z tą ostatnią czeka go niezła przeprawa. Ale jeśli chce dalej żyć, nie oglądając się za siebie, tak jak udało się to najwyraźniej Ríkharðurovi, będzie musiał się przełamać, by mieć ten etap za sobą. Dostał już swoją lekcję. I wiedział, że nawet gdyby jeszcze kiedyś zdarzyło mu się schlać, za nic w świecie nie prześpi się z zamężną kobietą, a co dopiero z żoną kolegi z pracy.

Rozsiadł się z przyjemnością w starym fotelu, który po awansie jako jedyny mebel przewędrował z nim z otwartej przestrzeni biurowej do gabinetu. Reszta rzeczy była nowa: biurko, komputer oraz gołe ściany, na których bał się cokolwiek powiesić, bo przecież jeśli zawaliłby śledztwo, mógł w każdej chwili stracić stanowisko. Teraz jednak nic nie stało na przeszkodzie, by odcisnąć na nich swój ślad. Przecież go nie wywałą. Najgorsze jednak, że nie miał pojęcia, co powiesić. Może po prostu coś związanego z heavy metalem?

Freyja odebrała po trzecim sygnale. Była bardzo miła, całkiem inna niż wczoraj wieczorem, kiedy zapukał do niej na krótko, by się pożegnać. Chciał ją poinformować, że najprawdopodobniej znaleziono mordercę, i prosić, by przenocowała Margrét jeszcze tę jedną noc, dopóki sprawa definitywnie się nie rozwiąże, bo nie mają teraz czasu na zebrania i podejmowanie o tym decyzji. Paru policjantów będzie szukać mężczyzny, którego Margrét miała widzieć w ogrodzie, ale on sam musi już lecieć. Dodał też, że ten mężczyzna raczej nie ma nic wspólnego z morderstwem. I że nadal dwóch funkcjonariuszy będzie pilnowało wejścia do jej domu.

Wczoraj Freyja stała w drzwiach z obłędem w oczach i wymuszonym uśmiechem na ustach, potakując wciąż głową jak w transie. Przypominała mu idiotyczne maskotki samochodowe, które ludzie z nie wiadomo jakich względów umieszczają na deskach rozdzielczych. Z początku myślał, że ukrywa coś za plecami, ale potem zobaczył poluzowaną klepkę podłogową i zorientował się, o co chodziło. Najwyraźniej próbowała ją naprawić na wypadek, gdyby Huldar chciał

spełnić swoją groźbę, zostać na noc i zabrać się do tego. Pewnie trzymała młotek. Nie chciała być mu za nic dłużna, choć Huldarowi wcale by to nie przeszkadzało. Klepka jeszcze bardziej odstawała od parkietu.

– Chciałem ci tylko powiedzieć – wyjaśniał teraz – że po wszystkim zabierzemy Margrét od ciebie. I będziesz już wolna.

– Znaleźliście mordercę?

– Na to wygląda.

– Mogę jej o tym powiedzieć?

– Nie, zaczekaj jeszcze. Najpierw musimy przesłuchać podejrzanego i nie powinniśmy podejmować ryzyka, bo może okazać się niewinny.

– Nie przyznał się jeszcze do winy?

– Nie. Przesłuchanie jeszcze się nie odbyło. Ale wszystko wskazuje na jego winę. Reszta to już formalność. – Huldar przeciągnął myszką po blacie i włączył ekran. – Mogłabyś coś dla mnie zrobić?

– Zależy, co to ma być.

– Czy możesz wejść na Facebooka i otworzyć profil Arnara Péturssona?

– A kto to jest?

– Brat podejrzanego. – Huldar także wszedł na jego stronę. – Spróbuj pokazać Margrét jego zdjęcie i zorientować się, czy go rozpoznaje. – Freyja nie odpowiedziała, więc ciągnął: – Biorę to na siebie, jeśli się tym zestresuje. Jej zeznanie nie jest już dla nas tak ważne jak wcześniej. Zdobyliśmy górę dowodów rzeczowych i możliwe, że będziemy mogli zaoszczędzić jej przesłuchania w sądzie. Mamy dobre nagrania, powinny wystarczyć. Jeśli zidentyfikuje mężczyznę, prawdopodobieństwo, że obrońca zechce ją powołać na świadka, jest dużo mniejsze. Będzie raczej próbował unikać wszystkiego, co z nią związane.

– Dobrze. To twoja decyzja. Niemniej wątpię, żeby mogło to Margrét w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

Podczas gdy Huldar szukał zdjęć Karla, Freyja poszła po dziewczynkę. Na profilu Karla, który Huldar przeglądał w nocy, katalogi ze zdjęciami były puste. Zdjęcie profilowe przedstawiało postać z kreskówki ze słuchawkami i mikrofonem, więc nie bardzo mogło im to pomóc. Profil brata okazał się bardziej przydatny. Zdjęcia na nim umieszczone przedstawiały głównie samego Arnara z żoną. W jednym z albumów, zatytułowanym *Islandzkie lato 2014*, znalazł fotografię obu

braci z żoną Arnara pośrodku. Zdjęcie było zatem dość aktualne. Karl wyglądał na nim jak obraz nędzy i rozpaczy, Arnar z żoną tylko nieco lepiej. Huldar aż pokręcił głową, czując, że w osobie brata było coś nieprzyjemnie znajomego. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, gdzie mógł go wcześniej widzieć.

– Już jestem. – Usłyszał uderzenia palców w klawiaturę. – Które ze zdjęć mamy obejrzeć?

Huldar opisał fotografię i przysłuchiwał się, jak Freyja rozmawiała z Margrét. Mówiła do niej bardzo spokojnie, że pokaże jej zdjęcie mężczyzny, którego Margrét prawdopodobnie widziała w ich ogrodzie. Co jednak nie znaczy, że jest to ten sam człowiek, który skrzywdził jej mamę. Freyja zamilkła i słychać było jedynie klikanie myszki. Huldar przycisnął telefon do ucha, ale dość długo panowała tam cisza. Przerwał ją wreszcie głos Margrét.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje, że to on. Tak, to on. Chyba on. Jest bardzo podobny, ale nie ma czapki. – Freyja podziękowała Margrét i poprosiła, by poszła teraz do kuchni po ciasteczko.

– Dziękuję ci bardzo. Nie było to całkiem przekonujące, ale zawsze coś, wystarczy na początek.

– To nie jest tak, jakby siedziała z nim przy jednym stole. Widywała człowieka z daleka i przez okno. Zwykle wieczorem lub nocą, jeśli dobrze pamiętam.

– Naturalnie. Było dobrze. Jeszcze raz ci dziękuję.

– Kim właściwie jest ten mężczyzna?

– Chłopakiem. Studentem. – Nie zdradził jej nazwiska, nie miało to w zasadzie znaczenia.

– Wiadomo, dlaczego to zrobił?

– Nie. Jeszcze nie. – Huldar miał wrażenie, że o czymś zapomniał jej powiedzieć. Nie mógł jednak przypomnieć sobie o czym. Freyja też nie miała nic więcej do powiedzenia. Pożegnał się z nią i obiecał zadzwonić jeszcze dziś, tyle że później. Nie był do końca pewien, czy perspektywa ich dalszej rozmowy ucieszyła ją, czy też zmartwiła.

Wybranie numeru telefonu Karlotty nie było trudne, problem zaczął się w momencie, kiedy miał wcisnąć „Połącz”. Z palcem w powietrzu wpatrywał się przez szklaną ścianę w grupę rozmawiających ze sobą policjantów. Pośród nich był Ríkharður otoczony kolegami żądnymi jego opowieści. Wszyscy chcieli usłyszeć

jego historię z pierwszej ręki. Co zrobi, jeśli Ríkharður wyłamie się z grupy i wpadnie do niego w połowie rozmowy? Odłoży słuchawkę? Oczywiście miałyby wystarczająco dużo czasu, by się pożegnać i przerwać, a Karlotta na pewno zrozumiałaby, że nie chce kontynuować, mając jej byłego męża nad głową.

Huldar zrobił głęboki wdech i przycisnął „Połącz”. Jeśli jej nie złapie, będzie musiał poczekać do jutra. Było krótko przed dziewiątą. Wiedział, że o tej godzinie nie była zbyt zajęta w pracy, ale też nie miała nieskończenie dużo czasu. Sześć dzwonek, po czym odkłada słuchawkę.

Karlotta odebrała prawie natychmiast. W tle słychać było zamieszanie i odgłosy rozmów, wszystko szło więc zgodnie z planem.

– Witaj, Karlotto. Huldar mówi.

– Tak... zaczekaj chwilę, tylko znajdę jakieś spokojne miejsce. – W słuchawce słyszał echo kroków, stuk, stuk, stuk. Obcasy, bez których nie potrafiła się obejść. Usłyszał zamykanie drzwi i głos Karlotty na linii. – Przepraszam. Dziękuję, że zadzwoniłaś. Nie chciałam rozmawiać z tobą przy wszystkich.

– Tak, ja też jestem sam. – Huldar patrzył wprost na Ríkharðura. Nie wyglądało na to, żeby miał w najbliższym czasie odłączyć się od grupy. – Nie wiem, jak długo będę mógł spokojnie rozmawiać. Lepiej przejdźmy od razu do rzeczy.

– Tak. Też bym wolała, bo za dziesięć minut mam klienta.

W duszy Huldar przeklinał samego siebie, że nie odczekał jeszcze pięciu minut. Nie wyobrażał sobie rozmawiać z nią przez całe dziesięć.

– Powinienem był znacznie wcześniej do ciebie zadzwonić. Jestem ci winny przeprosiny... no wiesz. Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie poza tym, że byłem w sztok pijany. A to żadne przeprosiny. Kiedy dzwoniłem po tym, jak Ríkharður powiedział mi o rozwodzie, zabrakło mi odwagi, by to z siebie wydusić. Chciałem tylko dowiedzieć się, czy powiedziałaś mu o nas. Straszny ze mnie egoista. Wybacz mi również i to. Przede wszystkim, że tak cię potraktowałem.

– Nie musisz mnie wcale przeproszać. To ja powinnam cię przeprosić.

– Ty?

– Tak. Jesteś tym zaskoczony? Myślałaś, że nie miałam w tym interesu? – W głosie Karlotty słychać było oburzenie. – Myślałaś, że to twój osobisty urok mnie sparaliżował?

– Nie. – Huldar postanowił się nie obrażać. Zasłużył sobie na to, a nawet i na

więcej. – Naturalnie, że wcale tak nie myślałem. Bardzo chcę cię jednak przeprosić, bo nie mogę tego powiedzieć temu, któremu przede wszystkim się to należy. Wiesz, kogo mam na myśli. – Huldar wciąż obserwował Ríkharðura otoczonego kolegami i ucieszonego jak nie on. Nie odrzucał głowy w tył podczas głośnego śmiechu ani też nie wymachiwał przed sobą rękoma, jak to mieli w zwyczaju robić normalni ludzie, gdy się cieszyli, znając go jednak dość długo, zorientował się, że jest przeschęśliwy. – Chciałbym mu o tym powiedzieć, ale myślę, że będzie lepiej dla niego, jeśli się nie dowie. – Zamilkł i czekał z nadzieją, że Karlotta się z nim zgodzi. A jeśli jednak ubzdura sobie, że musi wyjaśnić sprawy do końca? Czy nie przesadził z tym żalem za grzechy i przeprosinami?

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Karlotta była inteligentną kobietą.

– Na Boga, o niczym mu nie mów. Już dość ma problemów sam ze sobą.

– Istnieje szansa na to, że wróćcie do siebie?

– Nie. – Karlotta wzięła głęboki oddech. – Nie.

– On za tobą tęskni.

– Daj spokój.

– Przepraszam. To nie moja sprawa.

– Najlepiej będzie, jeśli od razu przejdę do rzeczy. Teraz gdy w końcu zebrałam się, by do ciebie zadzwonić, muszę to z siebie wyrzucić. – Huldar milczał. Karlotta mówiła dalej: – Mówił ci o naszych problemach z posiadaniem dzieci?

– Coś tam wspominał.

– To była jedna wielka tragedia. Wyglądało na to, że nie mogłam donosić ciąży. Dla Ríkharðura było to o tyle trudne, iż musiał spojrzeć prawdzie w oczy: nie jesteśmy idealni. I wtedy pomyślałam, żeby spróbować innej drogi.

– Innej drogi?

– Tak. Zająć w ciążę z innym mężczyzną. Uroiłam sobie w głowie, że to wszystko wina Ríkharðura. On sam nie chciał dać się przebadać, nie dopuszczał do siebie myśli, że coś mogło być nie tak. Właśnie tego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy, szukałam kogoś odpowiedniego, kogoś, kto choćby z wyglądu przypominał Ríkharðura. Ileś barów i kolejek dużo później jakoś o tym zapomniałam. Nie mogłam sobie też wyobrazić, że zrobię to z kimś zupełnie obcym. Brzydziłabym się. Starłam się dodać sobie odwagi, pijąc coraz więcej. I wtedy zobaczyłam ciebie.

– Mnie? Poszłaś ze mną do toalety, by zajść w ciążę? Bo nie byłem całkiem obcy?

– Tak. – Coś w jej głosie przypominało mu w tym momencie Ríkharður. Ton całkowicie pozbawiony uczuć. – Dlatego chciałam cię przeprosić. Nie powinnam była nigdy tego zrobić, zważywszy na waszą przyjaźń. Na drugi dzień, kiedy dotarło do mnie, co zrobiłam, dostałam napadu hysterii, że byłam taką idiotką. Po czasie okazało się, że jestem w ciąży. Czułam się dziwnie. Z jednej strony dobrze, a z drugiej źle. Dobrze, bo jeśli dziecko byłoby twoje, to mielibyśmy większe szanse, by zostać rodzicami, a źle, bo mogłoby być do ciebie podobne i wszystko by się wydało. W dodatku to jednak mogło być dziecko Ríkharðura, a ja zrobiłam, co zrobiłam. – Zamilkła, odetchnęła głęboko i kontynuowała. – I wiesz, jak to się skończyło? Jak zwykle, żadnego dziecka.

– Czemu opowiadasz mi o tym wszystkim? To nie moja sprawa, a jeszcze pogarsza całą sytuację. – Huldar przymknął oczy. Złość powoli mu przechodziła i dalej mówił już zupełnie spokojnie: – Karlotto, jest po wszystkim. Było, minęło. Moja czy twoja wina... To już nie ma znaczenia. – Widział, jak Ríkharður odwrócił głowę i patrzył w jego stronę. Spojrzeli sobie prosto w oczy. Ríkharður uśmiechał się do niego aż nazbyt serdecznie, nie zasłużył sobie na to. Odwzajemnił się wymuszonym uśmiechem. – Muszę kończyć. Dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Pomimo wszystko dobrze to wiedzieć. Przynajmniej teraz nie czuję się już takim dupkiem.

Rozdział 32

Ściany małego pokoju przesłuchań wydawały się powoli przysuwać do czwórki siedzących w nim mężczyzn. Milimetr po milimetrze przybliżały się do nich, powoli, tak żeby nikt oprócz Karla się nie zorientował. Wyglądało na to, że tylko on był w stanie to widzieć. Zresztą nic dziwnego. Pomieszczenie było prawie pozbawione sprzętów, a więc i punktów odniesienia dla tego ruchu. Pomalowane na biało puste ściany, stolik i krzesła wybrane tak, aby nie przyciągać uwagi, oraz lampa zwisająca nad stołem.

Karl unikał patrzenia na nią, gdyż światło wzmagало ból głowy i pobudzało wymioty. Żołądek był już i tak pusty. Choć dawno zwrócił wczorajszą pizzę, wciąż było mu niedobrze. Nie mógł też ruszyć nieapetycznie podanego śniadania. Na podłodze w celi położono tacę, a na niej jednorazową miskę z zimną owsianką, dwie ćwiartki jabłka, które zaczęły brązowieć, i rzadkawy, żółty sok niewiadomego pochodzenia. Spróbował go wypić, ale się nie dało, od razu miał odruch wymiotny. Kiedy dla odmiany sięgnął po ciepłą wodę, okazało się, że pływa w niej czarny włos. Czuł go do teraz w gardle i dlatego odmawiał wypicia wody, martwiąc tym policjanta, który mu ją proponował.

– Proszę napić się wody, bo się pan rozchoruje.

Prawnik Karla troszczył się o udzielanie odpowiedzi i robił to zgodnie z wolą swojego klienta.

– Jemu nie chce się pić. Przecież już mówił. Jeśli coś zmieni się w tej kwestii, sam sięgnie po wodę.

Już od dobrej godziny Karl siedział nieruchomo, wpatrując się przed siebie. Oszczędzał ruchy głową na co istotniejsze pytania. Gdy kwestia była niezwykle ważna, silił się na odpowiedzi. Najgorsze jednak było, że przestał już kontrolować, co było ważne, a co mniej.

Zdawał sobie sprawę przede wszystkim z tego, jak straszliwie bolała go głowa.

Rozejrzał się ostrożnie wokół siebie, obrócił głowę i zobaczył wlepione w niego oczy. Obok siedział adwokat, łysiejący mężczyzna w średnim wieku, z brzuchem jak kobieta w co najmniej ósmym miesiącu ciąży, a naprzeciwko dwóch śledczych.

Gdyby nie wiedział, jak jest, pomyślałby, że jeden z tych dwóch policjantów był adwokatem, a jego adwokat był policjantem. Ten policjant ubrany był w elegancki garnitur, zachowywał się również jak prawnik. Nie podpierał się wciąż łokciami ani nie wydmuchiwał nosa przy każdym ważnym pytaniu, jak czynił to jego obrońca. Co do drugiego policjanta nie można było się pomylić. Jak na adwokata włosy miał za długie i ciągle żuł gumę.

– Czy wszystko z panem w porządku, Karl? – Policjant przysunął gumę językiem do policzka. – Jest pan chory? – Karl delikatnie poruszył głową raz w prawo, raz w lewo. Policjant zwrócił się z pytaniem do obrońcy: – Może ma gorączkę?

– A skąd ja to mam wiedzieć? Przecież sam mówi, że wszystko z nim w porządku.

Policjant o długich włosach nachylił się przez stół i dotknął czoła Karla. Ten nie zareagował, nie odsunął się. Nie miał na to siły i było mu wszystko jedno.

– Czoło ma chłodne. Karl, czy pan coś bierze? – Już tyle razy odpowiadał na to pytanie, że nie zamierzał tego robić po raz kolejny. Zawsze tak samo. Nie. – Znaleźliśmy u pana w domu haszysz. Czy nie jest pan pod wpływem jakichś mocniejszych substancji? Może eksperymentów chemicznych własnej produkcji? – Na to pytanie też już parokrotnie odpowiadał. Zawsze tak samo. Nie.

Policjant zmarszczył brwi i zwrócił się do adwokata.

– Powinnyśmy zrobić przerwę w przesłuchaniu. Może pan w jej czasie rozmówić się ze swoim klientem. Ja zamierzam zawołać pielęgniarkę. Coś jest nie w porządku z tym chłopakiem. – Wstał od stołu. – Chyba, że jest tak dobrym aktorem.

Karl widział go i eleganckiego policjanta, jak znikają w drzwiach.

– To się na nic nie zda, udawać chorego. W niczym nam nie pomoże. Jeśli nie chce pan odpowiadać, to oni nie mogą nic zrobić. Nie musi pan do tego wykorzystywać choroby. – Mężczyzna uniósł jedną dłoń i przyglądał się jej. – Biorąc pod uwagę pańskie odpowiedzi na początku, rozumiem całkowicie, że wybrał pan teraz milczenie. Nie wygląda to dla pana dobrze. W zasadzie teraz wygląda fatalnie.

Mgła paralizująca głowę Karla na chwilę zelżała.

– Nikogo nie zabiłem.

– Nie. Oczywiście. – Karl odniósł wrażenie, że dla obrońcy jego wyjaśnienie nie miało żadnego znaczenia. – To pan określa kierunek. Jest jeszcze dość czasu, o ile chce pan oczywiście, żeby całą sytuację odwrócić. Proszę jednak wziąć pod uwagę, że dowody, którymi policja dysponuje, wskazują jednoznacznie na pańską winę.

Karlowi udało się pokiwać głową na znak, że zrozumiał. Na początku chciał tylko słuchać i oszczędzać siły, by móc później przetworzyć myśli w słowa. Przecież nie było pośpiechu. Wiedział, że złożony został wniosek o areszt śledczy dla niego, który według obrońcy z pewnością został już zatwierdzony. Na początek dostanie dwa tygodnie. Kiedy próbował dowiedzieć się, czy po tym czasie go wypuszczą, czy raczej będą dalej przetrzymywać, adwokat nie chciał się na ten temat wypowiadać. Według niego Karl powinien koncentrować się na tu i teraz i nie wyolbrzymiać problemów. Karl postanowił pójść za jego radą, sytuacja, w jakiej się znajdował, była dostatecznie beznadziejna.

– No dobrze, przyjacielu. Rozumiem, że pan się źle czuje i że znajduje się pan w szoku. Jednak powinniśmy jeszcze raz spokojnie przeanalizować to wszystko. Proszę mi przerwać, jeśli powiem coś, co nie jest zgodne z prawdą lub dowodzi, że pańska odpowiedź została źle zrozumiana. Jeśli będzie pan w stanie wytłumaczyć w jasny i logiczny sposób wszystko, co się wydarzyło, wypuszczą pana. Dla policji to żadna wygrana przetrzymać pana, jeżeli jest pan w stanie udowodnić, że zaaresztowali niewłaściwego człowieka. Ale na razie nie wychodziło to panu zbyt dobrze. Czasami opłaca się mniej mówić. – Mężczyzna patrzył mu prosto w oczy. Jego twarz była mięsista. Nabite policzki unosiły oczy do góry, przez co jego twarz trochę przypominała azjatycką. – Zaczniemy więc od tego, co pozytywne. Do tej pory policji nie udało się ustalić jakichkolwiek relacji pana z obiema kobietami. Inaczej się sprawa ma z młodym mężczyzną, pańskim przyjacielem. Czy istnieje taka możliwość, że gdy złączą szukać dostatecznie głęboko, znajdą jakieś powiązania z tymi kobietami?

Karl zaprzeczył ruchem głowy, który podwójnie nasilił jej ból. Przez chwilę nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, by skoncentrować się na oddychaniu. Poczul ulgę. Jednak nie na tyle, żeby móc dodać, że biorąc pod uwagę wszystko, co do tej pory powiedział i czego doszukała się policja, może równie dobrze być tak, że uda im się znaleźć jakiś związek. Słowa były w tym momencie za bardzo skomplikowane, by móc wyrazić to, co chciałby przekazać. Zbyt źle się

czuł.

Adwokat ciągnął dalej.

– Super. To wygląda dobrze. Gorzej tylko z pańskim przyjacielem. – Przebiegł wzrokiem po kartce z punktami, które zanotował podczas przesłuchania. – Jest pan pewien, że to pańska lutownica? – Karl pokiwał delikatnie głową. – Rozumiem. Zresztą to i tak niczego by nie zmieniło. Znajdują się na niej pańskie odciski.

Karl popatrzył na swoje zabarwione tuszem opuszki palców. Odciski pobrano wczoraj, zaraz po tym, jak przywieziono go na komendę. Później zrobiono mu zdjęcia z wszystkich możliwych ujęć. Jak rasowemu recydywiście.

– I nie najlepiej to wygląda, bo wszystko wskazuje na to, iż mężczyzna spędził dużo czasu w szopie. Pan mieszka sam w domu i dlatego ciężko sobie wyobrazić, że jakiś obcy bez pańskiej wiedzy mógł wykorzystać to miejsce, szczególnie że zamek nie został wyłamany. – Mężczyzna zrobił sobie krótką przerwę, po czym podjął: – A do tych zagubionych w czasie włamania kluczy był doczepiony klucz do szopy?

Karl pokiwał głową. W ogóle o tym nie pomyślał, kiedy policja pytała go o to. I nie było to spowodowane bólem głowy, a raczej samą myślą o Hallim, związanym tam i siedzącym w odległości ledwie paru metrów od mieszkania, z lutownicą w uchu. Jego lutownicą.

– Czemu pan o tym nie powiedział? – Adwokata wcale nie interesowała jego odpowiedź. – Super. Dobrze to wiedzieć. A pański kolega Börkur może potwierdzić zniknięcie kluczy?

Karl przytaknął ruchem głowy. Chociaż nie był do końca o tym przekonany. Börkur był nieobliczalny. Jeśli policji uda się wpłynąć na jego zeznania, może być tak zakręcony, że zacznie gadać od rzeczy. Jeszcze zanim dojdą do konkretnych wniosków, przyzna się do popełnienia legendarnego morderstwa na Geirfinnurze Einarssonie. Albo też zrzuci winę na Karla. Jedyna nadzieja w tym, że popełniono je jeszcze przed jego urodzeniem.

– Miejmy nadzieję. Jak również że potwierdzi, iż był świadkiem numerycznych przekazów, jak pan podał. To ma bardzo duże znaczenie. Domyślam się, że poza nim nikt inny tego nie słyszał?

Karl zmusił się do mówienia. Cały zdrętwiał i nie czuł już prawie jednej ręki.

– Możliwe, że inni radioamatorzy. Jest taki klub zrzeszający ich wszystkich.

Tam może pan zapytać. – Dlaczego nie pojechał na zebranie i nie opowiedział im o tym? Mogli dostroić się do stacji, aby jej wysłuchać. Raczej sami nigdy by na nią nie natrafili. Nie byli zainteresowani tego typu audycjami i nie zapuszczali się w te pasma.

– Tak. W każdym razie zwróćę policji na to uwagę. – Adwokat zanotował coś i podrapał się po karku. – Jeśli twierdzi pan, że jest niewinny, to czy ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł zamordować tych ludzi?

Karl rozmyślał o tym całą noc. Ale nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Nie mógł sobie wyobrazić, kto mógłby chcieć zrobić taką krzywdę Halliemu i tym kobietom. I jemu samemu też.

– Pomyślałem, że mogło to mieć związek z nielegalnym ściąganiem z Internetu. Halliego aresztowano po obławie policyjnej i tylko to mi przyszło do głowy, że kogoś sypnął. Kogoś znaczącego, kto tym wszystkim steruje. Czy coś w tym stylu. – Teoria, którą powtarzał sobie w głowie, nie wydawała mu się głupia, dopóki nie wypowiedział jej na głos.

– Tak, rozumiem. Mało prawdopodobne, ale kto wie. – obrońca znów zanotował coś w kilku punktach i uśmiechnął się Karla. – Sam pan widzi, jak dobrze nam idzie rozmowa w cztery oczy. – Karl próbował odwzajemnić uśmiech, jednak skończyło się tylko na grymasie przypominającym psa szczerzącego zęby nad obgryzanej kości. Mężczyzna przestał się uśmiechać i mówił dalej: – Powiedział pan, że nigdy wcześniej nie widział tego kasku. Wychodzę z założenia, że jeśli nie wspominali o pańskich odciskach palców, to ich nie znaleźli. – Przejrzał notatki i ponownie spojrzął na Karla. – Jedno pytanie. Wie pan może, kiedy ostatni raz widział tę lutownicę? Jeśli zgadza się to, co pan mówi, ktoś musiał ją panu ukraść.

– Nie. – Karl oddychał głęboko zatechłym i kwaśnym powietrzem, które nie pomagało uśmierzyć bólu. – Może przed włamaniem. Bo było u nas włamanie. Jeszcze jak żyła moja mama.

– Kiedy to się stało?

– Kilka tygodni przed świętami Bożego Narodzenia. W połowie listopada. Nie pamiętam dokładnie kiedy. – Karl przytrzymał się brzegu stołu, by móc się wyprostować. – Postaram się sobie przypomnieć. Ale nie teraz. Możliwe, że lutownica mogła zniknąć.

– Dobrze. – obrońca zanotował sobie to na kartce. Kiedy podniósł ponownie

wzrok na Karla, nadzieja, która rozpromieniła wcześniej jego twarz w związku z włamaniem, znikła. – Czy można spodziewać się pańskich odcisków palców na przykład w domu Ástrós?

– Nigdy nie byłem u niej w domu. W ogóle jej nie znam.

– Czyżby? – Adwokat wodził wzrokiem po swoich notatkach. – Ale znaleziono u pana w domu kartkę, na której napisane było jej imię. Pańskim charakterem pisma. Tak jak i imię Elisy.

– Już to wyjaśniałem. – Głos Karla brzmiał tak, jakby wydobywając się z gardła, przeciskał się przez warstwy zastygłej lawy. Popatrzył na szklanekę z wodą. Sięgnął ręką po nią i wypił małeńki łyk. Gdy poczuł się lepiej, napił się odrobinę więcej, po czym jednak zrobiło mu się niedobrze, więc odłożył szklanekę.

– To znaczy, że nie ma innego wytłumaczenia, jak tylko takie, że wyszukał pan ich imiona po tym, jak usłyszał pan numery PESEL wyczytywane w radiu?

– Tak.

– A jak pan wytłumaczy fakt, że sąsiedzi Elisy widzieli pański samochód przejeżdżający tamtędy? – Mężczyzna się poprawił. – Nie. Że zaparkował pan samochód przed jej domem. Adwokat nie ukrywał zmartwienia na twarzy. – To nie wróży nic dobrego i nie brzmi wiarygodnie, że postanowiliście z przyjaciółmi sprawdzić, gdzie ona mieszka, po całej tej sprawie z numerami identyfikacyjnymi.

– Börkur. Börkur może to potwierdzić.

– Tak. Börkur. Jak dobrze, że przynajmniej on zachowuje się przytomnie. Musi pan w tym względzie i nie tylko liczyć na niego. – obrońca próbował rozluźnić atmosferę. – Mogłoby być jeszcze gorzej. Czasami nie ma zupełnie nikogo, na kim można się oprzeć w takich sytuacjach. Jednak muszę panu powiedzieć, że jeszcze nigdy nie spotkałem się z tak dziwną sprawą. Od dzisiaj wszystko co do tej pory uznałem za zdumiewające, wydaje mi się całkiem zwyczajne. – Karl udawał, że tego nie słyszał. W takiej chwili tego typu gadanie nie miało zupełnie żadnego znaczenia. Wyglądało na to, że mężczyzna w ogóle nie przejmował się brakiem reakcji ze strony Karla. – Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, ale czy nie cierpiał pan kiedyś na halucynacje? – Wpatrywał się w Karla w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie. Jak dotąd nigdy.

– Nigdy w dzieciństwie albo ostatnio nie zdarzały się panu jakieś urojenia, które mogły w pana opinii uchodzić za coś dziwnego?

– Nie.

– Nic, co ma związek z nadużywaniem środków odurzających, o których nie chciał pan mówić w obecności policjantów?

Karl zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie jest tak, że chcą panu postawić zarzuty z powodu narkotyków, tu chodzi o poważniejszą sprawę niż takie drobiazgi. – Adwokat mierzył go badawczym wzrokiem. Na twarzy Karla nie było widać żadnej reakcji. To wszystko go przerastało. obrońca wzruszył ramionami. – A jak wygląda sprawa z rodziną? Czy ktoś z pana bliskich cierpiał na urojenia lub manię prześladowczą? Takie rzeczy mogłyby nam bardzo pomóc.

– Nie wiem.

– Zupełnie nic? Nawet coś, o czym mógłby pan pamiętać z jakiegoś powodu?

– Jestem adoptowany. Nigdy nie spotkałem nikogo, z kim mógłbym być spokrewniony.

Po raz pierwszy oczy adwokata rozświetlił blask.

– Co pan nie powie?!

Karl dał sobie spokój z powtarzaniem tego samego. Oszczędzał słowa na później.

– Bardzo możliwe, że w pańskiej rodzinie był ktoś, kto cierpiał z powodu urojeń lub wykazywał się szczególną skłonnością do przemocy. A co ze znęcaniem się i maltretowaniem w dzieciństwie?

Karl wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Muszę się tego dowiedzieć. – Wyraz zadowolenia znikł z jego twarzy, gdy zobaczył, jak małe zainteresowanie okazał Karl. – Czy mogę panu coś powiedzieć, mój przyjacielu? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął: – W Islandii dostaje się przeciętnie szesnaście lat za morderstwo. Za jedno morderstwo. Zwykle morderstwo. Ale oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, by dostać więcej. Według prawa karnego można zasłużyć nawet na dożywocie. Tylko że to się jeszcze nigdy nie zdarzyło, raz tylko jeden bardzo surowy sędzia zamiast na szesnaście skazał kogoś na dwadzieścia lat. Ten, który zamordował tę trójkę ludzi, może zapoczątkować nową erę i otrzymać najdłuższy wyrok w całej historii Islandii. Dożywocie. – Zamilkł i patrzył w twarz Karla. – Powiedzmy, że nie uda się

udowodnić, iż jest pan niewinny. Ma pan teraz dwadzieścia cztery lata. Islandzcy mężczyźni dożywają przeciętnie do osiemdziesiątki. Jeśli dostanie pan dożywocie, będzie pan musiał spędzić za kratkami więcej niż pół wieku. To mniej więcej dwa razy tyle, ile pan do tej pory przeżył. Jeśli jednak skazą pana tak jak zwykle, będzie to szesnaście lat. I wyjdzie pan po dziesięciu i pół. To jest różnica czterdziestu lat. Czterdziestu lat. Dlatego wszystko, co ma szansę wzbudzić przed sądem współczucie dla pana, może nam pomóc, o ile oczywiście zostanie pan uznany za winnego.

– Jestem niewinny.

Adwokat zachowywał się, jakby tego nie usłyszał.

– Będę musiał przyrzeć się pańskiemu pochodzeniu. Czy zna pan imiona prawdziwych rodziców? To mogłoby zaoszczędzić panu czterdziestu lat więzienia.

Ten powód był dla Karla wystarczający.

– Guðrún María Einarsdóttir. Helgi Jónsson. – Podczas bezsennej nocy w areszcie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, dużo myślał o swoich rodzicach. Czy żałowałiby tego, że oddali go do adopcji? A w szczególności teraz, gdyby dowiedzieli się, co się z nim stało? Był wściekły na siebie samego. Dlaczego nie zainteresował się swoim pochodzeniem i nie nawiązał kontaktu z tymi ludźmi? Nie mógł mieć pewności, kiedy nadarzy się kolejna okazja, by dostać się do komputera. Czy w sytuacji, kiedy wszystko wokół niego wali się i pali, nie powinien być otoczony bliskimi? Tyle że należało odnowić stosunki, jeszcze zanim go aresztowano. Jeśli zadzwoni z więzienia, z pewnością nie będą chcieli mieć z nim nic wspólnego.

Nie miał nikogo. Nikogo.

Arnar odwróci się od niego i rozgłosi tym, którzy będą chcieli go słuchać, że nie są ze sobą spokrewnieni. Podejrzewał, że jeśli trzeba będzie, to i zezna przeciwko niemu. Kiedy pomyślał o wyrzuconych przez niego dokumentach związanych z rodzicami Arnara, ból głowy ustąpił na krótką chwilę. Ich imiona nie miały prawa zaistnieć oficjalnie. Policja zapewne zauważy, że wbijał do wyszukiwarki w swoim komputerze ich nazwiska, jednak wymyśli na poczekaniu jakieś kłamstwo. Miał wystarczająco dużo czasu, by przygotować na tę okoliczność jakieś wiarygodne wyjaśnienie.

– Dziękuję. Sprawdzę ich. Nigdy nic nie wiadomo.

– Czy mógłby im pan powiedzieć, że jestem niewinny, na wypadek, gdyby się zgłosili?

– Tak. Zrobię to. – Obrońca zastanawiał się nad czymś. – Jeśli dobrze zrozumiałem, to nie ma pan nikogo poza jednym bratem? Nie mówiąc już o dalekich krewnych?

– Zgadza się. – Karl przełknął ślinę. W gardle czuł suchość. – On mieszka za granicą i nic o tym nie wie. Proszę z nim na ten temat nie rozmawiać. Zabraniam panu.

– Nie jestem pewien, czy to mądre. Policja wie zapewne o jego istnieniu i z pewnością nawiąże z nim kontakt. Twoje zdjęcie, które pokazano dziewczynce, było z jego strony internetowej.

Pulsowanie w głowie nagle się nasiliło, Karl milcząc, czekał, aż przejdzie najgorsza, pierwsza, fala bólu.

– Nie rozumiem, dlaczego ona twierdzi, że poznaje mnie na zdjęciu? Nigdy wcześniej jej nie widziałem ani ona mnie. A już z pewnością nie byłem w jej ogrodzie czy w domu, tak jak twierdzili tamci.

– Na pańskim miejscu nie zaprzątałbym sobie tym teraz głowy. Sam pan słyszał, jak ostrożnie o tym mówili. Zareczam panu, że dziewczynka nie była do końca tego pewna, bo wtedy inaczej by z panem rozmawiali.

Karl pokiwał delikatnie głową na znak, że zrozumiał.

– Pomimo wszystko proszę, by nie rozmawiał pan z Arnarem.

Obrońca wydawał się nieszczęśliwie tym zdziwiony, jakby w życiu niejedno już widział i nic nie mogło go zaskoczyć. Nie ciągnął więc tego tematu. Spojrzał na kartkę i zapisane na niej w punktach słowa.

– Wróćmy jednak do spraw najważniejszych. Rozumie pan coś z tych pytań o psy?

– Nie. – Wytrąciły go zupełnie z równowagi. Chodziło w nich głównie o to, czy Karl dokonał napaści na jednego psa z dzielnicy Grafarvogur i drugiego z Grandi. Domagano się od niego również wyjaśnienia, skąd znał nazwisko i dokładny adres Freyi, czyli adres, pod którym obecnie przebywa Margrét. Z tych pytań nawet się cieszył, bo były tak absurdalne, że musieli się w końcu zorientować, iż nie mógł być mężczyzną, którego szukali. – Nic o tych psach nie wiem.

– Tak. Miałem takie uczucie, że kiedy pan nie odpowiadał, to oni sami nie

bardzo wiedzieli, co z tym począć. Jakby sami na krótko zwątpili w swoje teorie i do końca nie byli pewni swojego stanowiska. Ale to nie musi o niczym świadczyć. Może powinniśmy skoncentrować się na tym, co najbardziej istotne. Czy mógłby pan przypomnieć sobie o czymś, co mogłoby posłużyć za porządne alibi na piątkową noc, kiedy zamordowano Elisę? Zadzwoił pan do kogoś albo ktoś dzwonił do pana w tym czasie? Może był pan już na nogach, kiedy roznoszono gazety wczesnym rankiem? Cokolwiek. Jeśli korzystał pan z Internetu, można to sprawdzić w pańskim komputerze. Znowu chodzi jedynie o jakiś drobiazg. To samo dotyczy nocy, kiedy zamordowano Ástrós. Słyszał pan chyba, co mówili: że zmarła chwilę po tym, jak według pańskich zeznań przyjaciele opuścili pana samochód. To nie wygląda dobrze.

Karl miał wrażenie, że usta wypełniała mu materia o konsystencji waty.

– Spałem, kiedy zamordowano Elisę. Dlaczego tak trudno w to uwierzyć? – Śpiący człowiek nie buszował po necie, nie ucinał sobie pogawędkę z roznosicielem gazet i nie wisiał na kablu. Karl odchrząknął i miał wrażenie, jakby rozłupywano mu głowę na pół. Po chwili uczucie to ustąpiło i pozostał tylko okropny, gorący i tępy ból. Próbował go ignorować. – Tego wieczoru kiedy zamordowano Ástrós, podrzuciłem chłopaków do ich domów i wróciłem do siebie. Położyłem się spać. Nie korzystałem z Internetu.

– No dobrze. Ale proszę jednak spróbować przypomnieć sobie o czymś. – Adwokat ze smutną miną mówił dalej: – To nie było zbyt rozsądne, iż pan zdradził się z tym, że przejeżdżał wieczorem w chwili morderstwa koło domu Ástrós. Nie mówiąc już o słyszonym przez pana krzyku. Nie uwierzyli panu. Na przyszłość, zanim pan zacznie odpowiadać, proszę najpierw skonsultować takie rzeczy ze mną. Powinien był pan to zrobić na przykład wtedy, kiedy położyli przed panem liczby. Proszę im nie ułatwiać rozwiązywania sprawy. Liczby na pewno mają związek z morderstwami i nie należy pokazywać im, że pan rozumie te szyfry.

Obaj spojrzeli na leżącą na stole kartkę. Karl dopisał do niej cyfry, po tym jak policjanci dostarczyli mu tablicę z układem okresowym pierwiastków. Na początku z niedowierzaniem patrzyli na spokojnie rozszyfrowującego kody Karla. Stopniowo jednak ich twarze zmieniały wyraz i przypominały buzie dzieci stojących przed regałem ze słodkościami.

J, 99, 22 – 53 · 59, 30 – 7, 39, J, 99 – 16, 25, 53, 99 – 16, J · 105 – 5, 89 – 6, 74,

89 – 6, Ć 6, 30 – 7, 39 · 8, 105, 53, 99 – 16, 37 – 5, 89 – 6, Ć?

*J Es T Pr Zn–N Y J Es–S Mn I Es–S J Db–B Ac–C W Ac–C Ć C Zn–N Y O Db
I Es–S Rb–B Ac–C Ć?*

Jest przyjemniej dawać czy odbierać?

22 – 53, 39 · 15, 53, 99 – 16, 15, 37 – 5, 30 – 7, 8, 7, 89 – 6 · 105 – 5, 30 – 7, 53,
74, 19, 8

Ti–I Y P I Es–S P Rb–B Zn–N O N Ac–C Db–B Zn–N I W K O

Ty pieprzona dziwko.

22 – 53, 39 · J, 99, 22 – 53, 99 – 16, Ś · 7, 89 – 6, 16, 22 – 53, Ę, 15, 7, 89 – 6

Ti–I Y J Es Ti–I Es–S Ś N Ac–C S Ti–I Ę P N Ac–C

Ty jesteś następna.

8, 5, 3, 6, 30 – 7, 89 – 6, J · 52, 88, 30 – 7

O B Li C Zn–N Ac–C J Te Ra Zn–N

Obliczaj teraz.

74, 99 – 16, 22 – 53 · 30 – 7, 89 – 6 · 74, 99 – 16, 22 – 53

W Es–S Ti–I Zn–N Ac–C W Es–S Ti–I

Wet za wet.

Karl podniósł wzrok znad kartki.

– Zorientowałem się, co oznaczają, po odbiorze nadawanych na niskich pasmach wiadomości. Ten sam kod.

– Tak, to może się i zgadzać. Tyle że jest pan studentem chemii i klucz do rozszyfrowania tych kodów związany jest właśnie z chemią, a to oznacza dla nich tylko jedno – że to pan jest autorem tego kodu.

– Nieprawda. – Karl nie miał nic więcej do powiedzenia. Prawda im nie wystarczała, więc co mógł dodać?

– Najwyraźniej są przekonani, że na karteczkach z cyframi znalezionych u pana w suterenie znajdują się kolejne wiadomości, których chciał pan użyć podczas następnego morderstwa.

– To były właśnie numeryczne przekazy podawane przez radiostację. Zapisywałem je, od kiedy odkryłem klucz do szyfru. Chciałem wiedzieć, o czym mówiono. – Karl nie mógł zrozumieć, czemu miało służyć powtarzanie w kółko tego samego. Może lepiej będzie, jak zamilknie.

Obrońca nie wydawał się zbyt przekonany tłumaczeniami Karla, uniósł ze

zdziwienia brwi i westchnął.

– Uważam, że nie powinien pan mówić im o tym, że brzydzi się krwi i wszelkiej przemocy. Zdaje się, że śledczy przypuszczają, iż morderca boi się krwi albo brzydzi się jej.

– To co, miałem kłamać?

– Nie. Powinien pan poprosić o rozmowę ze mną na osobności. Tak jak panu zasugerowałem i jeszcze raz powtarzam. Ale już dobrze. – Omówili prawie wszystkie zapisane w punktach słowa na kartce. Mężczyzna zamknął notatnik. – Będziemy mieli dosyć czasu, żeby omówić to wszystko później. Oni pewnie zaraz wrócą. Jeśli okaże się, że jest pan rzeczywiście chory, istnieje szansa, że będziemy mogli wszystko zacząć od początku. Zakładając, że jest pan w delirium... – Adwokat spojrzał na Karla z nadzieją w oczach.

– Boli mnie głowa. – Karl wyciągnął rękę po szklanę z wodą, licząc, że zimny płyn ukoji jeszcze raz tępy ból rozprzestrzeniający się w głowie. Ale nie trafił do szklanki. Ręka powędrowała w zupełnie innym kierunku, niż zamierzał. Spróbował po raz kolejny i tak samo się nie udało. Zorientował się, że nie widzi na jedno oko. Może to było przyczyną? Właśnie chciał powiedzieć obrońcy o swojej nagłej ślepotcie, gdy z jego ust wydobyły się kompletnie niezrozumiałe słowa. Ból głowy spotęgował się podwójnie. Czuł tylko ją. Tak jakby ciało odłączono od głowy, która jako jedyna jeszcze funkcjonowała.

W momencie kiedy Karl zsunął się z krzesła, otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch policjantów. Okiem, które widziało, patrzył na ich przerażone twarze, także twarz eleganckiego policjanta. Obaj mieli otwarte usta i wydawali się coś krzyczeć, ale Karl niczego nie słyszał. Kobieta stojąca za nimi odepchnęła ich na bok i rzuciła się do niego na podłogę. Dotknęła jego twarzy, ale Karl nie czuł jej palców. Ani czegokolwiek.

Zamknął oko, którym coś jeszcze widział. Drugie nieruchomo wpatrywało się w pustkę.

Rozdział 33

Huldar wciąż nie zdobył się na odwagę, by zawiesić obraz w swoim biurze. Ociągał się również z jego zakupem. Po tym jak podejrzany o popełnienie trzech morderstw Karl Pétursson zapadł w śpiączkę podczas przesłuchania, liczył się z degradacją. Ukradkiem przeglądał nawet rządowe strony z ogłoszeniami o pracę. Sprawa z Karlem okazała się największą porażką w historii policji.

Potrzebowali dwóch dni, aby wszystko się wyjaśniło. Czuł się w pracy jak trędowaty. Nikt nie miał odwagi spojrzeć w jego stronę. Nawet Erla unikała towarzystwa Huldara, bojąc się, że popadnie w niełaskę reszty zespołu.

Najgorsze było to, że Ríkharður podzielił jego los. I choć to nie on, a Huldar ponosił odpowiedzialność za podejrzanego, uczestniczył w przesłuchaniu, w oczach kolegów był więc współwinny.

Ríkharður wmaszerował do pokoju przesłuchań w glorii bohatera dnia, a opuścił go w atmosferze hańby i skandalu. Upadek musiał być bolesny. Tyle że jak to Ríkharður, przyjął go ze stoickim spokojem, nie okazując zainteresowania, czy koledzy go pozdrawiają, czy też ignorują. Nie oznaczało to wcale, że się tym nie przejął. Tylko on jeden rozmawiał z Huldarem na komendzie i nie dało się ukryć, że los Karla bardzo nim wstrząsnął.

Rama od obrazu miała małe pęknięcie, nie bardzo rzucające się w oczy, ale jednak. Na początku postawił obraz zbyt blisko drzwi, które przy otwieraniu i zamykaniu przewracały go. Zanim okaże się, że jest za późno, musi poszukać młotka i gwoźdźca.

Nie był to jakiś szczególny obraz. Zdjęcie oprawione w ramy. Kupił je w sklepie z pamiątkami dla turystów, wracając z wieczornego rajdu po barach, który odbył z kolegami. To było w weekend, po tym jak wszystko w pracy wróciło do normy. Krajobraz ze słońcem wschodzącym nad wybrzeżem w Reynisdrangur, napełniający go zarówno nadzieją, jak i strachem. Nie trzeba było wielkiej intuicji, by zorientować się, z czego się brały. Słońce i wstający nowy dzień budziły nadzieję na lepsze czasy. Czarne bazaltowe słupy skał wystających z morza przypominały mu o tym, że życie nie zawsze usłane jest różami.

Na biurku przed Huldarem leżał spis przedmiotów, które zginęły z przechowalni dowodów rzeczowych. Teraz, kiedy śledztwo można było uznać prawie za zamknięte, było to zadanie, jakiemu dziś planował się poświęcić.

Oczywiście nie czuł się usatysfakcjonowany z powodu tego, jaki obrót przybrało dochodzenie, ale musiał pogodzić się z tym, że Karl nie był już zdolny do dalszych przesłuchań. Leżał w szpitalu i każdy kolejny dzień mógł być jego ostatnim.

Zebrali dostatecznie dużo dowodów świadczących o popełnieniu przez niego zbrodni, choć trzeba było pogodzić się z tym, że pewnych rzeczy nie da się już wyjaśnić. Musieli zadowolić się nagraniem z przesłuchania, przebadanym już przez armię specjalistów wszelkiej maści. W wyniku ich pracy zrodziła się teoria, że Karl używał do mordowania swoich ofiar urządzeń i narzędzi elektrycznych, by samemu nie kłuć i nie kaleczyć. Wystarczyło tylko nacisnąć na guzik i zaoszczędzić sobie ubrudzenia rąk. Huldar nie mógł uwierzyć w to, co czytał. Jak można było wychodzić z założenia, że w morderstwach chodziło jedynie o to, by nacisnąć guzik? Zanim do tego doszło, musiało się wydarzyć o wiele więcej.

Nie mógł też przestać myśleć o tym, jak wątlej postury był Karl. Jakim cudem taki chuderlak mógł obezwładnić Halliego, który był całkiem nieźle zbudowany. Nawet Elisa w porównaniu z Karlem wydawała się silniejsza. Inaczej było z Ástrós, która nie miała szans w starciu z młodszym od niej mężczyzną. W szczególnych okolicznościach złość i gniew mogły oczywiście sprawiać, że ludzie znajdowali w sobie ponadnaturalną siłę. Jeśli jednak w grę wchodziło właśnie to, należało zapytać, co mogło rozpalić w Karlu taki gniew do dwóch nieznanym mu wcześniej kobiet. Na szukanie odpowiedzi było już za późno, bo na zawsze zapadła z nim w śpiączkę. Za późno było również na wyjaśnienie, jakim sposobem Karl dowiedział się o tym, że Margrét ukryto u Freyi. Jak zorientował się, że Freyja nie mieszkała w Grafarvogur, choć ten właśnie adres podawała książka telefoniczna i inne oficjalne wykazy. W jego komputerze nie znaleziono śladów szukania informacji o niej, w każdym razie nie wpisywał do wyszukiwarki danych osobowych Freyi. Możliwe, że skorzystał z ogólnodostępnych komputerów na uczelni. Jak dotąd poszukiwania niczego nie przyniosły. Wiadomo tylko, że znalazł jej adres w Grafarvogur i zaatakował tam psa, by mieć pewność, iż nie stanie mu na przeszkodzie. Nie wiedział jednak, że tamten pies nie należał do niej. Gdy zorientował się, że popełnił błąd, napadł na właściwego psa i pod właściwym

adresem. Ale jak w ogóle mogło do tego dojść? Skąd mógł wiedzieć o istnieniu Freyi i o tym, że posiada psa? Tego nikt nie potrafił wyjaśnić. I już pewnie nigdy nie uda się odpowiedzieć na to pytanie.

Dlaczego musiał akurat w tym momencie doznać udaru mózgu? Z czasem zmiekkłoby przecież i wyśpiewał w końcu prawdę. Oni wszyscy tak robili. Szczególnie jeśli po przesłuchaniu Børkura okazałoby się, że ten podaje inną wersję wydarzeń. Wtedy nie byłoby już nikogo, kto mógłby wspierać mistyczne historie Karla o zaszyfrowanych przekazach z eteru i innych bzdurach.

Huldar próbował sobie przypomnieć, czy brat Karla, Arnar Pétursson, miał opuścić kraj dzisiaj czy dopiero jutro. Ten dziwny człowiek dostarczył im więcej informacji o zachowaniu brata niż cała grupa specjalistów, którzy przesłuchali taśmy z nagraniami. Nic dziwnego, w końcu poznawał go przez całe swoje życie, choć od paru lat mieszkał za granicą. Nie potrafił jednak wytłumaczyć, jak doszło do tego, że jego brat z zupełnie przeciętnego chłopaka z raczej małą liczbą przyjaciół i tylko krótkofalarstwem w głowie mógł zmienić się w bezwzględnego mordercę.

Przypuszczał, że Karl musiał przejść załamanie nerwowe, gdyż wychowująca ich matka zastępcza odmówiła braciom prawa do poznania własnego pochodzenia. Słuchając Arnara, Huldar początkowo musiał powstrzymywać się od śmiechu, ale im dłużej ten mówił, tym bardziej jego teoria wydawała mu się wiarygodna. Sam Arnar sprawiał wrażenie zafiksowanego na punkcie poznania własnych korzeni. Możliwe więc, że i Karl tak się zatracił, szukając swoich bliskich, aż zupełnie postradał zmysły.

Huldar był jednak zaskoczony powodem, dla którego Arnar tak bardzo chciał poznać swoją przeszłość. Otóż Karlowi ich matka adopcyjna chciała oszczędzić wiedzy o tym dlatego, że jego biologiczna matka była nosicielką genu odpowiedzialnego za występowanie udaru mózgu. Zaszła bardzo młodo w ciążę z pracującym przy budowie dróg robotnikiem, który zresztą szybko ją opuścił. Zachorowała krótko po porodzie, a kiedy Karl skończył trzy latka, nie była w stanie się już nim opiekować. Urzędnicy państwowi odszukali ojca, ten jednak nie miał odwagi podjąć się wychowywania małego dziecka. W tej sytuacji oddano Karla do adopcji.

Powtarzające się u matki udary mózgu przyczyniły się wkrótce do jej śmierci.

Niewiele później na skutek wypadku przy pracy zmarł również ojciec. Nie mogli więc teraz pomóc śledczym. Tylko dzięki usilnym staraniom policjantom udało się uzyskać względnie kompletny obraz historii Karla. Na początku policja dysponowała tylko nazwiskiem jego matki, które podał nieproszony o to adwokat Karla. Podobnie jak Huldar i Ríkharður był w głębokim szoku po tym, co zaszło w pokoju przesłuchań. Chciał jak najszybciej pozbyć się wszystkiego, co miało związek z tą sprawą, oddał im więc między innymi swoje papiery wraz z ujętymi w punkty uwagami, jakie zapisał sobie podczas rozmowy z Karlem w cztery oczy. Huldar zdążył już wszystkie pobieżnie przejrzeć, nie znajdując w nich jednak niczego interesującego. Nie było łatwym zadaniem odszyfrować, co obrońca w nich zapisał, a zwłaszcza co nagryzmolił na samym końcu.

Dane matki biologicznej Karla doprowadziły policjantów do jej żyjącego i cieszącego się dobrym zdrowiem brata. To właśnie on opowiedział im w końcu całą tę historię. Początkowa niechęć do przywoływania z pamięci minionych zdarzeń była spowodowana wyrzutami sumienia. Wstydził się, że nie wziął siostrzeńca do siebie. Na koniec rozmowy zwierzył się Huldarowi, że wtedy wydawało mu się, iż widział już wystarczająco wielu śmiertelnie chorych krewnych. Ale z wiekiem zrozumiał, że każdy z nas musi kiedyś umrzeć i nie ma znaczenia, jakimi genami jesteśmy obciążeni.

Mężczyzna dodał jeszcze, że w tamtych czasach nie było możliwe sprawdzenie, czy Karl jest nosicielem tego dziedzicznego przekleństwa. Z tego też względu niewielu było chętnych do adopcji chłopca. Nikt nie miał ochoty wziąć do siebie dziecka, które jeszcze przed trzydziestką mogło umrzeć z powodu udaru mózgu. Z szansą na przeżycie pół na pół, jak się mówiło. Według relacji stryja Karla, znalazła się kobieta, pracownica opieki społecznej, która zdecydowała się go zaadoptować, pod warunkiem jednak, że jego pochodzenie zostanie utrzymane w tajemnicy. Nie chciała, by wzrastał w świadomości o wiszącym nad nim mieczu Damoklesa. W zasadzie Huldar rozumiał tę kobietę, bo w końcu nie zostało przesądzone, czy Karl rzeczywiście był nosicielem zabójczego genu. Równie dobrze mogło być i tak, że choroba nigdy by się nie ujawniła. Zbadano sprawę i potwierdzono, że dokumenty świadczące o pochodzeniu Karla rzeczywiście zostały zniszczone, a przy okazji odkryto, iż na początku lat dziewięćdziesiątych tego rodzaju interwencje nie były rzadkością, szczególnie w przypadku ludzi

korzystających z opieki społecznej lub bliskich osób publicznych. Dzisiaj zaniechano już tego typu działań i zatwierdzono prawo każdego dziecka do poznania swoich rodziców.

Dlatego też trudno było pojąć, dlaczego Arnar tak bardzo interesował się swoją własną historią. Jeśli okazałoby się, że jest podobna do historii brata, byłoby dla niego o wiele lepiej, gdyby nigdy jej nie poznał. Arnar jednak nie przestawał pytać i z uporem osła domagał się wyjaśnień, w jaki sposób udało się Karlowi ustalić nazwisko jego matki. Wielokrotnie przychodził do komendy, by sprawdzić, czy w czasie przeszukiwania ich domu nie znaleziono jakichś dokumentów. Niestety, nie można mu było w niczym pomóc. Na odchodnym mówił zawsze to samo: „Zadzwońcie, kiedy coś znajdziecie, obojętne co”.

Ríkharður przechodził właśnie obok biura Hul dara, więc ten zawołał go do siebie. Po rozmowie z Karlottą udało mu się w końcu uspokoić sumienie i zepchnąć poczucie winy w najgłębsze zakamarki umysłu. Może nie do końca, bo coś się tam jeszcze w głowie tliło, na tyle jednak, żeby w miarę normalnie zachowywać się w stosunku do podwładnego. Żywił za to dozgonną wdzięczność do Karlotty.

Ríkharður sprawiał wrażenie, jakby powoli dochodził do siebie. Przestał nosić do pracy obrączkę, ale z czasem odcisnięty po niej biały ślad musiał zniknąć lub zostać przykryty inną obrączką. Zapewne nowa narzeczona nie będzie pasowała do niego tak idealnie, jak Karlotta. Ale może to i lepiej.

Dwoje tak do siebie podobnych ludzi nie mogło stworzyć dobranej pary.

Erla, która tak jak reszta kolegów odcięła się od Hul dara i Ríkharðura w trudnym dla nich czasie, bezpowrotnie zaprzepaściła swoją szansę na poderwanie tego drugiego. O ile w ogóle się do tego przymierzała, musiała się liczyć z tym, że w jego sztywniackim kodeksie nie było miejsca na zdradę. Dlatego Hul dar świetnie wiedział, że jego epizod z Karlottą musi na zawsze pozostać tajemnicą.

Zastanawiał się, czy nie zaproponować koledze wspólnego wyjścia w weekend na piwo. Uznał jednak, że w takim układzie sam by się nie rozerwał, bo u boku kogoś tak pięknego i gładkiego jak Ríkharður miałby małe szanse na podryw. Lepiej już będzie podjąć ostatnią próbę zaproszenia na randkę Freyi. Do tej pory odmawiała. Po pierwszej próbie roześmiała się mu w twarz, przy drugim podejściu wydawała się nim znudzona, a za trzecim razem odniósł wrażenie, że mu współczuje. Teraz zamierzał zadzwonić i zaprosić ją na drinka z okazji zakończenia

sprawy, ale także pod pretekstem, że nigdy więcej się nie spotkają. Tylko to mogło jeszcze poskutkować.

Ríkharður stał niezdecydowany w drzwiach, jakby obawiał się, że gdy tylko wejdzie głębiej, Huldar wymyśli mu zaraz jakieś nudne zadanie związane z dopełnieniem ostatnich formalności. Zostało jeszcze bowiem parę drobiazgów do załatwienia.

– Kojarzysz może, kiedy brat Karla miał wylecieć do Stanów? Dzisiaj czy jutro?

– Jutro. – Ríkharður był zawsze na bieżąco. – Chcesz go znowu wezwać na przesłuchanie?

– Nie.

– Masz ostatnią szansę. Wątpię, żeby zatwierdzili nam delegację do Ameryki, gdyby okazało się, że o czymś zapomnieliśmy.

– W razie czego można zadzwonić. – Huldar patrzył na reprodukcję zdjęcia z Reynisdrungur i zastanawiał się, czy nie poprosić kolegi o pomoc w wybraniu odpowiedniego miejsca na ścianie. Zdecydował jednak, że powiesi je tam, gdzie najłatwiej będzie wbić gwóźdź. Nie za nisko i nie za wysoko. – Mamy coś, co pomogłoby znaleźć jego rodziców?

– Nie. Właśnie przeglądam raport z działu komputerowego o tym, co Karl robił w ostatnich tygodniach na Internecie. Na razie nie natknąłem się na nic godnego uwagi. Oczywiście jeszcze nie skończyłem, wątpię jednak, że coś znajdę. Może Karl nie wiedział niczego o rodzicach Arnara?

– Nie marnuj na to zbyt wiele czasu. Nie sądzę, że znalezienie przez nas czegokolwiek sprawi, że poczuje się lepiej.

– Pewnie tak. – Ríkharður nie zaprotestował, choć wyraźnie nie podzielał zdania Huldara. – W sumie można zrozumieć jego gorące pragnienie poznania rodziców. To pewnie ostatnia szansa. Wiadomo, że dowody pochodzenia zostały urzędowo zniszczone i nie będzie mógł dochodzić swoich praw w normalnym trybie.

– Kolejny powód do tego, żeby nie grzebać w przeszłości. Przecież nie zniszczono dokumentów tylko po to, aby zrobić przysługę matce adopcyjnej. Nie była aż tak wpływową osobą. Musiało być jeszcze coś, przez co uznano, iż dla wszystkich będzie lepiej utrzymać to w tajemnicy.

– Może on też ma ten gen? Gen krwotoków mózgowych.

– Niewykluczone, ale oni chyba nie są ze sobą spokrewnieni. Jeśli i jego rodzice

przekazali mu dziedziczną w genach chorobę, byłby to naprawdę tragiczny zbieg okoliczności, więc musi chodzić o coś innego. Może choroba, a może jakaś historia rodzinna?

– Ty nie chciałbyś jej poznać? Bo ja tak. – Ríkharður wygładził koszulę na piersiach. – Bez względu na to, jak smutna by nie była.

– Na szczęście nie muszę się nad tym zastanawiać. – Huldar wyczuł podskórnie, o co tak naprawdę chodziło koledze. Chciał dostać od niego zgodę na dalsze poszukiwania rodziny mężczyzny. Arnar i Ríkharður byli jak spod jednej igły. Obaj dobrze wykształceni i biorąc pod uwagę obecną sytuację, nienaturalnie opanowani – żadnych łez i emocji. W innych okolicznościach mogliby zapewne zostać najlepszymi przyjaciółmi. Zakładając, że tego typu ludzie byli w ogóle zdolni się zaprzyjaźnić. Gdyby w dwójkę poszli do baru, kobiety nie miałyby łatwego wyboru. Przy żadnym z nich Huldar nie miałby najmniejszych szans.

– Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie szukać tak długo, jak chcesz. Skończ przeglądanie danych z komputera i zapoznaj się z tymi kilkoma dokumentami znalezionymi w domu. Karl zdążył pozbyć się prawie wszystkiego, więc nie zajmie ci to dużo czasu. Już je przeglądałem, ale niczego się w nich nie dopatrzyłem.

– Zrobię to. – Tak jak Huldar podejrzewał, Ríkharður wyglądał na bardzo zadowolonego z powierzonego mu zadania. Zanim opuścił biuro Huldara, spojrzął na stojący na podłodze obrazek i zapytał, czy aby nie czas go zawiesić.

– Tak. Teraz się odważę.

Ríkharður najwyraźniej nie zrozumiał, co Huldar chciał przez to powiedzieć. Wszedł z pokoju ze zdziwioną miną.

Huldar podniósł się z krzesła. Zamierzał przynieść młotek i gwoździe. Śledztwo zbliżało się ku końcowi i w tym momencie wszystko kręciło się wokół mało istotnych faktów. Nie było możliwości, by pokrzyżowały im szyki. Raczej nieprędko wyrzucą go z tego biura.

W chwili kiedy miał uderzyć młotkiem w przyłożony do ściany gwóźdź, zawahał się. Brakowało mu w tym wszystkim jednego małego, scalającego całość elementu. By wszystko zakończyć, musiał poszukać tego brakującego ogniwa. Myśl o niepowodzeniu i o tym, że będzie musiał zdjąć obraz ze ściany i przejść z nim

przez całe biuro, by upokorzony wrócić na swoje stare miejsce, była nie do zniesienia. Założył sobie, że uda mu się do wieczora rozwikłać zagadkę. Do tego czasu obraz musi poczekać na podłodze. Do biura jednak nie zaglądało aż tak wiele osób, bo część ludzi pracowała już nad inną sprawą, a Erla unikała jego towarzystwa. Zapewne wstydziła się za swoją, bądź co bądź, niewierność. Zamierzał powiedzieć jej, że nie ma to dla niego znaczenia i że przynajmniej częściowo ją rozumie. Ale to mogło poczekać tak samo jak obraz. Te dwie rzeczy będą ukoronowaniem zakończenia jego pierwszej dużej sprawy. Wbicie gwoźdźnia w ścianę i pogodzenie się z Erlą.

Zabrał się do ponownego czytania notatek adwokata. Potem jako dowody rzeczowe w sprawie miały zostać przeskanowane, wciągnięte na listę w komputerze i zakopane na zawsze w archiwum. Nikt się już nimi prawdopodobnie nie zainteresuje, nie bez podstaw zresztą. Mieli taśmy z nagraniami z przesłuchania, a w notatkach nie było niczego nowego. Jedynie te końcowe, w punktach zanotowane słowa dokumentujące to, że obrońca próbował z oskarżonym ustalić cokolwiek, co pomogłoby w polepszeniu jego sytuacji.

Utknął na jednym z nich. Nie mógł go rozczytać. Chyba zaczynało się na N albo W, a kończyło na E. Pośrodku było albo Ł, albo T, i dwa A. Jakies M i znowu N, które w połączeniu z I wyglądało jak M. A po nim kilka znaków zapytania. Zamiast dać sobie z tym spokój, postanowił zadzwonić do obrońcy Karla, a to na wypadek, gdyby śledztwo miało przejść przez wewnętrzną kontrolę. Nie będzie robił z siebie pajaca, tylko z czystym sumieniem będzie mógł powiedzieć, iż zapoznał się z najdrobniejszymi szczegółami.

Adwokat odebrał telefon i kiedy zorientował się, kto dzwoni, nie potrafił ukryć rozczarowania w głosie. Miał pewnie nadzieję, że jakiemuś oskarżonemu potrzebny był obrońca z urzędu. Chyba że, jak zapowiedział po przesłuchaniach Karla, wypisał się z ich listy. W mediach, które narobiły zamieszania po tym, jak będący w rękach policji podejrzany o mało się nie przekręcił, kilkakrotnie przewinęło się jego nazwisko. W niektórych artykułach jego również próbowano przedstawiać jako podejrzanego, jeden z tekstów zatytułowano nawet *Spadająca gwiazda adwokacka*. Treść felietonu była oczywiście przesadzona, a po jakimś czasie oficjalnie zmieniono wersję przedstawionych w nim zdarzeń. Sprawa nabrała innego wymiaru. Może nawet prawnik zdążył ucieszyć się, że raz jedyny

zaliczono go do gwiazd adwokackiego Panteonu.

– „Włamanie”. Pewnie jest tam napisane „Włamanie”. – Mężczyzna nie chciał, by Huldar przeskanował i wysłał mu mailem notatkę. Nie uważał tego za konieczne, bo niestety wszystko głęboko siedziało w jego mózgu.

– Jakie włamanie?

– Karl mówił, że włamano się do nich na krótko przed śmiercią matki. Twierdził, że może skradziono wtedy również lutownicę. Nie mogę powiedzieć, żebym w czasie naszej rozmowy uważał to za wiarygodne, ale chciałem sprawdzić na wszelki wypadek.

– Tak. Rozumiem. – Huldar odsunął młotek i gwoździe na bok. Dlaczego nie wzięto tego pod uwagę zaraz po aresztowaniu Karla? Całe swoje życie przemieszczał pod jednym adresem, to powinno być już na samym początku wyniknąć z komputerowych rejestrów policji. Może nikt o tym nie pomyślał? Mieli przecież tyle na głowie, a poza tym żaden z nich nie wątpił w winę Karla. Wszyscy zajęci byli bezowocnym szukaniem motywów zbrodni i miejsca, w którym chłopak zakupił kask i taśmę. Nikt nie poświęcił nawet minuty, by pomyśleć, że mógł być niewinny. Za dużo wskazywało na coś przeciwnego. Dużo za dużo. Dlaczego, do diabła, dopiero teraz zaczął się nad tym zastanawiać? A jeśli rzeczywiście włamano się do domu Karla? I w jaki sposób mogło się to łączyć z morderstwami? Odpowiedź był prosta: w ogóle się nie łączyło. To były tylko pytania retoryczne, jak przedśmiertne konwulsje, ostatnie niekontrolowane reakcje z powodu już wkrótce mającej się zakończyć sprawy. To wszystko już za długo i za intensywnie pochłaniało całą uwagę Huldara, żeby mógł sobie pozwolić na zaniechanie dalszych czynności.

Czy to nie była właściwa odpowiedź?

Zadzwoił telefon. Spojrzał na wyświetlający się na ekranie numer. Schronisko? Czego mogli chcieć od niego pracownicy schroniska? Może chodziło o zatwierdzenie wystawionego przez nich rachunku? I znowu te rachunki. Wydział księgowości wciąż dbał, by o nich nie zapominał. Ale to nie mogło być to, bo przecież ich placówki były urzędami państwowymi i z pewnych spraw nie rozliczały się za pomocą faktur. Przecież nie wystawi rodzinie ofiar rachunków za pracę swoich ludzi. Kiedy usłyszał w słuchawce głos Freyi, szczerze się ucieszył. Może wpadła na ten sam co i on pomysł, by uczcić wspólnie zakończenie sprawy?

Ton jej głosu jednak na to nie wskazywał.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie, ależ skąd. – Pożałował, że odpowiedział tak ochoczo. Bał się, że pomyśli, iż siedzi z nogami na biurku, radośnie pogwizdując z bezczynności. – Kończę pewne sprawy, ale to nic ważnego i może poczekać. Mam nadzieję, że wkrótce sprawa oficjalnie uznana będzie za zakończoną.

– No właśnie, z tego też powodu dzwonię. Czy w związku zakończeniem trzeba jeszcze zrobić coś szczególnego?

– Zabawne, właśnie przed chwilą o tym myślałem. – Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Jego namolne próby w końcu dały jakiś efekt. Chciała z nim świętować, a jemu było wszystko jedno, czy robiła to ze współczucia, czy też z innych względów. To był w każdym razie dopiero początek.

– O czym ty mówisz? – W jej głosie usłyszał szczere zdziwienie.

Huldar zacisnęła oczy. Źle ją zrozumiał. Katastrofa.

– Coś mi się pomyliło. Przepraszam. Mów dalej.

– Chcesz od nas jakieś sprawozdanie czy coś w tym rodzaju?

Huldar otworzył oczy i kręcił głową ze złości na samego siebie. Jak mógł być takim idiotą.

– Owszem, byłoby super. Coś w stylu raportu z przesłuchań i wszystkich rzeczy, które wydarzyły się w czasie ich trwania. Mam rację?

– Tak, dokładnie. U nas są to znormalizowane protokoły. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałabym dodać moją osobistą opinię o obecnym stanie psychicznym Margrét. To może mieć znaczenie dla lepszej przyszłej współpracy między naszymi instytucjami. Żeby ludzie widzieli czarno na białym, jak ważne jest to dla dzieci, które znajdują się w kryzysowych sytuacjach.

– Oczywiście. – Huldar nie chciał jej dołować, mówiąc, iż tak naprawdę oprócz niego nikomu innemu nie będzie chciało się tego czytać. Dobrze znał swoich kolegów, a on sam był do tego właściwie zobowiązany jako prowadzący śledztwo.

– A ponieważ znam już dość dobrze Margrét, to zaopiniowałam o to, żebym dalej mogła opiekować się nią jako psycholog. Już nawet była u mnie parę razy.

– No i? – Huldar nie był do końca pewien, o co chodziło Freyi, skoro na pewno nie o randkę.

– Jest jeszcze coś, o czym chciałam ci powiedzieć, bo nie bardzo wiem, czy

powinnam napisać o tym w moim raporcie. To może być dla ciebie bardzo nieprzyjemne.

– Nieprzyjemne dla mnie? – To rozbudziło ciekawość Huldara. Myśl o romantycznym, tylko we dwoje spędzonym wieczorze prysnęła jak bańka mydlana.

– Tak. Raczej. Przynajmniej tak przypuszczam. – Freyja zamilkła i po chwili wypaliła: – Margrét jest przekonana, że to ty jesteś mordercą.

– Ja? – Huldar się roześmiał. – Jakim sposobem mogło jej to przyjść do głowy? A co ze zdjęciem? Czy nie wskazała Karla?

– Trochę zaczęła się z tego wycofywać. Mówi, że się jej pomyliło. Mężczyzna jest tylko podobny do tego, który ją obserwował w ogrodzie, a poza tym nie widziała go zbyt dobrze.

– Ale chyba nie uważa naprawdę, że jestem podobny do tego mężczyzny z ogrodu?

– Nie chciała mi nic powiedzieć na ten temat. Mam zamiar namówić ją do dalszych wyjaśnień i pomyślałam, że może byś wpadł, żeby tego posłuchać. Ma do mnie przyjść później i jeśli chcesz, mogę porozmawiać z nią w pokoju przesłuchań. Tylko musiałbyś przyjść przed nią, bo pod żadnym pozorem nie może cię zobaczyć.

– Przyjdę.

– Spotkanie jest umówione na piętnastą. Czyli za dwie godziny. Mam nadzieję, że się sprawa wyjaśni i zdołam ją namówić do zastanowienia się i zmiany zdania. Przecież ona nie może trwać w przekonaniu, że morderca jej matki jest na wolności, a do tego wszystkiego jest policjantem.

– Będę o czternastej trzydzieści. – Huldar odłożył słuchawkę. Już wiedział, że obraz nie zawiśnie dziś na ścianie.

Do tego czasu skupi się na czytaniu raportu o zaginionych przedmiotach z przechowalni dowodów rzeczowych.

Lektura okazała się bardziej interesująca, niż się spodziewał.

To samo dotyczyło akt z komputerowego rejestru w sprawie włamania w domu Karla i jego matki.

Nie mówiąc już o sprawozdaniu z nielegalnej działalności internetowej Halliego, które Huldar wcześniej tylko przerzucił. Tym razem czytał dokładnie, słowo po

słowie.

Rozdział 34

Dopiero teraz Huldar zrozumiał, co ludzie mieli na myśli, mówiąc, że mają ogień w oczach. Tego nie można było z niczym porównać. Tak jakby krew napłynęła mu do oczu i wszystko spowijał czerwony muślin, pod którym kipiał jego umysł.

Ale musiał zdusić w sobie gniew, siedzieć nieruchomo i przysłuchiwać się trwającej od dłuższego czasu rozmowie, w której Freyja pytała Margrét o jej samopoczucie, zupełnie nie nawiązując do morderstwa. Choć doskonale wiedział, że pytania zadawane były według ustalonego schematu i służyły określonemu celowi, to jednak umierał ze zniecierpliwienia. Ruszał nerwowo nogą pod stołem, raz w górę, raz w dół, a wraz z kolejnym pytaniem niezwiązanym z tematem, jaki go interesował, prędkość podrygującej nogi się zwiększała.

Po drugiej stronie stołu siedział Sigvaldi, ojciec Margrét, który przyprowadził tu córkę. Freyja mówiła, że Margrét w pewnym sensie pogodziła się z ojcem.

Było za późno, by cokolwiek zmienić, więc teraz Huldar przeklinał się w duchu, że tego nie przewidział. Przecież wiadomo było, że Margrét nie wsiądzie w autobus i sama nie dotrze do schroniska.

Przy ostatnim ich spotkaniu Sigvaldi był całkowicie pochłonięty przerabianiem w sobie śmierci żony. Zrozpaczony, zły i smutny jednocześnie. Teraz jednak jego głównym problemem najwyraźniej było przebywanie w jednym pokoju z Huldarem. Z pewnością był na siebie wściekły, że nie przyjął propozycji Freyi, aby udał się do poczekalni. Mógł tam siedzieć, pić kawę i czytać gazetę zamiast zakłopotany, centymetr po centymetrze przesuwając krzesłem po podłodze, wciąż bardziej odsuwać się od Huldara. Na początku próbował nawet nawiązać z nim rozmowę, ale jedynym, co usłyszał z ust policjanta, były posykiwania.

Huldar wiedział, że jeśli się nie skoncentruje, straci wątek rozmowy toczącej się po drugiej stronie szyby. Tak łatwo można było pozwolić złości wylać się na wszystko i wszystkich, a już najbardziej na siebie samego, że nie dopilnował tak wielu rzeczy i zrobił z siebie idiotę. Musiał zachować jasność umysłu, jeśli chciał zakończyć sprawę i przyłapać tego, którego podejrzewał o popełnienie zbrodni.

Margrét mówiła jednak o tym, jak idzie jej w szkole, więc Huldar odpłynął

myślami w połowie opowieści i zaczął zastanawiać się nad wszystkim, co odkrył w ciągu ostatnich dwóch godzin. Do pełnego obrazu brakowało mu jedynie tego, o czym miała powiedzieć Margrét. Poza tym wszystko pasowało do jego nowej teorii – to, co do tej pory wskazywało na winę Karla, nie miało żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Telefon do Poczty i Telekomunikacji potwierdził, że nadawane na niskich pasmach przekazy radiowe, o których mówił Karl, rzeczywiście miały miejsce. Pracownik, z którym Huldar rozmawiał, był od razu gotów pomóc mu w zrozumieniu, o co w tym wszystkim chodzi. Sama firma także szukała źródła nadawania, bo otrzymała skargę z lotniska w Reykjavíku. Wyglądało na to, że audycje nadawano na częstotliwościach sąsiadujących z tymi, które przeznaczone były dla komunikacji radiowej samolotów. Spowodowało to zakłócenia na falach radiowych, lecz dotąd nie udało się znaleźć winnego, bo nadawano za krótko i nieregularnie. Ten, który to robił, był na tyle mądry, by w przerwach wyłączać częstotliwość nośną. Skarga wpłynęła do nich dość późno i już wtedy, kiedy nadawanie ustało, wyglądało więc na to, że problem sam się rozwiązał. Pracownik komunikacji przejawiał jednak ogromne zainteresowanie znalezieniem źródła, w końcu przekazy numeryczne w Islandii były czymś wyjątkowym. I tak okazało się, że poza Karlem i Börkurem nikt inny nie słyszał o tym fenomenie.

Zadzwoił telefon Huldara. Jego noga przestała podrygiwać. To był Ríkharður, wstał więc od stołu i odebrał.

– Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w schronisku, coś się wydarzyło w międzyczasie. Mogę zadzwonić do ciebie później? – Mówił zwięźle i na temat, a do tego musiał szeptać. Nie chciał opuścić pomieszczenia na wypadek, gdyby Freyja w końcu zaczęła pytać o morderstwo.

– Ależ oczywiście. Jakaś nowa sprawa? – zaciekawiał się Ríkharður. Było to normalne, bo w perspektywie nie mieli na razie żadnego większego śledztwa.

– Nie, ale pogadamy potem, bo jestem w schronisku. – Huldar słyszał, jak Freyja pyta Margrét, czy jest gotowa porozmawiać o tym, co się stało z jej mamą. – Muszę kończyć. Zdzwonimy się.

– Na pewno nie chcesz, żebym przyjechał? Kogo wzięłeś ze sobą?

– Nie Erlę, jeśli o to ci chodzi. – Huldar mówił szybko, dzięki czemu brzmiał przyjaźniej. – Zaraz kończymy i niedługo będę w komendzie. Zaczekaj na mnie,

jeśli możesz. – Przerwał rozmowę, nie dając mu szansy na odpowiedź. Margrét zgodziła się mówić. Huldar nie tracił czasu, by usiąść przy stole, tylko stanął przy jego końcu. Sigvaldi pozornie nie zwracał na niego uwagi, lecz odsunął się bliżej szyby.

– Ja wiem bardzo dobrze, że to nie był ten człowiek. Ten, który leży w szpitalu. – Margrét bawiła się bransoletką na przegubie. – Są w ogóle szpitale więzienne?

– Nie, w Islandii nie ma. Gdzieś w dalekim świecie są ogromne więzienia, w których może są takie sale dla chorych więźniów. O ile wiem, to nie ma specjalnych szpitali więziennych.

– To dobrze, bo on nie jest tym złym człowiekiem. Tata mówi, że on będzie musiał zostać na zawsze w szpitalu. Na całe życie. To dobrze, przynajmniej nie będzie musiał pójść do więzienia. Chcę, żeby ten, który zrobił mamie krzywdę, poszedł do więzienia.

– Tak, wszyscy tego chcemy.

– Ale nie zły człowiek.

– Nie, on z pewnością nie. – Freyja przeciągnęła ręką po włosach. Były rozpuszczone jak poprzednio. Jasne loki opadały lekko na ramiona. – Jeśli teraz już wiesz, że to nie był ten chory człowiek, to jak myślisz, kto skrzywdził twoją mamusię?

– Człowiek w butach.

– Człowiek w butach? – Freyja postukała delikatnie w ukryty na piersiach mikrofon, by dać Huldarowi do zrozumienia, że musi teraz słuchać. Jakby obawiała się, że mógłby zasnąć. – Opisz mi go troszkę lepiej? W butach chodzą prawie wszyscy.

– On był u ciebie w domu. Powiedział, że to on był w ogrodzie. Ale był też u mnie w domu. Widziałam go spod łóżka. To znaczy jego buty. Dobrze to pamiętam.

– A pamiętasz, Margrét, kto wtedy nad ranem wyciągnął cię spod niego? To był właśnie on.

– Tak. – Dziewczynka nie była już taka pewna, jak na początku.

– To było już bardzo, bardzo długo po tym, jak ten, który skrzywdził twoją mamusię, sobie poszedł.

– Tak. – Margrét wyglądała na znużoną rozmową. Zdjęła z ręki bransoletkę i zaczęła rozciągać gumkę. – To był też ten, który zrobił mamusi krzywdę. To były te same buty. Dobrze to wiem. Widziałam je. – Zamilkła i powtórzyła. – Widziałam je.

Huldar nachylił się do mikrofonu.

– Proszę zapytać, co ten człowiek mówił dokładnie o jej ojcu. To jest bardzo ważne. – Udawał, że nie widzi przerażonej twarzy Sigvaldiego, który odwrócił się w jego stronę.

– Margrét, powiedz mi, co mówił ten człowiek o twoim tatusiu, kiedy twierdził, że to on jest wszystkiemu winny?

W pierwszym momencie wydawało się, że Margrét nie chce odpowiedzieć. Lecz nagle wyprostowała plecki, nachyliła się do Freyi i zaczęła szeptać. Jej głowa znajdowała się na tej samej wysokości, co ukryty na Freyi mikrofon. Teraz słyhać ją było bardzo wyraźnie.

– Tylko nikomu nie mów.

– Nie mogę ci tego obiecać, Margrét. – Huldar wydał z siebie cichy jęk. Czy nie mogła po prostu skłamać?

– Ale ja nie chcę, żeby ktoś się o tym dowiedział.

– Czasami ludzie muszą o pewnych rzeczach wiedzieć, Margrét. Nawet jeśli są brzydkie i złe. A czasami okazuje się, że one wcale nie są takie straszne, jak się wcześniej o nich myślało.

– Ale to jest bardzo straszne. Mówił, że tatuś był bardzo zły. Ja myślę, że on nie zrobił tego specjalnie.

– I ja tak myślę. A poza tym to, co ten człowiek powiedział, wcale nie musi być prawdą. Może on tylko zmyślał? Jeśli nie powiesz o tym nikomu, nigdy się nie dowiesz, czy kłamał, czy nie.

Margrét zastanawiała się chwilę. Po czym zaczęła szeptać, na szczęście na tyle głośno, że czuły mikrofon wyłapywał każde słowo:

– Ten zły człowiek mówił, że tatuś zabił jego dziecko. I że to z winy taty zamierza skrzywdzić mamusię. Wyssać z niej życie, jak tata wyssał jego dziecko. – Margrét odchyliła się i usiadła wyprostowana z wyrazem smutku i obrzydzenia na twarzy. – Mi się wydaje, że to się musiało stać niechcący. Ty też tak myślisz?

Z ust Sigvaldiego wydobywało się rżenie, które zdawało się nie mieć końca.

Huldar ułożył przed sobą zwinięte w pięści dłonie i się pochylił. Zacisnął z całej siły powieki i mocno zagryzł zęby. Wszystko się zgadzało. Podniósł się z krzesła tak gwałtownie, że aż zakręciło mu się w głowie. Ręce mu się trzęsły, kiedy wyjmował z kieszeni gumy nikotynowe. Dla pewności zaaplikował od razu dwie pastylki.

Sporo dowiedział się z raportu o przedmiotach, które zaginęły z przechowalni dowodów rzeczowych. Przepadły między innymi czarny kask na motor, telefon komórkowy, wycinarka do szkła i przyssawka, a także osiem rolek srebrnej taśmy klejącej, wyjętych z pełnego opakowania. Komórkę i taśmy zarekwirowano złodziejom przy okazji przeszukania w jakimś mieszkaniu. Aparat telefoniczny zaopatrzony w jednorazową kartę do rozmów nigdy nie znalazł swojego właściciela, bo nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Nikomu nie chciało się zwracać sobie głowy tak tanim modelem. Nikt też nie zgłosił kradzieży taśmy. Aby uzyskać większe odszkodowanie, sklep budowlany nie sprostował również informacji, że to nie karton pendrive'ów został skradziony. Wycinarkę do szkła oraz przyssawkę zarekwirowano przyłapanemu na gorącym uczynku złodziejowi. Kask należał do odsiadującego wieloletni wyrok handlarza narkotykami.

Kiedy Huldar zapoznał się z aktami dotyczącymi włamania do domu Karla, nie samo przestępstwo wzbudziło w nim zainteresowanie. Skradziono nic nieznaczące przedmioty, właścicielka domu była bardzo przestraszona, ale też i trochę dziwna. Według notatki sporządzonej przez tego, który przybył na miejsce zdarzenia, interesowała się przede wszystkim samym policjantem.

W rejestrach policyjnych znalazł również informacje na temat Halliego i jego nielegalnej działalności w Internecie, w którą był zamieszany krótko przed swoją śmiercią. Również i w tym wykroczeniu nie było niczego szczególnego, jednak w raporcie z policyjnej obławy uwagę Huldara zwróciło pewne nazwisko. Był to ten sam człowiek, który badał szczegóły włamania do domu Karla. Ríkharður.

Najpierw zastanawiał się, czy nie doszło do jakiegoś nieporozumienia. To nie było podobne do jego kolegi, żeby nigdzie nie nadmieniło o jego wcześniejszych kontaktach z aż dwiema osobami uwikłanymi w zbrodnię. Naruszało to wszelkie służbowe przepisy i nie miało prawa się wydarzyć.

Bez zastanowienia wykręcił numer do Karlotty. Nie była zbyt zadowolona z jego telefonu, ale dość szybko zorientowała się, że chodziło o coś poważnego. Już po

krótkiej chwili bez ciągłego powtarzania, że to nie jego sprawa, odpowiadała mu jasno i konkretnie.

Zapytał, czy wiedziała o tym, żeby Ríkharður znał lub w jakikolwiek sposób był powiązany z Elisą, Ástrós czy Sigvaldim. Jak się okazało, wcale ich nie znał. Ale Karlotta owszem.

Ástrós uczyła ją biologii w ogólniaku.

Sigvaldi był przez pewien czas jej ginekologiem.

Kiedy zapytał, czy Sigvaldi wyrządził jej kiedykolwiek krzywdę lub spowodował u niej trwałe kalectwo, na skutek czego nie mogła mieć dzieci, przerwała mu w połowie słowa, chcąc upewnić się, jak ważne są dla niego te odpowiedzi, bo według niej przekraczał granicę intymności. Po chwili ciszy wyznała, że Sigvaldi był właśnie tym lekarzem, który zbadał ją, zatwierdził i przeprowadził aborcję na jej własne życzenie, bez pytania o powód. Zatem ostatnia ciąża nie skończyła się poronieniem, jak wszystkim powiedzieli.

Karlotta nie chciała tego dziecka i je usunęła, a Ríkharður dowiedział się o tym już po fakcie.

Huldar osłupiał i nie wiedział, co powiedzieć. Na koniec zwierzyła mu się, co było powodem jej decyzji, chociaż wcale o to nie pytał. To było jak grom z jasnego nieba. Tak niespodziewane, że aż nie był pewien, czy ta rozmowa rzeczywiście się odbywa, czy też jest tylko wytworem jego wyobraźni. Ale Karlotta mówiła nieprzerwanie, najpierw poinformowała o liście, który rozpętał całą tę burzę, a następnie o tym, w jaki sposób Ástrós i matka Karla były związane z całą tą historią.

– Sigvaldi. – Huldar miał usta wypchane gumami nikotynowymi. – Niech pan pozdrowi ode mnie Freyję i podziękuje w moim imieniu za to, co dla mnie zrobiła. Muszę niestety lecieć.

Mężczyzna nie potrafił ukryć radości, że nareszcie się go stąd pozbywa.

– Tak. Dobrze. Przekażę.

Przez dłuższą chwilę Huldar siedział w samochodzie z głową opartą o kierownicę. Próbował zebrać myśli i uporządkować je. Dopiero gdy usłyszał trzaśnięcie drzwiami od schroniska, wyprostował się, zapalił silnik i odjechał, bo nie chciało

mu się pozdrawiać Sigvaldiego i Margrét, kiedy mijaliby jego samochód. Nie chciał też wzbudzać zainteresowania tym, że jeszcze tam był, skoro wcześniej zapowiedział, że odjeżdża. We wstecznym lusterku widział tych dwoje idących obok siebie. Nie trzymali się za ręce.

Nie odjechał zbyt daleko, gdy zadzwonił telefon. To była Freyja.

– Muszę ci o czymś powiedzieć, bo nie zdążyłam przed twoim wyjściem. Chciałam skorzystać z okazji i przyznać się do czegoś, co może mieć pewne znaczenie.

– Jeśli chodzi o raport albo zeznania Margrét, to nie ma takiej potrzeby. Sprawa potoczyła się zupełnie nowym torem. Wyszło całkiem inaczej, niż myśleliśmy, tak że wszystko jest na razie w zawieszeniu. – Starał się to ująć jak najdelikatniej.

– Nie, to nie dotyczy ani raportu, ani też samej Margrét.

Tego się nie spodziewał.

– Okej. – Nie był w stanie powiedzieć niczego innego. Wciąż nie czuł się na siłach, by spotkać się i rozmówić ani z Ríkharðurem, ani też z szefem i innymi, których musiał uświadomić, co się dzieje. Nie miał też pojęcia, w jakiej kolejności powinien to zrobić i w jaki sposób odnieść się zarówno do Ríkharðura, jak i do szefostwa. – Już zawracam.

– Obiecuję, że nie zajmie nam to dużo czasu. Bardzo mi zależy na stworzeniu jasnej sytuacji, a nie chciałabym przychodzić do komendy.

Huldar ciągle się wahał, czy skorzystać z ostatniego odroczenia przed tym, co się miało stać. Mógł także poprosić ją o radę, jak przyznać się do własnego błędu i niezręczności, nie robiąc przy tym z siebie kompletnego idioty. Przecież nie musiał jej opowiadać całej historii, powinno wystarczyć kilka ogólnych przykładów.

– Jestem za dwie minuty.

Napisał SMS-a do Ríkharðura, żeby ten nie zaczął podejrzewać, co mogło go zatrzymać. Były kolega odpowiedział prawie w tej samej sekundzie z zapytaniem, czy są jakieś nowe wieści. Odpisał, by uspić jego czujność, chociaż mdliło go przy każdej literze, że nic nowego nie ma i że wkrótce wróci. Ekran wygasł i nie rozjaśnił się na nowo, co oznaczało, że Ríkharður się tym zadowolił. Na razie.

Rozdział 35

– Wszyscy poszli już do domu, więc włączyłam na górze system alarmowy i musimy rozgościć się tutaj. Ale bez obaw, nie zamierzam cię długo zatrzymywać. – Freyja wskazała Huldarowi pokój oględzin lekarskich. Przez chwilę zastanawiała się, czy dobrze robi, lecz blady i trochę nieswój policjant w zasadzie wyglądał na chorego. Miała nadzieję, że bakterie, które być może rozsiewał, wyginą przez noc, na wszelki wypadek jednak zamierzała przed wyjściem zdezynfekować płynem wszystko, czego dotknął.

Siedzenia, które znajdowały się w pomieszczeniu, z pewnością nie były wygodne i każde z nich służyło do czegoś innego. Były tu między innymi biurowe krzesło i hoker na kółkach służący lekarzowi przy badaniu dzieci. Wskazała mu miejsce przy biurku. I chociaż czuła się nieswojo, sama usiadła na hokerze, oszczędzając tym samym Huldarowi widoku stojącego na wprost niego pokręconego stołka do oględzin. Był to dopasowany do potrzeb pacjentów, dziecięcych rozmiarów fotel ginekologiczny. Swoim wyglądem zaprzeczał wszystkiemu, co można było uznać za normalne. Huldar czuł się już na tyle źle, że nie trzeba mu było dodatkowo przypominać o okropnościach, które czasami spotykały przywożone do schroniska dzieci.

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Ten człowiek z pewnością się rozchoruje. Może nawet ma już gorączkę? Jego głos brzmiał surowo i chłodno. Freyja znowu nie była pewna, czy dobrze zrobiła, zamierzając przyznać mu się do czegoś. Co mogła wymyślić na poczekaniu zamiast właściwego powodu, dla którego go tu ściągnęła? On jednak zaczął dalej mówić i odetchnęła nieznacznie.

– Jeśli masz wrażenie, że jestem jakiś dziwny, to dlatego że pewien szczegół kompletnie zbił mnie z tropu. Nie odbieraj tego osobiście.

Freyja roześmiała się delikatnie.

– Nie martw się, po prostu myślałam, że złapałeś gripę. – Ulżyło jej. Przynajmniej nie musiała po jego wyjściu odkażać wszystkiego. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, gdzie czekała na nią Molly. Miała nadzieję, że nie

pogryzła obcasów jej nowiusieńkich szpilek, które zapomniała schować przed wyjściem. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że wiem, co to za człowiek był wtedy w moim ogrodzie. Kiedy myśleliście, że czyhał tam na mnie. On nie ma nic wspólnego z morderstwami.

– To był twój były? – Huldar sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego jej odpowiedzią.

– Nie. Freyja pokręciła głową. – Mam brata, który czasem przesadza. Wynajął człowieka, który miał mnie ochraniać, bo myślał, że jestem w niebezpieczeństwie. Obawiał się, że mój były partner chce się na mnie zemścić. Zupełne nieporozumienie. Oczywiście zrobił to na własną rękę, choć próbowałam go przekonać, aby dał sobie z tym spokój.

Huldar oddychał z trudnością, jakby dusił się pod ciężarem zmartwień.

– Wiem, kim jest twój brat.

– Ach tak?

– Byłem ciekawy, bo adres, pod którym mieszkasz, jakoś mi do ciebie nie pasuje. Sprawdziłem, kto był tam zameldowany, no i w naszych rejestrach zobaczyłem, że jesteście rodzeństwem, czyli to nie było trudne. – Spuścił wzrok i mówił dalej: – Znam też jego historię. Nazwisko wydawało mi się jakby znajome, więc sprawdziłem jego akta. No i okazało się, że nawet raz, wiele lat temu, miałem zaszczyt osobiście go aresztować.

– Tak. Rozumiem. – Freyja nie mogła zdobyć się na pytanie, za co go zatrzymał.

– Już samo to, jak nazwał swojego psa, dało mi powód, by rozeznaczyć się w sytuacji.

– Co masz na myśli? Przecież pies ma niecałe dwa lata.

– Nie miałem na myśli, że samo imię Molly mogło mi zdradzić, kto jest jej właścicielem. Kto mógłby nazwać swojego psa Molly? Przecież nie psycholożka z opieki społecznej.

– Co jest takiego w tym imieniu? O czym ty mówisz?

– No co ty, naprawdę nie wiesz? To uliczna nazwa MDMA, aktywnego składnika ekstazy – powiedział Huldar, dodając nieco dziwnym tonem: – Nieważne.

– Tak. Może... – Po wymianie zdań, które wytrąciły ją z równowagi, wróciła do właściwego tematu rozmowy. – W każdym razie nie musisz się już dłużej

zastanawiać, czy ten człowiek z ogrodu mógł być mordercą. – Siedziała na niewygodnym hokerze bez oparcia, co teraz jej przeszkadzało. Torebka zwisająca z ramienia bardzo jej ciążyła. Za bardzo. Położyła ją na kolanach. Nie chciała odkładać jej na podłogę z obawy, że Huldar mógłby zauważyć pistolet. Zamierzała poprosić, by go zabrał i ukrył, bez potrzeby tłumaczenia się, do kogo należał. Ale teraz widziała, jak głupi był to pomysł. Nie było mowy, by nie połączył tego z jej bratem. Nie mogła mu już więcej ufać. – A poza tym to już wszystko.

Huldar patrzył jej prosto w oczy. Starła się za wszelką cenę nie odwracać wzroku, aby nie wzbudzić podejrzeń, iż coś ukrywa. Czasami wiedza zdobyta na studiach przydawała się jej w stosunkach międzyludzkich.

– Nie bardzo pojmuję – stwierdził i mlasnął językiem. – Nie mogłaś mi tego wszystkiego powiedzieć przez telefon?

– W zasadzie to mogłam. – Uśmiechnęła się zakłopotana. – Tylko chciałam porozmawiać w cztery oczy. Nie wiem, czy policja nie nagrywa wszystkich rozmów. Nie chciałam rozmawiać o moim bracie z policjantem. Chyba to rozumiesz? Tylko ze względu na ciebie zrobiłam wyjątek, biorąc pod uwagę wszystko, co zaszło. – Zamilkła, bo nie chciała rozwijać tematu. Jeśli trzeba już uciekać się do kłamstw, lepiej ograniczyć słowa, choć przez to musiał uważać ją za nadmiernie ostrożną i wyczuloną na swoim punkcie. Że też nie było jej obojętne, co o niej myślał.

– Do twojej wiadomości. Nie nagrywamy wszystkich rozmów.

– Dziękuję, dobrze o tym wiedzieć. – Odpowiedź była bez sensu, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Usłyszała parkujący na podjeździe samochód i poczuła ulgę, bo nadarzyła się okazja, by odwrócić uwagę od ich rozmowy. Cieszyła się pomimo tego, że mogło to dla niej oznaczać pracę po godzinach.

– Spodziewasz się kogoś?

– Nie. – Freyja podjechała na hokerze w stronę okna i przez szparę w żaluzji patrzyła na zewnątrz. – To chyba do ciebie.

– Do mnie?

– W każdym razie to radiowóz policyjny, chociaż oni zawsze wcześniej zawiadamiają o swoim przybyciu, bo nie prowadzimy tu ostrego dyżuru. – Huldar podszedł do okna niezauważony przez Freyję. Oboje patrzyli na wysiadającego z samochodu mężczyznę. Freyja nigdy dotąd go nie widziała i była zdumiona, że

taki typ pracował w policji. Przypominał raczej wypielegnowanego i elegancko ubranego bankiera. Tylko czarne, policyjne buty, które miał na nogach, nie pasowały do całości. Takie same, jakie nosił Huldar. Zanim mężczyzna wszedł do środka, przeciągnął dłońmi po idealnie ułożonych włosach.

– *Shit. Shit. Shit.* – Huldar odwrócił się od okna i rozglądał nerwowo po pokoju. Słyszeli, że drzwi wejściowe się otworzyły, po czym zostały delikatnie zamknięte. Huldar szeptał teraz wprost do ucha Freyi: – Schowaj się do szafy. – W dawnych czasach była to szafa na ubrania, a obecnie służyła do przechowywania jednorazowych rękawiczek i innych medycznych produktów. – Nie pytaj o nic, tylko się schowaj. Później ci to wytłumaczę. Wszystko będzie dobrze.

Freyja zamierzała już odpowiedzieć, że właśnie na to liczy, ale z wyrazu jego twarzy wyczytała, że lepiej będzie milczeć i spełnić jego polecenie. Kiedy robiła sobie miejsce obok małego białego kartonu, dziękowała w duchu, że nie uzupełniali ostatnio swoich rezerw. Pomimo tego w szafie było tak ciasno, że nie mogła ruszyć się, żeby czegoś nie dotknąć i tym samym zdradzić swoją obecność. Najbardziej bała się, że torebka spadnie jej z ramienia i przewróci stertę pudełek. Kiedy Huldar otworzył drzwi na korytarz, domknęła te od szafy. Przez ciekłą sklejkę słyszała, jak woła:

– Ríkharður!

Starła się cicho i wolno oddychać, nasłuchując, o czym Huldar i nowo przybyły rozmawiali, stojąc przy wejściu.

– Tak się zastanawiałem, czy nie potrzebna ci pomoc? Brzmiałeś, jakbyś był czymś bardzo zmartwiony.

– Nie trzeba było, właśnie wracałem do komendy. Nie widziałeś moich wiadomości?

– O tak. – Obaj milczeli przez moment, po czym Ríkharður podjął: – Pomyślałem sobie, że w sprawie musiało wyniknąć coś nowego, skoro znowu przesłuchiowano dziewczynkę. Jak rozmawialiśmy, kiedy byłeś w schronisku, słyszałem pytania i z ciekawości nie mogłem wytrzymać. Uważam, że powinieneś mnie informować o nowych faktach.

– Chciałem tak zrobić. Jedźmy już lepiej do komendy i tam to omówimy, bo tutaj zostać nie możemy. Zaraz przywiozą na przesłuchanie małego chłopca, który może być ofiarą molestowania.

– To gdzie się wszyscy podziali? Sam zamierzasz ich tu przywitać?

– Nie. Freyja, psycholożka, która tu przecież pracuje, jest już w drodze. Poprosili ją, by pojechała po lekarza i zaproponowałem, że zaczekam na wypadek, gdyby tamci przyjechali wcześniej.

Freyja pomyślała, że nieźle to wymyślił. W końcu miała jeszcze świeżo w pamięci, jak dobrze potrafił kłamać.

– Lekarz nie mógł przyjechać taksówką?

– Nie wiem. Co się z tobą dzieje? Po co się wtrącasz? – W głosie Huldara słychać było złość, o wiele za dużo złości. Pytania Ríkharðura były denerwujące, ale nie aż na tyle, by wytłumaczyć jego gniew. Musiała być jakaś poważniejsza przyczyna tego, że siedziała teraz schowana w szafie.

Upłynęło trochę czasu, zanim Ríkharður odpowiedział. Mówił głosem bardziej wyniosłym, a jego zrzędlawy ton gdzieś zniknął. I właśnie ten nowy, mrozący krew w żyłach sposób, w jaki mówił, był dla Freyi jeszcze bardziej nieprzyjemny.

– Poszedłem do twojego biura i leżał tam raport o zaginionych przedmiotach z przechowalni. Wszystko, co ważne, odhaczyłeś. Uważasz, że wiąże się to z morderstwami? Przecież to mógł być czysty przypadek, w końcu tyle różnych rzeczy rekwiruje się przy przeszukaniach.

– Uważam, że ma to związek z naszą sprawą i że Karl wcale nie jest mordercą.

Freyja się skrzywiła. O czym on mówił? Nasłuchiwała uważnie, aby nic nie uszło jej uwadze.

– Ale jak już mówiłem, to nie miejsce na rozmowy o tym. Jedźmy do komendy.

– Już nie musisz czekać na szefową schroniska? Na wypadek, gdyby zjawili się tu nagle mały chłopczyk i jego asysta?

– Zostawię kartkę na drzwiach.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi? Przecież nie zajmie ci to więcej niż minutę. Nie ma znaczenia, gdzie mi o tym powiesz.

– Dlatego, że jestem za bardzo zmęczony. Powiem ci o wszystkim, tylko nie tutaj. Czy proszę o tak wiele? Odrobina cierpliwości.

– Chcę to usłyszeć tutaj, bo nie zamierzam już jechać do roboty.

– I co, pojedziesz do domu radiowozem? Dla ciebie to żaden problem, i tak przejeżdżasz obok komendy.

Znowu cisza. Kiedy zaczęli na nowo rozmawiać, Freyi wydawało się, że głosy

się przybliżyły. Tak jakby Ríkharður wszedł do pokoju.

– Wiesz o czymś więcej. Dzwoniła Karlotta i opowiedziała o waszej rozmowie. – Freyja zastanawiała się, kim mogła być ta Karlotta, zakładała jednak, że nie policjantką. Zresztą nie miała szansy dłużej nad tym myśleć, bo Ríkharður zaczął mówić: – Nie jestem idiotą. Wiem, że dodałeś dwa do dwóch. Ale czy nie mógłbyś zachować tego dla siebie?

Huldar parsknął.

– Zwariowałeś?

– Nie. Ale jeśli się dobrze nad tym zastanowisz, to wszyscy mogliby na tym skorzystać, oczywiście pod warunkiem, że sprawa się nie wyda. Ja byłbym szczęśliwy, Karlotta zachowałaby dobre imię, a ty zatrzymałbyś stanowisko. Tylko biedaczek Karl by na tym stracił, ale i tak już nie może grać. W zasadzie więc nikt nie przegrywa. Wszyscy wygrywają.

– Zapomnij o tym. To nie jest jakiś rachunek matematyczny. Popełniłeś zbrodnię. Najgorszą, jaką można sobie wyobrazić. I to trzykrotnie. Naprawdę myślisz, że aż tak zależy mi na jakimś stanowisku, że pozwolę, by uszło ci to na sucho?

Freyja nie mogła złapać oddechu. Zesztywniała. Mogli ją usłyszeć? O czym oni mówili? To jednak nie Karl zamordował mamę Margrét? Prawdziwy morderca stał w tym pokoju?

– Tak, taką właśnie miałem nadzieję. Jeśli ma to jakieś znaczenie, muszę powiedzieć, że nie było mi łatwo, chociaż wszyscy sobie na to zasłużyli.

– Elisa też? Co niby ci zrobiła?

– W zasadzie to nic, ale nie chodziło mi o nią. Chciałem zabić Sigvaldiego, tak jak on zabił moje dziecko. A ponieważ nie było go w domu, stwierdziłem, że to dobre rozwiązanie. Nie potrafiłem zrobić nic złego dzieciom, choć byłoby to może bardziej sprawiedliwe, ale nie jestem aż takim potworem.

Freyja poczuła, że za chwilę zabraknie jej powietrza, więc skoncentrowała się na spokojnym oddychaniu. W środku było jednak więcej powietrza niż trzeba. Oddychać spokojnie. Powietrza wystarczy.

– Przecież mogłeś sobie pójść i wrócić, kiedy on był w domu. Elisa nie zrobiła ci nic złego.

– Ale to nie o to chodziło. Nadarzyła się okazja, spadła jak łaska z nieba, jeśli

wierzysz w takie rzeczy. Przejeżdżałem obok i zobaczyłem ją, jak skręca na stację benzynową, więc ruszyłem za nią i skorzystałem ze zrządzenia losu. Z kluczami od domu sprawa była o wiele łatwiejsza. Przyjście wtedy, kiedy będzie Sigvaldi, nie wchodziło już w grę. Zdążyliby zmienić zamek w drzwiach i stali się ostrożniejsi. Trudno. Nie było go w domu i tak już musiało zostać.

– Ríkharður, ale on nie zabił twojego dziecka, tylko przeprowadził zabieg usunięcia ciąży. Jedyne słuszne wyjście z tej sytuacji. Jak myślisz, dlaczego Karlotta miała jedno poronienie po drugim? Sama natura tak działała. Co, twoim zdaniem, Karlotta powinna była zrobić po tym, jak się dowiedziała o wszystkim. To była jedyna droga. I to nie Sigvaldi podjął decyzję, ale Karlotta ją podjęła, bo naprawdę nie miała innego wyjścia. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak poważna była cała ta sytuacja?

– Pytasz serio? Oczywiście, że zdaję sobie z tego sprawę. Jak myślisz, co mogłem czuć, gdy się o tym dowiedziałem? Jak mogła się czuć Karlotta? – Ríkharður roześmiał się gorzko. – Tylko sam pomyśl. Gdyby jednak nie było tego włamania do domu Karla, nic by się nie wydarzyło. Przygotowywalibyśmy się teraz z Karlottą do przyjścia naszego dziecka na świat i nikt nie musiałby umrzeć. Ale nie. Jego matka musiała koniecznie czegoś się domyślić. Dostrzec moje podobieństwo do jej starszego syna i pamiętać moje imię. Na początku z niczym się nie zdradziła, tylko wypytywała o moje życie osobiste, a ja myślałem, że to po prostu wścibska starsza pani. Jakim byłem idiotą! Podzieliłem się z nią radosną nowiną o dziecku i nawet wymieniłem imię żony, bo tak bardzo się z tego cieszyłem. Czemu się nie zamknąłem? – Freyja usłyszała głębokie westchnienie i domyśliła się, że to Ríkharður. – Po moim odejściu baba na własną rękę przeprowadziła dochodzenie i upewniła się, że miała rację. Arnar, jej syn, Karlotta i ja jesteśmy rodzeństwem. Tak, Karlotta jest moją siostrą.

– Ale przecież wiesz, Ríkharður, że wszystko inne jest o wiele gorsze. Już sam fakt, że jesteście spokrewnieni, powinien był wystarczyć do tego, żebyście się rozstali. Odsunęli się od siebie jak dwa magnesy o tym samym polu naładowania.

Freja skamieniała, słuchając tej historii.

Ríkharður jednak zdawał się nie słyszeć tego, co mówił Huldar. Dalej ciągnął swoją opowieść jakby nigdy nic:

– Matka Karla napisała list do Karlotty. Pokazała mi go dopiero, jak już pozbyła

się dziecka. Kobieta opowiedziała w nim smutną historię mojej matki, naszej matki. Poradziła mojej żonie, by ode mnie odeszła i usunęła ciążę. Mieliśmy nigdy się nie spotkać po tym, jak nas rozdzielono i wysłano każde w inną część kraju. Nasze drogi nie miały prawa się skrzyżować. Ale nie wzięli pod uwagę tego, jak bardzo ją kochałem. Wystarczyło, że ujrzałem ją tylko jeden jedyny raz w bibliotece i od razu wiedziałem, że będzie moją żoną. Nawet teraz świadomość, że jest moją siostrą, niczego nie zmienia. Absolutnie niczego nie zmienia. – Ríkharður zaśmiał się paskudnie. – I jeszcze do tego ta historia naszych rodziców. Było minęło. Nasza matka nie żyje i ojciec też. Nawet nie wiem, jak mam mówić na to ścierwo. Ojciec czy dziadek? Kim on dla mnie jest?

– Jednym i drugim. Był przede wszystkim potworem, który gwałcił twoją matkę, a swoją córkę. Jej historia jest straszna i nic dziwnego, że na końcu go zabiła. Smutne też, że postanowiła odebrać życie sobie. Zasługiwała na współczucie i z pewnością dostałaby najniższą z możliwych kar. Sprawa nie nabrała rozgłosu, nie było nawet wzmianki w mediach i zamieciono wszystko pod dywan. Pewnie chciała was przed tym ochronić i zapobiec rozprzestrzenieniu się wieści o waszym pochodzeniu. Zresztą co ja mogę o tym wiedzieć?

– Zaszła w ciążę, mając dziewiętnaście lat. Pojechała do Akranesu i zamieszkała z mężczyzną, który nie chciał uznać dziecka za swoje. Tak jest w każdym razie napisane w tym liście, który dostała Karlotta. Nie miała innego wyjścia, jak wrócić do domu. Do domu człowieka, który powinien był przyjąć ją serdecznie i pomóc stanąć na nogi. Domu swojego ojca. Ale stało się inaczej. Gospodarstwo znajdowało się na odludziu, z rzadka ktoś tam do nich zaglądał. Najpierw zniszczył ją psychicznie, a potem wykorzystał. Miała z nim dwoje dzieci i była w kolejnej ciąży. Wtedy go zabiła. Zastrzeliła z jego własnej strzelby. Potem popełniła samobójstwo. Wszystko na oczach Arnara, najstarszego z nas. Ponoć jego ojcem był ten mężczyzna z Akranesu, ale nikt nam tego nie potwierdzi. Może więc Arnar też jest synem swojego dziadka.

– Ríkharður, smutny los waszej matki nie zmieni tu niczego. Jesteście z Karlottą tak blisko spokrewnieni, że nie możecie żyć jak małżeństwo. A co dopiero mieć dzieci, bo ich rodzicami byliby brat i siostra. I miałyby jedną babcię i jednego dziadka, który jednocześnie byłby ich pradziadkiem. Ástrós dobrze poradziła Karlocie. Prawdopodobieństwo, że z dzieckiem mogło być coś nie tak, było bardzo

duże.

– Ale była też mała szansa na to, że urodziłoby się zupełnie zdrowe. Ástrós nie wyliczyła jej tego prawdopodobieństwa. Zrobiła to dopiero dla mnie.

– Gdyby Ástrós wiedziała, co tym wyliczaniem na siebie ściągnie, pewnie by tego nigdy nie zrobiła. A tak pomogła tylko swojej byłej uczennicy, która będąc w trudnej sytuacji życiowej, zgłosiła się do niej po poradę. Do kogo innego miała się zgłosić? Przecież nie do jakiegoś lekarza, bo ten wymagałby nazwisk i faktów. Sigvaldiemu też nie powiedziała prawdy, a tylko tyle, że nie chce tego dziecka. I to mu wystarczyło. Ástrós była nauczycielką biologii na emeryturze i ucieszyła się, że jej ulubiona podopieczna o niej pamiętała. Próbowwała jej pomóc, nie wiedząc, o kogo tak naprawdę chodziło.

– Pomimo wszystko powinna była obliczyć, jak duże jest prawdopodobieństwo, że wszystko będzie dobrze.

– Przecież znasz wynik. Tylko pomyśl trochę. – Huldar zamilkł, Freyja natomiast, wstrzymywała oddech, do chwili kiedy nie zaczął na nowo mówić. – A co z tym bogu ducha winnym Hallim, przyjacielem Karla? I z samym Karlem?

Ríkharður parsknął.

– To był prawdziwy fuks, że natknąłem się na tego Halliego. No może nie tylko fuks, bo przeglądając jego komputer w poszukiwaniu skradzionych z Internetu materiałów, natknąłem się na nazwisko Karla. Zrozumiałem, kim jest, i skontaktowałem się z Hallim. Obiecałem mu pieniądze, jeśli pomoże mi trochę przestraszyć jego kolegę. I to zupełnie wystarczyło. To on zaproponował użycie nadajnika, jako że Karl był zakrecony na punkcie radioamatorstwa. On też posiadał cały sprzęt, który był potrzebny, a nawet wymyślił szyfr. Mówił, że wpadł na ten pomysł dzięki plakatowi, który wisiał nad biurkiem Karla w suterenie. Był przekonany, że kolega z czasem go odszyfruje, a jeśli nie, to mu pomoże. Tyle że nigdy do tego nie doszło.

– A co ci takiego zrobił Karl? Potrzebowałeś kozła ofiarnego?

– Tak, doskonale się do tego nadawał. I ukradł mi brata, z którym to ja miałem się wychowywać, on nie miał do tego prawa. Zasłużył sobie.

– Masz świadomość, że jesteś chory, Ríkharður?

– Nie zgadzam się z tobą.

– Zabiłeś troje ludzi. W dość ohydny sposób, oględnie mówiąc.

– Mogło być jeszcze gorzej. Uważałem moje metody za dość przyjazne. W każdym razie dla mnie samego, bo musiałem tylko włączyć urządzenia, a one już zatroszczyły się o resztę. Nie musiałem nawet czekać do końca ani patrzeć na ich śmierć. Nie jestem żadnym sadystą i nie czerpię przyjemności z przyglądania się cierpiącym ludziom. Tu chodzi o sprawiedliwość. Nie może być tak, że ktoś niszczy życie moje i mojego dziecka, a potem nie ponosi konsekwencji. – Ríkharður westchnął. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile zachodu mnie to wszystko kosztowało, bo nie miałeś o tym pojęcia. Udało mi się nie spotkać z Margrét. W śledztwie wziąłem na siebie te zadania, które pozwalały mi kontrolować sytuację. Telefony na przykład. Myślisz, że chciało mi się dzwonić do tych wszystkich wariatów?! Kamera z bankomatu? Widać było na niej mój samochód, ale nawet nie musiałem niszczyć nagrań, bo mi ufałeś, a nikt inny tego nie zakwestionował. I tak dalej. Najgorsze, że na początku nie zdradziłeś mi adresu Freyi, więc okaleczyłem nie tego psa, co trzeba. Później wszystko naprawiłem. Chyba nie było ci miło, gdy wyszedłeś na idiotę, prawda?

– Ríkharður, czy byłbyś tak uprzejmy odwrócić się, przytrzymać ręce z tyłu i pozwolić mi założyć ci kajdanki? Tak jak wcześniej proponowałem, dokończymy naszą rozmowę w komendzie. – Huldar mówił to oficjalnym tonem, jednak słychać w nim było nutę urazy.

– Nie, dzięki.

– Wiesz, że się nie wywiniesz. Nie jestem jedyną osobą, która o tym wie. Karlotta z pewnością zorientuje się, o co chodzi. Margrét zeznała, że widziała twoje buty. Buty policjanta. To całkowicie niedorzeczne uważać, że może się to skończyć inaczej, więc zrobmy to teraz.

– Nie. Zastanów się tylko. Fakt, że może nie powinienem był cię obrażać, ale nawet jeśli wyszedłeś na idiotę, nie sprawiło mi to szczególnej przyjemności.

– Nie ma sprawy. A tak nawiasem mówiąc, byłem ci coś dłużny. Pieprzyłem twoją żonę. W toalecie barowej. Na jej życzenie.

Freyja zrobiła wielkie oczy. Świnia. Ale to było do niego podobne.

Ríkharður wydał z siebie przeraźliwy krzyk. Potem przez chwilę słychać było straszny hałas, trzaski i huki. Freyja domyśliła się, że to fotel ginekologiczny przewrócony został do góry nogami. Teraz dochodziły do niej odgłosy ciężkiego dyszenia i urywane okrzyki. Nie wiedziała, który z nich jęczy, a który krzyczy. Po

czym wszystko ustało, a wtedy Freyja zamarła. Kiedy w pokoju rozległo się długie i ciężkie sapanie, a w tle ciche jęki, pojęła, co się stało.

Ríkharður był górą.

Huldar sapał inaczej. Dobrze pamiętała z ich wspólnej nocy.

Słyszała pobrzękiwanie w szufladach i czuła, jak wali jej serce. Czy mężczyzna szukał jakiegoś narzędzia, by załatwić Huldara na dobre? Dowiedziała się wystarczająco dużo o tamtych zbrodniach, by nie dopuścić do popełnienia kolejnej tuż pod jej nosem. W przeciwieństwie do Margrét była dorosła i nie zamierzała dopuścić, by im dwóm stało się coś złego. Jeśli Ríkharður rzeczywiście zabiłby Huldara, to zaraz potem udałby się do Margrét.

Ostrożnie wsunęła rękę do torebki i bezszelestnie wyciągnęła pistolet. Wiedziała, że jest naładowany. Czy wystrzeli, tego już nie była taka pewna. Ale Ríkharður także nie mógł tego wiedzieć.

Błyskawicznie odbezpieczyła pistolet, otworzyła drzwi od szafy i podniosła broń przed siebie. Huldar leżał na podłodze zwinięty w kłębek. Ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że oddycha.

– Odłóż nożyczki! – Głos jej drżał, nie potrafiła tego opanować.

Mężczyzna się odwrócił. Nie potrafił ukryć zdziwienia na twarzy. Szybko jednak powiedział z szyderczym uśmiechem:

– Jestem z policji. Proszę odłożyć broń i założyć ręce za szyję.

– Odłóż nożyczki. – Freyja czuła, że pistolet trzęsie się w jej rękach. Gwałtownym ruchem głowy odrzuciła włosy z ramion. – Odłóż nożyczki albo strzelam!

– Nie sądzę, by była pani do tego zdolna. Moja kochana, proszę odłożyć broń.

Zrobił krok w jej stronę.

Freyja oddała strzał. Nie powinien był nazywać jej k o c h a n a.

Epilog

Czerwony kolor był przepiękny. Teraz, kiedy sala szpitalna stała się całym światem Karla, wszystko było białe albo bladożółte. Czasem pojawiał się kolor jasnozielony, który nie przynosił szczególnej radości, ale zawsze to jakaś odmiana. Szpitale zarezerwowały sobie te barwy i nikt specjalnie nie zawracał sobie tym głowy. Za taką gamą kolorów musiała się jednak kryć jakaś koncepcja. Może miały kojarzyć się z czystością, zdrowiem, a nawet nadzieją. Z pewnością postarano się i o to, by kolory nie wzbudzały nadmiernego optymizmu.

Inaczej było z kolorem czerwonym. Tak jaskrawy, że aż prawie odblaskowy i tym samym przyciągający uwagę. Od dawna nie widział czegoś tak pięknego. Od jak dawna, nie miał pojęcia. Czas nie miał teraz dla Karla żadnego znaczenia. Godziny, minuty, sekundy przestały dla niego istnieć. Dzień i noc opuściły jego życie, które teraz dzieliło się na czuwanie, drzemanie i sen. W tym momencie drzemał.

Piękna czerwień była warta przebudzenia.

Ułożono go w łóżku na sparaliżowanej stronie, by zapobiec odleżynom na plecach. Otworzył całkiem oczy. Czy rzeczywiście udało mu się je otworzyć, nie mógł być do końca pewny. Nie widział na jedno oko i nie miał czucia po tej samej stronie. A może to oko było w porządku tylko opadnięta na nim powieka zasłaniała mu widzenie?

Nie wiedział tego i w gruncie rzeczy nie grało to już roli. Teraz, kiedy ledwie poruszał wargami, pozostało tyle pytań bez odpowiedzi. Z ust od czasu do czasu wydobywały się niezborne słowa. Kiedy indziej strajkowały i nie chciały ich opuścić. Był wdzięczny za to, że mógł widzieć i słyszeć.

Gorzej, że nie mógł decydować o tym, na co patrzy i czego słucha.

Jeszcze nie był w stanie komunikować się zrozumiale, a ci nieliczni, którzy zatrzymywali się przy jego łóżku, nawet nie próbowali z nim porozmawiać. Najlepiej czuł się, kiedy dwóch albo więcej pracowników szpitala kręciło się wokół niego i rozmawiało ze sobą. Czasami mówili o nim, kiedy indziej o pracy albo z rzadka o swoich prywatnych sprawach. To było najbardziej interesujące.

Powieka opadła do połowy i Karl musiał zadowolić się patrzeniem na śliczny czerwony kolor przez wąską szparkę. W czasie kiedy czekał, aż podniesie się do góry, rozważał, skąd wziął się ten kolor. To nie była krew ani też róże, a już na pewno nie ferrari. Najbardziej skłaniał się do teorii, że była to poprzeczna linia z islandzkiej flagi. I wtedy powieka uniosła się do góry. Teraz widział, że to nie flaga zawieszona przez pracowników na ścianie, a człowiek siedzący na krześle postawionym tuż przy jego łóżku dla odwiedzających. Mężczyzna w jaskrawym krawacie, śnieżnobiałej koszuli i ciemnoniebieskim garniturze. W kolorach islandzkiej flagi.

Karl słyszał głos, który dochodził z poruszających się warg. Na początku nie starał się jednak zrozumieć znaczenia wypowiedzianych słów, bo koncentrował się na twarzy. Chciał dowiedzieć się najpierw, kto zaszczycił go swoim przybyciem. Przecież nie było nikogo, kto mógłby go odwiedzić. Nikogo.

Kiedy na nowo odzyskał świadomość, powoli i na spokojnie zaczęły mu się przypominać różne rzeczy. Niektóre z nich były dobre, a niektóre złe. Najwięcej było tych złych. Z dobrych wiadomości najlepsze były te, które przekazał mu lekarz. O jego niewinności. Oczyszczeniu z zarzutów popełnienia potrójnego morderstwa. Liczył, że w związku z tym przybędzie mu odwiedzających, ale tak się nie stało. Do tej pory nie pojawił się ani Börkur, ani też nikt z rodziny matki. Widać zasłaniali się wymówką, że przecież nie był z nimi tak naprawdę spokrewniony. W każdym razie nie odwiedził go nikt. Wiedział, że Börkur wstydził się, iż zawałił jako świadek swoimi zeznaniami. Możliwe, że ubył mu jeden przyjaciel. Co oznaczało, że nie miał teraz już żadnego, więc jeśli tylko wpadłby tu do niego, dałby mu do zrozumienia, jak nieważne są dla niego te przekłete zeznania.

Zanim rozpoznał twarz, słowa gościa dotarły do jego uszu.

– Nie śpisz? Powiedzieli mi, że czasem jesteś świadomy.

Karl znał skądś ten głos, właściwie znał bardzo dobrze, tylko jego mózg potrzebował czasu, by przerobić tę informację. Musiał się z tym pogodzić i chwilę poczekać. W szpitalu dowiedział się, że w jego mózgu nastąpił krwotok, co tłumaczyło, dlaczego wszystko tak długo trwało. Wyobrażał sobie, jak jego myśli, nadkładając drogi, docierają okrężnymi ścieżkami do celu.

Lekarze powiedzieli, że z upływem czasu dojdzie do siebie. Że czeka go długa

i mozolna rekonwalescencja i że prawdopodobnie nigdy nie będzie do końca sprawny. Ale to już lepsze niż nic.

– Mam wrażenie, że twoje oko jest otwarte. Nie śpisz już?

Arnar. To był jego brat Arnar. Karl wysilił się, by coś powiedzieć, ale mu się nie udało. Usta otworzyły się nieznacznie i to było wszystko. Żaden dźwięk się z nich nie wydostał. Chciał tylko powiedzieć „hej”, lecz w niektóre dni szło mu po prostu gorzej.

– Przyszedłem, Karl, żeby się pożegnać. – Arnar wpatrywał się jego otwarte oko, szukając w nim jakiegoś znaku świadczącego o tym, że Karl go słyszy.

Nic się jednak nie wydarzyło. Starał się zamrużyć powieką w zdrowym oku, ale impulsy z mózgu potrzebowały sporo czasu, by dotrzeć do celu, a kiedy w końcu powieka opadła i uniosła się do góry, Arnar patrzył już gdzie indziej. To samo działo się wkrótce po przebudzeniu, gdy próbował coś przekazać pielęgniarce. Kiedy w końcu udało mu się mrugnąć okiem, były już odwrócone lub skoncentrowane na czymś innym. Tutaj nikt nie zatrzymywał się na dłużej, bo wszyscy się gdzieś spieszyli. Ledwie skończyły pracę w tym pokoju, zaczynały w następnym przy innym pacjencie.

– Muszę wracać do Ameryki. I tak za długo tu byłem. Wciąż przekładałem z dnia na dzień wylot, a teraz już dłużej nie mogę.

Od jak dawna Arnar był na Islandii? Karl zastanawiał się, czy gdy brat go odwiedzał, przypadkiem nie spał przez cały czas. A może wcale tu nie przychodził? Pewnie i tak było. Po co miałby oglądać zapalonego mordercę? Ale już od jakiegoś czasu było wiadomo, że nie miał z tym nic wspólnego. Dlaczego nie pokazał się wcześniej?

– Wracam do Ameryki tylko po to, by się spakować. Mam zamiar wrócić do domu. Tam, oprócz pracy, już nic mnie nie trzyma. Rozwodzimy się z Alison. Tu też mogę znaleźć sobie dobrą pracę. – Zamilkł i spuścił wzrok.

Karl poczuł pewien rodzaj olśnienia, które delikatnie, jak poranne promienie słoneczne, zaczęło dotykać jego umysłu. Czyżby ta nudna Alison odeszła od Arnara z jego powodu? Czy mogło być tak, że ta paniusia uznała, że jest zbyt dobrze urodzona, by mieć za szwagra mordercę? Czy Arnar nie wyjaśnił jej tego nieporozumienia?

– Dużo o nas myślałem. Na przykład o tym, czy mogłem przez te wszystkie lata

być lepszym bratem dla ciebie? Nie sędzę. Jestem, jaki jestem, ty też. – Zamilkł i patrzył na Karla w sposób pozbawiony jakiegokolwiek współczucia lub ciepła. – To dlatego, że nie mogę zrozumieć... No po prostu nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie powiedziałaś mi, kim była moja matka. Kiedy policjant przekazał mi, że znaleźli jej nazwisko w twoim komputerze i że szukałeś o niej informacji, to z miejsca przyszło mi do głowy, że ją znalazłeś, ale nie zdążyłeś mi o tym powiedzieć, bo cię zaarrestowali. I wtedy zobaczyłem datę. Wiedziałaś o niej, ale mi nie powiedziałaś.

Niepokój bez problemów utorował sobie drogę w umyśle Karla. Przygnębienie, żal, ból, tęsknota docierały do niego bez żadnych przeszkód czy opóźnień. Tylko gorzkie uczucia przedzierały się bez problemu, co uznał za niesprawiedliwe. Dokładnie pamiętał, że obiecał sobie, iż nigdy nie powie o tym Arnarowi. Wiedział jednak również, że po upływie jakiegoś czasu, kiedy przeszłaby mu największa złość, nie dotrzymałby danego sobie przyrzeczenia. A teraz zabrana mu została i taka możliwość, jak również szansa na obronę i próbę przekonania brata, że w odpowiednim czasie poznałby jej nazwisko.

– Tak czy inaczej, spełniło się moje pragnienie. Przynajmniej dowiedziałem się, kim była moja matka – powiedział Arnar, po czym odwrócił się plecami do Karla i wpatrywał w okno. – Tak jak to często w życiu bywa, nie tego się spodziewałem. – Arnar zaśmiał się szyderczo. – Zupełnie nie tego.

Karl pamiętał, że matka i dziadek Arnara zmarli w tym samym dniu. Jej klepsydra była uboga w informacje. Co mogło się wydarzyć? Zostali zabici? Spalili się? Popełnili wspólne samobójstwo? Albo jedno zabiło drugie, a potem odebrało sobie życie? Jego umysł pracował zbyt wolno. Może jego rodzina była niebezpieczna dla otoczenia? Natomiast Karl nie. Gdyby mógł się uśmiechnąć, jego twarz pewnie promieniałaby ze szczęścia.

– Staram się na to patrzeć w ten sposób, że miałem dwie możliwości: dowiedzieć się tego lub nie. Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. – Arnar wciągnął powietrze przez zęby. – Wygrałem i przegrałem. Przegrałem Alison. Ona nie może sobie wyobrazić życia ze mną, po tym jak opowiedziałem jej moją historię. Amerykanie są na tym punkcie bardziej wrażliwi niż my, Islandczycy. Ona chce mieć dzieci. Swoje dzieci ze swoim mężem. Nie od jakiegoś dawcy spermy. Kiedy jej to zaproponowałem, powiedziała, że wydaje jej się to obrzydliwe. Użyła bardziej

dosadnego określenia na samą myśl o byciu w ciąży ze mną. Nie chce nawet zaczekać na wyniki badań genetycznych, nagle przestała ufać nauce. Nie ma to dla niej znaczenia, kto tak naprawdę jest moim ojcem. Uważa, że cały mój ród jest tak zdegenerowany, że nie chce mieć z nim cokolwiek wspólnego.

O czym on mówił? Dlaczego nie mógł tego wyjaśnić bardziej zrozumiale?

– Ale też wygrałem, bo zyskałem siostrę. Niewykluczone, że tylko przyrodnią siostrę. Mam nadzieję, że jest przyrodnia. Okaże się, kiedy przyjdą wyniki testów DNA. I zyskałem również brata. Przyrodniego brata. Mam nadzieję, że jesteśmy tylko w połowie spokrewnieni. – Arnar ułożył dłonie na kolanach, jakby miał zamiar skończyć i odejść. – Tylko że po co mi taki brat? Ciebie w zasadzie też to dotyczy.

Arnar podniósł się z krzesła. Piękny czerwony krawat ulotnił się z pola widzenia Karla. Nie odchodź! Nie odchodź!

– Żegnaj, Karl. Pewnie nie zobaczymy się już nigdy więcej.

Szczupła sylwetka brata zniknęła mu z oczu. Karl nie mógł wystarczająco daleko spojrzeć w dół, by stwierdzić, czy wyszedł z pokoju. Kroki brzmiały zdecydowanie, ale nagle ustały.

– A, i jeszcze coś. Cieszę się, że okazałeś się niewinny. – Ucichł, ale nie wyszedł z pokoju. Pospiesznie dodał: – Mam nadzieję, że dojdiesz do siebie.

Znowu usłyszał kroki. Oddalały się szybko, by wkrótce zniknąć.

Karl potrzebował chwili, żeby się uspokoić. Myśli krążyły mu w mózgu. Co chwilę musiał je wywoływać ze ślepych zaułków, by nakierować na właściwe tory. Dopiero po chwili wszystko do niego dotarło. Wyciągnął następujące wnioski:

Nigdy więcej nie zobaczy Arnara.

Żałosna historia jego rodziny ujrzała światło dzienne.

Mógł się pogodzić z tym, że nie ujrzy już brata. Najgorsze jednak było dla niego to, że nie poznał historii jego matki. Co mogło być aż tak strasznego w jego pochodzeniu?

Nie mówiąc już o szczegółach w sprawie zabójstwa. Od lekarza nie dowiedział się żadnych konkretów. Tylko tyle, że nie jest już dłużej podejrzany. Kiedyś oczywiście dowie się wszystkiego, będąc już na tyle sprawny, żeby móc wstać z łóżka i zacząć mówić. Albo mógłby dowiedzieć się ze środków masowego przekazu, gdyby tylko naprawiono radio stojące obok jego łóżka lub przyniesiono

telewizor do sali.

Do tego czasu musi błądzić w ciemnościach. Pozostać w niewiedzy o tym, kto zabił Halliego i te dwie kobiety, a także jakie miał ku temu powody. Jak właściwie udało się dojść do tego? Jakim sposobem został w to zamieszany? Kto krył się za audycjami radiowymi?

A może będzie musiał w nieskończoność tu leżeć i łamać sobie nad tym głowę?

Powieka opadła. Czuł, że znowu zapada w drzemkę. Przypuszczalnie nie było to najgorsze wyjście. Przynajmniej będzie o czym rozmyślać. Teraz, kiedy nie miał nic lepszego do roboty.

Kiedy ponownie się przebudził, znowu ujrzał coś czerwonego. Był to inny odcień czerwieni. Mniej jaskrawy i połyskujący złotem. Piękniejszy niż poprzedni. Karl czekał, aż powieka podniesie się całkiem w górę. Ze zdziwieniem stwierdził, że na krześle na miejscu Arnara siedziała teraz mała dziewczynka. Miała rude włosy i zielone oczy. Zamek jej kurteczki był zapięty pod samą szyję. Siedziała na krawędzi krzesła, machając szczupłymi nóżkami.

– Mam na imię Margrét. Mój tato pracuje w tym szpitalu. Powiedział, że mogę cię odwiedzić. – Dziewczynka przekrzywiła głowę na bok, by móc patrzeć mu w oczy. – Tata mówił, że nikt cię nie odwiedza. To takie smutne. – Poprawiła się na krześle. – Widzę, że na mnie patrzysz, i wiem, że nie możesz dużo mówić. Nie ma sprawy. Nawet bardziej lubię rozmawiać z ludźmi, którzy nie zadają wciąż pytań.

Karl spróbował się uśmiechnąć. Czuł, że kącik ust po jednej stronie uniósł się posłusznie w górę. Miał nadzieję, że dziewczynka nie przestanie mówić. Jego życzenie zostało spełnione.

– Freyja powiedziała, że powinnam spróbować mówić o tym, co się stało. Co stało się z moją mamą, bo jeśli zostanie to we mnie, może stać się coś niedobrego. Nie mam pojęcia, co takiego może się wydarzyć. – Imię tej Freyi było Karlowi znajome. Kojarzyło się z pytaniami, które policja zadawała mu w związku z psami, słuchał więc małej z wielkim zainteresowaniem. Najgorsze, że słyszał tylko na jedno ucho, ale na szczęście ułożono go na sparaliżowanej stronie. – I dlatego postanowiłam porozmawiać z tobą. O mojej mamie i o złym człowieku. Bo ty

możesz tylko słuchać. – Dziewczynka oparła plecy o krzesło. – Freyja strzeliła do złego człowieka. Miałaś dużo szczęścia, że to nie do ciebie celowała, kiedy wszyscy myśleli, że to ty jesteś tym złym. Ale ja zawsze wiedziałam, że nim nie byłeś.

Karl poczuł, jak od wewnątrz rozgrzewa go fala przyjemnego uczucia. Jak dobrze było z nią porozmawiać po wszystkich tych okropnościach, jakie spotkały go w trakcie przesłuchań. Ale dlaczego powiedziała policji, że rozpoznaje go ze zdjęcia? To musiała być ta sama Margrét, o której mu powiedzieli.

– Policja myślała, że ja też uważam cię za mordercę. Ale Freyja pokazała mi złe zdjęcie. Zdjęcie, na którym jesteś ze swoim bratem. A ten twój brat jest bratem prawdziwego mordercy. Są do siebie trochę podobni. Nie ciebie miałam na myśli. – Dziewczynka miała zatroskaną twarzyczkę. – Przepraszam. To było niechcący.

Karlowi udało się wydobyć z siebie odgłos. Dla obojga był to wystarczający znak, że przeprosiny zostały przyjęte.

– Ale morderca nie umarł. Freyja strzeliła mu w brzuch, a nie w serce. Nie mam pojęcia, czy to dobrze, czy źle? Jeszcze się nie zdecydowałam. Tylko że gdyby zginął, to nie musiałabym o nim już więcej myśleć. – Trudno było się połapać w tym, co mówiła. Nie miało to jednak znaczenia. Mimo tego dobrze ją rozumiał. – Chociaż może bym o nim jeszcze myślała. Mama nie żyje i też często o niej myślę.

Karl próbował przytaknąć przekrzywioną głową. Dziewczynka uśmiechnęła się do niego.

– Jeszcze wyzdrowiejesz. Tata tak mówi. Może nie będziesz taki jak kiedyś, ale na pewno lepszy niż teraz. – Jej twarz wyrażała teraz obrzydzenie. – W twoim mózgu jest krew.

Milczała przez chwilę. Widać było, że szuka tematu do rozmowy.

– Jeden z policjantów ma duże problemy, bo myślał, że to ty byłeś tym złym człowiekiem. Nie wiedział, że to jego przyjaciel nim był, który też był policjantem. Policjant był tym złym człowiekiem! – Na twarzy dziecka malowało się powątpiewanie, a zarazem brak zrozumienia. – Nie wiedziałam, że to się tak da zrobić. Ale Freyja strzeliła do niego i on już nie może być policjantem. Musi iść do więzienia. Ten drugi policjant też może nie będzie mógł być już dłużej policjantem. Bo się nie zorientował, a oni muszą takie rzeczy wiedzieć.

Dziewczynka spoglądała w kierunku okna.

– Freyja ma teraz bardzo długi urlop. Długo nie będzie mogła pracować, bo strzelała do człowieka w pracy. W schronisku dla dzieci. To jest na pewno zabronione. A ja się cieszę, że to zrobiła. I ona też pewnie się cieszy, że ma wolne. Wszyscy się cieszą, gdy mają urlop.

Jasne paluszki podciągnęły rękaw kurteczki. Na przegubie rączki ukazał się duży zegarek o pstrokatym cyferblacie.

– Muszę już lecieć. Nie mogę być długo. Tata czeka na mnie na korytarzu.

Wstała. Rude włosy zniknęły z pola widzenia Karla. Wpatrywał się teraz w jasnoniebieską kurteczkę. Zrobiło mu się przykro. Chciał, by dziewczynka znowu obok niego usiadła.

– Przyjdę cię jeszcze odwiedzić. Tata mówi, że mogę tu przychodzić tak często, jak zechcę. – Zamilkła i zamierzała odejść. – Na razie. Przyjdę jutro. Najchętniej zabrałabym ze sobą Molly. Spodobałaby ci się. Może kiedyś, kiedy nie będziesz musiał już tu dłużej być.

Dziewczynka zniknęła. Wsłuchiwał się w odgłos jej kroków, aż ustał. Od niepamiętnych czasów nie czuł się tak szczęśliwy. Teraz mógł liczyć na odwiedziny. Małej udało się obudzić w nim nadzieję, której tak bardzo potrzebował.

Koncentrował się na zginaniu palców. Tak jak pokazał mu fizjoterapeuta. Zginać. Puszcząć. Zginać. Puszcząć. Miał wrażenie, że szło mu lepiej niż ostatnio. Zginać. Puszcząć. Zginać. Puszcząć.

W końcu zmorzył go sen. Tym razem jednak ze zmęczenia, a nie z beczynności. W jego głowie tłukły się ostatnie słowa dziewczynki:

Może kiedyś.

Kiedy nie będziesz musiał już tu dłużej być.

¹ Sklep z używanymi rzeczami, z którego dochód przeznaczony jest na cele charytatywne. Ponieważ trafiające tam ubrania są odnawiane, a wśród nich nieraz zdarzają się perełki, Dobry Pasterz jest miejscem znanym i odwiedzanym przez celebrytów (przyp. red.).